

Colin

FORBES

MIZAR

AMBER

Barbora



lesiojot

Colin

FORBES

Zabójczy Wino

MIZAR

AMBER



lesia fot

Od autora

Wszystkie przedstawione w tej powieści postacie są wytworem wyobraźni pisarza, który nie wzorował się na żadnej z żyjących osób. Także Międzynarodowe Kontynentalne Konsorcjum Bankowe Stanów Zjednoczonych, korporacja INCUBUS, nie ma swego odpowiednika wśród istniejących na świecie organizacji.

Tytuł oryginału WHIRLPOOL

Ilustracja na okładce DAVE PETHER

Copyright © 1991 by Colin Forbes

For the Polish edition Copyright © 1993 by Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o.

Published in cooperation with Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

Wydawnictwo Mizar Sp. z o.o. Warszawa 1993. Wydanie 1 Skład: Zakład Kolonel w Warszawie
Druk: Drukarnia Wojskowa w Łodzi

Przełożył : Jerzy Żebrowski

Colin FORBES

Zabójczy Wład

Przełożył
JERZY ŻEBROWSKI



PROLOG

Świt nastał jak ostrzeżenie.

W lutowy poranek Bob Newman jechał swym mercedesem 280E przez nie zamieszkane tereny hrabstwa Suffolk. Pustą szosę z obu stron okalała skuta mrozem czarna zaorana ziemia. Tajemnicze światło brzasku wzmagało w nim niepokój. Reflektory słabo oświetlały drogę. Co takiego powiedziała jego dziewczyna, Sandy Riverton, telefonując w środku nocy?

— Bob, czy możemy się natychmiast spotkać? W starym kościele w pobliżu Yoxfordu, tam gdzie widzieliśmy się pierwszy raz?

Przysięgłby, że dzwoniła zębami ze strachu.

— Oczywiście. — Wyrwany ze snu, z trudem powstrzymywał się od ziewania. —

Ale dlaczego tam? Czy coś się stało?

— Nie mogę wyjaśniać przez telefon. Przyjedziesz, prawda? Muszę ci o czymś powiedzieć. Powinłam była wcześniej o tym wspomnieć. To ci pomoże w dochodzeniu w sprawie korporacji INCUBUS. Muszę już iść. Zdażysz przyjechać o świcie? Tak żeby nikt nas nie zobaczył?

— Sandy, o co tu chodzi? Dlaczego, na litość boską, wybrałaś takie odludne miejsce i tak wczesną porę?

— Nie mam już czasu. Przyjedź, Bob. Błagam. Muszę lecieć. Przyjedziesz?

— Tak... — Był już zupełnie rozbudzony. — Skąd dzwonicz?

— Powiem ci, kiedy się spotkamy. Do widzenia...

Odłożyła słuchawkę, zanim zdążył coś dodać. Wskoczył z łóżka, błyskawicznie się umył, ogolił i ubrał. Nauczył się tego jako dziennikarz, choć teraz nie musiał

już pracować w swoim zawodzie — książka, którą napisał przed laty, stała się bestsellerem i przyniosła mu upragnioną niezależność finansową.

W okolicy nie było żadnych wiosek, żadnych gospodarstw, zwolnił więc w obawie, że może minąć wąską drogę, która wiodła do opuszczonego kościoła i stojącej oddzielnie dzwonnicy. Włączył na cały regulator ogrzewanie. Ranek był

zimny, a od wschodu, znad odległego Morza Północnego, wiał przenikliwy wiatr.

Przypomniawszy sobie, że wzdłuż tego odcinka drogi nie ma nawet najmniejszej wioski. Słowa „w pobliżu Yoxfordu” określały usytuowanie starego kościoła w nader uproszczony sposób. Znajdował się on w samym środku pustkowi.

Dlaczego więc Sandy wybrała na spotkanie tak odludne miejsce i tak zniechęcającą porę? „Ponieważ się bała” — pomyślał posępnie.

Bezchmurne niebo powoli rozjaśniało się chłodnym, bladym brzaskiem poranka.

Po lewej stronie dostrzegł georgiański dworek, przycupnięty o pół kilometra od głównej szosy. Centralne okno zwieńczone było łukiem. Przypominało to bardziej czasy królowej Anny niż króla Jerzego. Dziwnym zbiegiem okoliczności dworek Livingstone był angielską wiejską rezydencją Franklina D. Hausera, prezesa i naczelnego dyrektora korporacji INCUBUS. INCUBUS, Międzynarodowe Kontynentalne Konsorcjum Bankowe Stanów Zjednoczonych, to potężna organizacja, w której do niedawna pracowała Sandy.

Przypomniał sobie jeszcze jedną telefoniczną rozmowę z Sandy sprzed trzech tygodni. Zrezygnowała z pracy w korporacji INCUBUS. Nie podała właściwie konkretnych powodów. Kiedy Newman zaczął nalegać, odpowiedziała wymijająco:

— Po prostu czułam, że robię ciągle to samo, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu. Chyba pora na jakąś zmianę...

Wyjechała z Londynu nie zobaczywszy się z Newmanem i powiadomiła go w liście, że jest u siostry w Southwold, na wybrzeżu hrabstwa Suffolk. Skąd więc to tajemnicze spotkanie w pobliżu siedziby Hausera?

Newman zauważył skręcający w prawo trakt i zjechał z głównej szosy. Był to obszar pokrytych polami wzgórz, droga wznosiła się lekko pod górę. Zrobiło się już na tyle jasno, że widział na horyzoncie sylwetkę wieży usytuowanego na wzgórzu starego kamiennego kościoła. Zobaczył również dzwonnice —

prostokątny, wysmukły blok z kamienia, oddalony o kilkanaście metrów od kościoła. Czuł, że narasta w nim niepokój.

W styczniu zdał sobie sprawę, jak bardzo podoba mu się Sandy. Dojrzał już do tego, by poprosić ją o rękę. Różniła się tak bardzo od jego pierwszej żony, zamordowanej podstępnie w nadbałtyckiej Estonii w zapomnianych już czasach zimnej wojny. Przyspieszył, chcąc jak najszybciej dotrzeć do celu. Półtoratonowy samochód trząsał się, przejeżdżając po zlodowaciałych koleinach, pozostawionych podczas cieplejszej pogody przez koła traktorów.

Zerknąwszy odruchowo we wsteczne lusterko zobaczył w nim swoje odbicie.

Skończył już czterdzieści lat. Miał jasne włosy, a jego wyrazista twarz była gładko ogolona. Rozbawiony zwykle wyraz oczu i ust nadawał mu wygląd wesołka. Bob Newman wzbudzał na ogół sympatię zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Z

rozpędem wjechał na grzbiet wzgórza. Odetchnął z ulgą. Czerwony jaguar Sandy stał zaparkowany przy żywopłocie, którego gałęzie rosły tak gęsto, że z daleka nie było przez nie widać.

Ustawił mercedesa obok jaguara i wysiadł. Gdy dotknął ręką chłodnicy drugiego wozu, znów ogarnął

go niepokój. Była zimna. Sandy musiała czekać już od dłuższego czasu. Tylko gdzie?

Nie widział innego schronienia niż kościół, ale na pewno było tam zimno jak w chłodni. Naciągając rękawiczki zobaczył kątem oka słońce wschodzące nad pasem ciemnego błękitu morza. Nagle zwrócił jego uwagę o wiele słabszy błysk światła. Pochodził z dużego łukowatego okna dworku Livingstone.

Czy to słońce odbijało się od szyby? W takim przypadku odbicie powinno nadal być widoczne, a tymczasem teraz zniknęło. Sięgnął do wozu po silną lornetkę, którą zawsze ze sobą woził. Był średniego wzrostu i przeciętnej budowy, z łatwością ukrył się więc za samochodem, oparł łokcie o dach i nastawił ostrość.

Okno dworku Livingstone znalazło się nagle zupełnie blisko. Za firanką stała jakaś postać z połową lornetką przy oczach.

Zapewne wstający wcześniej lokaj zastanawiał się, kto o tej porze odwiedza kościół. Newman odłożył lornetkę z powrotem na siedzenie obok kierowcy i odwrócił się w kierunku świątyni. Aby dotrzeć do średniowiecznej budowli z jej wąskimi, łukowato zakończonymi oknami, musiał przejść otwartą na przestrzał

dzwonnice. Za nią kręta ścieżka między nagrobkami prowadziła w górę, do bramy kościoła. Postawił kołnierz płaszcza i ruszył przed siebie.

I dzwonnica, i kościół były w opłakanym stanie. Niewątpliwie w czasach magnatów przemysłu wełnianego parafię odwiedzał tłum wiernych, ale dla tego rejonu świata już dawno skończył się okres ekonomicznego boomu. Newman wszedł do dzwonnicy.

Po chwili przestraszył się odgłosu własnych kroków. W porannej ciszy donośnie rozlegał się chrzęst i skrzypienie lodu miażdżonego jego butami.

W jednym z narożników leżał dzwon, który spadł kiedyś ze szczytu wieży.

Miejscowi ludzie mówili, że stało się to podczas wielkiej burzy. Newman wychodził już z dzwonnicy, gdy nagle popatrzył w górę i zmartwiało. To, co ujrzał

nad sobą, zmroziło mu krew w żyłach.

U starej belki obok prowadzącej na dzwonnice drabiny wisiała Sandy.

Wpatrywała się w niego z góry martwymi oczami, z wysuniętym z ust językiem.

Lina zaciskała się na jej szyi, głowa była odchylona na bok pod nienaturalnym kątem. Miała złamany kark. Długie złociste włosy spływały jej po plecach na tle czerwonej wiatrówki. Na wysmukłych nogach miała dzinsy. Przypominała jakiś groteskowy posąg z pogańskiego rytuału.

Newman poczuł dławienie w gardle, odkaslnął i przemógł się, by ruszyć z miejsca. Wszedł na drabinę, sprawdzając starannie każdy szczebel. Dwa z nich zrobione były ze świeżego drewna.

Stanął prawie u samej góry, tuż obok ciała Sandy.

Wyciągnąwszy rękę dotknął ostrożnie jej bladej jak płótno twarzy. Wychłodzona skóra przypominała wosk. Lina, na której wisiała Sandy, była stara i wyglądała dokładnie tak samo jak resztką sznura przymocowana do dzwonu. Newman zaczął mówić do siebie na głos:

—Nie, to niemożliwe. To tylko potworny sen. Po prostu nie wierzę. Jestem teraz w łóżku, w moim mieszkaniu w South Ken... To jakiś obłądny koszmar...

Wiedział jednak, że to prawda. Jego metodyczny umysł dziennikarza zaczynał

stopniowo funkcjonować, odnotowywać fakty. Czy mogła popełnić samobójstwo? Nie. Dlaczego? Ponieważ nie znosiła wysokości. Cierpiała na zawroty głowy. Spojrzał na ziejącą w dole przepaść. Nie ma mowy!

Nie chciał jej tak zostawiać, zszedł jednak po drabinie, bo niczego więcej nie mógł zrobić. O dziwo, pomyślał przede wszystkim o tym, że trzeba zawiadomić jej męża, Eda. Sandy zamierzała się z nim rozwieść. Powinien wiedzieć.

Ed Riverton był jednym z dyrektorów korporacji INCUBUS, wielkiego amerykańskiego konsorcjum bankowego, które rozpościerało swe macki na całą Europę, inwestując we wszystkich niemal istniejących typach przedsiębiorstw.

Szukając kontaktu z Edem, Newman poznał Sandy.

Podczas podróży do Finlandii przeprowadził wywiad z Rivertonem w Helsinkach. Ich rozmowa miała dziwny przebieg. Riverton był zdenerwowany, unikał pewnych tematów. Czyżby dlatego, że rozpadało się jego małżeństwo?

Nie, Newman wyczuwał coś, czego nie potrafił wyjaśnić.

Wrócił myślami do potwornej rzeczywistości. Zanim wyszedł z dzwonnicy, spojrzął ku górze. Widok był odrażający. Sandy kołysała się powoli na boki jak wahadło. Czyżby dotknięciem wprowadził w ruch jej wiszące sztywno ciało? A może przez dzwonnice przemknął silniejszy podmuch wschodniego wiatru?

Jakież to, do diabła, miało znaczenie? Dręczyło go straszne przeczucie, że zapamięta ją właśnie taką, że nie przypomni sobie już nigdy, jaka była pogodna i promiennie uśmiechnięta, kiedy się z nim droczyła. Tak, na zawsze pozostanie mu w pamięci ten obraz — upiorna karykatura prawdziwej Sandy.

Wychodząc z dzwonnicy potknął się, ale nie upadł. Jego mózg pracował jakby na dwóch poziomach. Mimo szoku i rozpaczony umysł dziennikarza działał sprawnie.

Newman zmusił się, by raz jeszcze spojrzeć w górę.

Nad belką, do której przywiązano linę, znajdował się podest, dający oparcie drabinie. Był w nim

wydrążony otwór, z którego zwisał kiedyś sznur dzwonu.

Newman ocenił, że klęcząc na podeście Sandy nie mogłaby sięgnąć w dół do belki ani przymocować do niej liny, mierzyła bowiem — a raczej jej zwisające ciało mierzyło — sto sześćdziesiąt dwa centymetry wzrostu. Była zbyt niska, aby w ten sposób popełnić samobójstwo.

Część pierwsza

ŚMIERTELNE BIOGRAMY

— Dlaczego — dziękować Bogu — nie rzuciłeś pracy, choć taki miałeś zamiar?

Monika zadała Tweedowi to pytanie, gdy oczekiwali na przyjazd Newmana.

Tweed, zastępca dyrektora wydziału SIS, Specjalnej Służby Śledczej, wyglądał z pierwszego piętra przez okno swego biura w londyńskiej centrali wywiadu przy Park Crescent.

— Mgła jak mleko i cholerny ziąb — ocenił stan pogody. Monika — kobieta w średnim wieku, ze związanymi w kok siwymi

włosami, będąca od wielu lat jego osobistą asystentką — oparła się o swoje biurko, obserwując Tweeda. Był mężczyzną średniego wzrostu, przeciętnej budowy, w wieku trudnym do określenia. Nosił okulary w rogowej oprawie i należał do typu ludzi, których mija się na ulicy nie zwracając na nich uwagi. Często wykorzystywał fakt, że sprawia wrażenie zwykłego szarego człowieka. Był gładko ogolony, miał wciąż jeszcze ciemne włosy, a czujne i przenikliwe oczy przesłaniały szkła okularów.

— Nie odpowiedziałeś na moje pytanie — nalegała. — Zaraz po wizycie u pani premier wzięłeś długi urlop. Co się stało?

— Uległem jej — przyznał Tweed. — Wetknęła mi pewną trudną i niebezpieczną sprawę, zapewniając, że tylko mnie może z pełnym zaufaniem ją powierzyć. Rozmawialiśmy przez dwie godziny, no i cóż — wyrzucił obie ręce w górę, jakby się poddawał — w końcu skapitulowałem. — Ożywił się nagle i wszedłszy za swoje biurko usadowił się w starym obrotowym fotelu. — Ciekawe, co trapi Boba Newmana? Kiedy zadzwonił i zapytał, czy może przyjść się ze mną zobaczyć, był zdenerwowany i poruszony. To do niego niepodobne. Przez telefon nie chciał mi nic powiedzieć.

— No cóż, wkrótce się dowiemy. Zaraz tu będzie. A co to za dziwna i niebezpieczna sprawa?

— Chodzi o korporację INCUBUS. To skrót od International Continental Union Bank, US. Międzynarodowe Kontynentalne Konsorcjum Bankowe Stanów Zjednoczonych. Wolałbym, żeby Amerykanie nie lubowali się tak w tworzeniu z pierwszych liter słów tasiemcowych nazw organizacji. Mówi ci coś nazwisko Franklin D. Hauser? Jest prezesem i naczelnym dyrektorem. Któż o nim nie słyszał? Mówią, że jest tak potężny jak prezydent Stanów Zjednoczonych. To oczywiście przesada. Raczej ludzie, których zatrudnia, niepokoją i Waszyngton, i Moskwę. Nie mogę wdawać się w szczegóły, ale sytuacja jest dziwna.

— Dziwna?

Tweed przez chwilę milczał. Wreszcie wydusił z siebie:

— Niewiele mogę ci powiedzieć, ale pani premier poleciła mi współpracować ze specjalnym agentem CIA. I jakimś nieznanym człowiekiem KGB. To właśnie wydaje mi się dziwne.

Wciąż spoglądał w okno, gdy zadzwonił telefon. Monika podniosła słuchawkę.

— Przyslijcie go zaraz na górę — powiedziała i przerwawszy połączenie spojrzała na Tweeda. — Przyjechał Bob Newman. Chciałeś się z nim zobaczyć...

— Tak. On też mnie intryguje...

Urwał w pół zdania. Newman wszedł, zamknął drzwi, pozdrowił Monikę skinieniem głowy i osunął się na fotel przed biurkiem Tweeda.

— Na Boga, Bob, co się stało?

Tweeda przeraził wygląd Newmana. Zazwyczaj dziennikarz był na luzie i zachowywał się swobodnie. Teraz wydawał się ponury i nieludzko zmęczony.

— Wyglądasz tak, jakbyś w ogóle nie spał — zauważył Tweed.

— Bo nie spałem. W każdym razie niewiele. W środku nocy obudził mnie telefon...

Opowiedział pokrótce o tym, co przeżył w ciągu ostatnich kilku godzin. Gdy Monika dyskretnie wyszła, aby zrobić mu kawę, zaczynał właśnie relacjonować swą rozmowę z policją:

— W komisariacie w Southwold mieli akurat kogoś ze Scotland Yardu. Z

Wydziału Zabójstw. Był tam przypadkiem w związku z zakończeniem dochodzenia w jakiejś innej sprawie. Wszyscy starsi oficerowie policji złapali grypę, więc komisarz okręgowy poprosił go o pomoc. To główny inspektor, Roy Buchanan. Bardzo inteligentny i uparty. Był spokojny i opanowany, ale solidnie mnie wymagłował pytaniami o Sandy.

— Poznałem go kiedyś — powiedział cicho Tweed. — Dobrze go określiłeś.

Wysoce kompetentny, zawzięty facet...

— „Zawzięty” to właściwe słowo. — Newman zamilkł, jakby nie był pewien, jak ma się wyrazić, po czym wybuchnął: — Buchanan uważa, że to ja zabiłem Sandy.

Tweed czekał w milczeniu i postukując ołówkiem przyglądał się, jak Newman pije czarną kawę z przyniesionego przez Monikę dużego kubka. Pochłaniał

łapczywie gorący płyn.

— Buchanan ci to powiedział? — zapytał w końcu Tweed.

— Niezupełnie. Zauważył jednak, że nic nie wskazuje na to, by Sandy się broniła, musiała więc znać zabójcę. Też mi to przyszło do głowy, zanim zawieźli mnie na przesłuchanie do komisariatu w Southwold. Facet wypytywał mnie w taki sposób, że domyślałem się, co podejrzewa. Atakuje człowieka słowami jak rapierem.

— Cały Buchanan. — Tweed wpatrywał się w Newmana, który zdążył się ogolić, ale zrobił to byle jak. Plaster na policzku wskazywał skaleczone miejsce. —

Widzę, że zaciąłeś się przy goleniu?

Oczy Newmana zapłonęły.

— Buchaftan zadał mi dokładnie to samo pytanie. Zasugerował nawet, żebym pokazał mu ranę. Zdarłem więc plaster. Pewnie ma nadzieję, że patolog, który kraje Sandy, znajdzie pod jej paznokciami skrawki skóry. Mojej skóry.

— Napij się jeszcze kawy — poradził Tweed.

— Muszę zadzwonić do Helsinek — powiedział Newman oschle. — Sandy miała rozwodzić się ze swoim mężem, Edem, ale powinienem chociaż do niego zadzwonić, powiadomić go o jej śmierci.

— Telefon jest do twojej dyspozycji.

Tweed zagłębił się w fotelu i spojrzał na Monikę. Newman zaglądnął tymczasem do notesu, wykręcił helsiński numer i czekając na połączenie popatrzył na Tweeda.

— Łatwiej bym się skoncentrował, gdybyś przestał stukać tym cholernym ołówkiem.

Tweed, nadal niewzruszony, skinął głową, odłożył ołówek na biurko i wyjąwszy chusteczkę zaczął czyścić okulary.

Newman ścisnął w rękę słuchawkę, czekając na połączenie. Czy nikt nie odbierze tego cholernego telefonu? Nagle usłyszał na linii kobiecy głos, powtarzający po angielsku wykręcony przez niego numer.

— Mam pilną sprawę do pana Edwarda Rivertona. Dzwonię do domu, bo wspominał, że rzadko bywa w biurze.

— Kto mówi? — Głos dziewczyny drżał.

— Przepraszam. Nazywam się Bob Newman. Kilka tygodni temu przeprowadzałem w Helsinkach wywiad z panem Rivertonem...

Tweed zauważył, że Newman jest już opanowany.

— O Boże, pan Newman! — wybuchnęła dziewczyna. — Mówi Evelyn, szwagierka Eda. Zdaje się, że zna pan Sandy. Wspominała mi ostatnio o panu przez telefon. Dostałam właśnie straszną wiadomość i chcę ją Sandy przekazać, ale nie mogę się z nią skontaktować. Telefon w Southwold jest wolny, ale nikt nie odpowiada.

— Uspokój się, Evelyn. — Newman mówił łagodnie, kojąco. — Doskonale cię pamiętam. Zwłaszcza ten znakomity obiad, który ugotowałaś. Gravad lax. Jedno z najlepszych dań z łososia, jakie w życiu

jadłem. Powiedz mi teraz, co to za wiadomość.

— Trudno w to uwierzyć. Dwadzieścia cztery godziny temu, tuż po zapadnięcu zmroku, wydobyto w Porcie Północnym zwłoki Eda. Byłam w biurze w Turku i zawiadomili mnie z pewnym opóźnieniem... W zimie dzień trwa tu tylko cztery godziny... Jest potwornie zimno. Cały port zamarza...

Mówiła bez sensu. Była na skraju hysterii, może nawet nerwowego załamania.

Newman rzekł powoli:

— Spokojnie mi wszystko opowiedz. Słucham cierpliwie. Jak to się stało?

— Lodołamacz „Otso” rozbijał lód, żeby mogły przepływać tamtędy statki.

Jeden z marynarzy zauważył ciało Eda w jakiejś szczelinie. Zobaczyli go w samą porę, zanim lodołamacz skruszył... — Przerwała. Newman czekał słysząc, jak dziewczyna wciąga głęboko powietrze. — Zabrali go do kostnicy, a potem mnie wezwali.

— Co za „oni”, Evelyn?

— Przyjechali ludzie z tajnej policji i zabrali go z „Otso”. Zadzwoił do mnie niejaki Mauno Sarin. Zorientowałam się po jego głosie, że coś jest nie w porządku. Czy mogę napić się wody?

— Zaczekam.

Newman spojrzał na Tweeda, który siedział wyprostowany w fotelu, i trzymając słuchawkę przy uchu zasłonił drugą ręką mikrofon.

— Będzie z tą sprawą mnóstwo kłopotu. Zaraz ci powiem... Tak, Evelyn, nadal tu jestem. A więc zorientowałaś się, że coś jest nie w porządku. To było, zanim jeszcze przekazał ci wiadomość?

— Nie, później...

„Mówi od rzeczy” — pomyślał Newman. Odchrząknął i rzekł:

— Powiedz mi, co było potem.

— Nalegałam, że chcę znać całą prawdę. Sarin nie chciał mi jej wyjawić, a potem stwierdził, że i tak wkrótce się dowiem, więc lepiej od niego niż z radia.

Ed nie wpadł do wody. Na Boga, Bob! On został uduszony! — Mówiła coraz głośniejszym głosem. — Jakimś drutem. Głowa oderwała się prawie od szyi. O Boże, Bob, jak mam to powiedzieć Sandy?

— Nalej sobie jeszcze dużą szklankę wody i wypij, a potem porozmawiamy dalej.

Newman zachowywał w potrzebie lodowaty spokój. Jak miał sobie z tym poradzić? Powiedzieć

siostrze Sandy, że ona nie żyje, że powieszono ją w starej dzwonnicy? Koszmar za koszmarem. Kryło się za tym coś gorszego, niż sądził

Sarin. W przeciągu mniej więcej dwudziestu czterech godzin Ed Riverton został

brutalnie zamordowany w Finlandii, a jego żonę zgładzono z nie mniejszą brutalnością we wschodniej Anglii. Miejsca obu zbrodni dzieliło ponad półtora tysiąca kilometrów. Newman przełknął resztę kawy, zdobył się na uśmiech w kierunku Moniki, a po chwili Evelyn była już z powrotem przy telefonie.

— Wiem, że ty i Sandy jesteście... — urwała w pół zdania.

— Tak — odparł Newman bezbarwnym tonem.

— Wiem, że zachowuję się tchórzliwie... że powinnam powiedzieć o wszystkim Sandy... — Znowu mówiła nieskładnie. — Ale nie mogę się teraz na to zdobyć. Bob, czy mógłbyś sam ją zawiadomić?

Newman milczał. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Tweed bacznie go obserwował, zaciskając ołówek w nieruchomej dłoni. Newman zadawał sobie w duchu pytanie: „Jak, do cholery, mam powiedzieć jej prawdę po tym, co właśnie przeszła?” Ktoś jednak musiał to zrobić.

— Evelyn, czy już usiadłaś? Masz pełną szklankę wody?

— Cały dzbanek. Co się stało, Bob? Czuję, że też masz mi do przekazania jakąś bardzo złą wiadomość. Bob... — Choć dzieliła ich odległość ponad półtora tysiąca kilometrów, usłyszał wyraźnie, jak głęboko wciąga powietrze. — Bob —

powtórzyła. — Siedzę i wzięłam się w garść. Mów, o co chodzi. — Jej głos był

teraz spokojniejszy, bardziej opanowany. Chwilowo.

— Evelyn, przeżyłem właśnie podobny wstrząs. Dla ciebie będzie to jeszcze bardziej przykre, zwłaszcza po tym, co przeszłaś. Chodzi o Sandy. Nie żyje, tak samo jak Ed. To się zdarzyło dzisiaj, wczesnym rankiem.

— Rozumiem. — Jej głos zabrzmiał głucho. Była opanowana, aż za bardzo. —

Bob, jak to się stało? Wypadek samochodowy?

— Nie. Powiedziałem, że zginęła tak jak Ed.

Zamilkł, a Evelyn krzyknęła:

— O, mój Boże! Chyba nie została uduszona. Błagam, tylko nie to...

— Źle się wyraziłem. Miałem na myśli, że tak jak Ed została zamordowana.

Chcesz napić się jeszcze wody?

— Nie! Nie! Jak umarła? Powiedz mi, do diabła! Lecę prosto do domu. Tylko zatelefonuję do korporacji INCUBUS i powiem, że się zwalniam... Pracowałam u nich... jeszcze pracuję... Nie w tym samym wydziale co Ed...

— Nic im nie mów — ostrzegł. — Wracaj pierwszym samolotem do domu.

Znasz mój telefon w South Ken? To dobrze. Zadzwoń i podaj mi numer lotu i godzinę. Gdyby mnie nie było, zostaw nagrany wiadomość. Nie używaj swojego imienia. Przedstaw się jako Jackie, dobrze?

— Jak zginęła Sandy? Powiedziałaś, że została zamordowana...

— Poznasz szczegóły, gdy się zobaczymy. Nie zapomnij podać mi przez telefon danych na temat lotu.

— Bob, muszę już iść. — Zaczęła się nagle spieszyć. Newman poczuł niepokój.

— W czasie naszej rozmowy sprawdziłam rozkład lotów. Jeśli się pośpieszę, zdążę jeszcze na samolot. No i trzeba spakować rzeczy. Naprawdę muszę już iść.

— Evelyn...

Newman odłożył powoli słuchawkę. Evelyn przerwała połączenie. W jej głosie brzmiała niemal nuta paniki. Jakby zobaczyła z okna coś, co ją poruszyło.

Pamiętał, że w helsińskiej rezydencji Rivertona telefon stał na parapecie. Zapalił

papierosa i zaciągnął się dymem. Tweed cierpliwie czekał.

— To niewiarygodne. I ponure — zaczął Newman. Zrelacjonował Tweedowi i Monice treść rozmowy. Gdy skończył, twarz Tweeda nie zdradzała żadnej reakcji. — Niewiarygodne — powtórzył. — Dwa zabójstwa, które miały miejsce w przeciągu jednej doby. Pierwsze w Finlandii, drugie w Suffolk. Ofiarami są mąż i żona. Wiem, że Sandy była z Edem w separacji, myślała o rozwodzie, ale...

— Czy kontaktowali się ze sobą? — zapytał Tweed. — Czy istnieje możliwość, że Ed zadzwonił do Sandy i powiedział jej coś ważnego, na tyle ważnego, że stała się dla kogoś zagrożeniem?

— Nie przypuszczam. — Newman wyciągnął rękę w bezradnym geście. — Ale nie można tego wykluczyć. Naprawdę nie wiem. — Wyglądało na to, że zupełnie opadł z sił, jakby ulotniła się gdzieś cała adrenalina, którą jego organizm wyprodukował podczas rozmowy telefonicznej.

— A jednak istnieje wspólne ogniwo — zauważył Tweed. — Wszyscy troje pracowali — albo do niedawna pracowali — w korporacji INCUBUS. Ed, Sandy...

i Evelyn — dodał.

Newman podniósł wzrok i spojrzął na Tweeda, z którego emanował niepokój.

— Więc uważasz, że miałem rację? — spytał.

— W jakiej sprawie?

— Ostrzegając ją, żeby nie zawiadamiała firmy, że się zwalnia?

— Być może grozi jej jakieś niebezpieczeństwo. Nie mam pojęcia, z jakiego powodu, ale mamy do czynienia z bardzo dziwnym zbiegiem okoliczności. —

Mówiąc to Tweed rysował coś machinalnie na kartce papieru. Zauważywszy, że naszkicował stryczek, przypomniał sobie, w jaki sposób zginęła w starej dzwonnicy Sandra Riverton, zamazał więc rysunek, by nie zobaczył go Newman.

— Co proponujesz — zapytał.

— Przyspieszę dochodzenie w sprawie działalności w Europie korporacji INCUBUS i jej szefa, Hausera. Nawiasem mówiąc Hauser ma swą brytyjską rezydencję w starym georgiańskim dworku, oddalonym o dwa kilometry od tamtej dzwonnicy. — Powstrzymał ziewnięcie. — Sprawdzenie tej organizacji może zająć wiele miesięcy. Postanowiłem polecieć do Nowego Jorku, do centrali korporacji, a potem do Bostonu, gdzie mają jeszcze jedną ściśle tajną filię. Na razie wracam do siebie, bo muszę się trochę zdrzemnąć, a potem jadę na Heathrow po Evelyn. Ona może okazać się kluczem do tego, czego szukam...

— Robert Newman to nasz jedyny ślad w dochodzeniu w sprawie zabójstwa Sandry Riverton.

Główny inspektor Roy Buchanan wypowiedział te słowa do Tweeda w jego biurze przy Park Crescent. Wyrażał się dyplomatycznie, nie ujawniając swoich podejrzeń. Miał sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, był człowiekiem po czterdziestce, bardzo opanowanym,

o czujnych szarych oczach. Usiadł w fotelu, zajmowanym dopiero co przez Newmana, i założył nogę na nogę.

— Co pana do mnie sprowadza? — zapytał Tweed życzliwie.

Monika wpatrywała się zafascynowana w obu mężczyzn. Pod pozorem zwyczajnej rozmowy rozgrywał się pojedynek dwóch wytrawnych, wnikliwych umysłów. Buchanan starał się utrzymać w równowadze na kolanach filiżankę, którą podała mu Monika. Zanim odpowiedział, wypił łyk kawy.

Siedzący na krześle sierżant Warden, pomocnik Buchanana, kilka lat młodszy od swego szefa, przyglądał się w milczeniu, a jego gładko ogolona twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Wcześniej Tweed polecił mu, aby schował do kieszeni notes.

— Nie będzie pan tu niczego notował, chyba że o to poproszę — poinformował

Buchanana przyjacielskim tonem.

— Kazałem śledzić Newmana — odezwał się wreszcie Buchanan. — Przyjechał

tutaj z Southwold. Twierdził, że wraca do mieszkania w South Kensington.

Pewnie kierował się dyskrecją, nie wspominając o swej wizycie w spółce ubezpieczeniowej „General i Cumbria”. — Uśmiechnął się przelotnie, powtarzając wygrawerowaną na tablicy przy wejściu nazwę firmy, za parawanem której działał wydział SIS.

„W normalnych warunkach nigdy by ci się nie udało śledzić Newmana” —

pomyślał Tweed. Tak, ale Newman był w stanie szoku, a w dodatku po nie przespanej nocy.

— Skoro więc już pan tu jest, czym mogę służyć? — dopytywał się Tweed.

— Zabójstwo Sandry Riverton miało w sobie coś makabrycznego. — Buchanan przerwał na chwilę. Trzymał ręce w kieszeniach spodni i był zupełnie rozluźniony. — Nie wiem, czy Newman panu

o tym wspomniał. Ofiarę powieszono w starej dzwonnicy. Wygląda mi to na akt osobistej zemsty albo też demonstrację, która ma' — jak mówią Francuzi —

zachęcić innych do współpracy.

— Doprawdy? — Tweed wydawał się tym mało zainteresowany. — A kim mogą być ci inni?

— Sam chciałbym to wiedzieć... zakładając, oczywiście, że się nie mylę. —

Buchanan zamilkł po raz drugi. Tweed zaczął przypuszczać, że on celowo wprowadza przerwy, aby uwydatnić to, co potem powie. — Newman poinformował mnie, że Riverton pracował ostatnio w korporacji INCUBUS.

Zdaje się, że ta firma wykupuje pół Europy...

Była to jakby uwaga na marginesie, ale Tweed wątpił, czy ten facet ze Scotland Yardu mówił cokolwiek bez konkretnego celu. Nie odzywał się, zmuszając Buchanana, by kontynuował.

— Dziwnym zbiegiem okoliczności Franklin D. Hauser, naczelny dyrektor korporacji INCUBUS, ma swą angielską rezydencję w dworku odległym o dwa kilometry od dzwonnicy.

— To zapewne czysty przypadek — zauważył Tweed. Jak sam pan powiedział.

— Złożyłem wizytę w dworku Livingstone, rezydencji Hausera. Typowy angielski lokaj, przedstawiciel starej szkoły, oznajmił mi, że Hauser jest za granicą. Zupełnie nie miał ochoty ujawnić, gdzie przebywa.

— Więc wyszedł pan, nie dowiedziawszy się tego? Tweed miał tak niewinny wyraz twarzy, że Monika podniosła rękę do ust, aby ukryć uśmiech.

— Bynajmniej. — Buchanan dopił kawę i podał Monice liliżankę. — Bardzo mi smakowała. Dziękuję. — Zwrócił się ponownie do Tweeda. — Powiedziałem mu, że prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa i że użyję innych sposobów, by odszukać jego pracodawcę. Ta uwaga zaniepokoiła lokaja. Przypomniał sobie wtedy, że Hauser jest w Finlandii.

— Nie powiedziałeś mu, że zlecono ci dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS. W ogóle o tym nie wspomniałeś — zauważyła Monika, gdy Buchanan i Warden opuścili ich po kilku jeszcze minutach rozmowy.

Do biura weszła właśnie Paula Grey, wspaniale zbudowana kobieta po trzydziestce, o kruczoczarnych włosach. Usiadła przy biurku, założyła nogę na nogę i przysłuchiwała się rozmowie. Była zafaną współpracowniczką Tweeda i często wyjeżdżała z nim w teren.

— Nie, Moniko, nie powiedziałem. — Tweed splótł dłonie na karku. — To sprawa SIS. Buchanan jest sprytny. Przyszedł tu powęszyć. Próbował sprawdzić, czy Newman powiedział mi coś, co pomogłoby mu w śledztwie.

— Ale Bob właśnie to zrobił! Powiedział nam, że Eda Rivertona, który był jednym z dyrektorów korporacji INCUBUS, wydobyto z wody w porcie w Helsinkach. — Monika wzdrygnęła się. — A przedtem ktoś go udusił.

— Na wypadek, gdybyście wszyscy zapomnieli: jeszcze tu jestem — wtrąciła się Paula. — To wszystko brzmi trochę ponuro. Czy ktoś może mi wyjaśnić, o co chodzi?

Tweed okręcił się w jej stronę na obrotowym fotelu i zrelacjonował pokrótce przebieg wydarzeń, wspominając także o nowym zadaniu, które otrzymał od pani premier, i o wizycie Newmana. Paula słuchała, wpatrując się w Tweeda i zapamiętując każdy szczegół.

— Kiedy zaczynasz tę dziwną współpracę z Waszyngtonem i Moskwą? — zapytała bez owijania w bawełnę.

— To okryte jest na razie tajemnicą. — Tweed rozłożył ręce w wymownym geście. — Nie wiem nawet, kto przyjedzie ze Stanów. Ma to być jeden człowiek, osobisty wysłannik prezydenta działający całkowicie samodzielnie. To samo z Moskwą. Prezydent Związku Sowieckiego sam wyznaczył kogoś, kto też ma działać na własną rękę. To najtajniejsza operacja, jaką kiedykolwiek obmyślono.

— A czas akcji?

— Także nieznany. Może za kilka tygodni albo miesięcy. Skontaktują się ze mną, kiedy przyjdzie pora. — Tweed się nachmurzył. — Cała ta sprawa wygląda tajemniczo. Ma w sobie coś niesamowitego.

— Bob Newman nie będzie czekał — zauważyła Paula. — Nie teraz, gdy w tak potworny sposób zamordowano jego dziewczynę. Będzie prowadził śledztwo na własną rękę.

— Co może się okazać dla nas bezcenne. Jest niezależny. Jeśli zdobędzie jakieś informacje i nam je dostarczy, możemy uzyskać przewagę, zanim jeszcze rozpocznie się walka.

— Pozwolisz, żebym mu pomogła? — zaproponowała Paula.

— Muszę się nad tym zastanowić. — Tweed wstał i zaczął przechadzać się po pokoju. — Powiedzmy sobie szczerze: on może nie chcieć żadnej pomocy. Wiesz, jaki jest. To samotny wilk. Dzięki temu zrobił karierę jako dziennikarz.

— Może zdołałabym go przekonać...

— Niekoniecznie — ostrzegł Tweed. — Jest w podłym nastroju. Zamordowano mu dziewczynę...

— Co może mieć związek z niemal równoczesnym zabójstwem jej męża w Helsinkach. — Paula nie dawała za wygraną. — Trudno tu już mówić o przypadkowym zbiegu okoliczności. Mąż i żona, oboje zatrudnieni ostatnio w korporacji INCUBUS, stają się w ciągu jednej doby ofiarami morderstwa. Co Bob teraz robi?

— Spotka się z siostrą Sandy, Evelyn, która przylatuje z Helsinek. Może posiadać istotne informacje, które naprowadzą go na jakiś ślad.

— Zadzwoń do Boba. — Paula sięgnęła do telefonu.

— Nie zrobisz tego. — Głos Tweeda brzmiał stanowczo. — Po pierwsze, musi się wyspać. Po drugie, to co zamierza, jest ryzykowne. Muszę się zastanowić, czy pozwolę ci z nim współpracować.

— Więc co mam robić? Siedzieć z założonymi rękami? Przeglądać znowu jakieś akta?

— Nic z tych rzeczy. — Tweed uśmiechnął się oschle. — Uporządkuj wszystko, co wiemy na temat Międzynarodowego Kontynentalnego Konsorcjum Bankowego Stanów Zjednoczonych. I zwróć szczególną uwagę na człowieka, który stworzył to monstrum: na Franklina D. Hausera.

Fińska centrala korporacji INCUBUS mieściła się w nowym dwudziestopiętrowym przeszklonym wieżowcu na zachodnich peryferiach Helsinek. Szkło miało ciemnobłękitną barwę i było nieprzezroczyste, aby nikt nie widział, co dzieje się wewnątrz silnie strzeżonego gmachu.

Franklin D. Hauser przemawiał do szefów firmy, zebranych w dużej sali konferencyjnej na najwyższym piętrze. Po obu stronach długiego drewnianego stołu siedziało za lśniącem blatem dziesięciu Amerykanów i jeden Anglik.

Hauser mówił do nich, przechadzając się powoli tam i z powrotem w głębi sali, obok swego pustego fotela.

— Ściągnąłem tu panów z całej Skandynawii, ponieważ niektórzy z was przylecieli niedawno ze Stanów, a ten niewielki, stary kontynent różni się od naszych rodzinnych stron. Nie oznacza to, że musicie zaczynać wszystko od nowa. Nie, panowie. Jesteśmy tu, żeby zapewnić korporacji INCUBUS trwałe miejsce w Europie i zrobimy to na sposób amerykański...

Przerwał, żeby napić się lodowato zimnej wody. Adam Carver — wysoki, szczupły, prawie czterdziestoletni Anglik, siedzący na obrotowym krześle na prawo od pustego fotela — obserwował występ szefa ze skrywanym rozbawieniem.

Hauser — wysoki, zwalisty mężczyzna po pięćdziesiątce — miał na sobie typowy ubiór amerykańskiego biznesmena: popielaty garnitur, świeżo wykrochmaloną białą koszulę z zapinanym na guziczki kołnierzykiem i krawat w ukośne pasy.

Nawet twarz Hausera była typowa: pulchna, dokładnie ogolona, różowa i gładka jak u niemowlęcia. Jedyne zimne jak lód niebieskie oczy zdradzały bezwzględny charakter tego człowieka. „Jest dziś w wyjątkowo sielankowym nastroju —

pomyślał Carver. — Jakbym słyszał własny tekst” — dumał, podczas gdy Hauser ciągnął dalej:

— Najpierw chciałbym jednak powiedzieć parę słów o sobie. Mam posiadłość w Arizonie, w okolicach Phoenix — szesnaście hektarów ziemi i piękny dom. Mam apartament na Piątej Alei w Nowym Jorku. Mam dworek z ośmioma hektarami gruntu w Suffolk w Wielkiej Brytanii. Czy waszym zdaniem człowiek potrzebuje czegoś więcej?

„Tylko żony już nie masz — pomyślał Carver. — Uciekła z jakimś aktorem młodszym od ciebie”.

— Po co więc powiększam firmę, zamiast dać sobie spokój i spędzać czas na pogawędkach? — Hauser zdjął marynarkę i powiesił ją starannie na oparciu fotela.

Stał nieruchomo, z rękami splecionymi na potężnej klatce piersiowej. Promienie słońca, odbite od śniegu za oknami, migotały w dużych szklach eleganckich okularów bez oprawek, które spoczywały na grzbiecie jego wydatnego nosa.

Dyrektorzy siedzieli sztywno w fotelach i wpatrywali się w Hausera, starając się sprawić wrażenie, że słuchają uważnie każdego słowa. Nie było wśród nich nikogo, kto przepychając się do obecnego stanowiska nie deptał po trupach rywali. Jeden niewłaściwy ruch i cały wysiłek na nic. Odpada się z gry.

— OK, powiem panom dlaczego — kontynuował Hauser, obdarzając ich swoim słynnym uśmiechem.
— Robię to dla was, abyście pewnego dnia mieli to co ja.

Będziecie jednak musieli temu celowi poświęcić wszystko. — Ton jego głosu uległ zmianie, był teraz ostrzejszy. — Skoro INCUBUS ma się stać największą organizacją w Europie, będziecie musieli harować dwadzieścia pięć godzin na dobę. O firmie trzeba myśleć nawet we śnie. Wprowadzenie Europy w XXI wiek będzie wymagało ogromnej pracy. Wy ją wykonacie. Później jeszcze z wami porozmawiam, a tymczasem zjedziecie na piąty poziom i pozostaniecie tam, dopóki nie obmyślicie planu infiltracji Finlandii. Musicie być zręczni, przebiegli i sprytni. Słyszałem, jak w restauracji „Palace” pewien fiński biznesmen mówił:

„Nadchodzą ci cholerni jankesi”. Ma nieaktualne informacje. Oni już tu są!

Opracujcie plan przekształcenia tego niewielkiego kraju w główną bazę naszej operacji...

Mówił ostro, zdecydowanie. Zdjął okulary, po czym, włożywszy je sobie głębiej na nos, spojrzał na słuchaczy.

— Piąty poziom. OK, zabierajcie się do pracy. Chyba że są jakieś pytania? —

Dokończył to zdanie zwodniczo łagodnym tonem.

Nie było pytań. Siedzący wokół stołu twardzi faceci nie popełniliby tego błędu.

Otrzymali rozkaz. Carver przyglądał się, jak zabierają swoje teczki i kolejno wychodzą z sali. Ciężka dłoń Hausera spoczęła nagle na jego ramieniu.

— Ty zostań. Porozmawiamy. Zjedziesz tam później i trochę ich popędzisz.

Dwanaście godzin spędzonych na piątym poziomie pomoże im się skoncentrować, nie uważasz?

Carver przytaknął. Piąty poziom znajdował się pod ziemią. Nie było tam okien, przez które dochodziłoby dzienne światło. Labirynt pokoi i korytarzy wyglądał

równie zachęcająco jak więzienie śledcze na Łubiance w Moskwie.

Hauser wtulił w fotel swe potężne ciało i zapatrzył się w przestrzeń. Rodzice nadali mu imię na cześć Franklina D. Roosevelta. Starał się usilnie, by wyglądać równie dobrotliwie. Rozbrajało to jego przeciwników i robiło wrażenie na ludziach z zewnątrz.

— Marzy mi się, Adamie...

Zamilkł, a Carver pomyślał, że w tych wzruszających słowach Martina Luthera Kinga pobrzmiewa jakiś inny sens. Czekał czując, że szef jest w refleksyjnym nastroju.

— Marzy mi się — powtórzył Hauser — wizja ojczyzny obejmującej cały świat, od amerykańskich wybrzeży Pacyfiku po Ural. Ten politykier Gorbaczow to amator, prowincjonalny prostak, któremu wydaje się, że zrobił coś wielkiego.

Mówi o europejskim domu od Atlantyku do Uralu. Moja wizja jest większa niż jego. Przejmiemy Europę i Związek Sowiecki, Adamie. „Drakon” opracowuje już strategię. — Rzucił okiem na Carvera. — Frank Galvone zastąpi Eda Rivertona.

Hauser włożył papierosa do cygarniczki z kości słoniowej i zapalił go. Carver —

przystojny mężczyzna, za którym przepadały kobiety — nie odezwał się ani słowem. Nie zareagował na zaczepkę. Hauser uważał, że chcąc zmusić członków zarządu do wydajnej pracy, trzeba ich na siebie napuszczać, zasugerować od czasu do czasu, iż ktoś chce zająć ich stanowisko. Dlatego wspomniał o Franku Galvone.

— Przykra sprawa z tym wypadkiem Rivertona — ciągnął dalej Hauser. —

Będzie nam Eda brakowało.

— Ten Fin, Mauno Sarin — którym, zgodnie z pana poleceniem, zająłem się podczas jego wizyty w firmie — mówił, że Ed został uduszony, nim ktoś wrzucił

go do basenu w porcie — zauważył Carver.

— A więc zbrodnia podnosi swój ohydny łeb w starej, małej Finlandii. —

Hauser zaciągnął się dymem. — To koszty rosnącego dobrobytu. Kiedyś w tych leśnych ostępach przestępstwa zdarzały się co najwyżej w rodzinie. Zazdrosny mąż rzucał się z siekierą na żonę. Niekiedy żona na męża. Czasy się zmieniają.

Zaspokoiliś ciekawość tego Sarina? — zapytał jakby od niechcenia.

— Jest szefem Policyjnych Sił Bezpieczeństwa, dziwne więc, że właśnie on się tu zjawiał. Oni są od polityki. To niewielka jednostka. Czterdziestu ludzi, może trochę więcej.

— Dowiedział się tego, czego chciał?

— Spławiłem go. Na razie. Miałem wrażenie, że może wrócić. Nie należy go lekceważyć. Sarin jest równie cyniczny co bystry.

— Więc jeśli wróci, przyjmij go znowu. Zabierz go na obiad, wiew w niego morze szampana, a przy okazji wspomnij, że przyjaźnię się z prezydentem Finlandii.

Gdyby to nie pomogło, zaproponuj mu dobry wóz. Załatw sprawę w amerykańskim stylu.

— Z Sarinem to się nie uda. Jest nieprzekupny.

— Adamie — Hauser położył Carverowi dłoń na ramieniu — nie ma ludzi nieprzekupnych. W niektórych przypadkach trzeba tylko dokładniej posmarować. A propos: Evelyn Lennox rzuciła pracę. Odeszła. Kazałem ludziom jechać za nią na lotnisko. Poleciała do Londynu. „Uno” ma jej adres. Odwiedź ją za kilka dni. Do tego czasu wpadną do niej ludzie z naszej firmy ubezpieczeniowej „Braterstwo i Równość”. Zaproponują jej hojne uposażenie.

Oczywiście na zwykłych warunkach.

— Kto do niej pojedzie?

— Papa Grimwood z obstawą.

— Więc po co ja mam ją odwiedzać?

— Dla pewności. — Hauser wysunął do przodu swą wydatną szczękę. Carver rozpoznał ten grymas: był zapożyczony od Roosevelt-ta. — Masz się upewnić, czy przyjęła pieniądze... i warunki. Wykonywała bardzo odpowiedzialną pracę. —

Raz jeszcze promiennie się uśmiechnął. — Nie bez powodu, Adamie, nazywają cię czarodziejem. Będzie ci ją dła z ręki.

— Co porabia teraz Frank? — zapytał Carver. — Od dość dawna go tu nie widuję. Zwykle spędzał większość czasu w Finlandii.

— Zaskakujesz mnie. — Hauser powiedział to łagodnym tonem, ale jego ciemne, gęste brwi groźnie się uniosły. — Zadajesz pytania wykraczające poza zakres twojej działalności. I to tuż po powrocie. Frank Galvone pracuje nadal dla

„Drakona” pod Bostonem — ponownie się uśmiechnął — ale jeśli za nim tęsknisz, może wkrótce się tu zjawić. Czas, żebyście nauczyli się ze sobą współpracować. A teraz będziesz pewnie chciał sprawdzić w „Uno” adres panny Lennox. — Otworzył spoczywający na kolanie neseser i wyjął z niego plastikową kartę. — To nowa kombinacja. Oddaj mi ją jak najszybciej.

Należało się odmeldować. Carver wziął kartę, skinął głową, wyszedł z sali i skierował się do windy. „Uno” był to umieszczony w podziemiach centralny komputer. Rejestrował wszelkie dane na temat dawnych i obecnych pracowników korporacji INCUBUS. Carver był rad, że Mauno Sarin nie wie o jego istnieniu. Miał też nadzieję, że Papa Grimwood obejdzie się delikatnie z panną Lennox — o ile w ogóle ten typ rozumiał znaczenie słowa „delikatność”.

Evelyn Lennox sprawdziła połączenia z Londynem i stwierdziła, że jeśli się pospieszy, zdąży akurat na bezpośredni lot Finnair. Spakowawszy walizkę spojrzała na telefon, a potem na zegarek. Nie było czasu, żeby zadzwonić do Newmana. Spóźniłaby się na samolot. Na ulicy zatrzymała taksówkę.

— Proszę na lotnisko. Szybko. Jestem już spóźniona.

Była tak przejęta tym, by zdążyć na samolot, że nie zwróciła uwagi na szczupłą dziewczynę o bladej twarzy i orlim nosie, która uruchomiła silnik swego saaba i ruszyła za taksówką. Gdy Evelyn kupowała bilet lotniczy do Londynu, stała tuż za nią.

Evelyn siedziała półprzytomna na pokładzie samolotu, który wzbił się w niebo i skierował nad Zatokę Fińską. Wcześniej, pomimo ostrzeżenia Newmana, zadzwoniła do centrali korporacji INCUBUS, zostawiając dla szefa krótką wiadomość, że wyjeżdża do Anglii.

Evelyn w odróżnieniu od swej siostry, Sandy, była wysoka i rudowłosa. Miała na sobie ciemnoniebieski żakiet z gabardyny i białą bluzkę, kożuch wcisnęła do komory bagażowej nad głową. Wyglądając w dół przez okno widziała zamarznięty Bałtyk, który przypominał pole lodowe. Na Boga, miała już dość ujemnych temperatur i tego, że słońce wschodziło o dziesiątej rano, a zachodziło o drugiej po południu. Nieustanny niemal mrok źle na człowieka wpływał, powodował ciągłą depresję.

Wkrótce twardo usnęła. Była wykończona. Tak wiele przeżyła — straszna śmierć Eda Rivertona, konieczność zidentyfikowania ciała w kostnicy i jeszcze wiadomości, które przekazał jej Bob Newman. Obudziła się, gdy maszyna nagle szarpnęła.

Wyjrzawszy przez okno stwierdziła ze zdumieniem, że jest już na Heathrow.

Przespała prawie trzy godziny. Odetchnęła z ulgą, kiedy samolot kołował po płycie lotniska. Żadnego lodu ani śniegu. Cóż z tego, że niebo było posępne i szare, ale dzień potrwa jeszcze przez wiele godzin...

Szła z walizką do czekającej taksówki.

— To jest ta Lennox, Steve — oznajmił Papa Grimwood, spoglądając na fotografię, którą dostał w londyńskiej centrali korporacji INCUBUS w dzielnicy West End. Mieli tam w aktach szczegółowe dane na temat całego brytyjskiego personelu.

— Muszę zabrać wóz z parkingu — przypomniał mu Steve.

— A więc wszystko jest idealnie zgrane w czasie. Mamy jej adres w Wandsworth. Zjawimy się tam w kwadrans po niej. Doskonały moment. Będzie trochę oszołomiona po podróży. I bardzo podatna na nasze metody perswazji.

Evelyn poprosiła taksówkarza, by zatrzymał się przy niewielkim supermarkecie koło jej domu. Kupiła najpotrzebniejsze produkty — herbatę i coś do zjedzenia.

Ominął ją posiłek w samolocie. W sypialni otworzyła wieko walizki i wróciła na dół, żeby zrobić sobie filiżankę herbaty. Kilka minut później ktoś zadzwonił do drzwi. Zdziwiła się. Nikt nie wiedział o jej powrocie. To pewnie jakiś komiwojażer. Otworzywszy drzwi ujrzała wyglądającą groteskowo parę.

— Pani Evelyn Lennox?

Przed progiem stał człowiek robiący wrażenie karła. Miał rumianą, pooraną zmarszczkami twarz, a jego nos i podbródek przypominały kształtem dziadka do orzechów. Stał pochylony jak garbus. Trudno było określić jego wiek — gdzieś między czterdziestką a sześćdziesiątką. W ręku trzymał filcowy kapelusz. Pod rozpiętym deszczowcem miał na sobie nową sportową marynarkę i szare flanelowe spodnie. Jego rozbiegane oczy myszkowały po kątach. Przyjrzał się bacznie widocznym spod krótkiej spódnicy nogom Evelyn.

— Czego panowie chcecie? — zapytała. Była bardzo zmęczona podróżą.

— Firma „Braterstwo i Równość”... — Towarzyszący karłowi mężczyzna pokazał jej wydrukowaną wizytówkę, trzymając ją w zaciśniętej dłoni. — Chcemy ubezpieczyć panią na życie.

— To Steve — przedstawił go karzeł. — A ja jestem Papa Grimwood, wyższy urzędnik tej spółki. Jeśli pozwoli nam pani wejść i poświęci kilka minut na rozmowę, na pewno pani tego nie pożałuje.

Zawahała się. Steve miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był mocno zbudowany, a jego gładko ogolona blada twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Grimwood przymilnie się uśmiechał. Evelyn słyszała już kiedyś o tym towarzystwie ubezpieczeń, które podlegało korporacji INCUBUS.

Grimwood zrobił krok naprzód.

— Spisujemy umowy ze wszystkimi byłymi pracownikami. — Wciąż się uśmiechał. — Chodzi o finansowe zabezpieczenie. Na całe życie.

— Z którymi byłymi pracownikami?

— Korporacji INCUBUS. — Grimwood zniżył głos i Evelyn odniosła wrażenie, że niechętnie udzielił tej informacji. Była zbyt zmęczona, by się sprzeciwić, poprosiła ich więc do salonu. Zaczekali, aż usiądzie, i dopiero wtedy Grimwood przysunął fotel bliżej dziewczyny i sam się w nim usadowił. Steve wybrał miejsce z drugiej strony, musiała więc odwracać głowę, aby go widzieć.

— Przede wszystkim bylibyśmy wdzięczni, gdyby zechciała pani podpisać ten dokument. To tylko drobna formalność — zapewnił ją Grimwood tonem Uriasza Heepa. — Wówczas będzie pani otrzymywać wypłatę od firmy „Braterstwo i Równość”. Pięćset funtów tygodniowo w gotówce. Dożywotnio.

— Nie podpisuję żadnych dokumentów, dopóki nie sprawdzi ich mój adwokat.

Wypowiadając te słowa dokonywała w myślach obliczeń. Pięćset funtów tygodniowo to dwadzieścia pięć tysięcy rocznie. Grimwood nachylił się ku niej.

Jego akcent stanowił szczególną mieszankę gwary londyńskiej i wymowy Amerykanów ze środkowego wybrzeża Atlantyku. Może mieszkał jakiś czas w Stanach.

— Oczywiście, są pewne warunki — kontynuował Grimwood, puszczając mimo uszu jej uwagę. — Zobowiąże się pani nigdy i z nikim nie rozmawiać o swojej poprzedniej pracy. Nigdy — powtórzył. — I z nikim. Ani mru, mru.

Evelyn piła dalej herbatę. Nie miała najmniejszego zamiaru częstować czymkolwiek tych facetów. Odstawiła filiżankę i założyła nogę na nogę, splatając dłonie na kolanach.

— A gdybym tak coś komuś powiedziała?

— Och, mój skarbie... — Grimwood ze smutkiem pokręcił głową.

— Nie jestem pańskim skarbem — warknęła Evelyn.

— Najmocniej przepraszam. Jak już wspomniałem, nie służyłoby to z pewnością pani interesom. — Grimwood jeszcze raz pokręcił głową. — Mój Boże, na pewno nie. Natychmiast by pani straciła bardzo hojne uposażenie.

— I byłby to najmniejszy z pani problemów.

Steve odezwał się po raz pierwszy, odkąd weszli do jej mieszkania. W szorstkich słowach pobrzmiwał ton groźby. Evelyn odwróciła się w jego kierunku.

— Co to znaczy?

Steve rozłożył potężne ramiona. Evelyn przemknęło przez myśl, że ma dłonie dusiciela. Wstał i zbliżywszy się oparł je o poręczę jej fotela.

— Tylko paru ludzi popełniło ten błąd. Nie chcieli milczeć. Nie wyszło im to na zdrowie. Pewien człowiek zginął na przykład w wypadku samochodowym.

Towarzystwo „Braterstwo i Równość” zawsze bardzo się interesuje zdrowiem swoich klientów.

Jak na swą posturę miał dziwnie cichy, świszczący głos. Gdy wrócił na swój fotel, Evelyn zapytała:

— Grozi mi pan?

Bała się, ale zarazem była wściekła, a jej umysł funkcjonował już teraz normalnie. Ci ludzie zjawili się zaskakująco szybko. Musiało to mieć jakiś związek z wydarzeniami w Helsinkach. Zaczęła myśleć znowu o zabójstwie szwagra.

— Wielkie nieba! — Grimwood pochylił się ku niej jeszcze bardziej. — Papę martwi to, co pani powiedziała. Steve przypomniał tylko pewną historyjkę.

Proszę podpisać ten dokument i o wszystkim zapomnieć. Niech pani pomyśli raczej o pięciuset funtach w gotówce, które będzie pani otrzymywała co tydzień specjalną przesyłką. Do końca życia...

Przerwał, gdyż przy drzwiach rozległ się dzwonek. Evelyn powoli wstała i zaczęła iść w kierunku drzwi salonu. Grimwood powiedział szybko:

— Niech pani splawi tego kogoś, kimkolwiek jest. Ma pani jedyną szansę dostać pieniądze, za które większość ludzi oddałaby rękę i nogę... Evelyn już nie słuchała. Szła przez hall do frontowych drzwi.

Newman zwolnił, zbliżając się do numeru 495 przy Greenway Gardens w Wandsworth. Pomyślał, że ulica ma wyjątkowo nieadekwatną nazwę — z obu stron okalały ją przylegające do siebie wiktoriańskie domy. Wykuszowe okna na parterze i pierwszym piętrze, za ogrodzeniem od frontu miniaturowe ogródki, wszystko całkowicie pozbawione zieleni. Zaparkował parę domów wcześniej, resztę drogi przebył na piechotę, pchnął okratowaną, świeżo pomalowaną na czarno furtkę i rzuciwszy okiem na gęste firanki, szczelnie zasłaniające wykuszowe okna, wszedł na wyłożoną kafelkami posadzkę ganku i nacisnął

dzwonek.

Górna połowa frontowych drzwi zrobiona była z barwionego szkła, co jeszcze bardziej podkreślało jakby klasztorną atmosferę pustej ulicy. Nie minęło dziesięć sekund, a za szybą pojawiła się sylwetka nadchodzącej kobiety. Otworzyły się drzwi i Newman zobaczył Evelyn, stojącą na tle długiego hallu.

Uśmiechnął się, lecz zaraz potem zmarszczył brwi, widząc, że dziewczyna wita go z mieszanymi uczuciami. Jej twarz wyrażała kolejno zaskoczenie, strach i niewymowną ulgę. Położyła palec na ustach.

— Jakieś kłopoty? — zapytał szeptem.

Przytaknęła, gestem zapraszając go do środka. Newman miał na sobie przewiązany paskiem trenz w wojskowym stylu, z szerokimi klapami i podniesionym do góry kołnierzem. Przechodząc przez próg wsunął do kieszeni rękawiczki. Evelyn zamknęła za nim drzwi.

— Dwóch ludzi — szepnęła w odpowiedzi. — Z firmy ubezpieczeniowej korporacji INCUBUS. Wysoki, Steve, próbował mnie zastraszyć, żebym podpisała jakiś dokument.

— Przyjrzyjmy się im — zaproponował Newman.

Wprowadziła go do salonu, którego okna wychodziły na ulicę od frontu. W niszy stała duża kanapa. Meble obite były perkalem, a na ścianach w kolorze blad różowym wisały oprawione w ramy akwarelowe pejzaże. Newman objął to wszystko jednym spojrzeniem wprawnych oczu reportera. Stał na środku pokoju, przyglądając się obu mężczyznom.

Przygarbiony karzeł nie ruszył się z fotela, obserwując przybysza. Wysoki, masywny brunet o zrośniętych krzaczastych brwiach wstał, kołysząc się na wielkich stopach. Był gotowy do walki. Evelyn wskazała ręką w ich kierunku.

— Bob, ci dwaj panowie są z towarzystwa ubezpieczeniowego „Braterstwo i Równość”. To pan Grimwood — nazywają go podobno Papą. To jest Steve — nie podał mi nazwiska. A to Robert Newman.

— O! — Grimwood z przymilnym uśmiechem podniósł się powoli i wyciągnął

rękę. — Pan Robert Newman, ten słynny dziennikarz! Znam pana ze zdjęć w gazetach. Miło mi pana poznać.

Newman nie zwracał uwagi na jego wyciągniętą dłoń. Zobaczywszy, że Steve sięga prawą ręką pod klapę zapiętej marynarki, ruszył nagle z miejsca, robiąc trzy kroki do przodu. Steve coś z zadrza wyjmował. Newman uniósł prawą dłoń, by odwrócić jego uwagę, odrywając równocześnie od ziemi prawą nogę i kopiąc nią Steve'a z całej siły w kolano. Wysoki mężczyzna krzyknął i zwinął się z bólu. Newman przytrzymał mu rękę, wbijając paznokcie w grzbiet jego dłoni.

Steve jęknął, a Newman wyrwał mu broń, odskoczył i spojrzał na Evelyn.

— Walther PP kalibru 7,65 mm. Automatyczny. Kim są ci ludzie?

— Pracują w firmie „Braterstwo i Równość”. To towarzystwo ubezpieczeniowe podlegające korporacji INCUBUS.

— Naprawdę? — Newman położył sobie na dłoni automatyczny pistolet. — Czy to nowy sposób sprzedaży polis? — zapytał karła.

— Muszę najmocniej pana przeprosić. — Grimwood obrzucił jadowitym spojrzeniem Steve'a, który, nadal zgięty wpół, trzymał się za kolano. — Mój współpracownik bywa impulsywny. Pewnie się obawiał, że go pan zaatakuję...

— Niech pan odpowie na pytanie, do cholery! Czy to nowy sposób sprzedaży polis?

— Właśnie miałem to wyjaśnić. Widzi pan, noszę często spore sumy pieniędzy i potrzebuję ochrony. Zwłaszcza w tych brutalnych czasach. Jeśli czytuje pan gazety...

— Nie mówmy o gazetach. Evelyn, co się zdarzyło, zanim przyjechałem?

— Próbowali mnie zmusić, żebym podpisała ten dokument...

Grimwood rzucił się na gruby plik zadrukowanych kartek, ale Newman miał je już w ręku.

— Ejże! Proszę mi ich nie wrywać. To nieładnie. Agent ubezpieczeniowy nigdy nie powinien się tak zachowywać.

— Nie jestem agentem... — zaskamlał Grimwood.

— I jak na razie przemoc stosuje tylko pański przyjaciel, przepraszam —

współpracownik, Steve. Ciekawe, czy ma pozwolenie na broń? Może zainteresowałoby to policję? Ale zacznijmy od początku. — Zwrócił się do Evelyn. — Co to za dokument, na którego podpisaniu tak bardzo tym panom zależy?

— To własność firmy... — Grimwood dźwignął swe pokraczne ciało z fotela, zupełnie zmieniając ton. — Zmuszony jestem pana prosić o zwrot tych papierów.

— A ja zmuszony jestem prosić, żeby pan zamknął swoją gadatliwą gębę.

Zadałem pytanie mojej przyjaciółce.

— Chodzi o intratne, dożywotnie uposażenie... — nie zrażał się Grimwood.

— Na określonych warunkach — rzuciła ostro Evelyn.

— Właśnie widzę. — Newman przeglądał pobieżnie drugą stronę, która — podobnie jak pierwsza — zawierała jedno zastrzeżenie za drugim. Przeczytał

fragment na głos: — „Gdyby w przyszłości Wyżej wymieniony świadczeniobiorca wyjawiał komukolwiek informacje na temat poufnej pracy, jaką wykonywał na rzecz korporacji INCUBUS, utraci na zawsze wszelkie możliwości dochodzenia praw do przyznanego z tytułu niniejszej umowy uposażenia...” Newman złożył dokument i wsadziwszy go do kieszeni spojrzał na Grimwooda.

— To dla mnie coś nowego. Moim zdaniem nie jesteście zbyt uczciwi.

— Poza tym on mi groził — wtrąciła Evelyn, wskazując na Steve'a, który siedział zagłębiony w fotelu, trzymając się za kolano i łypiąc okiem na Newmana. — Mówił, że jeżeli odmówię podpisu, nie wyjdzie mi to na zdrowie. Wspomniał też o jakimś byłym pracowniku firmy, który poniósł śmierć w wypadku samochodowym...

— Steve nie dokończył tej historii — powiedział Grimwood płaczliwym tonem.

— Kiedy tamten człowiek umarł, wypłaciliśmy okrągłą sumkę jego...

— Nie wątpię — stwierdził z przekąsem Newman. Nagle ton jego głosu uległ zmianie. — Wynoście się stąd! Obydwaj. I to natychmiast!

— Moje kolano... — zaczął Steve.

— Pomogę ci — zapewnił go Newman życzliwie. - Otwórz frontowe drzwi, Evelyn. — Chwycił Steve'a za kark i zawlókł do wyjścia, na poły niosąc go w powietrzu, na poły ciągnąc. Potem cisnął nim z całej siły. Steve wyłożył się na chodniku, a Grimwood pospiesznie przemknął przez hall.

— Złożymy skargę! To jest akt przemocy!

Newman wyjął z kieszeni automatycznego walthera i pokazał mu pistolet na wyciągniętej dłoni. Kiedy Grimwood sięgnął po broń, zacisnął palce. Skinął

głową w kierunku drzwi i rzekł:

— Zjeżdżaj. I nie waż się tu wrócić.

Gdy Evelyn zamknęła frontowe drzwi na klucz, Newman szybko wrócił do salonu. Stał przy wykuszowym oknie i wyjrzał zza firanek. Grimwood podtrzymywał Steve'a, który zdążył się już pozbierać, i szli teraz razem wzdłuż Greenway Gardens.

Kiedy minęli dom, obserwował ich, stojąc we wnętrzu. O cztery posesje dalej stał

zaparkowany na ulicy duży szary Volkswagen, mikrobus. Grimwood zatrzymał

się przy wozie, wyjął kluczyki, otworzył go i pomógł Steve'owi wejść do środka.

Potem wśliznął się za kierownicę, zatrzasnął drzwiczki, uruchomił silnik i powoli ruszył.

— Odjechali. — Newman odwrócił się do Evelyn, która stała obok blada jak ściana. Wyglądała teraz jeszcze atrakcyjniej. Pomalowane czerwoną szminką usta rysowały się wyrazistą kreską na kształtnej twarzy, zwężającej się u dołu w ostry, foremny podbródek. Jej gęste rude włosy spływały na ramiona, a szare oczy wpatrywały się w Newmana. Miała poważny wyraz twarzy, tak bardzo odmienny od Sandy.

— Wypiłabym łyk brandy — powiedziała. — A ty, Bob?

— Nic z tego. Tylko gorąca herbata z odrobiną cukru. Jesteś w stanie lekkiego szoku. Trudno się dziwić. Żadnego alkoholu.

— Masz rację. Chodź ze mną do kuchni. Zrobię herbatę...

Kuchnia znajdowała się z tyłu domu, a jej okna wychodziły na maleńki ogródek z kiepską ziemią i porośniętym mchem trawnikiem. Było to podłużne pomieszczenie jak na statku, wyposażone w nowoczesny sprzęt i dobrze rozplanowane. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Newman, gdy Evelyn szykowała herbatę. Usadowił się na taborecie, a potem zapytał:

— Zignorowałaś moje ostrzeżenie, prawda? Przed wyjazdem z Helsinek zadzwoniłaś do korporacji INCUBUS. A do mnie nie.

— Zwykle postępuję dość rozsądnie, lecz wpadłam w panikę — przyznała. —

Przed odlotem nie zdążyłam zatelefonować do ciebie, ale czułam, że muszę zadzwonić do firmy. Nie mogłam tak po prostu zniknąć po trzech latach pracy dla nich. Tak przynajmniej wtedy uważałam. Teraz myślę, że mogą się wypchać...

Opowiedziała mu pokrótce, co się wydarzyło po jej przyjeździe do domu.

Dopiero gdy wrócili do salonu, zapytała, napełniając filiżanki:

— Jak zginęła Sandy?

— Napij się herbaty. — Siedziała na kanapie obok Newmana. Zaczekał, aż odstawi filiżankę i spodek. — Zabójstwo Sandy to wstrząsająca sprawa. Później poznasz szczegóły... — Chwyła go za rękę, chcąc zaprotestować, był jednak nieugięty. — Powiedziałem: później. Co to za historia z poufny charakterem twojej pracy w Finlandii, że zacytuję ten dokument? — Wyciągnął z kieszeni plik kartek.

Newman wiedział dokładnie, co robi. Wiedział, że postępuje bezlitośnie, ale zdecydowany był wydobyć z niej informacje, póki znajdowała się w stanie szoku.

Niedawne doświadczenia nastawiły ją wrogo do poprzedniego pracodawcy i mogła teraz mówić bardziej otwarcie.

Evelyn dołała im obojgu herbaty. Newman milczał. Czekał, aż dziewczyna zdecyduje się mówić. Opróżniwszy do połowy filiżankę odstawiła ją, odwróciła się twarzą ku niemu i wspierając na dłoni podbródek opowiedziała dziwną historię.

— Wspominałam ci już, kiedy jadłeś ze mną i z Edem obiad w jego mieszkaniu w Helsinkach, że z wykształcenia jestem psychologiem — tak jak Sandy.

Pracowałam w wydziale, który w korporacji INCUBUS nosił nazwę Biogramy —

Sekcja Badań Psychologicznych, czyli BSBP. Amerykanie uwielbiają skróty.

Kluczowe słowo to „biogramy”. Pozwól, że dam ci przykład. Pewien Fin miał

firmę elektroniczną w Turku, drugim co do wielkości mieście Finlandii. To nadbałtycki port, do którego przyplływają statki ze Szwecji. Działalność firmy okryta była tajemnicą. Podkreślano to od samego początku.

— Co było w niej takiego szczególnego?

— Kontrolowane przez korporację INCUBUS fińskie przedsiębiorstwo —

spółka INCUBUS Oy., czyli z ograniczoną odpowiedzialnością — starało się potajemnie przejąć firmę za pośrednictwem innego towarzystwa. Większość jej eksportu trafia do Rosji. Zakład wytwarza sprzęt o zaawansowanej technologii.

Pracują tam ambitni szwedzcy naukowcy. Właścicielem całej firmy był niejaki Timo Metsola. Polecono mi sporządzić jego pełne dossier.

— Jakiego rodzaju?

— Z położeniem nacisku na cechy charakteru. — Wpatrywała się w przestrzeń, mówiąc tak, jakby recytowała wyuczoną lekcję. —

Chodzi o zbadanie mocnych stron danej osoby: siły woli, fizycznej odporności na stres, reakcji na silną presję. Ustala się także jej słabości: skłonność do alkoholu, narkotyków, wszelkie dolegliwości

zdrowotne, jak cukrzyca, czy fobie, jak lęk wysokości, strach przed utonięciem, niechęć do latania i tak dalej.

— Tajemnicza sprawa — zauważył Newman. — Nie odniosłaś wrażenia, że stosują dziwne metody?

— Z czasem tak. W końcu zaczęłam się niepokoić, a potem bać. Mówiono mi, że potrzebują tych danych dla Sekcji Medycznej — INCUBUS dysponuje, między innymi, wieloma własnymi laboratoriami farmaceutycznymi. Charakterystyki wybitnych osób, które wiele w życiu osiągnęły, miały podobno dostarczać danych do opracowywania nowych leków. Po zdobyciu informacji na temat Tima Metsoli zaczęłam przypuszczać, że to wszystko jest mydleniem oczu, że biogramy służą jakimś podejrzanym celom.

— Dlaczego?

— Ponieważ dowiedziałam się przypadkiem, że INCUBUS próbuje przejąć jego firmę. I dokładnie to samo zdarzyło się z innym przemysłowcem, którego biogram kazano mi opracować.

— Jak, u licha, zdobywałaś informacje? Rozumiem, jesteś psychologiem, ale podaj mi jakieś szczegóły.

— Posługiwałam się podstępem, kłamstwem i oszustwem. Wtedy to zaczęłam zadawać sobie pytanie, co ja właściwie robię. Dać ci przykład? Do korporacji INCUBUS należy liczące się amerykańskie czasopismo dla ludzi biznesu, które nosi tytuł „Przywódcy Ludzkości”. Jedną z jego stałych pozycji jest prezentowanie sylwetki jakiegoś czołowego biznesmena z dowolnego rejonu świata. Idąc na pierwsze spotkanie z Timo Metsolą musiałam przedstawić się jako reporterka tego pisma. Miałam wszelkie potrzebne dokumenty.

— Kiedy go poznałaś? Spotykałaś go kilkakrotnie?

— To była cała seria wywiadów. Nawet grubym rybom schlebia fakt, że będzie o nich duży artykuł w „Przywódcach Ludzkości”. Przeszłam szkolenie w sekcji BSBP. Powiedziano mi, jakie stosować metody, o co pytać i na co zwracać uwagę podczas przeprowadzania wywiadu. Któregoś dnia w trakcie rozmowy Metsola połknął jakieś pigułki. Znaliśmy się już wtedy dość dobrze. Powiedział, że to lek, który musi zażywać z powodu cukrzycy. Wspomniałam o tym w sporządzonym później szczegółowym raporcie.

— Brzmi to tajemniczo, ale niegroźnie.

— W sprawie drugiego Fina, z którym przeprowadzałam wywiad, było jednak coś podejrzanego. — Evelyn miętosila w rękach koronkową chusteczkę, skubiąc ją ze zdenerwowania. — Był stoczniovcem. Budował jachty. W Finlandii jest takich wielu.

— Opowiedz mi o nim — zachęcał Newman.

— Najpierw skończę ci mówić o Metsoli. Nie miał zamiaru sprzedawać nikomu swojej firmy. A jednak sprzedał ją korporacji INCUBUS w trzy miesiące po tym, jak dostarczyłam informacje na jego temat. Podobnie było z biogramem tego stoczniovcy. On też nie chciał sprzedawać firmy. Podczas

rozmowy wyszło jednak na jaw, że chce to zrobić jego brat. Był hazardzistą zadłużonym na dużą sumę. Był również spadkobiercą firmy. Domyślasz się dalszego ciągu?

— Nigdy nie próbuję zgadywać — odparł wymijająco Newman, zapalając papierosa.

— Możesz mnie poczęstować? Rzuciłam palenie, ale teraz się bez tego nie obejdę. — Spojrzała na niego z ukosa. Zapal mi go.

Był to dla Newmana pierwszy znak, że Evelyn się nim interesuje. „Uważaj!” —

przestrzegł w myślach samego siebie. Zapalił papierosa i podał go dziewczynie. Zaciągnęła się głęboko i uśmiechnęła do Newmana, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Wyjątkowo dobrze smakuje.

— Co było dalej? — zapytał szorstko.

— Budowniczy jachtów zginął, podobno przez przypadek. Prosił, żebym przyszła do niego wieczorem kontynuować wywiad. We wszystkich oknach paliły się światła. — Wzdrygnęła się i jeszcze raz wciągnęła głęboko dym. — Ja go znalazłam. Na dachu, gdzie przechowywano materiały, stał ogromny wózek z podnośnikiem widłowym. Spadł stamtąd akurat w chwili, gdy ten człowiek pod nim przechodził. Dwa potężne ostrza przebiły biedaka na wylot. Stwierdzono, że wózek miał niesprawne hamulce i wiejący tamtej nocy silny wiatr zrzucił go z dachu.

— Wierzyłaś w to?

— Tak. Do chwili, gdy jego brat przejął firmę i sprzedał ją natychmiast spółce INCUBUS Oy. We wstępnym raporcie odnotowałam, że ten człowiek ma zwyczaj wracać do pracy późnym wieczorem, po kolacji. Zaczęłam się zastanawiać, czy moje biogramy nie są wykorzystywane do popełniania zbrodni. Szalony pomysł, prawda?

— To zależy. Rozmawiałaś z kimś na ten temat'?

— Tak, z jedynym człowiekiem, któremu mogłam zaulać. Z Edem Rivertonem, mężem Sandy. Zajmował się bankowością. Evelyn przysunęła się bliżej do Newmana.

— Jak wiesz, podczas podróży do Helsinek przeprowadziłem z Edem wywiad.

Chodziło o operacje bankowe. Odniosłem wrażenie, że w rozmowie stosuje uniki, co pobudziło moją ciekawość. To paskudna cecha dziennikarzy.

Opowiedziałaś mu to samo co mnie?

— Tak. Nic nie wiedział o istnieniu BSBP. Był tym zaintrygowany. Mówił, że zbada tę sprawę. — Drżały jej wargi. — Parę tygodni później wydobyto go spod lodu w Porcie Północnym.

— Zdaje się, że miałem rację, postanawiając zbadać działalność korporacji INCUBUS — i

Hausera...

Zamilkł, rzuciwszy okiem za okno. Położył palec na ustach, ostrzegając Evelyn, aby nic nie mówiła, po czym wstał i wszedł do wnętrza za kanapą. Volkswagen znowu się pojawił. Stał zaparkowany tam gdzie poprzednio. Przebiegłe sukinsyny! Udali, że odjeżdżają — na wypadek, gdyby ich obserwowano — a potem zawrócili samochodem na to samo miejsce. W wyglądzie wozu coś się jednak zmieniło. Z dachu wystawała duża antena, podobna do tych, jakich używają pocztowe ambulanse do wykrywania osób, które nie zapłaciły abonamentu za oglądanie telewizji.

Newman spojrzał surowo na Evelyn, dając jej do zrozumienia, że ma się nadal nie odzywać, po czym zaczął robić w pokoju szybką, fachową rewizję. Znajomy Szwajcar nauczył go kiedyś, jak odnajdywać urządzenia podsłuchowe.

Włączywszy radio szukał dalej. „Pluskwa” przymocowana była z tyłu do telewizora. Wziął ją do ręki, odłożył z powrotem, a następnie pokręcił gałkami radia. Muzykę rozrywkową zastąpiły głośne trzaski zakłóceń.

— Założyli ci podsłuch — powiedział szeptem. — Dostarczymy im teraz paru fałszywych informacji. Bądź gotowa potwierdzać to, co będę mówił.

Nastawił ponownie muzykę, wyciszył radio i odezwał się do Evelyn:

— A więc pojedziesz do tej swojej ciotki do Ambleside?

— Tak, Bob. Chcę po prostu zmienić otoczenie.

— Ambleside na pojezierzu. Dobrze wybrałaś. To oczywiście mała miejscina —

wszyscy się znają i wiedzą, co kto robi. Tego rodzaju miejscowe ploteczki pozwolą ci się odprężyć. Więc postanowiłaś wyjechać już dziś?

— Chcę jak najszybciej opuścić Londyn — odparła Evelyn, grając swoją rolę.

— Pomogę ci się spakować, a potem odwiozę cię na stację. Upewnię się w ten sposób, czy nie jesteście śledzeni. Gdyby tak było, zauważę ich...

Nastawił głośno radio i pokręciwszy gałką tak, by znów rozległy się trzaski, podszedł szybko do okna. Po dwóch minutach automatyczna antena na dachu samochodu została wciągnięta i Volkswagen odjechał.

Newman usiadł, celowo wybierając fotel, który zajmował Grimwood, i pozostawiając Evelyn na kanapie.

— O co tu chodziło? — zapytała wyraźnie zaniepokojonym tonem.

— Jak mówiłem, założyli ci podsłuch — wyjaśnił, rozwierając zaciśniętą dłoń.

— Te urządzenia są coraz mniejsze. Nazywa się to postępem, rozwojem nauki.

— Kiedy mogli to zrobić? Sama wpuściłam ich do środka i cały czas byłam z nimi...

— Ale wyszłaś, gdy zadzwoniłem do drzwi — zauważył. — Jestem pewien, że jeden z nich przytwierdził to gówienko do telewizora w ciągu tych paru chwil, kiedy mi otwierałaś. To spryciarze. Zawodowcy. Wsiedli do mikrobusu i odjechali stąd na wypadek, gdyby byli obserwowani. Potem zawrócili, wystawili z samochodu antenę i podsłuchiwali nas, nagrywając rozmowę. Tak przypuszczam. Musimy sobie przypomnieć, o czym mówiliśmy i co teraz wiemy.

— A co z tym Ambleside?

— Chodzi o twoje bezpieczeństwo. Będą przekonani, że wyjeżdżasz dzisiaj nad jeziora. Wspomniałem, że zorientuję się, gdyby ktoś nas śledził w drodze na stację, żeby niczego takiego nie próbowali i żeby się tu nie kręcili. Podałem im to jak na półmisku: Ambleside — niewielka miejscowość, gdzie wszyscy się znają.

Będą myśleli, że łatwo cię tam odnajdą. Popędzą na pojezierze i stracą wiele dni na poszukiwania.

— To może się udać. — Evelyn była wyraźnie podniesiona na duchu. — Na pewno się uda.

— Poszukiwania opóźnią się jeszcze przez to, że będą zmuszeni zachowywać dyskrecję. Nie oddałem Steve'owi walthera. Mogę zgłosić to na policji.

Przypuszczam, że każą cię szukać zupełnie innym ludziom.

— Tutaj odnaleźli mnie dość szybko — przypomniała. — Wróciłam do domu i w niecałe pół godziny później byli już pod moimi drzwiami.

— Zastanówmy się, jak tego dokonali. — Newman zmarszczył czoło. —

Wszystko wskazuje na jakąś wpływową organizację. Przede wszystkim popełniłaś błąd, dzwoniąc do korporacji INCUBUS przed odlotem z Helsinek...

— Bardzo mi przykro...

Zbył jej przeprosiny machnięciem ręki.

— Jeszcze nie skończyłem. Intryguje mnie, jak cię rozpoznali. Myślę o Heathrow. Chyba przyjechali tu za tobą z lotniska. Jakiego rodzaju aktami dysponuje ich krajowa centrala w Norwich?

— Chodzi ci o dane na temat personelu? Są bardzo szczegółowe. Mają między innymi fotokopie świadectw urodzenia i dokumenty hipoteczne — nawet jeśli są one czyjąś osobistą własnością, jak w moim przypadku. No i zdjęcia...

— Właśnie. Ci dwaj mieli fotografię, żeby rozpoznać cię, gdy wyjdiesz z samolotu. Co oznacza, że ktoś jechał za tobą na lotnisko w Helsinkach.

Sympatyczni ludzie.

— Mówiłeś, że musimy sobie przypomnieć, czego się dowiedzieli, podsłuchując naszą rozmowę.

— Tak, to ważne. Wiedzą, że rozmawiałaś ze mną o swojej pracy. Wiedzą, że prowadzę dochodzenie w sprawie hydry o nazwie INCUBUS. Utrudni to trochę moje przyszłe śledztwo, ale dam sobie radę. Wiem już przynajmniej, że i oni coś wiedzą.

Evelyn wstała, przeniosła krzesło i postawiwszy je obok Newmana usiadła, kładąc mu rękę na kolanie.

— No dobrze. A teraz mi powiedz, jak zginęła Sandy. Muszę to wiedzieć.

— Zaciśnięto jej linę na szyi i powieszono na belce w starej dzwonnicy w Suffolk, gdzie mieliśmy spotkać się o świcie...

— Dobry Boże! Sandy...

— To ja ją znalazłem — dodał szybko Newman. — Dlatego mnie przede wszystkim podejrzewają o jej zamordowanie...

W tym momencie, jakby na umówiony sygnał, zabrzmiał dzwonek u drzwi.

Spojrzeli na siebie. Newman odsunął rękę Evelyn, wstał

i kładąc jej dłoń na ramieniu dał znak, by została na miejscu. Sam poszedł

otworzyć drzwi, ściskając w prawej ręce automatycznego walthera. Przystanął w hallu, aby się upewnić, czy magazynek jest pełny.

Za drzwiami z barwionego szkła dostrzegł sylwetki dwóch mężczyzn. Obaj byli wysocy. A więc przynajmniej Grimwood i spółka nie składali im powtórnej wizyty. Otworzył drzwi.

Zza progu wpatrywał się w niego główny inspektor Roy Buchanan, obok którego stał sierżant Warden. Buchanan uniósł brew, po czym powiedział:

— No, no, znowu pan Robert Newman. Nie możemy tak często się spotykać.

Ludzie zaczną plotkować.

Adam Carver spędził z „Uno” więcej czasu, niż się spodziewał. Komputer umieszczony był w podziemiach na piątym poziomie, daleko od pozbawionej okien sali konferencyjnej. Ze względu na spotkanie z ważnym klientem Carver wrócił późnym popołudniem. Przedtem, korzystając z hasła, wywołał na ekranie wszystkie dane dotyczące Evelyn Lennox. Zaskoczyło go, że ma siostrę, Sandrę Riverton, pracującą dla korporacji INCUBUS w Suffolk.

„Uno”. Nazwę tę wymyślił sam Hauser. Carver uważał, że brzmi dziecinnie.

Prezes korporacji INCUBUS, człowiek przebiegły i bezwzględny, miał

sztubackie pomysły. Carver nacisnął na klawisze

i na ekranie pojawiły się dane panny Lennox. Zaczął im się przyglądać.

Wiek: 28 lat. Narodowość: Brytyjka. Rysopis...

Zawód: Dyplomowany psycholog. Zatrudniona w Finlandii.

Sekcja: BSBP. Kategoria: A1. Przebieg kariery: Ultra.

Zastrzeżenia: Spokrewniona z Sandrą Riverton (siostra) zatrudnioną przez INCUBUS w Suffolk, strefa brytyjska.

Było tam jeszcze sporo innych informacji, które przejrzał tylko pobieżnie. Jego uwagę zwróciło ostatnie słowo: „Anulowano”, opatrzone datą sprzed trzech tygodni. Przycisnął kilka klawiszy i wyłączył program. Obraz zniknął z ekranu, ale mózg Carvera nadal intensywnie pracował. Przez dziesięć minut siedział

zupełnie nieruchomo, pogrążony w myślach.

Miał w głowie zamęt i odczuwał niepokój. W końcu podniósł słuchawkę telefonu, aby zadzwonić do Peggy Vanderheld, osobistej sekretarki Hausera. Była to kobieta o posągowych kształtach i twardym charakterze. Strzegła dostępu do szefa jak Cerber.

Hauser udzielając wywiadów prasie lubił podkreślać swój ojcowski stosunek do pracowników firmy.

— Nie zamierzam odgrywać Wielkiego Białego Wodza tylko dlatego, że jestem przypadkiem prezesem tej korporacji — powtarzał nader chętnie. — Drzwi mojego gabinetu są zawsze otwarte dla każdego pracownika, który ma jakikolwiek problem. Dzień i noc jestem do dyspozycji naszego personelu.

Był to stek bzdur — podobnie jak mowa, którą wygłosił rano do zarządu. Miałby się troszczyć jedynie o ich przyszłość, pomagać w uzyskaniu awansu? Gówno.

Carver był głównym wiceprezesem do spraw pożyczek bankowych. Jako wykwalifikowany księgowy zajmował się oficjalnie zdobywaniem funduszy, pozyskiwaniem dodatkowych pieniędzy. W rozległym imperium korporacji INCUBUS pracowało jeszcze dwunastu wiceprezesów równie wysokiej rangi.

Niektórzy z nich byli ważniejsi od pozostałych.

— Peggy? Mówi Adam. Jestem na piątym poziomie. Muszę się zobaczyć z Franklinem D. Kiedy może mnie przyjąć?

— To nie będzie łatwe. Ma bardzo dużo zajęć...

Diabli nadali! Adam umówił się na wieczór z pewną Finką, obiecującą brunetką.

Był przekonany, że osiągnął już etap, kiedy mógłby zaciągnąć ją do łóżka. Trzeba kuć żelazo, póki gorące.

— Szef prosił, żebym sprawdził akta kogoś, kto do niedawna u nas pracował.

Już to zrobiłem. Chce, żebym zajął się tą osobą. Muszę przedtem zadać mu parę pytań.

— Co to za osoba? — Głos Peggy, mówiącej z amerykańskim akcentem, brzmiał jak trzask bicia.

— Evelyn Lennox. Wymień tylko to nazwisko. I powiedz, że mam parę pytań.

— Chwileczkę...

Adam znowu zaklął, czekając przy telefonie. Zarezerwował dobry stolik w restauracji „Palace”. Dziewczyna, z którą się umówił, miała w Finlandii chłopaka, Carver wiedział jednak, że już ją zdobywa. Z kobietami trzeba postępować cierpliwie i wytrwale, a same wpadną ci w ramiona.

— Carver! — Peggy była znowu na linii. — Możesz przyjść zaraz? W porządku.

No to rusz tyłek.

Połączenie zostało przerwane. Arogancka dziwka. Podobno jej śliczna główka kryła więcej tajemnic niż „Uno”. Była ponoć jedyną kobietą, której Hauser ufał.

„Może ma na nią haka” — zastanawiał się Adam, zamykając podziemne pomieszczenie i idąc korytarzem

o ścianach z nierdzewnej stali w kierunku windy.

Hauser siedział w swoim prywatnym gabinecie za wielkim mahoniowym biurkiem, na luksusowym, specjalnie dla niego zaprojektowanym obrotowym fotelu z czarnej skóry. Ściany wyłożone były

boazerią z mahoni. Za plecami Hausera znajdowało się ogromne okno, z którego roztaczała się panorama jakby jeziora o porośniętych lasem brzegach. W istocie był to morski fiord.

Hauser wyjął z szerokich ust cygarniczkę, obdarzając gościa swym promiennym rooseveltowskim uśmiechem. Carver wiedział, że Hauser ma kolekcję filmów o Roosevelcie i regularnie je ogląda, aby jak najlepiej naśladować słynny sposób bycia amerykańskiego prezydenta.

— Przychodzisz w idealnym momencie — oznajmił Hauser. — Zjawił się właśnie Frank, Przyjechał prosto z lotniska. Zaraz tu będzie. Cóż za miłe spotkanie! Dawno się nie widzieliście.

„Znowu sobie ze mną pogrywa” — pomyślał Carver. Frank Galvone był także jednym z głównych wiceprezesów. Odpowiadał za Sekcję Informacji i Planowania, cokolwiek ta nazwa znaczyła. I był ostatnią osobą, której Carver w tym momencie potrzebował. Drzwi otworzyły się bez grzecznościowego pukania i do gabinetu wszedł Frank Galvone. Miał na sobie sięgający do kostek zaśnieżony kożuch. Carver zauważył, że za oknem zrywa się śnieżycą. Morza nie było już widać.

— Cześć! — Galvone strząsnął z siebie śnieg, zdjął kożuch i rzucił go na fotel. —

Pogoda tu prawie tak kiepska jak w Nowym Jorku — stwierdził niskim, ochryplym głosem.

— Zapaprałeś mój piękny dywan, Frank — powiedział Hauser spokojnie, z uśmiechem.

Galvone rzucił okiem na wyściełający całą podłogę puszysty dywan i wzruszył ramionami, a potem przycisnął znajdujący się przy drzwiach guzik.

— Mamy wieśniaków, żeby tu sprząтали. Trzeba zagonić ich do roboty, bo inaczej będą spędzać czas — i zarabiać pieniądze — leżąc do góry brzuchem.

Do pokoju weszła Peggy Vanderheld ubrana w obcisły granatowy żakiet.

Galvone wskazał ręką na dywan.

— Uprzątnij ten bałagan — polecił — i to szybko. Odbywamy ważne spotkanie.

Rzuciła mu jadowite spojrzenie, ale posłusznie wyszła po odkurzacz, zebrała śnieg i bez słowa opuściła pokój. Carver dał Hauserowi do zrozumienia, że chce z nim porozmawiać w cztery oczy, wskazując głową na Franka Galvone, który przyglądał się śnieżycy za oknem.

— Jeśli chodzi o sprawę Evelyn Lennox, możesz śmiało mówić, Adamie —

zachęcił go Hauser. — Nie mamy przecież przed Frankiem żadnych tajemnic.

Nawiasem mówiąc, lecąc z Nowego Jorku zatrzymał się w Londynie.

— Tylko na krótko — stwierdził Galvone odwracając się.

Carver skinął głową. Dlaczego Frank uznał za stosowne o tym wspomnieć?

Galvone, Amerykanin w pierwszym pokoleniu, którego rodzina pochodziła z Włoch, był niższym od Carvera, dobrze zbudowanym, barczystym brunetem o mocnych grubych nogach. Miał gładko wygoloną, kościstą jak u nieboszczyka twarz o czarnych gęstych brwiach, wystające kości policzkowe, długi nos i wydatny, ostry podbródek. Carver nigdy nie widział go uśmiechniętego. W jego brązowych oczach była pustka.

— No proszę — oznajmił jowialnie Hauser. — Mam przy sobie moich dwóch najbliższych współpracowników. W waszej obecności zawsze jest mi raźniej.

Carver się nie odzywał. Hauser stosował typową dla niego taktykę wzajemnego napuszczania na siebie ludzi. Często Carvera nazywał swoim potencjalnym następcą, mówiąc, iż za parę lat będzie miał wystarczająco duży tyłek, żeby zająć jego fotel.

Carver jednak słyszał, że przy innych okazjach Hauser wyrażał się tak samo o Franku Galvone. I podejrzewał, że Galvone traktuje ich rywalizację bardzo serio.

— OK. — Hauser usadowił się wygodniej w fotelu. — Adamie, opowiedz nam o Evelyn Lennox. — Spojrzał na Franka. — Adam sprawdzi w Londynie, co się z nią dzieje. Rzuciła nagle pracę w firmie i poleciała do domu. Chcemy się tylko upewnić, czy wszystko jest w porządku.

— A dlaczego miałoby nie być? — zapytał Galvone.

— Adam nam to powie.

Hauser skinął ręką na Carvera, aby usiadł. Frank wciąż stał.

— Evelyn Lennox miała siostrę, Sandrę Riverton, która również dla nas pracowała — zaczął powoli Carver ze wzrokiem utkwionym w podłogę. — Czy te dwie sprawy coś łączy?

— Daj sobie z tym spokój — powiedział Hauser przyjacielskim tonem. —

Musisz skoncentrować się na kwestii finansowej. Masz się tylko upewnić, czy jest zadowolona ze swojego uposażenia. Określić jej ogólny stosunek do życia.

Ustalić, co zamierza dalej robić. Wiesz,

o co chodzi.

— Wcale nie jestem tego pewien.

— Przecież nazywają cię czarodziejem — wtrącił drwiąco Frank. — Wszyscy wiemy, że potrafisz ugłaskać swoją delikatną rączką każdą damę. Gdyby posłano mnie, nic by to nie dało. — Wydał z siebie syk przypominający złośliwy śmiech.

— Mógłbym jeszcze wybić jej zęby.

— To do ciebie podobne — odciął się Carver.

— Oj, nieładnie tak mówić do kolegi wiceprezesa. Czyżbyś stracił poczucie humoru, Adamie? To był żart. Żet, a, er, te. Wiesz, co to takiego?

Hauser usadowił się jeszcze wygodniej w fotelu. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż widok podwładnych, którzy skaczą sobie do gardeł. Było to lepsze od corridy.

Carver spojrzał na szefa i dostrzegłszy przez moment na jego twarzy wyraz złośliwej satysfakcji, zdobył się na wysiłek, by opanować emocje. Skinął głową do Franka, mówiąc:

— W porządku. Żartowałeś. Niech ci będzie. — Zwrócił się do Hausera. —

Kiedy sprawdzałem dane w komputerze, natrafiłem na wzmiankę o sekcji BSBP.

Nigdy dotąd nie słyszałem nawet o jej istnieniu. Co to takiego, do cholery? Czym zajmowała się Evelyn

Lennox? I dlaczego sekcja oznaczona jest tylko pierwszymi literami? Wszystkie inne mają pełne nazwy określające ich funkcje. Frank kieruje na przykład Sekcją Informacji i Planowania.

— A co cię to wszystko obchodzi, do diabła? — zapytał Frank.

Carver spojrzał na niego, nie okazując żadnej reakcji. Zdziwił się w duchu, że Frank jest tak bardzo wzburzony. Wzburzony? Niemal pienieł się z wściekłości.

— Skoro mam porozmawiać z Evelyn Lennox — oznajmił spokojnie — najpierw muszę zorientować się we wszystkim, czym może mnie zaskoczyć.

— Nikt cię, psiakrew, nie upoważnił, żebyś wtykał nos do tego komputera! —

warknął Frank.

— No, no, chłopcy — wtrącił się Hauser. — Trochę kuksańców nie zaszkodzi, ale posunąłeś się za daleko, Frank. Jeżeli nie możesz nad sobą zapanować, zejź

do bufetu i napij się czegoś. Najlepiej wody mineralnej.

Powiedział to ostrym tonem. Carver obserwował, jak Frank z trudem się opanowuje, pojednawczo rozkłada ręce i wykrzywia usta w pełnym zakłopotania uśmiechu.

— Przepraszam, szefie. Te długie loty dają się człowiekowi we znaki. Odczuwa się w końcu zmęczenie podróży. Chyba usiądę, odprężę się i posłucham, co Adam ma do powiedzenia.

Zmęczenie podróży? Po co najwyżej trzygodzinnym locie, skoro pokonał tylko trasę z Londynu do Helsinek? Carver był dość ostrożny, by nie wyrazić na głos swoich wątpliwości. Spojrzał ponownie na Hausera, który pospiesznie zaczął

mówić:

— Zgadzam się z tobą, Adamie. Nie mam pojęcia, dlaczego Evelyn Lennox zrezygnowała z pracy w firmie. Nie docierają do mnie tego rodzaju szczegóły.

Nie mogę grzęznąć w detalach. Ale wiemy jedno — wyjechała. Może to przypadkowy zbieg okoliczności, może obie dziewczyny pogadały sobie przez telefon i stwierdziły, że mają już dość. W sprawie Eda Rivertona wiemy tylko to, co powiedziała nam policja.

I tak masz nad nami przewagę, Adamie, bo rozmawiałeś z tym Mauno Sarinem.

Teraz, jak to mówią, wiesz już z grubsza wszystko.

— Niezupełnie. Jakiego rodzaju pracę wykonywały dla nas te dziewczyny?

— Kobiety sprawiają zawsze cholernie dużo kłopotów i najchętniej w ogóle bym żadnej nie zatrudniał. Ich miejsce jest w domu, w łóżku i w kuchni, ale niekiedy właśnie dlatego, że są odmiennej płci, nadają się lepiej do przeprowadzania wywiadów z mężczyznami podatnymi na tak zwane kobiece wdzięki.

— To znaczy, że były dziewczynami na telefon? — zapytał Adam.

— Nie, do diabła! — Hauser walnął potężną pięścią w biurko, obrzucając go wściekłym spojrzeniem. — Pracowały jako sekretarki, tak jak Peggy. Adamie, masz już wszystko, czego ci trzeba. Leć najbliższym samolotem do Londynu i sprawdź tę dziewczynę, dobrze?

Hauser zczekał, aż zostanie sam z Frankiem Galvone, po czym zdusił ze złością papierosa i zapalił następnego. Zaciągnął się kilka razy. Galvone na wszelki wypadek milczał. Hausera rzadko ponosiły nerwy. Kiedy się odezwał, był już jakby spokojniejszy i bardziej opanowany.

— Mam dla ciebie zadanie, Frank.

— Jakie?

— Polecisz do Londynu tym samym samolotem co Carver. Wykup miejsce w klasie turystycznej i postaraj się, żeby cię nie zauważył. Siedź go, obserwuj i osobiście mi o wszystkim melduj. W dziale podróży powiedzą ci, którym leci samolotem.

— Trudno będzie zagwarantować, że mnie nie zauważy.

— Trudno? Więc się przebierz. Załóż coś innego. Kombinezon narciarski, gogle... cokolwiek! — Wbił wzrok we Franka. — Do diabła, dopiero co poradziłeś sobie w trudnej sytuacji, podejmowałeś błyskawiczne decyzje i wszystko poszło tak, jak chcieliśmy. OK. Pilnuj Carvera.

Buchanan siedział w salonie domu przy Greenway Gardens 495, wybrawszy ten sam fotel, który wcześniej zajmował Grimwood. Wyprostował nogi, krzyżując je w kostkach. Miał przed sobą Newmana

i Evelyn, którzy usadowili się na stojącej we wnęce kanapie. Sierżant Warden siedział na krześle, trzymając w pogotowiu notes.

— Proszę mi powiedzieć, w jaki sposób dowiedziała się pani o zabójstwie swojej siostry, Sandry Riverton? — Buchanan zwrócił się z tym pytaniem do Evelyn, wpatrując się w nią szarymi oczami.

— Zadzwoiłem do niej z Londynu — powiedział pospiesznie Newman. —

Dlatego właśnie przyleciała natychmiast z Helsinek.

— Pytałem pannę Lennox. — Głos Buchanana zabrzmiał ostro. — Pozwoli pan, że sama odpowie.

— Zdaje pan sobie chyba sprawę, że ona nie musi zgadzać się na przesłuchanie

— upomniał go Newman. — Moglibyśmy pokazać panom drzwi. Chyba że o coś ją oskarżacie. Zdaje się, że tak mówi prawo.

— Znam przepisy — odparł pojednawczo główny inspektor Scotland Yardu, dzwoniąc monetami w kieszeni. — Czy chce pani wyprosić mnie za drzwi, panno Lennox?

— Jestem bardzo zdenerwowana...

— Przeżyła ostatnio niejeden wstrząs — ciągnął z uporem Newman. — Czy macie w zwyczaju przesłuchiwać ludzi, kiedy nie są w stanie się skoncentrować?

Byłoby z pewnością najlepiej, gdyby panowie sobie poszli i przełożyli tę rozmowę na bardziej sprzyjający moment.

— Czy jest pan właścicielem tego domu? — zapytał Buchanan niezmiennie spokojnym tonem. — A może współwłaścicielem?

— Nie...

— Więc proszę pozwolić, by panna Lennox podjęła decyzję, jaką uzna za stosowną, bez nacisków z pańskiej strony.

— Jestem teraz naprawdę bardzo zdenerwowana — powiedziała Evelyn, kierując się sugestią Newmana.

Buchanan skierował wzrok na dziennikarza.

— Przed chwilą wspomniał pan o kilku wstrząsach. Co miał pan na myśli?

— Na litość boską! Niedawno w Helsinkach dowiedziała się, że jej szwagra wydobyto w porcie spod lodu. Został uduszony, jeśli pan o tym zapomniał. Potem dostaje wiadomość, że jej rodzona siostra padła ofiarą bestialskiego morderstwa. Stąd, panie inspektorze, liczba mnoga.

— Mam doskonałą pamięć. Nie zapomniałem o śmierci pana Rivertona. Byłoby mi trudno zapomnieć, poinformował mnie pan

o tym dopiero przed paroma minutami — Buchanan mówił beznamiętnie — ale pańska wypowiedź zabrzmiała tak, jakby chodziło

o więcej niż dwa wstrząsy.

Splótł ręce na brzuchu i czekał, obserwując reakcję Newmana.

— Nic nie poradzę, że pański spaczony umysł odbiera moje słowa w ten sposób. Miałem na myśli dwa morderstwa. I kropka.

— Dziwnym zbiegiem okoliczności obie zbrodnie popełniono najwyraźniej w odstępie dwudziestu czterech godzin. — Spojrzał na Evelyn. — Wspomniała pani, że wykonywałyście z siostrą podobną pracę. Na czym ona polegała?

— Och, byłyśmy po prostu sekretarkami. Panie inspektorze, jestem teraz naprawdę wyczerpana. Czy moglibyśmy odłożyć to na parę dni, aż dojdę do siebie?

— Oczywiście. — Buchanan wstał, nakładając płaszcz. Warden także podniósł

się z miejsca. — Spróbuję do pani zadzwonić, zanim znowu przyjdziemy. Proszę się nie kłopotać, trafimy do wyjścia. —

Odwrócił się jeszcze przy drzwiach, mówiąc do Newmana: — A panu chciałbym przypomnieć, że prowadzę dochodzenie w sprawie zabójstwa.

Newman uśmiechnął się posępnie.

— Z pewnością będę pamiętał. Zwłaszcza po tym, jak wymagłował mnie pan w Southwold.

W kącikach ust Buchanana pojawił się cyniczny uśmiezek.

— Najwyraźniej bardzo szybko się pan uspokoił, panie Newman.

Rzuciwszy tę uwagę na pożegnanie wyszedł. Gdy obaj mężczyźni zniknęli za drzwiami, Newman poszedł do hallu i zamknął je na klucz.

— Co on chciał przez to powiedzieć? — zapytała Evelyn, gdy wrócił do pokoju.

— Że mam w nim bardzo przebiegłego i niebezpiecznego przeciwnika.

Udawałem, że przestaję nad sobą panować i on to zauważył.

— Dlaczego nie wspomniałeś, że odwiedziło nas tych dwóch strasznych facetów, Grimwood i Steve? Wywnioskowałam, że nie masz zamiaru mu nic mówić, więc siedziałam cicho.

— I bardzo mądrze zrobiłaś. To by tylko zagmatwało sprawę. — Spojrzał jej w oczy. — Nie postępuję całkiem uczciwie. Chcę prowadzić dochodzenie na własną rękę. Powiedziałbym mu, gdybym widział najmniejszą choćby szansę, że zapewnią ci ochronę, że postawią przy drzwiach policjanta.

— A nie zrobiłby tego?

— Sądząc z przebiegu wydarzeń — na pewno nie. Dzięki Bogu, nikt cię nie zaatakował. W dzisiejszych czasach policja ciągle narzeka na brak ludzi. Za bardzo zajmują ich przejażdżki w lśniących wozach patrolowych, żeby płatali się po ulicach na piechotę.

— Bob... — Evelyn stanęła tuż koło niego, tak iż doleciał go zapach kosztownych perfum. — Czy nie zostałeś ze mną na parę dni, na wypadek, gdyby ci ludzie tu wrócili? — Przerwała i dodała po chwili: — Mógłbyś spać w oddzielnej sypialni.

„I jak długo miałbym tam zostać?” — pomyślał Newman. To nie było w porządku. Nie potrafił zapomnieć o Sandy, o tym, jak wyglądała, gdy widział ją po raz ostatni. Jak powieszona szmaciana lalka. Myśl, że miałby dać się zaciągnąć do łóżka jej siostrze, napawała go odrazą.

— To nie jest dobry pomysł, Evelyn — powiedział kręcąc głową. — Chcę poświęcić cały swój czas na odnalezienie zabójcy Sandy. Im dłużej będę zwlekał, tym bardziej zatrze się ślad. Buchanan mógłby ci coś na ten temat powiedzieć.

Znasz dobrego ślusarza? — Przytaknęła bez entuzjazmu. — Więc zmień zamki przy frontowych drzwiach.

Załącz jakieś solidne, renomowanej firmy. Gdybym do ciebie telefonował, odłożę słuchawkę po dwóch sygnałach. Zrobię to dwa razy. Odbierz dopiero wtedy, gdy telefon zadzwoni po raz trzeci. Będziesz miała pewność, że to ja. Inaczej nie odpowiadaj, choćby dzwonił nie wiem jak długo.

— Dlaczego mieliby do mnie dzwonić?

— Pewnie tego nie zrobią, ale mogą chcieć się upewnić, że cię tu nie ma, że wyjechałaś nad jeziora.

— No dobrze, więc będziesz bardzo zajęty. Ja też. Trzeba załatwić formalności związane z pogrzebem Sandy. Nie, nie proponuj, że mi pomożesz — poradzę sobie sama. Jestem jej jedyną krewną. Będziesz na pogrzebie?

Uznał, że jej pytanie podyktowane było wściekłością na niego, ponieważ odrzucił

zaproszenie. Nie dał się sprowokować. Uśmiechnął się.

— Gdybym tylko mógł w czymś pomóc, po prostu zadzwonił. — Włożył trenecz. —

Masz tu moją wizytówkę. Nie zapominaj, Evelyn, że bardzo lubiłem Sandy.

Zamierzałem właśnie poprosić ją o rękę.

— Może więc miała szczęście, że udało jej się wymknąć.

Po raz drugi zlekceważył obelgę. Jak sama mówiła, była po prostu wykończona.

Doznała w krótkim czasie zbyt wielu strasznych przeżyć.

— Przemysł to sobie — poradził — ale przede wszystkim bądź ostrożna.

— Teraz mam kolejny problem — oznajmił Tweed, zdjawszy w biurze swój nieprzemakalny płaszcz.

— Ponieważ dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS będzie chyba musiało trochę poczekać, mogę przynajmniej zająć się nowym zadaniem.

Paula Grey i Monika spojrzały na siebie. Tego wieczoru Tweed był jakby czymś podekscytowany. Wrócił właśnie z kolejnego spotkania z panią premier na Downing Street. Usadowił się za biurkiem, ubrany w szary garnitur z grubej wełny. Za oknem była mroźna lutowa noc.

— Dlaczego nie weźmiemy się od razu za tę korporację? - zapytała Paula.

— Ponieważ zdobywanie informacji może potrwać wiele miesięcy. Moi ludzie już nad tym pracują, ale INCUBUS jest organizacją

o światowym zasięgu i ma złożoną strukturę. Może celowo, ale to tylko poparte faktami przypuszczenie.

— A co z tą nową sprawą?

— Jak wiecie, w Europie aż się gotuje. Granice, które utrzymywały się przez ponad czterdzieści lat, przestały być świętością. Dzięki Gorbaczowowi system komunistyczny rozpada się na całej linii. Pozbawia to jednak pracy pewnych bardzo niebezpiecznych i doświadczonych specjalistów. Domyślcie się, o kogo chodzi?

— Sam często powtarzasz, że w naszej robocie nie wystarczy zgadywać.

— Fakt. — Tweed uśmiechnął się na ten delikatny przytyk, a potem spoważniał. — Specjaliści, o których mówię, to byli członkowie różnych tajnych służb i policji. Nagle, z dnia na dzień, przestali być potrzebni. Co gorsza —

oczywiście z ich punktu widzenia — poszukuje się niektórych najwyższej klasy agentów, aby postawić ich przed sądem. Rozumiecie teraz, o co chodzi?

— Tak. — Paula miała ponurą minę. — Zaczynasz swoje ulubione sztuczki...

— Stroisz sobie żarty — wtrąciła Monika. — Zanim powiesz w końcu, o co chodzi, chcesz nas zadręczyć.

— Wielu najlepiej wyszkolonych komunistycznych agentów —

i zarazem najbardziej poszukiwanych za popełnione czyny — zniknęło bez śladu.

— Zniknęli? — Paula była zaskoczona. — Może ich potajemnie rozstrzelano?

— Nie, uciekli. Z kilku krajów na Bałkanach, w których dochodzi do rozruchów. I z rządzonych kiedyś żelazną ręką wschodnich Niemiec. Zachodni agenci — także nasi — potwierdzają, że ci ludzie po prostu zniknęli. Pani premier jest zaniepokojona, a czytając kolejne raporty zaczynam coraz bardziej podzielać jej obawy. Nosi to wszelkie cechy precyzyjnie zaplanowanej akcji.

— A co oni, u licha, mogą osiągnąć? Są skompromitowani i nie mają dokąd pójść — zaprotestowała Paula.

— Czy możemy być tego pewni? Przypuśćmy, że tworzy się z nich nową tajną policję — po to, żeby zniszczyć głośność i pieriestrojkę? Stanowiliby groźną grupę. Kobiety i mężczyźni, obeznani z technikami

i metodami Stasi, dawnej tajnej policji Niemiec Wschodnich, rumuńskiej Securitate i podobnych. Europa Wschodnia jest w stanie wrzenia. To podatny grunt dla zawodowych wywrotowców.

— Masz jakieś konkretne nazwiska? — dopytywała się Paula.

— Podam wam jedno, które przyprawia o dreszcz zgrozy: IonManescu. Pewna mieszkająca w Londynie Rumunka przysięga, że widziała, jak wsiadał

pospiesznie do taksówki kilka dni temu.

Luksusowy odrzutowy lear rozpoczął sterowane przez radar nocne lądowanie na lotnisku Rovaniemi w Laponii. W lutym za kołem podbiegunowym wciąż panowały ciemności. Wieczna noc. Na pokładzie samolotu znajdowało się jedenastu mężczyzn i jedna kobieta. Od chwili startu z Helsinek żaden z pasażerów nie odezwał się ani słowem.

W miarę jak odrzutowiec zniżał lot, zaczęli opatulać się dla ochrony przed niską temperaturą, jaka panowała na pokrytej śniegiem

i lodem ziemi. Zakładali futrzane czapki z nausznikami, ciężkie futrzane płaszcze i podbite futrem wysokie buty.

Siedzący z przodu, blisko wyjścia, mężczyzna o szczupłej twarzy i ostrych rysach miał już na nogach specjalnie wykonane, dziwnie wyglądające futrzane buty o spiczastych czubach. Przesunął dłonią po gładkiej skórze pod haczykowatym nosem.

Ion Manescu niedawno zgolił bujne, podkreścone wąsy i bez nich czuł się nieswojo. Gdy samolot wylądował i zatrzymał się, był pierwszym pasażerem gotowym do wyjścia. Wyrzął przez okno na widoczny w świetle gwiazd pejzaż.

Karłowate zarośla przyozdobione były lśniącymi girlandami kryształków lodu.

Martwy krajobraz przypominał panoramę z Księżyca. Lotnisko znajdowało się na pustkowiu, wiele kilometrów od miasta Rovaniemi.

Kiedy samolot już stał, steward otworzył drzwi i wyrzucił opuszczane schodki.

Helmut Ziegler, Niemiec siedzący naprzeciwko Manescu, były szef Stasi z Lipska, wstał, zbierając się do wyjścia. Manescu powstrzymał go gestem ręki.

— Najpierw ja, jeśli pan pozwoli — powiedział po niemiecku. — Lepiej od razu ustalmy hierarchię ważności.

Podniósł się, zagradzając Niemcowi drogę swoją masywną sylwetką. Ten rzucił

mu wściekłe spojrzenie i po chwili zobaczył w odbitym od śniegu świetle wpatrzony w siebie ciemne oczy Manescu. Doświadczonego agenta Stasi przeszedł dreszcz — 'po części z powodu mrozu, który wdarł się do samolotu, a po części na widok wyrazu twarzy Manescu.

— Pozwoli pan — powtórzył Rumun, schodząc po schodkach.

Pozostali pasażerowie podążyli kolejno za nim po twardym jak stal śniegu do miejsca, gdzie oczekiwały ich stojące w szeregu z włączonymi silnikami dziwne pojazdy. Każdy miał z przodu i z tyłu ogromne koła z grubymi oponami. W nieziemskiej, arktycznej poświacie wyglądały jak skrzyżowanie potężnego motocykla z dużym gokartem. Na podwoziu widniała nazwa producenta — Suzuki.

W ciągu dwóch minut wszyscy pasażerowie zajęli miejsca w przydzielonych im pojazdach i cała kolumna ruszyła naprzód przy wtórze cichego warkotu sypiących iskry silników. Oddalali się od widocznego na horyzoncie parterowego budynku lotniska i od głównej drogi do Rovaniemi, zmierzając po bezdrożach na wschód, na pustkowie.

Manescu poprawił narciarskie gogle, gdyż z nieba zaczęły się właśnie sypać wielkie jak wierzbowe baze białe płatki. Był zadowolony. Zapewnił sobie posłuch. Od samego początku należało postępować konsekwentnie.

Adam Carver wyszedł z londyńskiego lotniska i ustawił się w kolejce do taksówek. Leciał z Helsinek w kabynie *business class*. Nie przeszkadzała mu padająca w Londynie mżawka. W porównaniu z Helsinkami różnica temperatur była ogromna. Tutaj panował o wiele łagodniejszy klimat. Kiedy czekał w kolejce, obejrzało się za nim kilka kobiet. Jedna z nich powiedziała szeptem do koleżanki:

— Przystojny drań. Nie miałabym nic przeciwko...

— Wstrętna jesteś! — odpowiedziała jej towarzyszka i zachichotała, przyglądając się Carverowi.

W sterowanych fotokomórką drzwiach pojawił się jakiś spóźniony pasażer i rzuciwszy okiem na kolejkę wszedł z powrotem do budynku. Czekał tam na niego umundurowany szofer, trzymający kartkę z napisem „Pan Shade”. Odebrał

od pasażera torbę, ale służbowy neseser jego klient wolał nieść sam.

— Zostawiłem wóz na parkingu. Zaprowadzę tam pana.

— Więc ruszaj. Facet stoi w kolejce do taksówki. Masz jakieś pięć minut —

rzucił Frank Galvone oschle.

Przyleciał z Helsinek tym samym samolotem co Carver, ale w klasie turystycznej. Dla wiceprezesa do spraw informacji i planowania nie było to miłym przeżyciem. Miał na sobie zasłaniający czarne włosy skórzany beret, ciemne okulary i płaszcz, którego podniesiony kołnierz zakrywał mu dolną połowę twarzy.

„Informacja i planowanie” — myślał idąc wzdłuż rampy. Garbił się lekko, aby jeszcze bardziej zmienić wygląd. Pod Bostonem, w pobliżu drogi zwanej kiedyś Kosmiczną Autostradą, mieścił się ośrodek badawczy o kryptonimie „Drakon”.

Zatrudnione w nim wtajemniczone osoby — naukowcy i stratedzy — znali dział

kierowany przez Franka Galvone jako Sekcję Informacji i Działania. W „Drakonie” opracowywano zasadniczy plan akcji.

— Wsiada właśnie do taksówki — powiedział Galvone pięć minut później, gdy szofer wyprowadził samochód z parkingu. — Jedź za nim i staraj się go nie zgubić, ale przede wszystkim ten facet nie ma prawa cię zauważyć.

„Cholernie łatwo powiedzieć — pomyślał kierowca, Charlie Bone. — Typowo amerykańskie wymagania”. Wolał jednak nie dyskutować. Wjechał w tunel za taksówką Carvera. Charlie był rodowitym londyńczykiem, ale mieszkał przez jakiś czas w Nowym Jorku.

Był też zapewne najlepiej opłacanym kierowcą w Londynie. Płacono mu, aby trzymał język za

zębami. Doskonale pamiętał, kogo wiózł

i dokąd. Potrzebował dużych pieniędzy, interesowały go bowiem dziewczyny —

szpanujące panienki z wyższych sfer. A kiedy dochodziło do kontaktów z płcią przeciwną, diamenty okazywały się najlepszym przyjacielem mężczyzny.

Galvone, siedzący w limuzynie za zamkniętą szybą, która oddzielała pasażera od kierowcy, otworzył służbowy neseser. W zestawie przybo-rów toaletowych znajdował się cały niezbędny sprzęt — urządzenie podsłuchowe i kilka skomplikowanych miniaturowych mikrofonów. Galvone ukrył jeden z nich w walizce Carvera, zanim ten wyjechał z Helsinek.

— No to jesteśmy — powiedział do siebie. — Greenway Gardens numer 495.

Kiedy w korytarzu zabrzmiał dzwonek, Evelyn czuła się rozpaczliwie samotna.

Jednak zachowała ostrożność. Otworzyła zabezpieczone łańcuchem frontowe drzwi i zdziwiła się. Oczekiwała podświadomie, że ujrzy tę odrażającą kreaturę, Grimwooda, i jego współnika, Steve'a, więc mile ją zaskoczył widok stojącego na progu przystojnego mężczyzny w eleganckim ubraniu.

— Słucham pana?

— Nazywam się Adam Carver. Oto moja wizytówka. — Podał jej przez szparę w drzwiach prostokątny kartonik z wytłoczonymi literami. — Pamiętam, że minęliśmy się kiedyś na korytarzu w budynku korporacji INCUBUS w Helsinkach. Miała pani na sobie niebieski kostium z gabardyny i białą bluzkę z uroczą kokardą pod szyją.

Carver przypadł Evelyn do gustu. Wzbudzał sympatię swoim wyglądem i zachowaniem. Poza tym był głównym wiceprezesem. Mimo wszystko nie ufała mu.

— Przyjechał pan mnie przekonać, żebym przyjęła pieniądze, prawda?

— Nie. Proszę spojrzeć jeszcze raz na wizytówkę. Zajmuję się bankowością.

Dowiedziałem się o pani odejściu, a miałem akurat coś do załatwienia w tej okolicy. — Uśmiechnął się. — Pewnie uzna to pani za cholerny tupet, ale zadzwoniłem do centrali w Norwich, żeby dostać pani adres.

— Jest pan sam? — Wyjrzała przez szparę.

Carver odchylił rozpięty deszczowiec i znowu się uśmiechnął. Był to sympatyczny uśmiech.

— Proszę spojrzeć, jestem zupełnie sam. Nie ukrywam nikogo pod płaszczem.

Odwzajemniła uśmiech, zdjęła łańcuch i zaprosiła nieznanego do środka. W

salonie wskazała mu fotel. Carver skinął głową i podszedł do okna.

— Przejrzała wnękę — powiedział, stojąc po drugiej stronie kanapy. —

Szkoda, że okno wychodzi na szeregową zabudowę.

— Jesteśmy w Londynie.

Carver stał, trzymając w ręce służbowy neseser. Odesłał taksówkę, dając kierowcy sowity napiwek, aby podrzucił jego walizkę do hotelu „Hilton” przy Park Lane. Nagle zmarszczył brwi, zauważywszy zaparkowaną na ulicy czarną limuzynę.

— Czy moglibyśmy pogadać w kuchni? — zaproponował, odwracając się do Evelyn. — Żeby w czasie naszej rozmowy lała się z kranu woda.

Zareagowała tak, jakby uderzył ją w twarz, ale szybko wróciła do równowagi, wyszła z salonu i pospieszyła do kuchni na końcu hallu. Odkręciwszy kran stanęła przed Carverem.

— Na litość boską, znowu to samo?

Nic nie odpowiedział, tylko oparł neseser o blat, otworzył go i dokładnie przeszukał. Znalazł mikrofon z tyłu za podszewką, wyjął go, położył na zlewie, po czym zmniejszył ciśnienie wody, tak by płynęła równomiernym strumieniem, i umieścił mikrofon pod kranem.

— Na ulicy stoi zaparkowana limuzyna — wyjaśnił. — Chyba w niej siedzi facet z urządzeniem podsłuchowym. Jeżeli to gość,

o którym myślę, miałbym ochotę wyjść i powybijać mu wszystkie zęby. Ten przedmiot pod kranem to mikrofon...

— Wiem. Sama ich używałam...

Zamilkła, klnąc w duchu swój brak przezorności. Carver ze zdziwieniem uniósł

brew.

— Ach, tak... — Pokiwał głową. — Zastanawiałem się, jakim cudem połapała się pani tak szybko w sztuczce z bieżącą wodą, która miała zagłuszyć naszą rozmowę. Musieli włożyć mi ten mikrofon do walizki, zanim odleciałem z Helsinek. Bez mojej wiedzy.

— Może zrobię kawę, a potem porozmawiamy?

Tego właśnie w tej chwili najbardziej potrzebowała: moc z kimś porozmawiać.

Carver powiedział, że chętnie napije się kawy i wybrał sobie celowo stojący z boku taboret, aby nie siedzieć na żadnym z krzeseł ustawionych wokół stołu. W

ten sposób nie był zbyt blisko Evelyn.

Doznawał sprzecznych uczuć. Był wściekły, że próbowano go podejść, ale przede wszystkim myślał z ironicznym rozbawieniem, jak w sumie wszystko dobrze się ułożyło. Dzięki temu, że znalazł mikrofon — i pokazał go Evelyn — bez trudu zdobył jej zaufanie.

Na tylnym siedzeniu limuzyny Galvone manipulował gałką urządzenia podsłuchowego. Słyszał tylko trzaski, jakby szum leżącej się wody.

Zaklął pod nosem i zaczął się zastanawiać. Czy to możliwe? „Czarodziej” znany był z powodzenia u kobiet, czego w duchu mu zazdrościł, ale był u niej dopiero od kilku minut. Czyżby już rznął Evelyn w łazience? Może później zdobędzie informacje, o które mu chodziło, gdy będą rozmawiali w łóżku. Galvone myślał

takimi właśnie kategoriami.

— ...a więc — ciągnęła Evelyn — gdy były tu te dwie kreatury, Grimwood i jego kumpel Steve, zjawił się Bob Newman, znany dziennikarz. Mówiąc krótko, wyrzucił ich z mojego domu. Potem wrócili tu swoim volkswagenem i wtedy Bob znalazł mikrofon, który założyli z tyłu na telewizorze.

— I mówisz, że ten Steve miał broń? — zapytał Carver.

Siedział nadal na taborecie, Evelyn zaś usadowiła się po drugiej stronie kuchennego stołu. „Pamiętaj, żeby jej za bardzo nie przyciskać” —

powiedział sobie w duchu.

— Tak, miał jakiegoś walthera. Bob mu go odebrał. A potem wyjechał. —

Napiła się kawy i odstawivszy filiżankę na stół spojrzała Carverowi prosto w oczy. — Skorzystałam z jego rady — skłamała. — Gdy tylko odjechał, zadzwoniłam na policję. Przesłali kogoś, żeby obserwował dom. Przepraszam na chwilę.

Wróciła przez hall do salonu, weszła do wnęki przy oknie i odsunęła jedną z firanek. Na prawo, o cztery domy dalej, stała zaparkowana czarna limuzyna.

Spuściła zasłonę i wróciwszy do kuchni usiadła za stołem.

— Muszę w regularnych odstępach czasu dawać znak policji, że nic się nie dzieje — kłamała dalej.

Carver się jej podobał, ale był człowiekiem korporacji INCUBUS. Po ostatnich doświadczeniach wolała nie ryzykować. Swoim następnym pytaniem utwierdził

ją w przekonaniu, że miała rację blefując.

— A co z tym dokumentem przyznającym ci uposażenie? Podpisałaś go?

Zgodziłaś się na ich warunki?

— Ani mi się śni. Uważa pan, że powinnam się zgodzić? — zapytała patrząc na niego niewinnie.

— W takiej sprawie nie mogę ci niczego doradzać. Sama musisz podjąć decyzję.

Chodzi o twoje życie.

Piła dalej kawę, starając się ukryć swą reakcję. Czyżby to była kolejna groźba?

Subtelnie sformułowana, ale jednak groźba. Spojrzała mu znów prosto w oczy.

— Po co właściwie pan do mnie przyjechał, panie Carver?

— Mam na imię Adam. Sądziłem, że już to ustaliliśmy. — Odstawił filiżankę i wstał. — Przyjechałem, bo spodobało mi się to, co zobaczyłem wtedy w Helsinkach, gdy minęłaś mnie na korytarzu. Zjesz ze mną kolację? Może dziś wieczorem?

— Nie, Adamie, nie dzisiaj. Pozwól mi się zastanowić.

— Muszę już iść. Mieszkam w „Hiltonie”. Może stamtąd do ciebie zadzwonię.

— Wyjął notes, coś w nim zapisał i wydarłszy kartkę położył ją na stole. — To numer do hotelu. Na wypadek, gdybyś z jakiegoś powodu chciała do mnie zatelefonować...

Evelyn zadzwoniła po taksówkę, która przyjechała po kilku minutach. Wsiadając do samochodu Carver zobaczył jeszcze kątem oka, że czarna limuzyna nadal stoi na ulicy.

Gdy tylko pozostawili za sobą Wandsworth, taksówka znalazła się w sznurze pojazdów. Carver, trzymając na kolanach służbowy neseser z mikrofonem w środku, zastanawiał się nad tym, co powiedziała mu Evelyn Lennox.

Martwiła go wzmianka o pistolecie. Odkąd zaczął pracować w korporacji INCUBUS, po raz pierwszy słyszał — poza Stanami —

o ludziach, którzy wykonywali zadania z bronią w rękę. W dodatku nadal nie wiedział, co właściwie Evelyn robiła w firmie. Unikała odpowiedzi na wszelkie związane z tą sprawą pytania.

Kiedy sznur wozów stanął w miejscu, Carver rozejrzał się, a potem zerknął przez tylną szybę. O dwa pojazdy dalej zauważył czarną limuzynę. Nie sposób było zobaczyć, kto jest w środku. W końcu samochody ruszyły, przejeżdżając przez most na Tamizie.

Gdy Carver wysiadał przy hotelu „Hilton” na Park Lane, limuzyna przemknęła szybko obok niego. I tym razem nie zdołał zobaczyć, kto w niej siedzi z tyłu.

Kolumna niewielkich *buggy* jechała nocą po bezdrożach Laponii, podskakując i kołysząc się na nierównym terenie. Siedzący w pierwszym pojeździe IonManescu spoglądał przez narciarskie gogle na widoczne w świetle księżyca pagórkowate pustkowia. Posuwali się po ziemi usianej głazami, które tkwiły w przysypanym śniegiem mchu. W niektórych miejscach koła przejeżdżających tamtędy wcześniej pojazdów odsłoniły wyschniętą roślinność.

Jadąc na północny wschód, w kierunku sowieckiej granicy, zbliżali się do brzegów skutego lodem jeziora. Manescu spojrział na zegarek. Była pierwsza w nocy. Rzucił okiem na kierującego pojazdem brodacza.

— Jak daleko jeszcze? — zapytał po angielsku.

— Jesteśmy na miejscu.

Ponury krajobraz sprawiłby na większości ludzi przygnębiające wrażenie, ale Manescu był przyzwyczajony do rumuńskich zim. W chwili gdy kierowca odpowiadał na jego pytanie, wjechali na szczyt niewielkiego wzgórza. W dole Manescu zobaczył kompleks betonowych budynków i okrągłą kamienną wieżę otoczoną wysokim ogrodzeniem z drutu kolczastego.

Podwójne wrota rozwarły się automatycznie i kolumna wjechała do środka.

Sunący powoli pojazd Manescu dotarł do ogromnej groty, w której podniosły się, również automatycznie, stalowe drzwi. Zapalone wewnątrz jarzeniówki rzucały zimne światło, gdy zjeżdżali po rampie w głąb ziemi.

Podziemny kompleks wzniesiono w lecie, a ekipy budowlane pracowały na trzy zmiany przez całe doby. Manescu widział zainstalowaną na dachu sieć anten, przewodów i czasz. Przypominało mu to System Wczesnego Ostrzegania.

— Co tu się oficjalnie znajduje? — zapytał, gdy pojazd skręcił za rogiem do dużego garażu. Oceniał, że muszą już być trzy piętra pod powierzchnią ziemi.

— Najnowocześniejszy na świecie Instytut Meteorologii. A także obserwatorium. Bada się tutaj zmiany klimatyczne i obserwuje niebo.

— I to jest jedyne przeznaczenie tego miejsca? Manescu nie ukrywał zdziwienia.

— A do czego innego miałyby służyć?

Buggy zatrzymał się przy zamkniętych drzwiach windy. Kierowca wyłączył silnik i w tej samej chwili do garażu wjechała następna z maszyn.

— Tutaj ma pan wysiąść — mówił dalej kierowca. — Proszę nie zapomnieć bagażu. Wejdzie pan do windy i naciśnie guzik ze znakiem „minus dwa”. Nie wiem, jaka sekcja znajduje się na tym poziomie...

Za drzwiami windy czekał umundurowany strażnik, nie mający żadnej plakietki pracownika Instytutu Meteorologii. Zaprowadził Rumuna do dużego, pozbawionego okien pokoju, który przypominał celę. Jeszcze w garażu, gdy otworzyły się drzwi windy, Manescu poczuł falę przyjemnego ciepła. Ten pokój ogrzany był równie dobrze.

W kwadrans później znany już Rumunowi strażnik zaprowadził go do usytuowanego na tym samym poziomie pomieszczenia, wyglądającego jak sala widowiskowa. Całe wnętrze wypełniały rzędy podnoszonych krzeseł z twardymi oparciami, opadające amfiteatralnie w kierunku podwyższonego podium. Na jednym końcu sali znajdował się duży biały ekran, na drugim — szyba z mlecznego szkła.

— Ma pan usiąść w pierwszym rzędzie poinformował strażnik, gdy do wielkiej sali zaczęli napływać pozostali członkowie grupy, przywiezionej w kolumnie pojazdów. Tylko Manescu zaproponowano miejsce na samym przedzie.

Światło było rozproszone i w sali panował półmrok. Strażnicy rozdali siedzącym na widowni ludziom szklanki z wodą mineralną i wyszli. Na ekranie pojawił się jakiś obraz. Manescu uważnie mu się przyjrzał. Przedstawiał Europę Wschodnią w postaci rozrzuconej układanki, z poprzysuwanymi granicami. Potem rozległ

się zniekształcony głos mężczyzny, którego niewyraźna sylwetka pojawiła się za mleczną szybą. Szkło miało jakąś wadę — jak krzywe lustro w wesołym miasteczku — i nie sposób było odgadnąć, jak ten człowiek naprawdę wygląda.

— Wy wszyscy, którzy tu dzisiaj zasiadacie, jesteście uczestnikami wielkiej krucjaty — powiedział tajemniczy głos.

Manescu wydawało się, że rozpoznaje nosowy amerykański akcent. Nic mu to zresztą nie dawało. Połowa ludzi w Europie mówiła po angielsku z takim właśnie akcentem. Człowiek za szybą ciągnął dalej:

— Nasza krucjata ma przywrócić światu porządek, stabilność i dyscyplinę.

Wstrząsana niepokojami Europa Wschodnia — kraje bałkańskie, Czechosłowacja, Węgry, Polska, Bułgaria i Rumunia — znajduje się w stanie chaosu. Ten politykier Gorbaczow mówi

o europejskim domu od Atlantyku po Ural. Nasza wizja jest o wiele bardziej rozległa. Istnieje szansa, aby stworzyć wspólną ojczyznę dla całej zachodniej cywilizacji, od amerykańskich wybrzeży Pacyfiku aż po Ural. Ale ziemie te muszą być pod kontrolą i zarządkiem Nowego Jorku...

Hipnotyzujący głos zamilkł. Za szybą z matowego szkła Franklin D. Hauser otarł

z czoła pot. Ogrzewanie włączono na cały regulator, aby osłabić zdolność percepcji zgromadzonych na sali ludzi, uczynić ich bardziej podatnymi na jego słowa. Podjął wątek:

— Każda z obecnych tu dzisiaj osób ma do odegrania kluczową rolę w realizacji tego wielkiego planu. Dysponujecie specjalnymi umiejętnościami i doświadczeniem, które pomoże nam osiągnąć cel. Z czasem przyjadą tu na szkolenie nowi ludzie, ale wy będziecie im przewodzić. Tworzymy najsprawniejszą tajną policję, jaka kiedykolwiek istniała. Będziecie prowadzić działalność w krajach, które wam przydzielimy. Otrzymacie ogromne sumy na wykonanie zadania. Ci, którzy sobie tego zażyczą, dostaną z czasem nowe dokumenty

1 luksusowe rezydencje w Stanach...

Znowu zamilkł. Manescu usiłował przyjrzeć się dokładniej sylwetce za szybą.

Było to niemożliwe. Słowa tego człowieka zrobiły na nim wrażenie. W jaki sposób zamierzał zrealizować swój plan? Jakby odczytując jego myśli, nieznajomy mówił dalej:

— Jak można to wszystko osiągnąć? Za pomocą pieniędzy. Dysponujemy miliardami dolarów. Rozpadające się państwa, które wymieniłem, są niemal zrujnowane. Wykupimy potajemnie większość udziałów w strategicznych gałęziach ich przemysłu. Musimy zatem kontrolować rządy tych krajów. Za pomocą łapówek — nie ma ludzi nieprzekupnych — i usuwania na zawsze wszelkich tak zwanych idealistów, którzy staną nam na drodze. Macie doświadczenie w tego rodzaju akcjach. A teraz przechodzę do najważniejszego zadania.

Z głosu nieznanego mężczyzny emanowała siła i pewność siebie. Był

pierwszorzędnym mówcą — Manescu musiał to przyznać. Czuł, jak siedzących za nim ludzi ogarnia podniecenie. Widownia milczała, wsłuchując się w każde słowo.

— Najważniejszym zadaniem jest przejęcie Rosji. Myślicie, że to trudne? Wcale nie! Gorbaczow nie ma pojęcia, co robi, jakie wyzwolił siły — siły, które my okiełznamy i poddamy kontroli. Ogłosił, że pozwoli na rozwój prywatnej przedsiębiorczości. My się tym zajmiemy.

Na sposób amerykański. Dla wielu wpływowych ludzi w tym kraju korupcja była od lat chlebem powszednim. W razie potrzeby rozpalimy na nowo ten dawny płomień, aby zapewnić sobie zwycięstwo. Mamy już w Związku Sowieckim agentów, którzy przesyłają nam raporty. Imperium się rozpada. Na jego miejscu musimy stworzyć takie, które stanowiłoby przeciwwagę dla miliarda Chińczyków. Przejmiemy kontrolę nad nowym państwem rosyjskim. Być może utworzymy niezależną Ukrainę — w Niemczech, w Monachium, działa już niepodległościowa organizacja Ruch Wolnej Ukrainy. Przy ogromnych funduszach, jakie oddamy im do dyspozycji, następnym problemem Gorbaczowa będzie rozpad jego imperium. A my pozbieramy odłamki...

Znowu nastąpiła przerwa. Manescu miał wrażenie, że postać za matową szybą pije coś z naczynia o absurdalnym kształcie. Słyszał za plecami głośnie posapywanie, gdy nieznajomy mówił o planach wobec Rosji.

— Gwarantuję powodzenie tego projektu — ciągnął tajemniczy głos — ale muszę mieć pewność, że nadajecie się wszyscy do jego realizacji. Dlatego tu jesteście. Ukryci głęboko pod śniegiem Arktyki,

zostaniecie poddani całej serii prób i testów. Okaze się, czy macie dość energii i zdolności, by wywiązać się ze swoich zadań. Nie liczcie, że będzie wam lekko. Pamiętajcie jednak... — Głos przycichł. — Ostatecznym celem jest Moskwa i przywódców tej gigantycznej operacji czekają ogromne zaszczyty. Dobranoc...

Ktoś zaczął bić brawo. Manescu zastanawiał się, czy nie był to jeden ze strażników, ale jeśli tak, nie musiał wcale tego robić. Z tyłu zerwała się burza oklasków i zanim zdążyły ucichnąć, wartownicy odprowadzali już widzów tego ponurego spektaklu do ich kwater.

Kiedy Manescu znalazł się u siebie, spojrzał na towarzyszącego mu strażnika i wskazał na przedmioty, których nie było przedtem w pokoju. Na drewnianym stoliku, przy którym stało zwykłe krzesło, znajdowały się dwie litrowe butelki wody mineralnej. Leżał tam również duży notatnik i kilka kulkowych piór.

— Po co to wszystko?

— Od tej chwili pozostanie pan w pokoju i przez czterdzieści osiem godzin nikt tu nie wejdzie — poinformował go strażnik. — Dysponuje pan toaletą i miejscem do spania. Światło będzie cały czas zapalone. W notatniku ma pan zapisywać wszelkie uwagi na temat sposobu przeprowadzenia krucjaty, o której wspominał

Przywódca.

— Przywódca?

— Człowiek, który przemawiał. — Strażnik zatrzymał się przy wyjściu. — Drzwi będą zamknięte. Nie dostanie pan nic do jedzenia. I proszę oddać mi zegarek.

— Dlaczego? — zapytał Manescu, choć domyślał się odpowiedzi. Odpiął zegarek i wręczył go wartownikowi.

— Nie powinien pan wiedzieć, ile czasu upłynęło, znać pory dnia, a nawet daty.

Pozostali goście przebywają w takich samych warunkach.

Nie mówiąc nic więcej strażnik zatrzasnął stalowe drzwi i Manescu usłyszał, jak przekręca klucz w zamku. Były szef rumuńskiej Securitate uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie pewne zdanie z wysłuchanego właśnie przemówienia. „Okaze się, czy macie dość energii i zdolności...” Kolejny przypominający celę pokój w głębi korytarza zajmowała Irina Sierowa, do niedawna jedyna kobieta w randze pułkownika w sowieckim KGB, teraz, na skutek przeprowadzonej przez Gorbaczowa czystki, pozostawiona bez pracy.

Wyciągnęła schowany w rajstopach grzebień i zaczęła przeczesywać włosy.

Strażnik zabrał jej z torebki wszystkie kosmetyki. Takie drobne szykany pozbawiały człowieka pewności siebie. Irina mierzyła metr sześćdziesiąt pięć wzrostu, chodziła w butach na wysokich

obcasach. Miała długie ciemne włosy i zgrabne nogi. Należała do tych trzydziestopięcioletnich kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy. W Moskwie nazywano ją przytulanką. Podczas służbowej podróży do Anglii zabiła dwóch ludzi. Policja nie miała żadnych szans na zatrzymanie morderczyni.

Zerwała kapsel z jednej z dwóch butelek i wypila łyk wody mineralnej. Musiała jej wystarczyć na dłużej. Mogła obejść się przez dwa dni bez spania i bawiła ją próba, której była poddawana.

Usiadła przy stole, wzięła do ręki pióro i zaczęła pracować. W nagłówku pierwszej strony zanotowała temat wstępnych notatek: „zastraszanie”.

Franklin D. Hauser, opatulony w futro, opuścił Instytut Meteorologii w niewielkim *buggy*, który zawiózł go na oddalone o kilometr lądowisko śmigłowców. Hauser nie miał ochoty pozostawać dłużej w tym białym arktycznym piekle.

Kompleks instytutu był dziełem kontrolowanej przez Hausera spółki budowlanej. Funduszy dostarczył jeden z jego banków we współpracy z Francuzami i Niemcami, co nadało przedsięwzięciu międzynarodową renomę.

Żaden ze wspólników nie miał jednak zielonego pojęcia o istnieniu drugiego i trzeciego poziomu.

Z uczuciem ulgi wszedł na pokład zaopatrzonego w płozy śmigłowca typu Sikorsky, który czekał, by odlecieć z nim z powrotem do Helsinek. Kiedy maszyna wzbiła się w górę, wyrzał przez okno w mrok bezksiężycowej nocy.

— OK — powiedział do siebie. — Rozpocząłem operację. Teraz trzeba nadać jej rozmach.

Newman tak wyliczył czas, aby wrócić na Greenway Gardens po zapadnięciu zmroku. Była ósma, gdy Evelyn otworzyła zamknięte na łańcuch drzwi, a potem wpuściła go do środka. Miał przy sobie niewielką torbę i dziewczyna musiała źle zrozumieć cel jego wizyty, bo kiedy usiedli w salonie przy zaciągniętych kotarach, zapytała:

— Postanowiłeś ze mną zostać?

— Nie. Chcę cię stąd zabrać. Przemyslałem to, co mi powiedziałaś — o twojej pracy w Sekcji Biogramów i o tym, co przydarzyło się później dwóm fińskim przemysłowcom. Na dodatek przychodzą tu ci dwaj zbóje, żeby zmusić cię do podpisania polisy, którą przeczytałem od deski do deski...

— Po twoim wyjściu miałam jeszcze jedne odwiedziny.

Słuchał z uwagą, jak relacjonuje wizytę Adama Carvera i przebieg ich rozmowy.

Pokazała Newmanowi otrzymaną wizytówkę. Rzucił na nią okiem, a potem spojrzał na Evelyn.

— Wystarczy. Nie mam już najmniejszych wątpliwości. Po co wysyłaliby jednego z wiceprezesów do kogoś, kto w tak ogromnym przedsiębiorstwie jest —

przepraszam za określenie — nic nie znaczącym pionkiem? Najpierw zjawili się twardzi faceci, a potem ktoś kulturalny i sympatyczny. Numer stary jak świat. I dowiedział się od ciebie, że nie podpisałaś umowy.

— Czy popełniłam błąd? — zapytała z niepokojem. — Zaczynam czuć się jak w potrzasku.

— Nieważne. Ci dwaj pierwsi faceci już to wiedzieli. Myślę, że Adam Carver spróbuje delikatnie skłonić cię do podpisania polisy. Co się stanie, jeżeli znowu odmówisz? Popełniono już dwa morderstwa.

— Przerażasz mnie!

O to właśnie Newmanowi chodziło. Wykorzystując jej wzburzenie naciskał

jeszcze mocniej.

— Odkąd się rozstaliśmy, zdołałem odszukać kolejnego byłego pracownika korporacji INCUBUS. Nie pytaj, w jaki sposób. Mieszka w innej dzielnicy Londynu. Złożyłem mu wizytę, ale milczał jak zakłęty. Nie wspominał ani słowem, na czym polegała jego praca. Był zdenerwowany i chciał się mnie szybko pozbyć.

— Jak myślisz, dlaczego?

— Najwyraźniej podpisał ten dokument i zgodził się na intratną pensję — w zamian za milczenie.

Był przerażony, kiedy wspomniałem o firmie ubezpieczeniowej „Braterstwo i Równość”. Pokazał mi drzwi. Dzieje się coś piekielnie niedobrego. Dlatego właśnie spakujesz torbę i jeszcze dzisiaj stąd wyjedziesz.

— Dokąd?

— Wspominałaś chyba, że Sandy miała dom w Southwold, w hrabstwie Suffolk? Prawdę mówiąc, nigdy tam u niej nie byłem. Spotykaliśmy się zwykle w mieście i szliśmy gdzieś na kolację.

— To nie jest w Southwold — powiedziała powoli. Newman widział, że zastanawia się nad jego propozycją. — Sandy mówiła zawsze o Southwold —

ciągnęła dalej — bo zna to miejsce więcej osób, ale dom stoi w miejscowości Walberswick. Nawet numer telefonu należy do Southwold. Kto by tam słyszał o Walberswick?

— Ja słyszałem. Jest tam centralny pasaż, nazywany po prostu Ulicą. I są bardzo ładne domy, o ile dobrze pamiętam. Do tego dwa albo trzy hotele.

Niedaleko stamtąd do morza. Jedziesz do końca Ulicy, trzymając się lewej strony, aż trafisz na parking. Po prawej masz pofałdowany obszar wydm. Trzeba przejść przez nie spory kawałek, żeby wspiąć się na kamieniste wzgórze. I już jest morze!

Evelyn uśmiechnęła się, co Newman rzadko miał okazję obserwować podczas ich

— krótkiej, co prawda — znajomości.

— Widzę, że znasz Walberswick...

— Leży z dala od utartych szlaków — mówił dalej. — Zawiozę cię tam jeszcze dzisiaj. Masz klucz od domu Sandy?

— Tak. Myślisz, że będę tam bezpieczniejsza?

— Na pewno. Zaczynaj się pakować...

O dziesiątej w nocy Ulica wyglądała jak pusty, wytyczony dwoma szeregami drzew tunel, który oświetlały reflektory prowadzonego przez Newmana mercedesa 280E. W pięknych domach po obu stronach drogi paliły się gdzieś tam światła, ale tylko na górze. W Walberswick ludzie wcześniej kładli się spać.

— Zwolnij — powiedziała siedząca obok Newmana Evelyn. — Zbliżamy się do tego domu.

— Zaraz tu wrócimy. Chcę wpaść do jednego z hoteli, żeby coś sprawdzić. Ten nieźle wygląda. Zostawiam włączone ogrzewanie. Zaraz wracam...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wyskoczył z samochodu i ruszył w kierunku hotelu. Gdy tylko wysiadł z wozu, omal nie zwałił go z nóg gwałtowny podmuch wiatru znad pobliskiego morza. Zbierało się na

burzę.

— Czy mogę wynająć na parę dni dwuosobowy pokój? — zapytał recepcjonistę w podeszłym wieku.
— Jestem sam, ale chcę mieć więcej przestrzeni.

Zostawiłem walizkę u znajomego przy głównej ulicy. Zapłacę panu z góry —
dodał, wyciągając portfel.

Wpisał do książki fałszywe nazwisko i adres. P. Ashbourne, 17 Lever Road, Bournemouth. Był to zapewne zbytek ostrożności, ale w przypadku, gdyby korporacja INCUBUS wysłała na przeszpiegi kolejnych zbirów, nie będą wiedzieli, że jest w tej okolicy. Jak dotąd wykazali się znakomitą organizacją.

— O co chodziło? — zapytała Evelyn, kiedy siadał za kierownicą.

— Miałem do załatwienia prywatny telefon — skłamał. — Wracamy do domu Sandy.

— Nazywa się „Różana altanka”. Jedź powoli. Możesz zaparkować na podjeździe albo nawet zajechać od tyłu.

W świetle księżyca, wyglądającego zza pędzonych wiatrem chmur, wiejski domek prezentował się jak na efektownej pocztówce. Miał dwie kondygnacje. Na piętrze znajdowało się więcej okien niż na parterze. Były wpuszczone w dach kryty dachówką. Newman objechał dom i wyłączwszy silnik sięgnął po klucz, który Evelyn trzymała w ręce.

— Wejść pierwszy — powiedział jakby mimochodem. Idąc po wyłożonej kamieniami ścieżce między wysokimi krzakami róż podniósł z ziemi jakąś żelazną rurkę i zacisnął ją w odzianej w rękawicę dłoni. Jeśli dobrze poszukać, zawsze znajdzie się pod ręką jakaś broń. Otworzył stare, gęsto nabijane gwoździami frontowe drzwi i pchnął je do środka. Evelyn, sięgnąwszy mu przez ramię, zapaliła światło i jęknęła.

— Zaczekaj tu — nakazał jej Newman.

Z ogrodu wchodziło się od razu do głównego salonu. Pokój był kompletnie zdewastowany. Wyciągnięte z szafek szuflady były porzucane po podłodze, między nimi leżały rozbebeszone perkalowe poduszki. Kozetka z rozerwanym obiciem stała na sztorc.

— O, mój Boże! — szepnęła Evelyn. — Tutaj też byli.

— Zostań przy drzwiach, dopóki się nie rozejrzę...

Przeszukał pobieżnie cały dom, trzymając ciągle w ręce żelazną rurkę. Nie był

szczególnie zaskoczony włamaniem. Z przestronnego salonu, gdzie w głębokiej wnęce mieścił się staromodny kamienny kominek, obok którego leżała sterta porąbanych drewn, przechodziło się wąskim korytarzem do kuchni i niewielkiego gabinetu.

Oba pomieszczenia zostały dokładnie przeszukane w równie bezwzględny sposób. Wrócił na korytarz i wbiegł lekko po wąskich, kręconych schodach, aby zajrzeć do trzech sypialni, łazienki i toalety. Niczego nie przeoczono. Kiedy zbiegł na dół, Evelyn siedziała już w fotelu.

— Sukinsyny! — powiedziała przez zaciśnięte zęby. — Splądrowali dom Sandy.

— Spojrzała na Newmana. — Nikogo nie złapałeś?

— Nie. Już dawno ich nie ma. To musiało się stać niedługo po tym, jak był tu Buchanan ze swoim pomagierem. Policja znalazła klucz w torebce Sandy, w jej jaguarze.

— Nie ma śladów włamania. A może tylne drzwi?...

— Są zamknięte na mocny zamek. Ci faceci muszą znać się na wytrychach.

Zaczekaj tu. Zawiozę tylko do hotelu walizkę. Zarezerwowałem tam pokój.

— Mógłbyś przecież zostać tutaj...

— Mógłbym — przyznał — ale to dom Sandy. Kiedyś tu mieszkała. Pozwolisz, że przenocuję gdzie indziej. Zaraz będę z powrotem i pomogę ci posprzątać. Nie sprzeciwiaj się. Zarygluj frontowe drzwi, dopóki nie wrócę...

W hotelu zaniósł walizkę do przytulnego pokoju, otworzył ją i zostawił

podniesione wieko. Nagle coś sobie przypomniał. Nie powiedział Evelyn całej prawdy. Widział już kiedyś „Różaną altankę”, ale tylko od zewnątrz. Sandy odnawiała dom i zabroniła mu wchodzić. „Wszystko musi być przyszykowane na twoje przyjęcie” — powiedziała z tym swoim promiennym uśmiechem. Gdy tylko wszedł do „Różanej altanki”, poczuł wyraźny zapach świeżej farby. O mało się nie rozplakał. Nie, za nic nie mógłby nocować w tym domu. Nie mówiąc już o tym, że Evelyn najwyraźniej darzyła go względami.

Wrócił do Evelyn. Dziewczyna zdążyła zrobić już trochę porządku w kuchni i zaparzyć kawę. Wypili ją wśród panującego wokół spustoszenia, nie odzywając się ani słowem. W końcu Newman odstawił trzymany w ręku duży kubek.

— Strasznie tu zimno — zauważył. — Zacznę od rozpalenia ognia w salonie. Na twoim miejscu tam bym dzisiaj spał.

Nie chciał wychodzić, dopóki w domu nie zapanował niemal wzorowy porządek.

W końcu nie było już prawie widać śladów włamania. Pożegnał się szybko z Evelyn, mówiąc, że wróci po śniadaniu.

— Moglibyśmy zwiedzić razem Minsmere — zaproponowała. — To rezerwat Królewskiego Towarzystwa Ochrony Ptaków. Powinny tam jeszcze być wędrownie świstuny. Wątpię, czy przy takiej pogodzie odleciały na północ.

— Niezły pomysł. A na razie — dobranoc...

— Jeszcze zanim odejdziesz, Bob... — zatrzymała go, podbiegając do drzwi. —

Jak myślisz, czego mogli szukać ci ludzie, którzy splądrowali dom Sandy?

— Nie mam pojęcia — skłamał.

Recepcjonista w hotelu dał mu klucz od frontowych drzwi. Wyszedł na spacer w kierunku morza. Był przygotowany na złą pogodę. Miał na sobie ciężki wojskowy trencz z podniesionym kołnierzem i zsunięty na czoło nieprzemakalny kapelusz.

Sztorm się nasilał. Newman skręcił w lewo, w kierunku parkingu, pozostawiając za sobą zabudowania Walberswick, a potem poszedł na wschód, między pokryte zaroślami wydmy. Myśli kłębiły mu się w głowie. Spacerował tu kiedyś pod rękę z Sandy i czując na twarzy uderzenia wiatru przypominał sobie, że była wtedy podobna pogoda.

Po pięciu minutach zmudnego marszu w świetle księżyca dotarł na szczyt kamienistego wzgórza. Wodny pył z rozbijających się u jego stóp potężnych fal spryskał mu twarz. Opierając się podmuchom zawodzącego wiatru złożył

uroczystą przysięgę:

— Zniszczę skurwysynów za to, co zrobili Sandy!

Tej nocy Newman prawie wcale nie spał. Okłamał Evelyn mówiąc, że nie ma pojęcia, czego szukali włamywacze. Był przekonany, że to, co chcieli znaleźć, znajduje się w jego rękach.

Chodziło o zapisany odręcznymi notatkami Sandy kalendarzyk w oprawie z czerwonego płótna. Wiedział, gdzie go szukać, kiedy opuścił dzwonnice po odnalezieniu zwłok dziewczyny. Podeszedł do zaparkowanego obok jaguara, otworzył drzwiczki od strony kierowcy i sięgnął pod fotel. Notatnik był

przymocowany od spodu taśmą klejącą. Oderwał go i włożył do kieszeni, ale nie wspomniał Buchananowi o jego istnieniu. Nazywało się to „ukrywaniem dowodów w sprawie o zabójstwo”.

Do diabła z nimi! Prowadził własne śledztwo. I — jak przewidywał Tweed, rozmawiając na ten sam temat z Paulą — należało się spodziewać, że ujawnienie szczegółów działalności korporacji INCUBUS, tej hydry, która obejmowała swymi mackami cały świat, zajmie mu wiele miesięcy.

Przeczytał ponownie część notatek Sandy.

12 stycznia. Bennington, Swindon. Obrabiarki. James Archer —

naczelnny dyrektor, jedyny właściciel spółki. Gotowy biogram

przekazany sekcji 31 stycznia. Oferta przejęcia firmy — 20 lutego.

Uwaga: Archer ma córkę, Julię. 5 kwietnia. Firma Manningham

Electronics, dolina Tamizy. Zminiaturyzowane podzespoły

komputerów. Prezes — Gavin Manningham. Gotowy biogram

przekazany 2 maja. Oferta przejęcia firmy — 28 maja. Uwaga:

Manningham ma kochankę...

Podobne notatki dotyczyły sześciu innych spółek w strategicznych gałęziach przemysłu, a także niewielkich prywatnych banków. Newman ziewnął. Boże, ależ był wykończony! Spojrzał na zegarek — wskazywał godzinę trzecią. Rozebrał

się szybko, umył zęby i wskoczył do łóżka. Zanim zasnął jak kamień, wsunął

jeszcze notatnik Sandy pod poszewkę poduszki.

Kolejny dzień przyniósł kolejną burzę. Tweed stał za gęstymi firankami, zasłaniającymi okna jego biura przy Park Crescent, i patrzył na drzewa w odległym Regent's Park, które kołysały się i drżały pod naporem wiatru.

— Zebrałam od naszych informatorów całkiem sporo danych — stwierdziła Paula zza swego biurka.

— Mnie też nie najgorzej się powiodło — powiedziała Monika, porządkując serię zakodowanych faksów z Europy.

— I co z tego wszystkiego wynika? — zapytał Tweed, siadając za swoim biurkiem na obrotowym fotelu.

— Miałeś rację — zaczęła Paula. — Faktycznie wygląda na to, że niektórzy czołowi agenci komunistycznych służb bezpieczeństwa z różnych krajów Europy Wschodniej jakby rozplynęli się w powietrzu. Oczywiście nie mamy pewności.

Panuje tam kompletny chaos, ale jeden człowiek na pewno zdołał się wymknąć.

— Kto taki?

— Ion Manescu, zły duch Securitate.

— Zdecydowałem już wcześniej, że musimy go dokładnie sprawdzić. I to natychmiast, biorąc pod uwagę treść twojego raportu. Za chwilę będzie tu Guy Dalby. Przylatuje z Wiednia. Zna już swoją działkę.

Mimo nadejścia głośności Tweed utrzymał na zachodzie Europy rozległą sieć agentów. Sytuacja była jeszcze za mało stabilna, a przyszłość wyglądała zbyt niepewnie, aby pozwolić sobie na zmniejszenie czujności.

Po wstrząsającym zabójstwie Harry'ego Mastertona podczas „kryzysu greckiego klucza” Tweed dokonał pewnego przegrupowania wśród szefów czterech sektorów. Niemiec Erich Lindemann kontrolował nadal sektor skandynawski wraz z wysuniętym rejonem penetracji — północną Rosją. Harvey Wilson, awansowany błyskawicznie terenowy agent, zastąpił nieżyjącego męża Pauli jako kontroler obszaru Niemiec, Holandii i Belgii. Rejon penetracji — Polska i Czechosłowacja. Reg Finch, awansowany równie szybko czterdziestolatek o bardzo stanowczym charakterze, przejął dawny sektor Dalby'ego: obszar Morza Śródziemnego obejmujący Francję, Hiszpanię, Włochy, Turcję i Szwajcarię.

Rejon penetracji — Libia i Bliski Wschód.

Rozległo się pukanie do drzwi. Tweed zawołał: „Proszę!” i do pokoju wszedł Guy Dalby. Stacjonując w Wiedniu, kontrolował szczególnie newralgiczny sektor bałkański, a więc obszar Austrii, Jugosławii i Grecji. Podlegał mu również najtrudniejszy rejon penetracji — Węgry, Rumunia, Bułgaria i Ukraina.

— Jakież kłopoty? — zapytał beztriosko, gdy Tweed wskazał mu krzesło obok swojego biurka. — Wezwanie brzmiało dość nagłaco.

Dalby, ubrany w zwyczajny szary garnitur, odrzucił z czoła kosmyk ciemnych włosów. Robił wrażenie bardzo pewnego siebie, co działało Pauli na nerwy, choć doceniała jego nieprzeciętny umysł.

— IonManescu — powiedział Tweed, przechodząc od razu do rzeczy. —

Słyszałeś o nim?

— Czy słyszałem? — Śmiech Dalby'ego zabrzmiał głucho. — Był jednym z wysokiej rangi funkcjonariuszy, których staraliśmy się mieć zawsze na oku —

kiedy tylko mogliśmy. Z niezrównanym mistrzostwem potrafi utrzymać w tajemnicy miejsce swego pobytu i pozostawiać fałszywe ślady. To człowiek niebezpieczny, bezwzględny i okrutny. Uosobienie zła. Blisko współpracował z Ceausescu — a jednocześnie przysyłał informacje do Moskwy. Ceausescu o tym nie wiedział, ale my i owszem. Gdyby urodził się w Stanach, wysoko zaszedłby w CIA i nadal donosiłby Moskwie...

— Czy to znaczy, że jest po stronie Rosjan? — przerwał mu Tweed.

— Na Boga, nic podobnego! — Ten pomysł rozbawił Dalby'ego. — Manescu jest lojalny tylko wobec siebie. Trzymał się Rosjan na wypadek, gdyby Moskwa przejęła kiedyś władzę w Bukareszcie. Poza tym miał z tego niewątpliwie dodatkowy zarobek.

— Gdzie jest teraz? — zapytał spokojnie Tweed.

— Popisał się znowu swoimi magicznymi zdolnościami do znikania. — Dalby wykonał gest prestidigitatora. — Przez chwilę go widać, a potem już nie.

Podobno uciekł z kraju, gdy w rewolucji nastąpił nieoczekiwany zwrot. A może trzymany jest potajemnie pod strażą w zamku Drakuli. To dla niego idealne miejsce.

Tweed odruchowo kreślił coś na papierze. Narysowawszy straszliwą twarz wampira z wielkimi kłami podniósł wzrok znad kartki.

— Muszę wiedzieć z całą pewnością, czy Rumuni mają go u siebie, czy uciekł.

Jeśli tak, to dokąd.

— Niewiele wymagasz, prawda? Mam tam wysłać paru ludzi?

— Chcę, żebyś sam pojechał. Uzgodniłem już ze znajomym, który jest mi winien przysługę, że przyślę mu inspektora nadzoru, aby poleciał ze sprzętem medycznym do Bukaresztu. Ty będziesz tą osobą. — Wręczył Dalby'emu złożoną kartkę papieru. — Masz tu nazwisko i telefon. Sprzęt wysyłany jest dziś wieczorem ze Stansted.

— Co ten facet o mnie wie?

— Zamierzałem ci to właśnie powiedzieć. Zastosujemy zwykły kamuflaż. Jesteś z Wydziału Specjalnego. Sprawdzasz nowy szlak przerzutu narkotyków — w powiązaniu z działalnością jednej z grup IRA. Napomknij mu o tym przy okazji.

— Chyba nie sądzisz, że od razu to powiem? Powinienem już lecieć. Odezwę się, kiedy wrócę do Wiednia. O ile wrócę. — Wstał, pomachał na pożegnanie Monice, zrobił oko do Pauli i wyszedł.

— Ten facet za bardzo się wymądrza — zauważyła Paula. — Nie wie chyba, że za nim nie przepadam.

— Owszem, wie — powiedział Tweed. — Dlatego puścił do ciebie oko. Żeby ci zrobić na złość.

— Czy to nie za duże ryzyko posyłać do Rumunii właśnie Dalby'ego? On tak dużo wie...

— Jeszcze niedawno byłoby to nie do pomyślenia — przyznał Tweed — ale skoro przywozi im pomoc medyczną, przywitają go z otwartymi ramionami. Już on się o to postara. Teraz możemy już tylko czekać na jego raport i zabrać się do dalszej pracy.

— Skoro tak mówisz... — powiedziała Paula niepewnie.

Tweed pomyślał, że Paula nie potrafi dostrzec prawdziwej natury Dalby'ego. Pod maską nonszalancji, którą lubił się popisywać w biurze przy Park Crescent, krył się wyjątkowo bystry umysł. Poza tym, obok innych języków, znał

także rumuński, choć Tweed wątpił, czy w Bukareszcie ktokolwiek się o tym dowie.

— Z tego włamania do domu Sandy wynika chociaż jedna korzyść — powiedział

Newman do Evelyn, gdy wracali samochodem z rezerwatu przyrody w Minsmere. — Nie przyjdzie im już raczej do głowy, żeby cię tam szukać.

— Jesteś tego pewien? — zapytała zdenerwowana dziewczyna.

— Nie mogę mieć całkowitej pewności — przyznał — ale spójrz na to z ich punktu widzenia. „Różana altanka” należała do Sandy. Musieli o tym wiedzieć, skoro z taką skrupulatnością rejestrują szczegółowe informacje o swoich pracownikach. Przyjechali tam po coś, co ich zdaniem powinna mieć, i znaleźli to albo nie. Tak czy inaczej, uznali, że tę sprawę już załatwili.

— To był dla mnie bardzo miły dzień — powiedziała Evelyn z rozrzewnieniem.

Spędzili go spacerując po rezerwacie, podglądając świstuny i inne dzikie ptactwo taplające się w lagunie w pobliżu morza. Sklepienie nieba miało błękitny kolor, a powietrze było świeże i czyste. Zjedli kanapki, które przygotowała Evelyn.

Newman poprzestawał na ogólnych tematach, nie podtrzymując rozmowy, gdy Evelyn próbowała zejść na sprawy bardziej osobiste. Postanowił pojechać z powrotem do Londynu, aby przejrzeć rejestr spółek.

— Czy musisz tak szybko wracać? — zapytała błagalnym tonem Evelyn, gdy samochód podskakiwał na wybojach.

— Dopóki pozostaniesz w okolicy Walberswick, będziesz bezpieczna. Gdybyś potrzebowała jakiejś odmiany, w Dunwich jest sympatyczny pub. W miejscu, gdzie wjeżdżamy na szosę u wylotu drogi do Minsmere, trzeba skręcić w prawo, a nie w lewo, jak do Walberswick. Tylko uważaj! Nie zbliżaj się do Southwold.

Jakiś tajemniczy impuls kazał Newmanowi jechać do Londynu drogą przebiegającą obok dzwonnicy, w której zginęła Sandy. Poprzedniego dnia odbyło się w Southwold przesłuchanie z udziałem koronera. Uczestniczył w nim razem z Evelyn.

Główny inspektor Buchanan złożył krótkie, suche zeznanie. Śledztwo jest w toku. Nie natrafił dotychczas na żaden ślad. Konkluzja była oczywista. „Zabójstwa dokonał nieznany sprawca...” Wypowiadając te słowa koroner wbił wzrok w Newmana, który odwzajemnił mu się tym samym. Kiedy przesłuchanie dobiegło końca, Newman natychmiast odwiózł Evelyn do domu.

Zapadła już noc, gdy znalazł się na szosie A1 120, minął Yoxford i jechał dalej krętą wiejską drogą. Nie miał przed sobą żadnych pojazdów, mógł więc włączyć na stałe długie światła, które-omiatały pokryte warstwą szronu zaorane pola.

Noc była zimna, wiał nieprzyjemny wiatr. Pogoda harmonizowała z jego nastrojem.

Był blisko drogi do dzwonnicy, której ciemna, ponura sylwetka rysowała się w blasku księżyca, gdy zobaczył w oddali, po prawej stronie, lunę światła.

Rozpoznał dworek Livingstone, angielską posiadłość Franklina D. Hausera.

Podjechawszy bliżej zobaczył, że we wszystkich oknach starej georgiańskiej rezydencji palą się światła. Na dole spuszczone były zasłony, u góry jednak je rozsunięto. Newman zmniejszył prędkość.

Zmrużył oczy, widząc obok budynku sylwetkę śmigłowca. Spędził trzy dni w hotelu w Walberswick — głównie po to, by wziąć udział w przesłuchaniu, ale także dlatego, że chciał w miarę swoich możliwości pocieszyć Evelyn.

Przypomniawszy sobie, że w dniu, gdy odnalazł zwłoki Sandy, Buchanan złożył

wizytę w dworku Livingstone i został poinformowany, iż Hauser jest w Finlandii.

Pamiętał również, że na północy, w pobliżu Beccles, znajduje się lądowisko dla śmigłowców.

Czy Hauser był teraz w swej posiadłości? Mógł dotrzeć prywatnym odrzutowcem na lotnisko we wschodniej Anglii, kazać się stamtąd zawieźć na lądowisko śmigłowców, wsiąść na pokład jednego z nich i przylecieć tu, do swojej rezydencji. Istniała taka możliwość.

Zatrzymał się przed wysoką bramą z grubych żelaznych prętów, która zagrażała wjazd na teren posiadłości, i spostrzegł w świetle reflektorów wmurowany w jeden ze słupów domofon. Przycisnął guzik.

— Nazywam się Robert Newman — oznajmił. — Chciałbym zobaczyć się z panem Hauserem. Pod warunkiem, że nie jest zajęty...

Franklin D. Hauser, ubrany w wieczorowy strój, siedział w wielkim fotelu z czasów regencji w dużym salonie. Okna wychodziły na długi podjazd i widoczną w oddali bramę. Przed domem rozciągał się równo przyszyony trawnik, a na jego obrzeżach rosły szpalerem drzewa; wśród nich, w jednym z narożników, potężny dąb.

— Opowiedz mi — rzekł Hauser, zwracając się do Adama Carvera — jak poradziłeś sobie z tą Evelyn Lennox?

— Straciłem ją z oczu — przyznał otwarcie Carver. Z kieliszkiem w dłoni stał

obok przestronnego kominka. Wewnątrz paleniska płonął z trzaskiem obłożony drwami wielki pniak. Carver jedną ręką odchyłał marynarkę, by przy ogniu grzać sobie plecy.

— No, no. Okazałeś się bardzo nieostrożny. Stracić z oczu dziewczynę, z którą kazano ci porozmawiać — szydził Frank Galvone stojący bliżej Hausera.

— Przestań, Frank — skarcił go po przyjacielsku Hauser. — Daj Adamowi skończyć. Jestem pewien, że ma coś jeszcze do powiedzenia.

— Rozmawiałem z nią w jej mieszkaniu przy Greenway Gardens — ciągnął

Carver, puszcżając mimo uszu słowa Franka. — Krótko mówiąc, nie zgodziła się podpisać polisy. Powiedziała mi poza tym, że jakiś facet, który ma na imię Steve, wyciągnął broń, kiedy podczas ich tête-à-tête zjawił się u niej Newman, ten znany dziennikarz. Nie wiedziałem, że spółka zatrudnia rewolwerowców.

— Zajmujesz się bankowością — powiedział szybko Frank. — Trzymaj się tego.

— Czy to oznacza, że pracują dla nas ludzie uzbrojeni w automatyczne pistolety? — zapytał Carver.

— Ależ nie! — Hausera rozbawiło to przypuszczenie. — Powiniennem dodać, że Frank miał na myśli Amerykę. Może się tam zdarzyć, że w niektórych zakładach strażnicy noszą broń. W Stanach jest to powszechnie praktykowane...

Zamilkł nagle, gdyż ktoś zapukał do drzwi. Galvone zawołał: „Wejść!” i w pokoju zjawił się lokaj, niosący na srebrnej tacy złożoną kartkę papieru. Podsunął tacę Frankowi, który wziął do ręki kartkę, rozłożył ją, przeczytał kilka zapisanych tam słów, po czym przekazał notatkę Hauserowi, odprawiając lokaja ruchem głowy.

— O wilku mowa — stwierdził. — Newman czeka pod bramą i chce się z panem zobaczyć. Powiem mu, żeby wziął dupę w troki.

— Zaczekaj. — Hauser powstrzymał go ostro. Otworzył trzymaną na kolanach niebieską teczkę i przejrzał zapisane na maszynie kartki papieru. — Grimwood donosi, że Newman zjawił się i zepsuł

im robotę akurat w chwili, gdy Lennox była gotowa przystać na podpisanie umowy. I Adam właśnie to potwierdził.

Trzeba zawsze spotykać się z wrogiem i słuchać, co ma do zakomunikowania.

Jak mówią Brytyjczycy: kto w czas ostrzeżony, w porę uzbrojony. OK. Adamie, bądź tak uprzejmy i powiedz Wintertonowi, żeby wpuścił pana Newmana.

Dziękuję ci.

Galvone czekał, aż Carver wyjdzie z pokoju, po czym oznajmił:

— Myślę, że popełnia pan błąd. Rzadko zgadza się pan na rozmowę z dziennikarzem.

— Jesteś porywczy, Frank. Nigdy nie zasiądziesz na tym fotelu, dopóki nie nauczysz się panować nad nerwami. Doprawdy, musisz przyglądać się uważniej moim metodom.

— Wiem, że czasem nie postępuję jak należy. — Galvone musiał się przemóc, żeby to powiedzieć, ale zdawał sobie sprawę, że popełnił błąd. — Z reguły jednak potrafię się zorientować w sytuacji. Chyba przyda mi się następny kieliszek.

Wyjął butelkę z antycznego barku i nalał sobie podwójną szkocką. Hauser wychylił się z fotela, otworzył szufladę biurka i wsunął do niej teczkę Grimwooda. Potem znów wygodnie się rozsiadł i zapalił papierosa. Galvone położył pospiesznie na stoliku obok szklaną popielniczkę.

Newman wszedł do salonu w towarzystwie Carvera. Płaszcz miał przewieszony przez ramię. Nie oddał go lokajowi — mogło się zdarzyć, że będzie chciał nagle wyjść. Uśmiechał się, idąc przez wielki salon w kierunku Hausera.

— Bardzo dziękuję, że zechciał mnie pan przyjąć. Zwykle umawiam się na spotkanie, ale przejeżdżając tędy przypadkiem zobaczyłem światła... i śmigłowiec. Domyśliłem się, że właśnie wrócił pan z Finlandii.

Za okularami dostrzegł błysk lodowato zimnych niebieskich oczu. Zerknąwszy na Franka Galvone ujrzał coś odmiennego. Jego ciemne oczy płonęły wrogością, był cały spięty, jakby szykował się do skoku. Uderzanie z marszu było ulubioną taktyką Newmana. Hauser pierwszy otrząsnął się z wrażenia.

— Ogromnie mi miło poznać wreszcie słynnego dziennikarza. Czytałem pańską książkę „Kruger — komputer, który zawiódł”. To światowy bestseller. Musiał pan zrobić na nim majątek.

— Owszem — przyznał Newman. — Dał mi finansową niezależność, ale od czasu do czasu jeszcze pracuję. Kiedy zainteresuje mnie jakiś temat.

— Przepraszam, zapomniałem panów zapoznać... — Hauser przedstawił mu Adama Carvera i Franka Galvone. — Obaj są głównymi wiceprezesami. —

Uśmiechnął się. — Pewnego dnia jeden z nich zajmie moje stanowisko. Pytanie tylko: który?

— Cóż, to chyba zależy od pana.

— Frank, nalej panu Newmanowi drinka. Czego się pan napije? Potem może mi pan powiedzieć, o co chodzi.

Newman podziękował, ale odmówił poczęstunku. Zajął miejsce w fotelu, który Hauser wskazał mu gestem swej potężnej dłoni.

— Mam nadzieję, że zgodzi się pan na wywiad dla pisma „Der Spiegel”. W

dogodnym dla pana terminie — dodał uprzejmie.

— Mogę poświęcić panu teraz piętnaście minut. Potem przyjeżdżają do mnie goście na kolację. Niech pan pyta.

Newman wyjął notatnik, po czym spojrzał na dwóch wiceprezesów korporacji.

— Zawsze przeprowadzam wywiady w cztery oczy. Inaczej nic z tego nie wychodzi.

Hauser się rozpromienił.

— Moi drodzy, może znaleźlibyście sobie na chwilę jakieś zajęcie? Najlepiej zróbcie coś pożytecznego dla firmy.

Galvone podszedł bliżej i położył Newmanowi dłoń na ramieniu. Pod zaciśniętą ręką poczuł twarde jak stal mięśnie. Tego się nie spodziewał.

— Zanim pójdziemy — powiedział — sprawdzę, czy ten facet nie ma spluwy albo magnetofonu.

— Zrobił to już strażnik w hallu. — Newman podniósł wzrok na Franka Galvone. — Bądź uprzejmy zabrać tę rękę albo sam ją zdejmę. A to zaboli.

— Spróbuj, cwany dupku...

— Znowu reagujesz zbyt impulsywnie — zauważył Hauser. — Czy muszę ci przypominać, że pan Newman jest naszym gościem? I to honorowym.

Mówiąc te słowa przycisnął guzik ukryty w poręczy fotela. W drzwiach w głębi salonu natychmiast pojawił się lokaj. Hauser odezwał się do niego takim tonem, jakby zamawiał herbatę:

— Winterton, czy możesz potwierdzić, że pan Newman został dokładnie skontrolowany przez strażnika, zanim tutaj wszedł?

— O tak, sir. Jak najbardziej.

— Dziękuję, Winterton. To wszystko. — Hauser popatrzył na Newmana. —

Proszę przyjąć moje przeprosiny. Niestety, na tym świecie powodzenie rodzi zawiść, a ta z kolei prowadzi do wrogości. Smutne, ale tak już jest. Ochrona nie powinna nikomu ufać w stu procentach, bo inaczej to żadna ochrona.

Galvone odsunął rękę i cofnął się o kilka kroków. Rzuciwszy Newmanowi wściekłe spojrzenie wyszedł razem z Carverem z salonu. Newman wyprostował

się w fotelu i rzekł z uśmiechem:

— Skoro mowa o ochronie, strażnik przy bramie naprawdę powinien był mnie sprawdzić. Gdyby jakiś uzbrojony napastnik załatwił go i zdołał wejść do środka, miałby pan kłopoty.

— Dziękuję za ostrzeżenie. O co chce mnie pan zapytać?

— Dlaczego rozszerza pan działalność na teren Europy i jakie ma pan plany?

— Bardzo skromne, panie Newman. Chodzi o drobne inwestycje korporacji INCUBUS w pewnych towarzystwach dla uzyskania oparcia wewnątrz Wspólnego Rynku. Można by to nazwać działalnością uboczną.

— Czyżby? Obrabiarki firmy Bennington w Swindon. Kluczowy zakład w kluczowym przemyśle. Firma Manningham Electronics w dolinie Tamizy.

Spółka produkująca najnowocześniejsze urządzenia w Europie Zachodniej.

— Naprawdę? — Hauser machnął w powietrzu papierosem, ale Newman dostrzegł znowu za szklami okularów przelotny błysk. — Panie Newman, jestem naczelnym dyrektorem i prezesem dużej międzynarodowej organizacji. Nigdy nie zawracam sobie głowy drobiazgami. Zajmuję się ogólną polityką firmy. Nie oczekuje pan chyba, że będę dokładnie wiedział, co się dzieje w każdej z wielu sekcji?

— Słynie pan podobno z mistrzowskiej orientacji w szczegółach. Spółki, o których wspominałem, są ważnymi nabytkami.

— Ich nazwy nic mi nie mówią. Musiałby pan porozmawiać z Adamem Carverem albo z Frankiem Galvone.

— To jeden z nich zostanie kiedyś — lub nie — pańskim następcą?

Hauser odrzucił do tyłu swą wielką głowę i zaśmiał się nieszczercze.

— Jest pan spostrzegawczy. Przejrzał pan moją taktykę. Dzięki niej bardziej się starają.

— Wspomniał pan o skromnych inwestycjach w Europie. A co z firmą elektroniczną Timo Metsoli w Finlandii, skąd właśnie pan przyleciał? Mam wrażenie, że sieć pańskich zakładów bardzo się

roзраста.

— Ta nazwa też niewiele mi mówi. — Hauser był wyraźnie zły. Zdusił w popielniczce na wpół wypalonego papierosa. — Radzę uważać z tym artykułem, panie Newman. Niech pan nie przekreśli faktów. Działam w amerykańskim stylu.

Zaskarżę pana i bez namysłu obedrę ze skóry.

— Jaka jest pańska ogólna strategia w nowej, niepewnej sytuacji w Europie? —

naciskał dalej Newman.

— Chcę, gdzie się da, utworzyć nowe miejsca pracy. Traktuję korporację INCUBUS jako instytucję służącą ludzkości. Moim jedynym posłaniem jest niesienie pomocy bliźnim bez względu na rasę czy wyznanie. Może pan to zacytować.

— Metody działania są panu także obojętne?

Hauser przycisnął guzik w oparciu fotela.

— Ta rozmowa zaczyna mnie nudzić. Skończyliśmy. Miałem o panu lepsze mniemanie. — Był coraz bardziej zły. — W przyszłości radzę zachować ostrożność. Może byłoby lepiej zrezygnować z pracy i cieszyć się fortuną, którą zawdzięcza pan swojej książce. — Spojrzał na wchodzącego do salonu Wintertona. — Proszę, odprowadź pana Newmana do drzwi. Musi natychmiast wyjść.

— Dziękuję za wywiad.

Newman uśmiechnął się i wstał. Schował do kieszeni notes i pióro. Przeszedł

szybko po lśniącym parkiecie, narzucając na ramiona płaszcz.

Słyszając dwukrotny sygnał brzęczyka, Galvone wszedł pośpiesznie do salonu.

Zorientował się z wyrazu twarzy Hausera, że coś jest nie w porządku. W dodatku na wytwornej koszuli szefa były ślady popiołu z papierosa. Galvone wyciągnął z butonierki chusteczkę.

— Proszę wybaczyć — powiedział przymilnie, strzepując chusteczką popiół. —

Czy coś się stało?

— Robert Newman właśnie wyszedł. Idzie teraz w kierunku bramy. On nas śledzi, Frank. I sporo już wie. Nie podoba mi się to. Ani trochę.

— Mam od razu zająć się tą sprawą?

— Decyzja należy do ciebie, Frank. — Skierował na podwładnego spojrzenie twarde jak stal. — Nie życzę sobie być w nic zamieszany. Działaj dyskretnie.

— Prowadzi mercedesa 280E. Strażnik podjechał do bramy i sprawdził to...

Wykrzykując te słowa przez ramię, Galvone wybiegł niemal z salonu, zamknął drzwi i popędziwszy hallem do wyjścia zniknął w ciemnościach.

Newman leżał na plecach pod samochodem tuż za okratowaną bramą, która otworzyła się automatycznie, gdy podjeżdżał, a kiedy ją minął, zamknęła się za nim. Poświecił miniaturową latarką, sprawdzając od dołu podwozie. Było mało prawdopodobne, żeby podłożyli bombę tak blisko rezydencji Hausera, ale wołał

się upewnić, niż zginąć. Nie dotykając podwozia przesunął się po żwirze, wstał

i otworzywszy przednie drzwiczki od strony pasażera pociągnął za dźwignię, aby odblokować maskę.

Podniósł ją i obejrzał pobieżnie silnik. Również tam niczego nie znalazł. Trzęsąc się z zimna zdjął trencz i otrzepawszy go z brudu ponownie się ubrał, po czym usiadł za kierownicą. Mimo przenikliwego chłodu opuścił szybę, zanim włączył

silnik.

Oddalając się od posiadłości Hausera usłyszał odgłos jakiegoś innego silnika.

Rozpoznał dźwięk wirników startującego śmigłowca. Silniej nacisnął pedał gazu i popędził po wiejskiej, zupełnie pustej drodze. Miał zapalone długie światła, by widzieć z daleka niezliczone zakręty. W blasku reflektorów jeden po drugim ukazywały się nagie żywopłoty przypominające zasieki z drutu kolczastego.

Terkot śmigłowca narastał. Słyszał go już blisko, tuż za plecami. W minutę później zobaczył z prawej strony przelatującą na wysokości około sześćdziesięciu metrów maszynę. Wyprzedziła go, błyskając czerwonymi i zielonymi światłkami, a potem zniżyła lot i gdzieś zniknęła.

Newman zmarszczył brwi, przypominając sobie dzień odnalezienia ciała Sandy i fragment rozmowy z Buchananem podczas przerwy w przesłuchaniu w Southwold. Gdy padło nazwisko Hausera, Buchanan wzruszył ramionami i odstawivszy kubek z ohydną kawą stwierdził:

— Myślę czasami, że ci faceci z dużą forszą lubią wszystkim pokazywać, jak im się w życiu powiodło. Hauser posiada nie tylko ośmiohektarową działkę, na której stoi dworek Livingstone. Posterunkowy z Yoxfordu powiedział mi, że na zachód od wiejskiej rezydencji ma oprócz tego osiemdziesiąt hektarów uprawnej ziemi...

„Właśnie teraz przejeżdżam obok jego majątku” — pomyślał Newman. Więc może gdzieś na tym terenie wylądował śmigłowiec? Newman jechał bardzo szybko, kiedy helikopter nad nim przeleciał. „Zapewne wiedzą, że to mój wóz” —

przemknęło mu przez głowę. Znacznie zmniejszył prędkość, przygasił światła i w ślimaczym tempie

pokonywał zakręty, trzymając cały czas prawą nogę nad pedałem gazu.

Jechał tak przez jakiś czas po zupełnie pustej szosie. Osiadający na polach szron lśnił w świetle księżyca, a po obu stronach drogi zaczynały się unosić opary mgły przypominające spienione grzywy morskich fal. Minąwszy kolejny zakręt Newman zobaczył w oddali, tuż przy drodze, szeroki sosnowy zagajnik.

Zatrzymał się, wyłączył światła i zaczął nasłuchiwać.

Czyżby mu się zdawało? Gotów był przysiąc, że doleciał go odgłos innego silnika, jakiś dziwny hałas — jakby szczęk i zgrzyt obracających się trybów. Teraz nic nie mąciło ciszy zimnej, bezwietrznej nocy. Włączył silnik i ruszył w dalszą drogę.

Zwiększył prędkość do siedemdziesięciu kilometrów na godzinę. Nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od terenów, przez które przejeżdżał. Zbliżał się właśnie do zagajnika, wyglądającego jak ciemna wysepka na poboczu drogi.

Odkąd minął go przelatujący śmigłowiec, obserwował czujnie okolice. Wtem dostrzegł jakiś ruch. Zmrużył oczy. Coś ogromnego wypełzło zza zagajnika i posuwało się w kierunku szosy. Usłyszał znowu złowróżbne dudnienie. Tym razem łoskot był

o wiele głośniejszy, wręcz ogłuszający.

Znajdował się dziesięć metrów od zagajnika, gdy zlokalizował źródło hałasu.

Przez drogę przejeżdżał wielki traktor na ogromnych kołach. Musiał zareagować w ułamku sekundy. Z całej siły nacisnął na gaz i mercedes śmignął do przodu jak torpeda. Żółty potwór już go niemal dopadał. Miał teraz włączone dwa potężne reflektory, które wyglądały jak ogromne ślepia. Newman nie zdejmował nogi z pedału gazu. Z prawej strony majaczyła mu nad głową złowieszczą sylwetka ciągnika. Mercedes przemknął zaledwie parę centymetrów od kół traktora. We wstecznym lusterku pojawiła się masywna, żółta bryła, która blokowała całą drogę. Newman popędził dalej przed siebie...

Siedzący za kierownicą ciągnika Frank Galvone zaklął siarczyście. Pomylił się minimalnie w ocenie prędkości wozu swej ofiary. Zaklął ponownie i zaczął cofać maszynę po wiejskiej drodze w kierunku kotliny, gdzie czekał na niego pilot śmigłowca.

Newman był wstrząśnięty tym, co go spotkało. Minąwszy zaledwie przed dwiema godzinami budzącą bolesne wspomnienia dzwonnice, myślał cały czas o śmierci Sandy. Normalnie zawróciłby samochodem w miejscu i dobrał się do skóry kierowcy ciągnika. Nie miał jednak pojęcia, kto nim kierował. Poza tym nie był już uzbrojony — odebranego Steve'owi walthera, a także wyjęty z niego wcześniej magazynek, cisnął do morza- w Walberswick.

Pięć minut później zobaczył światła wiejskiej gospody „Pod Kucykiem”.

Zaparkował samochód wśród kilkunastu innych, w miejscu niewidocznym z szosy, i wszedł do środka.

Był to stary pub z osmolonymi dymem belkami na suficie i głębokim kominkiem, w którym trzaskały i skwierczały płonące drwa. W lokalu panował

łok. Przebywali tam głównie okoliczni mieszkańcy — robotnicy rolni, mający nogawki spodni przewiązane w kostkach kawałkami sznurka albo spięte klamerkami, jakich używają rowerzyści. Newman oparł się o zaplamiony drewniany bar. Właścicielem pubu był niski, pucołowaty mężczyzna o rumianej twarzy.

— Dobry wieczór. Co mogę panu podać?

— Poproszę szkocką. I trochę wody.

Barman postawił przed Newmanem szklankę i pchnął przez kontuar dzbanek z wodą, bacznie obserwując przybysza.

— Pan nie jest z tych stron?

— Nie. — Newman zapłacił za drinka. — Przeprowadzałem właśnie wywiad z niejakim Franklinem D. Hauserem. — Rozcieńczył whisky wodą i pociągnął łyk ze szklanki. — Podobno nie jest zbyt popularny w tej okolicy.

Uświadomił sobie, że ludzie wokół nagle zamilkli. Z lewej strony przysunął się do niego jakiś potężnie zbudowany mężczyzna w sztruksowej marynarce, trącając go łokciem pod żebro.

— Kończysz drinka i spadasz stąd, no nie?

— Co on gada? — Odezwał się inny głos, tym razem z prawej strony. Stał tam mierzący z metr dziewięćdziesiąt olbrzym o czarnych włosach i brwiach, które łączyły się nad grzbietem ogromnego nosa. — Jed, słyszałeś? Jemu nie podoba się pan Auser!

— Może się jeszcze napiję, a może nie — odparł Newman, patrząc na typa w sztruksowej marynarce.

— Najlepiej poprzestań na jednym, a potem spływaj. Dan, prawda, że tak byłoby lepiej dla niego?

Olbrzym o imieniu Dan podniósł szklankę Newmana i podsunął mu ją do ust.

— Bądź grzeczny i dokończ to. — Wyszczерzył w uśmiechu zepsute zęby.

— Niech pan odstawi ostrożnie tę szklankę — powiedział spokojnie Newman.

— Powinienem pana ostrzec, że służyłem kiedyś w Specjalnych Siłach Powietrznych. Gdybym musiał się bronić, spróbuję pana nie zabić — ale biorąc pod uwagę moje wyszkolenie... Poza tym nie powiedziałem, że nie lubię Hausera. Słyszałem tylko, że jest niepopularny. To było w Yoxfordzie.

Zastanawiałem się, z jakiego powodu.

— Yoxford! — Facet w sztruksowej marynarce zaśmiał się sarkastycznie. — Co ci prostacy wiedzą!
— Zwrócił się do olbrzyma, mówiąc Newmanowi przed nosem: — Dan, na twoim miejscu odstawiłbym szklankę delikatnie na miejsce.

Źle tego pana zrozumieliśmy.

Szklanka została postawiona na ladzie. Newman wypił jeszcze trochę i wreszcie zadał nurtujące go pytanie:

— Jak widzę, Hauser cieszy się tu sympatią. Wcale mnie to nie dziwi — skłamał

— ale czy ktoś zechce mi powiedzieć, za co tak bardzo go lubicie?

— Bo nie skąpi pieniędzy — wtrącił się właściciel pubu zadowolony, że uniknął

kłopotów. — Dam panu przykład. Burza powaliła kiedyś mnóstwo drzew i zniszczyła sporo domów. Nie byliśmy ubezpieczeni. I kto wtedy do nas przyszedł

i powiedział, że za wszystko zapłaci? Pan Franklin D. Hauser.

— Ma pan rację, że jest bardzo hojny.

— To jeszcze nie wszystko — dodał typ w sztruksowej marynarce. — Kiedy ktoś w okolicy ma kłopoty ze spłatą hipoteki, wysłarc/y.

że pójdzie do dworu. Pan Auser mu pomoże. Miejscowi nie dadzą powiedzieć o nim złego słowa. — Nachylił się i Newman wyczuł w jego oddechu kilka litrów piwa. — I dużo zrobią, żeby mu pomóc, gdyby miał jakieś kłopoty.

— Dobrze, że mi pan to powiedział. — Newman dopił whisky. — Najwyraźniej w Yoxfordzie źle mnie poinformowano. A teraz muszę już iść.

Jadąc nocą z powrotem w kierunku Londynu, Newman chciał jak najszybciej wydostać się z „parafii” Hausera. Nie mógł odmówić Amerykaninowi sprytu.

Udając filantropa, okazywał się niezwykle szczodry dla miejscowych wieśniaków. Zapewniało mu to całą armię sojuszników — i potencjalnych szpiegów — na dużym obszarze wokół majątku Livingstone. Newman zastanawiał się, czy Hauser stosował podobne metody w innych rejonach świata.

Przyszło mu również do głowy, że mały w ten sposób szanse znalezienia świadka, który zauważyłby Sandy, przyjeżdżającą o świcie jaguarem pod dzwonnice. Prawdopodobnie uzgodniono już w okolicy, że nikt niczego nie widział i nie słyszał. Nasunęło mu to następne przypuszczenie: zakładając, że Sandy została zamordowana z powodu swoich niedawnych powiązań z korporacją INCUBUS, zabójcą mógł być jeden z bliskich współpracowników Hausera. Sam Hauser sprawił na nim wrażenie człowieka, który postępuje bardzo rozważnie. Nie wynajmowałby zabójców na jeden raz. Za duże ryzyko.

„Mój Boże! — pomyślał Newman. — Kto wie, czy w dworku Livingstone nie spotkałem się z mordercą”. Zauważył, że Adam Carver jest wysportowany, bardzo sprawny i silny. Oprócz niego był jeszcze Frank Galvone. Na pierwszy rzut oka przypominał gangstera, ale Newman spotykał różnych względnie uczciwych Amerykanów na wysokich stanowiskach, którzy początkowo robili na nim takie samo wrażenie. Intrygował go fakt, że zastał obu tych mężczyzn w dworku Livingstone. Podobno morderca wraca zawsze na miejsce zbrodni?

Takie to luźne myśli plątały mu się po głowie, gdy dojeżdżał do swego mieszkania w South Ken. O pierwszej w nocy ruch był minimalny.

Znajdował się już tak blisko domu przy Beresforde Road, że jechał zupełnie wolno, szukając miejsca do zaparkowania. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawiła się ogromna ciężarówka z naczepą i oddzielną kabiną kierowcy. Z zapalonymi światłami pędziła wprost na niego. Próbował usunąć się z drogi, ale było już za późno. Monstrum uderzyło w tył jego samochodu. Chociaż Newman był w pasach bezpieczeństwa, poleciał do przodu i uderzył czołem o kierownicę.

Podniósł z wysiłkiem głowę. Wszystko widział jak za mgłą. Machinalnie nadepnął na hamulec, co zapewne było błędem. Migocące mu w oczach, ogromne jak u ośmiornicy ślepiec wielkiej ciężarówki zaczęły przygasać. Pojazd cofał się. Potem skręcił za róg i zniknął. W tym momencie Newman stracił przytomność.

Dwadzieścia siedem stopni Celsjusza.

W czerwcu Londyn prażył się nadal w fali upałów, które trwały od maja. Tweed wyglądał z biura przez okno, ubrany tylko w koszulę

i spodnie z lekkiego materiału. Był późny ranek i turyści ciągnęli w palącym słońcu w kierunku Regent's Park.

Monika strasznie się pociła, choć na biurku miała włączony wentylator.

Wyglądało na to, że wiatrak jedynie miesza gorące, gęste powietrze. Tweed odwrócił się szybko, gdy otworzyły się drzwi i weszła Paula. Wyczuwał, że jest czymś podekscytowana.

— Bob biega sobie po Hyde Parku. Czy to nie wspaniałe? Na własne żądanie wyszedł ze szpitala. Weźmie w domu kąpiel i zaraz tu przyjdzie.

— Trzeba to uczcić — stwierdził Tweed. — Napijmy się szampana!

— Dopiero jak przyjdzie — powiedziała Paula. Rozsiadła się w fotelu za biurkiem. — Trzy złamane żebra i wstrząs mózgu. Jest silny jak byk. Wiele przeszedł.

— Nie przejmowałem się za bardzo tymi żebrami — oznajmił Tweed, siadając na obrotowym fotelu. — Miał niezłą kondycję i byłem pewien, że się wyliże. Ale wstrząs mózgu to poważna sprawa.

— Lekarz też nam to powtarzał — przypomniała Paula. —

I bardzo nalegał, żeby Bob został pod jego opieką, aż ustaną bóle głowy. Wiem, że te bóle Boba wykańczały.

— To ten kierowca ciężarówki chciał go wykończyć — wtrąciła ponurym tonem Monika. — I proszę, co robi policja? Znajdują

o kilometr dalej porzuconą ciężarówkę i stwierdzają, że została skradziona. Po kierowcy ani śladu.

Zadzwonił telefon i Paula pierwsza sięgnęła do aparatu. Rozmawiała przez chwilę, po czym odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się.

— Bob już tu jest — powiedziała. — Jedzie na górę.

Newman wszedł, patrząc niezbyt przytomnym wzrokiem. Paula natychmiast się nim zajęła. Zerwała się, podbiegła i wskazała mu fotel.

— Znowu boli cię głowa? — zapytała.

— Nie. — Obdarzył ją szerokim uśmiechem. — Przepraszam, tylko się zamyśliłem. Czuję się dobrze.

Przypominałem sobie pewne fakty wynikające z danych, których mi dostarczyłaś. Kiedy leżałem w separacie, często korzystałem z telefonu. W notesie Sandy — tym, który znalazłem wtedy rankiem w jej jaguarze koło dzwonnicy — była wzmianka o „Drakonie”. Teraz wiem już, co to jest. Korporacja INCUBUS ma pod Bostonem ośrodek badawczy o kryptonimie

„Drakon”. Tam rodzą się wszelkie pomysły. A Ed Riverton był wiceprezesem kierującym tą instytucją. Napomknął mi o tym, gdy robiłem z nim wywiad w Helsinkach. Wkrótce i on został zamordowany.

— Jak myślisz, dlaczego zginął? — zastanawiał się Tweed.

— Ponieważ zaczęły go niepokoić zamierzenia tych wszystkich stukniętych naukowców, których zatrudnia Hauser. Niestety, nie mam pojęcia, co oni planowali.

— Więc nie posunęliśmy się wiele do przodu — zauważył Tweed. — Mamy jednak sporo danych na temat tego gigantycznego banku. Zebraliśmy je, kiedy byłeś na urlopie...

— Wielkie dzięki za taki urlop!

— Czy wiedziałeś, że to największy bank w Stanach Zjednoczonych? — nie dawał za wygraną Tweed. — Większy nawet od Banku Ameryki, Dysponuje ogromnymi zasobami i pakietami kontrolnymi w kluczowych przemysłach całego zachodniego świata.

— Władza. — Newman przerwał, aby napić się przygotowanej przez Paulę kawy. Szampan mógł zaczekać. — Władza — powtórzył. — Oto, do czego dąży Hauser. Chce skupić w swoich rękach władzę, jakiej nie posiada nikt na świecie.

Kontaktowałem się z paroma kumplami z prasy. Składam fragmenty łamigłówek.

Aha, przy okazji: jedzie tu właśnie inspektor Buchanan. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciw temu?

— Ja? Skądże. Sądziłbym raczej, że tobie może to przeszkadzać. Odkąd trafiłeś do szpitala, był tu już dwa razy. Chyba ciągle jesteś dla niego głównym podejrzanym.

-- Gdy znajdziesz się w ślepych zaułku, trzeba brać byka za rogi — w tym przypadku bykiem jest Roy Buchanan. Chcę mu zadać kilka pytań. Z pomocą twoją i Mauno Sarina. Mam nadzieję, że jest jeszcze szefem tajnej policji w Helsinkach?

— Tak, ale nie rozumiem...

— Zrozumiesz.

Zadzwoił telefon. Tym razem Monika podniosła słuchawkę. Paula przyglądała się Newmanowi. Był w wyjątkowo dobrej formie. Emanowała z niego siła fizyczna i witalność. Wszystko wróciło do normy. Monika zakryła ręką mikrofon.

— Masz teraz szansę. Buchanan jest na dole. — Spojrzała na Tweeda. —

Pozwolić mu wejść?

— Wpuść go.

Główny inspektor Buchanan wszedł do biura w towarzystwie posepnego sierżanta Wardena. Miał na sobie ten sam szary garnitur co poprzednio.

Rozejrzał się po obecnych, jakby był zdziwiony, że zastał tak liczne grono. Tweed wskazał gościom fotele, po czym usiadł z boku. Zostawił Newmanowi inicjatywę.

— Panie inspektorze, czy śledztwo w sprawie zabójstwa Sandry Riverton posunęło się naprzód? — zaczął Newman.

— Zwykle to ja zadaję pytania — Buchanan był wyraźnie rozbawiony — ale skoro już o tym mowa, odpowiedź brzmi: nie. Z jednej strony nie powinienem oczekiwać, że znajdę jakichś świadków, skoro to, co się wydarzyło, miało miejsce o świcie. Z drugiej strony istniała pewna nadzieja. Na wsi ludzie wcześniej wstają.

— Próbował pan? — dopytywał się Newman.

— Tak. I napotkałem mur milczenia.

— Wcale mnie to nie dziwi... — Newman opowiedział pokrótce, co spotkało go w gospodzie „Pod Kucykiem” na parę godzin przed wypadkiem, po którym wylądował w szpitalu.

— Ciekawa historia. — Buchanan milczał przez chwilę. — Nie obciąża jednak bezpośrednio Hausera, który zapewne nie ma z tą zbrodnią nic wspólnego. —

Znowu zamilkł. — Chyba że uwzględnimy zabójstwo męża ofiary, Edwarda Rivertona, o którym Tweed poinformował mnie, gdy był pan w szpitalu.

Spośród przebywających w biurze osób tylko Buchanan wydawał się odporny na upał. Założył nogę na nogę i zupełnie rozluźniony przyglądał się Newmanowi na wpół przymkniętymi szarymi oczami. Siedzący z tyłu sierżant Warden dobrze się bawił. Po raz pierwszy widział, jak ktoś przypuszcza atak na Buchanana, a nie odwrotnie.

— To się stało w Helsinkach — zauważył Newman. — Kawał drogi od Suffolk.

— Fakt. Kiedy jednak ma się do czynienia z wieloma przypadkami zabójstw, człowiek uczy się rozpoznawać określone schematy. Obie zbrodnie — które zdarzyły się zresztą, o ile wiem, w ciągu dwudziestu czterech godzin — wykazują pewne podobieństwa.

— Jakie podobieństwa?

Buchanan usadowił się wygodniej.

— Sandrę Riverton zamordowano wczesnym rankiem na pustkowiu. Pan Tweed, który zna Finlandię,

twierdzi, że ciało Edwarda Rivertona wrzucono nocą do zamrażniętego basenu portowego.

O takiej porze, kiedy nikt raczej nie wychodzi z domu. Również zastosowane metody wskazują na podobną technikę, choć może wyciągam zbyt pochopne wnioski.

— Chętnie posłucham — nalegał Newman.

— Sandrę Riverton zamordowano, zawiązując jej sznur wokół szyi. Edward Riverton został uduszony. W ten sposób łatwo człowieka zabić. Szyja to wrażliwa część ludzkiego ciała.

— Nadal nie rozumiem, do czego pan zmierza.

— Myślę, że jednak rozumie pan. — Buchanan uśmiechnął się posepnie. —

Wspomniałem wcześniej, że obie zbrodnie popełniono w przeciągu dwudziestu czterech godzin. Intryguje mnie ten czynnik czasu. Jeden człowiek zdążyłby wykonać zadanie w Finlandii, złapać samolot do Londynu i dotrzeć wynajętym samochodem do Suffolk. Dowiedziałem się również, że pan Hauser ma odrzutowego leara, którym lata po całym świecie, i śmigłowiec typu Sikorsky.

Widziałem go, jak startował koło dworku Livingstone. A w kierunku północnym, na południowy wschód od Beccles, jest lądowisko śmigłowców.

„Pracowita z ciebie pszczołka — pomyślał Newman. — Ale po co mi to wszystko mówisz?”

Buchanan ciągnął dalej, udzielając odpowiedzi na nie zadane głośno pytanie:

— Panie Newman, czy nie zamierzał pan przypadkiem lecieć w najbliższym czasie do Finlandii?

— Nie. Dlaczego pan pyta?

— Po prostu odbiegłem od tematu. — Spojrzał na Tweeda, który stwierdził w duchu: „Śmiechu warte. Nigdy ci się to nie zdarza”. — Tak mi coś przyszło do głowy — dodał Buchanan.

— Musiał być jakiś powód — naciskał Newman.

— No cóż, gdyby ktoś taki jak pan powęszył trochę w centrali korporacji INCUBUS w Helsinkach i zadał tam parę pytań, mogłoby to /dać ciekawe rezultaty. Oczywiście musiałby pan śledzić właściwą osobę.

— O co miałbym pytać?

— Myślę, że i to pan wie. Czy tej nocy, kiedy zamordowano Edwarda Rivertona, jeden z pracowników firmy nie przebywał w Helsinkach? I czy ta sama osoba nie była nieobecna następnego dnia? To znaczy wtedy, gdy Rivertona znaleziono w porcie. Ten ktoś odleciał do Wielkiej Brytanii i był tutaj w chwili śmierci Sandry Riverton.

— Niewiele pan wymaga, prawda?

— To tylko propozycja. Cóż, jeśli skończyliśmy, lepiej już pójść. Siedzę teraz po uszy w sprawie zabójstwa z Camden Town. — Wstał. Nie dał się namówić Tweedowi na kawę. Kiedy był przy drzwiach, obejrzał się jeszcze na Newmana.

— Gdyby znalazł pan kogoś, kto pasuje do mojej hipotezy, wybrnąłby pan z kłopotów.

— Więc nadal jestem głównym podejrzanym?

— Powiedzmy raczej, panie Newman, że w bardzo wielu sprawach o zabójstwo winowajcą okazuje się osoba, która odnalazła ciało. Do widzenia, panie Tweed...

Po tych słowach opuścił biuro, zszedł po schodach, wręczył strażnikowi przepustkę i wsiadł wraz z sierżantem Wardenem do zaparkowanego na ulicy nie oznakowanego samochodu.

Usadowiwszy się za kierownicą Warden zapytał:

— Więc nadal pan sądzi, że to mógł zrobić Newman?

— Niczego nie wykluczam, dopóki nie wyjdą na jaw nowe dowody. Newman z pewnością odniósł takie wrażenie.

— O co chodziło z tą Finlandią, szefie?

Buchanan uśmiechnął się blado.

— Jeśli Newman jest niewinny, będzie chciał oczyścić się z podejrzeń. Prosiłem zastępcę komisarza, żeby pozwolił mi lecieć do Helsinek, ale odmówił.

Powiedział, że muszę się skoncentrować na sprawie z Camden Town. Może więc Newman poleci zamiast mnie i wykona całą robotę.

— Myśli pan, że da sobie radę?

— Idealnie się do tego nadaje. Jako dziennikarz z dużym doświadczeniem świetnie się zna na zadawaniu ludziom pytań. Robił to zawodowo przez wiele lat

— zupełnie jak ja.

„Ale cwaniak z ciebie” — pomyślał sierżant Warden. Był jednak dość ostrożny, by nie powiedzieć tego głośno.

— Z powrotem do Scotland Yardu — polecił Buchanan.

•

— No i co ci dało ściąganie tutaj Buchanana? — zapytał Tweed.

— Pewność, że jestem dla niego ciągle głównym podejrzanym. Tego właśnie chciałem się dowiedzieć. Ale uzyskałem więcej, niżbym się spodziewał.

— Co konkretnie?

— Chodzi o Finlandię — wtrąciła Paula. — Bob zamierza lecieć do Finlandii.

Widzę to w jego twarzy. Co więcej — mówiła dalej stanowczym tonem — ja chciałabym lecieć razem z nim. Kobiety dostrzegają czasem sprawy, których mężczyźni nie zauważają. Nie zapominaj, że to ja zdobyłam większość informacji na temat korporacji INCUBUS.

— Jeszcze się zastanowię — powiedział Tweed. — To może być niebezpieczne.

— Już kiedyś o tym rozmawialiśmy! — wybuchnęła Paula. — W Niemczech też się ryzykowało. A wcześniejsza akcja w Rotterdamie była niebezpieczna jak cholera. Nie troszcz się o mnie jak o dwunastoletnią dziewczynkę. Bardzo dziękuję. A może — sięgnęła po swój koronny argument — zrobiłeś się staroświecki? Może uważasz, że kobiety nie nadają się do męskich zadań? ,i

— Powiedziałem, że się zastanowię. — Tweed nie dawał się sprowokować. —

Poza tym wcale nie wiemy, czy Bob leci do Finlandii.

— Chyba się tam wybiorę — potwierdził Newman. — Ale najpierw chciałbym dostać wszystkie informacje, które zdobyła Paula na temat korporacji INCUBUS...

Przerwał, gdyż znowu zadzwonił telefon. Monika podniosła słuchawkę i zaraz, tak jak poprzednio, zasłoniła mikrofon ręką.

— Szefie, to Amerykanin, jakiś Ward Dexter. Mówi, że się go spodziewasz, że już od paru miesięcy wiesz o jego przyjeździe. Czeka na ciebie w hotelu

„Brown's”.

— Powiedz, że będę tam za godzinę. — Tweed chodził po pokoju, ocierając pot z czoła. Upał stawał się nieznośny i pod pachami koszula kleiła mu się do ciała.

Przypomniał sobie, że Guy Dalby, szef sektora bałkańskiego, przesłał mu raport z Wiednia. Dalby dowiedział się w Bukareszcie z całkowicie pewnego źródła, że IonManescu, bezlitosny szef Securitate, żyje.

— Uciekł, Bóg jeden wie dokąd — stwierdził Dalby. — Ale kiedy zniknął, był w jak najlepszej formie...

— Pan Dexter będzie cię oczekiwał — oznajmiła Monika.

— Sprawy nabierają rozpędu. — Tweed włożył płócienną marynarkę. — Zdaje się, że to nasz tajny współpracownik, osobisty wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych. Dowiem się teraz, co

naprawdę niepokoi Waszyngton. To oddzielny problem — powiedział do Newmana.

Tweed złapał taksówkę i powiedział kierowcy, żeby wysadził go przy Burlington Arcade od strony Piccadilly. Przeszedł bez pośpiechu długim pasażem, często przystając, aby popatrzeć na wystawy luksusowych sklepów. Niekiedy oglądał się za siebie.

Dotarwszy do końca pasażu skręcił w lewo, wśliznął się niepostrzeżenie do wejścia hotelu „BrownY” przy Albemarle Street i podążył do recepcji znajdującej się w połowie długiego hallu, wychodzącego na Dover Street. To był dobry hotel

— oprócz doskonałej, dyskretnej obsługi oferował dwa oddzielne wyjścia. Pan Ward Dexter mieszkał w pokoju 144.

Tweed pojechał windą, do której skierował go recepcjonista, i wysiadłszy z niej poszedł pustym korytarzem. Kiedy zapukał trzy razy do pokoju 144, drzwi lekko się uchyliły. Otworzył je brunet o grubych brwiach.

— Pan Dex...

Tweed przyjrzał się człowiekowi, którego zobaczył w drzwiach. Musiał mieć lekko po pięćdziesiątce. Był wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną o wyrazistych rysach. Pod wydatnym nosem miał ciemny, przylizany wąsik, nadający mu wygląd Latynosa. Jedynie lodowate spojrzenie niebieskich oczu upewniło Tweeda, że się nie pomylił.

— Wejdz — powiedział Amerykanin zniecierpliwionym tonem.

Tweed obejrzał luksusowo umeblowany dwuosobowy pokój z widokiem na Albemarle Street. Potem podszedł do okna i zza firanek wyjrzał na dół. Rzekomy Dexter był ostatnią osobą, której przyjazdu z Waszyngtonu mógł oczekiwać.

Odwrócił się od okna. Miał przed sobą Corda Dillona, zastępcę dyrektora CIA.

Paula mówiła o nim: „nie oszlifowany diament”. Monika używała eleganckiego określenia — „facet subtelny jak nosorożec”.

— Widzę, że zapuściłeś wąsy — zauważył Tweed. — A co, u licha, zrobiłeś z włosami?

— Szybko mnie rozpoznałeś? — zapytał Dillon napastliwie.

— Wcale nie. Coś ty ze sobą zrobił?

— Zapuściłem wąsy i ufarbowałem je — tak samo jak włosy. Czy ktoś prócz ciebie mógłby mnie rozpoznać?

Tweed usiadł. Cord Dillon, którego dotychczas znał, miał gęstą kasztanową czuprynę i był gładko ogolony. Uwydatnione dzięki zapadniętym policzkom kości twarzy i wąskie, zaciśnięte usta nie

zmieniły się, współgrały jednak teraz z jego latynoskim wyglądem, podkreślonym dodatkowo przez krój lekkiego garnituru.

— W co ty się ubrałeś? — zapytał Tweed, gdy Dillon nalewał do szklanek wodę mineralną. — Dziękuję, gorąco dzisiaj.

— To garnitur z Włoch. Przejdźmy do rzeczy. Działam na własną rękę. Chcę przez to powiedzieć, że nikt mnie nie ubezpiecza. Nawet szef nie ma pojęcia, że tu jestem.

— Więc kto o tym wie?

— Prezydent. — Dillon przeszedł ciężkim krokiem przez pokój, sadowiąc się w fotelu obok Tweeda. Nawet jego sposób chodzenia uległ zmianie. Zazwyczaj poruszał się jak człowiek, który w nogach ma sprężyny.

— Kto jeszcze? — zapytał Tweed.

— Nikt. Tylko prezydent. Wcale nie żartuję.

— Po co te nadzwyczajne środki ostrożności?

— Chcę przeżyć.

Tweed był zdumiony. Rozmawiał z jednym z najtwardszych i najbystrzejszych Amerykanów, jakich w życiu spotkał. Nigdy by nie przypuszczał, że Cord Dillon powie coś podobnego. Dillon nie okazywał strachu, ale Tweed wyczuwał, że jest napięty jak struna.

— Mógłbyś rozwinąć trochę ten temat? — zaproponował.

— Jasne. Ale najpierw — żebyś wiedział, że jestem *bona jide*, jak mówią Uzbegy — przeczytaj ten dokument.

Tweed odetchnął z ulgą słysząc, że Amerykanin nie stracił swego specyficznego poczucia humoru, i wyjął z grubej koperty kartkę kredowego papieru. W

nagłówku była wytłoczona wielka pieczęć prezydenta. Adresowane do Tweeda upoważnienie brzmiało lakonicznie. Przebiegł oczami napisany na maszynie tekst. Jego uwagę zwrócił następujący akapit:

Cord Dillon jest moim osobistym wysłannikiem i ma polecenie informować mnie o sprawie bez odwoływania się do jakichkolwiek, choćby najwyżej postawionych pośredników.

Poniżej widniał podpis samego prezydenta. Tweed złożył z powrotem kartkę, wsunął ją do koperty i podał Dillonowi.

— Dlaczego powiedziałeś: „chcę przeżyć”?

— Ponieważ korporacja INCUBUS ma już wpływy na wszystkich szczeblach amerykańskiego rządu. Przeniknęła do CIA i FBI. Hauser to multimiliarder.

Opieramy się tylko na pogłoskach, ale sumy, które wypłaca, są astronomiczne.

— Łapówki?

— Tak. Zorganizował własną strukturę władzy wewnątrz tej, która istnieje w Waszyngtonie. Prezydent czuje się jak w oblężonej twierdzy. Nie możemy już nikomu ufać. Każdy jest potencjalnym agentem korporacji INCUBUS.

— Więc dlaczego przyjechałeś tutaj? — zapytał Tweed.

— Ponieważ sądzimy, że właśnie w Europie mamy szansę się z nim rozprawić.

Franklin D. Hauser. Podejrzewamy, że działa nielegalnie. Potrzebujemy niepodważalnych dowodów. Chodzą pogłoski, że współpracuje z dziwnymi ludźmi. Nie wiemy jednak, kim oni są. Niech to cholera, Tweed! Nie wiemy właściwie nic!

— Więc lepiej sprawdźmy wreszcie dokładnie, co on kombinuje. Zwłaszcza w Finlandii.

— Dlaczego miałby wybrać Finlandię?

— Domyślam się, że to doskonała, neutralna baza. Leży daleko na północy —

na pozór z dala od chaosu, który ogarnia Europę Wschodnią. Musimy opracować plan działania — żeby dowiedzieć się, co robi Hauser. Wybudował

dużą centralę w Helsinkach, ma też wieżowiec w Turku, drugim co do wielkości mieście Finlandii. I spędza w tym kraju sporo czasu.

— Więc pojedźmy tam i zróbmy coś, żeby to wszystko rozwalić.

Dillon miał skłonność do stosowania rozwiązań siłowych. Ale nie zawsze. Był mądry i doświadczony, teraz jednak znajdował się pod wpływem stresu — dlatego, że działał w pojedynkę. Zazwyczaj kierował dużym zespołem.

Tweed pomyślał, że może i w tym przejawia się różnica między temperamentem Brytyjczyków i Amerykanów.

— Postępowalbyśmy ostrożnie, Cord — ostrzegł. — Trzymałbym się w ukryciu.

Sam nie mogę na razie jechać, lecz wybiera się tam chyba Bob Newman. Gdyby się zgodził, moglibyście podróżować razem.

— To ten dziennikarz? Nie bardzo do siebie pasujemy. Poza tym on ma naturę samotnika.

— Za kogo się teraz podajesz?

Dillon wypił łyk wody i uśmiechnął się. Opanowanie i bezceremonialny ton Tweeda działały na niego uspokajająco.

— Oficjalnie pracuję dla „Washington Post”. Jako wszędobylski reporter...

— A jeśli ktoś to sprawdzi? — zapytał pospiesznie Tweed. — Powiedziałeś, że tylko prezydent wie...

— W redakcji potwierdzą moją tożsamość. Wydawca myśli, że badam międzynarodowy rynek narkotyków. Jestem kryty.

— Byłoby więc idealnie, gdybyś podróżował z Newmanem. On na pewno nie czuje do ciebie antypatii — mówił dalej Tweed, niezupełnie zgodnie z prawdą. —

Ale musiałyby się zgodzić. Zaczekaj tu parę dni, to Newman się z tobą skontaktuje, zakładając oczywiście, że nie odmówi. W przeciwnym razie sam dam ci znać.

— Nie usiedzę zbyt długo na tyłku w tym starym hotelu. Chociaż przyznaję, że jest niezły. Mają tu bardzo dobrą obsługę. Zbudowano go chyba w czasach króla Jerzego.

— Niezupełnie. — Tweed powstrzymał uśmiech. — Ale bywała tutaj Agatha Christie.

— Nie powtórzysz Newmanowi tego, co ci powiedziałem? — upewnił się Dillon.

— Będę musiał. Zrozum, Bob Newman dla mnie pracuje. Dobrze o tym wiesz. Jest całkowicie sprawdzony.

— W porządku. — Dillon nie wydawał się przekonany. — Nie zapomnij, że zameldowałem się tutaj jako Ward Dexter. I mam nadzieję, że ten twój alfonsowaty szef Howard o niczym się nie dowie?

— Nie jest wtajemniczony w sprawę. Na razie siedź tu i czekaj...

Otmoor to smętne pustkowie ma północ od Oksfordu, gdzie kwaśną glebę porasta niewiele drzew. Newman jechał z prędkością najwyżej pięćdziesięciu kilometrów na godzinę po wąskiej drodze, na którą skręcił z szosy B4027. Obok niego siedziała Paula. Trzymała na kolanach mapę

i pełniła rolę pilota. Z tyłu wiercił się niespokojnie Cord Dillon.

— Wleczeni się jak żółwie — narzekał Amerykanin. — Wiecie już w końcu, gdzie mieszka ten Archer?

— Tak, mamy ogólne pojęcie, panie Dillon — odparła zgryźliwie Paula. —

Proszę wypatrywać domu, który nazywa się „Begonia”.

— Begonia? To brzmi jak nazwa nocnego klubu — mruknął Dillon. —

Naprawdę uważacie, że warto tam jechać?

— Inaczej by nas tu nie było — odparł Newman. — No i dzięki temu wyrwałeś się z Londynu...

— Ale **ktoś** nas śledził. Jechał za nami ten srebrny **Chevrolet**. Nie myślę się, bracie.

— Zauważyłem go, gdy tylko ruszyliśmy spod domu. Wspominałem ci o urlopie spędzonym w szpitalu. To, co mi się przydarzyło, dowodzi, że moi wrogowie wiedzą, gdzie mieszkam. Zauważyłem ten wóz i zgubiłem go na poprzednim rondzie. Ktokolwiek za nami jechał, w Otmoor nas już nie odnajdzie. A gdyby nawet, zobaczymy go z daleka.

Dillon przyznał mu w duchu rację, spoglądając raz jeszcze we wsteczne lusterko.

Droga — wyglądająca niemal jak polny trakt z głębokimi rowami po obu stronach — wyraźnie górowała nad okolicą. W zasięgu wzroku nie było żadnego innego pojazdu.

— Newman, na pewno' się nie mylisz? — Dillon nie dawał za wygraną. — Jesteś pewien, że korporacja INCUBUS przejęła fabrykę obrabiarek Benningtona wbrew woli tego Archera?

— Jestem pewien.

Newman poprzestał na tej informacji. Nie widział potrzeby wspominania Dillonowi o tragicznej śmierci Sandy i o notatniku, który znalazł pod fotelem jej jaguara zaparkowanego w pobliżu dzwonnicy. Notatniku zawierającym zapiski jej rozmów z Archerem z firmy Bennington w Swindon i z zakładów elektronicznych Mannin-ghama w dolinie Tamizy.

Newman zwolnił i zatrzymał samochód przed odsuniętym od drogi domem, aby Paula mogła odczytać jego nazwę. Opuścił szybę w oknie wozu. Panował

nieznośny upał. Z bezchmurnego błękitnego nieba prażyło słońce i wewnątrz samochodu było gorąco jak w piecu. Newman otarł pot z czoła i rąk.

— „Zakątek ostrokrzewu” — Paula odczytała nazwę z tabliczki. — To nie tutaj.

— Pospieszmy się, bo padam z gorąca — burknął Dillon.

— My także, panie Dillon — powiedziała przyjaznym tonem Paula, gdy Newman ruszył dalej.

W oddali widać było duży dom w kształcie litery L, stojący również w dość znacznej odległości od drogi. Dach miał pokryty nową dachówką i otoczony był

żywopłotem z ligustru. Newman znowu zwolnił i sam sprawdził nazwę domu.

„Begonia”. Opłaciło się zmudne dochodzenie, które prowadził telefonicznie ze szpitala. Zakładając, że właściciel domu był na miejscu. W tym momencie zobaczył, że okna są otwarte.

James Archer był wysokim mężczyzną po sześćdziesiątce, o siwych włosach i gładko ogolonej twarzy. Nosił okulary w rogowej oprawie i budził szacunek swym wyglądem. Newman i Paula musieli go przekonywać, aby wpuścił ich do swego domu. Zgodził się na to niechętnie.

Usiedli w fotelach we frontowym pokoju z niskim, belkowanym stropem, Archer zaś usadowił się na bujaku. Paula spojrzała w górę

i zobaczyła w narożnikach mnóstwo pajęczyn. Jeśli mieszkała w tym domu kobieta, nie dbała o porządek, a to nie pasowało jakoś do Archera.

— A więc jest pan dziennikarzem, panie Newman. Czym mogę panu służyć? —

zapytał Archer, lekko bujając się na fotelu.

— Ponad dwa lata temu sprzedał pan swoją fabrykę obrabiarek Bennington firmie Columbia High Multi-Machines Inc., należącej do korporacji INCUBUS.

— Widzę, że jest pan dobrze zorientowany — odparł Archer po chwili milczenia.

— Czy mogę spytać, dlaczego pan ją sprzedał?

— Postanowiłem przejść na emeryturę, skorzystać trochę z życia. Firma Columbia zaoferowała mi rynkową cenę.

— A jednak wszyscy pańscy współpracownicy w Swindon, z którymi się kontaktowałem, okazywali wielkie zdziwienie. Twierdzili, że nie miał pan zamiaru sprzedawać fabryki bez względu na proponowaną cenę.

— Naprawdę sporo pan wie. — Bujany fotel nagle znieruchomiał, podobnie jak siedząca na nim postać.

— Jak się teraz miewa pańska córka, Julia?

Był to strzał w ciemno, ale dosięgnął celu. Archer zmartwiał. Powoli wstał, zapytał, czy napiją się kawy, a gdy przystali na jego propozycję, wyszedł z pokoju. Paula podniosła się z fotela, szepnęła do Newmana, że zaraz wróci, i podążyła za gospodarzem. Newman także wstał i wyjrzał przez okno. Widział

swojego mercedesa i Dillona na tylnym siedzeniu. Doszli do wniosku, że odwiedzając tego człowieka we trójkę mogliby go przestraszyć.

Paula znalazła Archera w niewielkiej kuchni z tyłu domu. Stał odwrócony do niej plecami, patrzył na maszynkę do kawy. Paula ubrana była w kwiecistą letnią sukienkę z krótkimi rękawami. Oparła się o blat, obserwując Archera. Zobaczyła, że siwowłosy mężczyzna ma w oczach łzy.

— Pan Newman nie przyszedł pana dręczyć — powiedziała łagodnie.

— Więc po co się tu zjawiał?

— Prowadzi dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS. Uważa, że w tej potężnej organizacji dzieje się coś bardzo niedobrego, że stosuje ona niedopuszczalne metody. Chce ujawnić to całemu światu, ale potrzebuje pańskiej pomocy.

Nie dodała nic więcej. Otworzyła szafkę, odszukała filiżanki do kawy, dzbanek, mleko i cukier, a następnie ustawiła wszystko na tacy. Archer przytknął do oczu chusteczkę i wytarł nos, a potem przelał kawę z maszynki do dzbanka.

— Nie, ja wezmę tacę — uparła się Paula.

— Wszystko przez tę pani sukienkę... Moja żona miała bardzo podobną. W taki dzień jak dzisiaj też by ją założyła.

— A teraz pańska żona... — zagadnęła Paula, gdy wchodzili do salonu.

Postawiwszy tacę na stole zaczęła napełniać filiżanki.

— Nie żyje. — Archer usiadł sztywno na krześle. — Wszystko przez wstrząs, jaki przeszła z powodu tej wymuszonej transakcji. Jestem tego pewien.

— Wymuszonej? — zapytał Newman, biorąc do ręki filiżankę.

— Był pan ze mną szczery. I wygląda pan na uczciwego człowieka. Nie muszę się bać, że coś utracę. Jak wspominałem, nie mam już żony. A moja córka, Julia, jest wiele tysięcy kilometrów stąd, w innym kraju, którego nazwy nie wymienię.

Wyszła tam za męża, ma więc nowe nazwisko. Nic jej nie grozi.

— Co to była za transakcja? — zapytał cicho Newman. — Widziałem, że spojrzał pan na mój wóz. Człowiek, który w nim siedzi, jest z „Washington Post”.

I tak jak ja prowadzi dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS.

— Opowiem panu całą tę koszmarną historię. Miał pan rację — nie zamierzałem sprzedawać fabryki. Powiedziałem to Amerykaninowi, który przyszedł z ofertą do mojego biura. Niski grubianin o ciemnych włosach i twarzy gangstera. Niejaki pan Moroti. W godzinę później — po odrzuceniu przeze mnie oferty — mam telefon...

Podniósł do ust filiżankę i napił się kawy. Gdy mówił dalej, silniejszym już głosem, Paula naląła mu następną porcję.

— Mam telefon — powtórzył — od innej osoby. Dzwoni jakiś Anglik o miłym głosie. Mówi, że spotkali Julię, kiedy wychodziła ze szkoły dla sekretarek w Swindon, że cieszy się na razie dobrym zdrowiem, ale zdrowie to nietrwały towar... — Przerwał na chwilę

i z ponurą miną rozpamiętywał dawne wydarzenia. — Pamiętam dokładnie jego słowa. Powiedział potem, że aby rozwiązać ten drobny domowy problem, wystarczy tylko okazać rozsądek. Po prostu dobić targu.

— Mógł pan zawiadomić policję — zauważył Newman.

— Ostrzegli mnie, żebym tego nie robił. Ten Anglik powiedział, że we wszystkich moich telefonach zainstalowali wymyślne urządzenia podsłuchowe i że jestem pod obserwacją. Dano mi dwa dni na podjęcie decyzji. Były to dwa dni piekła.

— Więc do tej pory nikt nie wie o całej sprawie?

— Nie. — Archer strzelił palcami. — Zapomniałem o czymś bardzo ważnym. Na tydzień przed telefonem od Morotiego przyjmowałem w biurze pewną dziewczynę. Twierdziła, że jest z amerykańskiego czasopisma „Przywódcy Ludzkości”. Chciała napisać artykuł

o tym, jak budowałem od zera swoją firmę. Pewnie wygląda to na przejaw próżności, ale sądziłem, że rozgłos może przynieść spółce nowe zamówienia eksportowe...

— Czy potrafiłby pan opisać tę dziewczynę? — zapytał Newman.

— Tak. Była bardzo atrakcyjna. Młoda — około dwudziestu pięciu lat, niewysoka i drobna. Miała przepiękne jasne włosy, spadające w lokach na ramiona.

Newman poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Ten człowiek opisał Sandy.

— Proszę mówić dalej — powiedział.

— Zadawała mi wiele pytań na temat spraw zawodowych i osobistych.

Interesowała się moją rodziną. Wspomniałem, że mam córkę, Julię. Dopiero później zacząłem podejrzewać, że właśnie w ten sposób zdobyli o mnie szczegółowe informacje. Znali mój rozkład dnia, miejsce zamieszkania, wiedzieli, że Julia chodzi na kurs dla sekretarek.

— A zatem w ogóle nie zawiadomił pan policji. Czy rozmawiał pan z żoną na ten temat?

— Przez całą noc nie zmrużyliśmy oka. Byliśmy w rozterce. Czy ryzykować wzywanie policji? Amelia — to znaczy moja żona — była temu przeciwna. Trzeba przyznać, że proponowana cena odpowiadała rzeczywistej rynkowej wartości firmy. Dranie znali się na rzeczy.

— Więc sprzedał im pan fabrykę... i siedział cicho.

— Tak. A pan postąpiłby inaczej?

— Pewnie nie. Julia wyszła z tego bez szwanku?

— Tak. Była jednak przerażona. Powiedzieli jej, że gdyby kiedykolwiek wspomniała komuś o tym,

co ją spotkało, narazi mnie na paskudny wypadek, prawdopodobnie śmiertelny.

— Rozumiem. — Newman spojrzał na Paulę. — Myślę, że powinniśmy zostawić już pana Archera w spokoju. O ile nie masz więcej pytań. — Popatrzył na Archera. — Nie zamierzam wymieniać nigdzie pańskiego nazwiska —

przynajmniej do czasu, kiedy zniszczymy INCUBUS.

Archer zerwał się na równe nogi.

— Rozerwijcie tych skurwieli na strzępy! — Spojrzawszy na Paulę zreflektował się. — Przepraszam za słownictwo.

— Ja powiedziałabym to dosadniej — stwierdziła Paula.

Peggy Vanderheld trzęsa się z wściekłości. Stała na tle panoramicznego okna w helsińskim biurze Hausera, a za nią lśniło morze, od którego fal odbijały się promienie słońca.

— Na pewno rozumiesz, o co mi chodzi — ciągnął siedzący za biurkiem Hauser.

— Od swoich bliskich współpracowników wymagam przede wszystkim tego, by byli godni zaufania.

— Skąd mogłam wiedzieć, że te cholerne akta są aż tak tajne? — wybuchnęła.

— Powiedział mi pan, żebym zaniósła papiery Rivertona do podziemi.

Zauważyłam, że nie zgadza się numer serii. Więc... — Wyprostowała się dumnie i obcisła czarna sukienka przylgnęła do jej sylwetki, jakby materiał przyklejony był do ciała. — Więc — powtórzyła — otworzyłam teczkę, żeby sprawdzić zdjęcie, i zobaczyłam, że są to akta Eda Rivertona. I w tym momencie pan wszedł.

— Co jeszcze sprawdziłaś? — zapytał Hauser spokojnym tonem. — Może jego życiorys?

— Nie widziałam na oczy tego cholernego życiorysu! Zobaczyłam tylko pierwszą stronę, na której jest — jeśli pan nie pamięta — zdjęcie danej osoby, jej wiek, okres zatrudnienia w korporacji, data rozpoczęcia pracy i jej zakończenia.

O ile, oczywiście, ten ktoś nadal dla nas nie pracuje.

Hauser zignorował jej sarkastyczny ton. Podciągnął wyżej rękawy koszuli. Miał

silne, muskularne ręce. Boże, co za upał! Przez cały czas obserwował Peggy.

Wierzył jej. Ten wybuch gniewu był naturalną reakcją na oskarżenie, że szpera w danych, którymi nie powinna się interesować.

— Wszystkiemu winien klimat — powiedział w końcu, obdarzając sekretarkę promiennym uśmiechem. — Wiesz, że nigdy nie znosiłem parnego powietrza.

Kto by przypuszczał, że fala upałów dojdzie tak daleko na północ!

— Może pan poprosić kogoś innego, żeby zaniósł akta do podziemi.

— Proszę o to ciebie, bo zasługujesz na pełne zaufanie. I nadeszła chyba pora, żeby pomyśleć o jakiejś specjalnej premii za twoją lojalność. Dziękuję, Peggy.

Patrzył, jak wychodzi z pokoju. Będzie promieniała z zadowolenia. Hauser szczyił się swą umiejętnością manipulowania ludźmi. Siedział w fotelu, rozmyślając na temat Peggy Vanderheld. Może faktycznie pracowała już w firmie dostatecznie długo. Uważał, że personel poniżej stanowisk kierowniczych należy zatrudniać na krótki okres — eliminowało to niebezpieczeństwo, że ktoś zbyt

wiele się dowie. Postanowił, że się jej pozbędzie. I to wkrótce...

Jadąc windą Peggy Vanderheld była mokra od potu, nie tylko z powodu gorąca.

Wiedziała, co się święci. „Szykuje się, żeby mnie wylać — pomyślała. — Jak by tu skurwielowi przyłożyć?”

— OK, Frank. Nasze plany wejścia do Europy i Rosji są mocno zaawansowane.

Chyba już pora przyglądać się uważniej ludziom przyjeżdżającym do Finlandii.

Galvone przytaknął Hauserowi i podszedł do panoramicznego okna. Nad morzem unosił się lśniący opar. Galvone miał na sobie koszulę z krótkimi rękawami, spodnie w kolorze jasnego cynamonu

i adidasy na wielkich stopach. Hauser zauważył ponownie, że Franka roznosi energia. Nie potrafił ustać w miejscu nawet przez kilka minut.

— Mamy już na oku wszystkie lotniska i porty — przypomniał Galvone szefowi.

— Przeglądam listy gości, których znamy.

— Nie na tym polega problem, Frank. Musimy zwracać uwagę na nieznanym. Wykorzystaj ekipę filmową naszego biura podróży. Doszliśmy do newralgicznego etapu operacji. Niech filmują każdego, kto tu przyjeżdża. A potem przeglądaj te taśmy.

— Załatwione. — Galvone usiadł w fotelu, wykrzywając stopy. — Jak się mają sprawy w Związku Sowieckim? To twardy orzech do zgryzienia. Oni są podejrzliwi wobec cudzoziemców.

— Już ich rozgryźliśmy. — Hauser był bardzo rozmowny. — Jest tam Angel, więc nie musimy korzystać z cudzoziemców, jak ich nazywasz.

— Angel? To brzmi jak imię dziewczyny. Przecież nie ma pan zaufania do kobiet?

Hauser machnął ręką, w której trzymał cygarniczkę.

— Angel to mężczyzna, członek moskiewskiego Politbiura — wyjaśnił.

Frank gwizdnął z wrażenia.

— Dotarcie do kogoś na tak wysokim szczeblu w tym zamkniętym kręgu musiało wymagać delikatnych zabiegów — domyślił się.

— Są teraz bardziej otwarci, Frank. Mamy epokę głośności. Niektóre wpływowe osoby ze starej Moskwy nie są pewne, jak to się wszystko skończy. Tak więc dolary, zwłaszcza ulokowane na koncie poza Rosją, stanowią przekonujący argument. Są czymś w rodzaju polisy ubezpieczeniowej na przyszłość.

— Mogę zapytać, kim jest ten Angel?

— Właśnie to zrobiłeś. — Hauser zaciągnął się papierosem. — I to był błąd, Frank. Nigdy nie wtykałeś swojego wielkiego nosa w sprawy, które cię nie dotyczą. Działasz na terenie Europy. Rosją zajmują się ja. No, no... jestem zaskoczony.

— Przepraszam, szefie — powiedział pospiesznie Galvone. — Tak mi się tylko wymknęło. Zdumiony jestem pańskim osiągnięciem

choć nie powinienem się dziwić, skoro zbudował pan z niczego całą firmę.

— Faktycznie...

Hauser się rozmarzył. Powrócił w myślach do La Jolla, niewielkiego miasteczka w Kalifornii położonego nad Pacyfikiem, o jakieś piętnaście kilometrów na północ od San Diego. Tam się urodził. Tam założył nieduży bank. I stopniowo rozszerzał swoje wpływy. Potężny skok w górę nastąpił w latach osiemdziesiątych, gdy w niewiarygodnym tempie powiększył swe imperium, wykorzystując bezwartościowe obligacje — aż w Stanach zdano sobie nagle sprawę, że Hauser kontroluje największą prywatną instytucję finansową państwa.

Wiedziony instynktem Hauser pozbył się pod koniec lat osiemdziesiątych sterty bezwartościowych obligacji — i zamienił je na górę pieniędzy. Przekupywał

polityków — od najniższego do najwyższego szczebla. Kilku stanowych gubernatorów siedziało u niego w kieszeni.

W kuluarach Kongresu nazwisko Hauser wymawiano szeptem. Wszyscy zastanawiali się, jakie będzie jego następne posunięcie, i każdy starał się dopchać do żłobu. INCUBUS to była przyszłość. Korporacja INCUBUS miała władzę, ale ta władza spoczywała w rękach dobroczyńcy, którego jedynym celem było służenie ludzkości. Sam to powiedział. Osobiście...

— Ion Manescu znakomicie kieruje nową Sekcją Zdobywania Wschodnich Rynków — oznajmił Galvone. — Wysłał przedstawicieli do Budapesztu, Bukaresztu, Pragi, Warszawy, Sofii i Berlina. Zakładają już na tych terenach placówki handlowe.

— Przedstawiciele, placówki handlowe... — Hauser śmiał się w kułak. —

Podoba mi się ten żargon! Biorąc pod uwagę, o co im naprawdę chodzi...

„Nic dziwnego — pomyślał Galvone — sam to wymyśliłeś”. Hausera pasjonowały intrygi, ukrywanie wywrotowej działalności pod płaszczykiem terminologii biznesu.

— Wszyscy przeszli specjalne szkolenie w Kemijarvi — kontynuował Galvone.

— Położono szczególny nacisk na twarde metody walki.

— Amerykańska szkoła — stwierdził z aprobatą Hauser. — Przystępując do gry trzeba pamiętać, że

są w niej zwycięzcy i pokonani. My będziemy zwycięzcami.

Co może nas powstrzymać — zapobiec przejęciu przez nas władzy na obszarze od wybrzeży Pacyfiku po Ural, zwłaszcza przy pomocy Angela?

— Co może nas powstrzymać? — powtórzył Galvone. — Poślę ekipy filmowe na wszystkie punkty graniczne Finlandii.

W Otmoor Archer odprowadzał swych gości do ogrodzenia ścieżką przez ogród.

Gdy otwierał przed Paulą furtkę, Newman wyczuł, że chce im coś powiedzieć i nie wie, jak to wyrazić.

Nad robiącymi przygnębiające wrażenie polami w Otmoor unosiła się brudna mgła, wyglądająca jak opar znad bagien. Słońce wysysało z nieurodzajnej ziemi ostatnie krople wilgoci. Panowała nieznośna cisza i Newman zdał sobie nagle sprawę, że odkąd znaleźli się na tym terenie, nie słyszał śpiewu ptaków.

— Jeśli chodzi o moją córkę, Julię... — zaczął Archer, trzymając rękę na furtce.

— Tak? — zachęciła go Paula z uśmiechem.

— Nie mam z nią żadnego kontaktu. Ani listownego, ani telefonicznego.

— Przykro mi to słyszeć. Jesteście państwo skłóceni?

— Ależ skąd! Nasze stosunki są bardzo dobre. To mądra dziewczyna. Zanim poszła na kurs dla sekretarek, studiowała na uniwersytecie w Bristolu. Ma dyplom.

— Więc dlaczego?

— Boję się. Dopóki nie wiedzą, gdzie ona jest, nie mogą mnie ruszyć. Chcieli, żebym był ich konsultantem. Odmówiłem. To było już po sprzedaniu firmy, kiedy wysłałem Julię do... za granicę. Nie będzie pan próbował jej odszukać, prawda, panie Newman?

— Ma pan moje słowo. W żadnym wypadku. Także pańskie nazwisko i nazwa pańskiej firmy nie zostaną wymienione, dopóki nie rozprawię się z Hauserem i nie zniszczę go.

— Naprawdę pan uważa, że to możliwe?

— Będę się cholernie starał.

Kiedy Newman leżał w szpitalu, Paula pomagała mu w dochodzeniu i to ona wpadła na trop Gavina Manninghama, byłego właściciela firmy Manningham Electronics, która znajdowała się w dolinie Tamizy.

Udała się do jego dawnego domu w Maidenhead, ale nowi lokatorzy niedużego dworku nie mieli

pojęcia, dokąd wyjechał. W końcu Paula wyciągnęła od mieszkającej tam kobiety adres gospodyni Mannighama. Zaprosiła tę osobę, niejaką panią Parsons, na obiad w pobliskim luksusowym hotelu. Zorientowała się szybko, że pani Parsons gustuje w ginie z tonikiem. Po pięciu kolejkach gospodyni Mannighama wyjawiała Pauli w zaufaniu jego nowy adres.

— Wyrzucił mnie, nie dając nawet premii — żaliła się. — I to po sześciu latach wiernej służby. Zobaczyłam kiedyś przypadkiem jego przyjaciółkę. Szła przez most na Riverboat Island w nowym, bardzo kosztownym ciuchu. Mówię pani —

nie żałował grosza, żeby ją ubrać...

Newman opuścił Otmoor i jechał teraz z powrotem w kierunku Londynu. Paula wskazywała mu drogę nad Tamizę, na Riverboat Island. Była to przedziwna wyspa, o czym przekonali się, idąc ostatnie pół kilometra na piechotę —

mercedes został na parkingu z Dillonem na tylnym siedzeniu.

— Nie wiem, po co tu przyjechałem — burknął, zanim wyszli z wozu. —

Dlaczego nie mogę się z tym facetem zobaczyć?

— Ponieważ rozmawiałem z nim przez telefon i wygląda na twardego gościa.

Nie będzie miał ochoty z nami gadać, jeżeli zjawi się u niego cała delegacja.

Może w ogóle nic nie powie...

Przypuszczenie Newmana okazało się błędne. Minęli szeroki most nad boczną odnogą Tamizy — do miejsca, którego szukali, nie było innej drogi. Łodzie — na ogół niewielkie motorówki z kilkoma przywiązanyymi szalupami — cumowały przy głównym nabrzeżu. „Dacza”, bo tak nazywała się nowa rezydencja Mannighama, była sporym, parterowym domkiem, zbudowanym najwyraźniej w ciągu kilku ostatnich lat. Mannighama — krzepkiego, agresywnego pięć-

dziesięciolatka o wydatnym brzuchu — spotkali tuż za mostem. Trzymał w rękach żelazny drąg. Powitanie nie było zbyt serdeczne.

— Nazywa się pan Newman. Poznaję pana. O co chodzi, do diabła?

Newman stwierdził, że facet nie nadaje się do tak delikatnego traktowania jak James Archer. Należało walić prosto z mostu.

— Chodzi o korporację INCUBUS i o sposób, w jaki zagarnęła pańską firmę.

Przygotowuję cykl artykułów dla pisma „Der Spiegel”. To jedna z czołowych niemieckich gazet...

— Wiem. Co pana interesuje?

— Sporządzam raport o stosowanych przez nich metodach i formach represji wobec ludzi na całym świecie. W jaki sposób pana załatwili?

— Proszę wejść, to panu opowiem. — Przyglądał się figurze Pauli. — Kim jest pańska znajoma?

— To Paula, moja asystentka.

— Oryginalne określenie. Proszę za mną. Nie dotykajcie ogrodzenia, jest pod napięciem.

— Czy to zgodne z prawem?

— Nie chciało mi się sprawdzać. Jak pan widzi, wszędzie są tablice ostrzegawcze...

Wnętrze „Daczy” urządzone było jakby na pokaz i umeblowane z przepychem, bez zwracania uwagi na koszty. Okna salonu wychodziły na przystań, przy której cumował nieduży motorowy jacht. W pokoju stały fotele i kanapy obite czarną skórą, a cała podłoga wysłana była różowym dywanem. Przestrzeń na kominku

— nad ogromnym, łukowatym paleniskiem z cegieł — wypełniały srebrne puchary, trofea z turniejów golfowych. Dekorację żółtozielonych ścian stanowiły oprawione w ramki zdjęcia, na których Manningham wymachiwał kijem do golfa. Właściciel domu zauważył, że Paula przygląda się dywanowi.

— Wybrała go Phoebe — powiedział. — Wspaniały, prawda? Czy ktoś ma ochotę na drinka?

Oboje odmówili, więc Manningham nalał tylko sobie dużą porcję szkockiej.

Paula usiadła ostrożnie w wielkim fotelu, całkiem się w nim zapadając.

Manningham usadowił się na czarnym wysokim stołku obok dobrze zaopatrzonego baru, za którym znajdowało się duże lustro. Zaczął rozmowę od pokazania zaciśniętej pięści.

— To gangsterzy. Przekłęci jankescy gangsterzy. Phoebe jest teraz w mieście, kupuje jakieś ciuchy i wydaje moje pieniądze, więc to dobra pora, żebym panu wszystko opowiedział...

Jego historia przypominała relację Archera, tyle że zastosowano inną technikę zastraszania. W biurze Mannighama zjawił się Amerykanin, niejaki pan Vincenzo. Sądząc z rysopisu mógł to być znowu Frank Galvone. Vincenzo złożył

ofertę kupna Manningham Electronics po rynkowej cenie. Manningham oświadczył, że firma nie jest na sprzedaż, ale mógłby się zastanowić, gdyby zaproponowano mu cenę dwukrotnie wyższą.

— Kogo ten facet reprezentował?

Newman pospiesznie wtrącił to pytanie. Mannigham był na fali — dopijał drinka i nalewał sobie kolejną szklankę. Odpowiedź brzmiała: Columbia High Multi-Machines Inc. To samo towarzystwo, jak powiedział Newmanowi Archer, złożyło ofertę firmie Bennington. Szczegółowe dochodzenie,

jakie Newman prowadził w szpitalu, ujawniło fakt, że Columbia podlega korporacji INCUBUS.

Vicenzo odszedł z kwitkiem. W parę dni później zadzwonił jakiś Anglik.

Powiedział, że wysłał poleconym ekspresem kopertę ze zdjęciami, które mogą Manninghama zainteresować. Dodał, że Manningham byłby o wiele szczęśliwszy, gdyby ubił interes po proponowanej cenie.

— Zatrzymałem niektóre z przysłanych w tej kopercie zdjęć. Kiedy zgodziłem się sprzedać firmę — po ich cenie — chcieli dostać wszystkie odbitki z powrotem, ale powiedziałem im, że zalałem kilka z nich kawą i wyrzuciłem. Musi pan wiedzieć, że rozwodzę się z żoną. Już wtedy byliśmy w separacji. Kobieta na zdjęciach to Phoebe. Dwa z nich zrobiono w pobliżu mieszkania, które dla niej wynająłem.

Newman obejrzał pięć odbitek, po czym podał je Pauli i, poprosiwszy Manninghama o pozwolenie, zapalił papierosa. Każde ze zdjęć przedstawiało tę samą kobietę. Wychodziła ze sklepu obok bloku mieszkalnego. Jedno z ujęć wykonano teleobiektywem. Na wszystkich odbitkach widać było pewien nieprzyjemny szczegół — ktoś przybił do nich pieczętkę, która przedstawiała krzyżujące się w kole linie, jak na celowniku w karabinie snajpera. Pieczętkę przystawiono za każdym razem w taki sposób, jakby ktoś chciał trafić Phoebe w plecy, w sam środek klatki piersiowej. Na zbliżeniu celownik wymierzony był w jej okoloną jasnymi włosami twarz.

„Luksusowa dziwka — pomyślała Paula. — Wygląda na bezczelną. Musiała stracić z pół godziny na zrobienie makijażu”. Paula przeznaczała na to dwie minuty. Cóż, Manningham najwyraźniej kochał tę dziewczynę. Paula oddała mu zdjęcia.

— Przestraszyli mnie, nie przeczę — przyznał Manningham. — Byłem wściekły, że dowiedzieli się, gdzie ona mieszka. A potem te okropne fotografie. —

Dokończył drinka.

— Czy zanim pojawił się w biurze ten Vincenzo, nie udzielał pan przypadkiem jakichś nietypowych wywiadów w amerykańskim stylu?

Manningham wbił w niego wzrok.

— Mój Boże! Ta dziewczyna...

Usłyszeli znaną już historię. Robiła z nim wywiad dziennikarka z pisma

„Przywódcy Ludzkości”. Rysopis dziewczyny idealnie pasował do Sandy.

Wszystko opierało się na tych samych zasadach.

Kilka minut później opuścili Riverboat Island i szli w milczeniu przez szeroki most. Paula odezwała się pierwsza.

— To odrażające — stwierdziła. — Te metody, które stosują.

I Manningham nie ośmiela się zawiadomić policji, bo jest przekonany, że śledzą każdy jego ruch. Przez to cała sprawa wygląda jeszcze bardziej niesamowicie, bo przecież twarda z niego sztuka.

— Owszem, to niesamowite — przyznał posępnie Newman. — Przede wszystkim musimy głębiej kopać, dużo bardziej się do nich zbliżyć. Rozwiązania trzeba chyba szukać w Finlandii.

— Więc następny postój w Helsinkach?

— Tak myślę. Postanowiłem przycisnąć Tweeda, żeby pozwolił ci ze mną jechać. Dobrze sobie poradziłaś z Archerem, a poza tym podróżujący wspólnie dwaj mężczyźni i kobieta mniej zwracają uwagę.

— A więc Cord Dillon zabiera się z nami?

— Tak. Możemy potrzebować wsparcia. Nie przepadam za Dil-lonem, ale w sytuacjach podbramkowych jest bezlitosny.

— Więc lecimy wszyscy prosto do Helsinek?

— Nie bezpośrednio — odparł Newman, kiedy zbliżali się do parkingu. —

Dotrzemy tam okrężną drogą. Przez Szwecję. Ktoś może oczekiwać naszego przybycia.

Następnego dnia Tweed powiadomił o swojej decyzji Monikę, gdy siedzieli sami w biurze. Dokuczał mu upał, musiał więc bez przerwy wycierać spocone czoło i ręce.

— Zamierzam wysłać Marlera do Finlandii, żeby się rozejrzał

i zasięgnął języka, gdzie zniknęli ludzie, których nikt nie może odnaleźć. Na przykład Ziegler ze Stasi i Manescu z Securitate.

— Dlaczego do Finlandii?

— Ponieważ mam informacje, że podziemie utworzyło nowy szlak przerzutowy.

Prowadzi z Bałkanów i Europy Środkowej do Travemünde, niemieckiego portu nad Bałtykiem.

— Dokąd by się stamtąd skierowali? — zapytała Monika, patrząc na ścienną mapę kontynentu.

— Mogą wsiąść na prom do Helsinek. W ten sposób zniknęliby bez śladu. Przy obecnym chaosie nikt nie sprawdza pasażerów, którzy przekraczają tam granicę.

— Czy Newman nie powinien o tym wiedzieć?

— Stanowczo nie. Prowadzimy dwa odrębne dochodzenia. Jedno dotyczy korporacji INCUBUS i jej

działalności — tym problemem zajmują się Newman, Paula i Dillon. Marler będzie poszukiwał osób, które zniknęły... — Rozległo się pukanie do drzwi. — Proszę!

Marler był mężczyzną po trzydziestce, szczupłym, ubranym w bardzo elegancką sportową marynarkę. Miał jasne włosy i gładko ogoloną, wyrazistą twarz. Liczył

zaledwie metr siedemdziesiąt wzrostu. Mówił dyszkantem, przeciągając słowa i często, kiedy był za granicą, podkreślał ten charakterystyczny akcent ucznia prywatnej szkoły.

Cudzoziemcy widzieli w nim typowego angielskiego dandysa. Usypiało to ich czujność. Zachowywaliby się ostrożniej, gdyby wiedzieli, że jest najbardziej niebezpiecznym snajperem w całej Europie Zachodniej.

— Witam. — Marler przysiadł na brzegu biurka Pauli i zaczął machać nogami.

— Studiowałem do trzeciej nad ranem te akta, które mi dałaś. Zwróciłem je wszystkie do Centralnego Rejestru. Skoncentrowałem uwagę na Zieglerze i Ionie Manescu. Ten pan Manescu był wielką szyczą w bukareszteńskiej Securitate.

Poprosiłem chłopców z laboratorium na dole o trzy fotografie naszego rumuńskiego przyjaciela.

— Dlaczego trzy? — zdziwił się Tweed. — Będziesz musiał uważać, przy kim wymawiasz jego nazwisko. To niebezpieczny facet.

— Jakbym sam o tym nie wiedział. Działa nieco brutalnie, ale skutecznie. —

Wydobył z kieszeni na piersi jakąś kopertę, wyjął z niej trzy zdjęcia i położył je na biurku. — Pierwsza z odbitek przedstawia jego jedyną oryginalną podobiznę, na drugiej ma brodę i wąsy, a na trzeciej jest gładko ogolony. Nasz Archie z dołu to nie lada artysta.

Monika i Tweed przyjrzeni się trzem fotografom.

— Trudno uwierzyć. — Monika prychnęła jak kotka. — Na sfabrykowanych zdjęciach jest nie do rozpoznania.

— Domyślam się, że musiał zmienić wygląd — stwierdził Marler, zapalając długiego, cienkiego papierosa. — Kiedy się w końcu spotkamy, ja go rozpoznam, a on mnie nie.

— Powinieneś być uzbrojony — zdecydował Tweed. — Manescu to zabójca. Z

akt wynika, że w Bukareszcie dusił ludzi gołymi rękami. Możesz mieć kłopoty z ochroną lotnisk. Nie wątpię, że sobie poradzisz.

— Z całą pewnością. — Marler niedbale machnął ręką. — Czy człowiek, który widział, jak Manescu wsiadał w Travemünde na prom do Helsinek, jest godny zaufania?

— Jak najbardziej.

— Wspominałeś o Newmanie i tragicznej śmierci jego dziewczyny. Kiedy ta Rumunka widziała Manescu w Londynie?

— Na dwa dni przed zabójstwem Sandy Riverton w Suffolk.

— Ciekawe. Z akt wynika, że Manescu spędził rok w ambasadzie Rumunii w Londynie i doskonale mówi po angielsku. Pewnie zupełnie przypadkiem się tam wtedy znalazł.

— Też mi to przyszło do głowy. — Tweed zawahał się przez moment. — Bob Newman nic o tym nie wie. Zajmuje się inną sprawą. Nie chcę, żeby się rozpraszał. Śmierć Sandy była dla niego wstrząsem.

— Newman i ja nie zawsze się ze sobą zgadzamy — powiedział w zamyśleniu Marler, wydmuchując kółka z dymu. — Trzeba przyznać, że wiele przeszedł.

— Kiedy możesz lecieć do Helsinek?

— Mam całą kupę fińskich marek i nie datowany bilet do miejsca, gdzie się najpierw wybieram.

— To znaczy? — zapytała Monika.

— Do Hamburga, w północnych Niemczech.

— Dziwny sposób docierania do Finlandii.

— Mam swoje powody, moja droga...

Śmigłowiec typu Sikorsky, którym Hauser przyleciał z Helsinek, aby spotkać się z kimś w gęstym fińskich lasów, czekał na polanie z wyłączonymi silnikami.

Hauser podszedł razem z Frankiem Galvone w kierunku mężczyzny stojącego nieruchomo w cieniu gęstych jodeł.

Hauser założył ciemne okulary i słomkowy kapelusz z szerokim rondem, który częściowo zasłaniał mu twarz. Starał się nie pokazywać cygarniczki. Miał na sobie luźną drelichową bluzę koloru khaki i obszerne spodnie z tego samego materiału. Trudno było rozpoznać w nim Franklina D. Hausera.

— To IonManescu — dokonał prezentacji Galvone.

— Jakże ma pan dla mnie instrukcje? — zapytał Manescu, przyglądając się potężnemu mężczyźnie w ciemnych okularach.

— Postanowiono wprowadzić nadzór na większym obszarze, rozszerzyć strefę ochrony i obserwacji. Chcemy, żeby wysłał pan ludzi do Szwecji, do Sztokholmu.

Niech obserwują cudzoziemców wsiadających na duże promy do Finlandii.

— To można zorganizować w ciągu dwóch dni — odparł energicznie Manescu.

— Akurat towarzyszy mi osoba, której pomoc będzie bezcenna. Irina Sierowa.

— Ktoś tu jeszcze jest? — szepnął Hauser. — Miał spotkać się z nami sam.

Zapytaj go, gdzie została ta Sierowa.

Galvone powtórzył Rumunowi pytanie szefa. Manescu wskazał za siebie długą ręką o szczupłych palcach.

— Czeka schowana w lesie. Przylecieliśmy razem z Kemijarvi. Mamy teraz pięćdziesięciu agentów różnych narodowości. Wszyscy zostali znakomicie przeszkoleni w specjalnym miejscu.

— A czy ci agenci — ciągnął dalej Galvone — mający zająć się wpływowymi politykami, są jeszcze w drodze?

— Dotarli już na miejsce — odparł Manescu, starannie dobierając słowa.

Na jego szczupłej, opalonej twarzy malowało się odprężenie, maskujące wyjątkową czujność. Instynkt podpowiadał mu, że jest poddawany jakiemś testowi. Uważał, by udzielać zwięzłych odpowiedzi, bez podawania dodatkowych informacji. Czy nie popełnił błędu, wspominając o Kemijarvi?

— Zapytaj go, kiedy rozlokowani już agenci rozpoczną operację — szepnął

ponownie Hauser.

Galvone przekazał pytanie Manescu, który stał w swobodnej pozie, z rękami na biodrach, i przyglądał mu się, nie patrząc w ogóle w kierunku Hausera. Miał na sobie koszulkę w niebieską kratę i jasne spodnie. Robił wrażenie Fina, przebywającego na urlopie, i o to właśnie mu chodziło.

— Dzisiaj — odparł Manescu. Zaciśnął usta, które teraz wyglądały niemal jak szrama na tle śniadej, sępiej twarzy.

Hauser odwrócił się i odszedł powoli w kierunku czekającego śmigłowca.

Zamiast iść jak zwykle żwawym krokiem, wspiął się powoli po schodkach i wgramolił z trudem do wnętrza maszyny. Zbyt często można było zobaczyć w telewizji, jak Franklin D. Hauser wsiada w Stanach do swego samolotu, udając się w kolejną podróż.

Hauser chciał za wszelką cenę zdystansować się od operacji, którą Manescu miał

przeprowadzić w różnych postkomunistycznych krajach Europy. Galvone wskoczył na pokład śmigłowca i usiadł obok szefa. Zanim zostały włączone silniki, Hauser podzielił się z nim swymi wątpliwościami:

— Manescu zrobił na mnie wrażenie, Frank. Duże wrażenie. Popęłnił, oczywiście, błąd wspominając o Kemijarvi, ale każdemu się to może zdarzyć. Jak myślisz, czy mówił prawdę twierdząc, że operacja przeciwko liberałom zacznie się jeszcze dzisiaj?

— Z całą pewnością.

Będąc Amerykaninem Hauser nazywał wszystkich socjalistów liberałami. Chcieli oni utrzymać państwową własność w przemyśle. A nie sposób robić interesów z firmą, która nie jest prywatnym przedsiębiorstwem — nie da się jej przejąć.

Hauser zmienił ciemne okulary na normalne szkła.

— Więc kiedy zaczną eksplodować bomby, zachodnie gazety przypiszą te zamachy twardogłowym, którzy tęsknią za powrotem do czasów sprzed epoki Gorbaczowa. OK. Manescu naprawdę zrobił na mnie wrażenie, Frank. Może pewnego dnia będziemy mogli wyprowadzić go z ukrycia, dać mu nowe nazwisko i awansować na jednego z głównych wiceprezesów.

— Czemu nie? — powiedział bez entuzjazmu Frank i polecił pilotowi, aby startował.

— Domyślcie się, kim był ten facet w słomkowym kapeluszu? — zapytał

Manescu Irinę Sierową, która właśnie zeskoczyła na ziemię z gałęzi wysokiej jodły.

— To Franklin D. Hauser — odparła bez namysłu, wymachując lunetą, dzięki której mogła przyjrzeć się rozmówcom Manescu. — Widziałam go kiedyś w ambasadzie w Waszyngtonie.

— Jesteście pewni?

Manescu chwycił ją mocno za ramię. W tym samym momencie Sierowa drugą rękę poderwała w górę, sięgając mu do gardła.

— Sprawiacie mi ból, Manescu. Nie lubię tego.

Rumun puścił ją i pomasaował sobie szyję. Irina Sierowa miała żelazny uścisk.

Była kiedyś pułkownikiem w KGB — jedyną kobietą, która uzyskała tak wysoki stopień. Popadła w niełaskę w okresie reform Gorbaczowa, gdy mianowano nowego szefa KGB, aby przeprowadził czystkę.

Pewnej nocy wsiadła na niewielką rybacką łódź zacumowaną w małym porcie koło Jałty. Kapitan, któremu przystawiła do głowy pistolet, popłynął z nią przez Morze Czarne do wybrzeży Turcji. Na jej rozkaz zarzucił w ciemnościach kotwicę w pobliżu portu Sinop. Zastrzeliła go bez namysłu, po czym obciążyla czymś zwłoki i wypchnęła je za burtę.

Z Sinop dostała się przez Istantbul do Bukaresztu, gdzie u władzy był jeszcze Ceausescu. Poznała tam Iona Manescu, który roztoczył nad nią opiekę — była bezcennym źródłem informacji na temat tego, co dzieje się w Moskwie, i sympatyzowała z rumuńskim reżimem.

Kiedy Manescu uciekł z Rumunii po upadku Ceausescu i jego nieludzkiego systemu, zabrał Irinę ze sobą. Wpatrywała się teraz w niego zimnymi jak arktyczny lód oczami, gdy stali twarzą w twarz w leśnych ostępach gdzieś na terenie Finlandii.

Sierowa miała trzydzieści pięć lat i metr sześćdziesiąt pięć wzrostu. Nie ścinała długich ciemnych włosów, aby zmienić wygląd. Miała naturalną słowiańską urodę i świetną figurę, którą podkreślała obcisła ciemnozielona bluzka bez dekoltu, harmonizująca z kolorytem lasu. Niejeden mężczyzna uległ wdziękowi Iriny i później tego żałował — jeśli tylko żył dostatecznie długo. Jej oczy miały zielonkawą barwę, a wydatne usta były teraz wykrzywione gniewem.

— Musimy jechać do Szwecji — oznajmił spokojnie Manescu. —

Trzeba mieć oko na przyjeżdżających stamtąd cudzoziemców. Szukamy zwłaszcza takich, którzy są — albo mogą być — wrogo wobec nas usposobieni.

— A więc dobrze się składa, że pracowałam trochę w ambasadzie w Sztokholmie, zanim wysłali mnie do Waszyngtonu. Kiedy wyruszamy?

Odpowiedź Iriny sprawiła mu ulgę. Byłby może mniej spokojny, gdyby potrafił

czytać w jej myślach. Sierowa czuła się rozczarowana. Nie obchodził jej już komunizm, kapitalizm czy inne cholerne -izmy. Miała w życiu jeden cel: zgromadzić ogromną sumę dolarów, wyjechać na zawsze z Europy i spędzić luksusowo resztę życia w Ameryce. Świadomość, że ma pracować dla Hausera, otwierała przed nią nowe horyzonty, nie miała jednak jeszcze czasu się zastanowić, w jaki sposób może to wykorzystać.

— Kiedy wyruszamy do Sztokholmu? — powtórzył jej pytanie Manescu. —

Jutro.

Ladislav Sacher, minister handlu i przemysłu, opuścił zamek na Hradczanach w Pradze i podszedł do zaparkowanej przy krawężniku skody. Był

sześćdziesięcioletkiem o bujnej siwej czuprynie i dobrotliwym wyglądzie. Jego twarz pokrywały zmarszczki — skutek wieloletniej „opieki” ze strony STB, czeskiej tajnej policji, którą już, dzięki Bogu, rozwiązano.

Sacher był z przekonania socjalistą i wykorzystywał swe niemałe wpływy, aby blokować wysiłki prywatnych firm z Zachodu, które starały się zdobyć w jego kraju dominującą pozycję. Okazywał szczególną niechęć Amerykanom i ich —

jak to określał w swoich wystąpieniach — „mafijnym metodom prowadzenia interesów”.

Spędziwszy za starego reżimu wiele lat w więzieniu — lat, które wycisnęły na nim swoje piętno i sprawiły, że wyglądał na siedem-dziesięcioletka — wstając teraz co rano szeroko otwierał w mieszkaniu okna i upajał się „dobroczynnym, czystym powiewem wolności”.

Chodził z laską, gdyż kulał na prawą nogę. Złamali mu ją celowo w więzieniu ludzie z STB. Nigdy w życiu nie czuł się tak szczęśliwy jak teraz. Nastąpiła nowa epoka. Jakaś przechodząca obok kobieta uśmiechnęła się do niego.

— Życzę miłego dnia, ojczu.

— Dziękuję. Jest dziś doprawdy pięknie.

Wszyscy mówili do niego „ojczu”. Rozkoszował się przyjemnym ciepłem, które przynosiło ulgę jego zmaltretowanym kościom. Z bezchmurnego błękitnego nieba świeciło słońce. Dobrze było żyć.

Otworzył drzwiczki samochodu i wsunąwszy się z trudem za kierownicę zatrzasnął je. Kilkanaście metrów dalej, opierając nogę o krawężnik, siedział na motorowerze młody tęgi mężczyzna, ubrany w jasnoniebieską koszulę i dżinsy. Był w goglach, a z szyi zwisała mu na piersi brezentowa torba.

Sacher przekręcił kluczyk w stacyjce i powoli ruszył z miejsca. Człowiek na motorowerze otworzył torbę, rozejrzał się wokół i wymacawszy palcami nadajnik, który miał wysłać sygnał radiowy, nacisnął przełącznik.

Spowodowało to eksplozję bomby, przytwierdzonej do podwozia skody.

Gwałtowny wybuch uniósł wóz Sachera w powietrze, rozrywając karoserię na drobne kawałki. Z siedzącego w samochodzie mężczyzny — człowieka, do którego mówiono „ojczu” — pozostała krwawa miazga. Jego zwłok nie można było rozpoznać. W ciało powbijały się odpryski metalu.

Człowiek na motorowerze pędził już w przeciwnym kierunku. Nie miał pojęcia, że zaopatrzoną w

skomplikowany detonator i miniaturowy radionadajnik bombę przemycono dla niego okreśną drogą, przez Finlandię i Niemcy. Nie wiedział też, że pomysłodawcą zamachu był IonManescu. Obchodziła go jedynie hojna zapłata w czeskich koronach, którą ukrył pod deskami podłogi w swojej chacie w Wysokich Tatrach.

W Bukareszcie nie świeciło słońce. Nad umęczonym miastem wisiała bez przerwy gęsta mgła jak chmura trującego gazu. Panował upał, ale wieczór był

wilgotny i duszny.

Stefan Campeanu, czterdziestoletni przywódca Partii Chłopskiej, wracał pieszo do swego mieszkania zwykłą trasą i o zwykłej porze. Zawsze przestrzegał

ustalonego porządku dnia. Nie zdawał sobie sprawy, że może to być niebezpieczny zwyczaj. Wrogowie mogli z łatwością śledzić jego ruchy.

Campeanu był w opozycji do rządu Frontu Ocalenia Narodowego. Rząd ten, chcąc za wszelką cenę utrzymać się przy władzy, zaakceptował pomoc Stanów Zjednoczonych. Campeanu otwarcie krytykował koncepcję przyjmowania dolarów przesyłanych za pośrednictwem prywatnych korporacji.

— We władzach Frontu siedzą stalinowcy — oskarżał bez ogródek. — Nie wolno nam korzystać z zagranicznej pomocy. Musimy sami odbudować zrujnowany kraj. Trzeba powiedzieć dolarowi „nie!”...

Mimo wysyłanych przez Ceausescu buldożerów, które burzyły stare domy pod budowę ogromnych, betonowych bloków, w Bukareszcie ocalały jeszcze zabytkowe dzielnice. Campeanu szedł ze spuszczoną głową, pogrążony w myślach. Zagłębił się w przypominającą zaułek ciemną i wąską, boczną uliczkę.

Podążał swym stałym szlakiem do domu.

W połowie krętego zaułka musiał precyzyjnie przesuwać się obok prymitywnego rusztowania. Sięgało na wysokość trzech kondygnacji. Zrobiono je z drewnianych słupów, kładąc zamiast desek ciężkie belki. Całą konstrukcję utrzymywały liny, którymi belki przywiązane były do pionowych filarów.

Campeanu mijał to wąskie przejście w zapadającym szybko zmroku.

Usłyszawszy pierwsze złowieszcze skrzypnięcie spojrzał w górę. Nieporadna konstrukcja — w której celowo poluzowano liny — zaczynała się chwiać.

Campeanu przyspieszył kroku i wtedy usłyszał krzyk. Kilkanaście metrów przed nim stała w cieniu jakaś postać, trzymając w uniesionych nad głową rękach coś, co wyglądało na broń.

Campeanu zwolnił kroku, co okazało się fatalne w skutkach. Rusztowanie runęło, grzebiąc go pod groteskową piramidą belek i słupów. W zaułku zaległa cisza. Kiedy następnego ranka reporterzy robili tam zdjęcia, przedstawiony na nich obraz zniszczeń był jakby symbolem chaosu, w jakim coraz

bardziej pogrążała się Rumunia.

Dwa dni później Tweed czytał rozłożony na biurku egzemplarz „Daily Mail”.

Zdjęcia mówiły wszystko. Jedno, zrobione na Węgrzech, pokazywało niewielką łódź, leżącą do góry dnem na Dunaju, w pobliżu Budapesztu. Utonęło dwóch czołowych polityków — lewicowych liberałów. Krążyły pogłoski, że łódź została staranowana przez jakąś dużo większą jednostkę.

Drugie zdjęcie, z Pragi, przedstawiało wrak samochodu, który należał do Ladislava Sachera. Krzykliwy nagłówek obwieszczał krzykliwie: ZBRODNIA STB!

Trzecia fotografia, ostatnia na dwóch sąsiadujących ze sobą stronach, pokazywała dziwaczne rumowisko sterczących fragmentów rusztowania w jednym z zaułków Bukaresztu. Przypominało nowoczesną rzeźbę. Tytuł brzmiał

równie sensacyjnie: CZOŁOWY BUKARESZTEŃSKI POLITYK Z LIBERALNEJ
LEWICY GINIE WSKUTEK WYPADKU?

— Zaczęło się — powiedział Tweed do Moniki, która wcześniej przeczytała gazetę.

— Dziwne, że wszyscy czterej zginęli w odstępie paru godzin — zauważyła Monika.

— Otóż to. Jeden wypadek może się zdarzyć. Dwa uznałbym jeszcze za zbieg okoliczności. Ale trzy to już za wiele. W dodatku ten Czech zginął od bomby. To zaplanowana akcja.

— Podejrzewasz terrorystów?

— Nie. Czy ktoś słyszał, żeby jakakolwiek grupa fanatycznych terrorystów zdołała zorganizować w ciągu jednej doby trzy zabójstwa w trzech różnych krajach?

— A więc...

— To nie są terroryści w potocznym rozumieniu tego słowa — stwierdził

posepnie Tweed. — Chodzi o stosowanie terroru jako broni, narzędzia polityki.

— Możesz mi to dokładniej wyjaśnić?

— Terror stosuje się tu *pour encourager les autres*, jak mówią Francuzi. „Dla zachęcenia innych” — pozostałych liberalnych socjalistów i demokratów z Europy Wschodniej, by nie podnosili głów. Chodzi o starannie zorganizowane bezlitosne zabijanie.

— Ale kto za tym stoi?

— Nie mam pojęcia. Na razie. A przynajmniej brak mi dowodów. Musimy zacząć się spieszyć. Wygląda na to, że organizator spisku — albo ktoś, kto dla niego pracuje — sporo wiero Europie

Srodkowej i Wschodniej.

— Masz jakieś dowody, czy to tylko luźne teoretyczne rozważania?

Tweed wstał i zaczął chodzić po pokoju, przyglądając się ściennej mapie Europy.

— Weźmy choćby wypadek w Bukareszcie. Człowiek, który zaplanował

wszystkie te zabójstwa, zna w Rumunii odpowiednich ludzi, wykonujących jego zbrodnicze rozkazy. Znany polityk, Campeanu, ginie przygnieciony rusztowaniem. Trzeba dobrze orientować się w terenie, by coś takiego zorganizować.

— A zamach na Ladislava Sachera w Pradze?

— Też trzeba wiedzieć, kogo wynająć do tej roboty — i zapewne, jak przemyścić do kraju bombę. To samo dotyczy tak zwanego wypadku dwóch Węgrów, którzy utonęli w Dunaju. Obaj nie ukrywali przekonania, że Węgry muszą same wydzwignąć się z kryzysu. A żeby zaaranżować kolizję, ktoś skontaktował się z kapitanem kursującej po rzece dużej jednostki.

— Już do czegoś dochodzisz — zauważyła Monika.

— Trzy wypadki w trzech różnych krajach to zbyt wiele — powtórzył Tweed —

ale nie rozpracowałem jeszcze wszystkich implikacji tego spisku. Myślę też, że Harry Butler i Pete Nield będą chyba musieli później wesprzeć Newmana i Paulę.

— Kiedy wyruszają do Finlandii?

— Bardzo niedługo. Zanim wyjadą, Bob chce jeszcze porozmawiać z Evelyn Lennox. Twierdzi uparcie, że nie powiedziała mu całej prawdy.

— A Marler?

— Jest już w drodze do Hamburga.

Hauser również czytał doniesienia o wypadkach, tyle że w „Herald Tribune”.

Galvone stał obok, gdy szef odkładał na bok gazetę.

— OK, nie skojarzyli tych trzech zdarzeń. Załamują tylko ręce nad ogarniającym Europę wrzeniem.
— Hauser zapalił papierosa, zacisnął w dłoni cygarniczkę i rozsiadł się wygodnie z wyrazem wielkiego zadowolenia na twarzy.

— Niemożliwe, by ktokolwiek na Zachodzie przejrzał naszą grę.

— A ci wszarze, którzy sprzeciwiają się naszym propozycjom modernizacji ich zakładów, zesrają się ze strachu.

— Chodzi o coś więcej, Frank. O znacznie delikatniejszą sprawę. Kampania, którą Manescu tak zrecznie prowadzi, ma jeszcze jeden ważny cel: zniechęcenie żabojadów, Angoli i innych do inwestowania w tych krajach. W ten sposób pozbywamy się konkurencji i sami zgarniamy całą pulę. Potem będzie już za późno. A skoro mowa

o robieniu czegoś w odpowiednim momencie... musimy znaleźć pretekst, żebym mógł zwolnić Peggy Vanderheld.

— Uważam, szefie, że zastraszanie konkurencji to doskonała strategia. — W

tonie głosu Franka Galvone brzmiał przesadny podziw. — Naprawdę świetnie pan to obmyślił i zgarniemy wszystko.

Hauser poklepał go po ramieniu.

— To nic takiego, Frank. Po prostu amerykański styl.

— Walberswick to piękne miasteczko — stwierdziła Paula, gdy Newmanjechał

powoli Ulicą pod zielonym baldachimem gałęzi drzew. — Wygląda właściwie bardziej na niewielką osadę, ale ma parę wspaniałych starych domów, a każdy jest inny. Zakładam, że Evelyn wie o naszym przyjeździe?

Był późny wieczór, zapadał już zmierzch, lecz po upalnym dniu utrzymywała się duchota, a powietrze w ogóle się nie poruszało. Newman wskazał głową na dom, który właśnie mijali.

— To „Różana altanka”. Powiadomiłem Evelyn, że przyjadę. Zapomniałem tylko wspomnieć, że będziesz mi towarzyszyć.

— Ach, tak...? — Paula spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem. — Czy mam rozumieć, że moja obecność może być niezupełnie mile widziana?

— Chcę tylko, żebyś powiedziała mi później, jakie Evelyn zrobi na tobie wrażenie. A teraz, zanim ją odwiedzimy, pozwolę ci popatrzeć na morze.

Jesteśmy o kilka minut za wcześnie...

Gdy przejechali obok hoteli, skręcił w lewo i zaparkował samochód. Wysiedli z wozu i rozprostowawszy kości podziwiali panoramę. Szeroki pas wydm, z pagórkami i wyrastającą na piasku marną trawą, był o tej porze opustoszały.

Dziwaczny, stojący samotnie dom, który przypominał dużą chatę, wzniesiono w pobliżu wejścia do portu. Miał dwie kondygnacje, drewniane ściany i kryty był

dachówką, w połowie wymienioną na nową. W oddali zaskrzeczała mewa, nurkując nad spokojną jak tafla jeziora, ciemnoszkarłatną powierzchnią Morza Północnego, która rozciągała się do zarysowanej ostro linii horyzontu. W

kierunku północnym widać było oddalone o półtora kilometra od portu i wyglądające jak domki z klocków zabudowania Southwold.

— Evelyn wspominała mi, że często spaceruje po wydmach — oznajmił

Newman. — Kiedy potrzebuje odmiany, jedzie na południe, do rezerwatu przyrody w Minsmere. Nocą jest tam zupełnie pusto. — Zerknął na zegarek. —

Czas już do niej wpaść. Kiedy tam będziemy, zechciej wyjść na chwilę i zostawić nas samych. Pragnę zadać jej pewne kłopotliwe pytanie.

Paula spojrzała na niego drwiąco, zajmując miejsce na przednim siedzeniu.

Przyglądała szczupłą dłonią kruczoczarne włosy.

— Chyba się domyślam, co to za pytanie. I nie wątpię, że dziewczyna jest atrakcyjna.

— Zachowujesz się karygodnie — powiedział Newman, przekręcając kluczyk w stacyjce. — Owszem, jest atrakcyjna. Przynajmniej dla niektórych mężczyzn...

Zaprzyjaźnił się z Paulą. Była to znajomość nie powodująca komplikacji. Jadąc z powrotem wzdłuż *Ulicy* zmarszczył nagle brwi. Jakiś człowiek na motocyklu, wielkiej hondzie stojącej przy krawężniku obok domu Evelyn, zawrócił, gdy się zbliżali. Newman tylko przez moment widział mężczyznę w ciemnej skórzanej kurtce, był on jednak uderzająco podobny do Steve'a — bandziora, który towarzyszył Papie Grimwoodowi podczas ich wizyty w domu przy Greenway Gardens w Wandsworth.

Ciszę przeszyło głośnie „brrrum” — warkot silnika maszyny. Motocyklista popędził przed siebie, oddalając się z Walberswick, i wkrótce widać już było tylko znikający za zakrętem punkt.

Evelyn miała na sobie kwiecistą letnią sukienkę, którą w szczupłej talii ściągnęła paskiem, co podkreślało jej zgrabną figurę. Wprowadziła gości do salonu o nisko belkowanym stropie. Lśnił czystością i nie było ani śladu po bałaganie, jaki Newman zastał w czasie poprzedniej wizyty.

Wstrząsając grzywą rudozłotych włosów Evelyn obejrzała Paulę z góry na dół.

Ogarnęła jednym spojrzeniem jej jasnoniebieską bluzkę z krótkimi rękawami, krótką plisowaną spódnicę i długie, zgrabne nogi.

— A więc jest pani... asystentką Boba? — zapytała, przesadnie modulując głos.

— Pomagam mu w dochodzeniu — odparła Paula, uśmiechając się ciepło.

Nawet nieco za ciepło.

Evelyn podeszła do Newmana i nadstawiła mu policzek. Musiał się pochylić i pocałować ją. Zrobiła to, rzecz jasna, ze względu na Paulę.

— Cudownie, że cię widzę, Bob — powiedziała. — Czy ktoś ma ochotę na drinka?

Obydwoje podziękowali i, zaproszeni przez Evelyn, usiedli. Newman, trzymając się z dala od kanapy, zajął miejsce w fotelu. Evelyn usadowiła się na krześle z epoki króla Jerzego, starannie zakładając nogę na nogę i pokazując przez moment udo, odziane w czarne rajstopy z wzorem motyli.

— Czy zdarzyło się coś niepokojącego? — dopytywał się Newman. — Pojawił się w miasteczku ktoś obcy? Pokazywali się tu regularnie jacyś motocykliści?

— Odpowiedź na pierwsze pytanie brzmi „nie”. Na drugie również. I na ostatnie tak samo. Gangi motocyklistów nigdy tu nie trafiają. W miasteczku jest tylko jeden bardzo spokojny pub i brakuje wystaw, które można by rozbijać po pijanemu. Co innego w Southwold... ale kilka minut temu przejeżdżał tędy jakiś motocykl. Nie widziałam, kto nim kierował.

— Więc czujesz się tu bezpieczna? Nie kontaktowałaś się od przyjazdu z Helsinkami?

— Tak, czuję się bezpieczna. — Zawahała się przez moment. — I nie miałam kontaktu z Helsinkami. Wcale mi zresztą na tym nie zależy.

— Czy ze spółki INCUBUS Oy. w Finlandii kogoś ostatnio wylano? Kogoś, kto mógłby mieć o to do nich pretensje?

— Nie za mojej bytności w firmie — odpowiedziała już bez wahania.

— Która z zatrudnionych tam osób może wiedzieć najwięcej o codziennych zajęciach Hausera, o wydawanych przez niego poleceniach?

— No cóż, Adam Carver, wiceprezes do spraw bankowości. Pojawia się też często Frank Galvone, również wiceprezes. Kieruje Sekcją Informacji i Planowania, cokolwiek to może oznaczać. Jeżeli jednak myślisz o kimś, kto chciałby z tobą rozmawiać, nie zwracaj sobie nimi głowy. Hauser musi im sporo płacić.

— Jest ktoś jeszcze?

— Nie bardzo. — Ściągnęła ładnie zarysowane brwi. — Chyba że Peggy Vanderheld. Typ kobiety robiącej karierę w Nowym Jorku. Ma około czterdziestki i pracuje w korporacji INCUBUS od wielu lat.

— Jakie zajmuje stanowisko?

— Jest sekretarką szefa. Hauser ma do niej zaufanie. Na tyle, oczywiście, na ile potrafi ufać jakiegokolwiek kobiecie. Porzuciła go żona — wcale jej się zresztą nie dziwię — i od tej pory najwyraźniej trzyma się od kobiet z daleka.

— Panno Lennox — odezwała się Paula, wstając z miejsca — czy mogę na chwilę wyjść i rzucić okiem na ogród przed domem, zanim zupełnie się ściemni?

Uwielbiam dzikie róże, a przy ścieżce rośnie ich tak dużo.

— Niech się pani napatrzy do woli. I proszę zamknąć drzwi tylko na kłamkę, żeby mogła pani wejść z powrotem.

Newman zaczekał, aż zostali sami. Evelyn przysunęła krzesło bliżej niego. Jej szerokie usta, których kształt podkreślała szkarłatna szminka, rozchyliły się w promiennym uśmiechu. Wyciągnęła rękę, ujmując jego prawą dłoń.

— Kiedy tu jesteś, czuję się jeszcze bezpieczniejsza.

Zaskoczył ją pytaniem zadany wprost:

— Evelyn, czy byłaś kochanką Eda Rivertona?

Gwałtownie cofnęła rękę.

— Bob, dlaczego mówisz takie okropne rzeczy?

Zaczął wyliczać na palcach:

— Po pierwsze, kiedy jadłem z tobą i z Edem kolację w jego mieszkaniu w Helsinkach, wyczułem, że jest coś między wami. Po drugie, gdy zadzwoniłem do Eda, żeby powiedzieć mu o śmierci Sandy, ty odebrałaś telefon. Byłaś znowu w jego mieszkaniu. Po trzecie, przekonywałaś mnie ze wszystkich sił, żebym zawiadomił Sandy o zabójstwie Eda. Byłoby rzeczą bardziej naturalną, gdyby siostra zacisnęła zęby i zrobiła to sama. Nie brak ci charakteru. Skoro jednak zabawiałaś się z mężem własnej siostry, mogłaś mieć opory. Czy to wystarczy?

— Oczekujesz, że się przyznam?

— Już to zrobiłaś. Nie obchodzi mnie twoje prywatne życie, ale staram się wpaść na trop człowieka, który w brutalny sposób zamordował Sandy, twoją siostrę. Czy Ed Riverton mówił ci kiedykolwiek o jakichś sekretach korporacji INCUBUS? Albo o swojej pracy? Czym on się właściwie zajmował, na litość boską?

— Był bardzo małomówny...

— Daj spokój, Evelyn. Myślę o rozmowach w łóżku. Wtedy mężczyźni się rozluźniają. Gdy przeprowadzałem z Edem wywiad, był spięty, bardzo zdenerwowany. Na pewno potrzebował kogoś, żeby się wygadać. Ty świetnie się do tego nadajesz.

Evelyn bawiła się koronkową chusteczką, tak samo jak wcześniej w domu przy Greenway Gardens. Newman zapalił papierosa i wydmuchując kółka dymu obserwował, jak unoszą się w górę i rozbijają o grubą belkę stropu. Czekał w milczeniu.

— Ed był szefem „Drakona” — zaczęła Evelyn. — To ośrodek badawczy korporacji INCUBUS, położony pod Bostonem. Mówił mi, że wsiadał zwykle w pociąg na Penn Station w Nowym Jorku, a wysiadał na stacji Back Bay i tam czekał na niego samochód. Zawozili go do „Drakona”. To kompleks dobrze strzeżonych budynków w pobliżu drogi nazywanej kiedyś Kosmiczną Autostradą...

— Tak, słyszałem o niej. Co działo się w „Drakonie”?

— Ed twierdził, że pracują tam sami pomyleńcy. Naukowcy z ekskluzywnych uniwersytetów, pełniący rolę planistów byli generałowie z Pentagonu, których zwabiły wysokie zarobki, ekonomiści. Pamiętam jedno nazwisko: profesor Hiram Goldstein. Napisał jakąś książkę.

„Nareszcie do czegoś dochodzimy” — pomyślał Newman.

— Znam tę książkę — oznajmił. — Nosi tytuł „Brak przestrzeni”. Ale czym ci maniacy się zajmowali?

— Ed mówił, że opracowują plany ekspansji. Nie podobał mu się projekt, który wybrał Hauser. Nie wspomniał dlaczego i nie powiedział mi w ogóle, co to za plan, ale Goldstein miał z nim wiele wspólnego. Ed twierdził, że wiele razy sprzeczał się z Hauserem na ten temat.

— Kiedy ci mówił o tych sprzeczkach?

— Na tydzień przed... — Evelyn słowa uwięzły w gardle. — Zanim znaleziono go w porcie. Nie przypominał już wtedy ludzkiej istoty. Wyglądał jak zamrożone na kość ścierwo.

— Nigdy się tak nie wyrażałaś. Kto użył tego obrazowego określenia?

— Pewien Fin, niejaki Mauno Sarin. Jest detektywem. Odwiedził mnie w mieszkaniu na parę godzin przed moim wyjazdem na lotnisko. Niczego mu nie powiedziałam. Nie miałam nic do powiedzenia. Byłam przerażona. Dlatego między innymi poleciałam do domu pierwszym samolotem. Nie chcę już nigdy mieć do czynienia z korporacją INCUBUS. W Finlandii dzieje się coś bardzo niedobrego.

Gdy Newman jechał z Walberswick z powrotem do Londynu, było zupełnie ciemno. Paula siedziała obok, oglądając w świetle kieszonkowej latarki rozłożoną na kolanach mapę.

— Co sądzisz o Evelyn? — zapytał Newman.

— Mam być miła czy szczerą?

— Szczerą.

— Uznasz, że jestem złośliwa, ale sam tego chciałeś. Ona poluje na mężczyzn.

Ma już taką naturę, że gdy tylko jakiegoś spotka, musi sprawdzić, czy jej pożąda.

Chce cię zdobyć. Być może na zawsze. Czyżbyś tego nie zauważył?

— Evelyn się boi. I chyba uznała, że ja nadaję się do roli obrońcy. A odkąd zobaczyłem tego motocyklistę, mam wrażenie, że ona naprawdę potrzebuje ochrony. Gdybyś zauważyła budkę telefoniczną, daj mi znać. Masz coś jeszcze na temat naszej uwodzicielskiej Evelyn?

— Ona kłamie. Czy to też uznasz za złośliwość?

— Po prostu powiedz, dlaczego tak uważasz.

— Skłamała, kiedy zapytałeś, czy kontaktował się z nią ktoś z Helsinek.

Obserwowałam ją. Zawahała się, nim odpowiedziała na to pytanie. Być może tylko kobiety zauważają takie rzeczy.

— Ja też to zauważyłem. Problem polega na tym, że jeśli zdołamy kiedykolwiek przyłapać Hausera na nielegalnej działalności, będą nam potrzebni wszyscy świadkowie, jakich uda się zdobyć. Evelyn może być jednym z nich.

— W porządku — powiedziała Paula uszczypliwie. — Zawsze możesz być z nią w kontakcie. To niezła flirciara.

Adam Carver już po raz drugi tego wieczoru udawał się do „Różanej altanki”.

Idąc tam pierwszy raz zauważył zaparkowanego koło domu mercedesa, zawrócił

więc i poszedł z powrotem do hotelu.

Zapukał. Hvelyn zapaliła światło na ganku, wyrzała przez zainstalowany niedawno wizjer, otworzyła dwa nowe zamki i powitała gościa promiennym uśmiechem. Odgarniając włosy zaprosiła go do środka, po czym zamknęła drzwi i weszła za nim do salonu.

— Po twojej popołudniowej wizycie jeszcze ktoś mnie odwiedził — oznajmiła.

— Przystojny i uwodzicielski Bob Newman. Masz ochotę na drinka?

— Podwójna szkocka dobrze by mi zrobiła, pod warunkiem, że napijesz się ze mną. — Carver przyglądał się z nie ukrywanym podziwem jej figurze. — Widzę, że się dla mnie wystroiłaś. Wyglądasz wspaniale. Bardzo seksownie.

— Naprawdę?

Napełniała kieliszki zadowolona z siebie. Carver był przystojniakiem, który potrafił się zachować. Evelyn podobał się jego czarujący uśmiech i ogłada.

Celowo pominęła fakt, że Newman przyjechał w towarzystwie Pauli. Kiedy podawała mu szklanekę, Carver zapytał:

— Newman, ten dziennikarz? Ach, tak. Czego szukał na tym odludziu?

— Odniosłam wrażenie, że przyjechał się ze mną zobaczyć. — Stuknęli się szklankami. — Jesteśmy po prostu dobrymi przyjaciółmi, Adamie.

„Ależ potrafisz być niedelikatna” — pomyślał. Uśmiechnął się jednak, wypił

połowę porcji szkockiej i odstawił szklanekę na papierową podkładkę. Siedzieli razem na kanapie. Objął Evelyn w talii, przyciągnął do siebie i pocałował mocno w usta. Nie stawiała oporu. Zamknęła oczy i położyła mu rękę na szyi. Carver starł chusteczką z ust ślady szminki, zapamiętując, że powinien ją potem wyrzucić. Evelyn miała wygląd kotki, która spałaszowała kawał słoniny.

— Jak mnie znalazłeś na tym odludziu? — zapytała.

— Kiedy nie zadzwoniłaś do mnie z Wandsworth, skontaktowałem się z centralą w Norwich, żeby sprawdzić, gdzie mieszkała twoja siostra — wyjaśnił

niedbale. — Sądziłem, że warto spróbować, więc przyjechałem tu samochodem i wynająłem pokój

w hotelu. Hokus--pokus — i dziś po południu zjawiam się u twoich drzwi.

— Niełatwo rezygnujesz, prawda?

— Nie wtedy, gdy chodzi o taką dziewczynę jak ty. — „Uważaj, żeby nie przesadzić z pochlebstwami” — pomyślał i szybko zmienił temat. — Czy Newman pytał o twoją siostrę?

— Skądże! — odparła ze złością. — Mówiłam ci, że przyjechał do mnie.

— To zrozumiałe. Postąpiłem dokładnie tak samo. Czy na piętrze jest równie przyjemnie?

Spojrzała na niego z ukosa.

— Możesz się przekonać, jeśli chcesz.

Paula zauważyła budkę telefoniczną obok skrzyżowania. Newman zadzwonił do Tweeda i szybko zapoznał go z sytuacją. Tweed zgodził się wysłać w ciągu godziny do Walberswick Harry’ego Butlera. Newman podał mu nazwę hotelu, w którym mieszkał poprzednim razem, i gdy został zapytany, potwierdził, że dzwoni z budki.

— Czy Harry powinien mieć broń? — spytał pośpiesznie Tweed.

— Tak. — Newman przypomniał sobie walthera, którym Steve wymachiwał w domu Evelyn w Wandsworth.

Jadąc dalej powiedział Pauli, że Harry Butler jest w drodze i że ma przybliżony rysopis Evelyn, by móc ją rozpoznać, oraz jej adres. Potem aż do Londynu już ze sobą nie rozmawiali. Newman wysadził Paulę koło jej mieszkania w Putney i wrócił do siebie. Gdy wjeżdżał

o trzeciej nad ranem w Beresforde Road, był wyjątkowo czujny, gdyż pamiętał

ogromną ciężarówkę, przez którą wylądował w szpitalu. Dzięki temu zauważył

stojący z boku policyjny radiowóz.

Był zaparkowany naprzeciwko jego mieszkania, po drugiej stronie ulicy. Na przedzie siedziało dwóch umundurowanych mężczyzn. Z wozu wystawała antena. Newman wszedł do domu i nie zdziwił się zbyt, gdy w trakcie robienia kawy usłyszał dzwonek. Podniósł słuchawkę w wąskim przedpokoju i nacisnął guzik włączający monitor. Za zamkniętymi frontowymi drzwiami stał

główny inspektor Buchanan.

— Mówi Newman. Właśnie wróciłem. Jest po trzeciej w nocy. Czego pan chce?

— Zamienić z panem kilka słów. Może się to panu przydać.

— Proszę zostawić Wardena na zewnątrz. Niech pan przyjdzie choć raz bez obstawy...

Przycisnął guzik, który odblokowywał zamek w hallu, otworzył drzwi do mieszkania, bez słowa wpuścił Buchanana, a następnie wprowadził go do dużego salonu od frontu i wskazał ręką kanapę.

— Robię właśnie kawę — rzucił niechętnie.

— Dziękuję, nie chce mi się pić. — Buchanan obejrzał dokładnie pokój, zwracając uwagę na wszystko, po czym odezwał się ponownie, gdy Newman wyszedł z kuchni, niosąc kubek z kawą: — Przepraszam, że niepokoję pana o takiej porze...

— ...ale pańscy obserwatorzy z zaparkowanego przed domem wozu patrolowego dali znać przez radio, że właśnie wróciłem — wpadł mu w słowo Newman. — Czy możemy przejść do rzeczy? Chciałbym przed świtem choć trochę się przespać.

— Nie odleciał pan jeszcze do Helsinek, lecz mam przeczucie, że się pan tam wybierze.

Zamilkł, ale Newman, przywykły już do tej taktyki, nie odzywał się. Trzymając w ręce kubek usiadł przy stole. Wypił trochę gorącej kawy i poczuł się mniej zmęczony.

— Zakładając, że Hauser ma coś wspólnego z zabójstwem Sandry Riverton —

kontynuował Buchanan — a podkreślam, iż może to być tylko mgliste przypuszczenie, bo nie ma wyraźnych dowodów...

— Ma pan jakikolwiek dowód? — zachnął się Newman.

— Czyli pośredni? No cóż, wracam ciągle do faktu, że oba zabójstwa wykazują pewne podobieństwa — o czym już wcześniej panu wspominałem. Zdarzyły się w krótkim odstępie czasu, w przybliżeniu w ciągu dwudziestu czterech godzin.

Poza tym obie ofiary pracowały w tej samej firmie.

— Czy moglibyśmy przejść do sedna sprawy?

— Jeśli moje założenie jest słuszne, sprawca obu zabójstw może być bliskim współpracownikiem Hausera.

— Co to dokładnie oznacza?

— Z tych skąpych informacji, jakie zdobyłem na temat Hausera, wynika, że w firmie panuje żelazna dyscyplina. Tylko ludziom ze ścisłego kierownictwa wolno podejmować kluczowe decyzje. Mówiąc krótko, zabójcą byłby któryś z jego bliskich współpracowników. A więc kto jest najbliższym Hausera? — Buchanan wstał. — Sądziłem, że ta informacja może się panu przydać... kiedy będzie pan w Finlandii.

— Dziękuję.

— Dopiero odnajdując zabójcę oczyści się pan z podejrzeń.

— Dziękuję.

— Dobranoc. Sam trafię do wyjścia.

— Jasne. Przecież jest pan detektywem.

Następnego ranka Evelyn wstała późno. Rzuciła okiem na nie posłane łóżko i stwierdziła, że potem zrobi z nim porządek. Czuła jakiś niepokój, więc po wypiciu filiżanki mocnej kawy poszła na spacer w kierunku morza.

Wolała założyć białą bluzkę pod szyję zamiast jednej z tych, które miały duże wycięcie. Nie było sensu prowokować miejscowych ludzi do plotkowania na jej temat. Za to krótka jasnoniebieska spódnica odsłaniała piękne nogi Evelyn. Idąc przez porośniętą trawą wydmy w kierunku kamienistego wzgórka, który wznosił

się jak grobla na drodze do plaży i morza, spostrzegła po raz pierwszy dobrze zbudowanego mężczyznę w wieku, jak przypuszczała, trzydziestu paru lat. Nigdy go dotychczas nie widziała.

Był w rozpiętej pod szyją podniszczonej koszuli w niebieską kratę, wiatrówce, szarych spodniach i adidasach. Na piersiach miał zawieszoną lornetkę. Evelyn zaczęła iść w jego kierunku. Potrzebowała męskiego towarzystwa.

Adam wyjechał od niej wczesnym rankiem. Powiedział, że musi lecieć z powrotem do Helsinek.

— Interesy, kochanie. Muszę zarabiać na życie, tak jak każdy. Trzeba wracać do bazy...

Jego wyjazd sprawił Evelyn wielką przykrość. Po nocy, którą ze sobą spędzili, Adam znaczył dla niej więcej niż inni mężczyźni. Czyżby to była znajomość na jeden wieczór? Nie miała pojęcia. Obiecał, że będzie z nią w kontakcie, ale czyż faceci nie obiecują tego zawsze?

— Dzień dobry — pozdrowiła nieznajomego. — Wspaniała pogoda, prawda?

Długo się utrzymuje. Znowu będzie upał.

— Dzień dobry pani. — Harry Butler uchylił myśliwskiego kapelusza, odsłaniając gęste kasztanowe włosy. — Tak, proszę pani. Jest bardzo pięknie.

— Pozwoli pan, że się z panem kawałek przejdę? Straciłam niedawno siostrę i dokucza mi samotność. Po co panu lornetka?

— Obserwuję ptaki. To moje hobby.

— Trafił pan we właściwe miejsce...

Przez chwilę nie mówiła nic więcej, czekając, aż nieznajomy opowie coś o sobie.

Butler, którego gładko ogolona twarz miała kamienny wyraz, uparcie milczał.

Zanim wyjechał z Londynu, Tweed zapoznał go z grubsza z otrzymaną od Newmana charakterystyką terenu. Kiedy pojawiła się wzmianka o rezerwacie przyrody w Minsmere, Butler natychmiast zdecydował, w jakiej roli wystąpi.

— Obserwator ptaków — oznajmił Tweedowi. — To idealny kamuflaż. Taki facet może dotrzeć niemal w każdy zakątek i nikt nie będzie się temu dziwił...

Kiedy wspinali się na kamienisty pagórek, Butler pomyślał, jak bardzo zdumiałaby Evelyn wiadomość, że widział Adama Carvera wychodzącego o świcie z „Różanej altanki”, i że zrobił mu za pomocą teleobiektywu kilka zdjęć.

Czyż nie jest rzeczą naturalną, że obserwator ptaków kręci się o świcie po okolicy z aparatem fotograficznym?

Byłaby nie mniej zdziwiona wiedząc, iż Butler zapoznał się już z całym otoczeniem „Różanej altanki”. Przespał się w zaparkowanym na uboczu samochodzie. Rano dotarł do hotelu, który polecił mu Newman, i poprosił o pokój zarezerwowany telefonicznie poprzedniego dnia.

Gdy wdrapywali się na kamieniste wzniesienie, zapiął do połowy zamek błyskawiczny wiatrówki, aby mieć pewność, że nie widać spod niej kabury na biodrze, w której spoczywał specjalnego typu rewolwer smith and wesson kalibru 38. Stając na szczycie wzgórza Evelyn niby to się potknęła i chwyciwszy mężczyznę za rękę zaraz potem wzięła go pod ramię.

Butler pomyślał, że zawarcie znajomości z Evelyn okazało się o wiele prostszą sprawą, niż przypuszczał. To mu ułatwi zaopiekowanie się dziewczyną. Zamierzał ją zapytać, jak dotrzeć do Minsmere, ale sama mu to powiedziała. Z jednej strony cieszył się, że tak potoczyły się sprawy, z drugiej —

zaczął być podejrzliwy. W kontaktach z kobietą lubił sam wykonywać pierwszy ruch. Jak na jego gust Evelyn wykazywała odrobinę za wiele inicjatywy.

— Czyż to nie cudowny widok? — zachwycała się.

— Wspaniały.

Przyglądał się drewnianej palisadzie u wejścia do portu, którą mijała właśnie potężna fala. Był doświadczonego wywiadowcą, dostrzegł idealny sposób, w jaki nieproszony gość mógł dotrzeć do Evelyn. Wystarczyło przypląć w ciemnościach łodzią, zacumować przy którymś z pali, wykonać zadanie i oddalić się, zanim ktokolwiek zdążyłby się w ogóle dowiedzieć o wizycie intruza.

Walberswick nie było bynajmniej oddalonym od świata, bezpiecznym schronieniem, na jakie wyglądało.

Wszystkie drogi prowadziły do Finlandii.

O dziesiątej rano Tweed odebrał przez aparat kodujący rozmowę, co uniemożliwiało podsłuch, tajemniczy telefon. Człowiek po drugiej stronie mówił

dobrą angielszczyznę i szybko wypowiadał słowa. Podał właściwe hasło, które pani premier przekazała Tweedowi podczas ich rozmowy sprzed paru miesięcy:

„Ostateczna rozgrywka”.

— Panie Tweed, czy może pan przylecieć do Helsinek? Ma pan zarezerwowany pokój w hotelu „Hesperia”, który chyba pan zna. Jutro o jedenastej w nocy proszę czekać na końcu Portu Północnego, w pobliżu katedry. Tam się z panem skontaktujemy.

— A kto mówi?

— Lew Frołow... — Rozmówca przeliterował swoje nazwisko. — Czy spotka się pan z nami w umówionym miejscu? To bardzo pilne.

— Tak, będę tam. Czemu to takie pilne? Na tej linii nikt nas nie podsłucha...

Połączenie zostało przerwane. Tweed odłożył powoli słuchawkę i w zamyśleniu spojrzął na Monikę.

— Rosjanie wreszcie nawiązali kontakt — powiedział. — Zarezerwuj mi na dzisiaj lot do Helsinek. Tak, na moje prawdziwe nazwisko.

Zrelacjonował jej z grubsza treść rozmowy. Monika słuchała z widocznym z troskaniem.

— Znasz tego Lwa Frołowa?

— Nigdy o nim nie słyszałem. To może być przybrane nazwisko. Zdawało mi się, że rozpoznaję głos, ale pewnie się mylę. To ktoś na bardzo wysokim stanowisku, bo jest osobistym przedstawicielem sowieckiego prezydenta, podobnie jak Cord Dillon reprezentuje amerykańskiego. Nigdy nie spotkałem się z tak ściśle utajnioną akcją.

— Czy zdajesz sobie sprawę, że to spotkanie może być bardzo niebezpieczne?

Właśnie w Porcie Północnym w lutym znaleziono pod lodem zamrożone zwłoki Eda Rivertona. Powinieneś chyba wziąć kogoś ze sobą.

— Nie. Zgodnie z umową mam spotkać się ze swoim partnerem, kimkolwiek on jest, w pojedynkę.

— O jedenastej w nocy! Czy w Helsinkach będzie jeszcze wtedy jasno?

— Nie. O tej porze roku jest tam ciemno przez dwie godziny — między jedenastą a pierwszą w nocy.

— Wcale mi się to nie podoba.

— Będę ostrożny. Miło z ich strony, że załatwili mi pokój w „Hesperii” —
zauważył Tweed.

— Zabrzmiało to ironicznie.

— Sprawa jest oczywista, prawda? Moi gospodarze, o ile można ich tak nazwać, będą mieli hotel na oku. Nagle, po tak długim czasie, zaczęło im się cholernie spieszyć. Ciekawe dlaczego?

— W dalszym ciągu mi się to nie podoba — powtórzyła Monika. — Sytuacja w Rosji jest tak niestabilna.

— Bądź grzeczna i zarezerwuj mi po prostu bilet na samolot. Nie lecę przecież do Rosji...

Newman, Paula i Cord Dillon mieli bilety na lot SK526. Wylatywali z Londynu o godzinie jedenastej zero zero i przybywali do Sztokholmu, na lotnisko Arlanda, o czternastej dwadzieścia pięć miejscowego czasu.

W drodze na Heathrow Newman siedział za kierownicą, a potem zostawił

swojego mercedesa na całodobowym parkingu. Cord Dillon był przez cały czas podminowany. Siedział samotnie z tyłu wozu, odzywając się niekiedy opryskliwym tonem.

— Czy możesz mi powiedzieć, po jaką cholereę lecimy do Sztokholmu? Jeśli choć trochę znam się na geografii, to jest w Szwecji.

— Nie mylisz się — zapewnił go Newman jowialnie. — Postanowiłem z dwóch powodów, że dotrzemy do Skandynawii okrężną drogą. Po pierwsze, osoby przybywające do Finlandii mogą być obserwowane. INCUBUS to potężna organizacja, a sądząc z tego, co powiedziała mi Evelyn, panuje tam wojskowy rygor. Mają bardzo szczelny system bezpieczeństwa.

Paula zachichotała.

— To dlatego tak dziwnie się wystroiłeś? — spytała.

— Wygląda nieźle — mruknął Dillon.

Newman miał na sobie baseballową czapkę i marynarkę w krzykliwą kratę.

Nogawki spodni, również kraciastych, wcisnął do sięgających mu po kolana skórzanych butów. Na nos założył duże okulary przeciwsłoneczne.

— A jaki jest drugi powód? — dopytywał się Dillon.

— Dowiesz się, kiedy dotrzemy na miejsce. W Skandynawii są takie same upały jak tutaj. W drodze z

lotniska będziesz miał czas się przyzwycząić. Do miasta jedzie się trzy kwadransy...

Po starcie samolotu Paula, która siedziała obok Newmana w fotelu przy oknie, spojrzała do tyłu. Dwa miejsca za nimi były puste, a znajdowali się na przedzie kabiny *business class*. Zgodnie z ustaleniami Cord Dillon siedział trzy rzędy dalej, jakby podróżował sam.

— Co to za książkę kończyłeś czytać, kiedy dzwoniłam do ciebie wczoraj wieczorem? — spytała Newmana. — Zdaje się, że cię wciągnęła.

— Namówiła mnie Evelyn. Ed Riverton wspomniał jej kiedyś o „Drakonie”, ośrodku badawczym, w którym wymyślają różne rzeczy dla Hausera. Pracuje tam profesor Hiram Goldstein. Właśnie jego książkę czytałem.

Nosi tytuł „Brak przestrzeni”.

— A o czym to jest? No, powiedz!

— Na Goldsteina wywarł najwyraźniej wpływ człowiek o nazwisku Haushofer.

Był specjalistą od tak zwanej geopolityki, czyli strategii globalnej. Hitler podzielał jego opinie. Goldstein twierdzi, że Stany

Zjednoczone nie mają już możliwości dalszej ekspansji na zachód, ponieważ rejon Pacyfiku jest opanowany przez Japonię. Doszedł do wniosku, że Ameryka może rozszerzać swoje wpływy jedynie w kierunku wschodnim, na obszar Europy i Rosji. Stąd tytuł: „Brak przestrzeni”. Na zachodzie. Istnieje tylko na wschodzie.

— Czy to nam cokolwiek wyjaśnia?

— Możliwe.

— Więc mi to wytłumacz. Ta książka najwyraźniej zrobiła na tobie wrażenie. —

Szturchnęła go w ramię. — Chciałabym wiedzieć, co się dzieje.

— To ją przeczytaj.

— Dobrze, ale zdradź mi, co w niej takiego jest.

— Goldstein wprowadza określenie *Lebensraum*, czyli przestrzeni życiowej.

Hitler, jak uczą nas podręczniki historii, bardzo się tą sprawą emocjonował.

Lebensraum. Hitler myślał o przestrzeni życiowej dla Niemców. Był to po prostu pretekst do nieustannych podbojów. Goldstein używa tego terminu w innym sensie. Ma na myśli przestrzeń rozwoju amerykańskiego biznesu. Nowymi celami są Europa i Rosja.

— Czy korporacja INCUBUS nie jest już wystarczająco duża?

— Jest wielka jak cholera, ale ci miliarderzy nie potrafią się pohamować. Nigdy nie mają dosyć. Muszą szukać nowych terenów do podboju. Powiniennem się zdrzemnąć. Nie będę jadł lunchu. Pooglądaj sobie widoki...

Chmury nie przesłaniały krajobrazu i w jakiś czas później Paula patrzyła na Szwecję z wysokości dziesięciu tysięcy metrów. Widziała szachownicę brązowo-zielonych pól, tu i ówdzie rozległe, ciemne wyspy lasów iglastych, a potem rząd jezior. Lustro wody, zupełnie nieruchome i lśniące błękitem w słońcu, wyglądało jak lodowa tafla. Paula zerknęła na zegarek. Wkrótce będą lądować na lotnisku Arlanda.

Ion Manescu i Irina Sierowa płynęli nocą do Sztokholmu na pokładzie jednego z wielkich promów Viking Line, które kursują między Helsinkami a stolicą Szwecji. Wczesnym rankiem wysiedli na przystani w pobliżu centrum miasta.

Stare majestatyczne gmachy miasta mostów i kanałów lśniły w słońcu, a każdy z budynków był z kamienia o innej barwie. Członkowie dwudziestoosobowej ekipy filmowej zeszli osobno na brzeg ze swoim sprzętem i odjechali natychmiast wynajętymi samochodami na wyznaczone przez Manescu stanowiska.

— Jesteśmy na miejscu — zauważyła Irina, gdy czekali na taksówkę. — Jak myślicie, czy obsadziliśmy wszystkie najważniejsze przejścia graniczne?

— Ja je obsadziłem. — Manescu podkreślił, kto dowodzi operacją. — Jedna z ekip jedzie na lotnisko do Göteborga, na zachodnim wybrzeżu. Druga zajmie się liniami promowymi z Kopenhagi. Kolejna obsadzi lotnisko Bromma pod Sztokholmem — jest niewielkie, ale ktoś może chcieć nas przechytrzyć. A główna ekipa dotrze w ciągu godziny na lotnisko Arlanda.

— To powinno załatwić sprawę — stwierdziła Irina.

— Dopóki nie rozpozna was ktoś z sowieckiej ambasady. Kiedyś tam pracowaliście, Sierowa — przypomniał Manescu.

Irina przyglądała długie ciemne włosy, uczesane w taki sposób, by uwydatniały owal jej twarzy. Miała na sobie podkreślające smukłość nóg obcisłe dzinsy, dodające wzrostu buty na wysokim obcasie i dopasowaną do figury wiatrówkę.

„Tak — pomyślał Manescu. — Uważasz, że nieźle wyglądasz, i masz rację”. Sam chętnie by się z nią przespał, nigdy jednak nie mieszał interesów z przyjemnościami.

— Kiedy pracowałam w ambasadzie — powiedziała Sierowa, celowo cedząc słowa — miałam krótko obcięte włosy. I ubierałam się byle jak, bo tak kazał

attache wojskowy. Naprawdę uważacie, że mogliby mnie rozpoznać? Bo ja nie.

Czy wydaje się wam, że w ambasadzie jest jeszcze ktoś z poprzedniej ekipy?

Wolne żarty.

— Wzięliście ze sobą na wszelki wypadek ten przyrząd? — zapytał Manescu ostrym tonem, by przypomnieć, że to on wydaje rozkazy.

— Jest schowany w oddzielnej kieszeni wewnątrz wiatrówki. Znam się na swojej robocie.

Owym „przyrządem” była specjalnie skonstruowana strzykawka, którą udoskonalono w laboratoriach Sekcji Farmaceutycznej korporacji INCUBUS.

Bardzo cienka igła z utwardzonego szkła o ostrzu grubości włosa zawierała powietrze. Nosiło się ją w ochronnym skórzanym futerale. Sierowa musiała jedynie wbić ostrze igły w żyłę ofiary i wcisnąć tłoczek. Zgon następował w ciągu paru minut. Jego przyczyny nikt nie mógł stwierdzić.

Manescu obserwował, jak ostatnia ekipa schodzi po trapie i wsiada wraz ze sprzętem do czekającego mikrobusu. Pojazd miał z boku szwedzki napis: „Filmy reklamowe i akcje promocyjne”.

Mamy taksówkę — oznajmiła Irina. — Hotel „Dyplomata” jest niedaleko stąd.

— Chwileczkę.

Manescu przyglądał się, jak ludzie z ekipy ładują kamery na tył pojazdu.

Zaczekał, aż wszyscy wsiądą i zamkną się drzwi mikrobusu.

Wóz ruszył, wjechał przez most na Gamla Stan, wyspę pełną średniowiecznych budowli, i skierował się na północ.

— Teraz wiemy, że lotnisko Arlanda, główną bramę wjazdową do Sztokholmu, mamy pod obserwacją — stwierdził, wsiadając do taksówki.

Marler poleciał do Hamburga samolotem Lufthansy w kabinie pierwszej klasy.

Na trasach europejskich wybierał Lufthansę lub Swissair — jedynie te linie zapewniały komfortowe miejsca. Były nie tylko wygodniejsze. Pierwszą klasą latało o wiele mniej pasażerów

i mógł bez trudu obserwować, w którym towarzystwie podróżuje.

Wysiadając na lotnisku w Hamburgu miał pewność, że nikt go nie śledzi.

Wyszedł z samolotu wprost w palący upał, był jednak odporny na radykalne zmiany klimatu.

W eleganckiej sportowej marynarce, jedwabnej koszuli, przepisowym krawacie i starannie odprasowanych spodniach wyglądał na zamożnego Anglika. Odebrał

nadaną na bagaż pojedynczą walizkę. W drugiej ręce niósł podłużną torbę, z której wystawała rączka rakiety tenisowej.

Taksówka zawiozła go do luksusowego hotelu o nazwie „Cztery Pory Roku”.

Zgodnie z telefonicznym zamówieniem dostał pokój z widokiem na Binnen Alster, mniejsze z dwóch jezior w środku wielkiego portu. Po obiedzie w restauracji skorzystał z telefonu, powiadomił rozmówcę o swoim przyjeździe i spał do późnego wieczoru. Jak dotąd wywiązywał się bez zarzutu z roli Anglika za granicą.

Tuż po zapadnięciu zmroku pojechał taksówką do restauracji, która mieściła się w dawnym magazynie nad brzegiem Łaby. Był to luksusowy lokal, choć położony w mało luksusowej dzielnicy. Kiedy wysiadł z taksówki i płacił kierowcy, zaczęła padać gęsta mżawka.

Środek opustoszałej ulicy, przy której znajdowały się następne magazyny, zajmowały zaparkowane długim szeregiem wielkie ciężarówki. W oddali jakieś dziewczyny próbowały skryć się pod osłoną budynków. Jedna z nich zawołała Marlera, który wszakże wszedł pośpiesznie do środka, nie zwracając na nią uwagi.

Hugo Hildebrandt oczekiwał go przy stoliku na piętrze, skąd można było widzieć w dole główną salę restauracyjną. Za oknem restauracji Marler dostrzegł

holownik płynący mozolnie pod prąd w mglistej mżawce.

Hildebrandt, handlarz bronią, wyglądał na dobrze prosperującego biznesmena.

Powitał Marlera uprzejmie i wręczając mu jadłospis oznajmił, że za wszystko płaci. Był szczupłym mężczyzną o wysokim czole. Miał czterdzieści parę lat i garbił się nieco, jak to zwykle robią ludzie słusznego wzrostu. Dopiero gdy zamówili posiłek, Hildebrandt — czyli H.H., jak nazywano go w międzynarodowych kręgach od Hamburga po Iran — przeszedł do interesów.

— Towar, którego pan potrzebuje, jest dostępny — powiedział po niemiecku. —

Oczywiście po odpowiedniej cenie.

— Oczywiście. — Marler odpowiedział w tym samym języku. — A więc ile?

— Jest fabrycznie nowy, nie uszkodzony...

— Darujmy sobie to zachwalanie. Ile?

— Dziesięć tysięcy niemieckich marek...

— Chyba nie mówi pan poważnie.

— W interesach nigdy nie żartuję — odparł spokojnie Hildebrandt, spoglądając w dół na salę. — Niech pan patrzy, to Lisa Krenz, ta sławna aktorka.

— Trzy tysiące — rzucił ostro Marler.

— To właśnie określiłbym jako żart. — Hildebrandt zabrał się do jedzenia. —

Mają tu bardzo dobry chleb — zauważył — a kiedy chleb jest dobry, reszta posiłku też powinna być smaczna.

— Pięć tysięcy marek. To moja ostateczna oferta.

Marler zgniótł w dłoni serwetkę, odsunął krzesło i wstał, chcąc wyjść.

Hildebrandt powstrzymał go gestem ręki.

— W porządku. Niech będzie pięć tysięcy. To poniżej moich kosztów, ale dla pana zrobię wyjątek. Poniosę niewielką stratę...

Siadając ponownie Marler starał się ukryć zdziwienie. Gotów był podwyższyć cenę do sześciu tysięcy. Hildebrandtowi najwyraźniej brakowało gotówki. Pół

godziny później wyszli razem z restauracji

i wśród zacinającej mżawki ruszyli w kierunku nabrzeża. Marler podniósł

kołnierz przeciwdeszczowego płaszcza.

Przy molo stał niewielki żaglowiec ze sterówką na rufie. Marler zobaczył, że jest w niej kapitan, a krzepki marynarz przygotowuje się do odcumowania statku.

Hildebrandt wskoczył na pokład, ale Marler zatrzymał się na brzegu.

— On z nami nie płynie — oznajmił, wskazując na majtka. — I nie chcę żadnych dyskusji.

Wszedł na pokład dopiero wtedy, gdy Niemiec, wzruszywszy ramionami, powiedział marynarzowi, że zobaczą się później. Stateczek wypływał mozolnie wśród zacinającej mżawki na środek rzeki. Marler postawił torbę za sterówką, a Hildebrandt wydobył spod stosu lin owinięty folią pakunek. Wyjął z niego rozłożony na części karabin typu Armalite i teleskopowy celownik.

Marler obejrzał broń przy świetle kieszonkowej latarki. Nie była regenerowana.

Fabrycznie nowa — a więc nie figurowała w rejestrach. Złożył sprawnie wszystkie elementy, zamocował teleskopowy celownik

i poprosił o amunicję. Załadował karabin. Mijali właśnie widoczną w oddali boję sygnalizacyjną. Kołysała się na falach, a jej światło rozplątało się we mgle.

Marler wymierzył, zerknął w celownik

i pociągnął za spust. Światło zgasło.

— Mówiono mi, że jest pan niezły — stwierdził Hildebrandt z uznaniem — ale takiego strzału jeszcze nie widziałem. Dopóki nie będę na muszce...

— Dość tego gadania. Teraz pistolet.

Hildebrandt poszperał w folii i wyjął automatycznego walthera P38, kalibru 9

mm. Założył magazynek i wręczył broń Marlerowi. Anglik rozejrzał się po rzece

— na jej ciemnej powierzchni nie było widać żadnych innych statków. Sprawdził

broń, uniósł ją i trzymając kolbę w obu rękach wystrzelił do płynącego z prądem po Łabie niewielkiego kawałka drewna. Potem pokiwał głową.

— Pięć tysięcy niemieckich marek — przypomniał mu Hildebrandt, trzymając prawą rękę w kieszeni trencza.

— Załatwimy to tak, jak ja będę chciał — powiedział opryskliwie Marler.

Rozłożywszy karabin umieścił go pod rakieta tenisową w dużej torbie. Walthera wsunął na sam spód, przykrywając wszystko niewielkim podróżnym pledem.

Potem podał torbę Hildebrandtowi.

— Niech pan powie kapitanowi, żeby przybił do nabrzeża obok postoju taksówek. Kiedy zejdem na ląd, da mi pan torbę w zamian za kopertę. Potrzebuję jeszcze amunicji do obu sztuk broni. Do walthera dziesięć magazynków. I kaburę.

— To będzie kosztowało dodatkowo...

— Nie będzie.

Hildebrandt znowu wzruszył ramionami, wyciągnął z folii naboje, wręczył je Marlerowi i krzyknął do kapitana, żeby przybijał do brzegu. Rozchylił płaszcz, odpiął kaburę i podał ją klientowi. Oznaczało to, że broń, którą tam zwykle trzymał, spoczywa w jego prawej kieszeni. Marler uśmiechnął się, wsuwając rękę do torby i wyjmując stamtąd walthera.

— To tylko na wszelki wypadek, H.H.

Wymiana miała miejsce przy molo. Marler powiedział dobranoc i podszedł do taksówki, z której wysiadała właśnie pasażerka, mocno wymalowana kobieta. Spojrzała na niego z nadzieją.

— Nie dzisiaj, Józefino — rzekł Marler i wszedł do taksówki, każąc kierowcy ruszać z miejsca. Dopiero gdy oddalili się od nabrzeża, polecił mu jechać do hotelu „Cztery pory roku”.

Środki ostrożności zawiodły. Zapalając długiego papierosa Marler zerknął we wsteczne lusterko i zobaczył, że jedzie za nimi motocykl, który stał koło nabrzeża. Typowy numer Hildebrandta.

Motocyklista mógł dostrzec ich bez trudu, gdy wychodzili z restauracji, a potem jechać równolegle do brzegu, mając kuter cały czas na oku. Nie spędziło to jednak Marlerowi snu z powiek.

Następnego ranka Marler pojechał taksówką z powrotem na lotnisko. Niosąc w rękach walizkę i torbę nie poszedł do punktu odpraw, lecz do toalety. Na szczęście nikogo tam nie było.

Gdy zaczął myć ręce w umywalce, wszedł krzepki mężczyzna w dzinsach i brudnej koszuli. Jego wydatną szczękę pokrywała czarna szczecina. Marler rozpoznał w nim marynarza, którego wyrzucił z kutra. Hildebrandt zaczynał być nieznośny — chciał powtórnie sprzedać tę samą broń.

— Zrób tylko coś głupiego, a rozetnę ci gardło od ucha do ucha — ostrzegł drab.

— Dawaj torbę...

Rozległ się suchy trzask. Marynarz trzymał sprężynowy nóż o szerokim ostrzu. Marler wyciągnął dłonie z umywalki i podniósł do góry lewą rękę. W prawej miał pojemnik z lakierem do włosów. Wycelował go w marynarza i nacisnął kapturek. Strumień lakieru trysnął w twarz i oczy napastnika.

Marynarz wybełkotał coś, uniósł wolną rękę do oczu i jęknął z bólu. To Marler uderzył go mocno kantem prawej dłoni w przegub. Nóż upadł z brzękiem na podłogę. Marler odrzucił pojemnik z lakierem, chwycił Niemca za ramiona i nie tracąc impetu pchnął go z całej siły do pustej kabiny. Marynarz uderzył głową o wyłożoną kafelkami tylną ścianę i osunął się na podłogę. Marler wcisnął go w sedes. Niemiec skulił się, a głowa opadła mu na kolana.

Zamknąwszy drzwi Marler podniósł lakier i nóż, schował ostrze i wsunął oba przedmioty do kieszeni. Opuścił toaletę z walizką i torbą, wyrzucił

nóż do najbliższego kosza na śmieci, a następnie wyszedł z lotniska.

Wsiadł do pierwszej z brzegu taksówki i powiedział kierowcy, żeby zawiózł go na Hauptbahnhof. Na stacji kupił bilet do Lubeki i zdążył złapać ekspres do Kopenhagi na minutę przed odjazdem. Gdy pociąg pędził przez nizinne obszary północnych Niemiec, zagłębił się w lekturze „Malowanej zasłony” Somerseta Maughama.

Wysiadłszy z pociągu w Lubece, starym hanzeatyckim porcie nad Bałtykiem, udał się kolejną taksówką do Travemünde Häfen, przystani promów samochodowych do Helsinek. Nie zapomniał sprawdzić, czy wystaje mu z torby rakietę tenisową.

W Travemünde kupił bilet w obie strony na prom do Helsinek. Był potworny upał. Znalazłszy się w luksusowej kabinie ściągnął krawat, rozluźnił kołnierzyk, usadowił się na koi i wziął do ręki książkę.

Nikt nawet nie spojrzał na jego bagaż. Prom odbijał od brzegu. Marler ułożył się wygodnie na koi i pomyślał na koniec, że Hugo Hildebrandt musi być zupełnie splukany. Biedny facet.

Howard, dyrektor SIS, wrócił ze spędzanego w domku letniskowym na południu Francji urlopu w najmniej odpowiednim momencie. Ten wysoki mężczyzna o pulchnej twarzy i różowej cerze zjawił się w budynku przy Park Crescent, gdy Monika, z biletami linii Finnair w rękę, zmierzała do biura Tweeda. Zatrzymał ją na schodach.

— Ktoś jeszcze wybiera się na urlop? — zapytał jowialnym tonem. — Któż to opuszcza okręt w potrzebie?

„O, cholera — pomyślała Monika. — Jest w tak zwanym wesołym nastroju”.

Przystanąła i obejrzała się na szefa. Howard był jak zwykle nienagannie ubrany w nowy, jasnoszary garnitur od Harrodsa. Miał białą koszulę, sztywną od krochmalu jak rycerska zbroja. Wystająca z butonierki szkarłatna chusteczka pasowała idealnie kolorem do krawata.

— Muszę je pilnie dostarczyć — odparła, patrząc w dół na George'a, strażnika, który siedział przy biurku obok zamkniętych frontowych drzwi. — Przepraszam pana.

— Na jakąż to wielką tajemnicę państwową niechący się natknąłem? —

zapytał Howard żartobliwie, wchodząc za nią do biura Tweeda.

— Masz tu swoje bilety — powiedziała Monika, kładąc je przed szefem. Tweed spojrzał jej przez ramię i zmarszczył brwi.

— Wróciłem parę dni wcześniej — oznajmił beztrósco Howard, zamykając za sobą drzwi. — W Prowansji gorąco jak w piekarniku. Czyżbyśmy się dokądś wybierali?

Usadowił się w fotelu, kładąc długą nogę na poręczy i podziwiając swój lśniący, czarny but. Tweed włożył bilety do kieszeni i usiadł wygodniej.

— To pilna sprawa. Za pięć minut muszę stąd wyjść.

— Dobrze. A więc mamy całe pięć minut, żebyś mi wszystko wyjaśnił. Dokąd cię niesie?

— Do Helsinek. — Tweed wstał, spojrzał na zegarek i chwycił walizkę.

— Zaczekaj. — Howard podniósł się z miejsca. Monika nachmurzyła się. Czowała, że będą z nim kłopoty. — Po co tam lecisz?

— Na specjalne polecenie pani premier. Przykro mi, ale to ściśle tajne zadanie.

Najtajniejsze, z jakim miałem kiedykolwiek do czynienia.

— Rozumiem. — Howard przyjął to zadziwiająco spokojnie. — Wchodząc tutaj wpadłem na Pete'a Niolda. Zna Skandynawię. Zabierz go ze sobą. To rozkaz. Nie powinienesz kręcić się bez obstawy.

— Niepokojnie jest bardziej na południu.

— Czyżby? Będąc we Francji wracałem przez Paryż i rozmawiałem z Pierre’em Lorientem. Twierdzi, że z Bałkanów uciekło potajemnie kilku bardzo niebezpiecznych ludzi. To zawodowcy. Dostał cynk z wiarygodnego źródła, że zmierzają do Skandynawii.

— Mam zaraz samolot...

— Nie będę mógł usnąć, jeżeli nie zabierzesz Pete’a Nielda. Może podróżować osobno tym samym samolotem. Nie pytam, co zleciła ci pani premier, ale kieruję tą firmą. Wiesz, że Pete jest zawsze spakowany na wypadek nagłego wyjazdu i ma pieniądze w Bóg wie ilu walutach.

— Może już nie być miejsca w samolocie...

Howard okręcił się w obrotowym fotelu.

— Moniko, zadzwoń na lotnisko i zarezerwuj jeszcze jeden bilet na ten sam lot.

To także rozkaz.

Monika spojrzała na Tweeda. Skinął głową. Był zaskoczony usilną troską Howarda o jego bezpieczeństwo. Nie znajdował argumentów, by przeciwstawić się poleceniu szefa. Zawsze mógł przecież zgubić Nielda, gdy będą na miejscu.

Monika przeprowadziła trzy pospieszne rozmowy przez telefon, po czym odłożyła słuchawkę.

— Pete ma rezerwację na ten sam lot. Bilet czeka na niego na lotnisku. Dostał

pokój w tym samym hotelu co ty. Za trzy minuty przyjedzie tu po niego taksówka, żeby zdążył na samolot.

— Więc będę uciekał — powiedział Tweed i spojrzał na Howarda. — Dziękuję za wsparcie. Nie jestem pewien, kiedy wrócę.

— No, cóż — stwierdził jowialnie Howard, powtarzając słowa, które Tweed skierował wcześniej do Moniki: — Nie lecisz przecież do Rosji...

Tweed wyglądał przez okienko samolotu linii Finnair, lecącego nad Bałtykiem pod bezchmurnym niebem. Właśnie mijali niewiarygodnie wyglądający fiński archipelag, drugi co do wielkości na świecie. Siedem i pół tysiąca metrów pod nimi rozpościerał się na tle oślepiającego błękitu morza rozległy labirynt niezliczonych wysepek

o różnym kształcie i wielkości. Ciągnęły się od Turku. Tu i ówdzie Tweed dostrzegał na otwartym morzu drobną białą smugę — ślad pozostawiony przez jakiś duży statek.

Rozejrzał się po kabinie. Dwa rzędy za nim czytał gazetę Pete Nield. Miał

trzydzieści parę lat i był szczupłym, elegancko ubranym brunetem z przyszczyżonym wąsikiem. Jego chłodny, cyniczny stosunek do życia robił

wielkie wrażenie na kobietach. Wsiadając do samolotu nie spojrzał nawet w kierunku Tweeda.

Gdy maszyna zniżała stopniowo lot, zbliżając się powoli do lotniska w Helsinkach, Tweed porządkował w myślach plan, którego realizację już rozpoczął. Newman, Cord Dillon i Paula wyruszyli także do Skandynawii, aby prowadzić dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS. Nie wątpił, że Newman zajmie się śledztwem niezwykle energicznie — zabójstwo Sandry Riverton wzbudziło w nim żądzę zemsty.

„Moja misja jest podobna, a jednak odmienna — uzmysłowił sobie. — Też badam działalność korporacji, ale wspólnie z jakimś nieznanym Rosjaninem. To przypomina wplątywanie się w sieć pajęczyny”.

W drodze był również Marler, próbujący wysledzić niebezpiecznych uciekinierów z krajów postkomunistycznych. Wpadł już na pewien trop: widziano, jak IonManescu wsiadał w Travemünde na prom kursujący regularnie do Helsinek.

Marlerowi nie brakowało pomysłowości i doświadczenia w lokalizowaniu ludzi, których nikt inny nie potrafił odnaleźć.

Realizacja planu przebiegała dwutorowo, bo dotyczył on dwóch różnych problemów: przeniknięcia do korporacji INCUBUS — aby zorientować się, jak funkcjonuje ten kolos — i wyśledzenia zaginionych gdzieś przestępców z byłych tajnych służb. Gdy maszyna zaczęła gwałtowniej zniżać lot, znowu przyszło Tweedowi na myśl porównanie konsorcjum do pajęczej sieci. Kto był pajakiem w środku pajęczyny? Czy rzeczywiście Hauser?

— Musimy rozwiązać ten problem. Wszelkimi skutecznymi środkami. W

przestronnym gabinecie Franklina D. Hausera na ostatnim piętrze szklanego wieżowca w pobliżu Helsinek znajdowało się trzech

mężczyzn. Hauser spoglądał przez okno na lśniąca nad powierzchnią morza mgiełkę gorącego powietrza. Adam Carver siedział w eleganckim fotelu, a Galvone chodził w kółko po puszystym dywanie.

Jaka jest aktualna sytuacja we Frankfurcie? — zapytał Carver.

Ten prywatny niemiecki bank należy do Egon Schmidta. Za nic **nic** chce go sprzedać. — Hauser spojrzał na czerwoną kartkę, którą trzymał w ręce. — Evelyn Lennox sporządziła biogram Egon. Ma syna, Dietera. Jadła z nim kolację we

„Frankfurter Hof”. Dieter to playboy. Nie interesuje się bankiem i sprzedałby go natychmiast. Stosunki między ojcem i synem układają się źle. Ponieważ jednak Egon nie ma innych żyjących krewnych, bank przejdzie w ręce Dietera —

spojrzał na obu wiceprezesów — gdyby Egonowi coś się przytrafiło.

— A więc rozwiązanie jest oczywiste — stwierdził Galvone.

— Niby jakie? — zapytał spokojnie Carver.

— OK, porozmawiamy o tym później — przerwał im Hauser. — Potrzebujemy tego banku, żeby mieć punkt zaczepienia w Niemczech. Banki kontrolują tam wiele spółek o kluczowym znaczeniu. — Odłożył akta na stół, zmieniając temat.

— Powiedz nam, Adamie, jak poradziłeś sobie z Evelyn Lennox?

— Ona ciągle się boi. Nie chce przyjąć pieniędzy z ubezpieczenia.

— To znaczy, że ta mała może zacząć gadać — ostrzegł Galvone.

— Myślę, że uważa mnie za przyjaciela — stwierdził Anglik — więc zawsze mogę do niej wrócić i spróbować ją przekonać.

— Albo podłożyć ogień w jej mieszkaniu.

— To byłoby rozwiązanie drastyczne i dające, być może, niepożądany efekt. Są pewne dodatkowe komplikacje.

— Tego najmniej nam teraz potrzeba — powiedział Hauser chrapliwym głosem.

— Jakie komplikacje? — zapytał Galvone.

— Kiedy byłem w Londynie, wpadłem do Steve'a Abbotta. To ten niezbyt delikatny współpracownik Papy Grimwooda. Steve twierdzi, że w Walberswick widział u Evelyn Roberta Newmana, znanego dziennikarza.

— Co się dzieje, do cholery? — zapytał Hauser, wkładając papierosa do cygarniczki. — Można palić, panowie.

Carver wyjął z pudełka cygaro, zapalił je i zaciągnąwszy się obserwował Franka Galvone zza chmury dymu.

— Walberswick to niewielkie miasteczko na wybrzeżu hrabstwa Suffolk.

Mieszkała w nim kiedyś Sandra Riverton. Teraz jest tam jej siostra, Evelyn.

— Nie powinniśmy tak zostawiać tej damulki — zaprotestował Galvone.

— Ależ, Frank, jesteś zawsze taki porywczy — zganił go Hauser. — Adam na pewno panuje nad sytuacją i znajdzie właściwe rozwiązanie.

— Na pańskim miejscu nie liczyłbym na to — powiedział Galvone szyderczo.

— Nie liczę na nic... ani na nikogo. — Głos Hausera zabrzmiał ostro. —

Najbardziej martwi mnie uwaga Adama o tym wścibskim dziennikarzu.

Newman. Chciałbym wiedzieć, gdzie teraz jest. Sprawdź to, Frank. Adamie, ty zostań. Musimy niezwłocznie załatwić pewną sprawę.

Maszyna podchodziła do lądowania. Lot SK526 miał zakończyć się zgodnie z rozkładem na lotnisku Arlanda o czternastej dwadzieścia pięć. Paula spoglądała przez okno na przybliżający się pustynny krajobraz, spaloną słońcem glebę, wysepki gęstych zielonych jodeł

i osadzone w ziemi pojedyncze głazy.

Poza rozległym kompleksem budynków Arlandy nie było właściwie widać śladu ludzkich siedzib. Lotnisko z każdym rokiem coraz bardziej się rozrastało.

Newman otworzył oczy, ziewnął i zerknął w tył na Corda Dillona, który wiercił się już niespokojnie.

— Będą z nim problemy — powiedział do Pauli. — To człowiek czynu. W razie kłopotów jednak bardzo się nam przyda.

— Dlaczego spodziewasz się kłopotów? Nikt nie może wiedzieć, że lecimy przez Szwecję do Finlandii.

— Kapitan powie zaraz sakramentalne słowo „lądujemy”...

Podczas kontroli paszportowej i celnej nikt się nimi nie zainteresował. Zeszli po schodach z górnego piętra do głównej hali. Od Dillona, ubranego w wymięty szary garnitur, oddzielało ich kilku następnych pasażerów.

— Musiał przylecieć ktoś ważny — zauważyła Paula, gdy znaleźli się w przestronnej hali. — Jakaś gwiazda filmowa?

Pomachała ręką w kierunku ekipy filmowej. Czterej mężczyźni i dziewczyna, skierowawszy kamery w stronę nadchodzącego tłumu, filmowali nowo przybyłych. Newman, nadal w ciemnych okularach, dotknął daszka baseballowej czapki, pozdrawiając filmowców.

— Z pewnością nie chodzi im o nas — zażartowała Paula.

Newmana zaniepokoiła ta uwaga. Kiedy wynosili bagaże, aby dotrzeć do wynajętego samochodu, rzucił okiem za siebie. Kamery nadal filmowały napływający powoli do hali tłum pasażerów. Kiedy wyszli na zewnątrz, upał buchnął na nich jak z pieca. Słońce oślepiało. Paula założyła ciemne okulary. Newman pospieszył w kierunku volvo kombi, przy którym stała z kluczami w rękach

dziewczyna w służbowym uniformie.

Papierkowe formalności zajęły niewiele czasu. Dziewczyna chciała jak najszybciej znaleźć się z powrotem w klimatyzowanej hali. Zanim zjechali z krawężnika, Dillon wsunął się na tylne siedzenie i dopiero wtedy Newman ruszył

z miejsca, podążając główną autostradą w kierunku odległego Sztokholmu.

— Co cię tak zainteresowało? — zapytała Paula. — Wtedy, gdy opuszczaliśmy halę.

— Ci kamerzyści. Po co filmują wszystkich wychodzących pasażerów?

— Nie mam pojęcia. — Paula wachlowała się wziętą z samolotu broszurą. —

Boże, co za koszmarne upały!

— Masz otwarte okno.

— Wpada przez nie tylko gorące powietrze. Przynajmniej w Finlandii będzie chłodniej.

— A jak się tam dostaniemy, do cholery? — zapytał Dillon. — Wieziesz nas jakąś okreśną drogą.

— Jutro w nocy wsiadamy na prom. Ze Sztokholmu do Helsinek będzie ci się płynęło bardzo wygodnie. Po Bałtyku kursują ogromne promy samochodowe.

— Źle znoszę morskie podróże — skarżył się Dillon.

— To będzie jak ślizganie się po powierzchni lustra.

— Może mylisz się co do tej ekipy filmowej — zauważyła Paula. — Pewnie mieli jakiś konkretny powód.

— Cóż, jak dotrzemy do hotelu „Grand” i ulokujemy się tam, znajdę sposób, żeby to sprawdzić. Jeżeli chcesz, możesz mi towarzyszyć. Chyba że idziesz na zakupy do domu towarowego.

— A jak zamierzasz to sprawdzić? — zapytała Paula.

— Cholera jasna! — wybuchnął Dillon. — Dlaczego jedziemy do Finlandii tą trasą?

— Potrzebujemy broni, oto cały powód. Daj już spokój.

— Nie powiedziałaś mi, w jaki sposób chcesz sprawdzić tę ekipę filmową —

przypomniała Newmanowi Paula.

— Dowiesz się po południu.

Paula zaklęła w duchu i zaczęła wyglądać przez okno. Nie mogła się doczekać kąpieli w hotelu.

Sukienka kleiła się jej do ciała. Obok szerokiej autostrady pojawiały się co jakiś czas wapienne wąwozy, a za nimi rozciągały się pola, słabo widoczne w drżącym od upału powietrzu. Nie miała pojęcia, co Newman planuje na popołudnie.

Marler zszedł po trapie z promu, który przybił do Portu Północnego w Helsinkach. Natychmiast zobaczył ludzi z kamerami filmowymi skierowanymi na pasażerów. Przyspieszył kroku, zmieszał się z tłumem, minął sznur czekających taksówek i przechodząc obok wejścia do portu dotarł do hotelu

„Pałace”.

— Ma pani dla mnie rezerwację — oznajmił dziewczynie z recepcji i podał jej swoje nazwisko, po czym pozwolił bagażowemu wziąć walizkę, mówiąc, że torbę zajmie się sam.

Dostał pokój z widokiem na port. Wyjrzał przez okno w pałacy żar słońca. Był

przygotowany na upały — miał na sobie płócienną marynarkę i lekkie spodnie oraz rozpiętą pod szyją koszulę. Torba, z której wystawała rączka rakiety tenisowej, stała na krześle w widocznym miejscu. Wyrwawszy sobie z głowy włos umieścił go pod suwakiem otwartego na kilka centymetrów zamka.

Zostawił zamkniętą na klucz walizkę na półce, tam gdzie położył ją bagażowy.

Gdyby ktoś przeszukiwał pokój, właśnie nią by się zainteresował. Torba była zbyt widoczna, by zwracać uwagę. Wyszedłszy z pokoju ruszył szeroką aleją, Esplanadą, i skręcił na południe, w kierunku starówki. W kieszeni na piersi miał

fotografię Iona Manescu.

Tweed wyjrzał przez okno swego pokoju w hotelu „Hesperia”. Był podobno „z widokiem na morze”. Nocował już kiedyś w tym nowoczesnym, betonowym gmachu o łukowatych kształtach. Spojrzał w dół na wysoką, obracającą się rzeźbę z metalu, poruszaną podmuchami wiatru. Powietrze nawet nie drgnęło, więc i rzeźba także. Za Mannerheimintie, usytuowaną w niedużej odległości w kierunku wschodnim autostradą, która prowadziła do miasta, Tweed zobaczył

morze. Wyglądało jak niewielkie jezioro, lecz było wrzynającą się w ląd odnogą niewidocznego Bałtyku.

W stronę miasta jechał tramwaj w ładnym, pomarańczowokremowym kolorze.

Tweed przypomniał sobie, że chciał obejrzeć za dnia miejsce spotkania w Porcie Północnym. Zjechał windą do hallu, zastanawiając się, czy spotka Pete’a Nielda, który też nocował w „Hesperii”. Nigdzie go nie było. Przechodząc przez obszerny hall Tweed spojrzał na umieszczony nad drzwiami cyfrowy odczyt termometru.

Dwadzieścia osiem stopni Celsjusza. Wzruszył ramionami, dziękując Bogu, że ma na sobie tropikalny, płócienny garnitur. Wyszedłszy na piekielny upał poczuł, jak słońce pali go w kark. Wiata przystanku znajdowała się niedaleko, w kierunku miasta, a tramwaj numer cztery przyjechał od razu.

Tweed wsiadł, wręczył motorniczemu fińską monetę

i dostał bilet. Pamiętał, żeby wybić na nim godzinę i datę w kasowniku za fotelem motorniczego.

Helsinki były „granitowym miastem”. Jadąc taksówką z lotniska mijał wysokie spiętrzenia skał, a budynki skonstruowane były z tego właśnie materiału.

Tramwaj przejeżdżał obok muzeum usytuowanego na wzgórzu, którego zbocze porastał trawnik. Z przystrzyżonej trawy wystawał potężny granitowy głaz.

Wszędzie granit. Finowie musieli być twardymi ludźmi, żeby wybudować taką metropolię.

W dziesięć minut później Tweed szedł zadrzewioną Esplanadą w kierunku Portu Północnego. Mężczyźni i kobiety przechadzali się wolno w słońcu, ubrani jak można najlżej. Tweed dotarł właśnie do granic Portu Północnego, gdy minął go jakiś samochód. Przystanąwszy na skraju mola słyszał, jak za jego plecami straganiarze robią niezłe interesy. Na nabrzeżu panował ożywiony ruch.

O jedenastej w nocy, w ciągu dwóch krótkich godzin ciemności, które ogarniały Helsinki

o tej porze roku, będzie tu zupełnie inaczej.

Dlaczego w tym miejscu? Dlaczego o tak późnej godzinie? W hotelu „Hesperia” nie zastał żadnej wiadomości od Lwa Frołowa, kimkolwiek on był. Howard dostałby zawału, gdyby wiedział, na co zgodził się jego podwładny. W tym momencie Tweed zauważył, że samochód, który niedawno go minął, stoi zaparkowany w pobliżu.

Po znajdujących się niedaleko schodkach zbiegał szczupły, zwinny mężczyzna w stroju nurka. Na twarzy miał maskę, ale jego ruchy wydały się Tweedowi znajome. Wskoczył do wody, utrzymywał się przez chwilę na powierzchni, po czym zniknął w głębi spokojnego jak jezioro morza. Wówczas Tweed zdał sobie sprawę, kto to taki.

Pete Nield był doskonałym nurkiem. Musiał trafić tu jadąc za tramwajem numer cztery, zapewne w wynajętym samochodzie. Tweed odwrócił się i zaczął iść z powrotem na przystanek. Nield bardzo serio potraktował polecenie, by zapewnić mu ochronę. Teraz wie już, gdzie ma nastąpić spotkanie.

W Sztokholmie było wczesne popołudnie. Powietrze przypominało gorący, sprężony gaz. Stolica Szwecji prażyła się w słońcu, gdy Newman pędził razem z Paulą w wynajętym volvo dwupasmową autostradą. Z lewej strony widać było wodę, a z prawej bloki mieszkalne rozlokowane na wzniesieniach za zielonymi trawnikami. Dillon został w hotelu „Grand”, robiąc sobie sjęstę.

— Jak daleko jest to lotnisko Bromma? — zapytała Paula. — I po co tam jedziemy?

— Najwyżej kwadrans jazdy od hotelu. Dowiesz się wszystkiego, kiedy będziemy na miejscu.

Na szosie nie było ruchu, a przy tym na całej trasie mieli zielone światła. Zjechali wkrótce na jednopasmową drogę biegnącą obok starych drewnianych domów, pomalowanych na jasnozielono

albo żółto. Były to jedno- lub dwukondygnacyjne budynki z niedużymi, wypielegnowanymi ogródkami od frontu.

— Jaką rolę pełni Bromma? — naciskała Paula. — Po co im to lotnisko, skoro mają Arlandę?

— Arlanda zastąpiła je wiele lat temu. Teraz Bromma obsługuje połączenia krajowe i prywatne samoloty. To dogodny punkt dla osób, które chcą przedostać się dyskretnie do Szwecji. Jesteśmy na miejscu...

Napis głosił: LOTNISKO BROMMA. W porównaniu z Arlandą budynek obsługi pasażerów był niewielki. Zobaczyli przy nim tylko dwie osoby. Kiedy Newman zaparkował w pobliżu wóz i wyłączył silnik, zapanowała głucha cisza. Paula miała wrażenie, że są gdzieś w szczerym polu.

— Nie myliłem się — stwierdził Newman posępnym tonem. — Chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła. Wsiądź z samochodu, wejdź do budynku, odczekaj parę minut i wróć.

— Facet, który opiera się o mikrobus, ma kamerę.

— A na wozie jest ten sam napis, który widzieliśmy przed Arlandą. Zrób to, o co cię proszę.

Newman, który pod hotelem „Grand” wyrzucił do rzeki swą baseballową czapkę, zapalił papierosa. Paula wysiadła z samochodu

i poszła spacerkiem w kierunku budynku. Ubrana była w szorty, które odsłaniały długie, zgrabne nogi, i w luźną bluzkę. Gdy mijiała mikrobus, mężczyzna zaczął

przyglądać się jej nogom, a towarzysząca mu dziewczyna szturchnęła go niedelikatnie pod żebra.

Znalazłszy się w budynku Paula stwierdziła, że hall recepcyjny jest dosyć przestronny, nie było w nim jednak nikogo — ani personelu, ani kogokolwiek.

Podeszła do okna i spojrzała na niewielkie lotnisko otoczone jodłowym lasem.

Był tam tylko jeden pas startowy i prowadzący do niego betonowy podjazd. Z

boku stał samolot linii Swedair. Bliżej głównego pasa ustawiony był odrzutowy lear. Na jego kadłubie widniał napis INCUBUS.

— Mamy kłopoty. Hauser mnie przechytrzył. W fatalny sposób nie doceniłem go. Od tej chwili może być niebezpiecznie. Bardzo niebezpiecznie.

Newman miał smętną minę, rozmawiając z Paulą w luksusowym barze hotelu

„Grand”. Siedzieli w wygodnych fotelach. Paula przysunęła swój bliżej Newmana. Dillon oznajmił po ich powrocie, że jest głodny i zamierza zjeść kolację w restauracji przy nabrzeżu, gdzie przybijały statki przywożące turystów z wycieczek na archipelag.

— W samochodzie przez całą drogę się nie odzywałeś — zauważyła Paula. —

Oczekuję wyjaśnień. Wiesz, co widziałam. A ta para z kamerą nie zwróciła na mnie uwagi, w ogóle mnie nie filmowali.

— Bo znikąd nie przyleciałaś. Oni czekali na kogoś, kto przybywa do Szwecji.

Tak było na Arlandzie. Tam nakręcili sporo taśmy.

— Jak myślisz, co robił na lotnisku odrzutowiec korporacji INCUBUS?

Wyglądało, jakby na kogoś czekał...

— Albo na coś. Jutro kupię broń. To jeszcze jeden powód, dla którego wybrałem taką trasę. W Finlandii nie można zdobyć broni.

— A tutaj można? Czy to chcesz powiedzieć?

— Tak. Jutro pojedę na Sergels Torg. To plac w centrum Sztokholmu, gdzie zbiera się młodzież. Można tam kupić od chłopaków wszelkiego rodzaju broń automatyczną czy pistolety.

— Dla mnie browning — zdecydowała Paula natychmiast. — Tylko jak przemycimy broń do Finlandii?

— To proste. Popłyniemy do Helsinek nocnym promem. Nie ma tam właściwie kontroli ani sprawdzania bagażu. Poza tym łatwiej jest opuścić niezauważenie prom w porcie niż samolot na lotnisku. Przypomnij sobie Arlandę.

— Bob, mogę iść z tobą jutro na Sergels Torg?

— Zastanowię się. Niewykluczone, że zostaniemy tu dzień dłużej. Mam jeszcze nadzieję, że może się mylę.

— Martwisz się, bo zabrałeś mnie ze sobą — powiedziała z wyrzutem.

— Nawet o tym nie pomyślałem — skłamał. — Chodźmy na kolację. Jutro czeka nas bardzo

pracowity dzień.

Filmy kręcone na lotnisku w Göteborgu w zachodniej Szwecji, na przystani w Malmö, gdzie przybijały wodoloty z Danii, oraz na Arlandzie przewieziono śmigłowcem na lotnisko Bromma.

Tego samego wieczoru trafiły na pokład czekającego tam odrzutowego leara.

Wystartował punktualnie o dwudziestej pierwszej, lądując w Helsinkach na długo przed zapadnięciem dwugodzinnego zmroku. Z lotniska filmy przewieziono pospiesznie do centrali spółki INCUBUS Oy. Przed dwudziestą drugą trzydzieści znalazły się w szklanym wieżowcu.

— Nie ma to jak obejrzeć wieczorem dobry film — stwierdził Hauser.

Zajmował fotel w sali kinowej na drugim poziomie. Po lewej stronie miał Franka Galvone, a po prawej Adama Carvera, który siedział sztywno wyprostowany i spięty. Oglądali początek kolejnego filmu nakręconego na Arlandzie.

— Patrzcie uważnie — zalecał Hauser. — Gdyby któryś z was kogoś rozpoznał, niech krzyknie. Operator wyłączy projektor i zatrzymamy taśmę w odpowiednim miejscu.

Galvone siedział znudzony, opierając łokcie o poręczę fotela. Przyglądał się pasażerom kolejnego samolotu z Londynu, którzy schodzili do głównej hali. Przy jasnym świetle dnia obraz był wyjątkowo wyraźny.

— Widzicie już kogoś znajomego? — zapytał Hauser machając cygarniczką.

— Nie — odparł Galvone.

— Stop! — wykrzyknął Carver. — Cofnij trochę, puść w zwolnionym tempie i czekaj, aż znowu zawołam — polecił operatorowi. — Wtedy natychmiast zatrzymasz.

— Niczego nie zauważyłem, Adamie — zdziwił się Hauser.

Carver milczał. Pochylił się do przodu i w skupieniu patrzył na ekran. Powtarzano poprzednie ujęcia w zwolnionym tempie. Po schodach do hali zeszła dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Za nią podążał mężczyzna w marynarce w krzykliwą kratę i baseballowej czapce. Dotknął daszka, zwracając się do kamery z typowo amerykańskim gestem...

— Stop! — krzyknął Carver. Film został zatrzymany. — Ten człowiek z marynarce w kratę to Newman. Robert Newman, dziennikarz.

Hauser zmarszczył brwi, zaciskając zęby na cygarnicze.

— Daczego tak uważasz? Wygląda na turystę z naszych stron.

— Poznaję jego ruchy. — Carver usiadł wygodnie w fotelu. — Wie pan, że zajmuję się mową ciała. Pamięta pan tamten wieczór, gdy Newman przyszedł do dworku Livingstone w Suffolk? Miałem

okazję dobrze mu się przyjrzeć.

— Frank, co o tym sądzisz? — zapytał Hauser.

— Puść to jeszcze raz od momentu, gdy idzie po schodach — polecił Carver operatorowi. — Przypomnijcie sobie, panowie, jego wizytę w dworku Livingstone. I obserwujcie uważnie, jak się porusza.

W dużej sali kinowej, gdzie siedziało tylko trzech mężczyzn, wyczuwało się napięcie. Pochyleni w fotelach patrzyli uważnie w ekran. Carver nie miał wątpliwości.

— Frank, co o tym sądzisz? — zapytał ponownie Hauser.

— To chyba Newman — przyznał Galvone niechętnie.

— Bez wątplenia. Adam ma dobre oko. Poznaje ruchy i gesty tego faceta.

Cholerny spryciarz, udaje Amerykanina.

— Więc co robimy? — zapytał Galvone.

— Och, odpowiedź jest prosta. Newman zaczyna być niebezpiecznym natrętem. Najpierw odwiedza Evelyn Lennox akurat w chwili, gdy Papa Grimwood przekonał ją prawie do podpisania polisy. Popsuł nam szyki. Po drugie, widziano go w okolicy miejsca zamieszkania byłego właściciela fabryki obrabiarek Bennington. Nie pamiętam, jak on się nazywa ani gdzie to jest.

— James Archer. Mieszka w Otmoor — przypomniał Carver.

— Nieważne. Jeszcze wcześniej przyjeżdża do dworku Livingstone, a potem zatrzymuje się w gospodzie i wypytuje o mnie. Dobrze, że mamy w Suffolk przyjaciół. Po trzecie, zjawia się teraz w Sztokholmie, o godzinę lotu stąd. Frank, wyślij do naszego szwedzkiego biura zaszyfrowany faks dla Manescu. Zapoznaj go z sytuacją. Instrukcja jest prosta: znaleźć Newmana i nie pozwolić mu na dalsze podróże.

— A jak niby mamy to zrobić? — zapytał Carver.

— Pozostaw ten problem Frankowi. On wie, ile jest dwa razy dwa. OK. Zajmij się tym, Frank...

Marlera poproszono, aby wrócił o dziewiątej wieczorem, kiedy Mauno Sarin będzie mógł go przyjąć. Użył całej siły perswazji, zanim Karma, zastępca Sarina, zechciał wyznaczyć mu spotkanie z szefem. Przekonał go dopiero argumentem, że ma list polecający „od wielce szanowanego przyjaciela Sarina z Londynu”.

Karma — niski i krępy Fin o ciemnych włosach — spojrział na Marlera zza biurka w gabinecie, do którego go wprowadził. Mówił dobrą angielszczyzną i najwyraźniej stał na straży bezcennego czasu

szefa.

— Gdybym mógł pokazać panu Sarinowi ten list...

— To wykluczone. List dotyczy bardzo osobistej sprawy. Muszę sam doręczyć go Sarinowi. Może mu pan jednak pokazać moją wizytówkę.

Marler podał Karmie wizytówkę ze swoim nazwiskiem i nazwą firmy, pod której szyldem przy Park Crescent działał wydział SIS — spółki ubezpieczeniowej

„General i Cumbria”. Karma, z którego gładko ogolonej twarzy nie sposób było odczytać, co myśli, odwrócił wizytówkę na drugą stronę.

— Z tyłu nic nie ma — oznajmił Marler beztrąsko. — Rozumie pan, to tylko wizytówka...

Karma zostawił go samego i wrócił po pięciu minutach z wiadomością, że pan Sarin przyjmie petenta o dziewiątej wieczorem. Marler podziękował za oszczędzenie mu cennego czasu i wyszedł.

Dokładnie o dziewiątej, jeszcze przy dziennym świetle, wrócił pieszo do centralnego urzędu Policyjnych Sił Bezpieczeństwa. Nazwa ta ukrywała faktyczne zadanie owej instytucji: kontrwywiad. Centrala mieściła się w zabytkowej dzielnicy, która przypominała Marlerowi Leningrad. Pod wskazanym adresem, Ratakatu 12, znajdował się ponury czterokondygnacyjny blok z kamienia, usytuowany na rogu Ratakatu i Fredrikinkatu. Okna na parterze zrobione były z nieprzezroczystego szkła, a na wyższych piętrach zasłaniały je brudne firanki. Na Ratakatu panował zawsze zupełny spokój i bywało tam niewiele osób.

Kiedy Marler podchodził do wejścia, z nieba lał się żar. Po drugiej stronie Fredrikinkatu była niewielka, otwarta przestrzeń z kilkoma drzewami, z których smętnie zwisały liście. Na ławce przysiadła nieruchomo para mew. Dwa kamienne schodki z osadzoną ukośnie metalową poręczą prowadziły do ciężkich drewnianych drzwi. Wchodząc do środka Marler odkleił od piersi koszulę i zarzucił na ramię płócienną marynarkę. Czekający już Karma zaprowadził go do gabinetu na trzecim piętrze. Mauno Sarin podniósł się niechętnie zza biurka, by przywitać gościa.

— Może pan zostawić nas samych, Karma. A więc, panie Marler, czym mogę służyć? Jak pan widzi, jestem dosyć zajęty — mówił dalej po angielsku, wskazując na biurko zavalone stertą akt i dokumentów. — Proszę usiąść.

Podobno ma pan list polecający?

Marler bez słowa wręczył mu kopertę. Sarin ponownie usiadł

i trochę już odprężony przebiegł wzrokiem list. Jego gość cierpliwie czekał. Szef tajnej policji miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Był szczupłym, wysportowanym mężczyzną po czterdziestce, o łysiejącym czole i ciemnej, krótko ostrzyżonej bródce. Wyczuwało się, że to człowiek o niespożytej energii i bardzo niecierpliwy. Był bez marynarki, rękawy koszuli podwinął powyżej łokci.

— Przypuszczałem, że przysłał pana Tweed — stwierdził oddając Marlerowi list. — O co chodzi?

Marler wyjął fotografię Manescu, pochylił się nad zawalonym papierami biurkiem i podał ją Finowi.

— Poznaje pan tego człowieka?

— Nie — odparł bez namysłu Sarin. — A powinienem?

— Zdziwiłbym się, gdyby tak było. To Ion Manescu, były funkcjonariusz rumuńskiej Securitate.

— A więc jest w więzieniu w Bukareszcie, razem ze swoimi kumplami.

— Nie. Całkowicie wiarygodny świadek widział, jak Manescu wsiadał niedawno na prom w Travemünde. Prom, który przybija do Helsinek. A więc uciekł z Bukaresztu. Uciekło też paru innych. Na przykład Ziegler, były szef Stasi z Lipska.

— Rozumiem. — Sarin obrócił się na krześle, spoglądając przez firanki na rząd budynków za oknem. Potem popatrzył ponownie na Marlera. — Po co pan się tu zjawił?

— Żeby odnaleźć Manescu i dowiedzieć się, co knuje. Tweed jest zaniepokojony. Zbyt wielu przestępców ze służb bezpieczeństwa byłych krajów komunistycznych zniknęło bez śladu. Może są tutaj. Sądzi pan, że to niemożliwe?

— Mało prawdopodobne.

— A jednak atak terrorystyczny na samolot, który eksplodował nad Lockerbie, miał swoje źródła w Finlandii. Stąd nadeszły ostrzeżenia.

Sarin wpatrywał się w Marlera, ale jego brązowe oczy sprawiały wrażenie, że myślami błądzi gdzieś daleko. Marler czekał. Słyszał niemal, jak w głowie Fina obracają się tryby. Sarin nie mógł się zdecydować, czy wyjawić mu pewne informacje.

— Znajdujemy się w trudnym położeniu — zaczął wreszcie. — Pod względem geograficznym jesteśmy jednym z największych krajów w Europie. Mamy niezmiernie długie granice, nie wspominając już

o wybrzeżu Bałtyku. A ludność kraju to niewiele ponad pięć milionów osób. I tradycyjnie zachowujemy neutralność.

— Wszystko to rozumiem. — Spokojny ton Marlera miał zachęcić Sarina do szczerości. — Zdaję sobie także sprawę, że nie jesteście w stanie obserwować wszystkich miejsc, gdzie można potencjalnie przekroczyć granicę.

— Właśnie. — Sarin zaczął bawić się linijką, wyginając ją w rękach. — Od wielu miesięcy mamy doniesienia, że do kraju przedostają się bardzo niepożądane osoby. Zawsze nielegalną drogą. Jakiś rybak widział na archipelagu w pobliżu Turku motorówkę, z której wysadzano nocą na brzeg dwóch ludzi. Nie ma sposobu, żeby temu zapobiec. Słyszał pan o korporacji o nazwie INCUBUS?

— To największa organizacja bankowa w Stanach. Większa od Banku Ameryki.

— Tak, ale kontrolują wiele innych spółek nie związanych z bankowością. Zapewne robią to za pośrednictwem swojego banku. Mają wielką centralę na zachód od miasta. Ogromny szklany wieżowiec. Założyli tu również inne spółki, zapewniając ludziom tak potrzebne miejsca pracy. — Sarin uśmiechnął się niewesoło. — Można by rzec, że pan Franklin D. Hauser jest dobroczyńcą.

— Nie ma pan przypadkiem listy tych firm?

Marler strzelał w ciemno. Zaintrygowało go, że Sarin sam wspomniał w rozmowie o tej gigantycznej organizacji.

— Może i mam... — Sarin pogrzebał w stercie papierów. Wyciągnął jedną z kartek i wręczył ją Marlerowi. — Oto ta lista. Proszę ją Mtrzymać, jeśli pan chce.

To fotokopia oryginału.

Marler przejrzał listę, zdumiony liczbą firm. Wszystkie miały fińskie nazwy. Z

wyjątkiem jednej. Podniósł wzrok na Sarina, który znów wpatrywał się w przestrzeń.

— Co to za Instytut Meteorologii w Kemijärvi? Dlaczego bank miałby się nim interesować?

— Sam często zadaję sobie to pytanie. Z budową tego instytutu wiąże się sporo niejasności. Finansowały ją częściowo dwie spółki, ale większości funduszy dostarczyła korporacja INCUBUS...

— Co dało jej kontrolę nad całym przedsięwzięciem, prawda?

— Właśnie. Zaproszono do składania ofert różne firmy budowlane, ale najkorzystniejsze warunki zaproponowała spółka, którą kontroluje INCUBUS.

Dziwna sprawa, że na budowie zatrudniano robotników sprowadzanych z Sycylii. Gdy tylko zakończono prace, odesłano ich tam czarterowym samolotem.

— A Sycylijczycy raczej nie mówią po fińsku — zauważył Marler.

— Nie mówili nawet po angielsku. Całą sprawę trzymano w ścisłej tajemnicy.

— I ten kompleks powstał w Kemijärvi, na północ od koła podbiegunowego?

— Nie. To najbliższe duże miasto, ale instytut leży w niedostępnym terenie w głębi Laponii.

— Dziwne miejsce na budowanie czegokolwiek.

— Oni twierdzą, że idealne... do badania pogody.

— Po co duża instytucja bankowa miałaby się angażować w takie przedsięwzięcie?

— Pan Hauser jest filantropem. — Sarin znów uśmiechnął się niewesoło. — A więc nasz rząd czuje

się w obowiązku traktować go jak honorowego gościa.

Wspiera również teatr naprzeciwko hotelu „Marski”. Nasz pan Hauser jest mecenasem kultury.

— I facetem z forszą. Ma jej całe mnóstwo.

— Owszem. Jest chyba miliardерem. Zajmuje drugie miejsce na liście najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych. Spędza tutaj sporo czasu.

Zastanawiam się czasem, po co, zwłaszcza w zimie. — Sarin najwyraźniej sobie kpił. — Może podoba mu się nasz klimat?

— Był pan w tym instytucie pod Kemijärvi?

Wyraz twarzy Sarina zmienił się i po raz pierwszy jego głos zabrzmiał szorstko.

Wybuchnął, jakby nie mógł się pohamować:

— Chciałbym zdobyć nakaz rewizji, żeby przetrząsnąć to miejsce od góry do dołu. Ale nie warto się nawet ubiegać. Z pewnością nigdy bym go nie dostał.

— Dlaczego wspomniał pan o korporacji INCUBUS, skoro rozmawialiśmy o Manescu?

Sarin rzucił mu znowu błędne spojrzenie, po czym odparł, starannie dobierając słowa:

— Chyba zupełnie przypadkowo. Bez żadnego związku. Gdyby jednak — ale to tylko założenie — dawni funkcjonariusze Securitate, Stasi, czechosłowackiej STB

i podobnych służb szukali tutaj schronienia — choć żadnego dotychczas nie złapano — wtedy spiskiem musiałyby z pewnością kierować jakaś duża, dobrze zorganizowana i potężna organizacja o znacznych zasobach finansowych.

Podkreślam, że są to wyłącznie teoretyczne rozważania.

„Ty cwana bestio — pomyślał Marler. — Dajesz mi w ten subtelny sposób do zrozumienia, w jakim kierunku poprowadzić śledztwo”. Zerknął na zegarek i wstał z fotela.

— Dziękuję, że poświęcił mi pan tyle czasu. Zwłaszcza biorąc pod uwagę nawał pańskich zajęć.

— Tweed jest moim przyjacielem i może zawsze liczyć na pomoc.

Sarin wstał, wyciągając do Marlera dłoń. Miał uścisk jak aligator.

Przy drzwiach Marler odwrócił się jeszcze. Nad głową Sarina paliła się podłużna jarzeniówka. Na zewnątrz było wciąż jasno, ale do pokoju wpadało niewiele światła. Sarin przyglądał się uważnie

swojemu gościowi.

— Wspomniał pan, że do tego instytutu w Laponii nie można w żaden sposób dojechać. Przypuszczam, że aby się tam dostać, najprościej byłoby polecieć najpierw samolotem Finnair do Rovaniemi, na północ od koła podbiegunowego

— zastanawiał się Marler.

Tak, to właśnie należałoby zrobić. Potem musiałby pan załatwić sobie transport z lotniska w Rovaniemi do Kemijärvi, ale to tylko luźna uwaga. Jest pan wolnym agentem, panie Marler. Proszę pozdrowić ode mnie pana Tweeda. Ciekawe, gdzie on teraz jest?

Część druga

ANGEL Z MOSKWY

W Helsinkach panowały głębokie ciemności. Była dwudziesta trzecia zero pięć. Za dwie godziny miało znowu wzejść słońce. Na pustym nabrzeżu Portu Północnego znajdował się tylko jeden człowiek.

Tweed stał w odległości kilku kroków od krawędzi pogrążonego w ciszy mola.

Słyszał jedynie cichy szum i plusk wody uderzającej o nabrzeże portu. Stragany już zniknęły, skończyła się całodzienna krzątanina. Stał nasłuchując uważnie. W

prawej ręce trzymał pojemnik Z lakierem do włosów — broń poleconą mu kiedyś przez Marlera.

Nie miał żadnych wiadomości od Lwa Frołowa, człowieka, który dzwonił do niego do Londynu, tajemniczego organizatora ich spotkania. Po czarnej powierzchni wody wpływał powoli do portu Z głuchym dudnieniem silnika duży rybacki kuter. Rozwieszane sieci wysychały na wietrze. Tweed dostrzegał je w mroku zupełnie wyraźnie...

— Niech pan się nie rusza, panie Tweed. Jestem uzbrojony. Proszę rzucić to, co trzyma pan w ręce. Tak, dobrze. Teraz proszę iść w kierunku tych schodów, które prowadzą w dół do przystani.

Pojemnik z aerozolem stuknął głucho o bruk; Tweed powoli ruszył przed siebie.

Między łopatkami czuł przytkniętą do pleców lufę pistoletu. Ktoś za jego plecami, mówiący dobrą angielszczyzną, odezwał się ponownie wyrazistym szeptem:

— Przysłał mnie Lew Frołow. Proszę zejść powoli po schodach.

— A gdybym tak odmówił? Gdybym nie ruszył się z tego miejsca?

— Muszę panu przypomnieć, że mam broń. Naładowaną. Jesteśmy tu zupełnie sami i nikt nie zauważy pańskiego zniknięcia. Nie zdąży. Proszę zachowywać się rozsądnie.

Statek rybacki miał zapalone lampy nawigacyjne i był już bardzo blisko, ale do Tweeda dolatywał też jakiś inny dźwięk, zagłuszony

niemal przez silnik kutra. Dziwny szum, którego nie potrafił zidentyfikować.

Zszedł powoli po schodach i przystanął na dole, przyglądając się podpływającemu kutrowi, który manewrował przy nabrzeżu. Z pokładu zeskoczył marynarz i przewiązał wokół słupka trzymaną w rękach linę. Tweed odetchnął, słysząc nazwisko Lwa Frołowa. Przypomniał sobie też, że informację z Moskwy przekazano przez specjalną linię telefoniczną uniemożliwiającą podsłuch. Niepokoił go jednak pistolet, który nadal miał przytknięty do pleców.

Kuter uderzył burtą o najniższy schodek. Tweed dostrzegł na pokładzie tylko dwóch ludzi: kapitana w sterówce na rufie i jakiegoś mężczyznę stojącego w mroku przy relingu. Ponownie zdał sobie sprawę

z panującej ciszy. Słysząc było jedynie plusk wody i skrzypienie statku.

— Niech pan wejdzie na pokład — rozkazał towarzyszący mu mężczyzna. — I proszę bez żadnych sztuczek.

Tweed przeszedł przez burzę, a jego prześladowca wskoczył za nim. Stojący na brzegu marynarz odwiązał linę, rzucił ją na pokład i oddalił się po schodach.

Silnik zwiększył obroty i kuter odbił od nabrzeża, płynąc portowym kanałem w kierunku otwartych wód Bałtyku.

Niewidoczny w mroku mężczyzna podszedł bliżej. Miał na sobie elegancki garnitur biznesmena. Był to szczupły, wysoki, gładko ogolony brunet o krótko przystrzyżonych włosach. Tweed mógł teraz lepiej mu się przyjrzeć.

— Witam, panie Tweed — powiedział po angielsku. Wyciągnął rękę.

— Kapitan Walentin Rebet! — odparł Tweed, podając mu dłoń. — Nie widzieliśmy się kilka lat.

— Użyłem nazwiska Lew Frołow. Było to konieczne ze względów bezpieczeństwa. Z tego, co pan w tej chwili powiedział, wynika, że wasz wywiad w Moskwie nie działa najlepiej. Jestem teraz generałem... — oznajmił skromnie.

— Dzięki nowym władzom szybko awansowałem. Poza tym przeniesiono mnie z GRU do KGB.

Tweed pokiwał głową. Nie była to dla niego żadna nowość, ale wolał, aby Rebet nie wiedział, jak dobre ma źródła informacji. Rosjanin, liczący sobie prawie czterdzieści lat, uśmiechał się miło, całkiem jak za dawnych czasów.

W tym momencie zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Kapitan stał do nich tyłem, koncentrując się na manewrowaniu statkiem między świetlnymi bojami.

Człowiek z pistoletem, wyciągnąwszy obie ręce z kieszeni płaszcza, był także odwrócony plecami do rufy i patrzył w dal. Dźwięk, który rozległ się z tyłu, przypominał odgłos przesuwania czegoś po śliskiej powierzchni. Tweed odwrócił

się akurat w chwili, gdy na pokład wskoczył mężczyzna w kombinezonie nurka i ściągnąwszy szybko z twarzy maskę wycelował w Rebeta kuszę z harpunem.

— Jeżeli ktoś się ruszy, przeszyję tego faceta na wylot. Ręce do góry, dranie...

Rebet znieruchomiał, podnosząc dłonie nad głowę. Człowiek z pistoletem obrócił

się gwałtownie i zobaczywszy harpun, wycelowany w Rebeta z bliskiej odległości, także uniósł ręce. Tweed powiedział pospiesznie:

— Wszystko w porządku, Nield. Na litość boską, nie strzelaj! Ci ludzie są nastawieni przyjaźnie.

— Do jakiego stopnia? — Niela ociekał wodą. Nie opuścił broni.

— Pete, to człowiek, z którym miałem umówione spotkanie.

— Miał pan być sam — powiedział Rebet tonem wymówki. — Kto to jest?

— Mój anioł stróż. Jak pan widzi, pilnuje mnie całkiem skutecznie. Nie ostrzegł mnie pan przez telefon, że zostanę porwany. Nie lubię, kiedy ktoś przytyka mi do pleców pistolet.

— Nie był naładowany. — Rebet odwrócił się do swego podwładnego i powiedział coś po rosyjsku. Tweed, mówiący płynnie w tym języku, rozumiał

jego słowa. — Weź pistolet ostrożnie w dwa palce, Andriej, i podaj go panu Tweedowi.

Tweed uprzedził Niela, aby się nie denerwował. Andriej wsunął do kieszeni dwa palce, wyjął broń i trzymając ją za kolbę podał Tweedowi. Ten przyjrzał się pistoletowi typu Makarów i stwierdziwszy, że nie ma w nim magazynku, uśmiechnął się do Niela.

— Mówi prawdę. To diabelstwo nie było naładowane. — Spojrzał na Rebeta. —

Co stało się z moim dawnym przeciwnikiem, generałem Łysenką? — Także na to pytanie znał odpowiedź.

— Nasz prezydent nie ma czasu dla starych bolszewików — odparł Rebet. —

Łysenkę wysłano na emeryturę. Spędza czas rąbiąc drwa koło swej dachy pod Odessą. Czy pański opiekun zechciałby już opuścić broń? Rozbolały mnie ręce.

— Najpierw proszę mi powiedzieć, dokąd płyniemy.

Tweed spojrzał w kierunku zachodnim. Minęli już cypel półwyspu, stanowiący granicę obszaru Helsinek. Wkrótce mieli wypłynąć na otwarte wody Bałtyku i Tweed, będący kiepskim żeglarzem, dziękował Bogu, że morze jest tak spokojne.

— Jestem łącznikiem z Moskwy, z którym miał się pan spotkać — oznajmił

Rebet, zniżając głos. — Specjalnym wysłannikiem prezydenta. Bardzo nas niepokoi rozwój sytuacji. Zabieram pana na spotkanie z pewną osobą.

— Panie Rebet, pytałem, dokąd płyniemy. Proszę odpowiedzieć albo zawrócić tę starą łajbę i wysadzić mnie z powrotem w Porcie Północnym.

— Poza obszarem fińskich wód terytorialnych czeka na nas korweta. Na jej pokładzie w komfortowych warunkach odbędziemy krótki rejs.

— Dokąd?

— Do Leningradu. Czy możemy już opuścić ręce? Pańskiemu pomocnikowi przyda się sucha odzież, którą mu natychmiast dostarczymy.

— W porządku, Pete — powiedział głośno Tweed do Nielda. — Nie musisz już trzymać ich pod bronią. Płyniemy na wycieczkę do Leningradu.

Z hotelu „Dyplomata” w Sztokholmie widać, podobnie jak z „Grandu”, obszerne rozlewisko. To kolejna odnoga rzeki Mälaren, głównego szlaku wodnego, który za Sztokholmem ciągnie się wiele kilometrów w głąb kraju. Irina Sierowa miała sypialnię z widokiem na wąską zatokę. Siedziała przy toalecie i rozczesywała przed lustrem długie włosy, gdy usłyszała umówione pukanie do drzwi.

— Gdzieście się włóczyli, Manescu? — zapytała wchodzącego Rumuna, który zamknął drzwi, przekręcił klucz w zamku i rzucił na jej łóżko turystyczny folder.

— Jest wieczór — mówiła z wściekłością. — Czekam od wielu godzin. Co teraz robimy?

— Od tej chwili, Sierowa, będziecie wystarczająco zajęci, żeby wykorzystać swoje niezwykle uzdolnienia — stwierdził Manescu zjadliwie.

Nie lubił Rosjan. Który Rumun ich lubił? Szczególnie nie znosił Rosjanek. A już nade wszystko takich, które doszły do rangi pułkownika w KGB i ustawiały wszystkich naokoło.

— Powiedźcie wreszcie, o co chodzi — rzuciła ostro. — Dlaczego to tak długo trwało?

— Już mówię. — Przybrał ton wykładowcy. — Najpierw odwiedziłem centralę korporacji INCUBUS na Sveavägen...

— Byłam kiedyś na placówce w Sztokholmie — przypomniała mu.

— Jak więc wyjaśniałem, byłem w tej centrali. Dostali pilny faks z Helsinek, rozkazy z samej góry. Chodzi o Roberta Newmana, znanego dziennikarza...

— Słyszałam o nim, kiedy pracowałam w Londynie.

— Proszę mi nie przerywać! Choć raz uważnie posłuchajcie.

Newman jest tutaj, w Sztokholmie. Sfilmowano go, gdy opuszczał Arlandę.

Zgodnie z instrukcjami z faksu pojechałem na lotnisko Bromma. Znalazłem się tam akurat w chwili, gdy wrócił odrzutowy lear, który zabrał nasze filmy do Helsinek. Przywiózł dla nas — dla mnie — zdjęcia tego Newmana. Mamy rozkaz uniemożliwić mu za wszelką cenę dotarcie do Finlandii.

— A czy wiemy, gdzie jest? Jaką trasę wybierze?

— Na litość boską — i przez wzgląd na mnie — przestańcie mi przerywać!

Zorganizowałem już ekipę, zaopatrzoną w jedną z fotografii, która będzie czekała na lotnisku

Arlanda. Mają bilety na wszystkie loty. Ostrzegano mnie jednak, że ten facet jest przebiegły. Wątpię, czy zjawi się na lotnisku. Chyba popłynie nocnym promem.

— Do Helsinek?

— Możliwe. Tak więc inna ekipa, również z jego zdjęciem, będzie czekała na przystani, z której odpływa prom do Helsinek. My pojedziemy gdzie indziej.

— Czy mogę zapytać dokąd?

— Będziemy czekać na przystani Vartan, z której odpływa prom samochodowy do Turku. Zarezerwowałem dwie kabiny na wypadek, gdybyśmy zobaczyli, że Newman wsiada na pokład. Oto jego fotografia.

— Przystojny — stwierdziła Irina, wdzięcząc się do lustra. — Może uda mi się do niego zbliżyć ze strzykawką. — Nagle zmarszczyła brwi. — Dlaczego Turku, a nie Helsinki?

— Ponieważ, jak już wspominałem, Newman jest przebiegły. W Helsinkach są przekonani, że zmierza w ich kierunku. Ale czy poleciał tam bezpośrednio? Nie!

Poleciał najpierw do Sztokholmu. Sądzicie, Sierowa, że wsiądzie w samolot —

albo na statek — bezpośrednio do Helsinek? Nie przypuszczam. Inne przejścia są już obstawione, a my będziemy obserwować nocny prom do Turku. Także jutro, jeśli zajdzie potrzeba.

Zapadał zmierzch. Ruch był niewielki. Newman jechał samotnie na Sergels Torg.

Nie pozwolił, by Paula towarzyszyła mu w wyprawie po broń. Na siedzeniu obok leżała mała walizeczka. Były w niej tylko dwie brudne koszule.

Na liście zakupów figurował automatyczny browning kalibru 32 dla Pauli i specjalnego typu pistolet smith and wesson kalibru 38 dla Newmana. Dillon zażyczył sobie dziewięciomilimetrowego lugera. Zamówienie nie było łatwe do zrealizowania, ale Newman wiedział, że na osławionym Sergels Torg można nabyć szeroki asortyment broni.

Obszerny plac Sergels Torg usytuowany był pod gołym niebem, o jakieś pięć metrów poniżej poziomu otaczających go ulic. Newman zjechał

powoli po szerokiej rampie, która prowadziła na plac, i minąwszy go znalazł się w przypominającym labirynt podziemnym centrum handlowym. Zatrzymał się tam, oparł łokieć na opuszczonej szybie, wyłączył silnik i czekał. Nie minęły dwie minuty, kiedy ktoś podszedł do niego. Gdy się zbliżył, Newman zobaczył, że ma najwyżej dwadzieścia lat. Jego ciemne włosy były krótko przystrzyżone. Miał na sobie schludne dzinsy i czystą koszulę.

— Potrzebuje pan czegoś? — zapytał po angielsku.

— Zależy, czym handlujesz. Żadnych narkotyków. Może znasz faceta, który sprzedaje broń. Pistolety.

— Musi pan pogadać z moim kumplem. Jest w metrze. Proszę zostawić tu samochód.

— Jak sobie życzysz, kolego.

Newman zamknął okno, wziął do ręki walizkę, wysiadł z volvo i przekręciwszy starannie kluczyk w zamku podążył za chłopakiem do centrum handlowego. Tu i tam stali w dwu- lub trzyosobowych grupkach młodzi ludzie, paląc papierosy i na pozór zabijając czas. Newman wiedział, co robią naprawdę.

Przewodnik poprowadził go wzdłuż pasażu do miejsca, gdzie siedział skulony na ziemi jakiś żebrak. Przed nim leżała czapka, do której przechodnie wrzucali korony. U jednego boku miał sfatygowaną brezentową torbę o cylindrycznym kształcie, która mieściła zapewne cały jego dobytek, a u drugiego — otwartą walizkę z zapalnikami.

— Proszę mu powiedzieć, czego pan potrzebuje — rzekł chłopak.

Newman przykucnął i zobaczył, że żebrak jest o wiele młodszy, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka. Miał dwadzieścia kilka lat, jego twarz pokrywał kilkudniowy zarost, a oczy bacznie wpatrywały się w przybysza.

Anglik półgłosem złożył zamówienie. Żebrak skinął głową, czujnie rozejrzał się wokół i pogrzebawszy w torbie wyciągnął browninga. Newman sprawdził pod połą marynarki, w jakim stanie jest broń. Potem pojawił się smith and wesson, a następnie luger. W brezentowej torbie spoczywał cały arsenał.

Przez chwilę targowali się o cenę. Za amunicję trzeba było zapłacić osobno.

Newman wyjął z kieszeni spodni zwitek szwedzkich banknotów i wyliczył

uzgodnioną sumę. W drugiej kieszeni miał jeszcze jeden zwitek pieniędzy, ale okazał się niepotrzebny. Wsunął szybko broń i amunicję między poplamione koszule, zamknął wieko walizki, wstał i na odchodnym wrzucił do czapki żebraka monetę. Chłopak, który go przyprowadził, został na miejscu, najwyraźniej po to, by odebrać należność za pośrednictwo w transakcji.

Wrzucając walizkę na przednie siedzenie obok fotela kierowcy Newman pomyślał, że wszystko poszło jakby za łatwo. Kiedy wsiadł do wozu i zamknął

drzwi, zobaczył we wstecznym lusterku biały samochód z dwoma niebieskimi kogutami na dachu i wypisanym z boku słowem POLIS. Radiowóz skręcił w dół

na rampę i błyskając światłami zmierzał prosto w jego kierunku. Newmana czekała kontrola.

Zbliżający się policyjny samochód blokował główny wyjazd z placu: rampę, którą Newman przyjechał. „Dzięki Bogu, że dobrze znam ten rejon — pomyślał. —

Będę musiał zaryzykować”. Perspektywa spędzenia pięciu lat w szwedzkim więzieniu nie nęciła go zbyt.

Włączywszy długie światła ruszył do centrum handlowego. Kiedy policyjny wóz znalazł się bliżej, jadąc już teraz na syrenie, Newman zaczął kluczyć wśród kolumn, mijając je o centymetry. Policyjny radiowóz podążał za nim. Newman jechał prawą stroną centrum handlowego, modląc się, aby nie natrafić na pieszych. Pasaż był pusty. W pewnej chwili zobaczył rampę, a u góry napis GALLERIAN. Jechał właściwą drogą. W zamkniętej przestrzeni upiorne wycie syreny rozbrzmiewało ze zdwojoną mocą. Newman wcisnął pedał gazu, wjechał z rykiem silnika na rampę i wydostawszy się z podziemia zakręcił kierownicą. W

kilka chwil później pędził obok budynku, w którym miał swą siedzibę Ivar Kruger, król przemysłu zapalczanego z lat trzydziestych. Wóz policyjny znów się przybliżył. Newman wziął zakręt i zwolniwszy nieco zaczął jechać skrótami po opadającym stromo, nie przeznaczonym dla samochodów szerokim, brukowanym trakcie. Koła podskakiwały na kocich łbach. Zobaczył we wstecznym lusterku, jak wóz policyjny skręca i pędzi w dół.

Kierowca samochodu, Bertil — niski, pulchny policjant z sumiastym wąsem —

siedział obok sierżanta o imieniu Otto. Sierżant poganiał go, aby jechał szybciej.

Bertil usłuchał polecenia, kładąc się prawie na kierownicy. W pewnej chwili układ napędowy nie wytrzymał, poszło jedno z kół i samochód zjechał nagle w bok, uderzając o mur. Wóz stanął i silnik przestał pracować.

— Zapamiętałeś rejestrację? — zapytał Otto.

— Nie. A pan?

— Ty powinieneś to zrobić. Poza tym marny z ciebie kierowca.

— W porządku. Niech pan usiądzie za kierownicą...

Zniknąwszy im z oczu Newman skręcił w Vestra Tradgardsgatan.

Dzięki zielonym światłom na wszystkich skrzyżowaniach już w trzy minuty później zaparkował na tyłach hotelu „Grand” i odetchnął z ulgą.

Z walizką w ręce Newman zapukał do drzwi pokoju Pauli, z którego rozciągał się widok na Strommen. Kiedy wpuściła go do środka, usłyszał przez otwarte okno syrenę powracającego z archipelagu statku

i skrzeczenie mew. W pokoju było nadal piekielnie gorąco.

Paula miała na sobie bawełnianą koszulkę i białą spódnicę. Przy stoliku koło okna siedział z nieszczęśliwą miną Cord Dillon, trzymając w ręce karty. Po drugiej stronie stołu, gdzie zajmowała miejsce Paula, Newman zobaczył obok leżących na blacie odwróconych kart plik banknotów. Dillon rzucił Newmanowi wściekłe spojrzenie.

— Mogłeś mnie ostrzec. Proponuję jej partyjkę pokera, ona mówi mi, że od lat nie grała, a straciłem

już dwieście dolarów.

— Nie zawsze się wygrywa. Paula, chętnie bym się czegoś napił.

Zagłębił się w fotelu i gdy dziewczyna nalewała mu dużą porcję szkockiej, zrelacjonował im swoje przeżycia na Sergels Torg i późniejszy pościg.

— Jak tylko skończę drinka, natychmiast zwracam volvo do wypożyczalni —

mówił dalej. — Tym glinom może przyjść do głowy, żeby zasięgnąć informacji we wszystkich punktach wynajmu. Wątpię, żeby zapamiętali rejestrację, ale znają markę wozu. Na całe szczęście o tej porze roku wypożyczalnia jest czynna do późnych godzin.

— Co z naszym ekwipunkiem? — zapytał Dillon, odnosząc się obojętnie do kłopotów Newmana.

— Wszystko jest w tej walizce. Ukryj to, kiedy wyjdę. — Wypił połowę szklanki szkockiej. — Dzięki, Paula. Masz swojego browninga. — Sięgnął do kieszeni i wyjął kilka owiniętych w folię ciężkich pakunków. — Amunicja do twojego lugera, Cord. A tutaj są zapasowe magazynki do browninga...

Paula najpierw zapytała Newmana o samopoczucie, a dopiero potem zagadnęła:

— Kiedy wyruszamy i jaką trasą?

— Jutro w nocy. Udało mi się zarezerwować trzy kabiny na promie do Turku.

Odplywa z przystani Vartan o dziewiątej wieczorem.

BANKIER EGON SCHMIDT ZGINĄŁ W ZAMACHU BOMBOWYM WE

FRANKFURCIE. CZYŻBY KOLEJNA ZBRODNIA FRAKCJI CZERWONEJ

ARMII?

Franklin D. Hauser przeczytał z zainteresowaniem nagłówek w „Herald Tribune”. W artykule była mowa o tym, że bankier wsiadł do swego mercedesa, zaparkowanego koło banku w pobliżu autostrady prowadzącej na lotnisko, i przypuszczalnie w chwili gdy przekręcił kluczyk w stacyjce, w samochodzie nastąpiła eksplozja.

Hauser z zadowoleniem odłożył gazetę na biurko. Adam Carver będzie mógł

teraz na jego polecenie rozpocząć negocjacje z synem Schmidta, playboyem Dieterem. Ten niewątpliwie sprzeda firmę, więc INCUBUS zyska wreszcie punkt zaczepienia w Niemczech.

Hauser był nadzwyczaj uprzejmy, gdy wezwana przez niego Peggy Vanderheld zjawiała się w gabinecie. Wskazał jej fotel utrzymaną w ręce Cygarniczką.

— Słucham, panie Hauser.

Usiadła, założyła nogę na nogę i na kolanach otworzyła notatnik. Była cała spięta. Docierały do niej ostatnio niepokojące sygnały. Wiedziała też z wieloletniego doświadczenia, że Hauser jest najbardziej niebezpieczny, gdy okazuje wyszukaną grzeczność.

— Jak długo już dla mnie pracujesz, Peggy? — zapytał na wstępie.

— Piąty rok, a w korporacji dziesiąty — odpowiedziała krótko. „I dobrze o tym wiesz” — pomyślała.

— A ile masz lat?

— Trzydzieści osiem.

Siedziała sztywno, wpatrując się ciemnymi oczami w miliardera. Wiedziała, do czego ten drań zmierza.

— Z twoim doświadczeniem w tak liczącej się firmie powinnaś bez najmniejszych trudności znaleźć inną, dobrze płatną pracę?

— Czy możemy darować sobie te wstępy? — wycodziła przez zaciśnięte zęby.

— Jak sobie życzysz. Wiesz, że moim zdaniem należy zapewnić firmie w regularnych odstępach czasu dopływ świeżej krwi. Czuję, że nadeszła właśnie pora, byś poszukała sobie bardziej odpowiedniego zajęcia. Doskonale rozumiem, że po dziesięciu latach ta praca musi cię nudzić.

Peggy milczała, wpatrując się w gazetę, którą wcześniej przeglądał Hauser. Nie zdradziła się nigdy z tym, że doskonale potrafi czytać odwrócone do góry nogami teksty artykułów i dokumentów.

— A więc — ciągnął dalej Hauser, zrozumiawszy, że Peggy nie zamierza mu odpowiadać — czy nie byłoby dla ciebie najlepiej, gdybyś złożyła rezygnację?

Damy ci, oczywiście, znakomite referencje, nie wspominając już o hojnym zabezpieczeniu finansowym z firmy „Braterstwo i Równość”.

— Krótko mówiąc, zostałam wylana! — wybuchnęła.

— Nie ujmowałbym tego w taki sposób, moja droga...

— Więc jak, do jasnej cholery, chce pan to ująć?

— Nie ma potrzeby emocjonować się tak bardzo czymś, co zdarza się każdego dnia. — Zachowanie Hausera uległo zmianie. Ton jego głosu stał się nieprzyjemny. — Masz trzy godziny na uprzątnięcie biurka i wyniesienie się stąd.

— To może potrwać nieco dłużej. — Peggy wstała, rzucając mu na biurko notes i ołówek. — Ale do

wieczora wyrwę się z objęć hydry, którą jest korporacja INCUBUS. I wcale nie było mi przyjemnie pana poznać.

Wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi. W windzie wzięła głęboki oddech. W jej głowie kołatała się tylko jedna myśl: jak dobrać się temu zadufanemu draniowi do skóry?

Hauser zaciągnął się kilka razy papierosem, po czym podniósł słuchawkę jednego z trzech aparatów na swoim biurku i wcisnął guzik.

— Mówi Hauser — rzucił do telefonu. — Myślę, że możemy mieć kłopoty z Peggy Vanderheld. Przyjdź tu zaraz, żebyśmy zdecydowali, jak to załatwić.

O dziesiątej rano zanosilo się na kolejny upalny dzień. Marler siedział w wynajętym saabie, ukryty w jodłowym zagajniku na przedmieściach Helsinek, daleko za Mannerheimintie. W dole piął się w niebo szklany wieżowiec, siedziba spółki INCUBUS Oy.

Marler znajdował się dostatecznie wysoko, aby widzieć wszystko za otaczającym wielki gmach ogrodzeniem z drucianej siatki. Aparat fotograficzny, który trzymał przy oczach, zaopatrzony był w teleobiektyw. Zrobił nim trzy zdjęcia człowieka o ciemnych włosach i gęstych brwiach, ubranego w amerykańską koszulkę, jasne spodnie i adidas. Na zbliżeniu widać było posępny wyraz jego twarzy i wydatne kości policzkowe. Marler domyślał się, że facet ma zawsze ponurą minę. Poza tym wyglądał na gangstera, jak zresztą wielu Amerykanów.

Mężczyzna podszedł do czerwonego cadillaca i wsiadłszy do środka zatrzasnął tak mocno drzwiczki, że Marler usłyszał to wyraźnie z odległości stu metrów.

Umundurowany wartownik włączył automat otwierający bramę, która się odsunęła, a potem zamknęła za niknącym w chmurze pyłu samochodem.

Marler wywnioskował, że facet jeżdżący cadillakiem musi należeć do zarządu korporacji. Teraz miał go w rejestrze. Jeszcze wcześniej przyglądał się, jak długa czarna limuzyna — największa, jaką dotąd widział — skręca na teren firmy i przejeżdża szybko przez bramę. Miała przyciemnione szyby i nie sposób było zobaczyć, kto jest w środku.

Wyskoczył z niej umundurowany szofer i otworzył tylne drzwiczki. Z wozu wyłoniła się charakterystyczna, dostojna postać Franklina D. Hausera, który powiedział parę słów do kierowcy, po czym zniknął w szklanym budynku.

Marler nie miał większej nadziei, że wcześniej czy później na którymś ze zdjęć znajdzie się wchodzący lub wychodzący Ion Manescu. Jednak kiedy poprzedniej nocy leżał w łóżku w hotelu „Palace” i nie mógł zasnąć z powodu upału, wspomniął swoją wizytę w komendzie tajnej policji.

Zaintrygowało go szczególnie to, że Mauno Sarin tak bez zastanowienia wskazał

na korporację INCUBUS. Doszedł do wniosku, że warto poświęcić jeden dzień, by przyjrzeć się centrali tego kolosa

i sprawdzić, kto w niej bywa.

Pół godziny później Hauser pojawił się ponownie w towarzystwie wysokiego, szczupłego mężczyzny, który niósł dwie walizki. Gdy wsiedli do limuzyny, szofer zamknął drzwiczki i pospieszył na swoje miejsce. Ogromny pojazd ruszył, zdążając w kierunku Helsinek. Pan Hauser udawał się w podróż. Może za granicę?

Marler wypił z plastikowej butelki kolejny łyk wody mineralnej. Nie chciał

odwadniać organizmu. Jutro, a najpóźniej pojutrze, polecą do Rovaniemi, na północ od koła polarnego. Celem wyprawy był leżący gdzieś na pustkowiu tajemniczy instytut.

Tweed płynął po Bałtyku do Leningradu na pokładzie korwety „Kalinin”.

Towarzyszili mu generał Rebet i Pete Niela. Morze było znów spokojne jak sadzawka.

Nie wiadomo dlaczego — Rebet twierdził, że wskutek „kłopotów z silnikiem”, w co Tweed nie wierzył — statek posuwał się bardzo powoli. Z tej przyczyny dotarli do wielkiego miasta i portu w czasie tych krótkich paru godzin, gdy panował tam mrok. Tweed nie był pewien, czy nie wybrano takiej pory, aby nie mógł przyrzeć się systemom obrony na brzegach Newy. Rebet, zanim przeniesiono go do KGB, był przecież oficerem GRU, wojskowego wywiadu Armii Czerwonej. A może jego wizytę utrzymywano w tak ścisłej tajemnicy, że rozsądek nakazywał przybycie do portu nocą?

Na molo czekała na nich wołga. Rebet stwierdził przepaszającym tonem:

— Gość takiej rangi jak pan, a także ja sam — z racji stopnia — powinniśmy podróżować komfortowym ziłem, ale wołga znacznie mniej rzuca się w oczy...

Potwierdzało to w zasadzie drugie przypuszczenie Tweeda. Zajął wraz z Rebetem miejsce na tylnym siedzeniu. W oknach wozu zaciągnięte były gęste firanki.

Wyglądając na zewnątrz z pędzącego pojazdu niewiele mógł zobaczyć. Od czasu do czasu wyłaniał się z mroku jakiś pomnik przypominający groźnego wartownika. W końcu dotarli do hotelu „Moskwa” u wylotu prospektu Aleksandra Newskiego.

Rebet wprowadził pospiesznie Tweeda i Niela do hotelu i wkrótce znaleźli się w przestronnym, dwupokojowym apartamencie z oknami wychodzącymi na Newę.

Wyposażony był w ciężkie, staroświeckie, niemal wiktoriańskie meble. Tweed otworzył obszerną szafę i znalazł w niej mnóstwo ubrań.

— Sprawdziłszy, oczywiście, pańskie wymiary — wyjaśnił Rebet — więc póki mamy przyjemność pana gościć, proszę do woli ze wszystkiego korzystać.

— Po co ten wieczorowy strój? — zapytał Tweed wskazując palcem na frak.

— Ma się tu odbyć przyjęcie. — Rebet spojrzął na zegarek. Była pierwsza po północy. — Dziś wieczorem — dodał. — To będzie ważne wydarzenie, któremu na pewno zechce się pan dokładnie przyrzeć.

— Z jakiego powodu? — zapytał Tweed, patrząc Rebetowi prosto w oczy. —

Byłem dotąd bardzo cierpliwy...

— Proszę ofiarować mi jeszcze parę minut tej pańskiej niewiarygodnej cierpliwości. — Generał

KGB zwrócił się do strażnika, który towarzyszył im w wóldze. — Jurij, wskaż panu Nieldowi apartament. Znajduje się obok pańskiego

— wyjaśnił Tweedowi.

Przez następne dziesięć minut Tweed obserwował, pełen złych przeczuć, jak Rebet sprawdza apartament za pomocą niewielkiego urządzenia, które przypominało pękata latarkę. „Prześwietlał” pomieszczenie, sprawdzając, czy nie ma w nim podsłuchu. „Znalazłem się w Rosji — pomyślał Tweed — i nikt o tym nie wie. A tu nawet Rebet wydaje się zdenerwowany”. Nie wyglądało to zachęcająco.

Rebet kontynuował drobiazgowo poszukiwania, zwracając szczególną uwagę na żyrandole. Tweed przysiadł na poduszce, którą położył na szerokim parapecie okna. Wyrzwał na zewnątrz i obserwował, jak podnosi się zwodzony most, aby przepuścić płynące w dół rzeki

statki. Było tam kilka frachtowców i mocny, przysadzisty holownik, który ciągnął rząd barek.

Kiedy Nield wrócił do pokoju, miał na sobie granatowy garnitur, a nie rybackie ubranie, które dostał na kutrze, zanim przesiedli się na pokład „Kalinina”.

— Są dobrze zorganizowani — powiedział szeptem do Tweeda. — Rebet musiał

dać znać przez radio, że jest nas dwóch. Mam w szafie pełno ubrań różnych rozmiarów. To najbardziej mi pasowało. — Spojrzał na Rebeta, który schodził

właśnie z krzesła, ustawionego pod żyrandolem w głębi przestronnego salonu. —

Co on wyprawia? Sprawdza, czy nie ma podsłuchu? Podobno jest generałem w KGB.

— Fakt, że nie wygląda to zachęcająco.

Sprawdziwszy sąsiednią sypialnię i łazienkę, Rebet wrócił do salonu, rozkładając ręce w przepraszającym geście.

— Wybaczcie, panowie, te środki ostrożności, ale nadal mamy do czynienia z twardogłowymi, którzy próbują śledzić nasze poczynania. Nigdzie nie jest bezpiecznie. Nikomu nie można całkowicie ufać. Z tego powodu tu jesteście.

— To znaczy z jakiego? — zapytał Tweed ostro.

— Zapominam o obowiązkach gospodarza. Chcecie się czegoś napić? A potem, zamiast przystępować od razu do rozmów, może wolelibyście się przespać?

— Proszę wódkę — zdecydował pospiesznie Nield.

— Jurij... — Rebet wydał strażnikowi polecenie po rosyjsku.

— Porozmawiajmy już teraz — rzekł Tweed. — Spałem na pokładzie korwety.

Chcę wiedzieć, o co tu chodzi.

— O zdradę. — Rebet przysiadł na poręczy fotela, spoglądając na Nielda, a potem na Tweeda. — Wie pan, kogo reprezentuję. Podobno pański kolega jest godny zaufania. Czy mogę mówić otwarcie?

— Byłaby to godna pochwały odmiana — stwierdził Tweed oschle.

— Jestem osobistym przedstawicielem prezydenta Związku Sowieckiego.

Odpowiadam tylko przed nim. Wszędzie są spiskowcy. Za starego reżimu —

który, na całe szczęście, należy już do przeszłości — mieliśmy przynajmniej stabilną sytuację. Teraz ogarnął kraj potworny chaos. Zdraycy są nawet na samej górze.

— To znaczy gdzie? — zapytał spokojnie Tweed.

— W Biurze Politycznym.

Gdy Howard wszedł do biura Tweeda przy Regent's Park, Monika spojrzała na niego niepewnie. Była lojalna wobec Tweeda i uważała Howarda, dyrektora SIS, za człowieka, którego w miarę możliwości

należy unikać. Czekwała, aż swoim zwyczajem klapnie na fotel, przerzucając jedną nogę przez poręcz.

— Dzień dobry, Moniko — powiedział Howard przyjacielsko. — Spokojnie tu, kiedy nie ma Tweeda. Ale ja bardzo się martwię.

Monika zamrugała powiekami. Rzadko widywała Howarda w takim usposobieniu — wyrozumiałego, a w razie potrzeby zdecydowanego szefa.

Zamknęła teczkę z aktami.

— Dlaczego pan się martwi?

— Ponieważ nie mamy od Tweeda żadnych wiadomości, nie mamy pojęcia, gdzie jest i bardzo się niepokoję o jego bezpieczeństwo. Wczoraj wieczorem dzwoniłem do Mauno Sarina...

„O Boże! — pomyślała Monika. — To już wszystko przepadło. Sknociłeś całą operację”. Następne słowa Howarda były równie zaskakujące:

— Rozmawiałem z Sarinem bardzo ostrożnie. Napomknąłem, że od dawna nie byliśmy w kontakcie i pewnie zapomniał, jak Tweed wygląda.

— Co na to odpowiedział?

— Natychmiast się ze mną zgodził, zapytał o zdrowie Tweeda i wyraźnie sprawiał wrażenie, że nie ma pojęcia o jego pobycie w Helsinkach. Bardzo mnie to zaniepokoiło. Wiesz, z kim Tweed chciał się tam spotkać? Zakładałem, że z Sarinem, ale nie. Może mu grozić poważne niebezpieczeństwo.

— Na pewno wie, co robi.

Wypowiedziawszy te słowa Monika także poczuła niepokój. Tweed powinien był

złożyć Sarinowi przynajmniej kurtuazyjną wizytę. Im bardziej się nad tym zastanawiała, tym większy ogarniał ją lęk. Howard z zafrasowaną miną przechadzał się po biurze. Mimo narastającego upału miał na sobie garnitur.

Monice przyszło do głowy, że nigdy nie widziała Howarda bez marynarki. Po chwili zapytał:

— Gdzie może być teraz Paula?

— Nie jestem pewna...

— Ale masz ogólne pojęcie. Z całą pewnością. Więc mi powiedz.

Monika się zawahała. Normalnie wyparłaby się, że wie cokolwiek o miejscu pobytu Pauli, ale niepokój skłonił ją do zmiany zdania.

— Jest gdzieś w Skandynawii. Naprawdę nie wiem, w którym kraju.

— Sprawdziłem na dole rejestr gości. Niedawno był tu Bob Newman. Czy Paula jest z nim czy z Tweedem?

— Jest z Newmanem. On prowadzi prywatne dochodzenie w sprawie śmierci swojej dziewczyny, Sandy.

— Chodzi o zabójstwo Sandry Riverton? A więc wszystko rozgrywa się w Skandynawii. Tweed potrzebuje jeszcze kogoś do ochrony oprócz Pete'a Nielda.

Gdzie jest Harry Butler?

— W Walberswick. Pilnuje siostry Sandry, Evelyn.

— Czy ktoś jej groził? Albo próbował ją zaatakować?

— Na razie nie...

— A więc nie ma o czym mówić. — Howard był stanowczy. — Harry Butler musi natychmiast wyruszyć do Helsinek. To rozkaz. Żadnych dyskusji.

Współpracował często z Nieldem. Ma za zadanie zlokalizować Tweeda.

— Nie będzie to takie proste — ośmieliła się zauważyć Monika.

— W razie potrzeby Harry Butler odwiedzi wszystkie hotele w Finlandii. On jest jak pies gończy. Nigdy się nie poddaje. — Howard już wychodził, ale odwrócił się jeszcze w drzwiach. — Aha, Moniko, gdyby podczas mojej nieobecności coś się wydarzyło, sama podejmuj decyzje. Bez porozumienia ze mną. Czuję, że najważniejsze rzeczy dzieją się w Skandynawii. Dopóki nie wrócę, ty tu rządzisz...

Kiedy wyszedł, Monika przez parę minut siedziała bez ruchu. Była oszołomiona.

Howard nigdy dotąd nie przekazywał jej takiego zakresu władzy. Po chwili wyprostowała się w fotelu, przyglądała siwy kok i wstała, aby wyjąć z szafy polowe łóżko Tweeda. Od tej pory będzie przebywała w biurze dwadzieścia cztery godziny na dobę. Była teraz zupełnie spokojna, choć przeczuwała wyraźnie, że wkrótce coś się wydarzy.

O godzinie ósmej wieczorem w hotelu „Grand” w Sztokholmie Newman zastukał do pokoju Pauli. Otworzyła drzwi. Na progu stali z bagażami Newman i Dillon.

— Spakowałaś się? — zapytał Newman pośpiesznie. — Jedziemy na przystań Vartan, żeby zdążyć na prom do Turku.

— Oczywiście, że jestem gotowa — odparła, kiedy weszli do pokoju, i zamknęła drzwi. — Od pół godziny. A więc zdecydowałaś ostatecznie, że płyniemy najpierw do Turku? Nie bezpośrednim promem do Helsinek?

— Właśnie. Jest mniej prawdopodobne, żeby ta trasa była pod obserwacją.

Mam w torbie twojego browninga. Rzadko sprawdzają bagaże, ale nie chcę ryzykować, że zostaniesz złapana z bronią.

— Jak uważasz. Więc na co czekamy?

Jazda taksówką na przystań okazała się męcząca. Słońce jeszcze nie zaszło i powietrze było ciężkie, nieprzyjemne. Upał narastał. Sztokholm przeżywał

właśnie jeden z najgorętszych dni w roku.

Chociaż Paula tuż przed wyjazdem wzięła prysznic, musiała co chwilę odklejać bluzeczkę od ciała.

— Skoro to prom samochodowy — powiedziała szeptem do Newmana —

dlaczego nie wynajęłaś nowego wozu?

Siedzący na prawo od niej Dillon usłyszał, o co pyta, i odparł półgłosem, aby jego słowa nie dotarły

do kierowcy:

— Ponieważ Bob ma głowę na karku. Nasi przeciwnicy mogą wpaść na pomysł, żeby sprawdzić wszystkie wypożyczalnie samochodów. Wyłożą pewną sumę, dowiedzą się marki pojazdu i numeru rejestracyjnego. Bob zadzwonił do Turku i załatwił wóz, który będzie tam na nas czekał. Oto wyjaśnienie.

Paula skinęła głową, zerkając na surową twarz Amerykanina, który wydawał się odporny na upał. Bob. Dwukrotnie wymienił to imię, chwając poczynania Newmana. W ustach Dillona oznaczało to najwyższe uznanie. Uświadomiła sobie ze zdziwieniem, że ci dwaj mężczyźni coraz bardziej się zaprzyjaźniali.

Widać już było przystań, usytuowaną właściwie w samym Sztokholmie. Przez parę sekund Paula oglądała czekający na nich prom. Był to wspaniały, potężny statek o pięciu pokładach. Nie miała pojęcia, że po Bałtyku kursują tak ogromne jednostki. A potem spostrzegła ekipę filmową.

Manescu, ubrany w podkoszulek i dzinsy, w okularach o przyciemnionych szklach, stał nie opodal kamerzystów. Ciemnowłosa Irina Sierowa, która przechadzała się powoli tam i z powrotem za jego plecami, miała również niezobowiązujący strój i włosy związane w koński ogon. Ona także nosiła przyciemnione okulary, standardowe wyposażenie kierownictwa ekipy filmowej.

Obcisłe dzinsy wyglądały tak, jakby były przyklejone do jej długich, szczupłych nóg.

— Człowiek, który zbliża się do trapu, to Robert Newman — ostrzegła Manescu, przechodząc za jego plecami.

— Na pewno?

— Ja nie popełniam błędów.

Przystanęła, aby zapalić papierosa, dzięki czemu mogła mówić zza osłaniającej zapałkę dłoni. Przyglądała się teraz, jak Anglik wchodzi powoli po stromym pomoście.

— Wygląda na to, że jest sam — zauważył Manescu. — Idźcie za nim, Sierowa.

Znacie numer mojej kabiny. Zdążę jeszcze zadzwonić do Helsinek po ostatnie instrukcje...

Cord Dillon wsiadł na prom wcześniej. Paula także weszła oddzielnie po trapie.

Kiedy Newman, trzymając w ręku bilet, znalazł się na pokładzie, został powitany przez atrakcyjną hostesę, która zaprowadziła go na górny pokład, do kabiny na dziobie statku. Była to wygodna kajuta; na stoliku stały butelki z wodą mineralną i sokiem pomarańczowym.

Ściągnął z jednej z nich kapsel, nalał sobie pełną szklanekę i wypił duszkiem. W

kabinie było gorąco jak w piecu. Usłyszawszy delikatne pukanie do drzwi włożył

marynarkę i wsunął rękę do kieszeni, aby wyciągnąć smith and wessona kalibru 38, po czym przekreślił klucz w zamku. Tak jak przypuszczał, za drzwiami stała Paula.

— Na pewno wchodząc na pokład zauważyłeś dyskotekę — powiedziała drwiąco. — I musiałeś słyszeć muzykę. Te urodziwe fińskie dziewczyny z kręconymi włosami... coś w sam raz dla ciebie.

— Może później tam zajrzę.

— Gdzie mój browning? Bez niego czuję się jak rozebrana.

— Wcale tak nie wyglądasz. Niestety.

— Bob, czyżbyś się do mnie przystawiał?

— Oczywiście, złotko. — Obdarzył ją błazeńskim uśmiechem. — Masz tu swojego browninga i parę magazynków.

Sprawdziła, czy broń nie jest naładowana, i wypróbowała, czy działa jak należy.

Wsunęła ją razem z zapasowymi magazynkami do torebki, wetknąwszy przedtem jeden do kolby. Newman nagle spowaźniał.

— Widziałaś tę ekipę filmową na przystani? Byliśmy śledzeni. A przynajmniej ja.

— Myślałeś, że ich zmylimy płynąc do Turku.

— Szczerze mówiąc wątpiłem w to. W zaistniałej sytuacji Hauser będzie jeszcze bardziej rozdrażniony. Depczę mu po piętach, zbliżam się do niego krok po kroku. Próbuję wywierać psychologiczny nacisk. Może wpadnie w panikę i wykona niewłaściwy ruch. Nie mamy na razie żadnych dowodów, że był

zamieszany w zabójstwo Sandy.

— Ale je zdobędziesz. Wiem, jaki jesteś, kiedy ogarnia cię taki nastrój.

Newman chwycił ją za ramię, aby podkreślić znaczenie swoich słów.

— Przed jednym muszę cię ostrzec. Może nam grozić niebezpieczeństwo tu, na pokładzie tego promu, który płynie do Turku całą noc. Także z tego powodu nie zabrałem wozu.

— Nie bardzo rozumiem.

— Zastanów się. Wjeżdżamy na prom, zauważają nas ci z ekipy filmowej i notują markę i numer rejestracyjny. Samochód zostaje na całą noc gdzieś we wnętrzu statku. Ktoś mógłby z łatwością się do niego dostać, uszkodzić hamulce.

Nawet podłożyć bombę. Widziałaś w gazecie reportaż w Egonie Schmidcie, tym znanym niemieckim

bankierze, którego wóz wyleciał w powietrze?

— Tak, pokazywałeś mi go, ale nie widzę związku.

— Chodzi o bank. Bardzo znaczący, prywatny bank w Niemczech. INCUBUS to w zasadzie także instytucja bankowa. Słyszałem kiedyś pogłoski, że Egon nie oferował swojej firmy na sprzedaż, ale jego syn, Dieter, zrobiłby to z ochotą.

Zaczynam rozszyfrowywać tych ludzi, metody ich działania. Kiedy Hauserowi staje na drodze jakaś przeszkoda, usuwa ją.

— Więc może próbować usunąć ciebie?

— Właśnie. Dlatego nikt nie może nas widzieć razem. To samo dotyczy Dillona i z tego powodu ma oddzielną kabinę. — Uśmiechnął się. — Gdybyś się więc zdecydowała rzucić okiem na dyskotekę, możesz zatańczyć ze mną tylko raz.

Jeden jedyny.

— Chyba że spotkam kogoś bardziej atrakcyjnego — odparła z szelmowskim uśmiechem. — Nie wyobrażam sobie, żeby w dyskotecce groziło nam jakieś niebezpieczeństwo. Na oczach całego tłumu szalejących małolatów...

Manescu odesłał ekipę filmową na lotnisko Bromma, aby nowa taśma odleciała do Helsinek. Kiedy tam zadzwonił, dowiedział się od Franka Galvone, że Hauser jest w podróży, przekazał więc Frankowi informacje na temat Newmana.

— Biorę na siebie całą odpowiedzialność — postanowił Galvone. — Ten dziennikarz zaczyna przysparzać nam kłopotów, a najlepszy sposób na kłopoty to się ich pozbyć. Liczę, że pan dopilnuje, aby nasze problemy skończyły się na promie...

Manescu wrócił pośpiesznie na pokład tuż przed podniesieniem trapu. Zastukał w umówiony sposób do drzwi kajuty Sierowej i wśliznął się zręcznie do środka.

Rosjanka siedziała przed lustrem, czesząc kaskadę lśniących włosów.

Manescu zapoznał ją szybko z sytuacją. Irina pokiwała głową i wsunąwszy kształtną dłoń do kieszeni dzinsów wymacała futerał strzykawkę. Potem zaczęła malować usta szminką.

— Może uda mi się zaciągnąć go do łóżka. Mężczyźni w podróży, daleko od domu, są na to podatni.

— Nie obchodzą mnie metody, Sierowa. Macie wykonać zadanie.

Wielki prom dawno już opuścił przystań i minąwszy nabrzeża Sztokholmu wypłynął na pełne morze, sunąc spokojnie po gładkiej powierzchni wody.

Newman w wypuszczonej na dzinsy koszuli wszedł do dyskoteki i stanął z boku podrygującego tłumu. Zapalił papierosa. Z głośników rozbrzmiewał ogłuszający rytm piosenki Sinead O'Connor. Migotały kolorowe żarówki, a w ich oślepiającym blasku twarze tańczących zmieniały szybko barwę z czerwonej na niebieską, potem żółtą, zieloną, i tak w kółko. Panował chaos, w którym mieszały się ze sobą muzyka, światła i odgłos dudniących o parkiet stóp. Do diabła z wszelkimi kompleksami! Za Newmanem stanęła Paula z włosami związanymi w koński ogon i w sięgających do kolan butach na miękkiej podeszwie.

Natychmiast porwał ją na parkiet wysoki Fin w rozpiętej na piersiach koszuli.

Zaczęła tańczyć z wdziękiem, trzymając się na odległość niemal pół metra od partnera. Uważnie rozglądała się wokół. Okręcała się często, aby widzieć cały parkiet i mieć na oku Newmana.

Szczupła, niewysoka Finka o kręconych włosach poklepała go właśnie po ramieniu. Skinął głową i zdusiwszy papierosa w popielniczkę poszedł z nią na parkiet. Zauważył natychmiast, że jest zupełnie niezła, a jej zielone oczy spoglądają zachęcająco. Zbliżyła się do niego i przekrzykując porażający bębenki hałas zapytała czystą angielszczyzną:

— Chcesz zabrać mnie jutro w Turku na kolację? — Uśmiechnęła się. — Już jest prawie jutro. Jesteś Anglikiem, prawda?

— Wyjdź przed całą klasę i pocałuj nauczyciela. Ja nim jestem.

Spełniła jego życzenie, przypatrując mu się z bliska płomiennym wzrokiem. Newman rozłożył ręce w przeproszającym geście.

— Bardzo bym chciał, ale podróżuję w interesach. Jutro wieczorem będę w Tampere...

Muzyka umilkła. Tańczące pary znieruchomiały. Niektóre zeszły z parkietu. Po chwili zaczęto grać nowy szybki kawałek, którego Newman nie znał. Finka ruszyła z powrotem w jego kierunku, ale się spóźniła. Uprzedziła ją szczupła, drobna dziewczyna o długich czarnych włosach i pomalowanych szkarłatną szminką ustach. Kiedy tańczyli blisko siebie, Newman przyglądał się jej słowiańskim rysom. Kształtne dłonie partnerki były w nieustannym ruchu.

Tańcząca z niskim, krępyim Szwedem Paula przysunęła się bliżej, wirując na parkiecie. Szwed, który był dobrym tancerzem, trzymał ją za lewą rękę.

Partnerka Newmana oparła obie dłonie na biodrach i z półuśmiechem na ustach wykonywała powolne ruchy. Paula nadal kręciła się w kółko, a na parkiecie, w miarę jak dochodziły nowe pary, robiło się coraz ciaśniej. Długowłosa brunetka wetknęła prawą dłoń głębiej do kieszeni dzinsów, patrząc Newmanowi w oczy.

Wyciągnęła rękę próbując chwycić go za przegub. Paula zachowała się tak, jakby była wstawiona. Runęła całym ciężarem ciała na partnerkę Newmana. Ta straciła równowagę i zachwiała się. Paula natarła na nią z jeszcze większym impetem i dziewczyna upadła. Tańczące pary pospieszyły jej z pomocą. Newman zobaczył, jak Paula podnosi prawą nogę i rozgniata butem niewielką strzykawkę,

którą upuściła jego partnerka. Zanim brunetka podniosła się z parkietu, Paula zniknęła w tłumie. Newman pomógł dziewczynie wstać, pchnął ją w otwarte ramiona wysokiego Szweda i wymknął się z zatłoczonej sali.

— Rozpoznam tę dziwkę! — Paula ciężko usiadła na łóżku w kajucie Newmana.

— Uprzedzałeś, że może nam grozić niebezpieczeństwo — przypomniała, biorąc od niego szklankę wody.

— Uratowałaś mi życie — zauważył Newman, zagłębiając się w fotelu. — Jak ją wyczułaś? Muszę chyba dać sobie zbadać głowę.

— Spoglądała cały czas w górę na migające światła. Zrozumiałam, że sprawdza, z jaką częstotliwością się zmieniają, czeka na ten krótki moment, kiedy nie widać, co się dzieje. Wtedy właśnie podskoczyła do ciebie ze strzykawką.

Ciekawe, co w niej było?

— Nic, co wyszłoby mi na zdrowie, to pewne. Jest sprytna. Gdybym upadł, wszyscy uznaliby, że się upiłem albo wzięłem prochy. Zdążyłaby się spokojnie ulotnić. Musimy być bardziej ostrożni. — Uśmiechnął się posępnie. — Ja muszę być ostrożniejszy. Kiedy prom przybije do Turku, będą na nas czekać.

Proponuję, żebyśmy zjedli późne śniadanie i zeszli na brzeg jako ostatni.

Oczywiście, będzie już wtedy jasno.

— Muszę się chyba teraz przespać — stwierdziła Paula. Usiadła prosto i przerwuciwszy nogi przez krawędź koi wstała. Przeciągnęła się. — Wrócę lepiej do swojej kabiny, bo inaczej stracę dobrą opinię.

— Miałabyś coś przeciwko temu? — zapytał Newman, nie wstając z miejsca.

— Co z Dillonem? — odpowiedziała pytaniem.

— Uzgodniłem z nim, że spotkamy się w kantynie. Będzie tam czekał, aż się zjawimy. Prom przybija do portu o siódmej. Jeżeli więc koniecznie chcesz iść, zobaczymy się w kantynie o szóstej trzydzieści.

— Muszę pomyśleć o Tweedzie. — Spojrzała na niego. — Czasem kobieta długo nie może się zdecydować... zwłaszcza gdy pozna dwóch bardzo różnych mężczyzn.

— Odprowadzę cię do kajuty. Masz rację, potrzebujemy snu. Bóg raczy wiedzieć, co nas czeka, gdy znajdziemy się w Finlandii.

Osoby znające Marlera powiedziałyby na ogół, że brak mu cierpliwości i oczekuje szybkich rezultatów. To prawda, ale w razie potrzeby Marler był

cierpliwy jak Hiob. Ukryty w samochodzie między drzewami gęstego zagajnika, górującego nad siedzibą korporacji INCUBUS w pobliżu Helsinek, spędził dwa dni w potwornym upale, fotografując co jakiś czas ludzi, którzy wchodzili do budynku lub go opuszczali.

Wróciwszy do hotelu „Palace”, do swego pokoju, którego okna wychodziły na Port Północny, zasiadł przy telefonie. Wcześniej przekazał kilka klisz do punktu wywołującego filmy w ciągu dwudziestu czterech godzin. Był przekonany, że ma na zdjęciach wszystkich członków zarządu — rozpoznawał ich po drogich samochodach, którymi jeździli.

Podniósł słuchawkę i wykręcił numer Park Crescent. Na telefon odpowiedziała Monika.

— Spółka ubezpieczeniowa „General i Cumbria”...

— Mówi Marler, Moniko. Z kim mogę rozmawiać? Dzwonię z hotelu w Helsinkach — ostrzegł.

— Rozumiem. Możesz rozmawiać tylko ze mną. Uwierz mi lub nie, ale nasz nobliwy szef zostawił mnie samą na posterunku.

Mówiła o Howardzie. Marler zdziwił się. Monika była dobrym pracownikiem, nawet bardzo dobrym, ale Howard twierdził zwykle, że kobiety nadają się tylko do dwóch rzeczy, a jedną z nich jest siedzenie w domu.

— Moniko, potrzebuję informacji. Kto gdzie przebywa i tego rodzaju sprawy.

Siedząca przy aparacie po drugiej stronie Monika zawahała się, ale tylko przez moment. W końcu sama miała podejmować decyzje.

— Nasz dyrektor do spraw handlowych jest na twoim terenie, ale od wielu dni nie mamy od niego żadnych wiadomości i cholernie się niepokoję.

Musiało chodzić o Tweeda. Marler zapalił długiego, cienkiego papierosa i pozwolił sobie na chwilę zastanowienia.

— Rozejrzę się — obiecał. — Czy jeszcze ktoś z zespołu wypuścił się w drogę?

— Tak. Paula i Bob. Podróżują razem. Wyruszyli w tym samym kierunku co ty.

Nie mam pojęcia jaką trasą.

„Newman to samotny wilk — pomyślał Marler. — Chociaż tym razem nie wydaje się szczególnie osamotniony”. Może zatęsknił za towarzystwem po śmierci swojej dziewczyny? Nie, to nie było tak. Paula mogła towarzyszyć Newmanowi tylko za zgodą Tweeda. A to oznaczało, że kogoś ścigali.

— Ktoś jeszcze? — zapytał.

— Tak. Harry Butler ieci jako nasz dodatkowy przedstawiciel. Wcześniej czy później do mnie zadzwoni.

— Przekaż mu, że jestem w hotelu „Palace”. Niech do mnie wpadnie. I nie martw się. Nasz dyrektor handlowy wie, co robi.

W odniesieniu do Tweeda stwierdzenie to było rekordową przesadą. Po chwili Monika odezwała się ponownie:

Zabrał ze sobą Pete’a Nielda.

— No proszę. Nie ma więc powodu się gorączkować i martwić. To pierwsze słowo raczej wykreśl, Moniko. Gorąco tu jak cholera. Może jeszcze do ciebie zadzwonię...

„Monika jest bystra — pomyślał odkładając słuchawkę. — Gdyby ktoś nas podsłuchiwał, doszedłby do wniosku, że to rozmowa handlowców o interesach”.

A więc towarzystwo zaczynało się zbierać. Otworzył drzwi, umieścił na klamce wywieszkę „Nie przeszkadzać” i zamknął się w pokoju na klucz.

Poszperawszy w torbie wyciągnął karabin typu Armalite i zaczął go czyścić. To mu się pomogło skoncentrować. Włos, który umieścił na zamku błyskawicznym, był na miejscu. Nikt nie przeszukiwał pokoju podczas jego nieobecności.

Dręczyło go pytanie, jaką trasą przybędzie Newman.

Samolotem? Nie, na pewno nie. To zbyt oczywiste rozwiązanie. Newman był

zanadto przebiegły. Promem z Travemünde — trasą, którą przy płynął Marler?

Raczej nie. Promem samochodowym ze Szwecji? To wydawało się najbardziej prawdopodobne. Będzie więc jutro na przystani, kiedy przybije statek. A Harry Butler? Był to człowiek o niespożytych siłach, pracujący nad przydzielonym mu zadaniem tak długo, aż je wykonał. Mógł okazać się bezcenny. Marler nazywał go w duchu bobrem. Przewyższał Butlera rangą, ale miał

o nim jak najlepsze zdanie.

Postanowił odłożyć lot do Rovaniemi i wizytę w owym dziwnym Instytucie Meteorologii, o którym wspomniał mu Sarin. W Helsinkach lada chwila mogło się wiele wydarzyć. Zastanawiał się tylko przez cały czas, gdzie może być Tweed.

Był wczesny wieczór, kiedy Tweed, rozdrażniony marnowaniem czasu, próbował

zmusić generała Rebeta do mówienia. Siedzieli wokół suto zastawionego stołu w apartamencie Tweeda w leningradzkim hotelu „Moskwa”. Pete Nield usadowił

się pod ścianą i przyglądał się czujnie szczupłemu Rebetowi, który dużo mówił, żywo przy tym gestykulując.

— Wspomniał pan o zdradzie w Biurze Politycznym — zaczął Tweed — a potem zboczył pan z tematu. Panie Rebet, chcę wiedzieć, po co mnie pan tu sprowadził.

Proszę natychmiast mi to powiedzieć albo odstawić mnie w ciągu godziny z powrotem do Helsinek.

— Sądzę, że nasza gościność...

— Jest ujmująca. — Tweed, odmówiwszy wszelkiego alkoholu, popijał rosyjską herbatę. — Tylko że ja nie przyjechałem tutaj na urlop. Proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

— Urządzamy w tym hotelu wielkie przyjęcie, na które jest pan zaproszony. —

Rebet zerknął na zegarek. — Zaprowadzę tam pana za pół godziny.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie.

— Już to zrobiłem. Właśnie po to pan się tu znalazł — aby incognito wziąć udział w przyjęciu...

— W jakim celu? — Tweed podniósł głos. — Wiem, że Rosjanie potrzebują całych godzin, tygodni, a nawet miesięcy, żeby przejść do sedna sprawy, ale ja nie akceptuję takich metod. Proszę załatwić mi zaraz powrotny lot do Helsinek, skąd mnie porwaliście. Tego nie zapomnę.

— Wiemy, że w Biurze Politycznym działa wysokiej rangi pośrednik — czy, jak pan woli, zdrajca — który współpracuje potajemnie z kompleksem wojskowo-przemysłowym w Ameryce, pomagając im zdobyć dominującą pozycję w Związku Sowieckim. Widzą w tym wyjątkową możliwość przeniknięcia do mojego kraju i zredukowania jego roli do handlowego satelity Stanów Zjednoczonych. Wszystko dlatego, że pogrążamy się w chaosie. Czy pan to rozumie?

— Tak, chociaż pomysł wydaje mi się dziwaczny. Proszę mówić dalej. Kim jest ten zdrajca w Biurze Politycznym?

— Nie potrafimy go zidentyfikować. To, co panu teraz powiem, jest objęte ścisłą tajemnicą. Umieściliśmy agenta w „Drakonie”, ogromnym ośrodku badawczym pod Bostonem. Doniósł nam, że w spisku uczestniczy przedstawiciel najwyższych władz naszego kraju. Nosi kryptonim Angel. Zawężaliśmy grono podejrzanych do trzech członków Biura Politycznego. Są nimi marszałek Dimitrij Zajkow, minister obrony, Ormianin Anatolij Dikojan, minister handlu zagranicznego, i Gruzin Wiktor Kazbek, minister łączności. Jeden z tych trzech ludzi współpracuje z Amerykanami.

— Nie rozumiem, w jaki sposób mógłby to robić — powiedział ostro Tweed.

— Wiemy, że Angel ma bliskie kontakty z mafią...

— Z amerykańską mafią? Niech pan nie* żartuje, Rebet!

— Nie, przepraszam, miałem na myśli sowiecką mafię. Przestępcze podziemie, które — obawiam się — jest znakomicie zorganizowane. Należą do niego osoby działające na czarnym rynku, urzędnicy przekupieni wysokimi łapówkami, nawet funkcjonariusze KGB. Angel stworzył sieć agentów w całym Związku Sowieckim i tych właśnie ludzi wykorzystują Amerykanie.

— Z pewnością możecie zainstalować tam swoje wycieczki.

— Oczywiście próbowaliśmy. Nasi agenci przenikali do tej wysoce tajnej organizacji i znajdowano ich martwych. Ginęli z rąk zabójców w jakiejś ciemnej uliczce w Moskwie, tu, w Leningradzie, w Kijowie i w innych miastach. Nie wiemy, kim jest Angel, ale będzie na tym przyjęciu. Zjawi się tam cała trójka, którą wymieniłem. Może pan dostrzeże świeżym okiem coś, co umknęło naszej uwadze.

— Moim zdaniem to mało prawdopodobne.

— Nasz prezydent prosił osobiście, żeby pan podjął próbę. Zaczyna brakować nam czasu.

— Zrobię, co będę mógł, ale niczego nie obiecuję. — Tweed spojrział na Rebeta.

— Musicie być w rozpaczliwym położeniu, skoro zwracacie się do mnie —

zauważył z cierpkim uśmiechem.

— Bo i jesteśmy...

Rebet mówił dalej, gdy schodzili po dużych kamiennych schodach. Niedługo szedł z tyłu. W dole kręcili się goście w wieczorowych strojach. Wiele kobiet miało odkryte ramiona. Słychać już było brzęk kieliszków i gwar rozmów. Rebet udzielał Tweedowi instrukcji:

— Może pan poświęcić większość czasu na obserwację. Będę tuż obok.

Dokonując prezentacji powiem, że nazywa się pan Gubienko i jest naszym attaché handlowym przy ambasadzie w Londynie. Mówi pan dobrze po rosyjsku, ale ta funkcja rozwieje wątpliwości, gdyby ktoś rozpoznał u pana angielski akcent.

— Jaki tam ze mnie Gubienko... — zachnął się Tweed.

— Ależ bardzo go pan przypomina!

Odkąd przyjechali, Rebet po raz pierwszy pozwolił sobie na żart. Gdy wśliznęli się do ogromnej sali, Tweed spojrział w górę na lśniące Wysoko nad jego głową wielkie kandelabry. Na zewnątrz był jeszcze dzień. W

jednym końcu sali umieszczono bufet uginający się niemal pod półmiskami i długimi szeregami butelek. Tu nie odczuwano raków żywności.

— Ten dystyngowany mężczyzna o siwiejących włosach i różowych policzkach to brytyjski ambasador — oznajmił szeptem Rebet.

— Niech mnie pan trzyma od niego z daleka, na litość boską... W tym momencie Tweed na ułamek sekundy zastygł w bezruchu.

Na środku sali spora grupa ludzi otaczała wysokiego, zwalistego mężczyznę w eleganckich okularach bez oprawek, który gestykulował, trzymając w dłoni cygarniczkę. Był to Franklin D. Hauser.

Tweed miał zamglone spojrzenie i wydawał się rozespany, gdy Rebet oprowadzał

go powoli po zatłoczonej sali, ale senne z pozoru oczy obserwowały nieustannie Hausera i jego rozmówcę. Marszałek Zajkow był niskim, krępym mężczyzną, który często rzucał żartobliwe uwagi. Wtedy Hauser odrzucał do tyłu głowę i zanosił się śmiechem. Ubrany w wyjściowy mundur Zajkow miał gładko ogoloną twarz o wydatnej szczęce i wymachiwał bez przerwy zaciśniętą pięścią.

Podchodząc bliżej Tweed usłyszał ze zdumieniem, że Hauser mówi płynnie po rosyjsku. Intensywne dochodzenie na jego temat nie ujawniło, że zna ten język.

Po pewnym czasie Hauser zaczął krążyć po sali. Popijając wódkę Tweed obserwował, jak do Amerykanina podchodzi przypominający niedźwiedzia mężczyzna z czarną brodą i grzywą ciemnych włosów. Przeszli w kąt, aby uniknąć tłoku. Przybysz uściśnął Hausera i pocałował go w oba policzki, a potem zaczął gestykulować. Tryskał wprost energią, jeszcze bardziej niż Amerykanin.

— To ten Gruzin? — zapytał Tweed szeptem.

— Tak. Wiktor Kazbek, minister łączności. Człowiek, który ubóstwia kobiety.

Całe tłumy kobiet. — Rebet wzruszył ramionami. — Ale cóż, jest Gruzinem. Oni przepadają za jedzeniem, pićiem i wszystkim, co stanowi o urodzie życia.

Tweed pokiwał głową. Nie pozwolił, by kelner ponownie napełnił mu kieliszek.

Przyglądał się, jak Gruzin stale trąca Hausera w ramię, by podkreślić wagę swoich słów. Zachowywał się poufale. Przez kwadrans Tweed stał niemal nieruchomo, gdy obaj mężczyźni prowadzili nieprzerwaną rozmowę. Hauser najwyraźniej potrafił znaleźć wspólny język z przedstawicielami innych narodowości.

— Chciałby pan z kimś porozmawiać? Może z piękną kobietą? — zaproponował

Rebet.

Tweed potrząsnął głową, podniósł do ust kieliszek i przytrzymał go tak, nie pijąc ani kropli. Gruzin ustąpił miejsca zupełnie odmiennej postaci. Hauser, który wyszedł z kąta sali, podawał rękę niskiemu, szczupłemu, nienagannie ubranemu mężczyźnie o ciemnych włosach, starannie zaczesanych do tyłu nad wysokim czołem, i krótko przystrzyżonym wąsie.

— Ormianin? — zapytał szeptem Tweed.

— Tak. Znów pan trafił. To Anatolij Dikojan, minister handlu zagranicznego.

Dużo podróżuje na Zachód, próbując załatwić umowy

o wymianie towarów. Mamy tu kiepską sytuację.

— Skąd pochodzi? — zapytał szorstko Tweed.

Słuchając naszkicowanej przez Rebeta biografii, Tweed przyglądał się Ormianinowi, który ze względu na niski wzrost musiał zadzierać głowę do góry i mówił bez przerwy do Hausera. Gestami szczupłych dłoni dobitnie podkreślał

znaczenie swych wypowiedzi. Tweed uznał, że temu człowiekowi nie brakuje sprytu.

— Dikojan to zręczny polityk — opowiadał Rebet. — Potrafił się dostosować do wszystkich zmian systemu. Jako jeden z pierwszych okazał podziw dla niezwykłego człowieka, który z czasem został naszym obecnym prezydentem.

Mówi biegle czterema językami, w tym także po angielsku. Ma wybitny talent do pozostawiania zawsze w cieniu, nikt nie może wskazać go palcem i powiedzieć, że należał do „starej gwardii”...

Tłum zaczął przechodzić w kierunku podwójnych drzwi, które otwarto w sąsiednim salonie.

— Teraz odbędzie się bankiet — oznajmił Rebet. — Jest pan zaproszony. Mam nadzieję, że zgodzi się pan w nim uczestniczyć?

— Oczywiście. Chcę mieć na oku tych trzech mężczyzn. Czy wie pan, kiedy Hauser wyjeżdża z Rosji?

— Zaraz po bankiecie leci z powrotem prosto do Helsinek. Nie należy do ludzi, którzy długo tu zabawiają.

— Widziałem już, jak rozmawiał z człowiekiem, którego nazywacie Angelem — stwierdził szeptem Tweed.

— To znaczy, że go pan zidentyfikował? — Rebet nie ukrywał zdumienia.

Tweed uśmiechnął się, kręcąc głową.

— Być może będę coś wiedział po bankiecie — rzekł. — Zwłaszcza że Hauser odlatuje zaraz po jego zakończeniu.

— Jest pan bardzo tajemniczy, przyjacielu. Niepokoi nas jeszcze jedna sprawa.

Zapodziali się gdzieś wysocy urzędnicy dawnego aparatu bezpieczeństwa z różnych krajów. W tym także nasi. To ściśle poufna informacja. — Rebet zniżył

głos i Tweed z trudem wylapywał jego słowa. — Zniknęła kobieta, należąca do mojej nowej

organizacji, Irina Sierowa. Jest w stopniu pułkownika.

Przypuszczamy, że przekroczyła granicę Finlandii, ale to tylko domysły.

— A inne znaczące osoby?

Rozmawiali posuwając się w kierunku sali bankietowej wraz z falą podochoconego alkoholem tłumem.

— Słyszeliśmy kilkakrotnie nazwisko Iona Manescu, kata z rumuńskiej Securitate. Mówiło się też o osobistościach z rozwiązanej niemieckiej Stasi. Moi agenci nie potrafią dojść, gdzie ci ludzie znikają.

— A czy istnieje jakiś niezbity dowód, że udają się w konkretnym kierunku?

— Ich liczba. — Rebet zaśmiał się bez cienia wesołości. — Jeden mógł zapaść się pod ziemię. Nawet dwóch. Ale trzeba by bardzo dużego dołu, żeby pomieścić

wszystkich, którzy wykonali ten numer ze znikaniem. Biorąc pod uwagę ogrom problemów, z którymi borykamy się w poszczególnych republikach, jest to powód do niepokoju. Teraz muszę już zamilknąć...

Bankiet ciągnął się przez wiele godzin, jak za dawnych czasów. Tweed popijał

ostrożnie stawiane przed nim rozmaite drinki, prosząc często o wodę mineralną.

Siedział przez cały czas obok Rebeta i niewiele jedząc spoglądał ciągle w kierunku Hausera, który zajmował honorowe miejsce z prawej strony przy końcu stołu. Ich oficjalnym gospodarzem był siedzący u szczytu marszałek Dimitrij Zajkow. Pochłaniał ogromne ilości jedzenia, wypijał litry alkoholu i opowiadał dowcipy.

Po drugiej stronie środkowej części stołu, blisko Tweeda, usadowił się potężny, dobrodusznie wyglądający Wiktor Kazbek. Wznosił bez przerwy toasty, ale pił o wiele mniej, niżby się mogło wydawać. Jego ciemne oczy lustrowały gości i napotkawszy spojrzenie Tweeda znieruchomiały. Kiedy Kazbek uniósł kieliszek, Tweed poszedł w jego ślady, skinął głową w kierunku energicznego Gruzina i wypiwszy łyk odwrócił wzrok.

Niepozorny Dikojan wyraźnie darzył względami siedzącą naprzeciwko niego atrakcyjną kobietę. Tweed przyglądał się, jak Ormianin zabawia swoją znajomą.

Kiedy bankiet dobiegł końca, goście wstali od stołu i zaczęli gawędzić w grupach.

Tweed spostrzegł, że Hauser pospiesznie opuszcza salon w towarzystwie obstawy, zdążając zapewne na lotnisko. Rebet, który wstał od stołu równocześnie z Tweedem, jakby czytał w jego myślach.

— Na Hausera czeka kawalkada wozów — powiedział. — Nigdy nie zostaje dłużej, niż musi. Za godzinę będzie już w powietrzu.

U boku Tweeda zjawił się Dikojan, a gdy został mu przez Rebeta przedstawiony, uśmiechnął się przyjaźnie.

— Dobrze znam Londyn — zaczął. Mówił po angielsku płynnie i szybko. —

Pamiętam, jak wsiadałem w pociąg na Charing Cross, żeby spędzić weekend w Bournemouth. To nadmorski kurort, taka brytyjska Jałta. Piękne miejsce.

— Tyle tylko, że musiał pan wyjeżdżać z Waterloo.

— Oczywiście! — Dikojan wyrzucił w górę ręce w przeproszającym geście. — W Londynie jest tak wiele dworców...

Po kilku minutach ożywionej rozmowy zniknął w tłumie. Tweed spojrzał na Rebeta.

— Przypuszczałem, że jest przebiegły. Ta wzmianka o Charing Cross była pułapką. Chciał sprawdzić, czy naprawdę pracuję w ambasadzie w Londynie...

Przerwał, gdy zamajaczyła nad nim potężna postać Wiktora Kazbeka. Rebet ponownie dokonał prezentacji po rosyjsku. Kazbek przyjrzał się Tweedowi i poprosił Rebeta o powtórzenie jego nazwiska.

— Igor Gubienko, attache handlowy w Londynie wyjaśnił Rebet.

— Miło mi spotkać pana na naszym małym przyjęciu, panie... Gubienko? Czy dobrze usłyszałem nazwisko?

— Owszem. — Tweed patrzył prosto w błyszczące, ciemne oczy brodatego Gruzina. — Jest pan zadowolony ze stanowiska ministra łączności? — zapytał.

Kazbek odrzucił do tyłu głowę z bujną czupryną, wybuchając śmiechem.

— Czy jestem zadowolony? A któż, na Boga, ma teraz ochotę być członkiem Biura Politycznego? Może z wyjątkiem szefa. — Postukał się wielkim palcem wskazującym po haczykowatym nosie. Jestem złośliwy. Jeśli pan to komuś powtórzy, panie... Gubienko. wylecę z roboty. Mój los spoczywa w pańskich rękach!

Ponownie wybuchnął śmiechem, potrząsając gęstą grzywą ciemnych włosów.

Poklepał Tweeda po plecach, odsłaniając w uśmiechu złote zęby, po czym odwrócił się, by ucałować dłoń jakiejś otyłej damy.

Rebet zmierzał do wyjścia, a Tweed podążał powoli za nim, odwracając głowę, aby rozejrzeć się jeszcze po sali. W pobliżu stał marszałek Zajkow —

nieruchoma, krępa postać o twarzy surowej jak

Syberia. Przyglądał się im i przez moment Tweed był przekonany, że podejdzie, aby z nimi porozmawiać. Potem jednak jakby zmienił zdanie. Przez krótką chwilę oczy Tweeda napotkały jego spojrzenie, po czym marszałek oddalił się w przeciwnym kierunku.

Dopiero odprowadzając Anglików do ich pokoi, Rebet zadał Tweedowi nurtujące go pytanie.

— To wszystko. Hauser wyjechał. Przypuszczam, że rano zechce pan wracać.

Zabierzemy pana samolotem do Helsinek. — Zamilkł na chwilę. — Jak pan podejrzewa, który z tych trzech ludzi jest Angelem?

Tweed życzył Nielowi dobrej nocy i otworzywszy drzwi do swojego pokoju odwrócił się, spoglądając na Rebeta. Rosjanin zadał to pytanie jakby od niechcienia, ale Tweed wyczuwał jego niepokój. Pokręcił głową.

— Przykro mi, ale naprawdę nie mam pojęcia — skłamał. — Dziękuję jednak za gościnność. Warto było spróbować.

Gdyby powiedział prawdę i gdyby Rebet zapytał go, po czym rozpoznał

właściwego człowieka, odparłby:

— Zauważyłem brak pewnej rzeczy... **21**

Newman, Paula i Dillon byli ostatnią trójką pasażerów, którzy schodzili z promu Silja Line w Turku. Zjadłszy na pokładzie późne śniadanie spotkali się w kabinie Newmana, gdzie rozgorzała dyskusja.

— Zejdziemy na brzeg razem — oznajmił Newman. — Nie próbujemy się ukrywać.

— To idiotyczne — burknął Dillon. — Skoro włożyliśmy tyle trudu, żeby dotrzeć do Finlandii niepostrzeżenie...

— Jestem skłonna zgodzić się z Cordem — zauważyła Paula.

Newman był nieugięty; zachowywał się agresywnie.

— Posłuchajcie, próbowaliśmy, i co z tego wyszło? Sztuczka z niewidzialnym człowiekiem nie wypaliła. Otoczyli cały teren, obserwują wszystkie przejścia graniczne. Myślicie, że tutaj, w Turku, będzie inaczej? Bynajmniej. A więc zmieniam strategię. Pozwólmy, żeby nas widzieli i sami nie spuszczały ich z oka. Dopiero wczesnym wieczorem odbiorę wynajęte BMW. I wtedy popędzimy autostradą E3 stąd do Helsinek.

— Nadal nie rozumiem — powiedział Dillon chrapliwie. — Nie zgadzam się z tym...

— Albo jedziesz z nami, albo sam się tam dostań — rzucił

Newman brutalnie. — Wybór należy do ciebie. Ale pamiętaj, że teraz jesteśmy uzbrojeni. Możemy

się bronić. Trzy osoby to już groźna grupa, gdyby ktoś zaatakował nas w czasie jazdy.

— A czy mogę zapytać — nie poddawał się Dillon — co będziemy robić do wieczora? Damy im dobrą okazję, żeby nas zlokalizowali i zaplanowali zasadzkę?

Pospacerujemy po Turku? Może zjemy obiad w hotelu? Byle tylko pokazać się publicznie?

— Właśnie tak. Już pora, żebyśmy zeszli na brzeg. Znam Turku. Zostawimy bagaże na dworcu i przejdziemy się po mieście. Jest tu skansen starych drewnianych domów, gdzie można obejrzeć, jak wyglądała Finlandia sto lat temu. Odprężymy się, spacerując po otwartej przestrzeni. Tak właśnie zrobimy.

Pomyślałem też, że wynajmę drugi samochód, z którego nie będziemy korzystać.

Taka wojna psychologiczna może wytrącić ich z równowagi.

— Co to znaczy, do diabła?

— Że jedyną taktyką, która myli przeciwnika, jest stwarzanie nieoczekiwanych sytuacji.

Irina Sierowa -----w ciemnych okularach, ubrana w białe szorty, białą bluzkę, zasłaniający włosy słomkowy kapelusz z szerokim rondem i założone na bose stopy adidasy — widziała, jak Newman wychodzi z wypożyczalni samochodów.

Wśliznęła się tam pospiesznie, gdy dziewczyna za ladą wypełniała formularz, i odczytała go do góry nogami.

— Słucham panią? — Recepcjonistka podniosła wzrok.

— Poproszę broszurę z markami wypożyczanych wozów i cenami...

Wyszedłszy na zewnątrz w piekielny skwar zaczęła się rozglądać za jakąś odpowiednią bramą. W głębi ulicy Manescu, również w niedbałym stroju i słomkowym kapeluszu na głowie, podążał za Newmanem.

Irina schowała się do wnęki w bramie i z pojemnej torebki wyjęła miniaturowy nadajnik. Wyciągnąwszy antenę skontaktowała się ze spółką INCUBUS Oy. w Turku.

— Mówi Joanna Star. Obiekt wynajął jeszcze jeden samochód, białe voJvo kombi. Numer rejestracyjny... Nie odebrał wozu, więc przypuszczalnie bierze jeszcze udział w spotkaniu. Wyłączam się...

— Oczywiście zdajesz sobie sprawę, że ktoś cię śledził? — zapytała niby od niechcienia Paula, gdy Newman podszedł do niej i Dillona.

— Dziewczyna w słomkowym kapeluszu i ciemnych okularach. Podobna do tej, która próbowała załatwić mnie wczoraj w dyskotecę, tyle że jest wyższa.

— Ma adidas ze specjalnie podwyższonymi podeszwami — stwierdziła Paula.

—■ To ona. Porusza się w ten sam sposób. Poszła za tobą do wypożyczalni.

— Świetnie. Dowie się tam i przekaże dalej, że jedziemy nie tym samochodem co trzeba. — Newman spojrzął na Dillona. — Nie odwracaj głowy. Wlecze się teraz za nami facet w słomkowym kapeluszu.

Przechadzali się po centrum Turku. Stojące obok siebie stare i nowe budynki, w większości o trzech lub czterech kondygnacjach, prawie nie rzucały cienia. W

Turku panował niniejszy ruch niż w Sztokholmie. Niemal w każdej chwili mogli przejść przez ulicę. Newman skinął głową, rzucił okiem za siebie i poprowadził

ich do baru po drugiej stronie.

— Pora się czegoś napić. Cokolwiek bierzecie, zamówcie też wodę mineralną i ugaście pragnienie. Musimy uważać, żeby się nie odwodnić. Poza tym chętnie popatrzę, co robi Słomkowy Kapelusz.

Nie podoba mi się ta zabawa w kotka i myszkę — stwierdził Dillon, kiedy usiedli przy stoliku koło okna. Zaczekał, aż kelnerka przyjęła zamówienie. —

Zaciągnąłbym tego faceta w którąś z alejek i przydusił, żeby zaczął gadać, a potem bym go załatwił.

— I ujawnił w ten sposób, że wiemy, co się dzieje? — Newman uśmiechnął się i potrząsnął głową. — Udawajmy niewiniątka. Niech uznają, że ich zgubiliśmy.

Dzięki temu popełnią błąd.

— Nie sędzę, żeby ludzie z korporacji INCUBUS popełnili wiele błędów —

zauważyła Paula, kiedy kelnerka zrealizowała zamówienie. Pociągając przez słomkę sok pomarańczowy zapytała: — Myślisz, że zostawianie broni w bagażu, który włożyliśmy do skrytek na stacji, było takim dobrym pomysłem?

— Och, z całą pewnością! - Newman był w wyśmienitym humorze. — W ten sposób nie wpadniemy w ręce policji. Temu, kto nas śledzi, mogłoby przyjść do głowy, żeby dać policjantom anonimowy cynk. Łapią całą naszą trójkę z bronią i po krzyku. Finowie nie lubią obcych przybyszów z pistoletami.

— A ja mam w butach piasek — mruknął Dillon. — Albo w każdym razie to, po czym łaziliśmy wokół tych starych domów.

Newman zeszywniał. Dopiero po dłuższej chwili się rozluźnił. Wyjrzał przez okno na drugą stronę ulicy, gdzie Słomkowy Kapelusz oglądał z uwagą wystawę sklepu z męską galanterią. Twarz Newmana pozostała jednak spięta i tylko Paula wiedziała, co zaszło. Wzmianka Dillona o piasku¹ przypomniawszy mu brutalnie o śmierci jego dziewczyny, Sandy. Przeżywał na nowo koszmar tamtego

poranka w Suffolk, kiedy znalazł ją powieszoną w dzwonnicy.

Dotąd koncentrował się na tym, by zmylić prześladowców, dzięki czemu bolesne wspomnienia zeszyły na dalszy plan. Teraz siedział z zaciśniętymi ustami, spoglądając nieprzytomnym wzrokiem. Paula знаła to spojrzenie. Widziała je u niego może dwa razy w życiu. Newman pałał żądzą krwi.

Franklin D. Hauser przyleciał z Leningradu luksusowym odrzutowym learem i wylądował na lotnisku w Helsinkach. Oczekująca tam kuloodporna limuzyna zawiozła go prosto do siedziby spółki INCUBUS Oy. Wysiadłszy z samochodu wszedł do budynku, jak zawsze w pośpiechu.

Marler, ukryty w swym wozie w zagajniku, z którego rozciągał się widok na gmach centrali, zrobił aparatem trzy zdjęcia i zapisał w notesie godzinę. Tego ranka był na przystani, kiedy przybijał prom Silja Line ze Sztokholmu. Przyjrzał

się wszystkim schodzącym na ląd pasażerom, ale nie znalazł wśród nich nikogo znajomego. Jego przypuszczenia zawiodły. Zadawał sobie pytanie, czy Newman w ogóle się zjawi?

Galvone oczekiwał szefa na najwyższym piętrze. Widząc wyraz jego twarzy, zaczął mówić, gdy tylko Hauser usadowił się za biurkiem. Żadnych wstępów. Od razu do rzeczy.

— Newman jest w Finlandii.

Hauser zmartwiał. Galvone miał wrażenie, że widzi jedną z wielkich twarzy czterech amerykańskich prezydentów wyrzeźbionych w kamiennym zboczu na szczycie Black Hills w południowej Dakocie.

— Dotarł tu, do Helsinek? — spytał Hauser zachrypniętym głosem.

— Nie jest aż tak źle...

— Więc co się dzieje? Mów!

— Newman jest w Turku. Przyłynął dziś rano promem ze Sztokholmu.

Manescu i Sierowa panują nad sytuacją. Newman wynajął volvo i pewnie wkrótce tu przyjedzie. Są z nim dwie osoby: mężczyzna i kobieta.

— Dlaczego nie załatwiono tej sprawy na promie?

— Sierowa próbowała. Po prostu nie miała szczęścia.

W mieszczącym się na szczycie wieżowca biurze Hausera otworzyły się drzwi i wszedł Adam Carver. Był wczesny wieczór, ale Anglik wyglądał rześko, jakby rozpoczynał się nowy dzień.

— Odbywamy naradę — warknął Hauser.

— Wróciłem właśnie z Niemiec. Bank Egona Schmidta jest nasz. Przekonałem Dietera, jego syna i spadkobiercę, żeby podpisał wstępną umowę. Będzie jeszcze trochę papierkowej roboty, ale bank

należy do pana. Postawił pan nogę na niemieckiej ziemi.

— OK. — Hauser był zadowolony, okazywał jednak zniecierpliwienie. — Na pewno jesteś zmęczony. Idź się odświeżyć. Potem przyjdź do biura. Chcę się z tobą później zobaczyć.

Zaczekał, aż został sam z Frankiem Galvone. Zagłębiwszy się w fotelu mierzył wzrokiem swego podwładnego.

— Frank, daję ci rozkaz. Wykończ go. Za nic nie może dotrzeć do Helsinek...

Sierowa była ostatnią już klientką kawiarni naprzeciwko wypożyczalni samochodów. Siedziała nad drugą filiżanką kawy, gdy podeszła do jej stolika kelnerka, mówiąc, że niedługo zamykają. Irina wyjaśniła, że czeka na znajomego, który zjawi się lada chwila, i podała kelnerce banknot. Był to hojny napiwek.

W pięć minut później spostrzegła wyjeżdżające BMW. Newman siedział za kierownicą, obok niego dziewczyna, a z tyłu drugi mężczyzna. Sierowa wyjęła z torebki kieszonkowy nadajnik i upewniwszy się, że nie ma w pobliżu kelnerki, wyciągnęła antenę.

— Mówi Joanna Star. Obiekt wyjeżdża z miasta. To nie volvo, o którym meldowałam. Zmienił wóz. Jedzie teraz kremowym BMW. Numer rejestracyjny... Wyłączam się. Bez odbioru.

Kiedy skończyła kawę i szykowała się do wyjścia, do kawiarni wszedł Manescu.

Powiedziała mu, o czym zawiadomiła centralę spółki INCUBUS Oy. w Turku.

— Wszystko uzgodnione — zapewnił ją Manescu, gdy wyszli na ulicę. —

Przyszły rozkazy z samej góry. Zginą na trasie E3.

— Znasz tę drogę — odezwała się Paula, kiedy opuścili przedmieścia Turku. —

Jak daleko mamy do Helsinek?

— Dokładnie sto pięćdziesiąt osiem kilometrów. Potrzebujemy około dwóch godzin.

— Gdzie zatrzymamy się w Helsinkach? — zapytał z tylnego siedzenia Dillon.

— Zdecyduję, kiedy dotrzemy na miejsce — odparł lakonicznie Newman. —

Nie w „Hesperii”, o ile da się tego uniknąć. Już tam kiedyś nocowałem. Cord, po prostu bądź tak dobry i zostaw to mnie.

Paula zerknęła na Newmana. Odkąd Dillon rzucił uwagę, która przypomniała Anglikowi o Sandy, zachowywał się uprzejmie, ale był w ponurym nastroju.

Pędzili trasą E3, czteropasmową autostradą. Za nimi słońce zniżało się nad horyzontem. Na drodze był bardzo mały ruch. Paula spojrzała na deskę rozdzielczą.

— Jakie są w Finlandii ograniczenia prędkości?

— Czasem osiemdziesiąt kilometrów na godzinę, czasem sto. Trochę dalej jest specjalny odcinek nazywany drogą szybkiego ruchu. Tam można trochę przycisnąć. Do stu dwudziestu.

Wciąż wyrażał się lakonicznie. Paula zauważyła, że nie zaciska już rąk na kierownicy. Newman był doskonałym kierowcą, wyczuwała jednak, że jest spięty. Czy dlatego, że zbliżali się do celu — do Helsinek? Może nie mógł się już doczekać konfrontacji z Hauserem? Newman błędził myślami gdzieś bardzo daleko. Przypominał sobie, co mówił główny inspektor Roy Buchanan, na co zwracał uwagę:

„Dowiedzieć się, który z członków zarządu był w Helsinkach, kiedy uduszono Eda Rivertona, znalezionego potem wśród lodu w Porcie Północnym. Ustalić, kto przebywał poza Finlandią, gdy w dzwonnicy w Suffolk zamordowano Sandy.

I mieć nadzieję, że w obu przypadkach będzie to ta sama osoba”.

Paula spojrzała za okno. Jechali wśród pól. Widziała skupiska wielkich jodeł i jaśniejące perłowym, krystalicznie czystym blaskiem niebo, jakie ogląda się tylko w Finlandii. Sylwetki jodeł wznosiły się wysoko, odcinając się ostro na tle błękitu. Bajeczna kraina...

— Wjeżdżamy na drogę szybkiego ruchu — oznajmił Newman.

Paula zauważyła, że pędzą o wiele szybciej i spojrzała znów na prędkościomierz. Sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. BMW sunęło do przodu, potęgując jeszcze bardziej wrażenie nierealności. „Jest zupełnie jak w niebie” — pomyślała Paula.

— Jedzie za nami duża ciężarówka — ostrzegł Dillon. — Kiedy była na zakręcie, widziałem wypisaną z boku nazwę. INCUBUS Oy.

— Wielka kolubryna — odezwał się ze spokojem Newman. — Zauważyłem ją.

Pędzi w naszym kierunku jak pociąg ekspresowy...

Paula, przyciśnięta pasem, odwróciła się w fotelu, aby zobaczyć ciężarówkę. Była ogromna. Osobna kabina kierowcy przylegała do znajdującego się z tyłu potężnego ładunku. Od pasów ruchu prowadzących w przeciwnym kierunku oddzielał ich teraz wysoki, zarośnięty krzewami nasyp. Spojrzawszy na Newmana Paula zauważyła, że zacisnął usta.

— Mamy kłopoty? — zapytała cicho, sięgając do torebki i chwytając prawą ręką za kolbę browninga.

— Możliwe.

Odpowiedź Newmana zabrzmiała nader lakonicznie. Spojrzał we wsteczne lusterko, a potem

uśmiechnął się do Pauli. Ogromna ciężarówka pędziła w ich kierunku jak taran, przekraczając znacznie prędkość dozwoloną na drodze szybkiego ruchu. Umieszczony za kabiną kierowcy potężny ładunek kołysał się złowrogo na boki. Nagle ciężarówka gwałtownie przyspieszyła, wyprzedziła ich z lewej strony i zaczęła jechać równolegle, mając nad Newmanowi nad głową jak zbocze góry. Wychylił się na moment i rzucił okiem na kierowcę po drugiej stronie kabiny. Był nim krępy mężczyzna w czapce z daszkiem i ciemnych okularach. Siedział zgięty nad kierownicą i obracał ją stopniowo po parę centymetrów. Ciężarówka zaczynała podjeżdżać coraz bliżej.

Paula wyciągnęła browninga z torebki. Newman miał zupełnie opuszczone okno, aby złagodzić potworną duchotę upalnego wieczoru. Paula przechyliła głowę i uniosła lufę broni.

— Odłóż to! — ofuknął ją Newman. — Chcesz, żebyśmy zostali aresztowani za morderstwo?

— A więc ten facet robi z nas siekane befsztyki... — odezwał się z tyłu Dillon.

— Dzięki za wotum zaufania — odburknął Newman.

Oba rozpędzone pojazdy dzieliła jeszcze odległość około trzydziestu centymetrów, malejąca z każdą sekundą. Z prawej strony mieli nieskończenie długą stalową barierę, odgradzającą prawy pas ruchu od zbrocza, które opadało w kierunku jodłowego lasu. Paula widziała wszystko jak przez mgłę — brezentową plandekę zbliżającej się do nich wielkiej ciężarówki i przestrzeń autostrady, na której nie widać było żadnego pojazdu. Posłuchała Newmana i wrzuciła browninga z powrotem do torebki. Zaciśnięta na kolbie prawa dłoń była wilgotna i śliska. Miała wrażenie, że każdy mięsień jej ciała jest napięty do bólu w oczekiwaniu na uderzenie ciężarówki, która ich staranuje i zepchnie na stalową barierę. Spomiędzy ścierających się metalowych powierzchni polecą snop iskier, a potem nastąpi ta straszna chwila, gdy poczuje, jak pęka barierka i BMW przewraca się na dach...

Newman znów wychylił na moment głowę i zobaczył, jak mężczyzna w kabinie ciężarówki przekłada ręce na kierownicy, zamierzając przekręcić ją szerokim łukiem w prawo. Dziewiętnastu kierowców na dwudziestu starałoby się go wyprzedzić, wciskając do oporu pedały gazu, ale Newman był tym dwudziestym.

Słyszał głucho dudnienie pracującego na zwiększonych obrotach silnika ciężarówki. Nie miał szansy wyjechać przed nią. Wykonał nieoczekiwany, niebezpieczny manewr. Najszybciej jak mógł zredukował prędkość, spodziewając się poślizgu, do którego jednak nie doszło. Kierowca ciężarówki zajeżdżał mu drogę, próbując wgnieść jego wóz w stalową barierę. Newman po raz drugi podjął śmiertelne ryzyko. Z całej siły wcisnął hamulec. BMW zadrżało i stanęło w miejscu. Paula spojrzała na Dillona. Amerykanin opierał się lewą ręką o tył jej fotela. W prawej trzymał lufę z wycelowaną w okno lufą. Kierowca ciężarówki skręcił z całym impetem na pobocze, przewidując, że kolizja z BMW

zamortyzuje uderzenie, ale BMW gdzieś zniknęło. Zobaczył, że stalowa bariera pędzi mu na spotkanie, poczuł, jak ciężarówka w nią uderza i usłyszawszy trzask pękającego metalu próbował rozpaczliwie obrócić kierownicę. Było już za późno.

W stojącym BMW Newman rozcierał obolałe prawe ramię. Widział, jak ciężarówka wyłamuje

barierę, przewraca się na bok i spada ze zbocza. Runęła na ścianę jodłowego lasu z hukiem przypominającym grzmot działa. Trzy drzewa przechyliły się na bok. Na krótką chwilę zapadła cisza, w której słychać było jedynie stukot pracującego na luzie silnika, i nagle ciężarówka stanęła w ogniu.

Kierowcę ogarnęły płomienie. Pochylone jodły paliły się jak gigantyczna pochodnia.

Newman rzucił okiem we wsteczne lusterko. Nic nie jechało w ich kierunku.

Ruszył z miejsca, naciskając na gaz, aż szybkościomierz wskazał sto dwadzieścia kilometrów na godzinę. Zapalił jedną ręką papierosa, nie okazując poza tym żadnej reakcji na to, co się wydarzyło. Paula wiedziała, że w zasadzie nigdy nie pali za kierownicą. Wypuściła z zaciśniętej dłoni kolbę browninga, odetchnęła głęboko i wytarłszy ręce chusteczką spojrzała do tyłu na Dillona.

Na pokrytej zmarszczkami twarzy Amerykanina nie widać było żadnej emocji.

Puścił oko do Pauli.

— Kiedy dotrzemy do Helsinek, będę chyba miał ochotę na drinka —

stwierdził. — Ciekawe, co tam się wydarzy.

— Może nam się w końcu poszczęści — odparł krótko Newman.

Peggy Vanderheld zrobiła porządek na biurku i rozstała się na zawsze z korporacją INCUBUS. Pojechała taksówką do swego mieszkania, z którego rozciągał się widok na morze, ciągle przypominające jej raczej jezioro.

Usiadła przy oknie popijając wytrawne martini. Wciąż nie mogła pogodzić się z tym, jak potraktował ją Hauser. Mieszkała w bloku, obok końcowego przystanku przyjeżdżającego z miasta tramwaju numer cztery. Miejsce to znajdowało się o kilka minut drogi od położonego na wzgórzu hotelu „Kalastajatorppa”, dziwnego kompleksu budynków, które jakiś fiński architekt zaprojektował w taki sposób, aby robiły wrażenie, że wyrastają wprost z granitowego podłoża. Pomyślała, że może pójdzie tam na kolację.

„Nie — postanowiła. — Mam bilet do tego teatru naprzeciwko hotelu »Marski«.

Chcę być między ludźmi”. Siedziała spoglądając w dół na pomost dla praczek, wysuniętą w morze dwupoziomową konstrukcję, którą otaczały drewniane balustrady.

Peggy przypatrywała się często pracującym tam rano Finkom, które moczyły w morskiej wodzie dywany, a potem szorowały je na drewnianych stołach. Była to niewiarygodnie ciężka praca, a jednak wykonywało ją wiele kobiet należących do klasy średniej. Akurat w chwili gdy o tym pomyślała, zadzwonił dzwonek.

— Cholera! Kto zawraca mi głowę, kiedy właśnie chcę się zrobić na bóstwo?

Podeszła do domofonu i zapytała:

— Kto tam?

— Peggy, to ja, Adam Carver. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała ze mną chwilę porozmawiać. Wiem, na pewno jesteś wściekła z powodu tego, jak z tobą postąpili.

— W porządku, wejdź. Skoro musisz...

Przycisnęła guzik, by odblokować zamek w drzwiach do głównego hallu, i przejrzała się w ściennym lustrze. Przywitała Carvera w progu. W kremowej jedwabnej koszuli wyglądał bardzo elegancko.

— Chyba będzie lepiej, jeśli usiądziesz — zaprosiła go.

Nie miała zamiaru proponować mu drinka. Musiała przyznać, że żywi do Carvera mieszane uczucia. Drań był bez wątpienia cholernie przystojny, nie ufała jednak jego brytyjskiej ogładzie. Obdarzył ją swym uwodzicielskim uśmiechem i usadowił się w fotelu. Peggy usiadła na krześle. Założyła nogę na nogę i zapytała:

— Więc o co chodzi?

— Nie bądź taka oficjalna. Sądziłem, że nieźle się rozumieliśmy, kiedy pracowałaś w firmie.

— Każdy ma swoje złudzenia.

— Nie zawsze zgadzam się z tym, co robi Hauser. — Przyglądał się jej zgrabnym nogom. — Masz naprawdę znakomitą figurę, jeśli wolno mi to powiedzieć.

— Właśnie to zrobiłeś. Kimże ja jestem, żeby kwestionować zdanie wiceprezesa?

— W ten sposób do niczego nie dojdziemy... — Ponownie się uśmiechnął.

-- A więc spróbujmy coś ustalić, do cholery. Na przykład powód twojej wizyty.

— INCUBUS chce ci zaproponować bardzo hojne uposażenie.

— Które przyjmę, bo są mi je winni. Miło być potraktowanym jak stary koń wyrzucony ze stajni.

— Peggy! Proszę! Nic takiego nie miałem na myśli. Jesteś nadal młodą kobietą.

Z twoim doświadczeniem dostaniesz taką pracę, jakiej zapragniesz. Nie pozwoliłaś mi wyjaśnić: INCUBUS proponuje ci dwa razy większą sumę, niż się spodziewasz.

Patrzyła na niego spod przymrużonych powiek. Przyglądała ciemne włosy.

— Na jakich warunkach, kolego?

— Dobre pytanie. Masz tylko podpisać zwykłą umowę, która zakazuje ujawniania wszelkich informacji, uzyskanych podczas pracy w firmie. Żadnych rozmów na ten temat, żadnych wywiadów dla prasy, żadnego spisywania pamiętników w zamian za hojną zaliczkę z Nowego Jorku.

— Wiesz co — Peggy wstała z krzesła — podsunąłeś mi właśnie znakomity pomysł. Cieszę się, że wpadłeś, Adamie. Przepraszam cię, ale idę do teatru i muszę się przebrać.

Carver podniósł się powoli z fotela.

— A co będzie z tą sprawą, o której mówiłem? Chciałbym znać odpowiedź, zanim wyjdę.

— Tak po prostu? Chyba żartujesz. — Otworzyła drzwi. — Zastanowię się. To może trochę potrwać. Miło mi było bliżej cię poznać...

Carver wyszedł z bloku, zmierzając powoli w kierunku miejsca, gdzie zaparkował

samochód. Potarł świeżo ogolony policzek. Czyżby tracił swoją zniewalającą moc? Był pewien, że potrafi tę kobietę owinać sobie wokół małego palca.

Usiadł za kierownicą, przyglądając się opustoszałej ulicy. Na horyzoncie pojawił

się tramwaj numer cztery. Sunął w kierunku oddalonego o sto metrów końcowego przystanku. Carver

wziął do ręki radiotelefon i wykręcił prywatny numer Hausera.

— Mówi Adam. Problem nie został rozwiązany. Trudno przewidzieć, jak obiekt się zachowa...

— Chcesz powiedzieć, że odmówiła? — zapytał ochryple Hauser.

— W pewnym sensie. Na razie...

— A więc odmówiła — powtórzył Hauser. — OK. Wracaj tu szybko. Chcę usłyszeć pełne sprawozdanie.

Newman nie zdecydował się na hotel „Kalastajatorppa”. Wiązało się z nim zbyt wiele bolesnych wspomnień. Mieszkał tam przed wielu laty, kiedy w Estonii zamordowano jego żonę. Wolał do tego nie wracać. Śmierć Sandy wystarczająco nim wstrząsnęła. Nie chciał zatrzymywać się w „Hesperii” — też już tam kiedyś był. Pozostawały więc trzy hotele: „Marski”, „Intercontinental” i „Palace”.

Wybrał ten ostatni.

Czekając w hallu na Paulę i Dillona — jako że był ekspertem w szybkim rozpakowywaniu bagaży — stwierdził, iż powrót do Helsinek ożywił w nim dawne wspomnienia. Poczul, że musi się czegoś napić. Pierwszą osobą, którą zobaczył po wejściu do baru, był siedzący samotnie przy stoliku w rogu Marler.

— - Poproszę dużą szkocką - złożył zamówienie u barmana.

Wędrował po sali ze szklanką w ręce, jakby zastanawiał się, gdzie usiąść. Przechodząc obok stolika Marlera udał, że się potyka. Wylał trochę whisky na blat. Wyjął chusteczkę i zaczął wycierać rozlany alkohol mówiąc głośno:

— Przepraszam, że zabrudziłem panu stolik. Zwykle nie zdarza mi się być tak niezdarnym, ale dzisiaj jestem wykończony. Mam za sobą długą jazdę.

Marler wykonał ręką zapraszający gest.

— Proszę, niech pan usiądzie...

Postronny obserwator uznałby to za przypadkowe spotkanie dwóch nieznanomych Anglików, zadowolonych z tego, że się na siebie natknęli.

Newman usiadł, oddychając z ulgą.

— Dzięki. — Podniósł szklankę. — Na zdrowie! — Odstawił drinka i powiedział

cicho: — Te łobuzy z korporacji INCUBUS dwukrotnie próbowały mnie zabić.

Marler uśmiechnął się.

— Muszą być amatorami. Gdyby mnie wynajęli, nie piłbyś teraz whisky.

— Uwielbiam zapatrzonych w siebie facetów — odparł Newman. — Nie zdziw się, kiedy wejdą tu Paula i Cord Dillon. Podróżujemy razem.

— Dillon? Zastępca dyrektora CIA? Zechciej mi to wyjaśnić.

— Nie mogę. Na temat Dillona nic ci nie powiem. Przykro mi, ale to rozkaz Tweeda. Może chcesz wiedzieć, po co ja tu jestem...

Zrelacjonował Marlerowi pobieżnie przebieg dochodzenia w sprawie korporacji INCUBUS, a także wywiady z dwoma Anglikami, których zmuszono do odsprzedania firm. Opisał pokrótce oba zamachy na swoje życie i wspominał, w jaki sposób zdobył broń. Marler, przyglądając jasne włosy, wysłuchał w milczeniu jego wyjaśnień, po czym wyjął z kieszeni marynarki kopertę.

— Chcesz zobaczyć moje zdjęcia z wakacji? Zrobiłem je potajemnie z miejsca na zachód od miasta, skąd widać centralę spółki INCUBUS Oy. Nie mam pojęcia, kto jest kto — nie widziałem nigdy człowieka, którego poszukuję.

Newman spojrział na błyszczące fotografie i oddając mu je po kolei rozpoznawał niektóre osoby.

— To Adam Carver. Anglik. Spotkałem go, kiedy wstąpiłem do dworku Livingstone — rezydencji Hausera w Suffolk, dwa kilometry od miejsca, gdzie znalazłem ciało Sandy. Jest wiceprezesem. Tutaj masz Hausera. Znasz go pewnie ze zdjęć w gazetach. Ten typ to Frank Galvone, jeszcze jeden wiceprezes.

Tych dwóch nie znam. A ta przystojna brunetka...

Zamilkł nagle, gdyż do baru weszli Paula i Dillon.

— Nie patrz tam, Cord — ostrzegła Paula. — Newman siedzi w rogu z Marlerem. Że też musiał natknąć się akurat na niego! Trzymajmy się lepiej z daleka.

— Zgoda, złotko. Nie przepadam za nimi szczególnie, chociaż to twardzi zawodowcy. Napijmy się czegoś, żeby uspokoić nerwy.

Był do dla Pauli pierwszy sygnał, że Dillon, zawsze na pozór spokojny i niewzruszony, przejął się dramatycznymi wydarzeniami na autostradzie. Z

wdzięcznością przyjęła jego propozycję. Zanieśli swoje drinki do stolika daleko od miejsca, gdzie siedzieli dwaj Anglicy.

Newman skinął głową do Marlera.

— Paula jest bystra. Udają, że się nie znamy. Pewnie jest ci to na rękę. Zdaje się, że chciałeś mi coś

powiedzieć.

— Zidentyfikowałem tę przystojną brunetkę. To Amerykanka. Była bardzo zaufaną osobistą sekretarką Hausera, dopóki nie kazał jej się odmeldować, co ani trochę nie przypadło tej damie do gustu. Nazywa się Peggy Vanderheld.

Znam nawet jej adres w Helsinkach.

— Jak, u diabła, zdołałeś się tego dowiedzieć?

— Męski urok, mój stary. Któregoś wieczoru pojechałem samochodem za pewną Finką, jedną z sekretarek, wracającą właśnie do domu. Myślałem, że może być w moim typie. Zatrzymała się w barze hotelu „Marski” na drinka.

Wszedłem tam za nią. Po kilku kieliszkach byliśmy w dobrej komitywie. Sądzi, że niedługo pójde z nią do łóżka. Nie jestem pewien, czy będę musiał zabrnąć aż tak daleko. Chcesz znać szczegóły?

— Oczywiście. Przestań mnie maltretować. Mów wszystko.

— Zdaniem tej Finki Peggy Vanderheld wie więcej o działalności korporacji INCUBUS niż którykolwiek inny pracownik poniżej stanowiska wiceprezesa.

Dowiedziałem się też od niej, że Vanderheld nie może wybaczyć Hauserowi tego, w jaki sposób wyrzucił ją z pracy. Jest nadal w Helsinkach. Zdołałem wyciągnąć od tej mojej dziewczyny jej adres.

— Marler wyjął niewielki notes i zapisał coś na kartce. — Masz go tutaj, jeśli sądzisz, że ci się na coś przyda. Nieźle znasz Helsinki, prawda?

— Tak.

— Najłatwiej do niej dojechać tramwajem numer cztery. Wsiądziesz na końcowym przystanku i pójdziesz w kierunku morza, do ostatniego bloku po prawej stronie. Tego też dowiedziałem się od mojej Finki.

— Dzięki, Marler. To może być szansa, na którą czekałem. Przypuszczam, że roześmiałyś mi się w twarz, gdybym zapytał, co cię tu sprowadza?

— Nie. Próbuję wyśledzić paru niebezpiecznych facetów — byłych funkcjonariuszy tajnej policji wylanych z roboty, kiedy na Bałkanach i we wschodnich Niemczech upadł komunizm. Jednym z nich jest IonManescu...

— Rumun. Słyszałem o tym draniu. Wszechstronnie uzdolniony facet. Jest między innymi specjalistą od tortur. Dlaczego szukasz go tutaj?

Marler wyjaśnił, że — według otrzymanych przez Tweeda informacji —

widziano, jak Manescu wsiadał w Travemünde na prom płynący do Helsinek.

Wspomniał też o swojej rozmowie z Mauno Sarinem, szefem fińskiej tajnej policji, który rozmyślnie skierował jego uwagę na działalność korporacji INCUBUS.

— Więc dlatego obserwowałeś ich centralę? — zauważył Newman.

— To był strzał z daleka, który chybił. Oto jedyne zdjęcie, jakie zrobiono Manescu.

Newman spojrział na fotografię. Zamyślił się. Zaczął błędzić wzrokiem po barze, spostrzegł, że Paula i Dillon zajęci są rozmową. Potem popatrzył ponownie na odbitkę i wreszcie podniósł wzrok na Marlera.

— Nie jestem pewien — zaczął z wahaniem. — Prawdopodobnie się mylę...

— Mów — nalegał Marler.

— Kiedy przed przyjazdem tutaj chodziliśmy po Turku, czekając na zapadnięcie zmroku, ktoś nas śledził. Siedziałem z Paulą w kawiarni. Facet, którego nazwałem Słomkowym Kapeluszem, udawał, że ogląda wystawę w sklepie z męską galanterią po drugiej stronie ulicy. Było bardzo gorąco i na parę sekund zdjął kapelusz, żeby otrzeć pot z czoła. Panował piekielny upał, tak jak tutaj. Widziałem przez chwilę jego twarz, cholernie podobną do tej na fotografii.

Tyle że nie miał wąsów.

— Mógł je zgolić — rzekł pospiesznie Marler. — Skąd masz pewność, że pracował dla korporacji INCUBUS?

— Ponieważ, jak ci wspominałem, ich ciężarówka próbowała zrobić z nas miazgę na trasie E3. To dowód bezpośredniego powiązania Słomkowego Kapelusza z tymi ludźmi.

— Oczywiście. — Marler podszedł do baru, zamówił następne drinki i ponownie usiadł przy stoliku. — To dziwne — ciągnął dalej — ale przed spotkaniem z Sarinem powiedziałbym, że pracujemy nad dwiema różnymi sprawami. Teraz zaczynam się zastanawiać. Jak myślisz, gdzie IonManescu pojawi się znowu?

— Jeśli to był on — tutaj, w Helsinkach. — Newman wstał i złożony kartkę z adresem wsadził ją do portfela. — Ta informacja

o Manescu powinna dotrzeć do Tweeda.

— On się gdzieś zapodział — oświadczył ze spokojem Marler. — Dzwoniłem do Moniki i powiedziała mi, że Tweed zamierza udać się tutaj. Dwa dni temu sprawdzałem we wszystkich hotelach. Nigdzie go nie ma.

— Sprawdź jeszcze raz — poradził Newman.

— Dokąd się wybierasz? Nawiasem mówiąc, mieszkam w tym hotelu.

— Właśnie miałem cię o to spytać. Dokąd się wybieram? Pogadać z Peggy Vanderheld.

Teatr usytuowany naprzeciwko hotelu „Marski” mieścił się w nowoczesnym, okrągłym gmachu o ścianach porośniętych pnączami. Peggy Vanderheld wyszła stamtąd w kasztanowym kostiumie i udała się na przystanek tramwaju linii cztery. Od krawężnika ruszył duży brązowy buick. Sunął powoli za nią.

Wsiadła do tramwaju i patrzyła przez okno, jak wyjeżdża z miasta. Zajęła miejsce z prawej strony, widziała więc spacerujących po zielonym parku ludzi i wystające z ziemi potężne granitowe głazy. Brązowy buick wciąż podążał w ślad za tramwajem.

Nie mogła się zdecydować, co zrobić z Hauserem. Podczas przedstawienia nie myślała o swoich kłopotach. Teraz wszystko powróciło. Podwójne uposażenie?

Miałaby do końca życia furę pieniędzy... pod warunkiem, że będzie milczeć.

„Pieprzę to! — pomyślała. — Chcę dać Hauserowi kopniaka między nogi”.

Niefortunna uwaga Carvera, że nie powinna się brać za pisanie pamiętników w zamian za hojną zaliczkę z Nowego Jorku, otworzyła przed nią nowe horyzonty.

Tramwaj pozostawił miasto z tyłu, wjeżdżając w zalesione peryferie. Peggy była jedyną osobą, która wysiadała na końcowym przystanku. Pochłonięta myślami nie spostrzegła buicka zaparkowanego na ulicy

o kilkanaście metrów dalej. Nie zauważyła też kremowego BMW, które zatrzymało się w pobliżu morza za stojącym tramwajem.

Za kierownicą BMW siedział Newman. Opuścił wszystkie szyby, starając się złagodzić potworną duchotę upalnego wieczoru. Od razu rozpoznał Vanderheld ze zdjęcia, które pokazał mu Marler. Zdążył już nacisnąć guzik dzwonka do jej mieszkania przy zamkniętych frontowych drzwiach. Nikt nie odpowiadał.

Siedział nieruchomo, patrząc, jak Peggy wchodzi do budynku. Zauważył

brązowego buicka, wielką maszynę, która przyjechała za tramwajem, a potem stanęła. Nikt z niej nie wysiadał. Za szybą o barwie bursztynowej widział

sylwetkę kierowcy w czapce z daszkiem i ciemnych okularach.

Zaczekał parę minut, po czym zakręcił szyby, wysiadł, zamknął samochód i udał

się po schodach do wejścia. Ponownie przycisnął dzwonek domofonu obok wywieszki, na której był staranny napis „Vanderheld”.

— Kto tam znowu, do diabła? — odezwał się damski głos mówiący z amerykańskim akcentem.

— Robert Newman. Jestem dziennikarzem. Byłbym wdzięczny, gdyby poświęciła mi pani dziesięć minut. Chodzi o prowadzone przeze mnie dochodzenie.

Zapadła cisza. Newman przezornie nic więcej nie mówił.

— Czego ono dotyczy? — zapytała Peggy.

— To zbyt poważna sprawa, żebym mówił o niej stojąc za drzwiami.

— Dziesięć minut. Ani sekundy dłużej.

Zabrzmiał brzęczyk. Newman pchnął drzwi do hallu i wbiegając na schody słyszał, jak automatycznie się za nim zamykają. Peggy stała na progu, gotowa zamknąć mu drzwi przed nosem. Odsunęła się jednak na bok, wpuszczając go do środka. Jej mieszkanie było nowoczesne, wygodnie umeblowane i nie zagracone.

Z miejscem na wszystko i wszystkimi rzeczami na swoim miejscu. Dom kobiety zajmującej się zawodowo biznesem. Newman przysiadł na poręczu fotela, który mu wskazała.

Ocenił ją na jakieś metr siedemdziesiąt pięć wzrostu. Szczupła figura, lekki brązowy kostium, czarne jedwabne rajstopy i buty na wysokim obcasie, a na głowie burza czarnych włosów w pozornym nieładzie. Kształtne kości policzkowe i wydatne usta pomalowane jaskrawoczerwoną szminką. Przystojna kobieta pod czterdziestkę. Zdjęła żakiet odsłaniając kształtne piersi i położyła go starannie na oparciu fotela.

— Znam pana ze zdjęć, które widziałam parę lat temu w gazetach. Dobrze się pan trzyma.

— Dziękuję...

— Co to za dochodzenie?

Wpatrywała się w niego z odległości dwóch metrów, opierając ręce na biodrach.

Ton jej głosu brzmiał wyzywająco. Zapaliła papierosa.

Newman zdecydował się szybko.

— Badam działalność korporacji INCUBUS. — Opowiedział Peggy Vanderheld o zamordowaniu Sandy w bliskim sąsiedztwie dworku Livingstone, o zabójstwie Eda Rivertona i rozmowach z dwoma angielskimi biznesmenami, którzy zostali zmuszeni do sprzedania swoich firm.

— Dlaczego przychodzi pan do mnie? — zapytała Peggy. — Co mi to daje?

— Szansę, żeby zrewanżować się Hauserowi. Zdemaskuję jego działalność na łamach pisma „Der Spiegel”, ale potrzebuję informacji. Niezaprzeczalnych faktów.

— Przemyślę to. Gdzie mogę pana znaleźć?

— Mieszkam w hotelu „Palace”.

— A czy mogę zapytać, panie Newman, dlaczego pan się tym wszystkim zajmuje? Pamiętam, że napisał pan wielki, światowy bestseller: „Kruger —

komputer, który zawiódł”. Na pewno dzięki tej książce zyskał pan do końca życia finansową niezależność.

— Ma pani rację.

— A więc dlaczego? Nie musi pan już pracować jako dziennikarz. Po co pan to robi?

— Już pani mówiłem — przypomniiał. — Ze względu na Sandy. Sądzę, że Hauser był zamieszany w morderstwo. Jeśli to się potwierdzi, zniszczę go.

— Rozumiem. — Newman patrzył, jak Peggy Vanderheld zgniata niedopałek papierosa. Spodobała mu się. Była atrakcyjna, bystra i miała charakter. — Proszę wpaść do mnie jutro wieczorem, o tej samej porze — zdecydowała. — Wychodzę znowu do teatru. Chcę to wszystko spokojnie przemyśleć, kiedy się wyśpię.

— Życzę dobrej nocy... — powiedział Newman wstając.

Brązowy buick stał nadal w głębi ulicy. Newman usadowił się za kierownicą BMW. Mijając tamten samochód wolno rzucił okiem na kierowcę. Siedział

niedbale za kółkiem z nasuniętym na oczy daszkiem czapki. Wyglądało na to, że śpi.

Newman obejrzał sobie dokładnie jego wóz. Był to duży amerykański samochód

— limuzyna typu LeSabre. Poniżej przyciemnionych szyb czterodrzwiowy pojazd miał karoserię z brązowego drewna, z tyłu miejsce do spania, a na dachu chromowany bagażnik.

Mimo późnej pory Newman jechał jeszcze przy dziennym świetle. Na przelotowej trasie Mannerheimintie nie było wcale ruchu, a powietrze wydawało się kryształowo czyste. Dotarłszy do miasta minął hotel „Marski”. Upał był tak intensywny, że koszula kleiła mu się do pleców. Zastanawiał się, gdzie może być w tym momencie Tweed?

Tweed siedział z Nioldem w podziemnej restauracji w hotelu „Marski”.

Przylecieli z Leningradu i Tweed wybrał ten właśnie hotel, bo nigdy przedtem w nim nie mieszkał.

— Miło zjeść znowu coś swojskiego, Pete — stwierdził, pałaszując smażonego kurczaka i ryż z szafranem. — Fińska kuchnia jest doskonała.

— Sałatka, od której zaczęliśmy, była wyborna. Patrzyłem z zachwytem, jak zręcznie ta dziewczyna ją przyrządza...

Zajmowali przesłoniętą kotarą ławę w głębi restauracji, mogli więc swobodnie rozmawiać. Niold odczuwał ulgę, że jest z powrotem w Finlandii, natomiast Tweed wydawał się bardziej zainteresowany posiłkiem. Od czasu do czasu przerywał jedzenie, aby spojrzeć na trzy pocztówki. Na odwrocie każdej z nich zapisane było jakieś nazwisko. Kazbek. Zajkow. Dikojan. Mając te nazwiska przed sobą łatwiej mógł pozbierać myśli.

— Który z nich? — zapytał Niold.

— Trudno być pewnym...

Tweed podniósł wzrok. Przy ich stoliku zatrzymał się dobrze zbudowany, gładko ogolony mężczyzna po trzydziestce, w rozpiętej pod szyją białej koszuli i szarych spodniach. Uporczywie patrzył na Tweeda. Harry Butler. Niold na widok starego kompana wybałuszył oczy ze zdziwienia. Tweed przesunął talerz i szklankę w głąb ławy, jakby nigdy nic zapraszając swego podwładnego, aby się do nich przysiadł.

— Co cię tu sprowadza, Harry? -.....zapytał.

— Howard niepokoił się o ciebie, i to bardzo. Zwolnił mnie z pilnowania Evelyn Lennox w Walberswick i przysłał tutaj na wypadek, gdybyś potrzebował

wsparcia. Monika też szaleje ze zmartwienia, co się z tobą dzieje.

— Już nie. Zadzwoiłem do niej, gdy tylko wróciliśmy do Helsinek. Byliśmy za granicą.

— I dalej jesteście — zauważył Butler beznamiętnym tonem.

— Zagranica zagranicy nierówna — stwierdził Tweed z uśmiechem. — Pete zgodziłby się ze mną, ale o nic go nie pytaj. Jak mnie odnalazłeś?

— Od przyjazdu sprawdzałem dzień po dniu wszystkie hotele w Helsinkach.

Mówiłem, że jesteś moim współnikiem w interesach, a nie mam pewności, kiedy zamierzasz się zjawić.

— Bardzo dyplomatycznie. Cieszę się, że przyjechałeś, chociaż nie jestem zachwycony pozostawieniem Evelyn bez opieki. Mimo wszystko twoja obecność tutaj jest mile widziana. Mam przecucie, że kiedy dojdzie do kryzysu, wybuch nastąpi właśnie tu. Możemy potrzebować każdego, kto będzie do dyspozycji.

— Więc ucieszy cię wiadomość, że w hotelu „Palace” zatrzymał się Marler.

Monika zadzwoniła do mnie do „Hesperii” i powiedziała, gdzie mogę się z nim skontaktować.

— To duży plus — stwierdził Tweed, jakby informacja, że Marler jest w Finlandii, stanowiła dla niego nowość.

— Mam coś więcej — ciągnął Butler spokojnie. — Wiem od Marlera, że zjawili się tu właśnie Bob Newman i Paula. Mieszkają także w hotelu „Palace”. Nie mam pojęcia, co tu robią.

Tweed pokiwał głową. Zdawał sobie sprawę, że Butler unika pytania o powód ich podróży. Na tym człowieku można było polegać. Butler wiedział, że Tweed wysłał czasem kilka działających niezależnie grup, które tworzą, podobnie jak u Rosjan, system komórek. Każda z nich może mieć odrębne zadanie. Tweed sam decydował, kiedy wprowadzić je do walki i kiedy połączyć siły do wielkiego, wspólnego natarcia.

— Dziś nie piję kawy — postanowił. — Potrzebuję snu. Harry, zostań w

„Hesperii”, żeby w razie potrzeby mógł cię natychmiast wezwać.

— Myślisz, że wkrótce coś się zacznie dziać? — zapytał Nield.

— Kiedy tylko Hauser odkryje, że przeciwnik stoi u jego drzwi, skończą się żarty.

Następnego dnia Peggy Vanderheld zadzwoniła do Newmana do hotelu

„Palace”. W nocy źle spała, nie mogąc zapomnieć o swych problemach. Nie była jeszcze pewna, czy chce pogrążyć Hausera, opowiadając o nim Newmanowi.

— Chciałabym, żeby wpadł pan do mnie tam, gdzie się wczoraj spotkaliśmy, w późniejszym terminie — oznajmiła lakonicznie. — Okazuje się, że ten bilet do teatru jest na jutrzejszy wieczór — skłamała — wyjeżdżam więc z miasta, żeby spotkać się z przyjaciółką. Może zobaczę się z panem jutro wieczorem. Proszę czekać na mój telefon.

— Jak łaskawa pani sobie życzy...

Newman odłożył słuchawkę. Nie było sensu nalegać. Musiał dać jej czas na podjęcie takiej czy innej decyzji. Poza tym późnym popołudniem miał iść razem z Paulą do hotelu „Marski” na spotkanie z Tweedem. Im szybciej Tweed dowie się o dwóch zamachach na jego życie, tym lepiej. Co to szkodzi, że porozmawia z Peggy dwadzieścia cztery godziny później?

Późnym popołudniem nastąpiła zmiana pogody. Zniknął lazurowy błękit nieba, nie świeciło już

słońce, a nad Helsinkami unosiły się ciężkie chmury, których mroczna zasłona przypominała szary dym. Powietrze było potwornie przesycone wilgocią i miasto dusiło się jak pod żelazną pokrywką.

Peggy Vanderheld słyszała prognozę pogody i kiedy późnym wieczorem ponownie wyszła z teatru, nie zaskoczyła jej zaczynająca się właśnie gęsta mżawka. Na brązowym kostiumie miała kremowy deszczowiec, który kupiła u Stockmanna, w głównym domu towarowym Helsinek. Ciemne włosy obwiązała kupioną także tam bardzo kolorową apaszką.

Szła w kierunku przystanku tramwajowego, gdy zauważyła o kilka metrów przed sobą kobietę o podobnej sylwetce, ubraną w dokładnie taki sam płaszcz. Cóż, u Stockmanna na pewno sprzedają ich całe mnóstwo. Zdziwiła się jednak, że kobieta ma na głowie również taką samą chustkę. Wybierając apaszkę Peggy sądziła, że nie zobaczy nigdzie podobnej. Na ladzie leżała wtedy tylko ta jedna.

Wszystkie inne musiano rozdrapać już wcześniej. „Pewnie ma też brązowy kostium, który kupiłam u Stockmanna” — pomyślała smętnie.

Idąca przed nią kobieta wsiadała właśnie do tramwaju numer cztery. Peggy podbiegła, żeby także zdążyć. Tramwaje kursowały dość rzadko. Z trudem łapiąc oddech wskoczyła do środka, wsunęła kupiony u motorniczego bilet do kasownika, który wybijał na nim godzinę, i usiadła.

Ubrana podobnie do niej kobieta siedziała o pięć miejsc z przodu. Peggy tak intensywnie myślała o Newmanie, że w ogóle nie zauważyła sunącego za tramwajem brązowego buicka. Nie spostrzegła też, że gdy zbliżali się do przedostatniego przystanku, buick nagle przyspieszył, wyprzedził tramwaj i pojechał w poblizze miejsca, gdzie kończyła się linia numer cztery.

Peggy wyrzała za okno i zobaczywszy, że przestało padać, postanowiła trochę się przejść. Wyjątkowo wysiadła z tramwaju na przedostatnim przystanku, uświadamiając sobie mgliście, że ubrana podobnie do niej kobieta pojechała dalej.

Długie nogi niosły ją szybko po obsadzonym drzewami chodniku. Powietrze było teraz lżejsze, przekłeta wilgoć gdzieś wyparowała. Przedtem człowiek poruszał

się jak w gęstym syropie. Skręcając w kierunku wejścia do bloku Peggy spostrzegła, że jej „bliźniaczka” schodzi na brzeg obok pomostu dla praczek. W

poblizu nie było nikogo.

Peggy wykapała się szybko, wypaliła jeszcze jednego papierosa i w kilka sekund po przyłożeniu głowy do poduszki zapadła w sen.

O siódmej rano obudziło ją wycie policyjnych syren.

Zaintrygowana, odsunęła zasłony w oknie wychodzącym na morze. Patrzyła zdumionymi oczami na kolejny cudownie słoneczny poranek. Teren wokół

pomostu dla praczek był otoczony kordonem policyjnych wozów. W ich poblizu stał tłum osób, które wcześniej zaczynały dzień, i paru mężczyzn z aktówkami.

Ubrawszy się szybko Peggy zeszła na dół, żeby sprawdzić, co to za zamieszanie.

Nadjeżdżały kolejne policyjne radiowozy i wyskakiwali z nich umundurowani ludzie, próbując utworzyć kordon dla powstrzymania tłumu gapiów. Peggy powoli podchodziła coraz bliżej. Przystanęła obok ubranej w dżinsy i rozpiętą wiatrówkę dziewczyny o kędzierzawych włosach, która zapisywała coś w notesie.

— Co się dzieje? Dlaczego robi pani notatki?

— Mieszka pani w tym bloku? — zapytała dziewczyna, poprawiając na nosie okulary. — Zdawało mi się, że pani z niego wyszła.

— Tak, jestem jedną z lokatorek. Mam tam mieszkanie...

— Czy słyszała pani w nocy coś niezwykłego? Albo późnym wieczorem?

— Dlaczego? Kim pani jest?

— Reporterką gazety „Iltalehti”. Na pomoście dla praczek zamordowano kobietę. Została uduszona.
— Dziewczyna przesunęła szybko palcem po gardle.

— Poza tym, o ile zdołałam się zorientować, rozbito jej tył głowy. — Rozejrzała się wokół. — O Boże, jedzie ekipa telewizji!

Peggy popatrzyła za siebie. O parę metrów z boku, z dala od policyjnego kordonu, zatrzymał się na wzgórzu biały mikrobus. Otwarto tylne drzwi i wyniesiono z niego drewniane podium z prowadzącymi na górny podest dwoma schodkami. Wskoczył tam człowiek z przenośną kamerą telewizyjną i wycelowawszy ją ponad głowami tłumu zrobił parę ujęć, po czym zeskoczył na ziemię słuchając, jak mówią coś do niego mężczyzna w płóciennym garniturze i kobieta o surowym wyrazie twarzy.

Peggy zbliżyła się do mikrobusu i weszła po schodkach na podium, skąd doskonale było widać pomost dla praczek. Policyjni fotografowie robili zdjęcia.

Na niższym podejściu leżała twarzą w dół jakaś kobieta. Peggy patrzyła jak zahipnotyzowana. Miała wrażenie, że widzi siebie.

To była kobieta w kremowym płaszczu, takim jak jej. Miała na głowie identyczną, bardzo kolorową apaszkę. W blasku słońca jaskrawe barwy wydawały się jeszcze intensywniejsze. Apaszka była przesiąknięta krwią. Peggy przypominała sobie jak w koszmarnym śnie, że kobieta pojechała tramwajem do końcowego przystanku. Sama też to zawsze robiła, ale wczoraj wieczorem wysiadła jeden przystanek wcześniej. Widziała, jak ta kobieta idzie ulicą w kierunku morza...

Poczuła, że robi jej się słabo i omal nie spadła z podestu. Zmusiła się, aby zejść na sztywnych nogach ze schodów, zanim ktoś zwróci na nią uwagę. Wszedłszy powoli na wzgórze dotarła oszołomiona do bramy swojego bloku.

Przez pół godziny siedziała w salonie, paląc papierosa za papierosem. Potem zajrzała do książki telefonicznej i podniosła słuchawkę aparatu.

— Hotel „Palace” — odezwał się męski głos.

— Proszę mnie połączyć z panem Robertem Newmanem, który zatrzymał się u państwa...

— Tu Newman. Kto mówi?

— Peggy Vanderheld. Panie Newman, może pan wpaść do mnie jutro wieczorem? O tej samej porze co poprzednio.

— Będę punktualnie.

— A więc spieprzyłeś robotę! — krzyczał Hauser, zwracając się do Franka Galvone. — Wbrew mojemu wyraźnemu poleceniu pozwoliłeś, żeby Newman dotarł bez szwanku do Helsinek. Nie spisałeś się, Frank. Zaczynasz mnie martwić.

Obaj mężczyźni siedzieli w gabinecie Hausera. Za wielką szybą widać było wzburzone, złowrogie morze i rozbijające się o brzeg ciemne fale. Galvone siedział naprzeciwko szefa po drugiej stronie biurka. Hauser, z wysuniętą do przodu szczęką, zaciskał w zębach cygarniczkę.

— Nie wiemy, czy Newman dotarł do Helsinek — ośmielił się zauważyć Galvone. — Co prawda jechał w tym kierunku z Turku trasą E3...

— Więc gdzie indziej chciałby się dostać, do cholery? Ten Manescu też nie jest taki niezawodny, jak go reklamowano.

— Może pan z nim porozmawiać. Jest w tym budynku...

Hauser wybuchnął gniewem.

— Tutaj?! Czyś ty oszalał? Nie można pozwolić, aby pozostał jakikolwiek ślad bezpośrednich powiązań korporacji INCUBUS z takimi ludźmi jak Manescu...

— Musiałem szybko podjąć decyzję — bronił się Galvone. — Manescu był

zaniepokojony, że nie udał się numer z ciężarówką, która próbowała staranować Newmana...

— Ten kierowca był do niczego. Dobrze, że zginął — stwierdził brutalnie Hauser.

— To prawda. Nie ma ryzyka, że coś powie. Jak już próbowałem wyjaśnić, Manescu przyjechał złożyć mi raport. Byłem zupełnie zaskoczony, kiedy się tu zjawił. Nie ma powodu do obaw. Umieściłem go w zamkniętym pokoju na piątym poziomie...

— Więc go stamtąd zabierz! Natychmiast! Jedź z nim na lotnisko i załatw śmigłowiec, żeby przetransportował go z powrotem do puszczy. Kupiłeś w lesie daczę. Może się w niej kisić, dopóki nie będzie nam znów potrzebny. Czy Ziegler też tam jest?

— Tak. Kupiłem w tej samej okolicy trzy daczę. Na pełnym odludziu.

Mieszkają tam wszyscy: dwaj Czesi z STB, trzech ludzi z Securitate i Irina Sierowa.

— Sierowa była z Manescu. Jak to się stało, że ona siedzi w lesie, a on płacze się tutaj?

— No cóż... — Galvone miał nadzieję, że to pytanie nie padnie. — Irina ma własne poglądy. Była w końcu pułkownikiem KGB. Stwierdziła, że powinna zniknąć...

— No proszę! — wybuchnął Hauser. — Ma zatem więcej rozumu niż Manescu i ty. Coś mi się

wydaje, że właśnie ona powinna kierować całą operacją. Tak, to niezły pomysł.

— Manescu to się nie spodoba — ostrzegł Galvone.

Hauser pochylił się naprzód, ukazując spod podwiniętych za łokcie rękawów koszuli swe potężne ramiona. Mówił z papierosem w ustach, co było widomą oznaką wściekłości:

— Frank, gównu mnie obchodzi, co się podoba Manescu. Jest zadowolony, bo dostaje ode mnie dużo forsy. W zamian za to wykonuje rozkazy, które mają mu się podobać!

— Zorganizował te zamachy bombowe w Pradze, Bukareszcie i...

— Frank! O takich sprawach nie rozmawiamy. Zjedź teraz na piąty poziom i zabierz Manescu w cholerę z mojej centrali. Dasz sobie z tym radę?

— Już idę...

Po wyjściu Franka Galvone Hauser wyjął z szuflady egzemplarz fińskiego dziennika „Iltalehti”. Na pierwszej stronie rzucała się w oczy wielka fotografia leżącej na pomoście kobiety. Wewnątrz gazety Hauser znalazł maszynopis z przetłumaczonym dla niego na angielski tekstem artykułu.

Z pochmurną miną przeczytał ponownie początek pierwszego zdania: Anna Jarva, sekretarka zatrudniona w znanym fińskim przedsiębiorstwie handlu drewnem, padła ofiarą zabójstwa...

Anna Jarva! Zamordowano niewłaściwą osobę. A więc Peggy Vanderheld, jego dawna sekretarka, nadal żyje i chodzi po świecie, nosząc w swej sprytniej główce mnóstwo tajemnic firmy. Co gorsza, Carver twierdził, że nie wydawała się zainteresowana podwójną pensją, którą jej proponował. To właśnie przypieczętowało decyzję Hausera, że z Peggy Vanderheld trzeba coś zrobić. Raz na zawsze.

Galvone otworzył kluczem drzwi na piątym poziomie i wszedł do luksusowo umeblowanego pokoju z łazienką. Manescu leżał wyciągnięty na kanapie i czytał

amerykańską gazetę z komiksami. Podniósłszy kościstą, ogorzałą od słońca twarz spojrzął na gościa, po czym powrócił do lektury.

Galvone powoli podszedł do niego i wyrwał mu komiks. Manescu miał na sobie kraciatą koszulę, luźne sportowe spodnie i specjalne buty z ukrytymi w czubkach metalowymi ostrzami. Pod lewą nogawką ukrywał futerał z nożem. Był

praworęczny, więc przywiązał go do nogi od wewnętrznej strony.

— Pora wracać do lasu — oznajmił Galvone.

— Co z Newmanem?

— Później coś wymyślimy. Na razie musi pan niepostrzeżenie stąd zniknąć.

Proszę zabrać swoją torbę i pójść za mną...

Przy wyjściu z budynku Galvone kazał Manescu pozostać w środku. Gdy znalazł

się na zewnątrz, oślepił go blask słońca. Osłonił oczy i uważnie się rozejrzał. Nikogo w pobliżu nie zauważył. Parking był niemal pusty.

Jego czerwony cadillac stał obok długiej czarnej limuzyny Hausera, a dalej znajdowało się jeszcze parę wozów. Wbiegł z powrotem do przestronnego hallu przy wejściu.

— Wychodzimy. Proszę iść za mną do cadillaca i usiąść z przodu, gdy tylko otworzę drzwi. Niech się pan pospieszy.

Marler siedział w saabie zaparkowanym w jodłowym zagajniku w pobliżu centrali spółki INCUBUS Oy. i popijał z plastikowej butelki wodę mineralną, gdy zobaczył w dole wyłaniającego się z budynku mężczyznę. Był to już ostatni dzień, który zamierzał poświęcić na prowadzenie obserwacji. Wnętrze saaba potwornie się nagrzewało, ale Marler niezmordowanie trwał na posterunku. Sięgnął po aparat z teleobiektywem, wycelował go, a potem opuścił.

— Pan Frank Galvone — powiedział do siebie. — Mam już w albumie pańskie zdjęcie.

Odprężył się, lecz nagle coś wzbudziło jego czujność. Galvone jakoś dziwnie się rozglądał. Marler ponownie sięgnął po aparat. Galvone zniknął wewnątrz budynku i wyszedł niemal natychmiast, akurat gdy Marler nastawił obiektyw.

Tym razem nie był jednak sam.

— Mój Boże! — powiedział do siebie Marler. — W ostatniej chwili pojawia się na scenie pan IonManescu...

Manescu również raziło słońce. Zatrzymał się, aby wyjąć z kieszeni ciemne okulary i założył je na nos. Marler zdążył zrobić mu w tym czasie sześć zdjęć.

Twarz Manescu widać było na tle szyldu: INCUBUS Oy.

Galvone cofnął się, chwycił Rumuna za ramię i zaciągnął go pospiesznie do cadillaca. Chwilę zajęło mu otwarcie samochodu, po czym Manescu zniknął na przednim siedzeniu, a Galvone przebiegł na drugą stronę wozu, wskoczył za kierownicę, zatrzasnął drzwiczki

i uruchomił silnik.

W kilka sekund później minął z dużą szybkością otwartą przez strażnika bramę, wypadł z poślizgiem na drogę i z rykiem silnika popędził w kierunku miasta.

— Co za koszmarny sposób jeżdżenia! — mruknął Marler. — Chyba czas stąd ruszać. W zakładzie fotograficznym będą musieli się spieszyć, żeby nadażyć z nowymi odbitkami.

Kiedy Galvone wrócił, odprowadziwszy Manescu na pokład śmigłowca, Hauser szalał z wściekłości. Na dworze było jeszcze jasno. Widząc liczbę zgniecionych w kryształowej popielniczce niedopałków Galvone od razu zorientował się w nastroju Hausera.

— Manescu jest już kawał drogi od Helsinek — poinformował szefa.

— Do cholery! Akcja na trasie E3 to był kompletny niewypał, Frank. Użyłeś nawet ciężarówki firmy Newman na pewno to zauważył. Wie, że maczaliśmy palce w zamachu na jego życie.

— Operację organizował Manescu, ale nie może go pan winić. Gdyby wynajął ciężarówkę, musiałby się wylegitymować, a to nie byłoby panu na rękę. Nawet gdyby zaangażował do wypożyczenia wozu któregoś z naszych pracowników w Turku, też sprawdzono by jego tożsamość. To byłoby ryzykowne.

Hauser zapalił kolejnego papierosa i przyglądał się Frankowi Galvone zza zasłony dymu. Nic się nie zmieniło od dawnych czasów, gdy pocił się, aby zebrać pieniądze na wykupienie małego banku w La Jolla w Kalifornii. Jeśli chcesz mieć robotę wykonaną jak należy, należało samemu się nią zająć.

Teraz firma tak się rozrosła, że musiał polegać na podwładnych, którzy wykonywali jego polecenia. I chociaż wypłacał wyższe pobory niż jakakolwiek inna spółka na świecie, byli mimo wszystko pracownikami drugiej kategorii.

Usiadł wygodniej w fotelu i próbował się odprężyć. Miał już za sobą wiele kryzysów. Przez wszystkie szczęśliwie przebrnął. I tym razem nie będzie inaczej.

Myślał teraz spokojnie i szybko.

— Należy przede wszystkim zlokalizować Newmana. Zaangażuj tylu ludzi, ilu potrzeba. Niech sprawdzą we wszystkich hotelach.

Dosłownie we wszystkich. Mamy jego zdjęcie. Zrób całą stertę odbitek. Mógł się zameldować pod innym nazwiskiem. Płać recepcjonistom, żeby zechcieli mówić, pokazuj im fotografię. Chcę, żeby przewrócono Helsinki do góry nogami. Nie przerywaj mi, Frank. Czy Manescu opisał ci tych dwoje, dziewczynę i faceta, którzy przyłączyli się z Newmanem promem do Turku? OK. Powiedz tym gnojkom, którzy pójdą ich szukać, żeby choć raz mieli oczy otwarte. Cholernie żałuję, że sam nie mogę się wszystkim zająć. Dlaczego tu jeszcze siedzisz, Frank? Bierz się do roboty. Natychmiast!

Kiedy Galvone wyszedł z biura, zadzwonił telefon. Hauser podniósł słuchawkę i zapytał telefonistkę, kto, do cholery, niepokoi go o tej porze.

— Pan Robert Newman, sir...

Newman siedział na brzegu łóżka w swoim pokoju w hotelu „Pałace”. Był w samej koszuli i mimo szeroko otwartych okien ocierał jedną ręką pot z czoła, w drugiej ściskając słuchawkę. Jego głos brzmiał szorstko.

— Czy to pan, Hauser?

— Mówi Franklin D. Hauser.

— Darujmy sobie czcą gadaninę, dobrze? Jestem w hotelu „Palace”. Chyba pora *znowu się spotkać i pogadać*. Może być jutro?

— Oczywiście, panie Newman. Którą godzinę pan proponuje? Dostosuję się, rzecz jasna.

— W południe w pańskim biurze. Zgoda?

— Będę niecierpliwie czekał na odnowienie naszej znajomości. Czy zechciałby pan napomknąć, o czym podyskutujemy?

— O informacjach, jakie zdobyłem na temat pańskiej działalności. Jutro w południe. Dobranoc, Hauser.

Hauser odłożył słuchawkę telefonu w swoim gabinecie, po czym zadzwonił do centrali i kazał telefonistce złapać Franka Galvone, zanim wyjdzie z budynku. W

parę minut później wiceprezes firmy wpadł pospiesznie do biura i stanął jak wryty. Hauser wyglądał przez okno. Po raz pierwszy w życiu Galvone zobaczył

swego szefa w stanie oszołomienia.

Tweed w swym pokoju w hotelu „Marski” wysłuchiwał lakonicznej relacji Newmana na temat tego, co mu się przydarzyło, odkąd wyjechał z Londynu.

Paula usadowiła się obok na kanapie i również słuchała, podpierając dłonią podbródek. Cord Dillon zajął miejsce pod ścianą, skąd mógł obserwować całą trójkę.

Skończywszy swą relację Newman spojrzał na zegarek.

— Za minutę muszę wyjść. Mam spotkanie z Peggy Vanderheld. — Uśmiechnął

się. — Aha, póki pamiętam: pożyczyłem sobie Harry’ego Butlera. Siedzi w samochodzie pod domem Peggy. Nie chcę, żeby nagle zniknęła.

— Na tym etapie operacji spotkanie z Hauserem jest chyba przedwczesne. Za bardzo się pospieszyłeś — stwierdził Tweed.

— Mam inne zdanie. — Na twarzy Newmana pojawił się upór. — Mówiłem ci, że wynajęci przez niego ludzie dwukrotnie próbowali mnie zabić. — Rzucił

okiem w kierunku kanapy. — A za drugim razem zginęliby także Paula i Cord.

Hauser jest miliarderem — i co z tego? Myślę, że wytrąciłem go z równowagi.

Dotychczas on miał inicjatywę, tropił mnie po całej Europie. Pora, żebym stawił

mu czoło.

— Nie potrafisz wykazać, że był zamieszany w jakiegokolwiek wykroczenie, nie mówiąc już o próbie zabójstwa — tłumaczył Tweed. — Potrzebujemy niezbitych dowodów. Idziesz do niego nie mając w ręku żadnych solidnych argumentów.

— Już się umówiłem na spotkanie. — Newman wstał. — To ciężarówka korporacji INCUBUS próbowała zepchnąć nas ze skarpy.

— Zdążyli na pewno zgłosić, że została skradziona. Gdybym mógł, zwolniłbym cię z tej operacji, Bob. Jesteś w nią zbyt osobiście zaangażowany — z powodu potwornej zbrodni popełnionej na Sandy.

— Z niczego nie możesz mnie zwolnić — rzucił ostro Newman. — Nie należę do ciebie ani do twojej organizacji.

— Spokojnie, Bob — powiedziała Paula cicho. — Tweed myśli tylko o twoim bezpieczeństwie.

— Bezpieczeństwo przede wszystkim? — odburknął Newman.

— Z mojego punktu widzenia on ma rację — wtrącił się Dillon, nieoczekiwanie popierając Tweeda. — Takie akcje należy przeprowadzać w odpowiednim momencie. A ty szarżujesz jak rozjuszony byk.

— W porządku. Tak właśnie postępuję. — Odwróciwszy się w stronę wyjścia Newman powiedział jeszcze do Pauli: — Przepraszam, że na ciebie naskoczyłem.

Wiem, że się o mnie troszczysz.

— Zanim następnym razem porwiesz Butlera — wtrącił jeszcze Tweed — bądź

łaskaw zapytać mnie o pozwolenie. — Zamilkł na chwilę. — Mimo wszystko chyba masz rację. Peggy Vanderheld może okazać się najsłabszym ogniwem w łańcuchu Hausera.

— Newman jest w mieście — oznajmił Hauser, siedząc obok Adama Catvera na kanapie w biurze na najwyższym piętrze wieżowca. — Zamierzałem właśnie szukać go we wszystkich hotelach i jak myślisz, do cholery, co się stało?

— Nie mam pojęcia.

Adam Carver był ostrożny. Wyczuwał, że Hauser jest wściekły. Nieczęsto się to zdarzało i należało wtedy zawsze zachować czujność. Nigdy nie miało się pewności, jak szef zareaguje w krytycznej sytuacji.

— Ten drań dzwoni tu do mnie i proponuje, żebyśmy się jutro spotkali. Mówi mi nawet, że mieszka w hotelu „Palace”.

— Nie ma powodu tego ukrywać — zauważył Carver chcąc się przypochlebić. —

Domyślił się na pewno, że sprawdzi pan, gdzie przebywa, więc sam panu powiedział...

— Ma spory tupet. — Hauser nieco się uspokoił. — Jesteś Brytyjczykiem. Co sądzisz o Newmanie? Miałeś okazję mu się przyjrzeć tego wieczoru, gdy odwiedził nas w dworku Livingstone.

Carver obracał papierosa w swych dużych, silnych dłoniach, zastanawiając się przez chwilę nad odpowiedzią.

— Ma doświadczenie w wyciąganiu z ludzi informacji. Jest samotnikiem.

Potrafi działać w pojedynkę. Pracując jako dziennikarz — i to dziennikarz najwyższej klasy — musiał się tego nauczyć. Umie sobie radzić. To przeciwnik bezwzględny i pełen inwencji.

— Mówisz tak, jakbyś podziwiał tego drania — mruknął Hauser.

— Stwierdzam tylko, że niedocenianie tego człowieka byłoby wielkim błędem.

— Carver, całkowicie opanowany, patrzył, jak Hauser wstaje i przechadza się niespokojnie po ogromnym pokoju. — I jeszcze jedno — ciągnął dalej. — Równie wielkim błędem byłoby zrażanie go sobie. W środkach przekazu bardzo się z nim liczą.

— Możliwe.

Carver zamilkł. Odpowiedział na pytanie bez owijania w bawełnę. Rozprostował

nogi i poprawił kanty spodni. Miał na sobie jasnoszary jedwabny garnitur, jeden z kilku, jakie posiadał. Niestety, łatwo się gniotły, a oddawanie ich do czyszczenia kosztowało fortunę. Robiły jednak wrażenie na damach, a Adam Carver był wielkim kobieciarzem. Miał kochanki w Londynie, Brukseli i Frankfurtach.

— Pora przejść do ofensywy — zdecydował Hauser. — Przesadna ostrożność nie jest w moim stylu. OK. Oto, co teraz zrobimy...

Był późny wieczór i porośnięty jodłami brzeg morza lśnił w cudownie przejrzystej poświacie, jaką widuje się tylko w Finlandii. Newman wysiadł na końcowym przystanku tramwaju linii cztery. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko bloku, w którym mieszkała Peggy Vanderheld, stało wynajęte BMW.

Za kierownicą siedział Butler. Miał w wozie opuszczoną szybę i wybijał dłonią rytm na krawędzi okna. Gdy Newman rzucił na chwilę okiem w jego kierunku, podniósł kciuk. Peggy Vanderheld była bezpieczna.

Odezwała się natychmiast przez domofon, otworzyła frontowe drzwi i tak jak poprzednio czekała na niego w progu mieszkania. Newman uśmiechnął się i wszedł do środka. Peggy miała na sobie obcisłą czarną sukienkę bez ramiączek, która podkreślała prowokacyjnie jej figurę i odsłaniała piękne, kształtne ramiona o barwie kości słoniowej. Newman nigdy nie mógł pojąć, jak taki strój się trzyma. „Uważaj!” — przestrzegł siebie w duchu. Tym razem spotykało go zupełnie inne przyjęcie.

— Proszę usiąść, panie Newman. Czego się pan napije? Herbaty, kawy albo czegoś mocniejszego? To chyba niezły pomysł?

Wskazała ręką duży, otwarty barek, w którym stało mnóstwo butelek. O ile Newman zdołał się zorientować, były tam wszystkie znane mu gatunki alkoholi.

— Przydałaby się szklaneczka mocnej whisky. Mam za sobą dość męczący dzień.

— Napiję się z panem. Bez wody? Bardzo proszę...

Kiedy nalewała drinki, Newman rozglądał się po pokoju. Na podręcznym stoliku w pobliżu kanapy, na której go posadziła, leżał egzemplarz „Iltalehti”. Widoczna na pierwszej stronie wielka fotografia pokazywała rozciągnięte na pomoście ciało zamordowanej Anny Jarva. Peggy usiadła obok Newmana i podała mu drinka. Podążyła oczami za jego wzrokiem.

— To miałam być ja — powiedziała i traciła się z nim szkłem.

Newman zauważył, że nalewała whisky drżącą ręką, dzwoniąc butelką o szklanekę. Popijając drinka uważnie ją obserwował. Dzięki makijażowi dobrze się prezentowała, odnosił jednak wrażenie, że ma podkrążone oczy.

— Co chciała pani przez to powiedzieć? — zapytał.

— Ta zamordowana kobieta jest ubrana w takie same rzeczy, jakie miałam na sobie, gdy wracałam z teatru...

Mówiąc pospiesznie, nieco podniesionym głosem, opisała szczegółowo swój powrót do domu od chwili opuszczenia teatru i skończyła na tym, jak zobaczywszy zwłoki zeszła na chwiejnych nogach z podestu ekipy telewizyjnej.

Newman słuchał w milczeniu, nie odrywając od niej wzroku i rejestrując w pamięci każdą minutę jej makabrycznych przeżyć.

— A więc to tak — odezwał się w końcu. — I jest pani przekonana...

— Na litość boską! — wybuchnęła. — Czy to nie oczywiste? Hauser posłał

wynajętego mordercę, aby mnie zabił. Dlatego, że wiem za dużo o jego podejrzanej działalności.

— Podejrzanej? Naprawdę tak pani uważa?

Celowo nadał głosowi ton niedowierzania. Przynęta chwyciła. Peggy obróciła się na kanapie i niemal dotykając go nagim ramieniem zaczęła mówić z błyskiem w oczach:

— Pracowałam w korporacji INCUBUS przez dziesięć lat, w tym pięć jako sekretarka Hausera. Chyba wiem, jak prowadzona jest ta firma. Hauser dzieli świat na zwycięzców i pokonanych. W porządku. Robi to wielu ludzi, ale wszystko zależy od sposobu postępowania. W dążeniu do celu Hauser gotów jest się posłużyć Bóg wie jakimi metodami, a zna pewnie i takie, o których Bóg nigdy nie słyszał. Zorientowałam się wiele tygodni wcześniej, że zamierza mnie wyrzucić. Był dla mnie zbyt miły. Gromadziłam więc stopniowo dossier jego co bardziej podejrzanych operacji. Robiłam fotokopie dokumentów, aby po moim odejściu nie zorientował się, że jestem w posiadaniu tych informacji. Mam nawet ściśle tajne akta osobnika nazwiskiem Popescu...

— Jak pani powiedziała?

— Popescu. Idiotyczne nazwisko. Pochodzi z Bałkanów. Czy to ważne?

— Możliwe. Wszystko może mieć znaczenie. — Newman starał się, by jego słowa zabrzmiały zdawkowo. — Popescu. To chyba Rumun.

— Tak. Przyjechał z Bukaresztu.

— Dziwi mnie, że Hauser, człowiek, który podobno nie ma zwyczaju odkrywać kart, wtajemniczył panią w tak wiele kluczowych tematów.

— Wcale tego nie zrobił. Podśluchałam różne rzeczy. Zwykle jest ostrożny, ale ma nowoczesny elektroniczny interkom, który czasami zapomina wyłączyć.

Nagrałam parę jego poufnych rozmów.

— Gdzie jest... — Omal nie powiedział „Manescu”. — Gdzie jest teraz Popescu?

— Nie mam zielonego pojęcia. Wiem, że wyruszył w podróż zaplanowaną przez jednego z członków zarządu...

— Którego?

— Tego nie wiem. Tak więc Popescu przyплыł do Finlandii promem bezpośrednio z Niemiec. I nie on jeden korzystał z tej trasy.

— Gdzie są te taśmy, o których pani wspominała, to dossier? Tutaj, w pani mieszkaniu?

— Na Boga, nie! Ludzie korporacji INCUBUS przetrząsnęli więcej mieszkań w poszukiwaniu różnych rzeczy, niż ja jadłam gorących kolacji. Ulokowałam te taśmy w skrytce w jednym z helsińskich banków. Nie w tym, z którego zwykle korzystam. Mogłabym tam pana zaprowadzić i przekazać je panu. Te materiały pogrążą Hausera. Tylko co za to dostanę? Gdybym napisała książkę i sprzedała ją w Nowym Jorku, zarobiłabym mnóstwo pieniędzy.

— Jeśli pożyczaby pani dostatecznie długo, aby ją skończyć. Najważniejsze, żeby pani teraz zniknęła. Pomyślę o jakiejś kryjówce, jeżeli mi pani zaufa.

— Czy mam jakiś wybór?

Newman wskazał zdjęcie w gazecie.

— A jak pani myśli?

— Pewnie ma pan rację. Proponuje pan, żebym się ukryła?

— Tak. Mając zapewnioną ochronę.

Wstała i podeszła do okna. Wyrzała na zewnątrz, wróciła i usiadła blisko Newmana. Zapalając Peggy kolejnego papierosa zobaczył, że jej ręka drży.

Zaciągnęła się głęboko.

— Mam dla pana nowiny. Ktoś mnie właśnie obserwuje. Facet w białym BMW po drugiej stronie ulicy.

— To pani obstawa. Jest zawodowcem. Nazywa się Harry Butler, gdyby przypadkiem z jakiegoś powodu panią odwiedził.

— No, no! — Przysunęła się do niego bliżej i Newman poczuł delikatny zapach perfum. — Potrafi pan zadbać o kobietę. Chciałabym jakoś się odwdzięczyć...

— Może więc potrafi pani odpowiedzieć na pewne skomplikowane pytanie. —

Newman przypomniał sobie, co mówił mu w Anglii główny inspektor Buchanan.

— Nie przypuszczam, żeby zabrała pani ze sobą terminarze spotkań i złożyła je w skrytce.

Peggy wpatrywała się w rozżarzony koniec papierosa.

— Prawdę mówiąc, zrobiłam to. Zresztą bez większej potrzeby. Mam encyklopedyczną pamięć do dat. Mogę odtworzyć nawet te sprzed wielu miesięcy.

— Więc poddam panią próbie. Staram się ustalić, którego z członków zarządu korporacji INCUBUS nie było tutaj w dwóch konkretnych terminach.

Podkreślałam, że chodzi o dwie daty. Nie wie pani zapewne, gdzie przebywał

Popescu...

— Wiem. Przeczytałam jego akta przed ich skopiowaniem. Niech pan strzela.

— Na początek chodzi o ustalenie, kto był tutaj, w Helsinkach — przed chwilą nieścisłe się wyraziłem — podkreślam: kto był tutaj owej nocy, gdy zamordowano Eda Rivertona...

— To sobie przypominam. A druga data?

— Bardzo bliska poprzedniej... — Podał jej dzień, w którym w dzwonnicy w Suffolk zamordowano Sandy, starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

Potem czekał w milczeniu. Peggy siedziała wpatrzona w przestrzeń. Słyszał

niemal, jak w jej głowie obracają się tryby.

— Niech sprawdzę, czy dobrze zrozumiałam — powiedziała po chwili. — Szuka pan kogoś, kto — o ile mi wiadomo — był tutaj tamtej nocy, gdy uduszono Eda Rivertona i wrzucono go do basenu w Porcie Północnym. A w dniu, który pan wymienił, ta sama osoba przebywała poza Helsinkami, może za granicą?

— Właśnie tak.

— Powiem panu później. Kiedy się przekonam, że mam zapewnioną ochronę.

Następnego ranka Newman wstał późno i o dziewiątej trzydzieści kończył

właśnie śniadanie w jadalni hotelu „Palace”, gdy przysiadł się do niego Marler.

— Tracisz formę, stary? — powiedział na powitanie. — Ja zjadłem śniadanie o siódmej i zdążyłem już odpracować dniówkę.

— No i co z tego? — odparł bez entuzjazmu Newman.

— Mam w pokoju parę nowych zdjęć do albumu. Chcesz je zobaczyć?

Oczywiście, kiedy wreszcie skończysz.

— Oczywiście.

Newman przyznał niechętnie w duchu, że Marler świetnie wygląda. Miał na sobie dobrze skrojony garnitur z tropiku, rozpiętą pod szyją koszulę i jasnoczerwoną jedwabną apaszkę. Był ogorzały od słońca i zapalając papierosa promieniował wprost energią.

— Cholernie późno wczoraj wróciłeś, Newman — zauważył. — Zjawiłem się o północy, a twój klucz był jeszcze w recepcji. Ale to żadne usprawiedliwienie, żeby spędzać połowę życia w łóżku! Aha — mówił dalej z werwą — dzwonił do mnie Tweed. Wścieka się, bo nie mógł złapać Harry'ego Butlera.

— Wiem, gdzie jest. Wpadnę do hotelu „Marski” i przekażę mu tę radosną wiadomość. — Dokończył kawę. — Obejrzyjmy twoje nowe zdjęcia. Pewnie wszystkie są niewyraźne, jak zwykle. Nędzny z ciebie fotograf.

Nie było to zgodne z prawdą. Marler posługiwał się równie fachowo aparatem, jak bronią z celownikiem optycznym, ale ci dwaj ludzie nigdy za bardzo się nie lubili i często sobie dogryzali — żeby pokazać, że wszystko jest po staremu.

Newman czekał w pokoju Marlera, a ten podniósł tymczasem podwójne dno walizki, odsłaniając ukryty schowek. Wyciągnąwszy kopertę wyjął z niej trzy fotografie Manescu, wywołane w podziemnym laboratorium przy Park Crescent.

— Już je widziałem. — Newman nie ukrywał rozczarowania. — Manescu z wąsami — tak wyglądał w Bukareszcie, potem bez wąsów, a na końcu z brodą. O

co tu chodzi?

— Te zdjęcia zrobiłem wczoraj późnym wieczorem, patrząc z góry na siedzibę spółki.

Wyjął sześć kolejnych odbitek i przyglądał się reakcji Newmana. Newman uważnie je obejrzał, zauważając napis INCUBUS Oy. nad głową człowieka, którego Marler sfotografował. Po chwili podniósł wzrok.

— To dowód bezpośrednich powiązań Iona Manescu z ludźmi Hausera.

— Mauno Sarin właściwie mnie nakierował, kiedy byłem w jego biurze tajnej policji przy Ratakatu. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że ma rację. A te zdjęcia zostały zrobione w ostatniej chwili, gdy już chciałem zrezygnować.

— Nie sfotografowałeś przypadkiem któregoś z ich samochodów?

— Owszem, mój stary, zrobiłem to. Głównie dla zabicia czasu. Siedzenie całymi godzinami w saabie było trochę nużące.

Marler sięgnął znowu do koperty i wyjął następne odbitki. Newman przyglądał

się po kolei kolorowym zdjęciom. Doszedłszy do ostatniego gwizdnął cicho, po czym podniósł je do góry.

— Czy ten duży brązowy buick zawsze stał na parkingu?

— W czasie kiedy ich obserwowałem tylko jeden raz. Odjechał nim facet w uniformie szofera. Nie zawracałem sobie głowy robieniem mu zdjęcia.

Wydawało mi się to bez sensu.

— Szkoda, choć i tak dokonałeś cudów. — Spojrzał na Marlera. — Muszę teraz zobaczyć się z Tweedem w hotelu „Marski”. Czy mogę pożyczyć te wszystkie zdjęcia Manescu? Plus to z brązowym buickiem?

— Proszę bardzo. Bądź tylko tak dobry i potem mi je oddaj. Pozdrowienia dla Tweeda. Dzięki Bogu, że się pojawił. Zdażyłem sprawdzić parę hoteli, próbując go zlokalizować. Wpadnę do niego później. Szlachetnie urodzeni mają pierwszeństwo.

Tweed’ wyglądał na ulicę z okna swojego pokoju, a Newman informował go o ostatnich wydarzeniach, koncentrując się na rozmowie z Peggy Vanderheld i krokach, jakie poczynił, aby zapewnić jej bezpieczeństwo. Paula siedziała na brzegu łóżka, uważnie słuchając.

— Tylko się nie wściekaj — ciągnął Newman. — Stwierdziłem, że musimy szybko zapewnić tej Vanderheld ochronę. Butler poleciał z nią do Sztokholmu. Z

lotniska Arlanda zawiezie ją wynajętym samochodem do domku na wyspie Örno w szwedzkim archipelagu. Jak sam widzisz, sądząc z tego, co mi mówiła, grozi jej duże niebezpieczeństwo, a jest koronnym świadkiem. Harry przylatuje wieczorem z powrotem do Helsinek, więc będzie tu, gdybyś go potrzebował. Nie miałem czasu się z tobą skontaktować.

Tweed odwrócił się od okna.

— Słusznie zrobiłeś. Kto ci udostępnił domek na Örno?

— Znam jego właścicieli, szwedzkie małżeństwo. Mają luksusowe mieszkanie w centrum Sztokholmu. Zadzwoiłem do nich i powiedzieli mi, że mogę korzystać z tego domu, jak długo będę chciał. Butler wpadnie do nich po klucz, a potem przewiezie Peggy promem na wyspę.

Cord Dillon, siedzący w kącie na przechylonym do tyłu krześle, odezwał się po raz pierwszy:

— Myślę, że Newman postąpił bardzo słusznie. Zapewnił ochronę potencjalnemu świadkowi. I zrobił to błyskawicznie. Ukrycie Vanderheld po próbie zamachu na jej życie było mądrym posunięciem.

— To potencjalny świadek — powtórzył Tweed z nutą sceptycyzmu. — Co z tym dossier, o którym mówiła, z notesami i taśmami? Gdzie one teraz są?

— W skrytce jednego z banków, tu, w Helsinkach.

— Którego?

— Nie mam pojęcia, nie chciała powiedzieć, ale zobacz, co przyniósł mi dziś rano do hotelu „Palace” specjalny posłaniec. — Newman wyciągnął klucz. — Tyle że ja nie mam pojęcia, z którego banku korzystała, a jak wiesz, klucze do skrytek są anonimowe. Peggy powiedziała, że to jej polisa ubezpieczeniowa, że będziemy jej strzec, dopóki się nie dowiemy, gdzie są dowody.

Dillon westchnął.

— Sprytna z niej panienka — zauważył.

— Nie masz przypadkiem jej podpisu? — spytał Tweed.

Newman potrząsnął głową.

— Nie. Też o tym myślałem. Zanim Butler poleciał z nią do Szwecji, powiedziała, że ktoś dostarczy mi dzisiaj klucz. Poprosiłem wtedy, by podpisała oświadczenie, że jedzie z Butlerem z własnej woli. Nie zgodziła się.

— Mówiłem, że to sprytna panienka — powtórzył Dillon. — Zacznie się zabawa, kiedy przewieziemy ją do Stanów. Hauser ma tam wszędzie swoje wtyczki. Nie wiemy, komu można ufać. Trzeba będzie zapewnić jej stałą ochronę, zanim zacznie zeznawać przeciwko Hauserowi.

— Jeśli w ogóle zacznie — przestrzegł Tweed. — Musimy poprowadzić dochodzenie w innym kierunku. Potrzeba nam czegoś więcej.

— Czyż to nie jest szczęśliwy traf, że mamy coś jeszcze? — odparł Newman, wyciągając fotografie. — Pojawił się Manescu...

Tweed słuchał znów w milczeniu, gdy Newman wyjaśniał, w jakich okolicznościach Marler zrobił te zdjęcia. Nie ruszając się z miejsca, Tweed wyczyścił rąbkiem chusteczki okulary, po czym podszedł bliżej i wraz z Dillonem zaczął przyglądać się odbitkom.

— Gratulacje dla Marlera — powiedział w końcu. — Wiemy w ten sposób, że Hauser zwerbował Manescu, a zapewne także Zieglera i całą resztę zbirów z byłej tajnej policji różnych krajów. Jesteśmy więc krok do przodu. Wątpię jednak, żeby te fotografie miały jakąś wartość w brytyjskim sądzie.

— Albo w amerykańskim — stwierdził Dillon. — Dobry adwokat mógłby zakwestionować ich autentyczność. Poza tym czego dowodzą? Tylko tego, iż pewien poszukiwany w Rumunii człowiek pojawił się na krótko w centrali korporacji INCUBUS w Finlandii. Hauser mógłby twierdzić, że facet podał inne nazwisko, że starał się o pracę w służbie ochrony i nie został przyjęty. Sam potrafiłbym wygrać tę sprawę.

Newman podniósł się z miejsca.

— Marler wpadnie do ciebie — poinformował Tweeda — a ja mam tymczasem spotkanie. Z panem Franklinem D. Hauserem.

Paula zerwała się na równe nogi.

— Idę z tobą, Bob. Mogę zauważyć coś, co ty przeoczysz. — Obdarzyła go promiennym uśmiechem. — Słynny kobiecy instynkt. A z moją spostrzegawczością też nie jest najgorzej. Daj mi pięć minut, żebym się przebrała, i zaraz do ciebie dołączę.

— Nie podoba mi się ten pomysł — powiedział pospiesznie Tweed, ale Paula zdążyła już wyjść z pokoju.

— Może ma rację — przekonywał go Newman. — W centrali korporacji nie stanie nam się nic złego. Wspomnę mimochodem, że policja wie, dokąd się wybieraliśmy.

— I tak nie jestem tym zachwycony — mruknął Tweed.

Stał z założonymi do tyłu rękami i wyglądał przez okno. Paula wróciła po niecałych pięciu minutach. Włożyła obcisłą, długą do kolan, płócienną sukienkę w kwiaty, która nie miała rękawów i odsłaniała jej kształtne ramiona, a w talii przewiązana była skórzanym paskiem. Całość stroju uzupełniały cieliste rajstopy i złote pantofle na wysokim obcasie.

— Milady, wygląda pani cholernie seksownie — stwierdził Dillon.

— Dziękuję panu! — Dygnęła.

— Uważajcie na siebie oboje — ostrzegł Tweed.

Kiedy wyszli, zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju. Dillon usiadł w kącie na krześle, odchylając je do tyłu.

— Wiesz — zauważył — ten blef Newmana, że policja wie o ich wizycie w firmie, może się nie udać. Hauser nie jest idiotą.

— Zgadza się. Właśnie o tym myślałem. — Tweed podszedł do telefonu. —

Dlatego właśnie dzwonię do Mauno Sarina. Sarin darzy Paulę sympatią.

Newman i Paula wjechali windą na najwyższe piętro. Kiedy otworzyły się drzwi, czekała już na nich ubrana w służbowy uniform kobieta, uderzająco podobna z wyglądu i zachowania do Peggy Vanderheld. Była równie chłodna, kompetentna, opanowana, tyle że w odróżnieniu od niej miała jasne włosy.

— Pan Hauser oczekuje pańskiej wizyty, panie Newman. — Spojrzała na Paulę.

— Spodziewaliśmy się, że będzie pan sam.

— To Paula Grey, moja asystentka. Towarzyszy mi zwykle w podróży.

— Ach, tak...

Zlustrowała Paulę szybko od stóp do głów, a jej wzrok wyrażał pełne zrozumienie. Wprowadziła ich do przestronnego gabinetu z ogromnym panoramicznym oknem, przez które widać było morze. Szklane drzwi stały otworem, a za nimi znajdował się duży balkon. Hauser, ubrany w jasnoniebieski garnitur, siedział za biurkiem. Adam Carver stał obok balkonu i na widok Pauli zabłysły mu oczy.

— Witamy w korporacji INCUBUS, panie Newman.

Hauser wstał, obszedł szybko biurko i wyciągnął dłoń. W lewej ręce trzymał cygarniczkę. „Jego firmowy znak” — pomyślał Newman.

— Już drugi raz mamy przyjemność się widzieć — mówił dalej Hauser. —

Ufam, że od naszego ostatniego spotkania los łaskawie się z panem obchodził?

— To moja asystentka, Paula Grey.

— Dobrze się stało, że pan Newman zechciał poświęcić swój cenny czas na spotkanie ze mną, bo dzięki temu mogłem panią poznać, moja droga. Proszę usiąść koło mnie na kanapie. Czego się pani napije?

— Poproszę o wodę mineralną — odparła Paula.

Miała świadomość, że stojący obok balkonu mężczyzna przygląda się jej z przyjemnością i niekłamanym zainteresowaniem. Patrzył na nią w taki sposób, że czuła się pod jego spojrzeniem jak obnażona.

— Dla mnie podwójną szkocką — powiedział Newman, wybierając fotel z wysokim oparciem naprzeciw kanapy.

— Zapominam o dobrych obyczajach — ciągnął Hauser tym samym uprzejmym tonem. — To pani rodak, Adam Carver, wiceprezes do spraw operacji bankowych.

— Cześć — powiedziała Paula, poprzestając na tym.

Carver uściskał jej dłoń trochę zbyt serdecznie, uśmiechnęła się jednak, jak gdyby było jej to miłe. Potem Carver podał drinki, a Hauser poprawił okulary na wydatnym nosie. Odkąd weszli, emanował uprzejmością, jakby ponowne spotkanie z Newmanem stanowiło jeden z najprzyjemniejszych momentów w jego życiu. Położył rękę na oparciu za plecami Pauli. Carver również zajął

miejsce na kanapie i dziewczyna siedziała teraz między dwoma mężczyznami.

— Skoro chce pan wiedzieć — oznajmił Newman, trzymając w ręku szklanekę —

narażony byłem na wyjątkowo dużo niebezpieczeństw.

— Co takiego? — Na ułamek sekundy z twarzy Hausera zniknął promienny uśmiech.

— Pytał pan, czy od naszego ostatniego spotkania los łaskawie się ze mną obchodził.

— Ach, tak. — Hauser pociągnął łyk martini. — Życie pełne niebezpieczeństw?

Przykro mi to słyszeć. Taki już bywa los dziennikarza.

— Tym razem ryzyko było większe niż zwykle. Bez przerwy ktoś nas śledził.

Oprócz tego próbowano mnie zabić na promie do Turku. Nie wspomnę już, że na trasie E3 omal nie zmiażdżyła nas ciężarówka. Takie tam drobiazgi.

— Coś podobnego! Brzmi to strasznie. — Hauser był święcie oburzony. —

Wygląda na to, że sprowokował pan śmiertelnego wroga, panie Newman.

Adam Carver oglądał z uznaniem zgrabne nogi Pauli. Teraz wtrącił się do rozmowy:

— Może powinien pan zabiegać o jakąś ochronę, panie Newman. Zdaje się, że wykonuje pan niebezpieczny zawód.

— Och, potrafię o siebie zadbać. — Newman nie odrywał wzroku od Hausera.

— Dam panu przykład. Powiadomiłem policję, że idę do pańskiego biura. Po tym co się stało, chcą wiedzieć, gdzie jestem.

— Doprawdy? Znowu mnie pan zaskoczył. Powiedziałbym, że to jedyne miejsce, gdzie może się pan czuć całkowicie bezpieczny. — Spojrzał z promiennym uśmiechem na Paulę. — Mam nadzieję, moja droga, że czuje się pani bezpieczna?

— Zależy, co pan przez to rozumie — odparła, spoglądając z ukosa na Carvera.

Adam Carver wziął ją pod ramię.

— Może pan Newman ma do omówienia z panem Hauserem jakieś interesy.

Chodźmy obejrzyć widok z balkonu. W taki dzień jak dziś jest wyjątkowo efektowny...

Paula pozwoliła się wyprowadzić z pokoju. Balkon był długi i sięgał poza szerokość okna. Carver podszedł z nią do stojącego w głębi bujanego fotela, nadal trzymając dziewczynę jedną ręką za ramię, a w drugiej ściskając szklankę. Zanim Paula usiadła, wyrzała przez balustradę. Pionowa ściana wyglądała jak przepaść i przyprawiała

o zawrót głowy.

— Proszę usiąść. W wielu ludziach ta wysokość budzi pewien respekt.

— A może przerażenie? — zapytała niewinnie, kiedy przy niej usiadł.

— Umie pani dobierać słowa. Podoba mi się pani sukienka. Idealna na taki dzień. — Ujął jej lewą dłoń. — Wygląda pani jak marzenie.

Z uśmiechem cofnęła rękę.

— To należy do mnie.

— Znakomicie. — Uśmiechnął się. — Może to trochę przedwczesna propozycja, ale czy zechciałaby pani zjeść dziś ze mną kolację? Przyznaję, że na zbyt wiele sobie pozwalam, ale boję się, że mogę nie mieć następnej okazji.

— Zastanowię się. — Wypiła odrobinę wody. — Już się zastanowiłam. Proszę na mnie czekać w hallu „Hesperii”. O siódmej wieczorem.

— Wspaniale...

Tymczasem w gabinecie Newman siedział nadal w wysokim fotelu, nie zgodziwszy się na propozycję Hausera, by zajął miejsce obok niego na kanapie.

Czuł, że ogarnia go wściekłość. Ponowne spotkanie z Hauserem przywróciło wspomnienia ich ostatniej rozmowy w dworku Livingstone i obraz Sandy, która wisiała w dzwonnicy z wyciągniętą szyją, szeroko otwartymi oczami i wysuniętym językiem.

— Może zainteresuje pana, że rozmawiałem z byłymi właścicielami fabryki obrabiarek Bennington i zakładów elektronicznych Mannig-hama — powiedział

bez ogródek. — Obu właścicieli zmuszono nielegalnymi metodami, aby sprzedali swoje firmy pańskiej organizacji.

W zimnych niebieskich oczach mignął błysk. Hauser przytknął dłoń do czoła, jakby próbował sobie coś przypomnieć, po czym uśmiechnął się szeroko i z rezygnacją machnął ręką.

— Żadna z tych nazw nic mi nie mówi. — Pochylił się ku Newmanowi, stwierdzając z uśmiechem: — Musi pan zrozumieć, że w tak dużej firmie jak moja wiele mniej ważnych transakcji załatwiają członkowie zarządu...

— Nie wspominałem, że chodzi o małe spółki. Dlaczego przyjął pan takie założenie?

— Nie powiem, żeby szczególnie mi się podobał pański ton, pańskie zachowanie. I radzę nie szafować za bardzo słowem „nielegalny”. Dysponuję całą armią prawników. Z dnia na dzień mogą pana zrujnować.

— Niech spróbują. A rozgłos może okazać się zgubny dla pańskiej nieskazitelnej jak pobielany grób reputacji. — Newman wypił niewielki łyk szkockiej. — Mógłby nawet natychmiast zrobić z pana żebraka. Nie przypuszczam, żeby miał pan już pod kontrolą światowe środki przekazu.

— Pozwoli pan, że zdejmę marynarkę? — Hauser ponownie się rozpromienił.

— Dziś jest naprawdę gorąco. OK, tak już lepiej. A teraz przejdźmy do meritum sprawy. Coś panu poradzę, panie Newman. Odnoszę wrażenie, że zamierza pan stawić czoło ogólnoświatowej organizacji, międzynarodowej strukturze władzy...

— Władza. To kluczowe słowo, prawda? Pieniądze niewiele już dla pana znaczą

— ma ich pan tyle, jakby samo pańskie dotknięcie zamieniało wszystko w złoto.

Podnieca pana teraz zdobywanie coraz większej władzy. Nieważne, czym kosztem. Wszystkie chwytaki dozwolone...

— W biznesie rządzą prawa dżungli — wtrącił Hauser z kamienną twarzą.

— Och, wiem o tym. Tak jak w życiu. Są jednak pewne granice. Pan czyni dżunglę z całej Europy. A w każdym razie mam cholerną pewność, że to właśnie planuje pan zrobić. Jest pan wrogiem publicznym numer jeden, Hauser.

Mężczyźni i kobiety są jedynie pionkami na pańskiej ogromnej szachownicy, które wyrzuca się, kiedy nie są już potrzebne.

— Kobiety? — W głosie Hausera pobrzmiwała pogarda. — Małżeństwo to pułapka, którą kobiety zastawiają na mężczyzn. Cóż, kiedyś, przed stu laty, były im poddane — tak jak przez całe wieki. Broniąc się wypracowały różne podstępne techniki, żeby wpływać na mężczyzn i kontrolować ich. Nic dziwnego

— dzięki temu przetrwały. A jaka jest teraz sytuacja? Mamy triumfujący Ruch Wyzwolenia Kobiet, równość i wszystkie te bzdury. Stosują nadal swoje podstępne metody, wykorzystują swe wdzięki. — Założył porośnięte jasnymi włosami ręce na piersi. — Ale ze mną im się nie udaje. Nie, mój panie.

Newman zmrużył oczy. Trafił na jego czuły punkt. Może miliarder miał przykre doświadczenia ze swą byłą żoną? Zauważył też jednak, że Hauser próbuje sprowadzić ich rozmowę na inny temat.

— Chodzi nie tylko o władzę — mówił z pasją. Był przekonany, że ma przed sobą człowieka, który ponosi odpowiedzialność za śmierć Sandy, za to morderstwo popełnione z zimną krwią. — Także pieniądze są pańskim bożkiem

— ciągnął dalej. — Nigdy ich panu nie wystarcza. Teraz przejął pan prywatny bank Egona Schmidta we Frankfurcie. Zmarłego Egona Schmidta...

Znów zobaczył w oczach Hausera złowrogi błysk. W pokoju robiło się coraz goręcej, i to nie tylko z powodu palącego słońca.

— Zaczynam podejrzewać, że może pan się stać nieco uciążliwy — stwierdził

Hauser, gasząc papierosa. Włożył do cygarniczki następnego i zapalił go. — Jest pan naiwny, Newman. Nie ma pan pojęcia, na co się pan porywa. Mógłbym pana zgnieść jak muchę.

— Mógłby pan spróbować — zgodził się Newman. — Zdaje się, że bank Schmidta to delikatna sprawa? Pierwszy krok do opanowania Niemiec?

Hauser kipiał wściekłością. Oparł się o kanapę i wysunawszy szczękę z najwyższym wysiłkiem próbował nad sobą zapanować. Uśmiechając się, wskazał

ręką na balkon.

— Wierzę, że leży panu na sercu dobro Pauli Grey? Zauważyłem, że z tego balkonu jest daleko do ziemi.

Newman zamarł na kilka sekund. Hauser starał się go sprowokować, ale ta groźba rozjuszyła Newmana. Wstał i wyszedł na balkon. Paula siedziała na bujanym fotelu, nad nią pochylał się Adam Carver.

— Paula! — zawołał Newman. — Staliśmy się już chyba niepożądanymi gośćmi.

Dziewczyna zerwała się z miejsca, a Carver pospieszył za nią. Zanim dotarli do wyjścia, drzwi gabinetu Hausera gwałtownie się otworzyły i sprężystym krokiem wszedł Mauno Sarin. Tuż za nim podążał Karma, jego asystent. Prawą rękę trzymał w kieszeni i Newman był pewien, że ściska w niej broń.

— Co to wszystko znaczy, do diabła? Kim pan jest? — pytał Hauser. — Nie może pan wdzierać się w ten sposób do mojego biura...

— Właśnie to zrobiłem. Policyjne Siły Bezpieczeństwa. — Sarin pokazał mu legitymację. — Mam nakaz aresztowania Roberta Newmana.

Sarin milczał, dopóki nie wjechał swoim saabem z powrotem do miasta.

Newman siedział obok niego, a Paula zajmowała jedno z miejsc z tyłu. Sarin jechał szybko, na granicy dozwolonej prędkości, często spoglądając we wsteczne lusterko.

— Cóż, nikt nas nie śledzi. — Rzucił okiem na Newmana. — Muszę przyznać, że ma pan zwyczaj wchodzenia do jaskini lwa.

— Co z tym nakazem aresztowania? O co jestem oskarżony?

I jakim cudem pan się tam znalazł?

— Nie ma żadnego nakazu ani oskarżenia. To była tylko wymówka, żeby pana stamtąd wyciągnąć. Tweed zadzwonił do mnie, powiedział, że się niepokoi o pana i zapytał, czy mógłbym pomóc.

— Przyjechaliście błyskawicznie — powiedziała Paula, zwracając się do niskiego, krępego Karma, który siedział obok niej.

— Mauno był za kierownicą — odparł Karma z lekkim uśmiechem.

— Do diabła, co miał pan nadzieję osiągnąć, podejmując takie ryzyko? —

dopytywał się Sarin.

— Dokładnie to, co osiągnąłem. Wstrząsnąłem Hauserem. Kiedy przyjechaliście, był już gotów wybuchnąć. Tak się zdenerwował tym, co ode mnie usłyszał, że gdybym miał jeszcze kilka minut, może bym coś z niego wyciągnął.

— Czarna niewdzięczność! — Sarin prowadził wóz jedną ręką, drugą skubał

krótko przystrzyżoną bródkę. — Uciekam się do wierutnych kłamstw i dostaję za to kopniaka w tyłek — powiedział drwiąco.

— Jestem panu wdzięczny — stwierdził Newman. — Prawdę mówiąc, zaczynało być trochę nieprzyjemnie. Ten wieprz groził właśnie Pauli.

— Może więc złożylibyśmy na Hausera skargę? Miałbym wtedy okazję zadać mu parę pytań na temat jego działalności.

— Niestety, jest zbyt sprytny. To nie była bezpośrednia groźba. Nawet kiedy wpadnie w złość, ma stalowe nerwy. Starał się mnie sprowokować. Wygarnąłem mu parę rzeczy, licząc, że może popełni jakiś błąd. Chciałem spróbować. Z

pewnych względów to, co mówiłem, brzmiało dość przekonywająco...

Opowiedział pokrótce Sarinowi o lutowym poranku w Suffolk, gdy znalazł Sandy powieszoną w dzwonnicy. Sarin słuchał go obojętnie, wjeżdżając w Mannerheimintie.

— Historia potrafi się powtarzać w najbardziej makabryczny sposób —

stwierdził na koniec Newman. — Będąc tu ostatnio ścigałem zabójcę mojej żony, Alexis. Na pewno dobrze pan pamięta naszą podróż przez Bałtyk do Estonii.

Teraz chcę koniecznie znaleźć zabójcę Sandy i trafić znów w to samo miejsce

— do Finlandii.

— Ciekawa historia. Proszę nie brać tego do siebie, ale moglibyśmy się bez pana obejść. Pańska obecność zawsze przysparza nam kłopotów. — Sarin zmienił ton. — Bardzo mi przykro z powodu śmierci pańskiej dziewczyny.

Rozumiem, że głównie dlatego pan tu przyjechał. Pozwolę sobie wpaść po drodze do hotelu „Marski”. Obiecałem powiadomić Tweeda, kiedy pan i Paula będziecie bezpieczni.

Przeciął nagle ulicę tuż przed nadjeżdżającym tramwajem. Paula z przerażenia zamknęła oczy. Kiedy zatrzymali się przed hotelem „Marski”, Newman odetchnął z ulgą. Teraz, gdy wysiedli z samochodu prowadzonego przez Sarina, byli już bezpieczni.

— Dziękuję za opiekę nad Paulą i Bobem — powiedział Tweed do Sarina, kiedy Fin skończył opowiadać.

Wcześniej Newman zrelacjonował im swoje spotkanie z Hauserem. Sarin słuchał

z wielką uwagą i Paula zauważyła, że nieruchomym wzrokiem wpatruje się w przestrzeń, jakby podejmował jakąś decyzję. Dillon zajmował swoje zwykłe miejsce na krześle w rogu. Został przedstawiony Sarinowi jako Ward Dexter, attache handlowy, który jest w drodze do ambasady amerykańskiej w Helsinkach. Zataił zręcznie swoją rolę, mówiąc do Sarina:

— W Londynie polecono mi skontaktować się z panem Tweedem, żebym był

zorientowany w istniejącej tu sytuacji. Oczywiście, nasze interesy nie zawsze są zbieżne. Korporacja INCUBUS ma w Ameryce duże wpływy i muszę zajmować w tych sprawach neutralne stanowisko. To kwestia dyplomacji, panie Sarin.

— Rozumiem. — Sarin spojrzał na Tweeda. — Zajmuję bardzo podobne stanowisko co pan Dexter. Neutralnego obserwatora. Jeśli macie państwo trochę wolnego czasu, proponowałbym odwiedzić znakomity Instytut Meteorologii w pobliżu Kemijärvi. To może być bardzo interesujące. Teraz muszę już iść.

Karma otworzył przed nim drzwi. Sarin przystanął i odwrócił się, żeby przed wyjściem jeszcze o czymś wspomnieć.

— Byłbym wdzięczny, panie Tweed, gdyby zechciał mnie pan informować o rozwoju wydarzeń. W razie potrzeby mógłbym służyć pomocą.

Gdy tylko obaj Finowie wyszli z pokoju, a milczący przez cały czas Pete Nield zamknął za nimi drzwi, Tweed przestał hamować gniew

i spojrzał z wściekłością na Newmana.

— Drażnienie Hausera w taki sposób, jak to zrobiłeś, było posunięciem bardzo niebezpiecznym i wręcz głupim. Bóg jeden wie, co mogło się zdarzyć, gdyby nie przyjechał Sarin.

— Zdarzyłoby się tylko tyle, że Hauser straciłby zimną krew i coś mi powiedział

— odparował Newman. — Docień chociaż, że nie wspomniałem mu o łonie Manescu ani o posiadanych przez nas zdjęciach, z których wynika, że funkcjonariusz rumuńskiej Securitate przebywał w budynku korporacji. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego nie pokazałeś tych zdjęć Sarinowi! Stara się zdobyć jakiś obciążający Hausera materiał, coś, czego jego rząd nie mógłby zlekceważyć.

— Pałał gniewem. Otarł pot z czoła, po czym mówił dalej: — Nie wspomniałem też ani słowem, że Peggy Vanderheld znajduje się w naszych rękach i że ma ona informacje, które mogą wstrząsnąć fundamentami tej diabelskiej korporacji.

— To ona tak twierdzi — odciął się Tweed. — Nie przyszło ci do głowy, że może blefować? Po to, byś zapewnił jej ochronę? Przypuszcza, że próbowano ją zabić...

— Nie przypuszcza! — rzucił mu w twarz Newman. — Zdjęcie w gazecie potwierdza jej historię. Pokazała mi płaszcz, który miała na sobie. Pasuje do opisanego w artykule.

Tweed nadal patrzył na niego wzrokiem bazyliuszka.

— Mogła pójść do Stockmanna i kupić płaszcz, żeby ci go pokazać. Miała na to dość czasu...

— Zapominasz też o fakcie, że widziałem zaparkowanego pod jej domem brązowego buicka — takiego, jak na zdjęciu Marlera. Miał ten sam numer rejestracyjny. Czego jeszcze chcesz? Głowy Hausera na tacy?! Przeoczyłeś kolejną sprawę. Powinieneś był pokazać Sarinowi zdjęcie tego samochodu, a ja bym mu powiedział, co widziałem.

— Czego jeszcze chcę? — powtórzył Tweed cicho. — Jakichś niezbitych dowodów.

— Spokojnie, Newman — poradził Dillon. — Tweed ma rację. Pokazanie tych zdjęć Sarinowi nic by nam nie dało. I nie z jego winy. Jest zależny od swego rządu. Ten kraj musi prowadzić ostrożną politykę. Rosję ogarnęło wrzenie. Nie zależy im na konflikcie z Waszyngtonem.

— Bob, tobą powoduje chęć zemsty. — Tweed mówił tym samym opanowanym tonem. — Myślisz tylko o schwyтaniu człowieka, który zamordował Sandy.

Zaniedbujesz coś ważniejszego — śledztwo w sprawie korporacji INCUBUS. To pierwszoplanowe zadanie.

— Ale nie dla mnie!

Newman wstał i zarzucił na plecy marynarkę, gotów do wejścia. Zatrzymało go spojrzenie Pauli.

— Bob, czy mogę spotkać się z tobą i z Marlerem w hotelu „Palace”? —

zapytała. — Chcę ci coś powiedzieć. Coś, co cię zainteresuje.

— W porządku. Zapraszam. — Zaczekał, dopóki Nield nie otworzył mu drzwi.

— Wpadnij, Paula. Choćby na drinka...

Po wyjściu Newmana na kilka minut zapanowało milczenie. Paula wstała z miejsca i założywszy ręce na piersi zaczęła wyglądać przez okno. Była wstrząśnięta. Nigdy jeszcze Tweed i Newman nie starli się tak ostro w jej obecności. Spojrzała przez ramię. Tweed czyścił okulary, wpatrując się w nią z drwiącą miną.

— Uznałaś, że niczego nie rozumiem, prawda?

Podeszła do niego powoli, mrużąc oczy.

— Co ty knujesz? Znam tę twoją minę. Kombinujesz coś. Mój Boże, ty udawałeś! Wcale cię nie poniosło. Mów, o co chodzi. Proszę!

Tweed rozejrzał się po pokoju, rzucił okiem na Dillona, potem na Nielda. Włożył

okulary i usiadł ponownie w fotelu. „Chce zyskać na czasie, zanim coś postanowi” — pomyślała Paula, stojąc nadal i patrząc na niego z góry.

— Podpuściłeś go — powiedziała oskarżycielskim tonem.

— Owszem — przyznał Tweed. — Nie da się ukryć. Newman jest już jak nakręcona sprężyna. Szuka zemsty. Nic tego nie zmieni, nic go nie powstrzyma, ale pokonać Hausera nie będzie łatwo.

— A dlaczego nam na tym zależy? — dopytywała się Paula.

— Ponieważ wiemy, że korzysta z usług byłych agentów tajnej policji, którzy znikali ostatnio z powierzchni ziemi. Dowodzą tego zdjęcia Manescu, które zrobił Marler. A chodzi nie tylko o Securitate. Także o Stasi, STB z Czechosłowacji i Bóg wie co jeszcze. Skoro Hauser korzysta z usług tych ludzi w Finlandii, jest tylko kwestią czasu, kiedy pośle ich do Wielkiej Brytanii. Musimy go więc powstrzymać. INCUBUS nie cofa się przed morderstwem — dowodzi tego potworna śmierć Eda Rivertona. Riverton wiedział o „Drakonie”, ośrodku badawczym pod Bostonem. Zapewne dobrze znał plan Hausera — plan przejęcia władzy w sporej części świata. Jedno z zabójstw, zamordowanie Sandry Riverton, miało miejsce w Wielkiej Brytanii. Nikt nie jest bezpieczny, dopóki Hauser prowadzi swą działalność.

— Ale dlaczego wykorzystujesz Boba Newmana?

— Wcale go nie wykorzystuję. Sam podjął się tego zadania. I nie zapominaj, że zdobył — wspólnie z tobą — więcej informacji niż ja. To Newman odwiedził

byłych właścicieli fabryki obrabiarek Bennington i zakładów elektronicznych Manninghama w Wielkiej Brytanii —

i skłonił ich do mówienia. To on celowo sprowokował zamachy na swoje życie, żeby zmusić przeciwnika do wyjścia z ukrycia. Cała wasza trójka — Newman, ty i Marler — dostarczyła mi wskazówek, do czego zmierza Hauser. Teraz — mówił

Tweed ponuro — jest to już pojedynek między mną i Franklinem D. Hauserem.

— Z Bobem na pierwszej linii?

— Tak. Posłałem go jak pocisk — albo torpedę, jeśli wolisz — przeciwko korporacji INCUBUS. Dlatego, że osiąga wyniki i potrafi się pilnować. Czy to cię zadowala?

— Jesteś podstępny i przewrotny — powiedziała Paula z oburzeniem.

— A znasz inny sposób walki z takim człowiekiem jak Hauser? Zdarzyła się ciekawa rzecz. Zacząłem od dwóch, jak mi się wydawało, zupełnie odrębnych dochodzeń. Newman i Cord badali działalność korporacji INCUBUS, a Marler śledził znikających agentów tajnej policji. Teraz obie sprawy połączyły się w jedną.

Zamilkł, gdyż ktoś zapukał w umówiony sposób do drzwi. Tweed skinął głową do Nielda, by otworzył. Do pokoju wszedł Marler.

— Zjawiam się na spotkanie punktualnie, jak zwykle — oznajmił beztrósco.

— Potrzebne nam dalsze informacje na temat korporacji INCUBUS —

powiedział z miejsca Tweed. — W jaki sposób je zdobędziemy?

— Wybiorę się na rekonesans — odparł Marler, przysiadając na poręczu fotela, który zajmowała Paula. — Polecę do Rovaniemi, na północ od koła polarnego i trochę tam powęszę. Jeśli ten Instytut Meteorologii wygląda tak dziwnie, jak podejrzewa Sarin, może zorganizujemy grupę uderzeniową, żeby tam pojechać i przetrząsnąć to miejsce.

— Pozostaje problem — zauważył Tweed — w jaki sposób grupa ludzi może poruszać się po tym pustkowiu nie wzbudzając podejrzeń.

— Jeszcze tego nie rozpracowałem. — Marler podniósł się z miejsca. —

Najpierw rekonesans. Nieźle mi idzie udawanie „niewidzialnego człowieka”.

— Dobrze wiedzieć, że wszystko potrafisz — mruknął Dillon. — Biorąc pod uwagę metody tych ludzi możesz skończyć w drewnianej skrzyni. Siedziałem w samochodzie, który taranowała ciężarówka.

— Nie trać wiary, mój drogi — dodał mu otuchy Marler, po czym zwrócił się do Tweeda: — Jeśli nie masz nic przeciwko temu, polecę tam migiem.

— Najlepiej lecieć normalnym samolotem — zażartowała Paula.

— Zgoda — zdecydował Tweed. — Ale bądź ostrożny...

— Chciałabym z nim polecieć — wtrąciła się Paula. — I bardzo proszę, bez dyskusji. Oczywiście, jeśli Marler się zgadza.

— Witamy na pokładzie — powiedział Marler.

Tweed miał właśnie zaprotestować, gdy zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

Rozmówca nie przedstawił się, ale Tweed rozpoznał charakterystyczny głos generała Walentina Rebeta.

— Muszę się z panem pilnie zobaczyć. Zdarzyło się coś, o czym powinien pan wiedzieć. Spotkamy się w pewnym miejscu na fińskim archipelagu...

— Nie! — przerwał mu Tweed ostrym tonem. — W Helsinkach albo wcale.

— Więc może w Turku? Bardzo proszę! Nie chcę, żeby mnie zauważono.

— Dobrze.

— Jest tam skansen, kolonia starych drewnianych domów zbudowanych przed stu laty...

— Wiem.

— A więc przy wejściu do skansenu, powiedzmy jutro o dwunastej w południe?

— Najpierw muszę wiedzieć chociaż w przybliżeniu, o co chodzi — domagał się Tweed.

— Proszę mi wierzyć na słowo. Chętnie pan wysłucha, co mam do powiedzenia.

— Dobrze, zgadzam się na spotkanie.

— Bardzo panu dziękuję. Sytuacja jest krytyczna.

Tweed odłożył słuchawkę. Paula uważnie mu się przyglądała.

— Pytałam, czy mogę polecieć z Marlerem. Co to był za telefon? Jakies kłopoty?

— Nie. Możesz lecieć. — Spojrzał na Dillona. — Cord, chciałeś skontaktować się ze swoją ambasadą. Chyba nadeszła odpowiednia chwila. Paula, może pójdziesz z Marlerem na obiad i omówicie plany na wyjazd?

Tweed zaczekał, aż wyszli. Zamknąwszy drzwi na klucz zauważył, że Newman zostawił paczkę papierosów. Wyciągnął jednego i zapalił. Rzadko to robił. Chciał

zostać sam i uporządkować myśli.

Działo się tyle rzeczy naraz. Nield siedział w milczeniu pod ścianą, wyczuwając nastrój szefa. Tak, wydarzenia nabierały tempa. Odnaleziono Manescu.

Pracował dla korporacji INCUBUS. Czy miał coś wspólnego z opisywanymi w prasie zamachami bombowymi w różnych krajach? We wszystkich przypadkach ofiarami byli czołowi politycy, przedstawiciele liberalnej lewicy, którzy mogli stać Hauserowi na drodze.

Poza tym Newman ukrył w bezpiecznym miejscu ważnego świadka, Peggy Vanderheld. Butler lada chwila powinien być z powrotem. Newman szalał, zapewne wstrząsnął jaskinią lwa. Tweed nie miał wątpliwości, że Hauser zareaguje gwałtownie.

Pozostawała jeszcze sprawa tajemniczego Instytutu Meteorologii, zlokalizowanego za kołem polarnym. Jak, do diabła, mają przerzucić tam grupę uderzeniową, jeśli okaże się to konieczne? Tweed zdusił wypalonego do połowy papierosa. Oczywiście! Newman podsunął mu przypadkiem rozwiązanie.

Podniósł słuchawkę, aby skontaktować się z Moniką. Będą potrzebowali określonego sprzętu.

Wykręcając numer Tweed zastanawiał się jednak ciągle nad tym, co mówił

Rebet. Znowu zadawał sobie w duchu pytanie: „Czy trafnie odgadłem, kim jest Angel?” Ostatnie słowa Rebeta były bardzo niepokojące.

„Sytuacja jest krytyczna”.

— Frank, chcę, żebyś poleciał do Instytutu Meteorologii i wzmocnił tam ochronę.

Hauser był bez marynarki i chodził niespokojnie po gabinecie. Nie mógł ustać na miejscu. Jego podwładny, rozciągnięty z wyprostowanymi nogami w fotelu, przeczesał ręką niesforną czuprynę gęstych czarnych włosów.

— System ochrony jest bardzo szczelny — ośmielił się zauważyć. — Co pana niepokoi?

— To, o czym i ty powinieneś pomyśleć. Do diabła, wiesz, co się stało. Czy wszystko muszę sam załatwiać? Na to wygląda. Zawsze tak było. Zejdź mi z drogi z tymi cholernymi nogami! — rzucił z wściekłością. — Wyjaśnię ci wszystko jak dziesięcioletniemu dziecku.

— Zamieniam się w słuch...

— Więc zamknij jadaczkę i zrób to, gnojku! Słuchaj! Jasne?!

Galvone zeszywniał. Gnojku? Czy naprawdę musiał znosić te wszystkie obelgi, którymi obrzucał go szef? W tym momencie przypomniał

sobie, jaką otrzymuje gażę. Tak, musiał wszystko znieść. Usłuchał i mrużąc ciemne oczy odpowiedział krótko:

— W porządku.

— Prosiłem cię właśnie, żebyś zaczął zakrojone na dużą skalę poszukiwania Newmana. I co się dzieje? Newman ma czelność zjawić się tutaj i oświadczyć mi, że dokopał się brudów, które powinny leżeć głęboko w ziemi. Ten wścibski Angol jest bardzo przedsiębiorczy. Teraz może zechce odwiedzić instytut. Jeśli dotrze w nieodpowiednie miejsce, będziemy mieli duże kłopoty. Do diabła więc z systemem ochrony, który zorganizowałeś! Masz go wzmocnić. Leć tam szybko i rób, co ci każę!

— Już biegnę...

— Siedź na tyłku, dopóki ci nie powiem, że możesz się ruszyć! Właśnie przyszło mi coś do głowy. Czuję wewnętrzny niepokój, a intuicja nigdy dotąd mnie nie zawodziła. Nie zwróciliśmy uwagi na jedną rzecz. Newman ma głowę na karku, ale to tylko dziennikarz. Myślę, że stoi za nim ktoś, kto kieruje operacją przeciwko mnie. Zanim polecisz na północ, zorganizuj obławę. Sprawdź

wszystkie hotele w tej miejscinie. Poinstruj ludzi, że mają szukać osób, które przybyły tu w ciągu ostatniego tygodnia. Brytyjczyków lub Amerykanów.

— Załatwię to. Jest coś jeszcze?

— Tak. Kampania, mająca na celu opanowanie Europy aż po Ural.

Organizujemy całą serię zamachów bombowych, żeby zwiększyć chaos. Potem wkroczymy na tereny, po które na razie nie sięgaliśmy. Chcę, żeby Sierowa, Manescu i Ziegler przylecieli z tych lasów na odludziu do Turku. Zamieszkają w hotelach. Załatwisz im papiery. Jutro mają tam być. Wszelkich przeciwników należy zlikwidować. Ja wyruszę tymczasem w innym kierunku.

— W jakim, jeśli wolno spytać?

Galvone wstał z miejsca. Hauser miał pod pachami ciemne plamy od potu, ale pomimo upału był pełen wigoru, rozpierała go energia. Pałał żądzą czynu.

— Właśnie spytałeś. — Hauser nadal chodził po pokoju tam i z powrotem, jak pantera w klatce. — Adam Carver umówił się dziś na kolację z tą cizią, która przyszła z Newmanem, Paulą Grey. Upije ją, zaciągnie do łóżka i wydobędzie z niej informacje. Może w ten sposób dowiemy się, kto zorganizował dochodzenie przeciwko korporacji INCUBUS. Ruszaj się, Frank. OK. Chyba zaczynam namierzać naszego prawdziwego wroga.

Tweed jadł obiad z Paulą i Dillonem w podziemnej restauracji hotelu „Marski”.

Siedzieli na ławie w głębi sali i jedzący szybko Tweed skonsumował już porcję smażonego kurczaka posypanego ziarnem sezamowym i ryż z szafranem. Harry Butler, który wrócił właśnie ze Szwecji, siedział na wprost Tweeda.

— Peggy Vanderheld ukrywa się w domku na wyspie örno w szwedzkim archipelagu — oznajmił. — Możliwe, że tu wróci. To niecierpliwa, energiczna kobieta i wcale nie była zachwycona, że zostaje tam sama. — Na opanowanej zwykle twarzy Marlera odmalowało się zażenowanie. — Zdaje się, że wpadłem jej w oko. Nie bardzo w to wierzę — dodał pospiesznie. — Chyba po prostu chce mieć przy sobie jakiegoś mężczyznę.

— Wracając naraziłaby się na duże ryzyko — stwierdził z zadumą Tweed.

— Staralem się wybić jej to z głowy — rzekł Butler — uznałem jednak, że potrzebne nam jest jakieś zabezpieczenie, więc powiedziałem jej, że znajdzie mnie w hotelu „Hesperia”. Jeśli tu przyleci, na pewno od razu się u mnie zjawi.

— Zrobiłeś, co mogłeś — uspokoił go Tweed, po czym spojrzał na pozostałych.

— Próbowałem wczuć się w położenie Hausera po tej konfrontacji z Newmanem.

Myślę, że musimy się zbierać i jeszcze dziś opuścić ten hotel.

— A dokąd pójdziemy? — zapytał Dillon między jednym a drugim kęsem.

— Do „Hesperii”, tam gdzie mieszka Butler. Zameldujemy się pod fałszywymi nazwiskami. Wszyscy troje. — Otworzył przyniesioną ze sobą aktówkę i podsunął Amerykaninowi przez stół jakąś kopertę. — To twój nowy paszport.

Nie sprawdzają ich tu zresztą zbyt często. Jesteś teraz Brytyjczykiem.

Dillon wsunął paszport pod blat stołu i otworzywszy go na stronie ze zdjęciem i nazwiskiem chrząknął znacząco.

— Lawrence Dawlish. Brzmi jak nazwisko pedała. A ta fotografia! Wiem, że mam paskudną gębę, ale bez przesady.

— Takie zdjęcie pasuje prawie do każdego gładko ogolonego mężczyzny. Poza tym, jak powiedziałem, nikt na to nie zwraca uwagi. Twój paszport, Paula. Z

prawdziwą fotografią. Jak wiesz, na Park Crescent mamy ich spory wybór. Na wszelki wypadek zabrałem kilka ze sobą. Ja też dostałem nowy paszport.

Nazywam się Martin Baker. Wyruszamy po obiedzie. Nie zaszkodzi być ostrożnym... Może uratuje nam to życie.

Następnego ranka Tweed pojechał pociągiem do Turku na spotkanie z generałem Rebetem. Towarzyszył mu Pete Nield, który musiał się o to wyklócić, ale postawił na swoim. Tweed skorzystał z pociągu, gdyż w ten sposób łatwiej było wymknąć się niezauważenie z Helsinek niż z lotniska.

Główny dworzec znajdował się blisko centrum. Jego fasada miała dziwaczny wygląd budowli z lat trzydziestych i Tweed wywnioskował, że musiała uniknąć wojennych zniszczeń. Tak wyliczył czas, by zjawić się w skansenie w Turku na parę minut przed wyznaczonym na dwunastą w południe spotkaniem z Rosjaninem.

Dla zabicia czasu włóczył się z Nieldem między starymi drewnianymi domami, pokonując z mozołem strome, brukowane ulice. Obowiązywał tam zakaz wjazdu, było więc dziwnie spokojnie i pusto. Nastąpiła znowu zmiana pogody i nad drugie co do wielkości miasto Finlandii nadciągały niby armia najeźdźców ciemne burzowe chmury. Znajdując się wewnątrz kolonii Tweed odnosił

wrażenie, że od dwudziestego wieku dzieli go cała epoka.

W południe byli z powrotem przy wejściu do osiedla. Zatrzymała się koło nich taksówka z napisem „taxsi”, z której wysiadł generał Rebet w ciemnym płaszczu i czapce z daszkiem. Gdy płacił kierowcy, Tweed pomyślał, że wygląda na Fina. Po jakiego diabła przyleciał tu z Leningradu?

Newman siedział ukryty w górującym nad centralą INCUBUS Oy. zagajniku, tym samym, z którego korzystał Marler. Poprosił, by ten naszkicował mu mapę terenu, i Marler, nie pytając Newmana, co zamierza zrobić, spełnił jego prośbę.

Przyjechawszy na miejsce o ósmej rano, zobaczył po godzinie to, na co liczył.

Pod wieżowiec podjechał długi czarny mercedes. Wskoczył z niego umundurowany szofer i otworzył tylne drzwi budynku, z których natychmiast wyłonił się Hauser w towarzystwie drugiej osoby. Dzięki pożyczonej od Marlera lornetce Newman mógł przyjrzeć się dokładnie i miał pewność, że się nie myli.

Poznał chód Amerykanina, był jednak zaskoczony jego strojem. Hauser, ubrany zazwyczaj w drogi elegancki garnitur, miał na sobie pomiętą kurtkę, wytarte dżinsy i nasuniętą na ciemne okulary czapkę z daszkiem. Był bez charakterystycznych modnych okularów bez oprawek. Wyglądał jak marynarz.

— Co się dzieje? — zapytał Dillon, siedzący z tyłu BMW.

— Hauser dokądś się wybiera...

— A kim jest ten drugi facet?

— To Adam Carver. Nie ubrał się dziś zbyt wytwornie. Jest w dżinsach i byle jakiej kurtce, jak jego szef. Odjeżdżają...

Otworzyła się automatyczna brama w ogrodzeniu z drucianej siatki i limuzyna wyjechała na zewnątrz, skręcając w kierunku miasta. Cord Dillon chrząknął

znaczaco. Wcześniej dowiedział się, że Tweeda nie będzie prawdopodobnie przez cały dzień, i zadzwonił z „Hesperii” do hotelu „Palace” do Newmana.

— Co dzisiaj robisz? — zapytał. — Jestem wolny. Może ci w czymś pomóc?

Newman stwierdził, że nie zaszkodzi mieć kogoś przy sobie. Dillonowi zależało zresztą nie mniej niż jemu na rozprawieniu się z korporacją INCUBUS.

Powiedział więc Amerykaninowi, żeby zjawił się w ciągu kwadransa, bo inaczej pojedzie bez niego.

Teraz, gdy limuzyna zniknęła im z oczu, Newman włączył silnik BMW i pozwolił, by wóz potoczył się w dół po krętej drodze, która bliżej miasta, za budynkiem spółki INCUBUS Oy., wychodziła na autostradę. Po dwóch minutach dogonił

mercedesa, rozwijającego teraz maksymalną dozwoloną prędkość.

Dillon sięgnął ręką pod pachę, do kabury, gdzie spoczywał luger. Dla bezpieczeństwa wolał mieć broń przy sobie, niż zostawiać ją w pokoju w

„Hesperii”. Rad był ze swej przezorności, gdy tuż przed wyjściem z hotelu

„Palace” zobaczył, iż Newman również założył kaburę, w której trzymał smith and wessona.

Newman utrzymywał stałą odległość od limuzyny Hausera.

— Spodziewasz się kłopotów? — zapytał Dillon.

— A ty nie? Po tym, co wydarzyło się na autostradzie?

— Więc jaki masz plan działania?

— Trzymać się Hausera jak rzep psiego ogona. Wczoraj go zdenerwowałem.

Myślę, że wcześniej czy później zareaguje. Dzięki temu doszedł przecież tam, gdzie się teraz znajduje. Na sam szczyt.

— Ten drań jest właścicielem połowy Stanów Zjednoczonych — mruknął

Dillon. — Wcale nam się to nie podoba. Podobno ma w kieszeni jedną trzecią Senatu. Co się dzieje?

Newman zaklął pod nosem, zjeżdżając nagle samochodem z autostrady w kierunku Helsinek i podążając za limuzyną, która oddalała się od centrum miasta. Po obu stronach drogi był park — zadrzewiony teren z porośniętymi trawą wzgórzami, za którymi znikwały kręte ścieżki. Newman skinął głową na prawo.

— Zobaczysz za chwilę stary dom z wieżyczkami, o naprawdę zwariowanym wyglądzie. Jak wprost z Disneylandu. Prawdziwy antyk. To jeden z tych domów, które przed stu laty, gdy Finlandia była księstwem Rosji, carscy generałowie wykorzystywali jako letnie rezydencje.

Dillon spoglądał przez szybę. Za drzewami stał na pagórku pomalowany na biało, tajemniczy dom. Miał cztery kondygnacje, wymyślne balkony, a na rogach okrągłe wieżyczki.

— To miejska rezydencja Hausera — wyjaśnił Newman. — Intryguje mnie, w jaki sposób udało mu się kupić ten zabytek.

— Przekazał pieniądze właściwym urzędnikom?

— W Finlandii to by nie przeszło. Domyślam się, że wybudował tutaj tak wiele fabryk i dał zatrudnienie tylu ludziom, iż rząd darzy go oczywistą sympatią.

Przekonałem się, że stosuje tę samą metodę w hrabstwie Suffolk w Anglii wobec ludzi mieszkających w okolicach jego tamtejszej rezydencji, dworku Livingstone.

Odgrywając filantropa dysponuje całą armią szpiegów i sojuszników. Tak, myślę, że w ciągu najbliższych trzydziestu minut możemy spodziewać się kłopotów.

— Jakich?

Byli już dość daleko od miasta i jechali autostradą, biegnącą wzdłuż granitowych wąwozów. Dillonowi przypominało to Dziki Zachód. Gdziekolwiek pojawiał się pojedynczy dom lub niewielkie jezioro pod skalną ścianą. Był to oczywiście znowu granit. Granitowe miasto. Czarna limuzyna pokonywała właśnie w oddali długi zakręt.

— Jedziemy w kierunku lotniska — poinformował Dillona Newman. —

Miejscowi nazywają je Seusta. Zdaje się, że Hauser zamierza dokądś lecieć. A nasz wóz nie wzniesie się w powietrze.

— Kupimy bilety na ten sam lot.

— Nie sądzę. Założę się, że poleci swoim odrzutowcem. Wygląda mi to na jakieś potajemne spotkanie. Dlatego Hauser i Carver są tak dziwnie ubrani. Żeby ich nie rozpoznano...

— Szach i mat. Miałeś rację — stwierdził Dillon, gdy Newman zaparkował BMW.

Przyjechali na lotnisko. Hauser i Carver wysiedli z limuzyny i weszli pośpiesznie do budynku. Newman wyskoczył razem z Dillonem z wozu, wyjął z portfela wizytówkę prasową i wetknął ją za wycieraczkę przedniej szyby. To mogło się przydać.

Znalazłszy się wewnątrz niewielkiego budynku lotniska — niewielkiego w porównaniu z Heathrow czy Frankfurt — podążył szybko śladem Hausera i Carvera, którzy nie przejmowali się normalną procedurą odpraw. Widział przez okno, jak obaj mężczyźni idą pośpiesznie w kierunku leara, do którego właśnie tankowano paliwo.

— Szach i mat — powtórzył Dillon. — Niech to cholera.

— Może znajdzie się jakiś sposób...

Newman wrócił do drzwi, na których widniały napisy po fińsku i szwedzku

„Ochrona lotniska”. Ten drugi język był dla niego zrozumiały. Zapukał i wszedł

do środka, zamykając drzwi za sobą. Dillon pozostał na zewnątrz. Newman machnął swoją wizytówką.

— Współpracuję z Policyjnymi Siłami Bezpieczeństwa — poinformował

umundurowanego funkcjonariusza, który podniósł na niego wzrok zza kontuaru.

— Muszę wiedzieć, dokąd leci ten lear. Jeśli pan chce, proszę zadzwonić do Mauno Sarina na Ratakatu. Nie możemy stracić z oczu tego odrzutowca.

— Lepiej więc nie marnować czasu na telefony. Odrzutowiec leci do Turku. Za piętnaście minut odlatuje tam samolot rejsowy. Radzę się pośpieszyć.

— Wielkie dzięki. Sarin będzie panu wdzięczny...

Kupili bilety i zdążyli na samolot zaledwie kilka minut przed czasem. Newman dziękował Bogu, że w Finlandii nieznany jest problem terroryzmu — nie było więc urządzeń, które wykryłyby posiadaną przez nich broń. Kiedy usiedli, zamknęły się drzwi, silniki zagrały na wysokich obrotach i samolot ruszył z miejsca, pędząc po pasie startowym.

— Co zrobimy, gdy dotrzemy do Turku? — zapytał szeptem Dillon, gdy maszyna wzbiła się w

oślepiająco błękitne niebo.

— Miejmy nadzieję, że dolecimy szybciej niż oni. Jeśli nam się uda, zobaczymy, dokąd się wybiera Hauser, i ruszymy jego śladem.

— Adamie, to cholerne ubranie, które mam na sobie, przypomina mi czasy, gdy pracowałem jako robotnik portowy na nabrzeżu San Francisco — stwierdził

Hauser, kiedy odrzutowiec oderwał się od ziemi.

— Przeszedł pan długą drogę.

— Tak, to była cholerna podróż i jeszcze się nie skończyła. Napijesz się czegoś?

— Tylko wody mineralnej — odparł Carver. Chciał zachować jasność umysłu. —

Co to za spotkanie, w którym mamy wziąć udział? Wieczorem powinienem być z powrotem w Helsinkach. Mam randkę z Paulą Grey. Oczywiście — dodał szybko

— gdyby zaszła potrzeba, mogę się nie zjawić. Będzie o wiele bardziej chętna, jeśli przełożę *rendez-vous* na później.

— Nie rób tego, chłopcze. Możesz wyciągnąć z tej damy cenne informacje.

Wrócisz do Helsinek późnym popołudniem.

Hauser pociągnął łyk bourbona. Kabina dla pasażerów w learze była urządzona luksusowo. Siedzieli obok siebie na skórzanych fotelach. Przy ścianie naprzeciwko Hausera znajdował się świetnie zaopatrzony barek, którego drzwiczki otwierały się i zamykały za naciśnięciem guzika. Carver miał przed sobą telefon, współpracujący z satelitarnym systemem łączności. Dzięki temu Hauser mógł zadzwonić do każdej ze swych rozrzuconych po całym świecie firm.

Rozmowa była kodowana i automatycznie rozszyfrowywana na drugim końcu linii, co uniemożliwiało podsłuch. Odrzutowiec stanowił latającą centralę korporacji INCUBUS.

— To spotkanie — zaczął Hauser — jest okryte ścisłą tajemnicą. — Przerwał, pociągając kolejny łyk bourbona. — Zabrałem cię ze sobą na wypadek, gdybyśmy musieli omawiać ceny lub nawet ustalać ostateczne warunki umowy. W to ostatnie nie bardzo wierzę — ludzie, z którymi mamy do czynienia, uważają, że czas jest bronią do wykańczania niecierpliwych. Zaproponuję im więc transakcję, której nie będą mogli odrzucić.

— Czy mam w tym brać udział?

— Nie sądzę. Ci ludzie bardzo dbają o bezpieczeństwo. Tak bardzo, że nawet tam, skąd przybyli, nikt nie wie o ich podróży do Turku.

— Więc domyślałam się, że nie będzie żadnych nagrań?

— Słusznie się domyślasz, chłopcze.

— Jak w razie potrzeby będziemy się kontaktować?

— Zostawię ich w pokoju i przejdę do tego, w którym będziesz czekał.

— Czy może pan powiedzieć mi coś więcej? — nalegał Carver. — Lepiej, żebym wiedział z góry, co się dzieje. Będę mógł szybciej odpowiadać na pańskie pytania.

Hauser znów przez chwilę milczał.

— OK, właściwie mogę ci powiedzieć. Chodzi o delegację sowieckich handlowców, zainteresowanych tym, żebym utworzył w Rosji prywatne spółki.

Otrzymujemy pięćdziesiąt jeden procent akcji — kontrolny pakiet, jak zwykle.

Dla nich to wszystko nowość, więc muszą być prowadzeni za rękę.

— Napracował się pan, żeby doszło do takiej transakcji — zauważył Carver, zachęcając go do ujawnienia dalszych szczegółów.

— To była długa wspinaczka pod górę. Ci wieśniacy żyją jeszcze w ubiegłym stuleciu. Jadłem kiedyś obiad z jednym z ich wysokiej rangi urzędników.

Mieszkał na Zachodzie, był przyzwoicie ubrany, ale kiedy podano zupę, nabierał

ją łyżką do ust jak łopatą. — Hauser próbował go naśladować, pochylając głowę i machając łokciem. — To wieśniacy — powtórzył. — A trzech ludzie, z którymi zaraz się spotkam, są ważnymi osobistościami. Pora, żebyśmy ich ucywilizowali.

— Więc w którym miejscu w Turku ma się odbyć to spotkanie?

— Tam gdzie najmniej spodziewałbyś się zobaczyć trzech przedstawicieli sowieckich władz. W tych dwóch domach, które kupiliśmy w skansenie...

Generał Rebet kupił bilet, wszedł do skansenu i przywitał się z Tweedem oraz Nioldem.

— Proponuję, żebyśmy przespacerowali się po tym dziwnym miejscu —

powiedział, spojrzawszy na zegarek.

Nield szedł z tyłu. Prawą rękę trzymał pod marynarką, obok wetkniętego za pas automatycznego browninga. Pożyczył tę broń od Pauli.

— Użył pan określenia: „Sytuacja jest krytyczna” — stwierdził Tweed, przystępując od razu do rzeczy. — Co się dzieje? Dlaczego tu jesteście?

— Aby zobaczyć, jak Franklin D. Hauser spotyka się z trzema członkami Biura Politycznego: Kazbkiem, marszałkiem Zajkowem i Dikojanem. Nadal nie wiem, który z nich jest zdrajcą, Angelem.

— Tym razem ma pan nadzieję się tego dowiedzieć?

Rebet wzruszył ramionami. Szli po przypominającej rampę brukowanej ulicy z domami po obu stronach.

— Moi informatorzy ryzykując życie dowiedzieli się, że spotkanie odbędzie się tutaj i kto weźmie w nim udział.

— Jak ci trzech ludzie tu dotrą? Przypuszczalnie nie chcą, żeby Finowie wiedzieli o ich przyjeździe. Z pewnością wiadomość o pojawieniu się marszałka Zajkova spowodowałaby ostrą reakcję fińskiego rządu.

— Ta ich podróż to zagadkowa sprawa. Dwóch spośród nich — i nie wiem, którzy to będą — przyleci Aeroflotem na lotnisko w Turku. Przybywają rzekomo na zaplanowane na dzisiaj otwarcie wystawy handlowej. Lecą w oddzielnej kabinie. Na pokładzie jest też delegacja handlowa niskiego szczebla, która ma zwiedzić wystawę. Dwaj członkowie Biura Politycznego pójną od razu do samochodu, który przywiezie ich tutaj.

— A trzecia osoba?

— Też nie wiem, kto to będzie. Leci przez Zatokę Fińską do Tallina w Estonii.

Stamtąd ma popłynąć szybkim jachtem motorowym na jedną z wysp archipelagu, a potem kuter rybacki zabierze go w krótką podróż do Turku.

— Skomplikowana trasa. Zdaje się, że to Angel.

— Też tak myślę, ale jak ustalić, który z nich trzech przybędzie tu osobno?

Przystanęli. Wspięli się już prawie na samą górę. Zagroziła im drogę lina, przewieszona na wysokości piersi. Jakiś robotnik w kombinezonie zatrzymał ich gestem ręki i odezwał się po angielsku:

— Remont ulicy. Dzisiaj nie można iść dalej.

Nield, znajdujący się o kilkanaście kroków za obydwojma mężczyznami, zacisnął

dłoń na kolbie browninga. Zauważył, że ubranie ich rozmówcy jest wybrzuszone pod pachą. Czyżby fińscy robotnicy mieli zwyczaj nosić przy sobie broń?

Tweed kiwnął głową, spoglądając przed siebie. Stały tam blisko siebie dwa duże drewniane domy, oddzielone tylko wąską uliczką. Okna zasłaniały gęste firanki i grube kotary. Mimo nadciągających burzowych chmur było zupełnie jasno. Obaj mężczyźni zawrócili.

— Odkryliśmy miejsce spotkania — powiedział szeptem Rebet.

— Tak myślę. Kiedy ono nastąpi?

Rebet zerknął na zegarek.

— Powinni tu być za piętnaście minut.

Maszyna linii Finnair wylądowała gładko na lotnisku w Turku. Podjechały ruchome schodki. Newman spojrzął w niebo. Odrzutowy lear podchodził właśnie do lądowania. Zdążyli przylecieć parę minut przed Hauserem.

— Ja zostaję tutaj — oznajmił Dillonowi, kiedy znaleźli się w hallu. — Ty wyjdź

i złap taksówkę. Daj kierowcy hojny napiwek. Powiedz, że jeszcze na kogoś czekasz...

Newman podszedł z powrotem do okna, przez które widać było lotnisko. Kiedy lear wylądował i zatrzymał się, podjechała do niego czarna limuzyna. Hauser najwyraźniej gustował w czarnych samochodach. Newman popatrzył przez lornetkę na tył mercedesa i zapamiętawszy jego numer rejestracyjny wyszedł

szybko na zewnątrz. Dillon stał już obok taksówki.

— Wyjadą lada chwila. Wskakuj, Cord.

W samochodzie wyjaśnił szczegółowo kierowcy, co ma robić, podał mu także numer rejestracyjny limuzyny. Wspomniał na marginesie, że są dziennikarzami i interesują się dwiema osobami w mercedesie, bo zbierają materiały w pewnej sprawie.

— Rozumiem — odparł kierowca, ruszył z miejsca i przystanął trochę dalej od budynku lotniska.

Kiedy czarna limuzyna ich minęła, pojechał za nią tak, by nie rzucać się zanadto w oczy i utrzymywać

rozsądną odległość od śledzonego pojazdu. Pokonawszy niewielki odcinek drogi powiedział przez ramię:

— Zdaje się, że jadą do skansenu. Może panowie o nim słyszeliście?

— Owszem — przytaknął Newman, gdy taksówka zaczęła zwalniać.

Tweed i Rebet ulokowali się przy oknie w środku jednego z domów otwartych dla zwiedzających. Pokój był ciemny, stały w nim ciężkie, staromodne meble z przełomu wieków. Stróż domu uznał, że nie zrobią tam nic złego, więc zostawił

ich samych.

— Chyba zjawił się Hauser — powiedział Newman.

Carver wyskoczył z limuzyny, gdy tylko się zatrzymała, kupił dwa bilety i wszedł

z Hauserem na teren skansenu. Obaj mężczyźni ruszyli od razu w kierunku brukowanej ulicy, prowadzącej w górę do miejsca, gdzie rzekomo naprawiano drogę. Rebet spojrzał ponownie na zegarek.

— Przeprowadzają tę operację z wielką precyzją. Moja trójka powinna tu przybyć lada chwila.

Stojący za Tweedem Pete Nield wyjrzał przez okno i zobaczył zatrzymującą się taksówkę. Znieruchomiał na widok otwieranych drzwiczek, po czym trącił

Tweeda delikatnie, aby Rebet nie zauważył, że daje mu znak. Tweed przyglądał

się z udaną obojętnością, jak Newman i Dillon płacą kierowcy taksówki, kupują bilety i wchodzą między stare domy.

Wszystko w nim się gotowało, choć nie okazywał tego po sobie. Co ten Newman wyprawiał, do cholery? Jak mógł się tu zjawić w tak krytycznym momencie? Klął

w duchu, ale zachował obojętny wyraz twarzy. Dwaj mężczyźni podeszli pospiesznie do budynku naprzeciwko domu, z którego Tweed ich obserwował.

Starali się pozostać niewidoczni. Newman wyjrzał za róg. Tweed domyślał się, że obserwuje, jak Hauser i Carver wspinają się do góry na umówione miejsce spotkania.

— Zdaje się, że ci dwaj turyści bardzo się interesują Hauserem — zauważył

Rebet.

— To pewnie ochroniarze korporacji INCUBUS — stwierdził Tweed. — Hauser rzadko kiedy podróżuje bez obstawy.

— Chyba ma pan rację — odparł bez przekonania Rebet. — Nadjeżdża kolejna taksówka...

Newman też ją usłyszał. Chwycił Dillona za ramię i zanim taksówka znalazła się przy wejściu do skansenu, wśliznęli się przez otwarte drzwi do budynku. „Robią to samo, co my — powiedział do siebie Tweed. — Obserwują z ukrycia”.

Taksówka stanęła i wysiadło z niej trzech ludzi. Jeden zapłacił kierowcy.

Wszyscy byli ubrani w lekkie płaszcze przeciwdeszczowe. Tweed patrzył, jak wchodzą na teren skansenu. Trzej mężczyźni. Marszałek Dimitrij Zajkow, Wiktor Kazbek i Anatolij Dikojan, wyglądający sztywnie nawet w byle deszczowcu.

— Cholera! — Rebet uderzył zaciśniętą pięścią w dłoń. — Wszyscy trzech zjawili się razem. Nie mam teraz pojęcia, o którego z nich nam chodzi.

— Ten ktoś wykazał się sprytem — stwierdził Tweed. — Zszedł bardzo wcześnie na brzeg z kutra rybackiego, zczekał w jakimś umówionym miejscu w taksówce na dwóch pozostałych i wspólnie z nimi tu przyjechał. Pytanie tylko, w jaki sposób wyjaśnił tamtym, dlaczego podróżował okreśłą drogą?

— To akurat *mogę* panu powiedzieć. Jak pan wie, w Estonii dochodzi do zamieszek. Jeden z członków Biura Politycznego pojechał tam, żeby dyskretnie zorientować się w sytuacji. Takie wyjaśnienie zadowoliliby tych dwóch ludzi, z których żaden nie jest Anielem. Niestety, wciąż nie wiem, kto wybrał się do Tallina.

Nield wykazał się taktem, podchodząc do drugiego okna, aby Tweed i Rebet mogli swobodnie rozmawiać. Nagle zawołał cicho:

— Nadjeżdżają jeszcze dwie taksówki!

Trzej członkowie sowieckiego Biura Politycznego zniknęli w tej samej uliczce, którą szli pod górę Hauser i Carver. Tweed zauważył.

że marszałek Zajkow maszeruje sam na przedzie, a za nim podążają, idąc obok siebie, Dikojan i Kazbek.

Z dwóch taksówek wysypało się siedmiu ludzi. Niektórym z nich wystawały z kieszeni butelki, a dwaj tańczyli na chodniku, gdy kierowcy otrzymywali zapłatę.

Rebet przylgnął do okna, zaciskając usta.

— Mój Boże! To przebrani za marynarzy agenci KGB. Rozpoznaję kilku z nich.

Ochraniają tych trzech ludzi. Wydawało mi się dziwne, że przyjechali tu bez obstawy. Na pewno wszyscy są uzbrojeni.

Tweed odczuwał niepokój. Newman i Dillon byli nadal ukryci w budynku naprzeciwko. Zauważył

wcześniej, jak Newman obciąga marynarkę. Tweed znał

ten ruch — Newman wolał się upewnić, że broń, którą ma przy sobie, jest niewidoczna. Sytuacja groziła wybuchem.

— Spryciarze — stwierdził z goryczą Rebet, gdy siódemka rozbawionych mężczyzn, zakupiwszy bilety, weszła do skansenu. Znakomicie udawali grupę marynarzy, którzy nie byli pijani, tylko dobrze się bawili korzystając z krótkiej przepustki w porcie. Kilku z nich obejmowało się ramionami idąc pod górę tą samą uliczką, którą wcześniej szli trzej członkowie Biura Politycznego.

— Znaleźliśmy się w impasie — stwierdził Rebet.

— Niekoniecznie — odparł Tweed. — Nie wie pan, czy Angel będzie wracał tą samą drogą, którą przybył?

— Sądząc z tego, co wiem od swoich informatorów — tak. Będzie musiał.

Oficjalnie leciał do Tallina, musi więc właśnie stamtąd wrócić samolotem do Moskwy.

— Korzystając dokładnie z tej samej trasy? — dopytywał się Tweed. —

Najpierw kuter rybacki, potem przesiadka na motorowy jacht, żeby dotrzeć do Tallina?

— Wszystko tak samo, jak w drodze tutaj do Turku. Tylko w odwrotnej kolejności.

— Pozwoli pan, że zamienię słowo z kolegą.

Tweed podszedł do okna, przy którym stał Nield wyglądając na zewnątrz. Zniżył

głos, by udzielić mu instrukcji:

— Pete, widziałeś tych trzech facetów, którzy przyjechali zaraz po Newmanie i Dillonie? Dobrze. Posłuchaj, mam dla ciebie trudne zadanie, ale to ważne, żebyś je wykonał. Załatw sobie jakiś środek transportu i ruszaj za taksówką, która zabierze stąd tych trzech mężczyzn. Jeden z nich odłączy się dyskretnie, pozostali dwaj pojedą na lotnisko. Masz trzymać się jak pijawka tego trzeciego.

Odplynie z Turku kutrem rybackim, który spotka się gdzieś na archipelagu z

dużym motorowym jachtem. Na razie wszystko jasne?

— Całkowicie.

— Chcę, żebyś w miarę możliwości wypłynął za nim w morze, jak daleko się da.

Załatw też aparat fotograficzny. Masz mi przywieźć zdjęcia tego człowieka.

— W porządku. — Nield bez namysłu podjął się ryzykownego zadania. — Mam tylko jedną

wątpliwość: jestem tu, żeby cię chronić. Nie mogę być w dwóch miejscach naraz.

— W tamtym budynku są Newman i Dillon. Mogą cię zastąpić.

— A więc leczę...

— Masz dosyć pieniędzy?

— Całe mnóstwo. Wystarczy.

Tweed przyglądał się, jak szczupły i zwinny Nield zmierza szybko do wyjścia.

Było jasne, że obmyślił już, w jaki sposób wykona trudne i niebezpieczne zadanie, które zlecił mu Tweed.

Tweed podszedł wolno do stojącego naprzeciwko domu. Kątem oka obserwował

najwyżej położony odcinek uliczki. Trzej rzekomi marynarze stali oparci o ściany budynków tuż obok odgradzonego liną terenu. Pozostawało jeszcze czterech.

Pilnowali zapewne obu domów z drugiej strony. Wiele by dał za informację, co dzieje się wewnątrz. W domu naprzeciwko drzwi były otwarte. Tweed zobaczył

Newmana, który przywoływał go gestem ręki do środka. Wszedł. Dillon stał przy oknie, trzymając u boku lugera.

— Bob, mogę się dowiedzieć, co tu, u diabła, robisz? — zapytał Tweed.

Newman bez słowa usprawiedliwienia opowiedział mu, jak śledzili Hausera od chwili, gdy opuścił centralę w Helsinkach. Tweed słuchał go kiwając głową.

— Chyba nie mogę mieć do ciebie o to pretensji... — powiedział wreszcie.

— Mam nadzieję. Naszym zadaniem jest wykryć, co planuje Hauser. Kim są ci dziwni faceci, którzy właśnie przyjechali?

— Emisariuszami — odpowiedział enigmatycznie Tweed.

— Twój przyjaciel po drugiej stronie ma chyba spore kłopoty! — zawołał

Dillon. — Kiedy wyszedłeś z budynku, wyrzał na zewnątrz i musieli go zobaczyć.

Wtargnęło tam właśnie dwóch zbirów...

— Trzeba go bronić. Za wszelką cenę! — rozkazał Tweed.

Newman i Dillon pobiegli za nim do drzwi. Wyszli wolnym, spacerowym krokiem. Newman rzucił okiem w górę ulicy i zobaczył, że stojący tam mężczyźni rozmawiają, odwrócenieni do niego plecami.

Pchnął powoli drzwi do drewnianego budynku, trzymając w ręce smith and wessona kalibru 38. Dillon wszedł za nim z lugerem u boku.

Nad Turku wciąż wisiały burzowe chmury. Zrobiło się parno. Wewnątrz domu było duszno. Gdy Newman i Dillon weszli cicho do środka, Rebet stał z podniesionymi rękami pod ścianą. Dwaj mężczyźni trzymali wycelowane w niego pistolety typu Makarów. Rebet odezwał się tonem nie znoszącym sprzeciwu:

— Starkow, rozkazuję wam i waszemu towarzyszowi odłożyć broń...

Mówił po angielsku, widząc wchodzących do środka Newmana i Dillona. W

odpowiedzi obaj mężczyźni mocniej zacisnęli dłonie na pistoletach.

— Na waszym miejscu posłuchałbym tego polecenia... — odezwał się Newman.

Jeden z mężczyzn nagle obrócił się i wymierzył w niego broń. Rozległ się strzał.

Rosjanin padał już na ziemię, gdy jego towarzysz, który usłyszawszy głos Newmana zrobił w tył zwrot, skierował lufę pistoletu na Dillona. Huknął kolejny strzał i mężczyzna osunął się na podłogę z desek obok swego kolegi.

Rebet podbiegł do leżących i pochylił się nad nimi. Dotknął palcami szyi obu mężczyzn w miejscu, gdzie powinno być wyczuwalne tętno. Po chwili wyprostował się i pokręcił głową.

— Nie żyją — oświadczył Newmanowi. — Muszę panom podziękować za ocalenie mi życia. Trzeba stąd szybko uciekać.

Newman podniósł jeden z pistoletów, wetknął wylot lufy w skórzaną poduszkę na kanapie i pociągnął za spust. To samo zrobił z drugim egzemplarzem makarowa, odwrócił poduszkę, żeby nie było widać dziur po kulach, wcisnął

każdemu z leżących pistolet do prawej ręki, wyjął jednemu z nich z kieszeni butelkę i wlał nieboszczykom do ust wódkę. Potem butelkę postawił na stole. Czy inni ochroniarze słyszeli strzały? Akurat w tym momencie przelatywał w górze samolot. Rebet stał nieruchomo, przyglądając się poczynaniom Newmana z zainteresowaniem.

— Wróćmy ostrożnie do tamtego domu — polecił Newman.

Przez uchylone drzwi wyjrzał na uliczkę. Stojący u jej wylotu mężczyźni najwyraźniej o coś się spierali. Odwróceni tyłem żywo gestykulowali.

Newman skinął na swych towarzyszy i przebiegł do domu naprzeciwko. Tweed otworzył drzwi i wpuściwszy całą trójkę, cicho je zamknął.

— Co się stało? Gdzie są tamci dwaj?

— Nie żyją.

Newman wyjaśnił pokrótce, co się wydarzyło. Kiedy skończył, Rebet stwierdził:

— Pańscy ludzie uratowali mi życie. To był sprytny pomysł, żeby upozorować, że Starkow i jego towarzysz wzajemnie się pozabijali. Pewnie unikniemy kłopotów, kiedy zostaną odnalezieni.

— To może nastąpić w każdej chwili. Musimy się stąd wynosić — rzekł stanowczo Tweed. — W miarę możliwości niepostrzeżenie. Natychmiast...

— A Pete Nield? — zapytał Dillon.

— Potrafi sam o siebie zadbać. Powiedziałem, że musimy stąd zmykać. I to już!

Newman poszedł przodem. Wyrzął jeszcze zza rogu, aby się upewnić, czy

„marynarze” są nadal zajęci rozmową, i zobaczył, że dwaj z nich schodzą powoli uliczką w jego kierunku. Zastanawiali się pewnie, gdzie są ich koledzy. Pomachał

do Tweeda, który przyglądał mu się z drzwi domu naprzeciwko wyjścia ze skansenu. We czterech opuścili pospiesznie zabytkową kolonię. Tweed podbiegł

do taksówki, zaparkowanej w głębi ulicy. Cała czwórka wskoczyła do środka i Tweed polecił kierowcy, by zawiózł ich do księgarni Akateeminem, pierwszego miejsca w centrum Turku, jakie przyszło mu do głowy. Gdy samochód ruszył, spojrzął przez tylną szybę. Ze skracającej za róg taksówki nie było widać nikogo.

— Jesteśmy bezpieczni — odezwał się szeptem do Rebeta. — Jak powiedział

Wellington pod Waterloo: wywinęliśmy się w samą porę.

— Ciągle nie mamy pojęcia, kim jest Angel — odpowiedział również szeptem Rebet.

— Może wkrótce się dowiemy.

Mówiąc te słowa Tweed pomyślał z niepokojem o zadaniu, które otrzymał Pete Nield. Mogło się okazać dużo niebezpieczniejsze, niż przypuszczał.

Pete Nield wrócił do skansenu w pełni wyposażony. Kupił używaną hondę, motocykl o dużej mocy. Starannie złożoną marynarkę schował do tylnego bagażnika. Miał na sobie skórzaną kurtkę i kask z dużymi goglami, w którym wyglądał jak Marsjanin. Zatrzymał się przy krawężniku w pobliżu wejścia do skansenu i zapalił papierosa.

Wydał kupę pieniędzy, ale na szczęście Tweed dbał o to, by przebywający za granicą agenci mieli przy sobie zapas gotówki w miejscowej walucie, tak więc Nield posiadał całe mnóstwo *markkaa*. Kupiwszy hondę popędził do portu. Gdy kapitan niewielkiego rybackiego kutra zobaczył, jakie otrzyma honorarium, Nield nie musiał go długo przekonywać, by przygotował statek do natychmiastowego wypłynięcia w morze.

— Połowa teraz, połowa po wykonaniu zadania — oznajmił Nield.

Miał pod kurtką wetkniętego za pas automatycznego browninga Pauli. Paląc papierosa pomyślał, że jest o wiele za gorąco, żeby chodzić w skórze, ale musiał

wyglądać na posłańca. Japoński aparat z teleobiektywem, który również nabył, leżał teraz zapakowany w bagażniku z przodu.

„Mogę tylko pocić się i czekać” — pomyślał ocierając chustką czoło.

Robiło się coraz parniej. Niebo przesłaniały czarne chmury, ale z nagrzanego asfaltu promieniowało ciepło. Nield był przyzwyczajony do czekania —

wykonując kolejne zadania spędzał w ten sposób połowę czasu. Zdusił właśnie niedopałek papierosa, gdy zobaczył zmierzających pospiesznie do taksówki trzech mężczyzn. Musieli zamówić ją przez telefon.

Jeden potężny, o wyglądzie niedźwiedzia, z grzywą czarnych włosów i brodą tego samego koloru. Drugi o wiele niższy i szczuplejszy, poruszał się szybko i z gracją.

Trzeci krępy, mocno zbudowany, maszerował wojskowym krokiem.

Taksówka ruszyła z miejsca. Nield wcisnął guzik startera i pojechał za nią.

Gdyby Tweed mógł zobaczyć, z jaką wojskową precyzją dokonano operacji odwrotu, nie ukrywałby podziwu. Wkrótce po odjeździe Nielda pojawiły się dwie kolejne taksówki. Wsiadło do nich siedmiu ludzi. Czterej mężczyźni zajęli miejsca w pierwszym wozie. Dwóch z nich trzymało pod pachy człowieka, który zwisał bezwładnie. Wyglądał na pijanego w sztok. Pozostała trójka wsiadła do następnej taksówki. Do niej także wsadzono cuchnącego wódką mężczyznę. Obie taksówki ruszyły potem tą samą trasą, którą pojechała poprzednia.

W kilka minut później przy krawężniku zatrzymała się kierowana przez szofera czarna limuzyna. Ze skansenu wyszli Hauser i Carver. Hauser wiedział już o znalezieniu zwłok dwóch mężczyzn i zanim

wsiadł razem z Carverem do samochodu, uważnie rozejrzał się wokół. Gdy taksówka ruszyła, Hauser wydał

polecenie kierowcy i powiedział do Carvera:

— Podrzucę cię na stację, Adamie. Wróc pociągiem do Helsinek na kolację z tą Grey. Ja mam tu coś do załatwienia w centrali. Przylecę później samolotem...

Pete Nield przyglądał się zza gogli, jak jadąca przed nim taksówka zatrzymuje się w spokojnej dzielnicy na przedmieściach Turku. Zwolnił, stanął przy krawężniku i zaczął szperać w zawieszonej na piersi torbie, jakby szukając przesyłki.

Przed taksówką, którą śledził, stała jeszcze jedna. Widział, jak otwierają się drzwi wozu, w którym siedzieli trzej mężczyźni. Na kilka długich sekund przesłoniła mu widoczność ciężarówka, a potem zobaczył już tylko niewyraźną postać, znikającą w zaparkowanej z przodu taksówce.

Gwizdnął cicho. Jakaś przesiadka. Który wóz ma teraz śledzić? Było tak duszno i parno, że jego umysł pracował w zwolnionym tempie. Oczywiście! Tweed kazał

mu jechać za trzecim z mężczyzn, tym, który odłączy się od dwóch pozostałych.

Do diabła, jak przewidział ten manewr?!

Ruszył od krawężnika, gdy zaczęła odjeżdżać pierwsza taksówka. Rzucił

ponownie okiem w boczne lusterko. Dwie taksówki, które przedtem widział za sobą, podążały nadal jego śladem. Poczł ogromną ulgę, gdy spojrzawszy w lusterko w minutę później już ich nie zobaczył. Musiały mieć coś wspólnego z tą, którą zostawił w tyle.

Kilka minut później poczuł w powietrzu zapach soli i ujrzał nabrzeże. Jadąca przed nim taksówka posuwała się powoli wzdłuż mola. Wokół widać było las kołyszących się z wolna masztów. Od morza wiał silny wiatr. Nield zjechał

motocyklem na molo i zobaczywszy, że taksówka przystaje obok dużego kutra, zatrzymał się przy dużo mniejszym statku. Z położonej na rufie sterówki pomachał do niego kapitan — twardy facet o pooranej zmarszczkami twarzy.

Anglik skinął głową w odpowiedzi, przerzucił nogę nad siodełkiem i dźwignąwszy hondę w górę, przeniósł ją na pokład statku, a następnie wskoczył

tam i przykrył maszynę brezentową plandeką. Zdjęty z głowy kask także wetknął

pod brezent. Potem ściągnął skórzaną kurtkę i upchnął ją tak, by nie była widoczna. Sięgnąwszy pod plandekę otworzył tylny bagażnik motocykla, wyjął

marynarkę i założył ją na siebie. Przy nabrzeżu panował zaskakujący chłód. W

dalszej kolejności wydobył z bagażnika z przodu aparat fotograficzny, kładąc go ostrożnie pod plandekę, aby był pod ręką. Nield słyszał z drobiazgową dbałością o szczegóły.

Zeskoczywszy z powrotem na brzeg z kołyszącego się statku pogładził krótko przystryżone wąsy, przyglądając się znikającej na pokładzie kutra sylwetce pasażera taksówki. Kapitan jego jednostki, który mówił po angielsku i powiedział Nieldowi, że nazywa się Savola, włączył już silnik. Słychać było ciche dudnienie motoru.

Kilka minut później Nield gratulował sobie w duchu, że zachował ostrożność i dzięki przebraniu zupełnie zmienił swój wygląd. Kiedy pierwsza taksówka minęła go wracając do miasta, pojawiły się dwie następne. Przejechały obok i zatrzymały się przy kutrze, na którego pokład wszedł śledzony przez niego mężczyzna. Były to chyba te same dwa wozy, które Nield widział przedtem w bocznym lusterku.

Stojąc plecami do wiatru zapalał papierosa i obserwował, jak na statek wchodzi siedmiu mężczyzn. Dwaj wyglądali na zupełnie pijanych. Zostali wniesieni na pokład. Nield ściągnął usta. Ten facet musi być ważny, skoro pilnuje go tylu ludzi. Zmarszczył brwi na widok dwóch ochroniarzy, którzy wrócili na molo, aby rozprostować nogi. Zniknął gdzieś ich ciężki, marynarski chód. Przechadzali się teraz wzdłuż nabrzeża sprężystym krokiem. Kapitan Savola wyszedł do Nielda na molo.

— Chcę, żeby pan popłynął za tamtym dużym kutrem — poinformował go Nield.

Savola — niski, krępy, barczysty mężczyzna o szerokich ustach i wydatnym nosie

— przypominał Nieldowi postać Edwarda G. Robinsona z oglądanych w telewizji starych filmów. W zębach trzymał zakrzywioną fajkę, którą rzadko zapalał.

Chrząknął, spojrzał na nabrzeże, po czym wyjął zapalki.

— To „Alskär”. — Przytknął płomyk do fajki. — Żyjemy tu we wspólnocie i wszyscy się znamy. Kapitan „Alskära” powiedział mi, że wynajęli go Sowieci, jakaś grupa oceanografów, którzy prowadzą badania. Tak twierdzą. To chyba szpiegzy.

— Czy on o mnie wie? — zapytał Nield z taką intonacją, jakby spodziewał się odpowiedzi twierdzącej.

— Niby skąd? Nie miałem dotąd pojęcia, że będziemy śledzić tamten statek.

Poza tym suma, którą mi pan zapłacił, gwarantuje całkowitą dyskrecję. Dostaje pan to, o co pan prosił.

— Nadaży pan za „Alskärem”?

Nield spojrzał na „Skäreta”, o wiele mniejszy od tamtego kuter Savoli. W

porównaniu ze statkiem Rosjan wyglądał jak karzeł.

Savola pyknął z fajki.

— W razie potrzeby mogę ścigać go aż do Kattegat. Silnik, który pan słyszy, ma dużą moc. Dwa miesiące temu mój „Skäret” przeszedł kompletny przegląd.

Kapitan „Alskära” żałuje pieniędzy na konserwację. — Wyrzucił z fajki nie dopalony tytoń i rozdeptał go wielkim butem. — Wejdźmy już na pokład.

„Alskär” uruchomił właśnie silnik. — Odwiązał liny od słupków cumowniczych.

Nield poszedł za kapitanem do ciasnej sterówki. Stamtąd lepiej widział śledzony statek. „Mam nadzieję, że uda mi się zrobić im zdjęcia” — pomyślał, gdy „Skäret” odbił od nabrzeża, sunąc w kierunku archipelagu i pełnego morza.

To był XXI wiek. Podrzuciwszy Carvera na stację w Turku Hauser kazał się zawieźć do tamtejszej centrali korporacji INCUBUS. Jeszcze jeden wieżowiec o cylindrycznym kształcie i ścianach wykonanych z matowego, niebieskiego szkła wznosił się na wysokość dwudziestu pięter. Był najwyższym budynkiem w Turku.

Hauser siedział w znajdującej się na samej górze tajemniczej sali przesłuchań.

Zajmował miejsce za stołem z konsolą i miał przed sobą szybę, umożliwiającą jednostronną obserwację. Widział wewnątrz każdego z trzech dźwiękoszczelnych pomieszczeń za podłużną taflą szkła, pozostając niewidoczny dla siedzących tam ludzi.

Operując przełącznikami na konsolce mógł kontaktować się po kolei z poszczególnymi osobami w trzech oddzielnych pokojach. Przy ustach miał

zawieszony mikrofon, podobnie jak troje ludzi, których tak wyraźnie widział.

W pomieszczeniu po prawej stronie znajdował się Helmut Ziegler, były szef Stasi w dawnych Niemczech Wschodnich. W środkowym siedziała wyprostowana w fotelu Irina Sierowa. Trzeci pokój zajmował IonManescu. Hauser zwrócił się do Iriny.

— Nazywam się Morrow. Jestem pani szefem. Czy byłaby pani gotowa, Irino, wrócić do Związku Sowieckiego i działać tam w podziemiu?

— Taką wyprawę trzeba by bardzo starannie zaplanować.

— To da się zrobić. Nie odpowiedziała mi pani na pytanie.

— Proszę najpierw wyjaśnić, na czym polegałoby moje zadanie. Potem dostanie pan odpowiedź.

„Zuchwała dziwka” — pomyślał Hauser, poprawiając na nosie okulary. Tak, miał

rację, że wybrał ją do organizowania działalności wywrotowej.

— Do Związku Sowieckiego przesmuglowano już materiały wybuchowe. Chcę ich użyć do zdeorganizowania rosyjskich kolei. Powiększyć chaos, żeby zaczęto tam pilnie potrzebować pomocy i technicznego doradztwa. Na moich warunkach. Określiłaby pani strategiczne punkty, w których należałoby umieścić ładunki. Wybrałaby pani ludzi, którzy to zrobią. Proszę o odpowiedź.

— Myślę, że byłoby to możliwe. Prawie we wszystkich republikach narasta napięcie. Destabilizacja stwarza idealne warunki do wykorzystania materiałów wybuchowych i pogłębienia chaosu. Proponuję skoncentrować się na kolei transsyberyjskiej i szlakach prowadzących z Moskwy, która stanowi centrum całego systemu. Jedno pytanie, panie Morrow. Którędy przerzucamy do Rosji materiały wybuchowe?

Hauser się zawahał. Irina zrobiła na nim wrażenie. Ubrana w obcisłą bluzkę i krótką spódniczkę, która nie kryła jej doskonałej figury, emanowała pewnością siebie. Pomyślał, że taka kobieta jest marzeniem każdego mężczyzny.

— Powstał już skład materiałów wybuchowych w Finlandii — powiedział. —

Przez granicę sowiecką przewozimy je z Laponii, z terenów położonych na północy.

— Idealny wybór.

— Zanim jednak zajmie się pani organizowaniem tej operacji, mam dla pani jeszcze jedno zadanie tutaj, w Finlandii. Chodzi

o uwiedzenie kogoś. Zaraz powrócimy do rozmowy.

Hauser przerwał łączność z jej pokojem i skontaktował się z pomieszczeniem po prawej stronie. Ziegler był niskim, ale dobrze zbudowanym mężczyzną po czterdziestce, o gładko ogolonej twarzy i jasnych włosach przyszyronych na jeża. Miał krzaczaste brwi, które niemal łączyły się nad spłaszczonym nosem, wąskie, zaciśnięte usta i nieprzyjemnie wysuniętą dolną szczękę. Kręcił się niespokojnie w fotelu, gdy Hauser udzielał mu instrukcji.

Organizowanie zamieszek, masowych demonstracji, zamachów bombowych —

wszystko na terenie Niemiec. Winą należało obarczyć uaktywnioną na nowo grupę terrorystyczną Frakcji Czerwonej Armii. Co więcej, Ziegler miał nawiązać kontakt z działającym w Monachium Ruchem Wolnej Ukrainy. Gdyby się okazało, że Ukraina — druga pod względem znaczenia republika Związku Sowieckiego — dąży do samodzielności, sowiecki prezydent miałby pełne ręce roboty i nie spostrzegłby, że Hauser wkracza do jego kraju.

Hauser połączył się z wychudzonym na twarzy łonem Manescu. Jego rozkazy były krótkie:

— Ma pan dopilnować, aby w bałkańskim kotle wrzało. Nasze cele to Budapeszt, Sofia i Bukareszt. Niech te miasta staną w płomieniach...

Wydawszy dyspozycje Rumunowi Hauser zwrócił się znowu do Iriny, która siedziała nadal wyprostowana, wpatrując się w lustro przed sobą, jakby widziała mówiącego do niej człowieka.

Przedstawił się jako Morrow, była jednak przekonana — choć jego głos został celowo zniekształcony — że to Franklin D. Hauser.

— Irino — zaczął Hauser — ustalimy wkrótce, kto kieruje prowadzonym przeciwko nam w Finlandii dochodzeniem. Kiedy to zrobimy, chcę, żeby spotkała się pani z tym człowiekiem jako uciekinierka z Mołdawii, z rejonu, który Stalin zagrabił Rumunii pod koniec drugiej wojny światowej. Jestem pewien, że dzięki swojej osobowości i fizycznym walorom potrafi pani skłonić go do mówienia...

„Jest seksowna jak diabli” — pomyślał na koniec. Wyłączył konsolę. Zadanie zostało wykonane. Wkrótce w Europie i w Rosji rozpęta się istne piekło.

Całe szczęście, że Pete Nield dobrze znosił morską podróż. „Skäret” odpłynął

daleko od lądu i przemykał się teraz po wzburzonym morzu między wyspami archipelagu. Zalewany ogromnymi falami rybacki kuter kołysał się i podskakiwał, to wznosząc się na spienione grzbiety bałwanów, to opadając w dół.

Nield trzymał się poręczy, stojąc obok Savoli, który ścisnął kurczowo ster. Widok był fascynujący. Płynęli zygzakiem przez labirynt przesmyków wśród niezliczonych wysp różnej wielkości. Niektóre były duże, zabudowane kilkoma drewnianymi parterowymi domkami

o ścianach pomalowanych na jaskrawoczerwony kolor. Nield zastanawiał się, jak wygląda życie na takim pustkowiu. Gdzieś tam wystawały z morza jak grzbiety wielorybów ogromne, brunatne głazy,

o które rozbijały się fale. Gdy opłynęli cypel jednej z większych wysp, znów pojawił się na horyzoncie „Alskär”.

Savola wykazywał spore umiejętności nawigacji, coraz to wpływając do przesmyku, w którym pozostawali niewidoczni dla wynajętego przez Rosjan statku, a potem wyłaniając się w miejscu, skąd znów mogli obserwować swój cel.

Aby przeciwdziałać kołysaniu kutra, Nield oparł się o tylną ścianę sterówki, przyciskając do oczu kupioną w Turku lornetkę. Zobaczył w dużym zbliżeniu ochroniarzy na pokładzie tamtego statku. Miał wyraźnie w pamięci trzech mężczyzn, którzy przyjechali razem do skansenu w Turku. Żaden z nich dotychczas się nie ukazał. „W jaki sposób, do cholery, mam robić zdjęcia z łajby, która podskakuje na wodzie jak korek?” — rozmyślał. Zakładając, że „trzeci mężczyzna” w ogóle się pojawi.

— Czy moglibyśmy podpłynąć trochę bliżej? — zapytał.

— Tak — odparł Savola — ale mogą się zorientować, że ich śledzimy. Na razie jesteśmy tylko kutrem, który szuka najlepszych łowisk. Widział pan, że pływają tu inne statki, więc tamci nie zwracają na nas uwagi, lecz jeśli się zbliżymy...

— Czy kapitan „Alskära” zdradzi nas przed Rosjanami?

— Nie. — Savola mówił, zaciskając zęby na zakrzywionej fajce. — Zapłacono mu za przewiezienie

grupy rzekomych oceanografów. Nie ma interesu w tym, żeby narażać mnie na kłopoty. Musimy tu wszyscy żyć w zgodzie, wyruszać razem na łowiska.

— Więc niech pan podpłyń bliżej...

Kierowali się na otwarte wody Bałtyku. Widzieli coraz mniej wysp i żadna nie była zamieszkana. Horyzont, nad którym gromadziły się kłęby chmur, tworzył w oddali grubą, czarną jak atrament linię. W „Skäreta” uderzały nadal zielone fale.

Na chwilę wyjrzało słońce. Nield zdał sobie sprawę, że pozostawiwszy w tyle archipelag mogli zostać łatwiej zauważeni przez Rosjan. „Alskär” był teraz jedynym statkiem w okolicy. I zbliżali się szybko do swej ofiary.

O dziwo, gdy wypłynęli na otwarte morze, było tam spokojniej. Nield wziął do ręki aparat, zasuwając drzwi sterówki. Savola popatrzył na niego.

— Proszę uważać. To Ruscy.

— Nic mi nie będzie...

Kiedy Nield oparł się o ścianę sterówki i wycelował aparat, nie było już silnego wiatru. Zobaczył w wizjerze głowę strażnika, który trzymał skierowaną na

„Skäreta” lornetkę. Gdy ją opuścił, na pokładzie dużego kutra zaczęła się gorączkowa krzątanina. Pojawili się kolejni ochraniarze. Nield trwał dalej na posterunku.

— Uwaga! — krzyknął Savola, otworzywszy drzwi.

Jego bystre oczy spostrzegły, że jeden ze strażników trzyma karabin i celuje w

„Skäreta”. Nield także go zauważył. Nie ruszył się z miejsca, trzymając przy oczach aparat. „Alskär” płynął teraz bardzo powoli, co ułatwiało strzelcowi zadanie. Savola obrócił ster, gwałtownie zmieniając kurs. Na tle odgłosu silnika rozległ się jakiś łoskot, jakby

o górną część burty uderzały kamienie. Kule. Nagła zmiana kursu uratowała Nieldowi życie.

W wizjerze aparatu zobaczył, że na pokładzie „Alskära” pojawiła się nowa postać. Był to trzeci pasażer taksówki. Nield widział jego twarz ostro i wyraźnie.

Robił zdjęcia. Savola płynął zygzakiem. Człowiek z karabinem nie przestawał

strzelać. Znów rozległ się stukot, przypominający uderzenia kamyków o burtę.

— Sukinsyny! — krzyknął Savola.

Nield schylił się i podniósł coś z pokładu, po czym wszedłszy pospiesznie do sterówki zasunął z trzaskiem drzwi, mocno trzymając aparat.

— Zadanie wykonane! — krzyknął do Savoli. — Możemy wracać!

— O ile przeżyjemy...

Pojawił się kolejny strażnik z karabinem. Trzeci pasażer taksówki wskazywał

ręką na „Skäreta”. „I tak już mam cię, ty gnido!” — pomyślał Nield, uśmiechając się. „Skäret” robił szybko zwrot o sto osiemdziesiąt stopni. Kiedy ruszył z powrotem w kierunku archipelagu, Nield wyjrzał przez tylną szybę. Rosjanie nadal strzelali, a Sa-vola znów płynął zygzakiem. Nield zobaczył, jak uderzające o wodę pociski mącą spokojną powierzchnię morza obok pozostawianej przez ich statek fali. Rozwarł lewą dłoń pokazując, co podniósł z pokładu.

— Gumowe kule. Oczywiście gdybym dostał którąś w oko albo w krtań, byłoby po mnie.

— Płyniemy do portu? — zapytał Savola.

— Do portu — przytaknął Nield.

— Bob, przestań się zadrećzać — powiedziała Paula. — Ślęcząc nad tym dziennikiem Sandy, który znalazłeś w jej jaguarze w Suffolk, niczego się więcej nie dowiesz. Znasz go już pewnie na pamięć.

Newman siedział na fotelu w swoim pokoju w hotelu „Palace”, a Paula leżała zwinięta jak kot na łóżku. Było gorąco i parno. Zanosilo się na burzę. Prognoza przewidywała dwadzieścia osiem stopni Celsjusza. Newman miał lekkie spodnie i rozpiętą pod szyją koszulę. Spojrzał na swoje dłonie. Były wilgotne od potu.

Wytarł je

o nogawki i przeglądał dalej notatnik. W pewnej chwili dotarł do dwóch sklejonnych kartek, których wcześniej nie zauważył.

Rozdzielił je paznokciami i spojrział na zapisany tam tekst.

Porvoo. Mówił, że tak się pisze to słowo, kiedy dowiedział się ode mnie, że gdzieś je usłyszałam. Podobno oznacza jakieś miejsce w Szwecji. Nie wierzę mu. On kłamie...

— Boże! I ja to przeoczyłem! — krzyknął Newman.

— Co?! — Paula zerwała się na równe nogi.

— Tę notatkę. Dwie kartki były sklezione — jak to się czasem zdarza w dziennikach. Pewnie byłem wtedy jeszcze tak oszołomiony, że nie zauważyłem braku dwóch stron.

— Pokaż! — rozkazała Paula. — I wyjaśnij mi wszystko.

Podał jej otwarty notatnik, po czym wstał i napił się wody mineralnej. Chodząc po pokoju miał wrażenie, że porusza się w gorącej smole.

— To pismo Sandy — ciągnął dalej. — Ciekawe, kogo miała na myśli. Zresztą wszystko jedno, nie myliła się. Okłamał ją.

— Przepraszam, chyba jestem zbyt tępa...

— Chodzi o niedużą miejscowość, więc — jak większość ludzi — pewnie nigdy o niej nie słyszałaś. Ale Porvoo nie leży w Szwecji, dlaczego więc ktoś uznał za konieczne, żeby kłamać na ten temat?

— A gdzie to jest? Powiedz wreszcie.

— To stary port, jakieś siedemdziesiąt czy osiemdziesiąt kilometrów stąd na wschód od Helsinek, na przedłużeniu autostrady E3. Chyba się tam wybiorę.

Zobaczę, czy Marler jest u siebie.

— Czyja też mogę pojechać? — zapytała, gdy podniósł słuchawkę telefonu.

W parę minut później do drzwi zapukał Marler. Był w garniturze z tropiku.

Newman czuł się wymięty i zmaltretowany, upał go wykańczał, a Marler wyglądał jak zwykle świeżo i rześko.

— Zrobiłem sobie sjestę — oznajmił. — Znudziło mnie czekanie na Tweeda, bez względu na to, gdzie go poniosło. Pytał, czy wstrzymam się z odlotem do Rovaniemi, aż zdobędziemy więcej informacji. Nie zgodziłem się — chcąc zdobywać informacje, nie można siedzieć w miejscu — ale znacie Tweeda. Jak się miewa najpiękniejsza dziewczyna świata? — zapytał, zwracając się do Pauli.

— Nie mam nastroju do obłudnych pochlebstw. Jest za gorąco...

— Marler — wtrącił Newman zniecierpliwiony — kiedy byłeś u Mauno Sarina, pokazał ci listę spółek Hausera w Finlandii. Czy któraś z nich znajduje się w Porvoo?

— Nie — odparł Marler bez namysłu. — Dlaczego pytasz, stary?

Newman wyjaśnił, co znalazł w dzienniku Sandy. Wręczył go Marlerowi, który spojrzawszy na notatkę uniósł brwi. Oddając Newmanowi dziennik zauważył:

— Niewiele z tego wynika.

— To się jeszcze okaże — stwierdził z uporem Newman, zakładając buty.

Otworzył szufladę, ostrożnie wyjął z niej złożone starannie koszule, po czym wyciągnął kaburę i założywszy ją na ramię wsunął do środka smith and wesson.

Włożył marynarkę i przejrzał się w lustrze. Marler, unosząc brwi, spojrział na Paulę. Dziewczyna wzięła się pod boki.

— Bob, pytałam, czy mogę z tobą pojechać.

— Chyba tak. Marler, czuj się zaproszony. Pomogłeś mi. Powiedziałaś, gdzie jest ten zagajnik, z którego widać centralę korporacji INCUBUS.

— Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Chyba byłem do ciebie wyjątkowo życzliwie nastawiony. A tak przy okazji: czy ktoś wie, gdzie jest Tweed?

Newman zachował obojętny wyraz twarzy. Po natknięciu się na dwóch sowieckich ochroniarzy odleciał z Turku w powrotną drogę. Częściowo dlatego, że martwił się o Paulę. Tweed został na miejscu. Zaniepokojony o Nielda, pojechał taksówką na nabrzeże. Dillon nalegał, aby mu towarzyszyć.

— Potrzebujesz ochrony — powiedział. — Jestem uzbrojony, a skoro nie ma Nielda, zostałbyś sam...

— O ile mi wiadomo, Tweedowi nic nie grozi — stwierdził Newman. — Nie ma go na razie w Helsinkach. Jedziesz ze mną do Porvoo czy nie? — Newman zdążył

odebrać po powrocie zaparkowane obok lotniska BMW.

— Może... — zgodził się Marler bez przekonania. — Nie bardzo widzę sens. Tyle zamieszania z powodu jakiejś notatki w dzienniku. INCUBUS, jak ci już wspomniałem, nie ma tam żadnej firmy. Ktoś jednak musi się tobą zająć.

— Przywieziesz mnie tu z powrotem przed siódmą? — zapytała Paula. —

Umówiłam się z Adamem Carverem. Oczywiście, że przywieziesz — ciągnęła jednym tchem. Za Wszelką cenę chciała z nim jechać. — Pewnie zresztą i tak nic się nie zdarzy, gdy tam będziemy...

Newman wjechał przez most nad rzeką do Porvoo. Na fotelu obok siedziała Paula, a z tyłu Marler. Rzuciwszy okiem w kierunku morza Newman zobaczył

osadę przycupniętych nad wodą drewnianych parterowych domków. Koło każdego z nich był wysunięty w głąb rzeki pomost, przy niektórych cumowały stare łodzie. Porvoo miało zupełnie inną atmosferę niż skansen zabytkowych domów w Turku, gdzie czuło się jakąś nienaturalność.

— Podoba mi się tutaj — stwierdziła Paula. — To naprawdę stara, mała osada.

Daje człowiekowi pojęcie, jak wyglądała Finlandia sto lat temu.

Newman zaparkował BMW. Paula i Marler rozglądali się wokół.

Było późne popołudnie, z błękitnego nieba świeciło słońce. W północnej części miasteczka pięły się stromo w górę stare, brukowane ulice, wchodząc między kolejne drewniane domy, z których większość miała ściany pomalowane na rdzawoczerwony kolor i ciemne dachy. W kierunku szczytu wzgórza mozolnie wdrapywały się rozciągnięte grupy turystów.

— Gdzie zaczynamy? — zapytała Paula z werwą.

— Przy nabrzeżu — odparł Newman.

— Dlaczego, stary? — zdziwił się Marler.

— Sam nie wiem. Intuicja. I nie mów do mnie „stary”. Ruszajmy.

Minęli główną drogę i poszli brukowaną ulicą za rzędami domków, które Newman widział, przejeżdżając przez most. Wąskie zaułki prowadziły między zabudowaniami w dół do rzeki. Newman zdecydowanie szedł naprzód.

Paula musiała się spieszyć, żeby dotrzymać mu kroku. Marler włókł się z tyłu, paląc długiego papierosa.

Paula spojrzała na Newmana, niemal biegnąc obok niego. Miał posępną minę.

Chwyciła go pod ramię.

— Zwolnij trochę. Wyglądasz, jakbyś był żądny krwi. To dlatego, że czytałeś znowu ten dziennik, prawda?

— Mam ochotę poderżnąć komuś gardło.

— Naprawdę myślisz, że warto tu węszyć? Nie wydaje mi się, żeby mogło nam to w czymś pomóc.

— Więc będziemy zadawać pytania. Kiedyś na tym polegała moja praca. I nadal nieźle sobie radzę. Zacznijmy od razu. Tutaj.

Na drewnianym stołku siedział posiwiały rybak i naprawiał sieci. Podniósł wzrok, gdy Newman stanął przed nim, trzymając w palcach kilka banknotów.

— Mówi pan po angielsku?

— Trochę.

— INCUBUS zlecił mi napisanie artykułu na temat swojej działalności. Czy wie pan, co oni robią w Porvoo?

Rybak przerwał na moment naprawianie sieci. Rzucił okiem na banknoty i powrócił do swej pracy. Dopiero po chwili się odezwał:

— Nigdy nie słyszałem o tej korporacji. Nic nie wiem.

Newman poszedł dalej, trzymając się blisko nabrzeża. Paula zaczekała, aż znaleźli się na tyle daleko, by rybak nie mógł usłyszeć jej pytania.

— Myślisz, że coś nam to daje?

— Owszem. On kłamał. Nie zauważyłaś? Użył określenia „ta korporacja”.

Wcale mu nie mówiłem, że INCUBUS jest korporacją. Więc dlaczego nie powiedział prawdy? Chyba na coś się natknęliśmy. Spróbujmy z tamtym facetem.

Przystanął obok rybaka, który uszczelniał wiosłową łódź. Wszystko się powtórzyło — pytanie, rzut oka na pieniądze i na Newmana, a potem przeczący ruch głowy. Newman ruszył dalej. Paula szła przy nim, a Marler nadal włókł się z tyłu.

Idąc równolegle do rzeki przebyli już sporą odległość. Okolica zrobiła się bardziej dzika, mniej zaludniona. Jeszcze dość daleko od morza Newman próbował dowiedzieć się czegoś od trzech kolejnych rybaków. Za każdym razem otrzymywał negatywną odpowiedź i ciągle miał wrażenie, że

coś przed nim ukrywają. Gdzie już tego doświadczył? Na Boga, w Suffolk! W okolicach dworku Livingstone. Newman zrozumiał, że długie ramię Franklina D. Hausera sięga aż do Porvoo.

W tym momencie czujne ucho Pauli wychwyciło odgłos silnika zbliżającego się do nich powoli od tyłu pojazdu. Po chwili usłyszała coś jeszcze — przeciągły i uporczywy gwizd. Marler. Spojrzała przez ramię. Za Marlerem jechał powoli jakiś motocyklista, podskakując na wybojach. Wyglądał na rybaka. Marler skinął

na Paulę, by do niego podeszła. Motocyklista nie zauważył tego gestu. Paula powiedziała Newmanowi, że za chwilę wróci, i zrównała się z Marlerem.

— O co chodzi? — zapytała.

— Ten facet z tyłu na motocyklu. Jedzie za nami od dziesięciu minut i ma was na oku.

— Nie przypuszczasz chyba, że to jakiś zbir nasłany przez INCUBUS? — spytała zaniepokojona.

— Nie mam pojęcia. Zobaczymy, jak się sprawy potoczą. W pobliżu nie widać żadnych rybaków.

Gdy to mówił, motocyklista przejechał powoli obok nich. Dotarwszy do Newmana zatrzymał maszynę, zeskoczył i zaczął ją prowadzić. Newman ocenił

nieznajomego na trzydzieści parę lat. Był to mężczyzna o czerstwej twarzy, gęstych ciemnych włosach i wydatnym podbródku z jednodniowym zarostem.

— Zdaje się, że chciał pan zasięgnąć informacji — powiedział.

— Doprawdy? I co z tego?

— Pytał pan niewłaściwych ludzi.

— Chyba tak.

Newman starał się nie okazywać zainteresowania. Szedł dalej, a rybak towarzyszył mu, prowadząc motocykl. Przez parę minut obaj milczeli.

— Niech pan mnie zapyta — zaproponował nieznajomy.

Newman powtórzył pytanie, które zadawał innym rybakom. Jego towarzysz nadal milczał. Newman pokazał mu banknoty w wyciągniętej ręce.

Spowodowało to nieoczekiwaną reakcję.

— Nie chcę pańskich pieniędzy! Skąd mam wiedzieć, kim pan jest? Może agentem Hausera.

— To prawda. Należy być ostrożnym. — Newman wyjął legitymację prasową i wręczył ją nieznajomemu. Rybak przystanął, mrużąc czujne oczy. Newman zdał

sobie sprawę, że ten człowiek nie widział dotąd takiego dowodu tożsamości.

Postanowił zaryzykować.

— Nazywam się Robert Newman. Jestem dziennikarzem. Prowadzę dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS. Zdaje się, że coś w niej śmierdzi.

— Owszem. — Rybak oddał mu legitymację. — Jeszcze parę miesięcy temu łowiłem dla nich ryby. Jeśli ktoś tu tego nie robi, ciężko mu się żyje. Zagrozili mi i powiedzieli, że nie będę więcej dla nich pracował.

— Niech pan mówi dalej. To ciekawe.

— Mają tam — wskazał ręką w kierunku morza — ogromny statek przetwórnicy do produkcji mrożonych ryb. Nazywa się „Nowy Jork”. To najnowocześniejsza tego typu jednostka na świecie. Dostarczamy złowione ryby w głąb morza, do statku przetwórnicy. Tam je czyszczą, patroszą, mrożą i paczkują. Mają nawet na pokładzie samochody chłodnie. „Nowy Jork” wygląda jak gigantyczny prom.

Zbudowali przy szosie na wybrzeżu wielką rampę. Co jakiś czas „Nowy Jork” przybija do brzegu — koło rampy jest bardzo głęboka woda. Wtedy ciężarówki zjeżdżają na ląd i wyruszają z towarem do miejsc przeznaczenia.

— Wygląda to na legalną działalność. Zgodną z prawem — stwierdził Newman.

— Dzieje się jednak coś dziwnego. Ciężarówki zjeżdżają zawsze z pokładu

„Nowego Jorku” po zapadnięciu zmroku. Podczas wyładunku nikomu nie wolno przebywać w pobliżu rampy. Między innymi z tego powodu straciłem pracę.

Przyglądałem się wyładunkowi i złapali mnie strażnicy.

— Strażnicy?

— Ludzie uzbrojeni w karabiny. Po dostarczeniu ryb nikomu nie wolno się zbliżać do statku przetwórnicy. Podpłynąłem tam z ciekawości, kiedy wyładowałem swój połów. Na pokładzie są strażnicy z karabinami. Zauważyli mnie. Zaczęli strzelać, ale udało mi się uciec. Niestety, któryś musiał mieć lornetkę. Rozpoznali mój kuter. Ten statek przetwórnicy służy do czegoś więcej niż zamrażanie ryb.

— Za informacje należy się nagroda — stwierdził Newman, pokazując znowu banknoty.

— Powiedziałem, że nie chcę pańskich pieniędzy — zachnął się rybak. — Chcę się odegrać na Hauserze. Zastanawia mnie jeszcze jedno. Mam kuzyna w Kemijärvi. To jest na północ od koła polarnego, po drodze do Instytutu Meteorologii i sowieckiej granicy... — zawahał się.

— I co tam się takiego znajduje? — naciskał Newman.

— Kiedy byłem u kuzyna, zobaczyłem przypadkiem samochód chłodnię z napisem INCUBUS. Jechał drogą numer 82 na wschód. Komu są tam potrzebne te mrożone ryby?

— Nie mam pojęcia. Wygląda to dziwnie.

— Gdyby wrócił pan szybko do Porvoo, mógłby pan przyjrzeć się z bliska jednej z ich ciężarówek. Miała awarię. Naprawiono ją, ale kiedy jakąś godzinę temu przejeżdżałem przez Porvoo, widziałem kierowcę w barze na obiedzie. Może go pan dogoni swoim BMW.

— Domyśla się pan, którądy jedzie? — Newman wyjął mapę, a rybak pokazał mu palcem trasę. — Przez Lahti, a potem na północ trasą E4? Skąd pan to wie?

— zdziwił się Newman.

— Pewnej nocy śledziłem jedną z ciężarówek na motorze. Musi się pan pospieszyć, żeby złapać ten samochód jeszcze w Porvoo. Parkował tuż za rogiem, obok miejsca, gdzie zostawił pan swoje BMW. Jeżeli już odjechał, może go pan dogoni.

— Dzięki. Wielkie dzięki. — Newman odwrócił się, by podejść do Pauli i Marlera, którzy zostali z tyłu. Paula udawała, że interesują ją jakieś rosnące dziko kwiaty. — I niech pan na siebie uważa. Ludzie z korporacji są bezwzględni.

Pędzili wśród lasów po gładkiej szosie. Paula wpatrywała się zafascynowana w głuszę ciągnących się w nieskończoność gęstych jodłowych borów. W prześwicie między drzewami ujrzała przez moment bajkowe jezioro, tafłę błękitnej wody.

Ani śladu obecności człowieka. Cała Finlandia wydawała się naturalną, nie skażoną oazą spokoju i piękna.

Kiedy pospiesznie wrócili do Porvoo, stwierdzili, że ciężarówka zniknęła.

Wskoczyli do BMW i jechali teraz opisaną przez rybaka trasą. Paula siedziała obok Newmana z mapą na kolanach i pełniła rolę pilota. Marler był z tyłu, rzucając od czasu do czasu gderliwe uwagi.

— Wiecie co — zaczął znowu — nie przypuszczam, żebyśmy cokolwiek znaleźli, o ile w ogóle natrafimy na tę ciężarówkę. Moim zdaniem ta wyprawa to trochę zwariowany pomysł.

— Dzięki za wotum zaufania — burknął Newman.

— Nie ma za co, stary. Zawsze możesz na mnie liczyć.

Paula spojrzała na Newmana. Miał ciągle ponurą minę i patrzył prosto przed siebie. Mijali długi zakręt, obramowany ciemną ścianą lasu. Z przodu i z tyłu nie widać było żadnego samochodu. „Czysta rozkosz — pomyślała Paula. — Gdzie indziej na świecie można znaleźć taką bajeczną krainę, przez którą jedzie się zupełnie samemu...”

Jej rozmyślania zostały nieoczekiwanie przerwane. Skończył się zakręt i mieli teraz przed sobą długi prosty odcinek autostrady. O pół kilometra dalej jechała wielka ciężarówka. Kiedy się do niej zbliżyli, Paula zobaczyła, że to samochód chłodnia. Z tyłu pojazdu widniał napis INCUBUS.

— A niech mnie diabli! — Marler wyprostował się nagle. — Cofam wszystko, co powiedziałem. Nigdy bym nie przypuszczał, że dogonimy tego łajdaka.

— Trzeba teraz zdecydować, jak to załatwimy — stwierdził Newman.

— Stań na poboczu, jeśli łaska — poprosił Marler.

Newman, zastanawiając się, o co mu chodzi, zatrzymał wóz i wyłączył silnik.

Paula miała obok siebie opuszczoną szybę. Była zdumiona leśną ciszą, którą niemal dosłownie słyszała. Jak w raj.

— A teraz mnie posłuchajcie — mówił Marler. — Ja siadam za kierownicą.

Żadnych dyskusji. INCUBUS ma zdjęcia was obojga. I to Bóg wie ile, biorąc pod uwagę te ekipy filmowe na lotnisku Arlanda i na przystani promowej w Sztokholmie, o których wspominaliście. Moich zdjęć nie mają wcale, a więc zamieniamy się miejscami. Ja będę prowadził, wy siadacie z tyłu. Kiedy podjedziemy bliżej, macie się objąć. Na pewno rozesłali odbitki waszych zdjęć.

Te ciężarówki mają duże boczne lusterka. Jasne?

Wyszli z samochodu, by się przesiąść. Paula spojrzała na Marlera. Miał poważny wyraz twarzy.

— Nie jesteś uzbrojony — zauważyła.

— Mylisz się, moja droga.

Podciągnął lewą nogawkę spodni. Do szczupłej łydki przypasana była od wewnętrznej strony skórzana pochwa. Wydobył z niej długi sztylet o złowrogo wyglądającym ostrzu, po czym wetknął go z powrotem.

— Fiński nóż myśliwski — wyjaśnił. — Dostępny we wszystkich lepszych sklepach z artykułami żelaznymi w Helsinkach. Chyba zauważyłaś. — Spojrzał w dal na prostą jak strzelił drogę. — Nic nie jedzie. Nie traćmy czasu...

Rzuciwszy okiem we wsteczne lusterko przekonał się, że mają za sobą pustą szosę, i ruszył z miejsca. Zbliżył się do ciężarówki i stwierdził, że posuwa się ona w równomiernym, ale niezbyt szybkim tempie. Przyglądał jej się przez chwilę.

— Mają nad kabiną mnóstwo anten — zauważył. — Może są w kontakcie z Marsem.

Na tylnym siedzeniu Newman objął Paulę.

— Niech to wygląda przekonująco — szepnęła i przycisnęła wargi do jej ust.

Marler sprawdził w lusterku, czy nie widać ich twarzy, po czym dodał gazu i wyprzedzając ogromną ciężarówkę stwierdził ze zdziwieniem, że w kabinie siedzi tylko kierowca. Nie było obok niego strażnika. Może sprytnie udawali niewiniątka? A właściwie, co mieli na sumieniu?

Zaczął naciskać klakson. Tut, tut... Tut, tut... Kierowca ciężarówki, niski i krępy mężczyzna, spojrzał na niego. Marler uśmiechnął się, pokazał ręką za siebie, a potem na pobocze, nadal trąbiąc w denerwujący sposób. Kierowca wzruszył

ramionami, zwolnił, zjechał na bok i stanął.

Marler zatrzymał się tuż przy kabinie ciężarówki i wyskoczył z wozu. Stanął z podniesioną głową i gdy kierowca otworzył drzwi, odezwał się do niego z uśmiechem:

— Mówi pan po angielsku? To świetnie. Pomyślałem, że powinienem pana ostrzec. Wisi panu z tyłu ta cholerna tablica rejestracyjna. Lada chwila spadnie na jezdnię. Patrol może się przyczepić. Wie pan, jacy oni są. Byle tylko mogli zapisać coś w notesie...

Kierowca zszedł po schodku na jezdnię. Marler wyciągnął lewą ręką pojemnik z aerozolem, przycisnął kapturek i trysnął mu w twarz strumieniem lakieru do włosów. Mężczyzna jęknął, podnosząc obie dłonie do oczu.

— Jezu Chr...

Nie zdążył dokończyć, gdyż Marler wymierzył mu cios w szczękę. Kierowca zatoczył się do tyłu, a gdy bezwładnie upadł na ziemię, Marler chwycił go pod pachy. Newman i Paula wyskoczyli z BMW i podbiegli.

— Ma tu w środku całe centrum łączności — ostrzegł Marler, wcisnąwszy kierowcę z powrotem do kabiny. — Także mikrofon i parę urządzeń, których nie znam. Zaczekajcie chwilę.

Wspiął się do kabiny i przeszukał kieszenie leżącego nieruchomo mężczyzny.

Znalazłszy w marynarce pęk kluczy, podniósł je do góry.

— Mam! — krzyknął. — Zobaczmy teraz, którym z nich otwiera się tylne drzwi...

Musiał spróbować czterech kluczy, zanim odryglował zamek.

Chwyciwszy za klamkę otworzył prawe skrzydło drzwi i wsunął się do środka.

Wyglądało to jak wejście do skarbcza. Poczul lodowaty powiew. Newman podążył za nim, a Paula została na zewnątrz, aby ich ostrzec, gdyby ktoś się pojawił na drodze.

Marler odchylił stalową pokrywę pojemnika, który zdawał się zawierać dużą partię mrożonych ryb, i

przyświecając sobie kieszonkową latarką zajrzał do środka. Oddychał przez zaciśnięte zęby. Zaczerpnął garść szarej masy plastycznej i uformował ją w kulę, przez cały czas szcękając zębami z zimna.

Paula otworzyła od zewnątrz drugą połowę drzwi i zajrzała do środka.

— Zamarzniecie tam na śmierć — ostrzegła. — Tu panuje mróz jak w Arktyce.

— Lepiej zostaw drzwi otwarte na oścież! — zawołał Newman. — Przynajmniej coś widzimy.

Otworzył kolejny metalowy pojemnik i przyjrzał się jego zawartości. Podniósł

wzrok, widząc, że Marler przemyka obok niego, wyskakuje z ciężarówki, podbiega do BMW i wraca po chwili z jakąś szmatą. Newman pochylił się niżej nad otwartym pojemnikiem. Nagle znieruchomiał.

— Marler, podejdź tutaj.

— Co znalazłaś?

Marler zawinął w szmatę dużą kulę szarej masy i właśnie obwiązywał swą apaszką. Podeszedł do Newmana i zajrzał do wnętrza pojemnika. Newman się wyprostował.

— O ile nie jestem całkowicie w błędzie — powiedział — to laski gelignitu. I już się poca. Miałeś chyba kurs na temat materiałów wybuchowych w ośrodku szkoleniowym Amersham w Chilterns.

— To gelignit — odparł krótko Marler. — Wynośmy się z tej ciężarówki.

Przypomina tykającą bombę zegarową...

— Może powinniśmy sprawdzić jeszcze parę pojemników?

— A może lepiej nie. Domyślam się, że we wszystkich są materiały wybuchowe.

Spływajmy stąd.

— Co tam masz? — zapytał Newman.

Marler wetknął zawiniątko do kieszeni marynarki i wyskoczył na jezdnię. Dał

Newmanowi znak ręką, żeby się pospieszył.

— Przypuszczam, że to semtex. Na szczęście bez detonatora i rozmaitych dodatków jest niegroźny.

Marler wyciągnął z BMW jeszcze parę szmat i stojąc obok kabiny ciężarówki zaczął je skręcać.

— Pomóż mi trochę — powiedział do Newmana. — Musimy unieruchomić kierowcę, bo jak odjedziemy, może się ocknąć. —

Wspiąwszy się do kabiny zbadał puls leżącego bezwładnie mężczyzny. — Tętno w porządku, ale jeszcze przez jakiś czas będzie nieprzytomny.

Newman obrócił kierowcę i przytrzymał mu ręce na plecach, a Marler krępował

je w przegubach prowizorycznymi więzami. Potem związali mężczyźni nogi w kostkach. Newman spojrzął na tablicę rozdzielczą, która przypominała bardziej konsolę. Wziął do ręki mikrofon i rozbił go o podłogę, po czym zeskoczył

razem z Marlerem na jezdnię, zamykając drzwi kabiny.

Paula nadbiegła zza ciężarówki, mówiąc pospiesznie:

— Przymknęłam tylne drzwi. Słyszałam, co mówiliście.

— Lepiej zamknąć je na klucz — stwierdził Marler.

Podbiegł do tylnej części pojazdu, a Paula tymczasem wyjęła z BMW swoją mapę i zaznaczyła na niej krzyżyk.

— Mauno Sarin — rzekł Newman, gdy Marler wrócił trzymając w górze pęk kluczy. — Musimy szybko się z nim skontaktować.

— O jakieś piętnaście kilometrów stąd stała przy drodze budka telefoniczna —

powiedziała Paula.

— Nie wsiadajcie do wozu — ostrzegł Marler. — Chcę, żebyście oboje przebiegli ze sto metrów wzdłuż drogi i byli jak najdalej, kiedy włączę silnik. Istnieje możliwość, że z powodu jego wibracji wszystko wyleci w powietrze. Nie dyskutuj, Newman. Zabierz stąd Paulę. Szybko, na litość boską!...

Z trudem chwyając oddech — niełatwo było biegać w tym upale — Newman i Paula zatrzymali się dalej przy autostradzie i czekali. Stali w palącym słońcu, odczuwając coraz większe napięcie. Newman żałował, że nie uparł się, by samemu poprowadzić wóz. Marler usiadł za kierownicą BMW, stojącego tuż przy kabinie ciężarówki. Paula zacisnęła dłonie w pięści, wyczekując odgłosu zapalającego silnika.

„Dlaczego Marler tak zwleka, do cholery?” — zastanawiał się Newman. Wziął

Paulę za rękę. Rozwarła pięść, wplotła palce w jego dłoń i mocno ścisnęła. Cisza, która wydawała się przedtem taka cudowna, wisiała teraz w powietrzu jak groźba. Paula modliła się, żeby wszystko dobrze poszło, modliła się o to z całych sił.

Marler siedział za kierownicą z nie zapalonym papierosem w ustach. Rzucił

okiem na ciężarówkę. Za kilka sekund okaże się, czy pozostanie przy życiu, czy zamieni się w rozrzucony po polu nawóz. Nie było na co czekać. Newman miał

rację — musieli skontaktować się z Sarinem.

Paula i Newman stali obok siebie jak dwa posągi. Paula drżała. Ciszę przerwał

odgłos włączonego przez Marlera rozrusznika. Pauli wydał się on głośny jak grzmot. Boże! A więc ciężarówka eksplodowała...

BMW ruszyło powoli, sunąc w ich kierunku. Marler zawrócił i zatrzymał się koło Pauli i Newmana. Wskoczyli do wozu. Paula rzuciła się na fotel obok kierowcy i chwyciła mapę. Marler, trzymając nadal w ustach nie zapalonego papierosa, powoli ruszył z powrotem, ostrożnie minął stojącą ciężarówkę i dopiero po przejechaniu w ten sposób kilkuset metrów nacisnął z całej siły na gaz.

Newman i Marler zjawili się w biurze Mauno Sarina przy Ratakatu o dziewiątej wieczorem, tak jak uzgodnili wcześniej przez telefon, gdy Newman zadzwonił do niego z samotnej budki przy autostradzie. Sarin wstał zza biurka i powitawszy Marlera skinieniem głowy uściśnął dłoń Newmanowi.

— Mam nadzieję — rzekł — że tym razem pańska wizyta różni się od tej sprzed paru lat, kiedy jechaliśmy razem do Estonii.

— Jak już panu wcześniej wspominałem, są pewne smutne podobieństwa —

odparł Newman, przestając na tej uwadze. — Jakie ma pan nowiny na temat tego samochodu chłodni? — zapytał.

— Napijecie się panowie kawy?

Newman i Marler siedzieli na twardych krzesłach. W surowym, pozbawionym ozdób gabinecie Mauno Sarina brakowało wygód. Obaj pokręcili głowami. Sarin usadowił się za biurkiem i zaczął obracać w palcach ołówek.

— Zareagowałem natychmiast na pański telefon — powiedział. — Wysłałem sześć wozów patrolowych, w każdym dwóch uzbrojonych ludzi. Kiedy oddał pan słuchawkę Pauli Grey, opisała dokładnie to miejsce. Radiowozy przyjechały... —

rzucił okiem na leżącą na biurku kartkę maszynopisu — w trzydzieści pięć minut po pańskim telefonie. Policjanci odnaleźli ciężarówkę korporacji INCUBUS.

Kierowca spał w kabinie. Twierdził, że tak na niego podziałał potworny upał.

— No tak. — Newman zmarszczył brwi. — A co z materiałami wybuchowymi?

Proszę mówić dalej.

Sarin pomachał ołówkiem jak nauczyciel.

— Policjanci z patrolu sprawdzili wszystkie pojemniki w ciężarówce. Wszędzie były mrożone ryby. Ani śladu materiałów wybuchowych...

— Nie wierzę — wtrącił Marler.

— Musi pan uwierzyć. Nie ma więc niezbitych dowodów na potwierdzenie opowiedzianej przez panów historii.

— Owszem, są — rzucił ostro Marler. Wyjął z kieszeni zawiniątko, odsłonił kulę z plastycznej masy i podał ją Finowi. — Zabrałem to osobiście z jednego z pojemników. Był przy tym Newman i może potwierdzić moje słowa. To semtex.

Sarin z zaciśniętymi ustami przyglądał się szarej kuli. Wdusił guzik pod blatem biurka. Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł niski, ciemnowłosy Fin.

— Karma, niech pan zabierze tę substancję na dół, do naszego eksperta od materiałów wybuchowych. Proszę zapytać, czy potrafi ją zidentyfikować. I proszę zrobić to zaraz.

Dopiero gdy zostali sami, Newman zapytał:

— Czy policjanci z patrolu podali rysopis kierowcy?

— Tak. — Sarin spojrział ponownie na kartkę maszynopisu. -Wysoki mężczyzna o szczupłej twarzy i z wąsami. Po pięćdziesiątce.

— Zamienili kierowców! — powiedział z oburzeniem Marler. — Nasz był niski, krępy, tuż po trzydziestce.

— Zamienili także ciężarówki — przerwał mu Newman. — Jak, do diabła, zdążyli to zrobić? Skąd się dowiedzieli? — Przypomniał sobie, jak wyglądała wewnątrz kabina pojazdu. — Powiniennem był

o tym pomyśleć. Mają na tablicy rozdzielczej skomplikowaną konsolę.

Wspominałem panu, że rozbiłem mikrofon. Przewożąc silne materiały wybuchowe musieli stosować jakiś nowoczesny system, pozwalający im kontrolować ciężarówkę w dyskretny sposób, tak by nie musiał za nią jechać samochód z obstawą. Marler, co o tym myślisz?

— To jedyne wyjaśnienie tej sztuczki ze zniknięciem kierowcy i ładunku. Kierowca mógł wysyłać co pięć minut sygnały, potwierdzając, że wszystko w porządku. Na dachu kabiny była cała masa urządzeń łączności. To spryciarze. Kiedy nabrali podejrzeń, że coś nie gra, wysłali drugą ciężarówkę, zapewne z dwoma kierowcami i paroma ludźmi z obstawy. Jeden z tych nowych kierowców odjechał potem ciężarówką z materiałami wybuchowymi, a drugi zaparkował na jego miejscu. Kiedy zjawiły się wozy patrolowe, udawał, że śpi.

Wierzy nam pan? — zapytał Sarina.

— Chwileczkę — *wtrącił się Newman*. — Po *telefonie* do pana zostawiliśmy w budce, zgodnie z umową, klucze do tylnych drzwi ciężarówki. Czy ktoś je zabrał?

— Tak. Ludzie z wozu patrolowego. — Sarin otworzył szufladę i pokazał im pęk kluczy. — Policjanci wypróbowali wszystkie. Żaden nie pasował.

— To oczywiste — powiedział Marler.

— Poza tym — kontynuował Sarin — nie ma na tych kluczach żadnych oznaczeń, które by pozwoliły stwierdzić, że należały one do korporacji INCUBUS.

— Zauważyłem — odparł Marler. — Mogę zapalić?

— Skoro pan musi...

— Wierzy nam pan?

— W co mam wierzyć?

Rozległo się pukanie do drzwi i wszedł Karma, z kamienną, jak zwykle, twarzą.

Stanął nic nie mówiąc.

— No i co? — zapytał Sarin z rozdrażnieniem. — Są jakieś wiadomości?

— Tak. To semtex. Nie ma wątpliwości.

— Dziękuję, Karma. To by było wszystko.

Newman skorzystał z okazji, by włączyć się do rozmowy.

— Wiem też z wiarygodnego źródła, że widziano, jak ciężarówka korporacji INCUBUS przejeżdżała przez Kemijärvi, za kołem polarnym. Zmierzała na wschód, w kierunku Instytutu Meteorologii,

o którym mówił pan Marlerowi. Ile zjadają tam mrożonych ryb? I czy pańska straż przybrzeżna nie mogłaby wejść na pokład tego statku przetwórci, o którym wspominałem panu przez telefon?

— Nie. Pływa daleko poza wodami terytorialnymi Finlandii.

— Więc nie będziemy już panu zabierać cennego czasu.

— Czy mogę to wziąć? — zapytał Marler sięgając po semtex, który Karma położył na biurku.

— Nie, nie może pan.

Wyszli. Mauno Sarin został w swoim biurze bardzo zmartwiony i sfrustrowany.

— Po co próbowałeś zabrać ten semtex? — zapytał Newman w samochodzie.

— Och, nigdy nie wiadomo, kiedy się może coś przydać. — Marler patrzył przez okno. Biuro Sarina przy Rakataku zostało za nimi. — Potrafię skonstruować detonator i mechanizm zegarowy. W każdym sklepie z artykułami żelaznymi w Helsinkach dostanę potrzebne akcesoria... domowego użytku.

— Tyle że nie masz semtexu.

— Powinieneś się wstydzić. Nie byłeś zbyt spostrzegawczy, kiedy nu autostradzie przeszukiwaliśmy tę ciężarówkę.

Marler otworzył schowek na rękawiczki. Wewnątrz leżał obwiązany szmatką przedmiot przypominający cegłę. Marler odsunął kawałek tkaniny, pokazując Newmanowi, co zawiera. Była to uformowana w kostkę szara, plastyczna masa.

— Semtex. Wystarczy, żeby spowodować całkiem silną eksplozję. Ciekaw jestem, jak naszej niewinnej Pauli udaje się randka?

Paula założyła efektowną, pomarańczową sukienkę w białe słoneczniki. Wybrała starannie taką, która miała długie rękawy i sięgała pod szyję, aby błędząca dłoń Carvera nie mogła dotknąć żadnego odkrytego fragmentu jej ciała.

— Znam za miastem cudownie romantyczne miejsce — oznajmił Adam Carver, kiedy spotkali się w hallu „Hesperii”. — Jestem swoim cadillakiem, więc możemy tam szybko dojechać. Spodoba ci się restauracja i widok na morze.

— Dziękuję — Paula obdarzyła go swym najpiękniejszym uśmiechem — ale zamówiłam już stół na twoje nazwisko w mojej ulubionej restauracji. W hotelu

„Palace”. Widać stamtąd port.

— Rozumiem. — Przez kilka sekund nie potrafił ukryć rozczarowania, ale zaraz wziął się w garść. — Wspaniale. Niech będzie „Palace”. Ruszajmy. Najpierw napijemy się czegoś na rozgrzewkę w barze. Chociaż patrząc na ciebie już jestem rozgrzany...

Carver miał na sobie popielaty jedwabny garnitur i biały krawat. Paula pomyślała, że wygląda jak sprzedawca farb, ale nie powiedziała tego głośno.

Podczas kolacji rzucał jej uwodzicielskie spojrzenia, udawała jednak, że nie dostrzega jego zalotów. Dopiero gdy jedli główne danie, poruszyła zasadniczy temat.

— Mamy wspólną znajomą. Evelyn Lennox. O ile wiem, odwiedziła ją w domku w Walberswick.

Carver milczał przez chwilę, zanim odpowiedział:

— Poznałem ją, ale tylko przelotnie.

— Doprawdy? — Paula wypła łyk chablis. — Wspominała mi, że odwiedziła ją również w Wandsworth. To dzielnica Londynu.

— Wiem — powiedział ostrym tonem. — To znaczy, tam też się spotkaliśmy.

Chodziło o interesy.

— Z rozmowy z nią nie odniosłam takiego wrażenia. Kiedy nie odwiedziła cię w Londynie, ścigałeś ją aż do Suffolk. To jej własne słowa.

Znowu się słodko uśmiechnęła. Popijając wino zauważyła, że ciemne oczy Carvera stały się jeszcze ciemniejsze, bardziej przenikliwe. „Uważa, że potrafi zhipnotyzować kobiety” — pomyślała rozbawiona.

— Chyba trochę koloryzuje — stwierdził.

— Możliwe. — Paula nie wydawała się do końca przekonana. — Oczywiście Evelyn wiele przeszła. Najpierw zabójstwo jej szwagra, Eda Rivertona. — Paula popatrzyła za okno. — Strach pomyśleć, że w lutym znaleziono jego zwłoki w tym porcie.

— Zaczynamy rozmawiać o makabrycznych rzeczach. Zaprosiłem cię na kolację, żebyś się trochę rozerwała.

— Och, bądź spokojny. Świetnie się bawię. W dodatku niemal równocześnie zamordowano siostrę Evelyn, Sandrę Riverton. Jak to właściwie było? Czy najpierw zginął Ed, czy Sandra?

— Nie mam zielonego pojęcia. Któż to może wiedzieć? Ale nie mylisz się. Te straszne przeżycia rzeczywiście wytrąciły Evelyn z równowagi. Próbowałem podnieść ją na duchu.

— Naprawdę? To ładnie z twojej strony. Wspominałeś chyba, że łączyły was tylko interesy.

— No, tak... ale dziewczyna była bardzo zdenerwowana i przypuszczam, że musiała się komuś zwierzyć.

Paula przypuściła kolejny atak.

— To dziwne. Evelyn nie jest skora do zwierzeń. I nie przypuszczam, żebyś był

w jej typie. Oczywiście, mogę się mylić.

Carver, światowiec o gładkich manierach, plątał się w wyjaśnieniach. Wytarłszy usta serwetką zerknął na Paulę niepewnie, wypił duży łyk wina, po czym napełnił ponownie jej i swój kieliszek.

— Może po kolacji wybierzemy się na przejażdżkę za Helsinki? —

zapropował patrząc na nią uważnie. Czy wypita już dosyć, aby zmięknąć?

Niektóre dziewczyny miały mocne głowy do alkoholu. — Zobaczylibyśmy wspaniałe widoki i odetchnęli trochę świeżym powietrzem.

— Tylko że na zewnątrz jest gorąco jak w piecu.

Cofnęła rękę ze stołu, gdy Carver próbował jej dotknąć, wzięła widelec i powiedziała z uśmiechem:

— Znakomita kolacja. Często zapraszasz kobiety do restauracji? Chyba nie.

Praca musi ci zabierać większość czasu. Więc nie wyobrażam sobie, żebyś był

przyzwyczajony do damskiego towarzystwa.

Zauważyła, że to też nie przypadło mu do gustu. Poza doświadczonego Casanovy szybko znikąca. Carver zaczął pospiesznie jeść. Był wściekły i nic nie odpowiadał, słuchając jej paplaniny, którą przerwała tylko na krótko, aby napić się chablis z napełnionego do połowy kieliszka.

— Adamie, co właściwie robisz w korporacji INCUBUS? Siedzisz przez cały czas zagrzebany w papierach? Czy to nie jest nudne?

— Bynajmniej. — Odłożył nóż i widelec. Żałował, że zareagował tak gwałtownie. Niech ją cholera! Bawiła się nim jak marionetką. — Jestem wiceprezesem do spraw bankowości. Operuję ogromnymi sumami pieniędzy, sumami, o jakich pewnie ci się nawet nie śniło.

— A więc brałeś udział w przejmowaniu banku Egona Schmidta we Frankfurcie. Czytałam o tym w gazecie.

— To był uczciwy interes.

— Czyżby? — Obracała w dłoni kieliszek, przyglądając się Car-verowi znad krawędzi szkła. — Egon Schmidt, właściciel banku, nie chciał go sprzedawać.

Zginął, kiedy jego samochód wyleciał w powietrze, i to otworzyło wam drogę do ubicia interesu z jego synem, Dieterem, który był zawsze skory do transakcji.

Dzięki tej bombie miałeś bardzo ułatwione zadanie, Adamie.

— Zabili go terroryści z Frakcji Czerwonej Armii. To jeden z tych przypadków, które zdarzają się w interesach.

— Ale Frakcja Czerwonej Armii zaprzeczyła, by miała z tym cokolwiek wspólnego.

— To oczywiste, prawda?

Ponownie napełnił jej kieliszek i zamówił następną butelkę. Jak to się stało, do diabła, że rozmowa tak się potoczyła? Miał zamiar uwieść Paulę, a tymczasem to ona wyciągała z niego informacje na temat korporacji. Zaczekał, aż jeszcze trochę wypije, po czym przeszedł do ofensywy.

— Za dużo mówimy o mnie. Chcę dowiedzieć się czegoś o tobie. Dla kogo pracujesz? Kto jest twoim szefem? Ciężko mu dogodzić, prawda?

— Pracuję w towarzystwie ubezpieczeń. — Spojrzała Carverowi prosto w oczy.

— Ed Riverton miał u nas polisę na życie. Przyjechałam tu, żeby sprawdzić, co mu się przydarzyło. W pewnych warunkach polisa może być nieważna.

— Jesteś szefem firmy?

— Nic podobnego! Jest nim Martin Sheffield. — Wymieniła pierwsze nazwisko, jakie jej przyszło do głowy. — Wspaniały facet.

— Przyjechał z tobą? Jest w Helsinkach?

— Nie wiem na ogół, gdzie się podziewa. Jest jak meteoryt. Podziękuję chyba za deser i kawę.

Chciałabym już wrócić do hotelu.

— Do „Hesperii”? Podwiozę cię. — Poprosił o rachunek i wyciągnął kartę kredytową. Paula zaczęła, aż skończy załatwianie formalności.

— Dziękuję za zaproszenie, Adamie. Przykro mi, że psuję tak uroczy wieczór.

Było mi bardzo miło, ale poczułam się zmęczona i zaczyna mnie boleć głowa.

Chyba z powodu upału. Wrócę taksówką. Proszę, nie nalegaj.

Za nic nie chciała wsiadać znowu do jego przeklętego cadillaca.

Noc była parna. Kiedy czekali na taksówkę, Carver z trudem opanowywał rozdrażnienie.

— Dobrze chociaż, że znowu się zobaczymy — powiedział z przekonaniem.—

Zadzwoń do „Hesperii”. Następnym razem pojedziemy tam, gdzie będziesz chciała.

— Być może. Jeszcze raz dziękuję za wspaniałą kolację.

Wskoczyła do taksówki, zanim zdążył pocałować ją w policzek.

Nie pomachała mu, gdy samochód ruszył z miejsca. Usiadła wygodnie i uśmiechnęła się. Newman nie był jedyną osobą, która potrafiła wsadzać kij w mrowisko.

Usiadłszy za kierownicą cadillaca Carver walnął pięścią w tablicę rozdzielczą. Co za suka! Ale przy odrobinie szczęścia jeszcze się do niej dobierze. Da jej nauczkę, której nie będzie mogła nigdy zapomnieć!

Hauser wieczorem przyleciał z Turku i wsiadł na lotnisku w Helsinkach do oczekującej go limuzyny. Szofer poprowadził kuloodpornego mercedesa do miejskiej rezydencji Hausera — tajemniczej budowli z wieżyczkami, którą Newman pokazywał Dillonowi, kiedy jechali za nim na lotnisko.

W domu Hauser wziął prysznic i przebrał się, po czym wszedł na górę do pokoju w wieży, który stanowił zarazem gabinet i salon. Nalał sobie porcję bourbona i popijał go właśnie, gdy zadzwonił telefon. Przyjechał Adam Carver i chciał się z nim widzieć.

— Więc powiedz mu, żeby przywłókł tu swój tyłek...

Pokój miał kształt ośmioboku. Hauser wyglądał przez okno na opustoszały park, a Carver relacjonował przebieg spotkania z Paulą Grey. Wolałby pominąć niektóre fragmenty rozmowy z dziewczyną przy kolacji, wiedział jednak, że Hauser ma niesamowitą zdolność wyczuwania, kiedy człowiek coś przemilcza.

Był poza tym wściekły, że gdy tylko zaczął mówić, przyszedł Frank Galvone.

Hauser kazał mu usiąść i słuchać. Pozwolił, żeby nalał sobie drinka, jeśli dzięki temu będzie trzymał gębę na kłódkę. Szef nie był w najlepszym nastroju.

Razem z nim przyleciała Irina Sierowa, ale ze względów bezpieczeństwa odczekała pół godziny po wyjściu Hausera z samolotu.

Potem pojechała taksówką do należącego do spółki apartamentu w pobliżu miejsca, gdzie mieszkała Peggy Vanderheld.

Hauser polecił Manescu i Zieglerowi dotrzeć do Helsinek pociągiem. Każdy z nich miał się zgłosić pod inny adres w Setula, w pobliżu lotniska. Hauser gromadził siły.

Przysłuchując się sprawozdaniu Carvera, Galvone nalał sobie drinka, a potem oparł się o ścianę. Trzymał szklankę w porośniętych czarnymi włosami palcach i spoglądał na Carvera z cynicznym wyrazem twarzy.

— Wygląda na to, że spieprzyłeś robotę — zauważył, kiedy Carver skończył mówić.

Hauser napadł na niego z furją.

— Frank, zdaje się, że kazałem ci trzymać gębę na kłódkę. Jak wyglądają sprawy w instytucie? Wróciłeś właśnie zza koła polarnego?

— Przyleciałem przed godziną, szefie. — Galvone uśmiechnął się z zadowoleniem. — Podwojono ochronę. Jest naprawdę szczelna. Musiałem dać paru ludziom kopniaka między nogi, żeby ich

obudzić. Teraz już odechciało im się spać. Gdyby ktoś próbował tam węszyć, będzie z niego marmolada.

— Zdejmij ze swojej parszywej gęby ten uśmiech. Żadne zabezpieczenie nie jest pewne w stu procentach. Ile razy muszę to powtarzać? OK, posłuchajcie obaj.

Pojawił się kolejny problem. Trzeba zlokalizować naszych wrogów. Że ich mamy, to pewne. Świadczy o tym choćby ciężarówka, którą udało nam się uratować pod Porvoo. Mówiłem ci

o tym, Frank, kiedy dzwoniłeś z lotniska. Tobie, Adamie, później wszystko wyjaśnię. Wyłącznie dzięki mojemu uporowi znamy już, być może, tych, którzy stają nam na drodze. I wiemy, kto nimi kieruje.

Hauser podszedł do tureckiego stołu, inkrustowanego różnobarwną marmurową mozaiką. Miał ośmiokątny blat, dopasowany do kształtu wieży. Hauser był

obsesyjnie skrupulatny. Wziął do ręki plik zapisanych na maszynie kartek.

— Mam tutaj listę Brytyjczyków i Amerykanów, którzy w ciągu ostatniego tygodnia przyjechali do hoteli w Helsinkach.

— Jak, u licha, zdobył pan ich nazwiska? — zapytał Carver z podziwem.

— Adamie, dlaczego zawsze chcesz wiedzieć, w jaki sposób działamy, nawet jeżeli sprawa nie dotyczy twojego zakresu obowiązków? Do diabła, to było proste. Rozesłałem po hotelach ludzi z mnóstwem forsy. Zadbaliśmy o to, żeby mieć wtyczki we wszystkich dużych i średnich lokalach. Przebierając się rzuciłem okiem na tę listę. Z twojej nieudanej rozmowy z Paulą Grey coś jednak wyniknęło. Powiedziała, że jej szef nazywa się Martin Sheffield, czy tak?

— Zgadza się.

— Ale to nieprawda. Nikt taki nie zameldował się w „Hesperii”. — Spojrzał na Franka Galvone. — Adam wspomniał, że kiedy zapytał Paulę Grey o nazwisko jej szefa, powiedziała: Martin Sheffield. Ona mieszka w „Hesperii”, ale przeprowadziła się tam właśnie z hotelu „Marski”. A równocześnie niejaki Martin Baker zameldował się w „Hesperii”. To Brytyjczyk. Wiesz, Adamie, kiedy zadajesz zniechęcające pytanie, jak nazywa się pewna osoba, ktoś, kto chce zataić tę informację, podaje często prawdziwe imię, zmieniając tylko nazwisko. Posłuchaj, Adamie — powiedział z sarkazmem — masz za sobą męczący wieczór, więc zmykaj do łóżka.

Zaczekał, aż został sam z Frankiem Galvone. Włożył do cygarniczki papierosa i zapalił go.

— Frank, ta Grey za dużo wie. Pytała Adama o pewne nader delikatne sprawy, na przykład o przejęcie banku Schmidta. Musimy sprawdzić, w czym się jeszcze orientuje.

— Jasne. Jak to załatwimy?

— Porwiemy ją, wykorzystując Adama jako przynętę, głupku.

— Nie wspomniał pan o tym przy Carverze.

— Prawda? Myślisz, że szwankuje mi pamięć? Nie będzie nawet wiedział, jaką rolę odegra. Wyczułem, że ta Paula Grey mu się podoba. A teraz spływaj...

Kiedy Galvone wyszedł, Hauser uśmiechnął się do siebie. Był specjalistą w tej grze — nigdy nie należy pozwalać, aby prawa ręka wiedziała, co robi lewa. I na odwrót.

Wyjął z szuflady niewielkie pudełko i wyciągnawszy z niego okrągłe urządzenie filtrujące przykręcił je do telefonu. Zostało wykonane w jednym z jego laboratoriów pod Bostonem i służyło do zniekształcania głosu. Wykręcił numer mieszkania, w którym przebywała Irina Sierowa.

— Soniu — to imię było kryptonimem Sierowej — mówi Morrow. Proszę skontaktować się z osobą o nazwisku Martin Baker. Zrozumiała pani? Mieszka w hotelu „Hesperia”. Niech pani jutro do niego dotrze. Być może kieruje operacją, która sprawia mi trochę kłopotu. Proszę się tym zająć. Do końca, jeśli zajdzie potrzeba...

Tweed — razem z Nieldem i Dillonem — wrócił z Turku o późnej porze. Kiedy znalazł się w „Hesperii”, dochodziła dziesiąta. Od wielu godzin nic nie jadł, był

jednak niezmordowany. Zanim zamówił kolację do pokoju, przeprowadził kilka rozmów przez telefon.

Dwie były wewnętrzne — z Paulą i Harrym Butlerem. Potem zadzwonił do hotelu „Palace”, do Newmana i Marlera, z prośbą, by natychmiast się u niego zjawili.

Z łazienki wyszedł Dillon wycierając ręcznikiem twarz.

— Nield zaraz tu będzie — powiedział Tweed. — Pozostali są w drodze z hotelu „Pałace”. Pora, żebyśmy odbyli wspólną naradę.

— Chciałbym coś przekąsić. Tobie chyba wystarcza do życia woda mineralna.

Idę do siebie po czystą koszulę. Zaraz wracam. Nie zapomnij o czymś do jedzenia.

Tweed z rękami założonymi do tyłu przechadzał się po pokoju. Pierwszy zjawił

się Nield.

— W pociągu nie mogłem z tobą rozmawiać — wyjaśnił na wstępie. — Nie byłem pewien, czy Dillon jest wtajemniczony w sprawę tego trzeciego mężczyzny.

— Mów...

Tweed nadal się przechadzał, wysłuchując, co przydarzyło się Nieldowi na pokładzie „Skäreta”. Kiedy powiedział, że może opisać tego trzeciego mężczyznę, Tweed powstrzymał go ruchem ręki.

— Skoro twierdzisz, że rano w zakładzie wywołają te zdjęcia w ciągu paru godzin, zaczekamy, aż mi je pokażesz...

Przerwało mu nadejście Pauli.

— Spędziłam z Carverem ciekawy wieczór. Jest zdecydowanie za sprytny...

Tweed wysłuchał szczegółowej relacji z ich rozmowy. Gdy Paula skończyła, sposepniał.

— Rzykowałaś, poruszając niektóre tematy.

— Och, kłamałam jak z nut. Zwłaszcza mówiąc, że Evelyn Lennox jest moją przyjaciółką. Jak się pewnie domyśliłeś, pamiętałam, co Bob mówił o Wandsworth i swojej wizycie w Walberswick. A co do ryzyka, chodziło nam chyba o to, żeby wywołać zamieszanie w korporacji INCUBUS i zaniepokoić Hausera.

— Dobrze się spisałaś — pochwalił ją Tweed.

Przerwał, gdyż właśnie zjawił się Harry Butler. Rzuciwszy okiem na Nielda, swego starego sparring-partnera, zapytał:

— Masz wakacje? Wygrzewasz się w słońcu, kiedy ja pracuję?

— Nie byłbyś zachwycony, gdybyś mi dzisiaj towarzyszył — odparował Nield.

Butler usiadł i zaczął zdawać Tweedowi relację ze swych poczynań:

— Ponieważ potraktowano mnie jak piąte koło u wozu i zostałem tutaj, postanowiłem trochę powęszyc. Wynająłem saaba i pojechałem na lotnisko.

Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Spędziłem tam cały dzień. Wyjątkowo długi.

— Czy nikt cię nie widział? — zapytał Tweed. — Liczyłem na to, że INCUBUS

nie wie o istnieniu naszej czwórki. Mam na myśli ciebie, Nielda, Marlera i siebie.

— Wkrótce po przyjeździe zobaczyłem — relacjonował Butler rzeczowym tonem — jak pracownik lotniska w jasnoniebieskim mundurze wrzuca na tylne siedzenie samochodu czapkę i idzie po coś z powrotem do hallu. Miałem na sobie błękitną marynarkę, przypominającą kolorem ich uniformy. Wziąłem sobie tę czapkę. Jej właściciel nie zauważył, że zniknęła. Wsiadł do wozu i odjechał. Przez cały dzień ludzie brali mnie za pracownika lotniska. Nazywa się to wkomponowaniem w otoczenie.

— Sprytnie — stwierdził Tweed. — Co widziałeś?

— Hauser i Carver nadjechali ogromną limuzyną. Poznałem ich ze zdjęć Marlera. Potem pojawili się Newman i Dillon. Hauser

i Carver wsiedli na pokład leara i odlecieli. Newman i Dillon kupili bilety na lot do Turku...

— Wcale cię nie widziałem — wtrącił Newman, który przybył z Marlerem kilka chwil wcześniej.

— I o to chodziło. Mogę kontynuować? Potem pojawia się ten brązowy buick leSabre. Wyskakuje z niego sześciu twardzieli. Wsiadają do dwóch śmigłowców typu Sikorsky i odlatują na północ.

— Posiłki do Instytutu Meteorologii — zauważył Tweed.

— Nie mam pojęcia. Ale wiemy już teraz, że mają do dyspozycji dwa śmigłowce. Potem kręcę się godzinami po lotnisku, chodząc tu i tam, byle tylko za bardzo nie rzucić się w oczy. Wieczorem lear przylatuje z powrotem. Kiedy Hauser wysiada pospiesznie z odrzutowca, czeka na niego czarna limuzyna. Jak na swoją posturę facet szybko się rusza. Spostrzegam, że wciągane schodki, po których wychodzi się z samolotu, pozostają na miejscu.

Postanawiam śledzić Hausera. Limuzyna wiezie go do domku jak z Disneylandu.

Mogę pokazać wam to miejsce na mapie...

— Wiemy, gdzie to jest — oznajmił Newman. — Ale teraz wiemy również, gdzie jest Hauser. Przepraszam, mów dalej.

Przedstawiając swą lakoniczną relację, Butler miał spore grono słuchaczy. Paula nadstawiała ucha, usadowiwszy się w nogach łóżka. Newman siedział okrakiem na krześle i przyglądał się Butlerowi. Marler opierał się o ścianę, obracając w palcach długiego papierosa. Nield stał z rękami założonymi na piersi. Stał także Tweed. Jego uwagi nie umknął żaden szczegół opowiadania Butlera.

— Z powodu tych pozostawionych przy samolocie schodków wracam na lotnisko. Mam szczęście. Przyjeżdżam akurat w chwili, gdy z odrzutowca wychodzi jakaś kobieta. Brązowy buick znów jest na miejscu. Kobieta wsiada do wozu. Jadę za nią do Helsinek, a potem, niestety, tracę ją z oczu.

— Możesz ją opisać? — poprosił Tweed.

— Trudna sprawa. Jest w dużych, ciemnych okularach i chustce na głowie.

Szczupła, średniego wzrostu, ale to nic pewnego. Chodzi tak, jakby miała podwyższone obcasy.

— Więc mogła być niska? — zauważył Tweed.

— Niewykluczone. W tym momencie dochodzę do wniosku, że na lotnisku już nic więcej nie zobaczę. Wracam zatem na stację.

„Mój Boże! — pomyślała Paula. — On nigdy nie ma dosyć. Nic dziwnego, że nazywają go bobrem”.

— Czapkę zostawiłem na kontuarze w hallu lotniska — wyjaśnił Butler. —

Teraz zdejmuję marynarkę i płaczę się po stacji. Widzę ciebie, Tweed, jak wysiadasz z Dillonem z

pociągu. Po waszym odejściu zauważam, że z tego samego pociągu wysiada jeszcze ktoś, kogo znam z fotografii. Manescu. Jest z nim jakiś przysadzisty twardziel z wysuniętą szczęką. Wygląda na Niemca.

Potem strzał w dziesiątkę: pojawia się brązowy buick i obaj do niego wskakują.

Jadę za tym wozem do osiedla zwanego Setula, blisko lotniska. W każdym razie dość blisko. Manescu znika w jednym z bloków. Buick odjeżdża z naszym przyjacielem Niemcem i tracę go z oczu.— Butler napił się wody mineralnej ze szklanki, którą postawiła przy nim Paula. — To wszystko.

— Wcale niemało. — Marler gwizdnął z podziwu.

— Ten brązowy buick — odezwał się Tweed. — Kto go prowadził?

— Szofer w uniformie. Za każdym razem. Jeździł w kółko.

Tweed głośno westchnął. Paula spojrzała na niego i zauważyła, że jest nadal rześki i czujny.

— Czemu wzdychasz? — zapytała.

— Z powodu precyzji ich poczynań — stwierdził Tweed. — Hauser jest mistrzem sprawnej organizacji. Przypuszczam, że dzięki temu znalazł się na szczycie. — Spojrzał na Butlera. — Domyślasz się, jakiej narodowości mogło być tych sześciu ludzi, którzy wsiadali do śmigłowców?

— Są ze środkowej Europy. Rumuni, Bułgarzy — kto ich odróżni?

— To ci znikający faceci — powiedział Tweed, na poły do siebie.

— Czy nie pora, żebyśmy zaplanowali, co będziemy dalej robić? — rzucił

Marler ze zniecierpliwieniem. — Musimy kiedyś skończyć z tym wyczekiwaniem.

— Ruszymy, kiedy nadejdzie odpowiedni moment — odparł Tweed. —

Powiedziałem, że potrzebujemy dodatkowych informacji. Dzisiaj zebraliśmy ich więcej, niż mogłem sobie wymarzyć. Newman

i Marler wykryli wspólnie z Paulą, że Hauser przewozi na północ ogromne ilości materiałów wybuchowych. Być może gdzieś w okolicy Instytutu Meteorologii.

— Może do samego instytutu — zauważył Newman. — Ten kompleks postawiła firma budowlana należąca do Hausera.

— Butler dostarczył informacji o miejscu pobytu kilku ważnych osób —

kontynuował Tweed — i wiemy, że ci ludzie są w Helsinkach. Harry, czy to na pewno Manescu

wysiadł z pociągu? Jesteś o tym przekonany?

— Tak. Miał beret i szalik owinięty wokół nosa i ust. W taki upał! Szalik zsunął

się na moment i zobaczyłem jego twarz. Przyjrzałem się dobrze temu zdjęciu Manescu, które mi pokazywałeś — jednemu, jakie istniało, dopóki oczywiście Marler nie sfotografował go przed centralą spółki. Widziałem, jak wygląda bez wąsów. Manescu wysiadł z pociągu i jest teraz w Setula. O pół godziny jazdy stąd.

— Niedobrze — skomentował Tweed. — Hauser gromadzi siły.

— Nie zapominajmy o jednym z naszych podstawowych celów — włączył się Newman. — Przynajmniej dla mnie. Kto zamordował Sandy w Suffolk? Trzeba znaleźć zabójcę, zmusić go do mówienia

i będziemy mieli Hausera na muszce.

— Zgadza się. Wszystko pięknie się teraz ze sobą łączy. Zabójstwo Sandy, zabójstwo Eda Rivertona i nieudana próba pozbawienia życia Peggy Vanderheld.

Oprócz morderstw mamy materiały wybuchowe. Do tego jeszcze doniesienia prasowe o trzech zamachach — w Pradze, Budapeszcie i Bukareszcie. A pojawienie się Manescu pozwala połączyć dwa odrębne początkowo dochodzenia — w sprawie korporacji INCUBUS i w sprawie ustalenia miejsca pobytu zawodowych przestępców, zbiegłych z Securitate i innych tego typu organizacji. INCUBUS niemal na pewno ich zwerbował.

— A więc nadeszła pora — wycodził Marler przez zaciśnięte zęby — żebym przeprowadził rekonesans w tym tajemniczym instytucie. Dowiedziałem się właśnie, jak to zrobić.

— Jak? — zainteresował się Tweed.

— Dziś rano wczesnie wstałem i poszedłem do księgarni Aka-teeminen kupić mapy Laponii. Podśluchałem, jak dwie kobiety rozmawiały o jutrzejszej wycieczce do Instytutu Meteorologii, organizowanej dla turystów. Wyruszają autobusem sprzed „Intercontinentalu”. To hotel tuż obok. Wywnioskowałem, że jadą głównie

Anglicy. Mają parę wolnych miejsc. Zabiorę się z nimi. Autobus zawozi grupę na lotnisko przed południem. To idealny kamuflaż.

— Zastanowię się. Rano dam ci odpowiedź.

— Chciałbym dostać pozwolenie już teraz.

— Powiedziałem: rano.

Tweed odpowiadał machinalnie. Paula zdała sobie sprawę, że on błędzi gdzieś myślami. Był o krok od podjęcia jakiejś ważnej decyzji. Nagle wyprostował się i oznajmił:

— Niech wszyscy się prześpią. Od jutra zamieszkamy w jednym hotelu.

Przyszła chyba pora, żeby połączyć siły. Czuję na karku oddech Hausera. No, idźcie już.

— Co masz na myśli? — zapytał Dillon, który dotąd się nie odzywał. — W jakim sensie Hauser siedzi ci na karku?

— Chodzi o to nagłe pojawienie się w Helsinkach kilku niebezpiecznych typów.

Myślę, że Newman osiągnął swój cel, kiedy poszedł porozmawiać z Hauserem.

Zburzył jego spokój. A teraz Paula zaniepokoiła Carvera, który niewątpliwie doniesie o tym szefowi. Hauser przygotowuje dla nas jakąś niemiłą niespodziankę. Idźcie się teraz przespać...

Paula siedziała nadal na łóżku, dopóki nie zostali sami. Spojrzał na nią pytająco.

— Jeśli Marler pojedzie z tą grupą turystów do Instytutu Meteorologii —

odezwała się — chciałabym mu towarzyszyć. Nie próbuj znowu się spierać.

Mężczyzna i kobieta mniej rzucają się w oczy.

— Odpowiem ci rano. Teraz chcę się zastanowić.

Tweed został sam i zaczął przechadzać się powoli po pokoju. Miał za sobą długi, pracowity dzień, ale był nadal w dobrej formie. Porządkował informacje, nowe elementy łamigłówek, które zebrał w ciągu ostatnich godzin. Newman miał rację: wiele zależało od ustalenia zabójcy Sandy i Eda Rivertonów. Tweed był pewien, że chodziło o tego samego człowieka.

Kiedy wreszcie położył się spać, nadal dręczyły go różne myśli. Miał wyraźne przeczucie, że zbyt późno podjął decyzję o skomasowaniu sił. Hauser szykował

się do brutalnego ataku.

Następnego ranka Irina Sierowa przyjechała bardzo wcześnie do hotelu

„Hesperia”. Ufarbowała włosy na jasny kolor i upięła je w kok, założyła buty z wysokimi na dwanaście centymetrów obcasami

i pomalowała rzęsy tuszem, aby jej oczy wydawały się większe. Na rzymskim nosie miała jasnozielone okulary przeciwsłoneczne.

Zaczekała, aż recepcjonista będzie wolny, i wtedy podeszła do kontuaru ze swą z góry przygotowaną historyjką. Mężczyzna przyglądał jej się z zainteresowaniem.

Kiedy wchodziła do hotelu, obejrzał dokładnie jej nogi. Miała na sobie plisowaną minispódniczkę i bardzo obcisłą bluzkę bez rękawów.

— Pomyślałam, że może będzie pan mógł mi pomóc — odezwała się, trzymając w szczupłej dłoni dwa banknoty. — Staram się o pracę u pana Martina Bakera, który mieszka w tym hotelu, ale nie wiem, jak on wygląda.

— Służę pani — odparł pospiesznie recepcjonista. — Prawdopodobnie je właśnie śniadanie na pierwszym piętrze. Kilka minut temu dzwoniłem do jego pokoju i nikt nie odpowiadał.

— Ja też powinnam coś zjeść — stwierdziła niskim głosem, patrząc mu prosto w oczy. — Gdyby zechciał mi pan wskazać tego człowieka...

Recepcjonista zaprowadził ją na pierwsze piętro. W windzie przycisnęła do siebie mocniej torebkę, upewniając się, że nie jest zapięta. Recepcjonista wskazał jej gościa, ale nie przyjął napiwku.

— Może da się pani zaprosić na drinka? — zaproponował. —

O szóstej kończę pracę.

— A więc przyjdę o szóstej. Bardzo dziękuję...

W sali jadalnej stały długie, ośmioosobowe stoły. Każdy siadał tam, gdzie chciał

lub mógł. Sala była dość pełna, ale Irina zauważyła, że koło Martina Bakera jest wolne miejsce. Zabrawszy z bufetu chleb i dżem, stanęła obok pustego krzesła.

— Czy mogę się przysiąść? Nie ma zbyt wielu wolnych miejsc.

Tweed podniósł wzrok na chwilę i bez słowa odsunął dla niej krzesło.

Machinalnie smarował bułkę masłem i dżemem. Myślał o generale Walentinie Rebecie, z którym rozstał się w Turku. Podejrzewał, że Rosjanin jest nadal w Finlandii — Rebet pytał przecież, czy Tweed pozostanie w Helsinkach.

Irina usiadła.

— Nazywam się Sonia Drayton. Przyjechałam wczoraj wieczorem / . Turku.

Tweed zauważył jej doskonałe nogi. Gdy siadała, krótka spódniczka podsunęła się jeszcze bardziej do góry. Obciągnęła ją z udawaną skromnością, dostrzegając jego zainteresowanie.

— Jestem Martin Baker — odparł. — Co robiła pani w Turku? — Chciał po prostu coś powiedzieć. Myślni był nadal gdzieś daleko.

— Pracowałam dla korporacji o nazwie INCUBUS. Już stamtąd odeszłam.

Tracą kolejnych ludzi. Mniej więcej w tym samym czasie przestała pracować w ich biurze w Helsinkach niejaka Peggy Vanderheld.

— Co to za korporacja? Gdzieś już o niej słyszałem.

Tweed popijał kawę, wykazując tylko umiarkowane zainteresowanie. W

rzeczywistości stał się jednak czujny. Porzucił poprzedni temat rozważań i skoncentrował uwagę na swej atrakcyjnej współbiednicze. Miała głęboki, przyjemny głos i mówiła z lekkim obcym akcentem. Zdawała się czytać w jego myślach.

— Zauważył pan może mój akcent. Jestem Austriaczką. Ojciec był Anglikiem, a matka pochodziła z Wiednia.

— Dlaczego odeszła pani z korporacji? Nazywa się INCUBUS, czy tak?

— Tak. To największy na świecie bank. Amerykański. Większy niż którykolwiek w Japonii, co daje pojęcie o jego rozmiarach. Właściwie zostałam wyrzucona.

Podobnie jak Peggy Vanderheld. Teraz chcą, żebym podpisała umowę na dożywotnią pensję. Bardzo wysoką. Nie mogę się zdecydować, czy powinnam to zrobić.

— A dlaczego nie?

— Wygląda pan na biznesmena. Potrzebuję kogoś bezstronnego, z kim mogłabym to omówić. Czy porozmawiałby pan ze mną po śniadaniu w jakimś spokojnym miejscu?

Marler wstał wcześniej, zjadł śniadanie w restauracji hotelu „Palace”, po czym wrócił do pokoju, gdzie już czekała Paula. Teraz trzymał w palcach czubek swego fińskiego noża. W drugim końcu pokoju postawił na dywanie drewniany klocek.

Znalazł go poprzedniego dnia w trawie, gdy Newman dzwonił z przydrożnej budki do Mauno Sarina. Uniósł nóż na wysokość ramienia i rzucił. Ostrze zagłębiło się w niewielkim okręgu, który wyrysował piórem na klocku.

— Sam środek! — zawołała Paula. — Gdzie nauczyłeś się rzucać nożem?

— W Arizonie, od pewnego Indianina. Używają noży do robienia drewnianych rzeźb dla turystów.

Wyciągnął nóż z kloca. Rozległo się rytmiczne pukanie. Paula otworzyła drzwi i do pokoju wszedł Newman. Miał ciemne okulary

i na głowie kraciastą czapkę z daszkiem. Paula zamknęła za nim drzwi, a Marler wsunął nóż do pochwy ukrytej pod nogawką i schował drewniany klocek do szafy.

— Kiedy dołączymy do towarzystwa z hotelu „Intercontinental”? — zapytał

Newman.

Wcześniej Paula przywiozła wiadomość, której Tweed wolał nie przekazywać przez telefon. Uznał, że powinni rozejrzeć się w Instytucie Meteorologii. Paula mogła lecieć jedynie pod warunkiem, że przez cały czas będzie razem z Newmanem i Marlerem.

— Pojedziemy teraz taksówką do tamtego hotelu — oznajmił Marler. — Stary, masz swojego smith and wessona?

— Cieszę się, że tego nie widać.

— Nield oddał mi już browninga — powiedziała Paula. — Mam go w torebce.

Spodziewasz się strzelaniny?

— Z korporacją INCUBUS nigdy nic nie wiadomo. Trudno im będzie cię rozpoznać.

Usłyszawszy, co Butler mówił na temat wyglądu Iriny Sierowej, Paula poszła za jej przykładem. Przykryła chustką kruczoczarne włosy i założyła ciemne okulary. Nosili je zresztą wszyscy, chroniąc oczy od palącego słońca. Marler nalegał, aby Paula i Newman wystąpili w przebraniu, wskazując, że tylko o jego istnieniu INCUBUS nie ma pojęcia. Rzucił okiem na zegarek i powiedział:

— Ruszajmy...

W półtorej godziny później wraz z innymi turystami, głównie Anglikami w średnim wieku i kilkoma młodymi Finami, wzniesli się w powietrze na pokładzie rejsowej maszyny linii Finnair, która wystartowała do lotu numer AY 424 o dwunastej pięć w południe. Newman i Paula siedzieli obok siebie, a Marler zajmował miejsce przy oknie za ich plecami.

Był to spokojny lot nad rozległym, równinnym terenem z jodłowymi lasami i jeziorami w kolorze zimnego błękitu, porozrzucanymi jak fragmenty jakiejś zwariowanej układanki. Lądowali po drodze w Oulu, w pobliżu Zatoki Botnickiej, a potem poleciali dalej do Rovaniemi.

Kiedy dotarli na niewielkie lotnisko, położone na pustkowiu wśród zarośli i skał, wydawało się, że są wiele kilometrów od miasta. Tam właśnie po pięćdziesięciu minutach lotu grupę turystów

przesadzono do samolotu typu Fokker Friendship, mniejszej maszyny o napędzie śmigłowym.

Gdy wystartowali, kierując się na wschód, zajęła się nimi przewodniczka, Finka o kręconych włosach, ubrana w elegancki szary kostium.

— Mam na imię Irena — powiedziała po angielsku, przechodząc między fotelami. — Lecimy teraz nad Laponią w kierunku sowieckiej granicy...

Paula wyjrzała w dół za okno i zerknęła na mapę. Przelatywali nad trasą numer 80, prowadzącą do Kemijärvi, miasta, w którym rybak z Porvoo widział jadący w kierunku wschodniej granicy samochód chłodnię spółki INCUBUS. Paula rzuciła okiem za siebie. Wyglądało na to, że Marler śpi. Miał głowę przechyloną na bok, ale jego półprzymknięte oczy rejestrowały wszystko, co widać było w dole.

Nieco później Paula znów popatrzyła przez okno i ujrzała duże jezioro, którego granitowe brzegi, pogrążone w nieruchomej wodzie, porastał rzadki las.

Przewodniczka udzielała informacji.

— Mijamy właśnie miasto Kemijärvi. Jak państwo na pewno zauważyliście, samolot podchodzi do lądowania. Lotnisko zbudowała korporacja INCUBUS, zajmująca się działalnością dobroczynną wielka organizacja, której zawdzięczamy w znacznym stopniu powstanie odwiedzanego dziś przez państwa instytutu...

Marler rozejrzał się wokół. Wszyscy pasażerowie wyglądali na autentycznych turystów. Kiedy samolot zaczął opadać, wysunął z kieszeni niewielki aparat fotograficzny typu Voigtlander. W dole rozciągał się kompleks nowoczesnych, betonowych budynków. W środku był wysoki, okrągły wieżowiec, przypominający mu centralę korporacji INCUBUS w Helsinkach. Korzystając z tego, że przewodniczka stoi do niego plecami, Marler zrobił kilka zdjęć. Finka odwróciła się nagle i podeszła do niego.

— Przepraszam, robi pan zdjęcia? INCUBUS na to nie zezwala. Możemy korzystać z lotniska tylko dzięki uprzejmości korporacji.

Marler się uśmiechnął.

— Nie będzie żadnych zdjęć. Zapomniałem włożyć film. — Wsunął aparat z powrotem do kieszeni.

— W porządku, proszę pana. Takie są przepisy...

Zniżającej lot maszynie sunął na spotkanie betonowy pas. Newman spojrzał na Paulę. Miał nieprzyjemne uczucie, że nie powinien był jej pozwolić z nimi lecieć.

Tweed zaprosił Irinę na górę do swego pokoju w „Hesperii”. Rozejrzał się przedtem po hallu i spostrzegł, że wypełnia go grupa francuskich turystów.

Wyszedłszy z dziewczyną z windy, uderzył się ręką w czoło.

— Panno Drayton...

— Mam na imię Sonia.

— Soniu, czy mogłaby pani poczekać przez moment na tej kanapie?

Powiedziano mi przed śniadaniem, że w recepcji jest dla mnie jakaś wiadomość.

Zaraz wrócę...

Irina usiadła na kanapie w przestronnym korytarzu. Czowała ulgę, że na chwilę została sama. Przeżyła właśnie szok. Przed sześciu laty, gdy pracowała w ambasadzie sowieckiej w Londynie, przyjechał tam potajemnie z krótką wizytą generał Łysenko z GRU. Wyglądał przez okno z domu w pobliżu Regent's Park, w którym ukrywano agentów, i nagle zawołał, by do niego podeszła. Wskazał na ulicę.

— Towarzyszko Sierowa, spójrzcie na tego człowieka, który biegnie do taksówki. Widzicie go wyraźnie? Proszę zapamiętać jego twarz. To Tweed, zastępca dyrektora SIS...

Zdarzyło się to w ostatnich dniach zimnej wojny, kiedy Łysenko był głównym przeciwnikiem Tweeda. Irina awansowała wtedy właśnie do rangi pułkownika KGB. A dzisiaj, zaledwie pół godziny temu, usiadła obok niejakiego Martina Bakera i dopiero gdy się odwrócił, rozpoznała w nim Tweeda.

Pospiesznie zbierała myśli. Odkryła, kim jest człowiek, który kierował

działaniami przeciwko korporacji INCUBUS. Był to ktoś o wiele bardziej niebezpieczny niż ona — czy Hauser — mogli się spodziewać.

Należało podjąć radykalne kroki.

Z windy wyłonił się uśmiechnięty Tweed. Poprowadził Irinę do swego pokoju i otworzywszy zamknięte na klucz drzwi zaprosił ją do środka, wskazując fotel na wprost okna. Sam usiadł naprzeciwko, odwrócony plecami do jaskrawego słońca wpadającego przez szyby.

— A więc o czym chciała pani ze mną rozmawiać? — zapytał uprzejmie. —

Mogę poświęcić pani pół godziny. Potem mam, niestety, ważne spotkanie.

— Dokument, który muszę podpisać, aby otrzymać tę szczerą pensję, zawiera pewne warunki. Dożywotnie. Jeśli ich nie dotrzymam, tracę prawo do wypłat.

— Co to za warunki?

— Nigdy nie mogę opowiadać nikomu o swojej pracy ani o tym, czego się dowiedziałam, kiedy zatrudniano mnie w firmie.

— Może chodzi o zabezpieczenie się przed szpiegostwem gospodarczym —

stwierdził Tweed patrząc w ścianę.

— Tylko że musiałam tam czasem robić straszne rzeczy. — Irina zawahała się przez moment. — Musiałam uwodzić biznesmenów, na których korporacja chciała wywrzeć wpływ. To był szantaż. Przestępstwo.

— Z całą pewnością — przyznał Tweed.

— Pensja jest jednak bardzo wysoka. I nie tracę do niej uprawnień, podejmując jakąkolwiek inną pracę.

— Po co przyjechała pani z Turku do Helsinek? — zapytał nagle, bacznie jej się przyglądając.

— Żeby ubiegać się o pracę w firmie zupełnie innego typu. Jestem tam na dzisiaj umówiona.

— Ma pani dowody przestępczej działalności korporacji INCUBUS?

Irina znowu się zawahała.

— Tak. — Skinęła głową. — Fotokopie pewnych listów, które ich obciążają.

Zostawiłam je w mieszkaniu. Mogłabym je panu przynieść o szóstej wieczorem, jeśli by to panu odpowiadało. — Uśmiechnęła się szczerze i niewinnie. — Przepraszam za kłopot, ale pan jest taki uprzejmy...

— Lepiej więc, żebym obejrzał te fotokopie, zanim coś pani poradzę.

— Dziękuję. Czy mogę skorzystać z łazienki?

— Oczywiście.

Podchodził do okna, gdy usłyszał, że dziewczyna zamyka za sobą drzwi. W

łazience Irina rozejrzała się pośpiesznie. Na szklanej półce nad umywalką znalazła pełną, nie otwieraną jeszcze buteleczkę leku przeciw niestrawności. Do stojącej obok szklanki włożona była tubka z pastą do zębów. W innej szklance znajdowała się szczoteczka.

Tweed zrobił na niej wrażenie człowieka dbającego o osobistą higienę. Nie umył

jeszcze zębów po śniadaniu. Otworzywszy pojemną torebkę Irina wyjęła niewielką maseczkę z wystarczającym na pięć minut zapasem tlenu. Założyła ją na twarz, mocując pasek z tyłu głowy.

Następnie wydobyła ze specjalnej kieszeni nieduży cylinder z zakręcanym wiekiem. Wewnątrz znajdowała się strzykawka, zawierająca cyjanek potasu w zawieszynie. Korporacja INCUBUS była w stanie dostarczyć chyba wszystko.

Sierowa nie miała pojęcia, że instrument ten wyprodukowano w laboratorium pod Bostonem.

Zobaczyła przez okulary swe złowieszcze odbicie w lustrze nad umywalką.

Przyjrzała się uważnie, pod jakim kątem tubka z pastą włożona jest do szklanki, wyjęła ją i po ściągnięciu nakrętki położyła na skraju umywalki. Odkręciwszy pojemnik z cyjankiem wydobyła z niego strzykawkę, wetknęła cienką igłę do tubki z pastą i wcisnęła tłoczek. Po wyjęciu igły zakręciła mocno tubkę, wkładając ją znowu do szklanki pod odpowiednim kątem.

Potem wsunęła ostrożnie strzykawkę z powrotem do cylindra i zakręciwszy wieko wsadziła go do torebki. Podeszła szybko do okna i po cichu otworzyła je na oścież, ciągle nie zdejmując maski.

Ostrzegano ją, że nawet przy ostrożnym obchodzeniu się z cyjankiem trzeba uważać na opary.

Pozostawiła otwarte okno, spłukując muszlę. Odkręciwszy kurek z zimną wodą umyła ręce, a kiedy je wycierała, z kranu lało się nadal. Stojąc przy otwartym oknie zdjęła maskę i schowała ją do torebki, którą dokładnie zapięła. Dopiero wtedy zamknęła cicho okno, zakręciła wodę, otworzyła drzwi i wyszła.

— A więc do zobaczenia o szóstej wieczorem — powiedział Tweed, stojąc przy oknie. — Oby ta rozmowa w sprawie pracy miała pomyślny finał. Co to za firma?

— Księgarnia Akateeminen — odparła bez namysłu.

— Dział handlowy? — zapytał, podchodząc do drzwi, by je otworzyć przed Iriną.

— Nie. Zarząd. Byłabym jednym z dyrektorów. Bardzo dziękuję, że poświęcił

mi pan tyle czasu...

Tweed zamknął drzwi i przez chwilę stał w miejscu. Czuł w ustach resztki śniadania. Nie mył jeszcze zębów. Wszedł do łazienki.

Stał nieruchomo, rozglądając się wokół i lustrując po kolei każdy przedmiot.

Zaintrygowany zmarszczył brwi. Nic nie znikło, nic nie zmieniło miejsca i nic nie przybyło. Odkręcił zimną wodę i wziął do ręki tubkę z pastą do zębów.

Harry Butler siedział za kierownicą wynajętego przez Newmana BMW. Tweed zadzwonił do jego pokoju, gdy na parę minut opuścił Sonię Drayton. Instrukcje były wyraźne:

— Za jakieś pół godziny wyjdzie z hotelu kobieta po trzydziestce. Farbowana blondynka z włosami do ramion. Ma na sobie obcisłą, jasnozieloną bluzkę bez rękawów i kremową, plisowaną krótką spódniczkę. Jest zgrabna. Aha, teraz ma włosy upięte do góry. Zanim wyjdzie, może je rozpuścić. Możliwe, że założy zielone okulary przeciwsłoneczne. Wszystko jasne, Harry?

— Chyba trudno ją z kimś pomylić. A wzrost, tusza?

— Na oko dość wysoka, ale założyła dwunastocentymetrowe obcasy. Jest szczupła i zgrabna. Śledź ją. I nie strać z oczu. Muszę wiedzieć, dokąd pójdzie.

Pozostawiam to tobie...

Butler zdjął marynarkę. Było jeszcze wcześniej, ale upał narastał. Zanosilo się na kolejny gorący dzień. Obserwował wyłaniające się z hotelu tabuny turystów.

Niektórzy przystawali i zaczynali dyskutować, jakby się o coś spierali. Czy mamy jechać w taki upał na długą wycieczkę?

Dziewczyna pojawiła się w dziesięć minut po tym, jak Tweed zadzwonił do Butlera z hallu. Szła pewnym krokiem, niemal jak zgłaszająca się na telefon prostytutka. „Najwyraźniej jest z siebie zadowolona” — pomyślał Butler.

Wsiadła do taksówki, z której wysypali się turyści z bagażami. Butler włączył

silnik. Taksówka skierowała się ku wyjazdowi z miasta i pojechała wzdłuż Mannerheimintie. Prowadząc wóz Butler usiłował sobie uzmysłwić, dlaczego ta kobieta wydała mu się znajoma. Nie był w stanie z nikim jej sobie skojarzyć. Należało przestać o tym myśleć — kiedyś sobie przypomni.

Wreszcie ustalił, gdzie widział ją wcześniej. Na właściwy trop naprowadziły go dwie rzeczy — blok mieszkalny w pobliżu końcowego przystanku tramwaju linii cztery, przy którym wysiadła, oraz jej płynny, lekki chód. Nic nie jest dla człowieka bardziej charakterystyczne niż sposób poruszania się. Ta sama dziewczyna wychodziła poprzedniego dnia z samolotu. Z samolotu Hausera.

Tweed zaczął otwierać tubkę z pastą do zębów. Obrócił tylko raz nakrętkę, przerwał i zmarszczył brwi. Przypomniał sobie, że gdy Sonia Drayton korzystała z łazienki, słyszał niemal do momentu jej wyjścia lecącą z kranu wodę. A jednak miała suche ręce. Co gorsza, Tweed nigdy nie dociskał nakrętki na siłę. Ponieważ zwykła się przyklejać, zostawiał zawsze pewien luz. Teraz była zakręcona do oporu. Także szklanka, w której stała tubka, nie znajdowała się dokładnie na swoim miejscu. Zdradzał to widoczny na półce okrągły ślad.

Zakręcił mocno tubkę i wsadziwszy ją ostrożnie z powrotem do szklanki spojrział

na pełną butelkę z lekarstwem przeciw niestrawności. Wyglądało na to, że nie była ruszana. Wyszedł z łazienki.

Podniósł słuchawkę telefonu i zadzwonił na prywatny numer Mauno Sarina. Fin odezwał się natychmiast.

— Przypuszczam, że rozpoznaje pan mój głos... — zaczął Tweed.

— Tak. Jakieś kłopoty?

— Czy pańscy laboranci mogliby zbadać parę rzeczy z mojej łazienki?

Podejrzewam, że chodzi o truciznę albo materiał wybuchowy. Radzę ostrożnie się z tymi przedmiotami obchodzić.

— Ponieważ zna pan już Karmę, przyślę go, gdy tylko skończymy rozmowę.

— Niech pyta o Martina Bakera. Czekam..

Kompleks budynków Instytutu Meteorologii górował nad lądowiskiem. Turyści wychodzili z samolotu po dostawionych schodkach. Paula, Newman i Marler ciągnęli się w ogonie za całą grupą. Kiedy zdążali gęsiego w kierunku wyjścia, przewodniczka — która przedstawiła się jako Irena — informowała tonem wykładowcy:

— Będę musiała państwu opisywać, co odbywa się w większości wydziałów.

Prawie cały personel jest teraz na urlopie.

— Ale nie wszyscy — powiedziała szeptem Paula do Newmana. — Spójrz na dach.

— Zauważyłem go.

Stojący na płaskim dachu pięciopiętrowego budynku mężczyzna spoglądał w dół, obserwując grupę turystów przez lornetkę. Weszli do środka. Skwaszony recepcjonista wręczył każdemu przepustkę, którą należało przypiąć do ubrania.

— Zwiedzimy najpierw planetarium — tłumaczyła Irena głośno. — Nie jest to właściwie odpowiednia nazwa. Można tam zobaczyć wiele satelitów, krążących po orbitach nad kołem polarnym...

Weszli do przestronnego, mrocznego pomieszczenia z ogromną kopułą zamiast sufitu. Przewodniczka włączyła magnetofon i z taśmy popłynęły informacje na temat satelitów — po angielsku, niemiecku

i francusku. Turyści stali zbici w ciasną grupę, spoglądając w górę i starając się przyzwyczać wzrok do ciemności.

— Pojawia się właśnie satelita Astra — oznajmił rozbrzmiewający echem głos.

Ukazał się obiekt, podobny do futbolowej piłki z kolcami. Reflektor śledził jego powolny ruch po łuku tuż nad krawędzią kopuły. Marler odłączył się od grupy i przechadzał się po sali, często spoglądając w górę, jakby sprawdzał, skąd będzie lepsza widoczność. Podszedł do wmurowanych w okrągłą ścianę ciężkich, stalowych drzwi z uchwytem. Próbował je otworzyć. Bezskutecznie.

Z głośnika płynął nadal monotony komentarz. Newman i Paula, przechadzając się wokół sali, dołączyli do Marlera. Było zaskakująco chłodno. Paula domyśliła się, że pomieszczenie jest klimatyzowane. Hauser wydał fortunę na ten monstrialny spektakl. Marler stojąc plecami do ściany, próbował otworzyć kolejne drzwi. Były zamknięte na głucho. Poszedł dalej, okrążając salę. Wszyscy, łącznie z przewodniczką, przyglądali się migocącym na kopule konstelacjom.

Marler przeszedł następne kilka metrów. Paula i Newman trzymali się blisko niego. Ponownie przystanął, odwrócony plecami do metalowej płyty. Była szeroka, sięgała mu nad głowę i miała w środku wycięcie grubości żyletki.

Żadnego uchwytu, tylko szczelina na wysokości pasa. Otwór na kartę magnetyczną. Marler wyciągnął z portfela kartę kredytową, wsunął ją w szczelinę i zaczął ustawiać pod różnymi kątami. Z doświadczenia wiedział, że czasem dawało to rezultaty.

Paula spojrzała na grupę turystów. Wszyscy z zadartymi głowami obserwowali kolejnego satelitę. Głos z taśmy nadal przekazywał monotony komentarz.

Turystów hipnotyzował nie kończący się spektakl wysoko w górze. Grupa liczyła czterdzieści osób. Przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien zauważyć braku ich trojga, gdyby znaleźli jakiś sposób, żeby rozejrzeć się po innych budynkach.

Paula usłyszała cichy furkot, odgłos pracy dobrze naoliwionej maszynerii.

— Udało się! — szepnął Newman. — Zaryzykujmy. Szybko!

Marler wszedł do dużej windy w kształcie klatki, która ukazała się za otwartymi drzwiami. Newman także wśliznął się do środka, a za nim Paula. Marler przebiegł wzrokiem tablicę z przyciskami. Na samym dole był czwarty poziom.

Nacisnął najniższy guzik. Zasunęły się drzwi i winda zaczęła zjeżdżać.

Marler spojrzał w górę sprawdzając, czy na suficie i ścianach nie ma kamer.

Niczego nie zauważył. Winda nadal zjeżdżała w dół. Paula wsunęła rękę do torebki, chwytając za kolbę automatycznego browninga. Newman wyjął z kabury smith and wessona i trzymał broń przy boku. Winda stanęła i drzwi się otworzyły.

Marler wychylił głowę na zewnątrz. Zobaczył szeroki korytarz, ściany z szarego metalu i podłogę pokrytą karbowaną gumą, która powinna stłumić odgłos ich kroków. Którędy pójść? W prawo czy w lewo?

Wyglądało na to, że po lewej stronie korytarz dochodzi do metalowych drzwi. W przeciwnym kierunku zniknął za zakrętem. Marler postanowił pójść w prawo. Dał znak Pauli i Newmanowi, żeby pozostali jeszcze przez chwilę w windzie.

Znalazłszy się na korytarzu zobaczył na ścianie tablicę z przyciskami. Skinął na swych towarzyszy, aby wyszli. Kiedy stali już wszyscy na zewnątrz, wcisnął guzik pierwszego poziomu. Drzwi się zamknęły i winda zaczęła powrotną podróż do tak zwanego planetarium.

— Gdyby ktoś tędy przechodził, nie będzie się zastanawiał, dlaczego winda jest na dole — powiedział szeptem do Newmana.

— Słusznie. Ruszajmy w drogę.

Marler zaczął iść powoli, uważnie się rozglądając. Spojrzawszy w górę przystanął, po czym

przysunął się bliżej do ściany, dając znak Newmanowi i Pauli, by zrobili to samo. Przyłgnął do ściany i czekał, aż do niego dołączą.

Potem wskazał na coś w górze, w głębi korytarza.

— Kamera. Obiektyw nie ma dostatecznie szerokiego kąta, żeby objął całą przestrzeń.

Newman wiedział, że Marler jest ekspertem od urządzeń do inwigilacji. Poszli dalej. Paula przesuwiała się wzdłuż ściany, nie mogąc oderwać oczu od obiektywu kamery, który wyglądał jak lufa karabinu. Minawszy go popatrzyła na ścianę.

Nie było na niej nawet śladu kurzu. Niesamowitą, denerwującą ciszę zakłócało jedynie ciche buczenie. Z korytarza wypompowywano powietrze, zastępując je świeżym. Ten dźwięk przypominał jej wizytę w elektrowni atomowej Sizewell w Suffolk, na południe od Walberswick. To z kolei przywoływało makabryczne wspomnienie zabójstwa Sandy, które opisywał jej Newman. Czy mógł istnieć związek między tamtą zbrodnią i tym tajemniczym Instytutem Meteorologii w Finlandii?

Marler znowu się zatrzymał. Patrzył na coś na ścianie o metr czy dwa od miejsca, w którym stał. Jego towarzysze znieruchomieli. Newman po chwili podszedł

bliżej. Marler odwrócił się i podkreślając gestem swoje słowa wyjaśnił szeptem:

— Fotokomórka. Na wysokości pasa. Przecięcie wiązki promieni włącza system alarmowy. Musimy przeczołgać się dołem.

Uklęknął i zaczął posuwać się naprzód, schylając nisko plecy. Newman poszedł

w jego ślady i po chwili stał znowu obok Marlera. Paula wzięła głęboki oddech, skróciła pasek torebki i przewiesiła ją przez piersi. Idąc na czworakach obserwowała wmontowany w ścianę, niewinnie wyglądający szklany guzik.

Przypominał jej złośliwe oko. Przywierając do podłogi dotarła do obu mężczyzn, po czym wstała, dysząc z napięcia.

— Bądźmy czujni — ostrzegł Marler. — Tu na pewno znajdziemy wiele podobnych urządzeń.

Zakręcający korytarz ciągnął się w nieskończoność. Marler przypuszczał, że idą po obwodzie wysokiego, okrągłego budynku, który widział z powietrza, gdy fokker podchodził do lądowania. Po drugiej stronie korytarza usytuowane były w dużych odstępach od siebie zamknięte drzwi. Marler pokładał nadzieję w Bogu, że nikt się w nich nie pojawi.

Idąc na końcu, Paula zaczynała odczuwać klaustrofobiczny lęk. Czwarty poziom.

Znajdowali się głęboko pod powierzchnią Arktyki.

Jak w grobie. Poczła nagle nieodpartą chęć, żeby krzyknąć. Zakryła usta dłonią, przetykając szybko ślinę. Marler znów przystanął, podnosząc rękę w ostrzegawczym geście. Zastanawiała się, o co, do

diabła, może tym razem chodzić.

— Piekielnie sprytny system zabezpieczeń — oznajmił Marler spokojnym szeptem. — Jeszcze jedna fotokomórka. Na wysokości kostek.

Wskazał ręką w dół. Spojrzał przez ramię i uśmiechnął się do Pauli, widząc wyraz jej twarzy. Podniósł palec do skroni, jakby salutował.

— Patrz uważnie, co robię — uprzedził.

Podszedł kawałek do przodu, uniósł wysoko jedną nogę jak żołnierz maszerujący na defiladzie i zrobił krok. Potem podobnie podniósł drugą nogę i stanął za okiem fotokomórki. Obejrzał się. Newman naśladował jego ruchy. Paula spojrzała w dół i zobaczyła kilka centymetrów nad podłogą jeszcze jedno złowieszcze, szklane oko. Podnosiła wysoko obolałe z napięcia nogi, najpierw jedną, potem drugą. Marler położył jej dłoń na ramieniu.

— Dzielna dziewczyna — pochwalił ją. — Trzymaj się. Już niedługo.

Znów ruszył przodem, przemykając wzdłuż ściany, gdyż zobaczył w środku korytarza następną kamerę. Paula szła jakby przyklejona plecami do ściany.

Miała wilgotne dłonie. Często spoglądała w tył. Przedłużyła pasek torebki i wytarłszy prawą rękę o pośladek sięgnęła po browninga. Newman przystanął i obejrzał się na nią.

— Zakładam, że patrzysz uważnie za siebie?

— Na litość boską! — syknęła z wściekłością. — Oglądam się co dziesięć sekund!

— W porządku.

Paula była zaskoczona. Spodziewałaby się raczej, że to Newman zauważy jej przerażenie, a tymczasem dostrzegł je Marler. Potem przypomniała sobie o Sandy. Umysł Newmana był zaabsorbowany tylko jedną sprawą. Czy mogła mieć mu to za złe?

Dla Pauli wędrówka wzdłuż zakręcającego korytarza przerodziła się w koszmar.

Wyobraziła sobie, że będą stale kręcić się w kółko, nigdy nie znajdą wyjścia.

Nagle zrozumiała, dlaczego czuje się taka zagubiona. Poruszali się ciągle po obwodzie ogromnego koła i dręczyła ją straszliwa myśl, że w pewnym momencie znajdą się znowu obok windy, która zwozła ich na dół do tego piekła.

Zmarszczyła brwi. Podłoga korytarza nie była już pozioma, lecz wznosiła się ku górze, jak prowadzące do sali odlotów pochyłe chodniki na londyńskim lotnisku Heathrow. Podejście robiło się coraz bardziej strome. Ominęli jeszcze jedną umieszczoną na wysokości pasa fotokomórkę, przeczołgując się pod nią.

Korytarz ciągle biegł pod górę.

Marler znów przystanął. Uniósł rękę. Następna fotokomórka? Nie. Tym razem wskazywał przed siebie. Korytarz się skończył. To, co było dalej, zasłaniały podwójne drzwi, zamknięte i zabezpieczone sztabą. Marler pochylił się i przyklęknął. Paula patrzyła ze zdziwieniem. Przyglądał się czemuś, co odkrył na podłodze z karbowanej gumy pod jedną z jarzeniówek, wmontowanych w półokrągły sufit. „To też doprowadza mnie do szału — pomyślała Paula. —

Wszystko jest zaokrąglone. Żadnych równych powierzchni”.

Marler wyciągnął ostrożnie rękę i poskrobawszy palcami ciemną plamę sprawdził jej zapach. Potem podniósł się i podszedł z powrotem do Newmana, który stał plecami do ściany z rewolwerem przy boku. Pokazał mu palce prawej dłoni.

— Ślady kół. Jakiś duży pojazd. Czuć benzynę. Wjeżdżają w ten korytarz ciężarówkami. Na szerokich oponach. — Spojrzał w górę. — Mogłaby się tu zmieścić nawet bardzo duża ciężarówka. Korytarz jest dostatecznie szeroki.

Zastanawiałem się cały czas, po co im tyle przestrzeni.

— Sprawdźmy więc, co jest za tymi drzwiami.

— O ile uda się nam je otworzyć...

„O Boże, tylko nie to!” — pomyślała Paula, zaciskając zęby.

Newman trzymał mocno w obu dłoniach smith and wessona, Marler zdejmował

ostrożnie sztabę. Potem pchnął drzwi. Ciężka metalowa płyta drgnęła, utworzyła się szczelina, która powoli stawała się coraz szersza. Newman zajrzał przez nią do środka. Paula próbowała coś dostrzec nad jego ramieniem.

— To największy garaż na świecie — stwierdził Newman szeptem.

Patrzyli na ogromny podziemny parking z masywnymi filarami, których rzędy znikwały gdzieś w oddali. Na betonie stała cała armia ciężarówek, jak gotowy do inwazji, nie kończący się konwój. W świetle wiszących u góry potężnych jarzeniówek widać było wyraźnie charakterystyczny napis INCUBUS

Oy. Wiele ciężarówek, stojących w dwóch osobnych rzędach, miało z boku jakieś dziwne litery.

— Co jest na nich napisane? — syknęła Paula.

— To cyrylica — wyjaśnił Marler. — Rosyjski alfabet. — Potrafił czytać w tym języku. — Ten napis oznacza: „Komunikacja państwowa”.

— Co się tu właściwie dzieje? — zastanawiał się Newman.

Marler wsunął głowę w szczelinę. Nasłuchiwał przez kilka minut, przyłożywszy palec do ust, aby nikt nic nie mówił.

— Przypuszczam, że nikogo tu nie ma — oznajmił w końcu. — Rozejrzyjmy się i zobaczmy, co oni kombinują...

Paula poczuła ogromną ulgę, kiedy z zamkniętego korytarza, który przypominał

scenerię filmowego horroru, wydostała się do przestronnej groty. Nie było tam wychodzących na zewnątrz okien. Znajdowali się nadal pod ziemią. I to głęboko.

Być może ciągle na czwartym poziomie.

Szła za Newmanem i Marlerem, ściskając browninga w dłoni. Obaj mężczyźni trzymali się lewej strony garażu, korzystając z przejścia między ścianą a długim szeregiem ciężarówek. Czuć było teraz zapach oleju i benzyny. Wydawało się dziwne, że nikogo tam nie ma, ale Paulę nade wszystko cieszyła rozległa przestrzeń.

Przeszedłszy połowę długości garażu Marler przystanął, wskazując na potężne, okratowane drzwi olbrzymiej windy, wystarczająco duże, aby pomieścić ciężarówkę. Paula zauważyła, że wszystkie pojazdy to samochody chłodnie.

Newman klepnął Marlera w ramię i wszedł bokiem między dwie ciężarówki, zdążając w kierunku pierwszego szeregu pojazdów z rosyjskimi napisami.

Zauważył, że jeden z samochodów ma otwarte tylne drzwi. Marler wzruszył ramionami i zniknął za jedną z masywnych kolumn, idąc dalej w głąb garażu.

Paula poszła za Newmanem.

Zbliżył się ostrożnie do ciężarówki i obejrzał ją od tyłu. Nie zauważył żadnych strażników. Podkraść się z boku, by zaglądnąć do kabiny. Nie było tam nikogo.

Wrócił do Pauli, która została z tyłu.

— Zajrzyjmy do środka — powiedział. — Zobaczymy, jaki towar znajdziemy tym razem.

Paula wskoczyła do ciężarówki, a Newman za nią. Oba skrzydła tylnych drzwi były szeroko otwarte i w środku nie brakowało światła. Paula chwyciła za rączkę długiego, metalowego pojemnika, podniosła pokrywę. W środku była szara, ciastowata substancja. Wyjawszy z torebki zapasową apaszkę postąpiła tak samo jak Marler na autostradzie niedaleko Porvoo. Zacerpnęła pełne garście przypominającej plastelinę masy, zawinęła sporą jej ilość w apaszkę i schowała do torebki.

— Paula, co robisz? — zapytał Newman.

Zbadał najpierw zawartość większej skrzyni, a teraz przyszedł zajrzeć do metalowego pojemnika.

Omiał się nie roześmiał widząc, co odkryła Paula, choć nie było w tym nic zabawnego.

— Znowu semtex — stwierdził. — Boże! Musieli kupować go na tony.

— To jest dowód — powiedziała Paula, wyjmując dużą chustkę do nosa.

Zaczerpnąwszy o wiele mniejszą tym razem ilość plastycznej masy zawinęła ją w chustkę, a potem wcisnęła do torebki. Kiedy się wyprostowała, zauważyła ironiczny uśmiech Newmana.

— Co cię tak rozbawiło?

— Chodź i zobacz. Przypomnij sobie tę ciężarówkę na północ od Porvoo.

Zachowujesz się tak samo jak Marler. Wszystko się powtarza.

Zajrzała do dużej skrzyni, którą wcześniej otworzył. Rozpoznawała już teraz niektóre ze śmiertelnych zabawek, wytwarzanych przez tak zwanego

„cywilizowanego człowieka”. Zobaczyła ułożone starannie w równych rzędach laski.

— To gelignit — rzekł Newman. — Wynośmy się stąd...

Kiedy zamierzali wyskoczyć z ciężarówki, nie wiadomo skąd pojawił się strażnik.

Szczupły mężczyzna o wychudzonej twarzy i wydatnych kościach policzkowych, podobny do Manescu. Newman pomyślał smętnie, że ma przed sobą jeszcze jednego z agentów rumuńskiej Securitate, którzy zniknęli w Bukareszcie. Smith and wesson spoczywał w kaburze. Strażnik zaciskał w obu dłoniach colta kalibru 445 i celował w nich. Odległość była bardzo niewielka. Wylot lufy wyglądał jak paszcza działa. Newman wiedział, że pojedynczy pocisk z tej broni potrafi wyrwać w ciele wielką dziurę i odrzucić ofiarę do tyłu z siłą młota kowalskiego.

Rumun odezwał się łamaną angielszczyzną:

— Podnieść wysoko ręce. Usiąść na ciężarówce. Zejść na ziemię.

Paula i Newman zrobili dokładnie to, co im kazano. Strażnik stał

o jakieś cztery metry od nich, zbyt daleko, aby Newman ryzykował odbieranie mu broni. Paula klęła w duchu, że browninga schowała do torebki. Stanęli prosto, znowu podnosząc ręce. W ogromnej grocie panowała upiorna cisza.

— Teraz podejść powoli do ściany. — Wskazał lufą broni wewnętrzną ścianę garażu. — Twarzą do muru.

Paula trzymała się blisko Newmana. Jego obecność dodawała jej otuchy. Czekala ich śmierć — nie miała co do tego wątpliwości. Kiedy stanęli naprzeciw betonowego muru, strażnik ponownie się odezwał:

— Mężczyzna odwrócić się do mnie. Powoli... Dziewczyna stać twarzą do ściany.

Newman obrócił się powoli o sto osiemdziesiąt stopni. Strażnik stał pewnie na rozstawionych szeroko nogach, trzymając mocno w obu rękach colta. Patrzył z ukosa znad celownika, wymierzając lufę w sam środek klatki piersiowej Newmana. Uśmiechnął się, odsłaniając zepsute zęby.

— Ja ciebie zabić i zabawić się z panienką, nim ją zastrzelić. Nie ruszać się!

Newman zmartwiał, słysząc tę groźbę. Wtem w powietrzu świsnął jakiś błyszczący przedmiot. Załśnił w świetle jarzeniówek i wbił się strażnikowi w plecy. Zza filaru wyszedł Marler. Rumun wydał chrapliwy jęk. Jego twarz zastygła w wyrazie osłupienia. Upuścił colta i chwiejąc się zrobił pół obrotu w tył.

Newman zobaczył, że z pleców wystaje mu nóż. Ostrze utkwiło w ciele na głębokość kilkunastu centymetrów. Strażnik przez chwilę stał przechylony, a potem runął do tyłu, uderzając ciężko o betonową posadzkę. Ostrze noża wbiło się jeszcze głębiej w jego ciało. Leżał nieruchomo. Marler podbiegł na palcach.

Paula czuła, jak pot strugami spływa jej po plecach. Marler pochylał się nad strażnikiem. Zbadał mu tętno na szyi i podniósłszy wzrok oznajmił obojętnie:

— Trup na miejscu. Newman, daj mi jedną z tych szmat z ciężarówki. Dzięki.

Paula, lepiej na to nie patrz.

Dziewczyna wycierała spocone ręce głównie po to, by ukryć fakt, że nie może opanować ich drżenia. Splotła mocno dłonie. Zmusiła się, aby nie odwracać oczu

— ktoś, kto nie potrafi znieść drastycznych widoków, nie nadaje się do tej pracy.

Marler znowu przykucnął i obwiązał szmatą wystający jeszcze fragment ostrza.

Wziąwszy głęboki oddech pociągnął z całej siły za rękojęść. Wydobywanie noża z ciała było ciężką pracą. Zakrwawione ostrze wysuwało się powoli, zanim wyskoczyło na zewnątrz. Marler wstał i wytarłszy je w szmatę podszedł do ciężarówki. Wepchnął zaplamiony gałgan pod stertę innych. Potem podciągnął

nogawkę i wsunął nóż z powrotem do pochwy. Otrzepał spodnie z białego pyłu, którym się zabrudził, stojąc za filarem. Zachowywał się tak, jakby wykonywał

zwykłe, rutynowe czynności.

— Zbierajmy się stąd — oznajmił energicznie. — Najlepiej chyba skorzystać z tej windy dla ciężarówek. Musi prowadzić na zewnątrz. — Spojrzał na Newmana.

— Najpierw jeszcze pomóż mi zrobić coś z tym typem.

Chwycili we dwóch strażnika, na poły go ciągnąc, na poły niosąc. Zawłókszy ciało do ciężarówki, którą Newman i Paula przeszukiwali, wepchnęli je głęboko pod podwozie. Marler otrzepał ręce, przyglądał marynarkę i nagle znieruchomiał. Niewidoczna, potężna kabina sunęła j w górę. i

— Ktoś chce zjechać na dół — zauważył Marler. — Przygotujmy lepiej komitet powitalny...

Paula, stojąc o jakieś dwa metry od szybu windy, uparła się, że posłuży jako przynęta. Przekonywała ich zawzięcie, że ktokolwiek zjeżdża na dół, będzie zaskoczony widokiem czekającej tam kobiety. Newman, aczkolwiek niechętnie, przyznał jej rację.

Czekali. Napięcie rosło. Winda zatrzymała się na którymś z wyższych poziomów.

Paula miała wrażenie, że mijają długie godziny i nic się nie dzieje. Stała trzymając rękę na spoczywającym w torebce browningu.

Znowu rozległ się furkoczący dźwięk. Winda zjeżdżała powoli na dół. Trwało to w nieskończoność. Paula domyślała się, że jedzie z górnego poziomu. Miała nadzieję, że jest stamtąd wyjście na zewnątrz. Była zaskoczona, gdy winda zatrzymała się na dole. Spodziewała się zobaczyć wielką ciężarówkę, a tymczasem za kratami stał niski mężczyzna o szczupłej twarzy, ubrany w dżinsy i marynarkę. Zareagował błyskawicznie. Broń jakby sama znalazła się w jego dłoni. Wycelował mausera w żołądek Pauli. Otworzył kratę wolną lewą ręką i wyszedł z kabiny, rozkazując po angielsku:

— Wyjmij powoli rękę z torebki. Jak coś w niej zobaczę, rozwalę ci brzuch.

Wykonała ostrożnie jego polecenie, zostawiając w spokoju browninga.

Mężczyzna z twarzy był podobny do strażnika, którego załatwił Marler. Ostre rysy, wydatne kości policzkowe. Zbliżył się do niej jeszcze o krok.

Newman trzasnął go z całej siły w skroń lufą smith and wessona, na tyle mocno, że broń odbiła się od pękniętej czaszki. Mężczyzna runął twarzą na beton. Paula ledwie zdążyła odskoczyć w bok. Newman zbadał leżącemu puls i spoglądając na Marlera pokręcił głową.

Zanim zaciągnęli ciało pod jedną ze stojących w pobliżu ciężarówek, Marler wyjął strażnikowi z kieszeni zapasowe magazynki. Następnie podniósł mausera, sprawdził go i wetknął sobie za pas pod marynarkę.

— Może być nieprzyjemnie — rzekł Newman. — Pojedziemy windą i zobaczymy, co nas czeka na górze.

Paula spojrzała na niego nie mogąc wprost uwierzyć własnym uszom. Kiedyś podobne przeżycia wytrąciłyby go z równowagi. Wszyscy dostrzegli, jak bardzo się zmienił od swej pamiętnej, sekretnej podróży do Niemiec Wschodnich w czasach zimnej wojny. A teraz jego reakcja sprowadzała się do stwierdzenia:

„Może być nieprzyjemnie”.

W windzie Marler obejrzał szybko tablicę kontrolną. Były na niej, jeden pod drugim, trzy przyciski, a na samym dole klucz.

— To intrygujące — mruknął. — Przyciski dla pierwszego, drugiego i trzeciego poziomu. Żeby zjechać na czwarty poziom, trzeba uruchomić windę kluczem.

Chyba go zabiorę, kiedy dotrzemy na górę. Nie ma sensu zostawiać dowodu, że ktoś zjeżdżał do garażu. Poza tym ten klucz może się jeszcze przydać.

Wcisnął guzik pierwszego poziomu. Kiedy winda zaczęła mozolną wspinaczkę, Paula znów poczuła rosnące napięcie. Jakie nowe niebezpieczeństwo może ich czekać na pierwszym poziomie? Zmusiła się, by przestać o tym myśleć, i zapytała:

— Jak, u licha, te ogromne ciężarówki docierają na czwarty poziom?

— Znalazłem wyjazd — odparł Marler, wpatrując się w kratę. — Doszedłem do końca garażu. Jest tam potężny tunel, który gdzieś zakręca. Podłoga wznosiła się stromo pod górę. Mają na tych poziomach solidne drzwi.

Mijając kolejne piętra widzieli za kratą mocne, stalowe wrota. Ten Instytut Meteorologii przypominał fortecę. Winda zwolniła i zatrzymała się na pierwszym poziomie. Oczekiwanie było dla Pauli udręką. Po chwili rozsunęły się drzwi. Marler wsadził prawą rękę pod marynarkę i chwycił mausera. Newman wyjął z kabury smith and wessona i wetknął go za pas. Paula zmrużyła oczy przed oślepiającym światłem arktycznego słońca. Dotarli na powierzchnię ziemi.

Za windą znajdował się wybetonowany plac z ogromnym budynkiem po drugiej stronie. Nie było w nim ani jednego okna. Wyglądał jak potężny schron. Marler wychylił głowę z windy i rozejrzał się na boki. Schowawszy klucz od czwartego poziomu, skinął na Paulę i Newmana, aby za nim poszli. Stracił zupełnie poczucie kierunku. Mogli iść w którąkolwiek stronę. Wskazał na przepastną wnękę w schronie.

— Widzicie ten tunel? To tamtędy ciężarówki dostają się na czwarty poziom.

— Przypuszczałam, że nie wystarczyłaby im sama winda — stwierdziła Paula.

— Transportowanie nią na dół pojazdów trwałoby całą wieczność. W takim razie po co im winda, skoro mają tunel?

— Domyślam się, że to droga awaryjna — powiedział Newman — na wypadek, gdyby jakaś ciężarówka z materiałami wybuchowymi eksplodowała w tunelu i zablokowała go. Pan Hauser jest nadzwyczaj przezorny. Pójdziemy w prawo. Ta zaokrąglona ściana to zewnętrzna część budynku, w którym szliśmy nie kończącym się korytarzem. Przy odrobinie szczęścia możemy dotrzeć z powrotem do lądowiska.

— Słuszne rozumowanie — przyznał Marler.

Za jego radą trzymali się blisko muru. Marler nie zapomniał

o strażniku na dachu, którego widzieli wysiadając z samolotu. Pewnie było ich więcej. Co jakiś czas pojawiały się w murze na wysokości ramion okrągłe okienka. Marler przykucał, przechodząc pod nimi, a Paula i Newman szli za jego przykładem. W porównaniu z panującym w budynku chłodem na zewnątrz było jak w piekle. Słońce prażyło bezlitośnie. Mijali długi wąski pasaż, wchodzący w głąb budynku. Stały tam duże metalowe kubły na śmieci. Zdążyli przejść jeszcze parę metrów, gdy Marler podniósł rękę.

— Ktoś się zbliża. Duża grupa ludzi. Ukryjmy się w tej uliczce. Szybko!

Newman biegł tuż za Paulą, która dała nura w alejkę i popędziła w głąb wąskiego przesmyku. Schowała się za jednym z kubłów. Newman i Marler znaleźli schronienie za metalowymi pojemnikami bliżej wejścia. Marler obserwował zza swego kubła wylot uliczki.

Pojawiła się grupa strażników. Wszyscy byli umundurowani. Minęli wejście do pasażu, ale żaden nie zajrzał w głąb. „Cholerne tępaki — pomyślał Marler. — I dzięki Bogu!” Kiedy strażnicy zniknęli, podkraść się do wylotu uliczki i poszedł

za nimi kawałek wzdłuż muru. Szybko zjawił się jednak z powrotem.

— Droga wolna. Ten kompleks budynków jest silnie strzeżony. Było ich dwudziestu. Każdy miał w kaburze broń. Trochę to dziwne, jak na Instytut Meteorologii. Weszli do windy dla ciężarówek. Facet na przedzie trzymał klucz.

— A więc zjeżdżali na czwarty poziom — stwierdził Newman. — Mieliśmy szczęście. Pewnie wychodzą razem na obiad, zostawiając tylko dwóch ludzi.

— Teraz będą się zastanawiać, gdzie oni są. I zaczną ich szukać — przerwała mu Paula. — Myślisz, że wyjdziemy stąd żywi?

— Ruszajmy — powiedział Newman.

Idąc wzdłuż kolistego muru mijali właśnie pierwsze napotkane wejście, gdy drzwi nagle się otworzyły. Marler sięgnął po mausera. Z budynku wyłoniła się postawna dama w słomkowym kapeluszu z szerokim rondem i jaskrawopomarańczowej spódnicy, okrywającej ją jak namiot. Była w wieku trudnym do określenia. Uśmiechnęła się promiennie do Marlera, który rozpoznał w niej jedną z turystek.

— Nazywam się Fairweather — powiedziała przesadnie wylewnym tonem. —

Odpowiednie nazwisko na tę pogodę, prawda? Przypuszczam, że też ma pan dość włóczenia się bez końca. I tych okropnych głosów, które bez przerwy ryczą na człowieka z magnetofonu. Tego już po prostu za wiele. Powiedziałam tej Fince, Irenie, że muszę odetchnąć świeżym powietrzem. Próbowала zmusić mnie do pozostania z grupą, ale się uparłam. George, mój mąż, twierdzi, że gdy czegoś chcę, lepiej żeby wszyscy brali to pod uwagę.

— Z pewnością ma rację, łaskawa pani — przyznał z uśmiechem Marler.

— Pewnie pan wie, że mamy iść cały czas wzdłuż tego muru w prawo. Irena powtarzała mi to trzy razy, jakbym była jakimś wiejskim przygłupem. W prawo!

Ryczała do mnie jak przez megafon. I pytała ciągle, czy na pewno chcę się odłączyć. Wskazała mi drogę do tych drzwi. Podkreślała, że kiedy wyjdę, nie będę już mogła wrócić. Drzwi zamykają się automatycznie, więc nie można potem zmienić zdania...

Posuwali się wzdłuż ściany, słuchając wynurzeń pani Fairweather. Marler uśmiechał się uprzejmie. Zdążył w porę schować mausera z powrotem za pas.

Paula i Newman szli z tyłu, zachowując milczenie. Pani Fairweather mówiła za całą czwórkę.

— Oczywiście — ciągnęła — w planetarium było ciekawie. Pewnie zaskoczyło to pana tak samo jak mnie, kiedy pod koniec pokazu głos z gadającej maszyny wyjaśnił, że oglądamy satelity meteorologiczne. Każdy myślał, że to sowieckie satelity szpiegowskie. Wszyscy mają już dość i chcą wracać. Spędziliśmy za dużo czasu w Dziale Badań Geologicznych. Wtedy zaczęło być nudno. Potworna nuda.

I żadnych napojów. Irena powiedziała, że dostaniemy coś do picia w czasie lotu do Rovaniemi. O, proszę spojrzeć, jest nasz samolot...

Ich oczom ukazało się lądowisko. Podsuwane schodki były nadal na miejscu.

Marler wszedł po stopniach za panią Fairweather i usiadł obok niej. Trudno było sobie wymarzyć doskonalszy kamuflaż.

Paula zajęła miejsce przy oknie obok Newmana, dwa rzędy za Marlerem.

Spojrzała na zegarek. Po chwili ponownie sprawdziła czas. Newman wiedział, co ją trapi. Wcześniej czy później dwudziestoosobowa ekipa strażników odnajdzie martwych towarzyszy. I wtedy samolot nie dostanie pozwolenia na start.

Pięć minut później ukazał się długi sznur turystów. Maszerowali zdecydowanie w kierunku samolotu. Weszli pospiesznie na pokład i zajęli miejsca.

Przewodniczka wyglądała na przygnębioną. Pani Fairweather oznajmiła scenicznym szeptem, który słyszało pół samolotu:

— Widzi pan! To ja zapoczątkowałam ten bunt. Wiedziałam, że wszyscy są wykończeni.

— Pani ma świetne wyczucie — skłamał Marler, uśmiechając się pogodnie.

Paula obserwowała z okna wejście do kompleksu budynków. Była przekonana, że w ostatniej chwili pojawią się tam strażnicy. Odsunięto schodki, pilot włączył

silniki i śmigła zaczęły się obracać. Paula nie odrywała oczu od wejścia. Nagle zamarła. W kierunku samolotu biegli trzej umundurowani ludzie, wymachując rękami i otwierając usta, jakby

wykrzykiwali jakieś rozkazy.

— Czegokolwiek chcą, jest już za późno. Odlatujemy! — krzyknęła przewodniczka.

Paula usłyszała, jak zatrzaśnięto drzwi do kabiny pasażerskiej. Fokker ruszył z miejsca i nabrawszy szybkości na pasie startowym wzbił się w bezchmurne niebo. Po trzydziestu sekundach Instytut Meteorologii przypominał widoczną daleko w dole budowlę z klocków. Maszyna wracała w kierunku Rovaniemi.

— Muszę przyznać, pani Fairweather — powiedział Marler zblazowanym tonem — że jestem pani bardzo wdzięczny za skrócenie tej wycieczki. Była naprawdę nudna. Śmiertelnie nudna.

— Frank, twierdzisz, że ktoś wdarł się do instytutu w Kemijärvi?

Hauser był niepokojąco opanowany. Siedział za biurkiem w okrągłej wieży dziwaczного domu w Helsinkach. Za oszklonymi drzwiami znajdował się balkon z bogato zdobioną metalową balustradą. Galvone przechadzał się nerwowo tam i z powrotem, trzymając ręce w kieszeniach.

— Dostałem właśnie wiadomość przez telefon — oznajmił. — W garażu na czwartym poziomie zabito dwóch strażników...

— Mów dalej — powiedział Hauser złowieszczym tonem. — Nie przekazuj mi informacji na raty.

— Z jednego z kontenerów w ciężarówce zniknęło trochę semtexu.

Przypuszczalnie intruzi dołączyli do zwiedzającej instytut grupy turystów.

— A dopiero co tam byłeś, żeby wzmocnić ochronę. Tak mnie przynajmniej zapewniałeś. Co się stało? Czy nie mogę na tobie polegać?

— Proszę posłuchać, szefie. — Galvone rozłożył ręce w błagalnym geście. —

Wydałem polecenie, żeby wszystkie grupy strażników jadły posiłki na zmianę.

Połowa ekipy miała zostawać na miejscu. Strażnicy *t garażu* poszli na obiad razem, pewnie po to, żeby móc pogadać i pograć w karty. Postąpili całkowicie wbrew moim rozkazom. Zostawili tylko dwóch ludzi — i ci dwaj zginęli.

— Frank, przestań chodzić w kółko! Usiądź na tyłku, na litość boską, bo nie mogę myśleć.

Hauser zapalił papierosa. Nie podwinął rękawów koszuli. Wprawdzie o szóstej wieczorem wciąż panował nieznośny upał, ale Hauser był przyzwyczajony do skrajnych temperatur. Myślał o Irinie Sierowej. Poruszyła go rano wiadomością, że w hotelu „Hesperia” przebywa człowiek nazwiskiem Tweed, jeden z szefów brytyjskiego wywiadu. Odnalazł więc przywódcę swoich wrogów — który w tej chwili powinien już być martwy. Hauser nie był pewien, czy Irina postąpiła słusznie. Jak zareaguje na tę wiadomość premier Wielkiej Brytanii?

Miał jeszcze jeden problem. Biorąc pod uwagę napad na ciężarówkę na północ od Porvoo, zginęły w sumie próbki z dwóch partii materiałów wybuchowych.

Hauser nie miał wątpliwości, że za tamten wypadek byli odpowiedzialni ci sami ludzie, którzy dokonali kradzieży w Instytucie Meteorologii. Zdobyli dowody i pokażą je być może fińskim władzom. Będąc w takim położeniu prawie każdy wolałby się wycofać. Ale nie Hauser. Kiedy wywierano na niego presję, atakował.

— Znajdujemy się w krytycznej sytuacji, Frank. Operacja „Ural” już się zaczęła.

Zobacz...

Podsunał mu przez biurko egzemplarz „Herald Tribune” i czekał, aż Galvone przeczyta tekst. Duży nagłówek głosił: WYSADZONO POCIĄG KOLEI TRANSYBERYJSKIEJ. ZGINEŁO PONAD STO OSÓB. Galvone czytał artykuł.

Władze sowieckie oskarżały „ekstremistów i terrorystów”. Gdy Galvone był

pogrążony w lekturze, Hauser spoglądał za okno. Irina Sierowa nigdy nie popełniłaby takiego błędu. Spowodowałyby wybuch po przejeździe pociągu. Im szybciej wyśle ją z powrotem do Rosji, żeby przejęła kontrolę nad akcją, tym lepiej. Pierwszą dostawę materiałów wybuchowych przeszmuglowano przez granicę zbyt wcześnie.

— Co teraz robimy? — zapytał Galvone.

— Kontynuujemy operację „Ural”. Tym razem pod kierunkiem kogoś, kto wie, co ma robić. Biorąc pod uwagę wydarzenia w Instytucie Meteorologii, musimy szybko przetransportować wszystkie materiały wybuchowe przez granicę do Rosji. Zajmiesz się tym. Będziesz miał pełne ręce roboty, Frank.

— W porządku, szefie. Co jeszcze?

Galvone poczuł ulgę, że Hauser przestał mówić o wpadce w instytucie. Nie chciał wracać do tego tematu.

— Awaryjny plan przeniesienia naszego centrum operacyjnego z Helsinek do centrali w Sztokholmie. W ciągu dwunastu godzin. Wszystkie tajne akta, personel wyższego szczebla. Staram się uspokoić fińskie władze, proponując im trzy miliony dolarów na budowę superlodolamacza. Są jednak tak cholernie czuli na pukcie swojej neutralności, że mogą na to nie przystać. Najważniejszą sprawą jest teraz kontynuowanie operacji „Ural”. Będzie nią kierować kobieta, niejaka Sonia Drayton. No, ruszcie wreszcie tyłek z tego krzesła. I przyślij tu szybko Adama Carvera...

Hauser pozostał sam. Uporządkował w myślach poszczególne elementy łamigłówki. Świętej pamięci pan Tweed z pewnością miał ze sobą w Helsinkach grupę ludzi, która narobiła zamieszania najpierw w Porvoo, a teraz za kołem polarnym. Hauser potrzebował ekipy egzekutorów. Zatrzyma Irinę Sierową, żeby stanęła na jej czele. W skład grupy wejdą Manescu i Ziegler, ludzie, którzy nie zawahają się przed popełnieniem morderstwa, aby wyeliminować wroga.

Znalazłszy się w ślepych zaułku, trzeba atakować.

Tweed miał za sobą pracowity dzień. Monika zadzwoniła z Londynu z informacją, którym samolotem przyleci zamówiony przez niego sprzęt. Butler zawiózł Tweeda i Niolda na lotnisko. Skorzystali z BMW Newmana.

Tweed załatwił odprawę celną, podpisując papiery jako Martin Haker. Skrzynie załadowano do BMW. Pojechali następnie za Port Północny, gdzie Tweed wynajął magazyn. Pomógł Butlerowi i

Nieldowi wnieść skrzynie do środka.

— Czy mogę wiedzieć, co to za sprzęt? — zapytał Nield.

— Wyposażenie ekipy filmowej. Newman podsunął mi ten pomysł, kiedy opisał, w jaki sposób wytropiono ich i zarejestrowano na taśmie na lotnisku Arlanda i na przystani promu, który kursuje ze Sztokholmu do Turku. Zrobili to filmowcy.

— Nadal nie rozumiem. — Nield nie dawał za wygraną.

— Nie wyobrażałem sobie, w jaki sposób moglibyśmy się dostać ilo tego Instytutu Meteorologii za kołem polarnym. Kiedy usłyszałem od Newmana, że rybak z Porvoo widział ciężarówkę, która przejeżdżała przez Kemijärvi i zmierzała na wschód, w kierunku instytutu, nabrałem przekonania, że mieści się tam baza jakiejś operacji. Wszystko zależy od tego, co powiedzą nam po powrocie Newman, Marler i Paula.

— O ile wrócą — stwierdził ponuro Butler. — Nie pojechali tam przecież dla zabawy.

— Poradzą sobie. Wynajęłeś tę furgonetkę, Harry? Czy plakaty i przepustki są już w druku?

— Tak. A furgonetka stoi z tyłu magazynu. Jest niewidoczna, bo przykryłem ją brezentową plandeką.

— Czy mogę się dowiedzieć, o czym mówicie? — zapytał Nield.

— Butler zamówił transparenty z wydrukowanym po fińsku i szwedzku napisem „Państwowa Wytwórnia Filmowa”. Dwa z nich umieści się na furgonetce. Będąc na lotnisku uzgodniłem, że w razie potrzeby wynajmiemy samolot. Przepustki mają posłużyć jako fałszywe dowody tożsamości.

Butler zamknął drzwi magazynu i założył dwie kłódki. Wsiedli z powrotem do BMW. Gdy ruszyli, Nield — spragniony czynu — zapytał:

— Co dalej?

— Czekam na telefon od Moniki. Prowadzi bez przerwy dochodzenie w sprawie korporacji INCUBUS, korzystając ze wszelkich dostępnych źródeł i kontaktów.

Może zdobędzie jakieś kluczowe informacje...

O godzinie piątej, w skwarne popołudnie, Tweed odebrał telefon-od Mauno Sarina.

— Czy mógłby pan wpaść na Ratakatu, powiedzmy o wpół do siódmej wieczorem? — Głos szefa tajnej policji brzmiał bardzo poważnie. — Z

laboratorium nadeszły wyniki, o których wolałbym nie mówić przez telefon.

— Zjawię się tam.

Pięć minut później znowu ktoś zadzwonił. Był to Newman, j Telefonował z lotniska w Helsinkach. Wydawał się zmęczony i zdenerwowany.

— Zawiadamiam tylko, że wróciliśmy. Mamy informacje. Bardzo ważne.

Będziemy na miejscu za pół godziny.

— Postarajcie się. Nie tylko dlatego, że upał przybiera na sile. j O szóstej muszę stąd wyjść... j

Odwrócił się do Butlera i Nielda. Nield, zawsze na luzie, leżał rozwalony w fotelu z wyciągniętymi przed siebie nogami. Butler, siedział wyprostowany i czujny. j

— Około szóstej może tu wpaść pewna blondynka — ta, którą śledziłeś, Butler, kiedy stąd wyszła i wracała do domu. Nie mam pewności, czy się zjawi, ale jeśli tak będzie, zapyta o mnie w recepcji.!

Potem zechce wyjść z hotelu. Macie przechwycić ją na zewnątrz i zabrać stąd.

Sami zdecydujcie dokąd.

— Rozpoznam ją — stwierdził Butler. — Powiem Pete'owi, jak wygląda, żeby też wiedział. Może powinniśmy zejść od razu do hallu, na wypadek gdyby zjawiła się wcześniej.

— Słusznie — przyznał Tweed. — Można się tego po niej spodziewać...

W kilka minut po ich wyjściu odebrał kolejny telefon. Tym razem Monika zrelacjonowała mu obszernie wyniki dotychczasowych poszukiwań. Tweed zrobił sporo notatek. W pewnym momencie Monika powtórzyła z naciskiem:

— Ten dom i jacht motorowy, które należą do Hausera, znajdują się na zachodzie Szwecji. Nie w pobliżu Sztokholmu. Na archipelagu. Rozciąga się na północ od Göteborga, niemal do granic Norwegii.

— Zrozumiałem. A jak nazywa się przystań? Mów...

Skończył właśnie rozmowę i odłożył notes, gdy zjawili się Newman i Marler. Tweed spojrzął na zegarek. Newman powiedział, że Paula pobiegła do pokoju się wykapać, i zaczął zdawać relację z ich wyprawy do Arktyki.

Początkowo Tweed słuchał go siedząc, ale w miarę rozwoju opowiadania wstał i z zatroskaną twarzą przechadzał się powoli po pokoju, starając się nie uronić ani słowa. Marler pokazał zawiniętą w chusteczkę Pauli substancję, którą wydobyła z pojemnika, nie wspomniał jednak o apaszcze, zawierającej o wiele większą jej ilość. Zanim poszedł do Tweeda, schował ją do szafy w swoim pokoju.

— Lepiej zabiorę to ze sobą na spotkanie — stwierdził Tweed, upychając chusteczkę z zawartością do kieszeni marynarki.

Rozległo się delikatne pukanie. Newman otworzył drzwi i do pokoju weszła energicznym krokiem Paula, z uśmiechem na ustach.

— Wiecie co? Mam następną randkę z Adamem Carverem. Mówi, że wydzwonił do mnie przez cały dzień. Wpadnie na drinka. Mam się z nim spotkać o szóstej wieczorem pod hotelem „Intercontinental”.

— Czy to na pewno dobry pomysł? — zastanawiał się Tweed.

Trąciła go żartobliwie w ramię.

— Nie zakochałam się w tym amancie z romansu dla pensjonarek, jeśli o to ci chodzi. Zdaje się, że jest raczej odwrotnie.

— Po co tam idziesz? — dopytywał się Tweed.

— Wszystko w ramach twojej kampanii przeciwko korporacji INCUBUS. A nuż uda mi się coś z niego wyciągnąć.

— Tylko bądź ostrożna. — Tweed zerknął ponownie na zegarek. — Gratuluję całej waszej trójce tej wyprawy za koło polarne. Być może przywieźliście materiały, których potrzeba, żeby fińskie władze zechciały wreszcie dobrać się Hauserowi do skóry. Musimy jednak wszyscy zachować ostrożność. Zaczynam wczuwać się w psychikę Hausera. Może dość gwałtownie zareagować na to, co się stało w instytucie.

Tweed siedział naprzeciwko Mauno Sarina po drugiej stronie jego biurka przy Ratakatu. Milczał. Fin, ze swą łysiejącą głową i krótko przystrzyżoną bródką, przypominał mu uczonego mnicha z tonsurą. Mówił z powagą:

— Dobrze, że nie czyścił pan rano zębów. Mam informacje z laboratorium, że pańska tubka pasty do zębów zawierała śmiertelną dawkę cyjanku potasu. —

Uśmiechnął się rozbawiony. — Oni zawsze tak precyzyjnie się wyrażają. Cyjanek z reguły powoduje śmierć. Lek przeciw niestrawności jest w porządku. — Oparł

łokcie o biurko, splatając silne dłonie. — Kto mógł się dobierać do tej tubki?

— Niejaka Sonia Drayton — odparł bez namysłu Tweed. — Mogę podać panu jej adres.

Wyjaśnił pokrótce, jak spotkał przy śniadaniu farbowaną blondynkę, wspominając Sarinowi, że podawała się za byłą pracowniczkę korporacji INCUBUS. Przemilczał fakt, iż obiecała wrócić o szóstej do hotelu „Hesperia”.

— Znowu INCUBUS — stwierdził Sarin.

— Jeszcze raz powtórz pan te słowa, kiedy opowiem o dzisiejszej wizycie Marlera i Newmana w Instytucie Meteorologii...

Tweed nie wspomniał w ogóle o Pauli. Ciężka mu świadomość, że pozwolił jej wziąć udział w wyprawie grożącej śmiertelnym niebezpieczeństwem. Sarin słuchał, nie odrywając od Tweeda spojrzenia swych brązowych oczu. Kończąc opowiadanie Tweed wyciągnął zawiniątko ze zdobytą przez Paulę substancją.

Sarin nacisnął guzik i w pokoju zjawił się Karma.

— Niech pan to każe natychmiast zbadać. Podejrzewam, że nasz specjalista od materiałów wybuchowych będzie już wiedział, o co chodzi. Proszę o szybką odpowiedź...

Karma był z powrotem w niecałe pięć minut. Położył chusteczkę wraz z jej zawartością na biurku Sarina.

— To semtex. Nie ma wątpliwości. Czy nie jestem już panu na razie potrzebny?

Dziękuję.

Sarin dotknął długim palcem ciastowatej substancji.

— Tak jak pan przewidywał. Znowu INCUBUS.

— Z pewnością już pora, żeby zajął się pan Hauserem — zauważył Tweed z przekąsem. — Ilu jeszcze potrzebuje pan dowodów?

— Jest pewien problem. Dziś po południu Hauser zaproponował naszemu rządowi trzy miliony dolarów na budowę gigantycznego lodołamacza. Ta oferta jest właśnie rozważana na najwyższym szczeblu. Proszę! — Podniósł rękę, gdy Tweed zamierzał zaprotestować. — Kłopot polega na tym, że żaden kraj — w odróżnieniu od pojedynczego człowieka — nie może wybierać sobie sąsiadów.

Osobiście chętnie bym deportował pana Hausera...

— Ilu jeszcze dowodów pan potrzebuje?

— Niech pan pozwoli mi skończyć. Dziwnym zbiegiem okoliczności Hauser wystąpił ze swoją ofertą wkrótce po tym, jak pańscy współpracownicy znaleźli materiały wybuchowe w dwóch różnych miejscach, związanych bezpośrednio z działalnością korporacji INCUBUS. Myślę, że jest z niego dobry pokerzysta.

— Proszę mi to wyjaśnić.

— Nasze władze mają wobec Hausera dług wdzięczności za zapewnienie ludziom miejsc pracy. Nie możemy tak po prostu odrzucić tego, co nam proponuje. Tuż za miedzą jest jednak wysoce niestabilny Związek Sowiecki.

Może im się nie spodobać, że przyjmujemy bezpośrednio z Waszyngtonu tak ogromną sumę. Chwilowo mamy więc sytuację bez wyjścia.

— Pytałem, ilu jeszcze potrzebuje pan dowodów?

— Osobiście bardzo mnie zaniepokoiło odkrycie przez pańskich ludzi tego semtexu. I to aż w dwóch miejscach. Czy pozwoliłby pan jednak, aby pan Marler pojawił się w sądzie, oświadczył, czym się zajmuje, i opowiedział swoją historię?

Biorąc pod uwagę pańskie stanowisko i fakt, że Marler jest członkiem pana organizacji?

— Oczywiście, że nie, ale...

— Zatem nie mamy na razie dowodów, które moglibyśmy wykorzystać. Sam Newman nie wystarczy. Potrzebujemy dwóch świadków, aby potwierdzili wzajemnie swoje zeznania.

— A więc lepiej dajmy temu spokój.

— Czy penetracja Instytutu Meteorologii w Kemijärvi spowodowała jakieś ofiary?

— Nie — skłamał Tweed bez namysłu.

— Byłbym rad, gdyby kontynuował pan dochodzenie, ale w razie czego wyprę się, że kiedykolwiek to powiedziałem.

— Dziękuję za okazaną pomoc — powiedział gniewnie Tweed, zbierając się do wyjścia.

Wracał po opustoszałych ulicach między starymi, granitowymi biurowcami. Po rozmowie z Sarinem wiedział przynajmniej, na co mogą liczyć. Wyłącznie na siebie.

Wstrząsająca wiadomość, którą otrzymał po powrocie do hotelu „Hesperia”, uświadomiła mu, jak bardzo zdani są na własne siły.

Adam Carver czekał na Paulę w opustoszałym miejscu na tyłach hotelu

„Intercontinental”. Newman chciał dotrzymać jej towarzystwa, ale odmówiła.

Sama miała o wiele większe szanse, żeby wyciągnąć z Carvera jakieś informacje.

— Wspaniale wyglądasz — rzekł Carver na powitanie. — Już się martwiłem, że nie przyjdiesz. Postarajmy się, żeby to był niezapomniany wieczór. Napijemy się czegoś, a potem zjemy razem kolację.

— To się okaże. Kiedy skończymy drinka...

Zastosowała typowo kobiecą taktykę „poczekamy, zobaczymy”. W tym momencie usłyszała za sobą pisk opon. Odwróciła się przestraszona i zobaczyła hamującego gwałtownie brązowego buicka. Drzwiczki otworzyły się błyskawicznie i na ulicę wyskoczyło trzech uzbrojonych, zamaskowanych mężczyzn. Jeden z nich podbiegł do Carvera, który wyglądał na zaskoczonego, i krzyknąwszy, by odwrócił się twarzą do ściany, przytknął mu do pleców pistolet.

Dwaj pozostali doskoczyli do Pauli. Jeden przystawił dziewczynie do głowy lufę pistoletu, drugi chwycił ją za ręce, odciągając je do tyłu. Poczula na przegubach stalowe kajdanki i usłyszała szcęk zamka.

Zdażyła jeszcze popatrzeć na Carvera. Oglądał się przez ramię, a zdumienie na jego twarzy ustąpiło miejsca wściekłości. Paulę wepchnięto na tylne siedzenie samochodu. Trzasnęły drzwiczki. Mężczyzna trzymający Carvera pod bronią podciął mu nogi i gdy Anglik rozłożył się jak długi na betonie, wskoczył do wozu.

Buick cofnął się, zawrócił i mijając hotel „Hesperia” wyjechał na Mannerheimintie.

Napaść była tak zuchwała, że Paula nie zdażyła krzyknąć. Dwaj siedzący z tyłu mężczyźni przygniatali ją niemal swym ciężarem. Jeden z nich zatykał jej usta wielką dłonią. Uwięziona w pędzącym za miasto buicku widziała nad sobą groźną postać z pończochą na twarzy.

Tweed zapłacił taksówkarzowi i wszedł do hotelu „Hesperia”. Był zgrzany, spocony i zły. Newman i Marler siedzieli w hallu. Zobaczywszy go skoczyli na równe nogi. Zastanawiał się, po co na niego czekają.

— Coś się wydarzyło — oznajmił lakonicznie Newman. — Lepiej, żebyśmy opowiedzieli ci o tym w pokoju...

— No więc o co chodzi? — zapytał Tweed, zamknąwszy od wewnątrz drzwi do sypialni.

Zdjął marynarkę i rzucił ją na oparcie fotela, czego zwykle nie robił. Koszula kleiła mu się do pleców. Wyciągnął ją ze spodni, co także było dla niego nietypowe, a potem opadł na fotel.

— Opowiadaj. Nawiasem mówiąc, Mauno Sarin w niczym nam nie pomoże.

— Sami nieźle dajemy sobie radę — zauważył Marler.

— Dzwonił Butler — oznajmił Newman. — Razem z Nioldem schwytali Sonię Drayton. Zjawiała się za kwadrans szósta i poszła do recepcji...

— Żeby upewnić się, że nie żyję.

Tweed opowiedział im pokrótce, co stwierdzili laboranci z Rata-katu. Na wieść o cyjanku potasu Marler gwizdnął cicho.

— A więc dobrze się stało, że ją złapaliśmy — kontynuował Newman. — Butler nie powiedział wszystkiego przez telefon, ale wiem, jak to się odbyło. Objął ją od tyłu ramieniem i przytknął do pleców koniec fajki, mówiąc, że to pistolet. Potem wsadzili dziewczynę do BMW i odjechali.

— Dokąd?

— Do magazynu na nabrzeżu, w którym składujecie wyposażenie ekipy filmowej. Sprytny pomysł — udawać filmowców, żeby...

— Nie mówmy o tym — przerwał mu ostro Tweed. — Czy to rozsądne, że dowiedziała się o magazynie?

— Nie wie, gdzie jest ani jaką trasą jechali. Domyślam się, że Niold zawiązał jej oczy, gdy tylko ruszyli. Próbują skłonić ją do mówienia. Mają przygotowany magnetofon. Oczywiście, bez żadnych brutalnych metod. Tyle że nie dostanie nic do jedzenia, tylko wodę mineralną. Na razie brak efektów. Niczego im nie powiedziała.

— Zastanawiam się, czy nie powinniśmy przekazać jej Sarinowi, skoro próbowała mnie zamordować — stwierdził z zadumą Tweed. Myśli kłębiły mu się w głowie. — Gdzie jest Paula?

— Upija podstępnie Adama Carvera — odparł Marler.

— Niech to diabli! — Tweed uderzył zaciśniętą pięścią w otwartą dłoń. —

Potrzebujemy więcej informacji. Coś, co przekonałoby Sarina, że powinien zareagować.

„Jest rozdrażniony jak rzadko” — pomyślał Newman. Zadzwoił telefon, podniósł więc słuchawkę. W tym samym momencie Tweed sięgnął do aparatu przy łóżku. Może Sarin zmienił zdanie? Zmartwiało, słysząc zniekształcony głos po drugiej stronie.

— Chcę mówić z panem Martinem Bakerem.

— Nie ma go — odpowiedział ostro Newman. — Jestem jego asystentem.

— Należy pan do organizacji? — dopytywał się uprzejmy głos.

Newman zanotował coś na kawałku papieru i podał go Tweedowi.

Miał wrażenie, że mimo zniekształcenia głosu rozpoznaje na podstawie pewnych słów wymowę Hausera. Rozmawiał dwa razy z prezesem korporacji INCUBUS.

Tweed odczytał zapisane na kartce słowo „Hauser”.

— Powtarzam panu, że jestem jego asystentem, głównym zastępcą —

powiedział do słuchawki Newman. — O co właściwie chodzi? Kto mówi? Nie przyjmuję anonimowych telefonów.

— Tym razem zrobi pan wyjątek. Mamy dziewczynę pańskiego szefa. Powiem, jak jest ubrana... — Tu nastąpił dokładny opis tego, co miała na sobie Paula.

Newman skinął głową do Tweeda potwierdzając, że wszystko się zgadza. Głos w słuchawce ciągnął dalej: — Zatrzymam dziewczynę jako zakładniczkę. Jeśli nasza działalność przemysłowa będzie napotykać dalsze przeszkody, na początek prześlę panu pocztą jej prawą dłoń. Jasne?

Tweed gestem ręki nakazał Newmanowi milczenie. Ani Marler, ani Newman jeszcze nie widzieli go w stanie tak wielkiego wzburzenia. Potrzebował paru chwil, aby nad sobą zapanować. Kiedy się odezwał, w jego głosie brzmiała nieprzejednana zawziętość. Powiedział powoli, ale z wielką determinacją:

— Hauser, mówi Martin Baker.

Przerwał, aby jego słowa wywarły należyte wrażenie. Po drugiej stronie linii na dłuższą chwilę zapanowała cisza. Jego oświadczenie zbiło rozmówcę z tropu.

Tweed mówił dalej:

— Wcale się pan nie myli. Mamy swoją organizację. Poznał pan już jej siłę.

Wystarczy przykład ciężarówki z materiałami wybuchowymi na północ od Porvoo i wtargnięcie do tak zwanego Instytutu Meteorologii. Ostrzegam, Hauser, że jeśli dziewczynie cokolwiek się stanie, dopadnę pana choćby na końcu świata. Nie zazna pan chwili spokoju. Będzie pan zawsze oglądał się za siebie. Nie znajdzie pan nigdzie bezpiecznej kryjówki.

— Hauser? — Rozmówca usiłował nadać głosowi drwiący ton. — Nigdy nie słyszałem tego nazwiska...

— Ma pan natychmiast uwolnić dziewczynę — rozkazał Tweed. —

Całą i zdrową. Wykurzę pana z Finlandii. Obiecuję. Mamy nieograniczone możliwości. Jesteśmy bezwzględni. Jesteśmy zawodowcami.

— Skończmy tę rozmowę. Daję panu godzinę na przemyślenie sprawy. Potem znowu zadzwonię.

Pozostawiam panu nadzieję, że być może zakładniczka nie będzie w tym czasie torturowana...

Na linii zapadła cisza. Tweed bardzo powoli odłożył słuchawkę. Splótł dłonie i wpatrywał się w przestrzeń. Wyraz jego twarzy był dla Marlera i Newmana czymś zupełnie nowym. Wyglądał jak oprawca.

— Nie wykorzystałeś naszej najmocniejszej karty — zauważył Newman. —

Mamy Sonię Drayton. Próbowwała cię zabić. Wie na pewno o korporacji INCUBUS rzeczy, których Hauser wolałby nie ujawniać.

— Zdaję sobie z tego sprawę — odparł Tweed lodowatym tonem. — Zaserwuję mu tę wiadomość, kiedy znowu zadzwoni. Na razie jest zaszokowany, że jeszcze żyję. Dziwna historia... potrafię myśleć tak jak Hauser, przewidywać podświadomie jego następne posunięcie. I przypuszczam, że działa to także w odwrotnym kierunku. Wymyśliliśmy, żeby porwać tę Drayton, a on porywa Paulę.

Tweed zamilkł. Siedział zapatrzony w przestrzeń.

— Wies^, kiedy czekaliśmy w hallu na twój powrót — odezwał się Marler —

wydawało mi się, że widziałem na zewnątrz Adama Carvera. Facet był

uderzająco podobny do tego z fotografii, które zrobiłem pod centralą korporacji.

Kiepsko wyglądał. Poszedł w kierunku hotelu „Intercontinental”. Chyba go poszukam. To z nim Paula miała się spotkać...

— Nie! Ja pójdę — rzucił ostro Newman.

Wyszedł z pokoju, zanim ktokolwiek zdążył zareagować. Był wstrząśnięty, tak samo jak Tweed, że właśnie Paula trafiła w ręce zbirów, którzy nie zawahaliby się jej zabić.

Opuściwszy windę wyszedł szybko na zewnątrz, wkroczył do hotelu

„Intercontinental” i wiedziony instynktem skierował się do baru.

— Martin Baker, czyli Tweed, nadal żyje — oznajmił Hauser Frankowi Galvone. — To dla mnie prawdziwa niespodzianka. W dodatku grozi mi. Czy ta zakładniczka ma należyłą ochronę?

Przechadzał się po pokoju w wieży, założywszy na piersiach muskularne ręce.

Galvone wiedział, że Hauser jest wytrącony z równowagi, bo wszystko układało się niezgodnie z planem. Na razie.

— Dobrze jej pilnują — zapewnił szefa. — Jest zamknięta w mieszkaniu w Setula, w pobliżu lotniska. Z trzema twardymi facetami. Mają rozkaz jej nie dotykać. Jeszcze nie. Nie mogę tylko zrozumieć, dlaczego Adam Carver nie wiedział, że posłuży jako przynęta. Może nie być zachwycony,

kiedy tu wróci.

Mnie tam wszystko jedno — dodał — ale skoro należy do zarządu...

— Nie wtajemniczałem go, bo myślę, że podkochuje się w tej dziewczynie —

skłamał Hauser. — Nie wiedząc o niczym, lepiej odegrał swoją rolę. Ten Baker, Tweed, czy jak on się tam, do cholery, nazywa — to twardziel.

— Złamie się. Wszyscy pękają, kiedy się ich przyciśnie.

— Masz rację, Frank. OK. Kiedy zadzwonię następnym razem, dokręcę trochę mocniej śrubę i zmuszę drania, żeby się czołgał. Rozegramy to w amerykańskim stylu.

W magazynie na nabrzeżu Butler odłożył słuchawkę telefonu. Dzwonił właśnie Marler z kilkoma pytaniami, wspominał też oględnie

o Pauli. Butler bardzo ją lubił.

Sonia Drayton była przywiązana do ciężkiego krzesła, które znaleźli obok innych starych mebli z tyłu budynku. Nogi miała spętane w kostkach, a ręce skrępowane za plecami. Na oczy założono jej opaskę.

Nield obserwował teren przez zabrudzone błotem i kurzem okno. Odwrócił się, usłyszawszy jakieś szmery. Zobaczył, że Butler wyjął dziewczynie knebel i przystawił jej do ust kartonowe pudełko z wodą mineralną. Nie mogli dopuścić, żeby się odwodniła. Wewnątrz magazynu było gorąco jak w piecu.

— Gdybym dostała coś do jedzenia — odezwała się Drayton — mogłabym panu powiedzieć parę ciekawych rzeczy.

— I tak będziesz mówić — mruknął Butler — jak tylko żołądek zacznie ci wyć z głodu.

— Co się dzieje? Stał się pan jakiś brutalny, mniej ludzki.

— W taki nastrój wpadłem.

Butler znowu ją zakneblował, tym razem trochę mocniej. Po raz pierwszy od długiego czasu Irina Sierowa poczuła strach. Kiedy przesłuchiwali ją wcześniej, niczego im nie powiedziała. Spodziewała się, że zostanie pobita, ale nawet jej nie dotknęli. Teraz była zaniepokojona. Zachowanie człowieka, który ją porwał, uległo zmianie. Ton jego głosu brzmiał złowrogo. Czyżby chciał się zemścić za zabicie Tweeda? Tylko w jaki sposób zdołali wpaść na jej trop?

Butler podszedł powoli do Nielda i wyjrzał przez okno. Ogromnie żałował, że nie może wyjść i wziąć udziału w poszukiwaniu Pauli.

Paula, uwięziona w kaftanie bezpieczeństwa, była zlana potem. Rzucono ją na jakąś kanapę, oczy

miała zawiązane kolorową chusteczką. Doliczyła się trzech porywaczy. Tylko dwóch coś do niej mówiło — po angielsku, ale ze środkowoeuropejskim akcentem. Czyżby byli to kolejni agenci Securitate? Ta myśl nie napawała optymizmem. Paula postanowiła jednak zachować spokój — próbując uwolnić się z kaftana traciła tylko cenną energię.

Ku swemu zaskoczeniu nie odczuwała strachu. Była przekonana, że Tweed znajdzie jakiś sposób, żeby ją ocalić. Jedno ją zastanawiało — ten wyraz kompletnego zaskoczenia, a potem wściekłości na twarzy Adama Carvera. Jeśli zwabił ją w pułapkę, dziwnie zareagował na to, co się wydarzyło. Bardzo dziwnie.

„Co się dzieje, do diabła?” — myślała. Czas jakby stanął w miejscu. Niepokoiło ją to bardziej niż cokolwiek innego. Tylko raz zapytała o godzinę.

— Może to pani ostatnia godzina — brzmiała odpowiedź.

O tej porze w barze hotelu „Intercontinental” panował spokój. Newman od razu zauważył Adama Carvera. Siedział samotnie w kącie poza zasięgiem wzroku barmana i masował dłonią podbródek. Newman zamówił kieliszek szampana, zapłacił i usiadł na sąsiednim stołku.

— Dobry wieczór, panie Carver. Posprzeczał się pan z Paulą?

— Dobry Boże! Newman! Skąd pan wiedział, do diabła, że tu jestem?

— To proste. Umówił się pan z Paulą na spotkanie. Gdzie ona jest?

— No cóż... nie przyszła.

— Na randkę z takim przystojniakiem? — Newman wypił łyk szampana, po czym odstawił kieliszek.

— Trudno mi w to uwierzyć. — Ton jego głosu stał się ostrzejszy. — Nie wierzę.

— Wypchaj się...

Newman prawą ręką chwycił go za kołnierzyk koszuli. Głowa Carvera uderzyła o ścianę.

— Gadaj albo cię uduszę — wycedził Newman przez zęby. — Mów! No już!

— Niech pan puści... nie mogę oddychać... — Uścisk nieco zelżał. — Porwali ją... Trzech ludzi z pończochami na twarzach. Jeden trzymał mnie na muszce.

Rozwalił mi podbródek o betonowy mur. Niech pan spojrz na tę cholerną szczękę. Jeszcze jestem oszołomiony, inaczej nie dałbym tak sobą pomiatać.

Newman spojrział na podbródek Carvera. Z boku szczęki widać było paskudny obrzęk. Zacisnął pięść, jakby chciał przebić mur jego głową, po czym rozluźnił

dłoń, wzruszając ramionami.

— W porządku. Niech pan mówi. W jaki sposób ją porwali? Żądam szybkich odpowiedzi.

— Odjechali brązowym buickiem. Nie miałem pojęcia, że coś takiego się zdarzy. Jeśli chce pan wiedzieć, to był dla mnie cholerny wstrząs.

— Więc oczywiście zawiadomił pan policję? Podał pan opis wozu? Wszczął pan alarm?

— Jeszcze jestem w szoku. — Carver pociągnął łyk szkockiej. — To wszystko zdarzyło się tak szybko. Pomyślałem, że zawiadamianie policji może być ryzykowne...

— Dlaczego?

— Oni mogą zażądać okupu. Czy porywacze nie stawiają zwykle warunku, że nie należy informować policji? Nie chciałem narażać jej życia. Na litość boską, Newman, jestem tak samo zaniepokojony jak pan.

— Powiedzmy, że w to uwierzę.

O dziwo, Newman stwierdził, że jakby wbrew sobie daje wiarę słowom Carvera.

Równocześnie jednak nie mógł pozbyć się uczucia niechęci i nieufności wobec tego człowieka. Dokończył szampana i wstał, energicznie kierując się do wyjścia.

— Coś panu powiem — rzucił na pożegnanie. — Zamierzam postąpić w drastyczny sposób. Bardzo drastyczny.

Kiedy Newman wrócił, Cord Dillon siedział w towarzystwie Tweeda. Obaj mieli równie ponure miny. Dillon wysłuchał właśnie ostatnich nowin. Lubił Paulę, a w duchu nie bardzo wierzył w szanse jej ocalenia.

— Proponuję utworzyć grupę uderzeniową — zaczął Newman. — Nield może sam zająć się tamtą dziwką. Butler wróci i będzie współpracował z Dillonem i ze mną.

— Grupa uderzeniowa? — powtórzył Dillon. — Kto, co i gdzie ma być obiektem ataku?

— Ten dom wariatów Hausera. Porwiemy samego szefa korporacji INCUBUS.

Dajcie mi spędzić z nim pół godziny, a będzie mówił. I to jeszcze jak!

— Nie podoba mi się ten pomysł — zaprotestował Dillon, zanim Tweed zdążył zareagować. — Hauser ma silną obstawę. Jest nas za mało, żeby przypuścić atak.

Mogłoby to się skończyć śmiercią Pauli.

— Zgadza się z Cordem — stwierdził pośpiesznie Tweed. — Uspokój się, Bob.

Szturmowanie cytadeli Hausera nie rozwiąże problemu.

— Więc co robić, do diabła?

— Zostaw to mnie. To rozkaz. — Tweed był sztywny i wyniosły. — Zaczekaj tu, aż zadzwoni Hauser. Na pewno się z nim dogadam.

Tweed pomyślał, że znalazł się w dziwnej sytuacji. Była to jego pierwsza konfrontacja z wrogiem. Nie zamierzał lekceważyć przeciwnika, ale starał się ze wszystkich sił zachować spokój.

— Nie wyobrażam sobie, w jaki sposób chcesz go przekonać, żeby ją wypuścić

— burknął Newman. — Adam Carver rzeczywiście siedział tu obok w barze.

Niemal dosłownie skoczyłem mu do gardła. Powiedział, że był świadkiem porwania i że uzbrojony facet z pończochą na twarzy grzmotnął nim o mur.

Faktycznie ma opuchniętą szczękę. Chyba to całe zdarzenie mocno nim wstrząsnęło. Pomyślicie, że mam nie po kolei w głowie, ale mu uwierzyłem.

— Dlaczego? — rzucił ostro Dillon.

— Głównie z powodu miejsca, w którym go znalazłem. Siedział w barze hotelu, obok którego porwano Paulę, i pił, będąc w szoku. Gdyby miał z tym coś wspólnego, gdyby wiedział, co się zdarzy, dawno by zniknął.

— Chyba masz rację — przyznał Dillon niechętnie. — Mógł to wszystko zorganizować Frank Galvone. Gangster, którego Hauser zwerbował w Chicago.

— Spostrzegł, że Tweed ze zdziwieniem unosi brwi. — Podszkoliłem się przed podróżą przez Atlantyck...

Przerwał, gdyż zaczął dzwonić telefon. Tweed spojrzął na zegarek. Minęło trzydzieści minut od poprzedniej rozmowy, a nie godzina, jak oświadczył

Hauser. Trwała wojna nerwów. Tweed pozwolił celowo, by telefon zadzwonił

kilka razy, zanim podniósł słuchawkę.

— Mówi Martin Baker.

— Przyjmuje pan moje warunki? — zapytał zniekształcony głos. — Czy chce pan otrzymać przez posłańca prawą dłoń dziewczyny? Ona jest praworęczna.

Domagam się, żeby wstrzymał pan wszelkie wymierzone przeciw nam działania i wycofał swoich ludzi do Wielkiej Brytanii. W porządku?

— Nie, na nic takiego się nie zgadzam. I niech mi pan nie przerywa, Hauser.

Mam dla pana nowiny. Sonia Drayton jest w naszych rękach.

Nastąpiła chwila ciszy.

— A któż to taki?

— Doskonale pan wie. Próbowwała mnie zabić. Cyjankiem. Mamy dowody.

Zrobi pan dokładnie to, co każe, albo panna Drayton zostanie przekazana Policyjnym Siłom Bezpieczeństwa. Dostarczyła nam już kompromitujących informacji na temat pańskiej działalności. Wszystko zostało nagrane. Oddam ją natychmiast w ręce policji. Razem z taśmą. Fińskie władze nie lubią ludzi, którzy narażają na szwank neutralność ich kraju. Ludzi, którzy szmuglują materiały wybuchowe i opłacają zabójców. To wszystko jest na taśmie.

Nastąpiła kolejna dłuższa przerwa. Tweed domyślał się, że Hauser korzysta z innego aparatu, aby zadzwonić do mieszkania Soni Drayton.

— Wątpię, żebym się zgodził — kontynuował jego rozmówca. — Co pan proponuje?

— Och, zgodzi się pan. W przeciwnym razie miejscowe władze wyrzucą pana natychmiast z Finlandii. Zrobimy wymianę. Pańska zakładniczka za moją. Plus taśma.

— Może doszlibyśmy do porozumienia. Za tydzień...

— Nic z tego. Wymiana nastąpi dziś, przed północą. Inaczej Sonia Drayton trafi razem z taśmą w ręce policji. Nie będę się więcej targował. Niech pan podejmie decyzję. Natychmiast!

Znowu zapadło milczenie.

— Trudno nam będzie dostarczyć przesyłkę dziś wieczorem...

— Nieprawda. Trzymacie dziewczynę o pół godziny jazdy od tego hotelu. —

Tweed zagrał *va banque*, opierając się na informacjach, które zdobył Butler, gdy jechał za Manescu i Zieglerem od stacji kolejowej pod blok mieszkalny w Setula, w pobliżu lotniska.

Tym razem nastąpiła tylko krótka przerwa. Hauser musiał być wstrząśnięty, uświadomiwszy sobie, jak wieloma informacjami dysponuje jego przeciwnik.

— A więc po zapadnięciu zmroku — zdecydował. — Między północą a drugą nad ranem...

— W żadnym wypadku. W ciągu tych dwóch godzin będzie ciemno. Dlatego powiedziałem: przed północą. Moja cierpliwość jest na wyczerpaniu.

— Musimy zatem ustalić miejsce. W lesie za Helsinkami. Dam panu wskazówki...

— Nie ma mowy. — Ton głosu Tweeda był zdecydowany, beznamiętny. —

Wymiana nastąpi na pomoście, w pobliżu końcowego przystanku tramwaju linii cztery. Tam gdzie zamordowaliście niewłaściwą osobę — Annę Jarva zamiast Peggy Vanderheld.

— Nie wiem, o czym pan mówi, do diabła! Te nazwiska nic dla mnie nie znaczą. Zgadzam się na wskazane miejsce. Lepiej, żeby nie było tam policji, bo pańska przyjaciółka...

— Nie będzie policji. Wymiana nastąpi o dziesiątej. O dwudziestej drugiej zero zero. Radzę, żeby zakładniczka była w dobrej formie. Zanim dokonamy wymiany, zbada ją towarzyszący mi lekarz. Pan może zastosować takie same środki ostrożności. Teraz chcę pójść na obiad. Czy wszystko jasne?

— Zgadzam się na wymianę i szczegóły umowy. Odpieprz się!

Na linii zapanowała cisza. Tweed odłożył słuchawkę. Marler, który przez cały czas siedział w kącie nieruchomy jak mebel, zapytał:

— Jakim cudem, do diabła, zdołałeś go przekonać? Zgodził się nawet na miejsce, które zaproponowałem?

— Zdałem sobie sprawę, że szykuje właśnie jakąś dużą operację. Te materiały wybuchowe, które odkryliście w Instytucie Meteorologii, tak blisko sowieckiej granicy. I ten artykuł w „Herald Tribune”. — Podał Marlerowi gazetę. Nagłówek rzucał się w oczy:

WYSADZONO POCIĄG KOLEI

TRANSZYBERYJSKIEJ. ZGINEŁO PONAD STO OSÓB. — Ta sprawa —

ciągnął Tweed — wiąże się z zabójstwami polityków, czołowych lewicowych liberałów w Pradze, Budapeszcie i Bukareszcie. Teraz Hauser zaczyna destabilizować Rosję. Mam kontakt z człowiekiem, który potwierdza moją teorię. To ktoś z Moskwy. Kiedy sowiecki prezydent będzie zaprzątnięty nowymi problemami, przed Hauserem otworzy się możliwość przeniknięcia do Rosji, zdobycia kontroli nad gospodarką tego kraju.

— Liczyłeś więc na to, że Hauserowi za bardzo zależy na tej kampanii, żeby ryzykował utratę bazy w Finlandii? — zapytał Marler.

— Dokładnie tak — odparł Tweed.

— Teraz w Bogu nadzieja, że wymiana się powiedzie — zauważył Newman.

— Ano właśnie. —1 Marler zerwał się z miejsca. — Panowie, muszę was opuścić.

W związku z tym, co uzgodnił Tweed, należy poczynić pewne przygotowania.

Trzeba zapewnić bezpieczeństwo podczas wymiany zakładniczek.

O godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć tramwaj linii cztery zatrzymał

się na końcowym przystanku za miastem. Wsiadło z niego dwoje ostatnich pasażerów. Butler prowadził Sonię Drayton w kierunku morza i pomostu dla praczek.

— Jeden niewłaściwy ruch — ostrzegł szorstkim tonem — a z wielką przyjemnością wpakuję ci kulkę.

Butler nie potrafił zapomnieć, że ta kobieta próbowała zamordować Tweeda.

Irinę zdziwiło złowrogie brzmienie jego głosu.

Szli powoli, jak kochankowie. Butler obejmował ją wpół lewym ramieniem. W

prawej dłoni trzymał pod marynarką pożyczonego od Dillona lugera, przytykając lufę do boku dziewczyny. Założyli jej znaleziony w pokoju Pauli długi jedwabny szal. Był tak udrapowany, że związane końce zakrywały Sierowej uda, dzięki czemu nikt nie mógł zobaczyć, że ręce ma skrępowane z przodu kawałkiem materiału.

Butler celowo przywiózł zakładniczkę przed czasem — ludzie pracujący dla korporacji INCUBUS mogli ukryć się w mieszkaniu Peggy Vanderheld, z którego widać było pomost. Z tego jedynie powodu Tweed, omówiwszy sprawę z Marlerem, wybrał na spotkanie właśnie to miejsce. Wydawało się prawdopodobne, że ludzie z korporacji będą mieli klucz do mieszkania Vanderheld — i obserwując stamtąd teren przekonają się, że w okolicy nie ma policji.

— Jak mnie zastrzelisz, nie odzyskasz przyjaciółki Bakera i zostanie mu tylko puste łóżko — odparowała Irina z lubieżnym uśmiechem.

— Zamknij ten swój plugawy dziób!

Butler dźgnął ją lufą między zębra. Sierowa jęknęła z bólu i zamilkła. „Dzięki Bogu, że jest czyste niebo” — pomyślał. Nawet po jedenastej, kiedy zapadnie mrok, nie będzie zupełnie ciemno. Marler twierdził, że to ważne. Minęli opustoszałą ulicę i weszli na drewniane deski pomostu, a potem na jego wysunięty w morze, niższy poziom.

Było nadal bardzo gorąco. Butler czuł, że bluzka zakładniczki jest mokra od potu. Stali wpatrzeni w morze. Słysząc było jedynie chłupot wody o podtrzymujące pomost słupy. Na deskach pozostały jeszcze resztki czerwonej plamy — ślady krwi Anny Jarva, która zginęła zamiast Peggy Vanderheld. Tu, gdzie teraz stali, leżało jej ciało.

Morze przypominało raczej wielkie jezioro. Odległe brzegi porastała ściana ciemnych jodeł. Wokół panował niespotykany poza Finlandią spokój. Na lśniącej jak rtęć powierzchni wody nie widać było żadnej łodzi. Ten ogromny, podobny do laguny akwen, dostępny był jedynie od południa, przez kanał z niewidocznej Zatoki Fińskiej.

— Co zrobisz, jeśli jej nie przywiozą? — zapytała Irina.

— Oddam cię w ręce policji. Pod zarzutem usiłowania zabójstwa...

Butler podejrzewał, że dziewczyna chce od czegoś odciągnąć jego uwagę. Chwycił ją mocniej w pasie i odwrócił się razem z nią, aby spojrzeć w kierunku brzegu. Tylne części tramwaju numer cztery, który wracał do Helsinek, wyglądała jak niewielki, coraz bardziej malejący prostokąt. Może czekali, aż odjedzie.

— Trochę się przejdziemy — oznajmił Butler.

Nie zauważył żadnego ruchu w mieszkaniu na drugim piętrze, które zajmowała Yanderheld. Z prawej strony wyrastał z wody las wysokich, nieruchomych trzcin.

Nie było w ogóle wiatru. Bardziej w głębi łądu rosły gęste krzaki. Butler podszedł

z zakładniczką w tamtym kierunku i przyjrząwszy się zarośłom poprowadził ją z powrotem na pomost. Doleciał go odgłos silnika zbliżającej się maszyny.

Stojąc na dolnym pomoście zobaczył nadlatujący w jego kierunku z południa śmigłowiec. Maszyna typu Sikorsky. Widział takie na lotnisku. Na boku kadłuba był napis INCUBUS.

— Czy ona jest na pokładzie tego śmigłowca? — pytał.

— Skąd mam wiedzieć, do diabła! To twoja sprawa, koleś.

— Gdzie podłapałaś ten koszmarny amerykańizm?

— Od... — W ostatniej chwili ugryzła się w język.

„Zamierzała powiedzieć: od Hausera” — pomyślał Butler, przyglądając się, jak sikorski zniża lot, przelatuje nad nimi, a potem krąży na małej wysokości nad brzegiem. Uśmiechnął się bez cienia wesołości.

— Twoi przyjaciele sprawdzają teren.

— Nie wiem, o czym mówisz.

Śmigłowiec zniknął, odgłos silnika rozpląnął się w oddali. Butler spojrzął na zegarek. Brakowało dwóch minut do dziesiątej. Zbliżał się umówiony czas wymiany zakładniczek. Po chwili usłyszał za sobą słaby odgłos innego silnika.

Ponownie odwrócił się wraz z dziewczyną i zaczął obserwować morze. Po wodzie sunął szybko duży jacht motorowy. Zostawiał za sobą biały ślad. Butler spojrzął

przez ramię, przyglądając się ulicy z torami tramwajowymi w miejscu, gdzie skręcała w prawo na wzgórze boczna droga, prowadząca bezpośrednio do hotelu

„Kalastajatorppa”. Ta droga była ważna.

Następny tramwaj linii cztery dowlókl się do końcowego przystanku. Wsiadł z niego jeden tylko pasażer i skierował się w stronę pomostu. Był to szczupły mężczyzna w kremowym płóciennym garniturze i słomkowym kapeluszu, niósł

brązową torbę. Idąc tak, jakby miał w butach kamyki, dotarł na pomost. Był w średnim wieku i nosił okulary w rogowej oprawie. Odezwał się piskliwym głosem:

— Pan Butler?

— Tak.

— Jestem doktor Winter. Pan Baker ma niezwykłą zdolność przekonywania...

— Butler poczuł, jak Sonia Drayton sztywnieje. Dotychczas nie wierzyła, że Tweed żyje. — To przedziwna sprawa — ciągnął Winter. — Mam podobno zbadać jakąś zakładniczkę. Nie do wiary! Zakładniczka w Finlandii!

— Rzeczywiście trudno uwierzyć — zgodził się Butler — ale to prawda. Proszę położyć torbę na pomoście. Porywacze mogą się zaniepokoić. Możliwe, że przyłynęli właśnie z pańską pacjentką.

Odwrócił się. Dwupokładowy jacht poruszał się teraz wolniej, właściwie dryfował w kierunku brzegu. W pobliżu dziobu stała dziewczyna o kruczoczarnych włosach. Była wyprostowana, na oczach miała opaskę, a ręce trzymała za plecami.

— Oto i drogocenna przyjaciółka Bakera — szydziła Sierowa. — Teraz...

Urwała, krzywiąc się i tłumiąc okrzyk bólu. Butler znowu dźgnął ją w bok lufą pistoletu. Miał ochotę pociągnąć za spust. Na dziobie jachtu było czterech ludzi, wszyscy z chustami na twarzach. Jeden stał obok Pauli, ściskając jej prawe ramię, a trzej pozostali trzymali ręce za plecami.

Silnik pracował na wolnych obrotach. Dziób jachtu znajdował się najwyżej pięćdziesiąt metrów od pomostu. Na górnym pokładzie pojawił się kolejny mężczyzna. Podniósł do ust tubę.

— Uwolnijcie Sonię Drayton. Chcemy zobaczyć, że nie ma związanych rąk.

Potem niech podejdzie na skraj pomostu. Kiedy się tam znajdzie, podpłyniemy do niej i uwolnimy zakładniczkę. Zejdzie na brzeg, gdy Sonia będzie wchodziła na pokład...

— Wypchajcie się! — zawołał w odpowiedzi Butler. — Myślicie, że dam się na to nabrać?

Miał dziwne uczucie, że facet z tubą za dużo mówi, że to parawan dla jakiejś zaplanowanej akcji. Pozostał na miejscu, mocno obejmując Sonię Drayton w pól.

— Powiedziałem, żeby pan ją puścił — powtórzył mężczyzna z tubą. — Nie zamierzamy sterczeć tu przez całą noc. To pańska ostatnia szansa, żeby dziewczynę uwolnić. Niech pan przestanie ją

obejmować. Czy nie ma związanych rąk? Soniu, pomachaj do nas, jeśli możesz.

— Nie waż się nawet drgnąć — szepnął Butler.

— Musisz coś zrobić, koleś — kpiła z niego Irina.

Nagle rozległ się odgłos jeszcze jednego silnika.

Marler obserwował jacht z ukrytej w trzcinach motorówki, a Newman zeskokczył

na brzeg, trzymając w ręku smith and wesson. Przemknąwszy przez gęste zarośla przykucnął, znalazł to, czego szukał, po czym zaczął się, przysiadając na piętach.

Ze swego punktu obserwacyjnego Marler widział, że trzech trzymający z tyłu ręce mężczyźni ukrywają za plecami broń. Motorówkę wynajął w Porcie Północnym od pewnej firmy. Kupił również od nich mapę. Poruszając się z dużą szybkością opuścił port, opłynął cypel półwyspu, na którym leży Park Brązowych Drzew, wziął kurs przez kanał na morską zatokę, widoczną z okien hotelu

„Kalastajatorppa”, po czym skierował łódź w okolice pomostu dla praczek, ukrywając ją wśród trzcin na godzinę przed wyznaczonym spotkaniem.

Opierał lufę karabinu typu Armalite o krawędź plastikowej osłony pomostu sternika. Wynajęta przez niego jednostka była wyposażona dokładnie tak, jak sobie tego zażyczył. Przy ustach miał mikrofon, a na łodzi zamontowano niewielki megafon. Panowała zupełna cisza. Nagle zawarczał silnik motorówki i rozległ się głos Marlera wzmocniony przez megafon:

— Trzej strażnicy na pokładzie mają się nie ruszać. Niech rzucą natychmiast broń, którą chowają za plecami. W przeciwnym razie — jego głós brzmiał

stanowczo — postrącam was do wody.

Dwukrotnie wystrzelił. Jeden pocisk, starannie wycelowany, roztrzaskał okno sterówki, tuż obok sternika. Drugi wbił się w pokład.

— Rzucić broń, do cholery! — ryknął Marler.

Trzej mężczyźni znieruchomieli. Wahali się. Potem jeden z nich rzucił broń. Po chwili dwaj pozostali poszli za jego przykładem.

— Rozkujcie zakładnicze ręce! — zagrzmiął Marler.

Trzecia kula trafiła w pokład koło nóg jednego ze strażników. Ukrywając się wśród trzcin, Marler stanowił dla nich najgorsze z możliwych zagrożeń — był

niewidzialny. Stojący obok Pauli strażnik wyjął klucz i zdjął jej kajdanki. Paula wyprostowała obolałe ramiona i pomachała w górze rękami.

Znajdujący się na pomoście Butler wetknął za pas lugera, wydobyl scyzoryk i wsunawszy go pod szal przecial więzy na przegubach Soni Drayton. W kilka sekund później, gdy swobodnie podniosła do góry ręce, znów przytknął jej do boku lufę pistoletu.

— Podpłyńcie powoli do pomostu — rozkazał Marler. — Jeśli spróbujecie uciekać, będzie po was...

Kolejny pocisk przeszył ocalały kawałek szyby, potwierdzając realność jego groźby. Jacht ruszył powoli do przodu, a gdy uderzył burtą o krawędź pomostu, wyłączono silnik.

— Teraz nastąpi wymiana! — krzyknął z pełnym przekonaniem Marler. —

Może uda wam się dożyć następnego wschodu słońca, jeżeli nie będziecie próbować żadnych sztuczek...

O pokład gruchnęła kolejna kula. Marler ponownie załadował broń i spojrzął

przez celownik teleskopowy. Paula szła przez pomost, mijając Sonię Drayton, która wchodziła na jacht. Obie kobiety zaledwie rzuciły na siebie okiem.

Pospiesznie sprowadzono Drayton pod pokład i włączono silnik. Butler, chwyciwszy Paulę za ramię, pociągnął ją szybko z pomostu w gęste zarośla.

Stawiała niezgrabne kroki, bo zesztyniały jej nogi.

— Będiesz mogła pojechać rowerem? — zapytał Butler.

— Nawet na hulajnodze, byle tylko od nich uciec!

Wydarzenia zaczęły toczyć się tak błyskawicznie, że trudno było się we wszystkim zorientować. Newman wyciągał z zarośli trzy rowery, które ukrył

tam Marler. Motorowy jacht wypływał szybko w morze. Pojawił się poza tym motocykl marki Honda. Przyjechał nim Pete Nield. Na kierownicy miał

zakrecony długi, ciężki, żelazny łańcuch. Nield wypożyczył ten motocykl wieczorem na polecenie Tweeda.

Marler obserwował trójkę pędzących drogą rowerzystów. Newman jechał na przedzie, za nim Paula, a na końcu Butler. Paula pedałowala zawzięcie, naprężając obolałe nogi. W Londynie jeździła często na rowerze z domu na Park Crescent. Traciła w ten sposób mniej czasu, nie grzęzła w ulicznych korkach.

Od północy na drogę wypadł brązowy buick. Skręcił i ruszył w pościg za rowerzystami, aby ich staranować. Nield podjechał na hondzie do samochodu i rzucił łańcuch tuż przed jego maskę. Łańcuch okręcił się wokół przedniego koła i buick wykonał szaleńczy zwrot, stając w miejscu. Nield pojechał dalej za rowerzystami. Marler wycelował karabin, nie mógł jednak namierzyć wysiadającego z buicka mężczyzny — gęste zarośla ograniczały mu widoczność.

Człowiek przy samochodzie zaklął siarczyście, próbując zbyt pospiesznie zdjąć łańcuch z koła. Potem zabrał się za to z większą starannością i ściągnąwszy łańcuch rzucił go w kierunku pomostu. Rowerzyści skręcili tymczasem w prawo i jechali pod górę drogą biegnącą obok kilku zagranicznych ambasad. Pedalując za Newmanem Paula zrozumiała, że znów grozi im niebezpieczeństwo. Usłyszała pisk opon zawracającego w miejscu samochodu.

— Ruszaj się! — krzyknął Newman przez ramię. — Zostało nam niewiele czasu!

Nic nie odpowiedziała, by nie marnować sił. Newman dotarł do szczytu wzgórza, zobaczył zaparkowane przy drodze BMW i usłyszał nadjeżdżającego za nimi buicka. Zeskoczył z roweru, pozwalając mu przewrócić się na bok, po czym chwycił Paulę za ramię i niemal ją zaciągnął do tej części kompleksu hotelu

„Kalastajatorppa”, która znajdowała się bliżej morza. Druga część leżała po przeciwnej stronie drogi, tam gdzie stało zaparkowane BMW. Hotel

„Kalastajatorppa” był oryginalną, supernowoczesną budowlą. Kamienne gmachy jakby wyrastały wprost z granitowych skał.

Gdy Newman, Paula i Butler znikali w wejściu do hotelu, brązowy buick dotarł

na szczyt wzgórza i zatrzymał się z piskiem opon. Tweed siedział nieruchomo za kierownicą BMW w nasuniętej na czoło czapce, obserwując, jak czterej mężczyźni wysiadają kolejno z buicka i wbiegają do hotelu. Włączył silnik, wyprostował się i chwyciwszy mocniej kierownicę czekał cierpliwie.

Wewnątrz hotelu Newman poprowadził Paulę schodami, które wiodły pod ziemię. W dole rozciągał się koszmarnie długi tunel. Jego ściany pokrywał biały polistyren, wyglądający jak bryły lodu. Paula przypomniała sobie uczucie klaustrofobii, towarzyszące jej przy zwiedzaniu podziemnych korytarzy pod lodowcem Rhone w Szwajcarii. Rozciągający się przed nimi tunel był zupełnie pusty i sprawiał upiorne wrażenie.

— Co to jest, do diabła? — zapytała, biegnąc obok Newmana i z trudem łapiąc oddech.

— Tunel dla gości, łączący oba kompleksy budynków. Przechodzi pod drogą i prowadzi do drugiej części hotelu. Nie zatrzymuj się...

Przebyli już trzy czwarte długości tunelu, tuż za ich plecami biegł Butler. Naraz na prowadzących w dół schodach, które zostawili za sobą, rozległ się tupot nóg.

Newman przyspieszył jeszcze kroku

i pociągnął za sobą Paulę. Kiedy dotarli do drugiego ciągu schodów, nie mogła złapać tchu. Obejrzała się i zobaczyła biegnących tunelem mężczyzn.

Popędzili na górę, do dużego hallu recepcji, minęli go i wybiegli na zewnątrz.

Newman otworzył nagłym szarpnięciem tylne drzwiczki BMW. Paula potknęła się, próbując zbyt

szybko wejść do środka. Tweed zobaczył znowu w bocznym lusterku czterech mężczyzn, którzy biegli do buicka. Poczłł niepokój. Miał

nadzieję, że nie będzie potrzeby korzystania z awaryjnego planu, który opracował wspólnie z Marlerem i Newmanem, znającym rozkład hotelu. Liczył, że gdy tylko znajdą się na szczycie wzgórza, wskoczą do BMW. Pojawienie się buicka zmusiło Newmana do skorzystania z okężnej drogi. Gdy Paula zdołała wgramolić się na tylne siedzenie, Newman wsiadł za nią, a Butler wskoczył na fotel obok kierowcy. Tweed spostrzegł, że buick rusza już w ich kierunku, aby zablokować im drogę ucieczki.

— Nie wydostaniemy się — stwierdziła Paula, patrząc przez tylną szybę.

Buick nadjechał z dużą szybkością i robił teraz skręt o dziewięćdziesiąt stopni, żeby uderzyć w bok BMW. Tweed przyglądał się temu z nogą na hamulcu. Buick pędził w ich kierunku. Paula zapała się rękami w oczekiwaniu na kolizję. Tweed spojrział w lewo, na ogromny granitowy głaz, przy którym parkował. Starał się wyczuć odpowiedni moment. Zdjął nogę z hamulca — dzięki Bogu, w BMW była automatyczna przekładnia — i mając wrzucony wsteczny bieg nacisnął ostro na gaz. Paula patrzyła z przerażeniem, jak ogromny brązowy taran leci wprost na nich. Tweed ruszył szybko w tył. Wyliczył czas co do ułamka sekundy. BMW

oddaliło się od głazu. Kierowca buicka zbyt późno spostrzegł, co znalazło się przed nim. Zahaczając niemal

o przedni zderzak wozu Tweeda, rozpędzony pojazd grzmotnął z całej siły w granitową ścianę. Uderzenie było tak potężne, że samochód aż zadrżał.

Tweed pokręcił kierownicą i wydostawszy się na drogę pojechał w dół wzgórza w kierunku Helsinek. Nield pozostał z tyłu, ślizgiem zatrzymując hondę przed rozbitym buickiem. Chwycił lewą ręką za lufę pożyczonego z pokoju Pauli browninga i uderzył kolbą w przednią szybę wozu. Bezodpryskowe szkło popękało, pozbawiając kierowcę widoczności. Nield odjechał na pełnym gazie, nisko pochylony w siodełku.

Tweed relacjonował Dillonowi przebieg wydarzeń, siedząc w swojej sypialni w hotelu „Hesperia”. Zanim wyruszyli, Amerykanin upierał się, żeby im towarzyszyć, ale reakcja Tweeda była ostra i stanowcza.

— Zastępca dyrektora CIA ma się narażać na zdemaskowanie? Chcesz, żeby Mauno Sarin dowiedział się o twoim pobycie w Finlandii, gdyby coś nawaliło?

Moja odpowiedź brzmi: nie!

— Ale ty możesz jechać? Zastępca szefa SIS?

— Porwali pracowniczkę mojego wydziału...

Teraz Paula odprężała się po ciężkich przeżyciach biorąc kąpiel, a Newman siedział na prośbę dziewczyny w jej sypialni. Potrzebowała towarzystwa kogoś, z kim mogłaby porozmawiać przez półotwarte drzwi.

— Miałaś cholernie ciężki dzień — zauważył. — Najpierw lot do Instytutu Meteorologii i to, co się zdarzyło w garażu na czwartym poziomie. Musiałaś być wykończona. A potem jeszcze to porwanie.

— Kąpiel dobrze mi robi. Byłam ci wdzięczna, że pozwoliłeś mi widzieć, jak Marler wyciąga nóż z ciała strażnika. Wiem, że zabronił mi patrzeć, ale nie mówił tego serio. Doceniam, że traktujecie mnie jak członka zespołu.

— Bo nim jesteś. W całej pełni.

— I nie wspomnieliście o tym Tweedowi.

— Celowo. Już wcześniej podjęliśmy z Marlerem taką decyzję. Czuliśmy obaj, że nie byłby zachwycony. Zauważyłaś, jaki Tweed ma refleks? Z jakim wyczuciem cofnął wóz przed tym buickiem! A w powrotnej drodze był całkowicie opanowany.

— Skoro mówimy o porwaniu... Nie, Bob, nie przerywaj, to mi pomoże pozbyć się koszmarnych wspomnień. Patrząc z perspektywy czasu nie wierzę, że Adam Carver wiedział, co się stanie. Myślę, że go wykorzystali.

— Chyba się z tobą zgadzam. Kiedy dowiedzieliśmy się o porwaniu, znalazłem go w barze. I to w hotelu „Intercontinental”. Przydusiłem naszego szarmanckiego wiceprezesa, żeby wyciągnąć z niego jakieś informacje.

Powiedziałbym, że jest dość krzepki, a wcale się nie opierał. Wyglądało na to, że naprawdę przeżył szok.

— Co o nim sądzisz?

— Nie jestem pewien, ale nie pasuje mi jakoś na szefa bankowości takiej firmy.

Wydaje mi się trochę tajemniczy. Jest w nim coś, czego nie mogę rozgryźć.

Północ. W ciągu godziny zapadł zmrok. Zaczęła się krótka, dwugodzinna noc, jaka ogarnia w lipcu Helsinki. Wszyscy zebrali się w pokoju Tweeda: Dillon, Paula, Newman, Butler i Marler, który przedtem zacumował motorówkę na przystani w Porcie Północnym.

Nikt nie miał ochoty iść spać. Wszyscy byli podekscytowani wydarzeniami minionego dnia. Tweed zamówił do pokoju kanapki z szynką, wodę mineralną i szampana. Paula trzymała się tylko dzięki napiętym nerwom. Tweed przełknął

ostatni kęs kanapki i stwierdził:

— To porwanie Pauli, a także łatwość, z jaką Hauser zdecydował się ją uwolnić, może stanowić znaczący punkt zwrotny. Paula, jestem wstrząśnięty, że musiałaś tak wiele przejść, ale przynajmniej — jeśli zdoła cię to pocieszyć —

dowiedzieliśmy się czegoś, co inaczej uszłoby naszej uwagi.

— O czym mówisz? — zapytała Paula.

— Hauser szykuje się do przeprowadzenia jakiejś dużej operacji i nie może sobie pozwolić, żeby ktoś mu w tym przeszkodził. Sonia Drayton jest zapewne zorientowana w jego planach.

— A więc skończył się dla nas okres wyczekiwania i zbierania informacji? —

zapytała z nadzieją Paula.

— Chyba tak. Pora, żebyśmy zorganizowali naszą fikcyjną ekipę filmową i złożyli wizytę w tak zwanym Instytucie Meteorologii. Ty, Paula, tym razem zostaniesz w hotelu.

Zamierzała właśnie zaprotestować, gdy zadzwonił telefon. Wszyscy znieruchomieli, spoglądając po sobie. Kto mógł dzwonić o tej porze? Tweed podniósł słuchawkę. Telefonistka oznajmiła, że niejaki pan Smith chce rozmawiać z panem Bakerem.

— Proszę go połączyć.

— Myślę, że poznaje pan, kto mówi — odezwał się znajomy głos. Był to Rebet.

— Mam nadzieję, że pana nie zbudziłem, ale sprawa jest pilna. Musimy się spotkać. Jak najszybciej.

— Kiedy? — zapytał Tweed.

— Tej nocy. A raczej tego ranka. Będę czekał w czarnym saabie przy końcu Portu Północnego.

— O której?

— Jest pan ubrany?

— Tak.

— Zdąży pan na pierwszą?

— Tak. — Wyglądało na to, że rozmówcą jest generał Rebet, ale Tweed wolał

zachować ostrożność. — Zechce mi pan powiedzieć nazwę hotelu, w którym zamieszkałem, zanim odbyło się przyjęcie

i bankiet?

— „Moskwa”. — Odpowiedź padła natychmiast.

— Do zobaczenia o pierwszej.

Tweed odłożył słuchawkę. Pozostali przyglądali mu się z zainteresowaniem.

Rozmowa była prowadzona półsłówkami. Paula domyślała się, że musiał to być któryś ze znanych jedynie Tweedowi tajnych informatorów.

— Muszę was opuścić — stwierdził Tweed. — Zostańcie tu, proszę, skończcie jeść i opróżnijcie te butelki. Bóg mi świadkiem, że na to zasłużyliście. Ktoś chce się ze mną spotkać. Słyszeliście, jak umawiałem się przez telefon.

— Co to za spotkanie? Gdzie? — zapytał Newman wstając gwałtownie.

— Tak się składa — odparł niechętnie Tweed — że w Porcie Północnym, tam gdzie w ciągu dnia jest targ.

— Wspaniale! — Newman odstawił szklankę na stół. — W tym samym miejscu uduszono Eda Rivertona, także w środku nocy.

— Mój łącznik jest godny zaufania — oświadczył chłodno Tweed.

— W każdym razie nie pojedziesz sam.

— On się spodziewa, że nikogo ze mną nie będzie...

— Z całą pewnością. — Newman przewiązał kaburę przez ramię i sprawdził broń. — W ciągu ostatnich dwunastu godzin wystarczająco ryzykowaliśmy. Ty także. Masz przyjechać sam? W porządku. Będiesz prowadził, a ja schowam się na tylnym siedzeniu BMW.

— Jest zaparkowany za hotelem „Intercontinental” — poinformował ich Nield.

— Przetawilem go tam. Po co ma zdradzać, że tu jesteśmy.

— Masz kluczyki od wozu, Pete? — zapytała Paula, podnosząc się z miejsca. —

W porządku. Rzuć mi je.

Złapała kluczyki w powietrzu i patrząc na Tweeda podała je Newmanowi. Potem wykonała gest umywania rąk, jakby chciała powiedzieć: „Koniec dyskusji!”

— Miałam już dzisiaj dość wrażeń — odezwała się do Tweeda ostrym tonem. —

Zrobisz, co ci każą. Bob ukryje się na tylnym siedzeniu.

— Myślałem, że jestem tu szefem — biadolił Tweed z udawaną pokorą w głosie.

— Wygląda na to, że zostałem przegłosowany.

— Oczywiście, do cholery — mruknął Dillon. — Nocna służba jest zawsze niebezpieczna.

Trzydzieści minut po północy kremowe BMW sunęło samotnie przez opustoszałe ulice Helsinek, skręcając w wysadzaną drzewami aleję. Wyglądało na to, że siedzi w nim tylko kierowca. Uliczne latarnie rzucały tajemniczą poświatę, tworząc rozległe obszary cienia, gdzie mogły czyhać rozliczne niebezpieczeństwa. Kierowca miał otwarte okno. Spuszczone były też szyby w tylnych drzwiach po obu stronach wozu. Newman chciał wszystko słyszeć i widzieć, a w razie potrzeby mieć możliwość użycia broni. Tweed jechał powoli.

Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Przybył na spotkanie prawie pół godziny za wcześnie, ale Newman nalegał, żeby dotarli na miejsce sporo przed czasem.

— Gdyby ktoś chciał nas zaskoczyć, zrobimy mu niespodziankę — /,u wyrokował.

Tweed oddalał się powoli od szerokiej alei i jechał wzdłuż nabrzeża. Na wydane szeptem polecenie Newmana zatrzymał wóz, nie wyłączając silnika. Przy nabrzeżu cumowało wiele łodzi, a zawieszona na ich masztach latarnie kołysały się łagodnie. W Porcie Północnym zawsze wiał wiatr. Czasem był to gwałtowny wicher, a czasem, jak tej nocy, delikatna bryza. Newman polecił Tweedowi wyłączyć silnik i na-iłuchiwał.

Usłyszał uderzenia fal o nabrzeże i skrzypienie kilku drewnianych łodzi. Kojące dźwięki w złowróbną poza tym ciszy. Tweed rozglądał się wokół jak człowiek, który przyjechał zaczerpnąć świeżego powietrza. Nie zauważył nic podejrzanego.

— Włącz silnik — powiedział szeptem Newman. — Podjedź bocznymi uliczkami w kierunku katedry. Gdybyś coś spostrzegł, daj mi znać. Mamy dość czasu, żeby sprawdzić cały teren.

Tweed skręcił w lewo w jednokierunkową uliczkę. Wóz podskoczył na szynach.

Boczne uliczki, z dala od rzucanych przez latarnie snopów światła, były pograżone w najgłębszym

mroku. Ta ciemność stanowiła dla Tweeda nowe doświadczenie. Od przyjazdu do Finlandii kładł się spać i wstawał przy dziennym świetle.

Objechał powoli w koło stare budynki i wróciwszy na nabrzeże sprawdził czas na zegarze w wozie. Była pierwsza w nocy. Czarny saab z wyłączonym silnikiem stał

zaparkowany przy molo. Nie odwracając głowy i nie poruszając niemal wargami Tweed poinformował Newmana:

— Zjawił się mój łącznik.

— Jest sam?

— Na to wygląda. Myślę, że dotrzyma słowa.

Tweeda niepokoił fakt, że saab stał zaparkowany przy nabrzeżu obok schodków, prowadzących w dół do przystani, z której na rozkaz Rebeta porwano go do Leningradu. Zatrzymał się równolegle do saaba, zachowując odległość dwóch czy trzech metrów, aby siedzący za kierownicą nie mógł zajrzeć na tylne siedzenie BMW. Nie wymieniając nazwiska krzyknął do generała Rebeta:

— Niech pan odjedzie od nabrzeża! Proszę zaparkować po drugiej stronie targowiska. Wtedy porozmawiamy.

Tweed obserwował port i nie zauważył żadnego pływającego statku, ale wolał nie ryzykować. Ruszył powoli z miejsca. Zobaczywszy we wstecznym lusterku, jak Rebet przejeżdża wozem przez szeroki plac

i parkuje go w cieniu budynku, Tweed zawrócił, podjechał do saaba i zatrzymał się w pobliżu muru.

— Zostaw włączony silnik — szepnął Newman.

— Nie. On musi mi ufać.

Rebet szedł w jego kierunku, ubrany w sportową marynarkę i spodnie. Tweed wysiadł szybko z samochodu, wychodząc mu na spotkanie i nie pozwalając, by zbliżył się do BMW. W kieszeni miał zdjęcia „trzeciego człowieka”, którego Nield sfotografował na pokładzie „Alskära”, puściwszy się za nim w pościg z archipelagu w rejonie Turku na otwarte morze. Kiedy Nield przyniósł Tweedowi gotowe odbitki, schował je za plecami i powiedział ze śmiechem:

— Napisz na kawałku papieru, kim twoim zdaniem jest ten „trzeci”.

Tweed spełnił jego prośbę i wtedy Nield wręczył mu zdjęcia uśmiechając się pod nosem.

— Zgadłeś...

Tweed nie podał Rosjaninowi ręki. Zaczęli przechadzać się po brukowanym placu. Tweed przejął inicjatywę.

— Co to za pilna sprawa? — zapytał. — I gdzie pan się ukrywał?

— W bezpiecznym miejscu, tu, w Finlandii.

Tweed pomyślał, że musiało to oznaczać silnie strzeżoną, mającą dwustuosobowy personel sowiecką ambasadę, która znajdowała się po drodze do Parku Brązowych Drzew. Rosjanin był wyższy od Tweeda. Dobrze skrojone ubranie wyszczuplało go, a sweter z golfem sprawiał, że wyglądał młodziej.

— Co to za pilna sprawa? — naciskał Tweed.

— Słyszał pan o wysadzeniu kolei transsyberyjskiej? Nie złapaliśmy winnych, ale wiemy, że sabotażyści przedostali się przez północną granicę.

— Północną?

— Z terenu Finlandii. Granica liczy tam około półtora tysiąca kilometrów długości. Finlandia to ogromny kraj z niewielką liczbą mieszkańców. Materiały wybuchowe przemycono tą samą drogą, którą wykorzystali sabotażyści — przez Laponię. Chyba wiemy którędy. Podobno jutro ma zostać przerzucona przez granicę kolejna ogromna partia ładunków. A właściwie dzisiaj. Minęła już północ.

— W jaki sposób, u licha, ktoś może przemycać do Finlandii duże ilości materiałów wybuchowych?
— zapytał Tweed.

Doskonale to wiedział. Newman odkrył trasę przerzutową, kiedy będąc z Paulą i Marlerem w Porvoo dowiedział się o należącym do korporacji INCUBUS statku przetwórci, który stał zakotwiczony poza obszarem fińskich wód terytorialnych.

Tweed sprawdzał tylko, jak wiele wie Rosjanin.

— Zapewne przemyt odbywa się przez archipelag — odparł Rebet. — Nie byłoby to takie trudne. Jest tam tyle wysp, że tworzą nieprawdopodobny labirynt. Władze fińskie nie są w stanie upilnować całego obszaru. To zrozumiałe.

— Skąd pewność, że nastąpi przerzut materiałów wybuchowych?

I to właśnie dzisiaj?

— Mamy swojego agenta w tak zwanym Instytucie Meteorologii na wschód od Kemijärvi. Nie mogę ujawnić jego nazwiska. Donosi, że dziś w nocy ma przekroczyć granicę wielki konwój ciężarówek z obstawą. Strażnicy to niewątpliwie również sabotażyści. Wiąże się z tym jeszcze kolejna sprawa. Jeden z trzech naszych kandydatów na Angela odbywa właśnie podróż do Murmańska i jest w rejonie północnej granicy.

— Czy to ten człowiek? — zapytał cicho Tweed, wyjmując zdjęcia.

Rebet obejrzał je w świetle latarni i popatrzył na Tweeda ze zdziwieniem.

— Już pan wie? Nie mamy pewności. Jego obecność może być przypadkowa.

— To nie przypadek — oświadczył Tweed stanowczo.

Nie mówiąc, że chodzi o Nielda, opowiedział Rebetowi, jak jeden z członków jego zespołu ruszył w pościg za „trzecim mężczyzną” przez archipelag w pobliżu Turku. Tajemniczy pasażer rybackiego kutra zamierzał najwyraźniej przesiać się na sowiecki statek, płynący do Tallina.

— I zgadł pan, kim jest Angel, jeszcze w Leningradzie, obserwując, jak Dikojan, Kazbek i marszałek Zajkow rozmawiają kolejno z Hauserem?

— Tak. Może kiedyś powiem panu, jak na to wpadłem.

— Przypuszczaliśmy, że Armię Czerwoną niepokoi pieriestrojka i głasnost’.

— Może będziemy w stanie panu pomóc w przeprowadzeniu operacji po fińskiej stronie...

Wyjaśnił szczegółowo plany wysłania jeszcze tego samego dnia do Laponii fikcyjnej ekipy filmowej. Rebet słuchał z uwagą informacji Tweeda, że kilku jego ludzi będzie uzbrojonych.

— Zostawiamy sowiecką granicę nie strzeżoną, żeby przepuścić konwój —

ostrzegł. — Pańscy ludzie powinni być ubrani na biało. Ponieważ zaoferował mi pan tak pełną współpracę, wyjawię panu teraz ściśle tajne informacje. Proszę ich byle komu nie powtarzać — podkreślił Rebet.

— Oczywiście.

— Na konwój będą czekali nasi spadochroniarze. Pańscy ludzie przypadkiem mogą znaleźć się na terenie Rosji. Polecę rano pierwszym samolotem Aeroftotu z Helsinek do Leningradu, a potem dalej na północ, w rejon Laponii. Ostrzegę naszych żołnierzy, żeby uważali na ludzi w białych płaszczach, bo to przyjaciele.

— Kto wie, może napędzimy bandytów z korporacji w wasze ręce.

— Mam taką nadzieję. — Rebet zatrzymał się w miejscu i odwrócił do Tweeda, wyciągając rękę. — Proszę nie zapominać: to będą komandosi. Elitarna jednostka. Może być bardzo niebezpiecznie.

— Chyba już się z tym oswoiliśmy.

Świt rozpostarł nad Helsinkami swą tajemniczą poświatę tuż po drugiej w nocy.

Tweed, pozostawiając Newmanowi zaparkowanie BMW, wrócił do swego pokoju, gdzie wszyscy na niego czekali. Paula, powstrzymująca się całą siłą woli, aby nie zasnąć, stłumiła ziewnięcie. Tweed wydawał się nadal rześki.

— Kto nie potrzebuje snu? — spytał z zapalem, rozglądając się wokół. — Jest zadanie do wykonania. Utrzyma was na nogach do rana.

— Już jest rano — zauważyła Paula.

— Miałem na myśli godzinę ósmą czy dziewiątą.

— Co to za robota? — zapytał Marler. — Mogę się obejść bez spania przez dwie doby.

— Nadajesz się idealnie. — Tweed chodził po pokoju. Teraz, gdy przystępowali do akcji, rozpierała go energia. — Chcę, żeby ktoś obserwował centralę spółki INCUBUS Oy. Może tam się coś dziać. Wiesz, skąd dobrze widać to miejsce.

— Zajmę się tym...

— Naszkicuj mi plan — przerwał im Dillon — to będę ich miał na oku. Przez cały dzień nic nie robiłem.

— To nie jest zadanie dla ciebie, Cord — stwierdził Tweed. — Nie będziesz zajmował się obserwacją. Nie wątpię ani przez chwilę, że umiesz to robić, ale musisz jeszcze trochę pozostać w ukryciu. Pamiętaj, jakie masz rozkazy.

— Kluczyki, Newman — powiedział Marler, wyciągając rękę, gdy dziennikarz zjawił się z powrotem. — Zaparkowałaś BMW z tyłu? — Spojrzał na Tweeda. —

Jadę. Mam się zgłosić około dziesiątej?

— Ani chwili później. Lecimy czarterowym samolotem za koło polarne. —

Marler wyszedł, a Tweed wydawał dalej polecenia. — Butler, Nield, o szóstej macie być na nogach. Przyjdźcie do mojego pokoju. Musimy pojechać tym waszym saabem do magazynu i zabrać sprzęt dla ekipy filmowej. Jak tylko otworzą sklep Stockmanna, niech jeden z was kupi sześć białych płaszczy. Teraz lepiej się zdrzemnijcie. Po wczorajszym dniu możecie wkrótce poczuć się trochę zmęczeni.

— Trochę? — odezwała się Paula wstając. — Chyba żartujesz.

— Przepraszam. Nie mówiłem o tobie. Miałaś dzień, jakiego żaden z nas od dawna nie przeżył. Idź się położyć. I śpij dobrze.

Newman zaczął, aż wszyscy wyjdą. Był wytrzymały jak koń i nadal nie chciało mu się spać. Nalał Tweedowi wody mineralnej z butelki, która stała w wiaderku z lodem obok szampana.

— Mieliśmy szczęście przy wymianie zakładniczek — stwierdził, gdy Tweed popijał ze szklanki. — O tak późnej porze nie kręcili się koło pomostu goście z tego hotelu, którego nazwę trudno wymówić. Kiedy mijaliśmy recepcję, biegnąc do ciebie, też tam nikogo nie było, nawet recepcjonisty.

— Szczęśliwy traf — przyznał Tweed. — Paula jest chyba w dobrej formie. O dziewiątej rano będę musiał uspokoić doktora Wintera, który miał ją zbadać.

Mówi, że nawet do niej nie podszedł.

— Nie było czasu — przypomniał Newman. — Zbyt szybko uciekaliśmy. Zresztą Paula nieźle wygląda.

— Zapłacę Winterowi okrągłą sumkę, żeby milczał — postanowił Tweed. — To jeden z niewielu angielskich lekarzy w Helsinkach. Powiem mu, że policja chce zachować tę akcję w tajemnicy. Dlatego nie będzie o niej wzmianki w prasie.

— Myślę, że wysyłanie Marlera o tej porze pod budynek korporacji jest stratą czasu. Wszystko tam będzie pozamykane. O co ci chodzi?

— Po pierwsze, Hauser jest bez przerwy w ruchu, lata samolotem po całym świecie. Spędził ostatnio w jednym miejscu — w Helsinkach — o wiele więcej czasu, niż ma w zwyczaju. Wnioskuje to z informacji od Moniki. Lada chwila może znów wyruszyć w drogę. Po drugie, finalizuje właśnie w Finlandii ryzykowną i ważną operację. Przypuszczam, że zechce oczyścić teren na wypadek, gdyby wszystko miało wylecieć w powietrze. W sensie dosłownym.

Nie ujawniając nazwiska Rebeta przekazał Newmanowi informacje, które przekazał mu Rosjanin — co ich może spotkać w pobliżu granicy i jakie podejmie środki ostrożności. Nie wspomniał jedynie o istnieniu Angela.

— Dzisiaj czeka nas dzień wytężonej pracy — zakończył zacierając ręce.

— Wspaniale. To znaczy, że wczoraj odpoczywaliśmy?

Hauser był w swoim biurze na najwyższym piętrze centrali korporacji INCUBUS

i nadzorował przenoszenie metalowych szafek w których zamknięto wszystkie najważniejsze akta. Każda miała

nalepkę z zaszyfrowanym opisem jej zawartości. Tragarze wynosili szafki z gabinetu, dźwigając je w kierunku windy.

Była druga dziesięć nad ranem. Hauser zerknął na Adama Carvera i Franka Galvone, a potem zaczął patrzeć przez ogromne okno. Wschodzące słońce rzucało perłowe światło na gładką jak jezioro

powierzchnię morza, nadając mu ołowianą barwę.

— Będzie mi brakowało tego widoku — powiedział z nostalgią.

— Przypuszczam, że komuś przyjdzie w końcu ochota, żeby mnie wtajemniczyć

— stwierdził Carver ironicznym tonem. — Dokąd się wybieramy?

Hauser zamknął drzwi za ostatnim z robotników, którzy wyszli z następną partią szafek. Nalał sobie dużą szklankę wody mineralnej i pił długimi łykami.

— OK, chłopcze — odezwał się do Carvera. — Pora wyjawić ci sekret.

Przenosimy naszą bazę operacyjną do centrali w Sztokholmie.

— Na etykietach nie ma żadnego adresu — zauważył Carver.

— Ze względów bezpieczeństwa. Nalepki z adresami są już przygotowane i przymocuje się je w ciężarówkach, w drodze na lotnisko. Zrobi to zaufany personel. Wiesz, jak działam. Zjawiam się tam, gdzie najmniej się mnie spodziewają. — Odwrócił wzrok. — Frank, czy nie powinieneś zająć się już operacją „Ural”?

Hauser zaczekał, aż zostanie sam z Carverem. Prezes korporacji INCUBUS był

bez marynarki i rękawy koszuli miał zawinięte nad łokcie. Osobiście nadzorował

przenoszenie ściśle tajnych akt. Jeśli chciało się mieć coś zrobione jak należy, trzeba było tę cholerną robotę wykonać samemu.

— Adamie, polecisz dzisiaj learem do Sztokholmu. W samolocie będą szafki z najważniejszymi dokumentami. Masz osobiście dopilnować ich wyładunku i przewiezienia do sejfu w naszej centrali w Sztokholmie. Lear wylądowuje na lotnisku Bromma, z dala od wścibskich spojrzeń.

— A transport z lotniska?

— Wszystko załatwione. Będzie na was czekała ciężarówka. Zabierzecie dokumenty do naszej centrali w jednym z tych wysokich biurowców przy Sveavägen — wysokich jak na Sztokholm.

— Nie widziałem żadnego oznakowania, które pozwalałoby odróżnić szafki z ważnymi dokumentami od pozostałych.

Hauser poklepał go po ramieniu.

— Zadbaliśmy o wszystko. Szafki, które zabiera lear, w drodze na lotnisko oznaczy się zielonymi nalepkami. Pozostałe polecą jako bagaż rejsowym samolotem.

— Kiedy pan wyjeżdża? Wybiera się pan do Sztokholmu?

— Będę podróżował incognito, pod zmienionym nazwiskiem. Wsiądę w późniejszy samolot. Muszę opuścić Helsinki przed południem.

— Co to za operacja „Ural”?

— Pytania, pytania! Nie mówiłem ci już, że za dużo ich zadajesz? Zejdź do garażu i dopilnuj, żeby te palanty przymocowały do każdej szafki zieloną nalepkę. Idź już.

Gdy Carver wyszedł z pokoju, Hauser włożył do cygarniczki papierosa.

Emanował pewnością siebie, był jednak zaniepokojony. Plan uwolnienia Iriny Sierowej i zatrzymania zakładniczki zupełnie się nie powiódł. Tweed przejrzał

jego strategię i zaskoczył go sprytniejszym *manewrem*. Hauser wzruszył

potężnymi ramionami. A więc Tweed zarobił punkt.

Uśmiechnął się na myśl, jak zmartwi się jego przeciwnik, odkrywszy w końcu zniknięcie całego fińskiego przedstawicielstwa korporacji INCUBUS. O tak, był

w stanie przechytrzyć Tweeda.

Siedząc w samochodzie, ukrytym wśród drzew na wzgórzu, które górowało nad centralą korporacji INCUBUS, Marler patrzył przez wizjer aparatu fotograficznego. O trzeciej nad ranem, w pełnym świetle dnia, obserwował

ożywiony ruch przed budynkiem.

Ludzie w kombinezonach przenosili szafki z aktami do jednej z czekających ciężarówek, zaparkowanych na placu obok garaży. Wyglądało na to, że istnieje między nimi podział pracy. Adam Carver stał obok, obserwując załadunek.

Inni ludzie taszczyli szafki do dwóch pozostałych ciężarówek, którymi Carver najwyraźniej się nie interesował. Marler czekał, obracając w ustach długiego, nie zapalonego papierosa.

Od czasu do czasu popijał wodę z plastikowej butelki. Mógł wytrzymać bez jedzenia, ale było już dokuczliwie ciepło. Czy kiedykolwiek przyjdzie ochłodzenie? Marler nastawił się na długie wyczekiwanie. Miał wprost anielską cierpliwość. Wyćwiczył ją w sobie, gdy jako snajper czekał na pojawienie się ofiary.

Prawie dwie godziny później, o piątej rano, Carver wspiął się do kabiny i usiadł

obok kierowcy. Pojazd ruszył z miejsca, otworzyła się automatycznie brama w parkanie z drucianej siatki i ciężarówka wyjechała na zewnątrz, skręcając w kierunku Helsinek.

— Mam cię, chłopcze — powiedział do siebie Marler.

Włączył silnik i niewidoczną z budynku centrali drogą dotarł do głównej szosy.

Zachowując dystans — o tej porze nie było większego ruchu — miał ciężarówkę cały czas na oku. Wkrótce zdał sobie sprawę, że toczący się po autostradzie między granitowymi skałami pojazd zmierza w kierunku lotniska.

Marler prowadził wynajętego saaba. Przeciwnik rozpoznałby już kremowe BMW. Dotarł na lotnisko, gdy rozpoczynano rozładunek ciężarówki.

Przejechawszy obok, zatrzymał się przy krawężniku, zamknął wóz i bez pośpiechu wszedł do hallu.

Nawet o tej porze na odlatujące samoloty czekało sporo turystów. Byli to w większości młodzi ludzie z plecakami. Drzemali wyciągnięci na krzesłach.

Chłopcy byli nie ogoleni, a dziewczyny miały na sobie wytarte dzinsy i pogniecione bluzki.

Marler wziął do ręki jedną z leżących na ladzie broszur i udawał, że ją przegląda.

Obok niego przejechał wózek bagażowy, na który załadowano metalowe szafki z zielonymi nalepkami. Marler nie przejął się obecnością Carvera. Carver nigdy dotąd go nie widział.

Obserwował przez okno, jak wózek podjeżdża do czekającego leara. Ludzie w kombinezonach z trudem wnosili jedną z szafek do samolotu po spuszczeniach schodkach. Marler doszedł do wniosku, że próba dowiedzenia się, dokąd leci odrzutowiec, mogłaby być zbyt ryzykowna. Usłyszał, że nadjeżdża następna ciężarówka.

W pół godziny później przywiezione przez nią szafki zostały nadane na bagaż.

Miały lecieć rejsowym samolotem. Zaczekawszy, aż cała ekipa pójdzie po kolejną partię ładunku, Marler zwrócił się do kontrolera:

— Spodziewam się dostawy towaru, który chcę nadać na bagaż. Mam nadzieję, że dotrze na czas. Kiedy odlatuje samolot, który teraz załadowujecie?

— Na lotnisko Arlanda w Sztokholmie? Odlatuje o siódmej trzydzieści. Nie będzie opóźnienia.

— Dziękuję — powiedział Marler.

Wszedł na zewnątrz. Przy krawężniku zatrzymywała się właśnie trzecia ciężarówka korporacji INCUBUS. Przystanął, żeby zapalić papierosa. Z kabiny wyskoczyło dwóch ludzi. Podbiegli do tylnych drzwi i otworzyli je. Znajdująca się w środku ekipa od razu rozpoczęła wyładunek. „Sprawnie jak w wojsku” —

pomyślał Marler wsiadając za kierownicę saaba. Ruszył w drogę.

Kiedy Tweed otworzył Marlerowi drzwi sypialni, był świeżo ogolony i kompletnie ubrany. Paula siedziała w fotelu, również gotowa do wyjścia. Marler stłumił ziewnięcie.

— Nie spaliście zbyt długo, co?

— Za dużo emocji — stwierdziła Paula.

Muszę pojechać z Butlerem i Nieldem do magazynu — powiedział Tweed z energią. — Odkryłeś cokolwiek?

— Hauser ewakuuje centralę w Helsinkach...

Marler opisał to, co zobaczył, starając się mówić krótko, do rzeczy. Kiedy skończył, Tweed odstawił szklankę z wodą mineralną i podszedł do okna.

Zanosiło się na kolejny dzień pięknej pogody. Ruchoma metalowa rzeźba na trawniku przed hotelem nawet nie drgnęła. Ani śladu wiatru. Będzie cholerny upał.

— Sztokholm — odezwał się po chwili Tweed. — Przypuszczałem, że zechce uciec i spalić za sobą mosty w Finlandii, biorąc pod uwagę to, co ma się wkrótce wydarzyć za kołem polarnym.

— Jadę z wami — stwierdziła Paula stanowczo.

— Nie jedziesz — oświadczył jej Tweed. — Zmieniamy plan. Ze względu na to, co odkrył Marler...

— Raczej dlatego, że waszym zdaniem ta wyprawa jest dla kobiety zbyt niebezpieczna — wybuchnęła Paula.

— Dlatego — odparł spokojnie Tweed — że mam teraz dla ciebie zadanie, które może się okazać nawet bardziej niebezpieczne. Dlatego, że znasz teren i wiem, że nigdy byś mnie nie zawiodła.

— Co to za zadanie?

— Chcę się przekonać, czy potrafisz zmienić wygląd. Być może będziesz podróżować z naszymi wrogami, którzy cię znają, mają twoje zdjęcia. Mówiąc krótko — chcę, żebyś poleciała do Sztokholmu, najlepiej samolotem o siódmej trzydzieści, o ile uda ci się kupić bilet. Jeżeli dostaniesz się na ten lot, zaczekaj potem na Arlandzie. Zanim wylecisz z Helsinek, zadzwoń do którejś z całodobowych wypożyczalni samochodów i poproś, żeby podstawiono ci wóz na lotnisko. Kiedy wyładują te szafki, o których mówił nam Marler, wytrop, dokąd je wiozą.

— Lepiej nie będę już tracić czasu...

— Zaczekaj. Najpierw idź do pokoju się przebrać. Potem wróć i pokaż mi, jak wyglądasz...

Po kilku minutach była już z powrotem. Tweed i Marler popatrzyli na nią ze zdumieniem. Schowała włosy pod przylegający do głowy, słomkowy kapelusz, przebrała się w szarą spódnicę i kremową bluzkę z długimi rękawami.

Najbardziej jednak zmieniły jej wygląd przypudrowana na biało twarz, duże okulary w rogowej oprawie i brak szminki na ustach.

— Boże! — Marler zachichotał. — Wyglądasz jak pani nauczycielka.

— O to mniej więcej chodziło — odparowała.

— Moje gratulacje — powiedział Tweed. — Kiedy przylecisz do Sztokholmu, zarezerwuj dla nas wszystkich pokoje w hotelu „Grand”, o ile będą mieli wolne miejsca. Gdybyś musiała załatwić nam nocleg gdzie indziej, zostaw dla mnie wiadomość w zaklejonej kopercie.

— Hotel „Grand”? — zdziwiła się Paula. — Zatrzymaliśmy się tam z Bobem i Cordem Dillonem w drodze do Finlandii.

— Nie szkodzi. Jeśli Hauser to sprawdzi i dowie się, że depczemy mu po piętach, tym lepiej. Chcę wywierać na niego presję. Jak najsilniejszą. Lepiej już się zbieraj.

Marler zaczekał, aż Paula pośpiesznie wyszła.

— Dałeś jej niebezpieczne zadanie. Czy to rozsądne, skoro nie otrząsnęła się jeszcze po porwaniu?

— Między innymi dlatego się do niej z tym zwróciłem, pomijając fakt, że jest mi do tego zadania naprawdę potrzebna. Będzie pracowała samodzielnie, z czym znakomicie sobie radzi. To jej pomoże zapomnieć o niedawnych przeżyciach.

— A teraz wyruszamy za koło polarne. Być może czeka nas bitwa.

— I to zacięta.

Londyn ogarnęła fala upałów. Monika otworzyła wszystkie okna w biurze przy Park Crescent, ale na niewiele się to zdało. Powietrze było nieruchome, do środka nie docierał nawet najbliższy powiew wiatru. Siedziała z Howardem, zapoznając go z wynikami swego intensywnego dochodzenia w sprawie korporacji INCUBUS i Frank-lina D. Hausera.

— Miałam trudności ze zlokalizowaniem jego szwedzkiej rezydencji. Leży w zachodnim archipelagu, w pobliżu Norwegii, na północ od Göteborga. Poza Skandynawią większość ludzi uważa, że istnieje tylko jeden zachodni archipelag, w rejonie Sztokholmu.

— Liznałem trochę geografii — zachnął się Howard.

— Świetnie.

Howard się uśmiechnął. W sytuacji, gdy większości kierownictwa nie było na miejscu, dystans między nim a Moniką wyraźnie zmalał. Z powodu upału Howard pozwolił sobie nawet na zdjęcie marynarki. Monika nigdy dotąd nie widziała go w tak nieoficjalnym stroju. Przyglądziwszy ręką siwy kok mówiła dalej:

— To duży dom, zdaje się, że na zupełnym odludziu. Musiałam wykorzystać znajomości u Lloyda, żeby zdobyć mapę, na której zaznaczono Skalhamn.

— Co to takiego?

— Maleńka zatoczka, nad którą stoi ten dom. — Wskazała na mapę. — Tutaj.

Na pustkowiu. Znajomy, który pracuje u Lloyda, zadzwonił do kolegi w Szwecji.

Zdaje się, że ten dom przypomina duży ośrodek łączności. Ma na dachu sieć tajemniczych anten i czasę do odbioru sygnałów satelitarnych.

— Co nam to daje?

— Zechce pan poczekać, aż skończę. Hauser ma tam również zakotwiczony duży jacht — tego samego typu, na jakim mieszkał Onassis. „Waszyngton IV”.

Kiedy nie lata po świecie samolotem, podróżuje często tym statkiem. To pływające centrum łączności.

— O ile nam wiadomo, Hauser jest teraz w Helsinkach — zaproponował Howard.

— Sprawdziłam jednak, w miarę możliwości, gdzie bywał w ciągu ostatnich lat.

Skacze po całym świecie jak konik polny, więc może wyjechać i z Helsinek.

Tweed chętnie by poznał miejsca, które Hauser regularnie odwiedza.

— I to już wszystko?

— Na Boga, nie! Najlepsze dopiero będzie. Hauser ma biura w Oslo, Sztokholmie, Kopenhadze, Amsterdamie, Brukseli, Frankfurtach, Paryżu, Genewie, Wiedniu, Madrycie, Lizbonie, Mediolanie i w Atenach. Także w Singapurze, w Auckland, Sydney i Montrealu. Oprócz tego w Ameryce Południowej i w Japonii. Czy mam mówić dalej?

— To jest to najlepsze?

— Nie, najsmakowitszy kąsek zostawiłam na deser. Dworek Livingstone w Suffolk. Z daleka od Bostonu, Nowego Jorku i paru innych miast w Stanach.

Dworek Livingstone — powtórzyła. — To jest to.

— Co tam się mieści?

— Chyba prawdziwa centrala, z której Hauser kieruje i zarządza swoim ogólnoswiatowym imperium...

— Brzmi to zupełnie nieprawdopodobnie.

— Sprytny pomysł. Hauser ma tam rzekomo swoją wiejską rezydencję w Wielkiej Brytanii. Kto by podejrzewał, że stanowi ona sam środek pajęczej sieci korporacji INCUBUS?

— Na pewno nie ja. Jak to wygląda?

— Dworek Livingstone jest bardzo duży, zajmuje rozległy obszar. Pod ziemią znajduje się labirynt przerobionych piwnic. Są jak katakumby. Wszystko zostało tam przebudowane. Teren jest silnie strzeżony. Hauser zainstalował urządzenia szyfrujące najnowszej generacji. W jednym z dużych pomieszczeń założono potajemnie supernowoczesny system kodowania rozmów telefonicznych uniemożliwiający podsłuch. Jest bardziej wymyślny niż „gorąca linia” między Downing Street a Kremlem.

— Skąd, u licha, to wszystko wiesz? — zapytał z niedowierzaniem Howard.

— Mam znajomego w firmie asekuracyjnej, która ubezpiecza ten sprzęt. Dał mi tylko drobną wskazówkę, ale zdołałam ją wykorzystać.

— W jaki sposób?

— Dostałam od tego samego znajomego nazwę firmy, która zakładała instalację.

— Tylko mi nie wmawiaj, że w ten sposób się wszystkiego dowiedziałaś.

— Nie. Nawet nie próbowałam. Zadzwoiłam natomiast do jednego z bliskich przyjaciół Tweeda z Wydziału Specjalnego. Ma wobec Tweeda pewne zobowiązania. Jak to między starymi kumplami. W pańskim klubie jest tak samo.

— Nieważne. Mów dalej, proszę.

— Podałam człowiekowi z Wydziału Specjalnego nazwę tej firmy zakładającej instalacje, a on poszedł zobaczyć się z jej naczelnym dyrektorem. Pewnie musiał

go trochę przycisnąć, ale wolałam nie pytać. I wie pan co?

— Nie bawię się w zgadywanki — odparł Howard, przybierając na krótką chwilę swój zwykły, oficjalny ton.

— Dostał od dyrektora firmy pełną listę urzędzeń, które zainstalowali w dworku Livingstone. Facet — to znaczy ten dyrektor — bał się, że złamał jakieś przepisy. Dostarczył informacji, które panu przekazałam.

— Instalowali też maszyny szyfrujące?

— Nie. Musiano je wykonać w laboratoriach spółki pod Bostonem, tam gdzie przebiegała kiedyś Kosmiczna Autostrada. Jeden z szefów nadzoru chodził po tym podziemnym labiryncie pod dworkiem Livingstone. Podczas wojny był w Bletchley — rozpracowywał maszyny szyfrujące typu „Enigma”, których używali Niemcy. Kiedy natrafił na otwarte stalowe drzwi, zajrzał do środka. Nikogo tam nie było. Zobaczył maszyny szyfrujące i powiadomił o swoim odkryciu naczelnego dyrektora.

— Rozumiem.

Howard był przejęty, niemal zaszokowany. Co za cholerny tupet!

W samym sercu Anglii! I to w Suffolk, gdzie sam miał wiejski dom, w którym zatrzymywał się z rzadka, odwiedzając z obowiązku żonę, Cyntię.

— Przypuszczam, że nie ma w tym niczego nielegalnego. Niestety.

— Nie — zgodziła się Monika — ale to bardzo znaczący fakt. Jak już wcześniej wspomniałam, jestem przekonana, że Hauser przeniósł swoje centrum operacyjne z Ameryki do dworku Livingstone...

Zamilkła, gdyż zadzwonił telefon. Przez chwilę trzymała słuchawkę przy uchu, po czym zasłoniła ręką mikrofon.

— Mamy dwóch nieproszonych gości. Główny inspektor Buchanan i sierżant Warden. Czekają na dole i chcą się widzieć z Tweedem.

— Powiedz im, żeby sobie poszli, że go nie ma.

— To nierozsądne — sprzeciwiła się Monika stanowczo. — Powinniśmy się zorientować, czego chcą. Kto w czas ostrzeżony, w porę uzbrojony.

— No dobrze, skoro tak uważasz...

Howard sam był zaskoczony, jak bardzo zmieniły się stosunki między nim a Moniką. Dotąd była dla niego jakąś kobietą w bliżej nie określonym wieku, która zajmowała się aktami. Teraz traktował ją jak równą sobie.

Buchanan wszedł do biura z nadzwyczaj oficjalną miną. Sierżant Warden miał jak zwykle wyraz twarzy pokerzysty. Howard nie podniósł się z miejsca.

Niedbałym gestem wskazał im krzesła.

— Nazywam się Howard. Tweed wyjechał. Jestem jego przełożonym. Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan się streszczać. Mamy sporo pracy.

— A my nie? — Buchanan, nie zauważywszy jakby braku gościnności Howarda, usiadł wygodnie i założył nogę na nogę. Warden wyjął notes i położył go sobie na kolanach.

— Nie wolno niczego notować — powiedział ostro Howard. — Proszę nie zapominać, gdzie się panowie znajdują.

— Och, jesteśmy tego w pełni świadomi — zapewnił go Buchanan przyjacielskim tonem. — Pozwolę sobie jednak przypomnieć, panie Howard, ponieważ z pewnością już pan o tym słyszał, że prowadzę dochodzenie w sprawie wyjątkowo brutalnego morderstwa. Chodzi konkretnie o zamordowaną w Suffolk Sandrę Riverton.

— Czytałam w gazecie — wtrąciła Monika — że schwytał pan zabójcę z Camden Town.

— To prawda. — Buchanan odwrócił się uprzejmie w jej kierunku na obrotowym krześle. — Kierujemy więc teraz całą energię na kontynuowanie śledztwa w sprawie Sandry Riverton. Nigdy zresztą nie przestało nas ono interesować. — Przerwał. — Czy wiedział pan

o tym, że siostrę Sandry Riverton, Evelyn Lennox, napadnięto w jej domu w Walberswick?

— Co to wszystko, u licha, ma z nami wspólnego? — chciał wiedzieć Howard.

— Zaraz wyjaśnię — ciągnął cierpliwie Buchanan. — Osobą, która znalazła powieszoną w dzwonnicy Sandrę Riverton, był Robert Newman. Wie pan, gdzie on teraz jest? — zapytał znienacka.

— Nie mam pojęcia — odburknął Howard. — Od pewnego czasu nie kontaktuje się ze mną.

— Chodzi o to — kontynuował nieustępliwie Buchanan — że w przeciągu dwudziestu czterech godzin został brutalnie zamordowany w Helsinkach także mąż Sandry, Amerykanin Ed Riverton. Dostrzegam w obu tych przypadkach pewne podobieństwa. Jedną z ofiar uduszono, drugą powieszono.

— Nie widzę związku.

— Zaraz do tego dojdę. Sandra Riverton była zatrudniona w korporacji INCUBUS, która ma biuro w Norwich. Na dwa tygodnie przed śmiercią zrezygnowała z pracy. Ed Riverton należał do zarządu korporacji. Evelyn Lennox pracowała w tej samej firmie.

— Jak ona się czuje? — zapytała Monika. — Jest poważnie ranna?

Gnębiły ją nieuzasadnione wyrzuty sumienia. Na polecenie Howarda odwołała z Walberswick pilnującego Evelyn Harry'ego Butlera.

— Miała szczęście. — Buchanan się ożywił. — To dzielna i zaradna dziewczyna.

Był wieczór. W hallu pojawił się zamaskowany intruz. Musiał otworzyć drzwi wytrychem. Doszło do szamotaniny. Panna Lennox, chociaż posiniaczona, zdołała się wyrwać. Wpadła do kuchni, gdzie w rondlu gotowała się akurat woda.

Chlusnęła nią napastnikowi w twarz i zbir z krzykiem rzucił się do ucieczki.

Panna Lennox twierdzi, że przypominał sylwetką mężczyznę o imieniu Steve, który jakiś czas temu był u niej w Wandsworth.

— Pracuje z człowiekiem, którego nazywają Papa Grimwood — powiedziała Monika.

— A skąd pani o tym wie, jeśli wolno spytać?

— Powiedział mi Bob Newman...

— Lennox dokładnie opisała sylwetkę napastnika — dodał Buchanan. — Pasuje także do Newmana.

— To niedorzeczne! — wybuchnęła Monika.

— Zgodziłbym się z panią — przyznał Buchanan, rozprostowując nogi —

gdybym wiedział, że Newman był wówczas daleko od miejsca, gdzie dokonano napadu.

„A więc do tego zmierzasz!” — pomyślał Howard i machnąwszy ręką oświadczył:

— O ile nam wiadomo, pan Newman jest za granicą.

— O ile państwu wiadomo? To za mało.

— Na razie musi wystarczyć.

— Panie inspektorze — wtrąciła się Monika, aby skierować rozmowę na inny temat. — Czy Evelyn Lennox ma ochronę policyjną? Człowiek, który dopuścił się tego okropnego czynu, może wrócić.

— Tak, to możliwe. Miejscowa policja zgadza się z pani opinią. Niestety, mogą jedynie zlecić posterunkowemu, który patroluje Walberswick na rowerze, żeby wstępował do „Różanej altanki” i

sprawdzał, czy panna Lennox jest cała i zdrowa. Obawiam się, że to dość marna ochrona.

— Więc znajdźcie Papę Grimwooda i tego Steve'a! — stwierdziła Monika kategorycznie.

— Szukamy. Na razie nie trafiliśmy na ich ślad. — Wręczył Howardowi wizytówkę. — Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan do mnie zadzwonić, kiedy Newman zjawi się z powrotem.

— Dlaczego nie miałby sam się z panem skontaktować? — zapytał Howard smętnym tonem.

— Byłoby nawet lepiej. — Buchanan wstał. Warden, idąc za przykładem szefa, także podniósł się z krzesła. — Dziękuję panu za współpracę. Może teraz dostrzega pan związek między różnymi sprawami?

— Niezupełnie — odparł Howard. — Dziękuję za wizytę.

— Nie ma za co. Proszę nas nie odprowadzać...

— Nie zapomnijcie, panowie, o przepustkach. W przeciwnym razie nawet wam nie uda się ominąć strażnika — przygadał mu na pożegnanie Howard.

Monika nie mogła się doczekać, kiedy zostaną sami.

— Widzi pan! Nie myliłam się co do dworku Livingstone. Dziewczynę napadnięto w Walberswick. To ten sam rejon. Wcześniej czy później dworek Livingstone będzie znowu głównym miejscem akcji.

— Chciałbym, żeby Tweed wreszcie się odezwał — stwierdził Howard z rozdrażnieniem. — Ciekawe, co on teraz knuje?

Siedząc w pokoju w wieży domu, którego okna wychodziły na park, Hauser wyjmował akta z sejfu w ścianie i upychał je do aktówki. Były to kartoteki różnych czołowych przemysłowców, właścicieli firm w całej Europie, które postanowił wykupić. Sandra Riverton i Evelyn Lennox zebrały dane na ich temat pod pretekstem opracowywania biogramów dla amerykańskiego czasopisma

„Przywódcy Ludzkości”.

Na brzegu kanapy siedziała Iris Reynolds i uważnie go obserwowała.

— Po co kazał pan łonowi Manescu lecieć do Sztokholmu? — zapytała. —

Sądziłam, że pomoże Frankowi Galvone i Zieglerowi przeprowadzić przez sowiecką granicę konwój z materiałami wybuchowymi.

— To specjalista od egzekucji — odpowiedział Hauser.

Na jego polecenie Irina Sierowa nazywała się teraz Iris Reynolds. Ułożyła farbowane, jasne włosy w taki sposób, że okalały jej twarz. Zaczesawszy je na czoło przestała być podobna do kobiety, która odwiedziła Tweeda w hotelu

„Hesperia”. Założyła sukienkę w kwiaty, słomkowy kapelusz z szerokim rondem i buty na płaskim obcasie, w których wydawała się o kilkanaście centymetrów niższa niż przedtem. Wyglądała na typową Angielkę i miała sfalszowany brytyjski paszport.

— Manescu leci rejsowym samolotem na Arlandę — kontynuował Hauser, wsuwając do teczki kolejne akta. — Poproszę o zdjęcia. — Włożył je do twardej koperty, którą wsadził do aktówki. — Brakuje nam teraz tylko fotografii motocyklisty, który udaremnił zasadzkę przy pomoście. Polecę pani ze mną odrzutowcem. Kiedy dotrzemy na miejsce, pomoże pani sporządzić portret pamięciowy Tweeda. Jak widać, mamy zdjęcia człowieka, który stał obok pani na pomoście. Sfotografowaliśmy drania z jachtu za pomocą teleobiektywu. Mogą być jeszcze inni, ale wrócą tu, próbując nas zlokalizować.

Po długim okresie próbnym zaczął darzyć Irinę pełnym zaufaniem. Pierwszy raz miała okazję rozmawiać z nim twarzą w twarz. Podziwiała jego energię.

— Jednego nie rozumiem — powiedziała ostrożnie. — Dlaczego nie wysłał mnie pan jeszcze do Rosji, żebyśmy pokierowała operacją „Ural”?

— Dzwoniła pani do swoich agentów w Monachium, do Ruchu Wolnej Ukrainy. Ma pani ludzi w Polsce i Czechosłowacji. Wszyscy oni przejdą przez granicę do Rosji, wiedzą, gdzie odebrać materiały wybuchowe i jakie cele atakować. — Przerwał na chwilę, mierząc ją lodowatym wzrokiem. — Mam nadzieję, że to prawda?

— Wszystko załatwiłam.

— OK, może więc później poleci pani z nami do Stambułu i prześliznie się przez turecką granicę, żeby organizować kolejne akcje.

— Jeszcze jedno — ośmieliła się dodać. — Sądzi pan, że ta efektowna dziewczyna, za którą mnie wymieniliście, zostanie tutaj?

Hauser uśmiechnął się cynicznie.

— Wyobraża pani sobie, że Tweed miałby czelność posyłać ją moim tropem?

Wziąwszy pod uwagę, iloma jej zdjęciami dysponujemy?

Czekając na odlot leara z lotniska w Helsinkach Adam Carver ponownie spojrzął

na zegarek. Kiedy ta cholerna maszyna wystartuje? Byli spóźnieni o kilka godzin. Łyknął jeszcze trochę wody mineralnej. Samolot miał klimatyzację, ale upał zdawał się przenikać do jego wnętrza.

Do odrzutowca podjechała nieduża, kryta brezentową plandeką ciężarówka.

Carver zmarszczył brwi. Wszystkie szafki dawno już załadowano. Co to mogło być? Ciężarówka podjechała bliżej, zatoczyła półkole i cofnęła się w kierunku schodków. Carver przyglądał się z niedowierzaniem. Z tyłu wozu podniesiono plandekę, wysiadły stamtąd dwie osoby i weszły do samolotu.

Hauser miał na sobie czapkę z daszkiem, jaką nosili dawniej niemieccy studenci, brytyjską sportową marynarkę w drobną kratę, wymięte szare spodnie i ciemne okulary. Ulokował towarzyszącą mu, nieznaną dziewczynę z przodu samolotu, po czym siadł na fotelu obok Carvera.

Wciągnięto schodki i zamknięto drzwi. Silniki odrzutowca huczały, nabierając mocy. Hauser kurczowo trzymał na kolanach pękatą teczkę. Zawierała informacje wystarczające do szantażowania ponad trzydziestu przemysłowców oraz kopie wcześniejszych raportów Sandry Riverton i Evelyn Lennox. Dane na temat przejętych już firm, szczegóły dotyczące zastosowanych metod. Była to teczka z dynamitem.

— Jest już popołudnie, czekam na start w nieskończoność — zaprotestował

Carver. — Nie miałem pojęcia, że leci pan ze mną.

— OK, teraz wiesz.

Hauser uśmiechnął się w duchu. Bezpieczniej jest trzymać wszystkich w niepewności. Najlepiej nie informować nawet najbliższych współpracowników o swych zamierzeniach.

— Domyślam się, że lecimy na lotnisko Bromma? — zapytał Carver, gdy odrzutowiec ruszył po pasie startowym.

— Właśnie tam zmierzamy — potwierdził Hauser.

Odwrócił się, aby ukryć szyderczy uśmiech. No cóż, przynajmniej za kilka minut wylądują na lotnisku Bromma. Udało mu się przechytryć tego drania Tweeda.

— Możemy wreszcie zadać Hauserowi kilka pytań, przesłuchać go — oznajmił z satysfakcją Mauno Sarin, zwracając się do Karmy.

Uzyskana od policji drogowej informacja o wraku brązowego buicka pod hotelem „Kalastajatorppa” dostarczyła Finowi okazji, na którą czekał.

Poleciwszy policjantom, żeby nie ruszali wozu, popędził z Karmą na miejsce „wypadku”.

— Z pewnością byli jacyś świadkowie — stwierdził, gdy oglądali pojazd, którego maska zgięła się w harmonijkę przy zderzeniu z granitowym głazem.

— Nikt się nie zgłosił — oznajmił Karma, który był na miejscu wcześniej. — W

głównej restauracji po drugiej stronie ulicy goście bawili się na dansingu. Pod fotelem obok kierowcy znalazłem to. Było przyklejone od spodu taśmą.

Luger. Z kompletem naboji. W Finlandii nie podróżuje się z bronią. Karma skorzystał z telefonu w hotelu, żeby sprawdzić numer rejestracyjny z nie uszkodzonej, tylnej tablicy. Buick należał do korporacji INCUBUS. Sarin nie tracił czasu.

— Niech mnie pan zawiezie do ich centrali. Szybko...

Dotarłszy do wysokiego, okrągłego budynku stwierdzili ze zdziwieniem, że automatyczne drzwi są otwarte i nigdzie nie widać strażnika. Nie było nikogo z personelu. Nikt nie obsługiwał centrali telefonicznej.

Sarin wsiadł do windy i wcisnął guzik najwyższego piętra. Kiedy wyszli z kabiny na korytarz, zaskoczyła go panująca wokół cisza. Wyciągając swe długie nogi niemal pobiegł do gabinetu Hausera. Otworzył drzwi i wszedł do środka. Był

zdzumiony tym, co zobaczył.

Biurko i fotele znajdowały się nadal na miejscu. Uwagę Sarina przyciągnęły natomiast nie pokryte kurzem, prostokątne ślady pod ścianami na marmurowej posadzce. Oznaczały miejsca, gdzie stały szafki z aktami. Otworzył kilka szuflad w dużym biurku. Były puste.

— Jeżeli ten telefon działa, niech pan zadzwoni na lotnisko — polecił Kannie.

— Hauser ma samolot typu Lear.

Karma stwierdził, że osobisty telefon Hausera ma nadal połączenie ze światem.

Była to zapewne jego prywatna linia, która omijała centralę. Sarin przeszedł szybko przez pozostałe pokoje i wrócił w momencie, gdy Karma odłożył słuchawkę.

— Ewakuowali biuro — zauważył Sarin.

— A odrzutowy lear wystartował po południu. Czekał całą noc i całe rano.

— Dokąd poleciał?

— Miał wziąć kurs na lotnisko Bromma w Sztokholmie.

— A więc Hauser uciekł. Ciekawe dlaczego? Nie będę ukrywał, że powiedziałem ministrowi o semteksie, który Marler znalazł podobno w ciężarówce korporacji INCUBUS niedaleko Porvoo i o tej drugiej próbce materiałów wybuchowych z garażu, ukrytego na terenie Instytutu Meteorologii.

— Jak zareagował? — zapytał Karma.

— Odpowiedział początkowo, że weźmie to pod uwagę. Innymi słowy — że nic nie zrobi. Tak przynajmniej sądziłem, ale wczoraj dowiedziałem się, że rząd odmówił przyjęcia trzech milionów dolarów, które Hauser zaoferował na budowę nowego lodolamacza. Był to dla niego sygnał, że powinien mieć się na baczności.

— Może dlatego wyjechał z Finlandii.

— Chyba że istnieje bardziej złowrogi powód. Niech pan zbierze ekipę, która poleci za koło polarne. Mam zamiar przyjrzeć się osobiście temu instytutowi.

— Jest lipiec. Połowa naszych ludzi korzysta z urlopów — ostrzegł Karma. — To trochę potrwa.

— Więc niech będą gotowi do wieczora.

Newman zdenerwował się widząc, że Tweed wynajął fokkera, maszynę o napędzie śmigłowym. Siedzieli obok siebie, startując późnym popołudniem z lotniska w Helsinkach.

— Ten cholerny samolot terkocze jak jakaś maszyna do szycia — stwierdził

Newman.

— Innego nie dało się załatwić — odparł Tweed. — Jest za to na tyle duży, że wszyscy się wygodnie mieścimy razem ze sprzętem.

Marler siedział naprzeciwko i wyglądał przez okno. Jego karabin typu Armalite łatwo było ukryć wśród mnóstwa kamer, reflektorów i puszek z taśmą filmową, należących do rzekomej ekipy. Butler i Nield usadowili się obok siebie z przodu samolotu. Cord Dillon siedział samotnie, a jego pokryta

bruzdami twarz przybrała posępny wyraz, gdy maszyna wzbijała się w niebo, biorąc kurs na północ.

Przed wyjazdem na lotnisko Tweed posprzeczał się z Amerykaninem, kiedy byli sam na sam w pokoju w „Hesperii”. Wytoczył wszystkie argumenty, które przemawiały za tym, że Dillon nie powinien z nimi lecieć.

— Jesteś osobistym przedstawicielem prezydenta Stanów Zjednoczonych...

— ...który wysłał mnie do Europy, żebym zdobył dowody wystarczające do skazania Hausera przez amerykański sąd. Cóż może obciążać go bardziej niż udowodnienie, że przewozi do Związku Sowieckiego materiały wybuchowe?

Posłuchaj mnie, do ciężkiej cholery! Polecę z wami, choćbym nawet musiał

przytknąć ci do pleców tego lugera...

W końcu Tweed ustąpił. Argumenty Dillona były nie do odparcia. Choć niechętnie, ale zgodził się, by Dillon leciał ze wszystkimi.

W miarę jak fokker wznosił się coraz wyżej, pozostawiając Helsinki daleko w tyle, Tweed zaczął rozmyślać z niepokojem o pewnej sprawie. Byli bardzo słabo uzbrojeni. Dillon miał lugera, Marler karabin armalite, Newman smith and wesson. I to było wszystko. Nie, dysponowali czymś jeszcze: Marler dał

Butlerowi mausera i zapasowe magazynki, które odebrał w Instytucie Meteorologii strażnikowi. Jeden karabin, trzy pistolety. Marna grupa uderzeniowa.

Przed wyruszeniem do Sztokholmu Paula chciała im zostawić swojego browninga. Tweed uparł się, żeby go zatrzymała. Skoro już wysyłał ją samą w tak niebezpieczną podróż, powinna przynajmniej być uzbrojona.

Na dwóch wolnych siedzeniach z tyłu maszyny leżało sześć zakupionych u Stockmanna białych płaszczy. Tweed przypomniał sobie, że to znak rozpoznawczy, mający zapewnić bezpieczeństwo członkom fikcyjnej ekipy filmowej. Zaciśnął usta myśląc o tym, co ich czeka na fińskiej granicy. Tuż za nią byli sowieccy komandosi.

Ze względu na obowiązujące przepisy fokker musiał lądować w Oulu, na wybrzeżu Zatoki Botnickiej. Tweed wyglądał przez okno z lewej strony. Ujrzał

niewielkie lądowisko. Nie widać było żadnego miasta, tylko mały budynek portu lotniczego z napisem OULU nad wejściem. Nie dostrzegł innych samolotów.

Butler wrócił z kabiny pilota, przynosząc niepomyślne wieści.

— Pilot twierdzi, że będziemy musieli tu poczekać. Złe warunki meteorologiczne. Nadciąga burza. Może to trochę potrwać.

— Jak długo? — zapytał Tweed.

— Nie mam pojęcia. Aha, dostał poza tym komunikat o stanie pogody z Rovaniemi. Temperatura trzydzieści trzy stopnie Celsjusza.

— Ależ to gorszy upał niż w Helsinkach! — stwierdził z oburzeniem Tweed, zwracając się do Newmana. — Rovaniemi leży przecież na północ od koła polarnego.

— Nikt ci nie powiedział — odparł Newman z rozbawieniem — że za kołem polarnym jest często goręcej?

— Cudownie. A tymczasem utknęliśmy tutaj. Dopóki stoimy, można by właściwie coś zjeść...

Zaledwie to powiedział, rozpętała się burza. Za oknem nieustannie błyskało.

Towarzyszyły temu potężne grzmoty, od których drżał cały samolot. Strugi tropikalnej niemal ulewy uderzały o płytę lotniska, odbijając się od jej powierzchni i zamieniając cały teren w jedną ogromną kałużę. Deszcz smagał

szyby jak bicze wodne.

— Tylko tego nam brakowało — westchnął Tweed.

Butler i Nield zastępowali stewardów, serwując z przenośnych lodówek kanapki z szynką. Tweed, głodny jak wilk, popijał je wodą mineralną. Dillon, trzymając papierowy talerz ze stertą kanapek, wstał z fotela i podszedł do Tweeda.

— Czy to opóźnienie pokrzyżuje nam plany?

— Terenowe pojazdy, buggy, które czekają na nas na lotnisku w Rovaniemi, będą musiały po prostu szybciej się poruszać — oznajmił Tweed.

— Próbowalesz kiedykolwiek coś takiego prowadzić? Zmusić te wehikuły do szybszej jazdy?

Zakończywszy tym optymistycznym akcentem wrócił na swoje miejsce. Nie było sensu kontynuować rozmowy. Dudnienia grzmotów brzmiały tak, jakby ktoś uderzał bez przerwy w gigantyczne cymbały, a lejące się ciągle strugi deszczu przypominały kaskadę wysokiego wodospadu. Kiedy Tweed skończył jeść i spojrzął na zegarek, niebo nadal rozświetlały błyskawice.

— Przypuszczam, że to się kiedyś musi skończyć — zauważył Newman.

Tweed mruknął coś i przymknąwszy oczy szybko zapadł w drzemkę. Obudził go rozruch silników. Wyjrzał przez okno — był jasny letni dzień. Fokker ruszył z miejsca, rozpędził się i wzniósł w powietrze. Zatoczył koło nad lotniskiem.

Tweed widział za oknem rozległą przestrzeń. Na zachodzie, po drugiej stronie morza, majaczyły odległe wybrzeża Szwecji. Samolot wciąż nabierał wysokości, oddalając się od morza i zmierzając

na północny wschód do Rovaniemi.

— Czy wszystko zostało załatwione po twojej myśli? — zapytał Newman. — To będzie niebezpieczna operacja.

— Dyrektorem administracyjnym w Instytucie Meteorologii jest niejaki Palonen. Paula rozmawiała z nim wczoraj długo przez telefon. Dała mu do zrozumienia, że kręcimy dokumentalny film dla telewizji. To zawsze robi wrażenie. Palonen powiedział, że instytut zamknięto niedawno z powodu remontu...

— To sprawa Hausera. Nie chce, żeby ktokolwiek był w pobliżu, kiedy będzie przejeżdżał konwój z materiałami wybuchowymi.

— Właśnie. Paula nie dała za wygraną i zapytała, czy będziemy mogli sfilmować instytut od zewnątrz na tle krajobrazu. Na to Palonen się zgodził. Oczekuje teraz naszej wizyty.

— A gdybyśmy musieli zrobić szybki odwrót? Te *buggy* nie na wiele się zdadzą.

— Dlatego wynajmując samolot załatwiłem też śmigłowiec typu Sikorsky razem z pilotem. Sól. Zabiera osiemnaście osób.

— Czemu nim nie poleciliśmy?

— Bo do wieczora był zarezerwowany. Dostałem jeszcze od nich raketnicę z pomarańczowymi racami. Wziął ją Marler. Gdybyśmy znaleźli się na pustkowiu

— a przypuszczam, że tak będzie — zasygnalizujemy Sól, gdzie ma wylądować, żeby nas zabrać.

— Zdaje się, że pomyślałeś o wszystkim — stwierdził Newman.

— Z wyjątkiem tego, czego nie można przewidzieć. — Tweed patrzył przez okno na błękitną wstęgę rzeki, która wiała się daleko w dole na tle bielejącej w słońcu równiny. — Dzięki Bogu, że nie leci z nami Paula.

Kilka godzin wcześniej Paula siedziała w wynajętym volvo koło lotniska Arlanda.

Wiedząc, że wylądowanie bagażu z samolotu, którym przyleciała z Helsinek, zajmie trochę czasu, bez pośpiechu odebrała wóz od agenta wypożyczalni.

Spoglądała teraz spod runda słomkowego kapelusza na czekającą ciężarówkę z napisem INCUBUS. Wszystkie okna w wozie miała otwarte z powodu prażącego Szwecję upału. W godzinę później zobaczyła toczące się w kierunku ciężarówki wózki, na które załadowano szafki z aktami. Ruchoma platforma z tyłu pojazdu została automatycznie opuszczona do poziomu jezdni.

Pół godziny później ciężarówka sunęła autostradą wśród pól w kierunku Sztokholmu. Paula starała się utrzymać stały dystans. Z lotniska Arlanda jechało się do centrum dobre trzy kwadransy.

Autostrada przypominała jej dojazd do Helsinek z fińskiego lotniska. Ciągnęła się w oddali między wapiennymi skałami. Dojechawszy do przedmieść szwedzkiej metropolii Paula zmniejszyła dystans, dzielący ją od ciężarówki.

Sveavägen. Przy końcu szerokiej arterii znajdował się Sergels Torg. Kilkaset metrów od tego osławionego placu, na którym Newman kupował przed wyjazdem broń, wznosił się po prawej stronie, tuż za miejscem, gdzie Paula zaparkowała, Mały Manhattan. Pięć dziewiętnastopiętrowych bloków z białego kamienia. Najwyższe biurowce Sztokholmu.

Paula obserwowała, jak szafki z aktami transportowane są do jednego z wieżowców. Nad wejściem widniał napis INCUBUS. Siedziała za kierownicą, jakby czekała na swego chłopaka. Wyglądało to przekonująco, gdyż podchodzili do niej jeden po drugim młodzi Szwedzi, wdając się w pogawędkę.

Kiedy podniesiono ruchomą platformę i ciężarówka odjechała, Paula zaczęła się niepokoić. Wyładunek został zakończony. Skoro te szafki były takie ważne, dlaczego nie wysłano z nimi kogoś z zarządu?

„Coś przeoczyłam — myślała intensywnie — ale co?”

I wtedy przypomniała sobie Brommę, niewielkie lotnisko po drugiej stronie miasta. Newman zabrał ją tam, kiedy przejeżdżali przez Sztokholm w drodze do Finlandii. Paula miała pamięć do pokonywanych tras. Przejechała przez miasto i skierowała się autostradą na lotnisko Bromma.

Wydawało się ono równie ciche i wymarłe jak wtedy, gdy ostatnio je odwiedziła.

Zaparkowawszy volvo weszła do środka i mijając opustoszały hall zbliżyła się do okna, z którego widać było pasy startowe. Na chwilę zamarła w bezruchu. Nie mogła uwierzyć w swe szczęście.

— Strzał w dziesiątkę! — powiedziała do siebie.

Wyjęła niewielką lornetkę, którą zawsze nosiła w torebce, i nastawiła ostrość.

Odrzutowy lear stał niemal w tym samym miejscu co poprzednio. A na jego kadłubie widniał napis INCUBUS.

Paula odsunęła się nieco od okna i czekała z lornetką przy oczach. Drzwi samolotu były otwarte, a schodki opuszczone na ziemię. Pięć minut później zobaczyła schodzącego ciężko po stopniach mężczyznę. Był mocno zbudowany, miał na sobie czapkę z daszkiem, brytyjską sportową marynarkę, szare spodnie i ciemne okulary. Paula rozpoznała go dopiero w chwilę potem, bardziej po ruchach niż po ubiorze.

— Dobry Boże! Hauser! — szepnęła, wstrzymując oddech.

Hauser rozprostowywał ramiona, chodząc tam i z powrotem, kiedy pojawił się drugi mężczyzna, szczuplejszy. Zbiegł po schodkach i zaczął

przechadzać się powoli razem z Hauserem. Paula rozpoznała go bez trudu.

Ściągnęła usta.

— Pan Casanova we własnej osobie. Adam Carver.

Opuściła lornetkę i wsunęła ją z powrotem do torebki. Było oczywiste, że nie czekali na samochód, który zabrałby ich do Sztokholmu. Marler powiedział Pauli wystarczająco dużo na temat drobiazgowej dbałości Hausera o sprawną organizację i planowanie, aby

zdawała sobie sprawę, że limuzyna powinna być na miejscu przed wylądowaniem samolotu. Otarłszy chusteczką pot z czoła przygotowała się na dalsze czekanie.

— Skoro wspomniał pan o lotnisku Bromma, myślałem, że przenosimy się do centrali w Sztokholmie — stwierdził Carver, idąc wolnym krokiem obok szefa. —

Co mamy dalej w programie?

— Wysłanie tu rejsowym samolotem szafek z aktami było zwykłą formalnością.

Tweed nieźle sobie radzi ze zdobywaniem informacji. Pewnie na tym polega jego praca. Kiedy więc pan Tweed ocknie się w końcu, że nie ma nas już w Finlandii, będzie myślał, iż odlecieliśmy do Sztokholmu. Niech marnuje własny czas zamiast mojego.

— A co robimy dalej, jeśli to nie tajemnica państwowa? Dokąd lecimy?

— Do takiego miejsca, chłopcze, o którym Tweed nic nie wie. Pora wsiadać do samolotu. Pilot sprawdził już chyba to mrugające światełko.

Wciągnął z powrotem po schodkach swe potężne cielsko i wszedłszy do kabiny zagłębił się w fotelu. Boże, co za cholerny upał!

— A więc niech to będzie wyprawa w nieznane — powiedział z rozdrażnieniem Carver, siadając obok niego.

— Göteborg, chłopcze. Tam właśnie lecimy. Do Göteborga, na zachodnim wybrzeżu Szwecji. — Pilotowi, który pojawił się w drzwiach swojej kabiny, dał

ręką znak do odlotu. — Niech wreszcie ta kupa złomu wzniesie się w powietrze —

mruknął.

Paula obserwowała start odrzutowca z budynku lotniska. Zaczekała, żeby zobaczyć, w którym kierunku poleci. Na zachód.

Będąc już przy wyjściu usłyszała odgłos podnoszonych żaluzji. Odwróciwszy się zobaczyła, że otwarto właśnie recepcję. Jasnowłosey, przystojny mężczyzna po trzydziestce porządkował jakieś papiery. Paula przeszła szybko przez hall, jakby dopiero przyjechała.

— Czy samolot pana Hausera jest jeszcze na ziemi? Odrzutowy lear korporacji INCUBUS.

— Właśnie wystartował. Spóźniła się pani o kilka minut.

— O Boże! W moim samochodzie zostały ważne dokumenty, które pan Hauser powinien mieć przy sobie. Jestem Peggy Vanderheld, jego sekretarka. Będę musiała za nim polecieć. Wścieknie się, kiedy stwierdzi, że nie ma tej teczki przy sobie. Najgorsze, że spóźniłam się do biura na Sveavägen, więc nie wiem, dokąd się wybierał.

— Nie powinienem ujawniać harmonogramu lotu, droga pani. —

Przyglądał się jej z wyraźnym zainteresowaniem. — Wraca pani do Sztokholmu?

Może któregoś wieczoru umówimy się na drinka?

— No, cóż... — Obdarzyła go uwodzicielskim uśmiechem. — Przyjechałam niedawno z Anglii. Nie mam wielu przyjaciół, więc niewykluczone. Najpierw jednak muszę złapać Hausera.

— Niczego pani nie powiedziałem. — Pochylił się nad kontuarem, patrząc jej z bliska w twarz. — Göteborg.

W Laponii, za kołem podbiegunowym, o północy było zupełnie jasno. Od 16 czerwca do 18 lipca słońce pozostawało przez całą dobę nad linią horyzontu.

Niewiarygodnie jasna i trochę upiorna poświata robiła na Tweedzie niesamowite wrażenie.

Trzy *buggy* o wielkich kołach pędziły przez pustkowie. Szef firmy z Rovaniemi, do której zadzwonił Tweed, obiecał dostarczyć maszyny ze wzmocnionymi silnikami. Dotrzymał słowa — trzy wyglądające ociężałe pojazdy kołysały się na boki, gnając po spalonym od słońca zboczu.

Newman wiózł Marlera w pierwszym *buggy*, naciskając z całej siły na gaz.

Tweed był z tyłu, w następnym pojeździe, siedząc obok Butlera, który prowadził z równie karkołomną prędkością. Za nimi jechał Nield w towarzystwie Dillona.

— Wygląda to jak złowieszcze wrzosowisko z „Makbeta”! — wrzasnął Tweed, aby przekrzyczeć ryk silnika.

— To przekłeta, dzika okolica — odpowiedział Butler. — Mam nadzieję, że Newman zmierza we właściwym kierunku.

— Człowiek, od którego wynajęliśmy te *buggy*, dostarczył na moje zamówienie kompas. Marler dysponuje mapą.

— Ciekawe, czy potrafi się nią posługiwać? — zapytał z sarkazmem Butler. Nie bardzo lubił Marlera.

Tweed rozglądał się wokół, gdy jadące w kolumnie trzy *buggy* pędziły naprzód, trzymając się blisko siebie. Jasna poświata jak światło księżycy o wzmocnionej mocy zalewała okolicę przypominającą księżycowy krajobraz. Wystające nad powierzchnię ziemi skały były okryte porostami. Nieliczne skarłowaciałe drzewka wyglądały raczej jak niewielkie, nędzne kępy zarośli. Kompletne pustkowie. Żadnych punktów orientacyjnych. Przed nimi wznosiły się tylko niskie, nagie wzgórza.

— Dlaczego fokker nie podrzucił nas na lądowisko przy instytucie?! — krzyknął

Butler. — Bylibyśmy tam o wiele szybciej.

— Ponieważ nie potrafiłbym przekonać pilota, żeby leciał nie mając kontaktu z wieżą kontrolną w Helsinkach. To mogłoby być niebezpieczne. Tak czy inaczej, łączność całkowicie uniemożliwiały zakłócenia atmosferyczne.

Zamilkł, gdyż pojazd zaczął piąć się na jedno z niewysokich wzgórz. Było tam jeszcze więcej skał i karłowatych drzew. Ziemię pokrywał wyschnięty mech.

Tweed pomyślał, że świat mógłby wyglądać podobnie po wojnie atomowej.

Jadący z przodu Newman wyhamował tuż przed wierzchołkiem wzgórza i wysiadł. Rozglądał się wokół. Butler, a potem Nield, zatrzymali się obok niego.

Gdy wyłączono silniki, Tweed z ulgą stanął na gąbczastej ziemi. Wyprostował zdętwiałe nogi i obolałe ramiona.

— I pomyśleć, że jesteśmy zaledwie czterysta kilometrów na południe od Oceanu Arktycznego. — Otarł pot z czoła.

— Nie najgorzej mi poszło — stwierdził Newman opuszczając lornetkę.

— Daj popatrzeć — powiedział Marler, odbierając mu ją.

— Co tam widać? — zapytał Tweed, obok którego stał Dillon.

— Instytut. Został daleko za nami. Celowo go minąłem. Przyjechaliśmy dużo za wcześnie. Sam zobaczysz, kiedy Marler oderwie się od mojej lornetki. Cel jest dobrze widoczny...

Tweed nie skorzystał z lornetki. Miał wyjątkowo dobry wzrok. Przeszedł z Dillonem, Butlerem i Nieldem parę kroków, które dzieliły ich od szczytu wzgórza, i spojrzął w dół na rozległy krajobraz. Białe budynki kompleksu Instytutu Meteorologii znajdowały się dość daleko, po zachodniej stronie.

Przypomniawszy sobie słowa Newmana, który wróciwszy z poprzedniej eskapady opisywał, że wyglądają jak domki z klocków.

Zelektryzował go widok konwoju dziesięciu ciężarówek, kierujących się drogą na wschód. Wziął od Marlera lornetkę i przyłożył ją do oczu. Każda z ciężarówek miała wypisane z boku cyrylicą słowa „Komunikacja państwowa”. Natrafili na jadący do Związku Sowieckiego konwój korporacji INCUBUS. Tweed zdał sobie sprawę z ilości przewożonych materiałów wybuchowych i ogromu spustoszenia, jakie mogłyby spowodować. Przeraził się. Hauser chciał doprowadzić kraj do stanu totalnego chaosu i zniszczenia, aby mógł potem przybyć jako wybawca. Na określonych przez siebie warunkach.

— Widzisz to wysokie wzgórze? — spytał Marler, patrząc na mapę. — Ma sześćset pięćdziesiąt sześć metrów wysokości. Leży w Rosji.

— Jesteśmy tak blisko?

Tweed był zdumiony. Nie widział żadnych zasieków, żadnych słupów granicznych. Tylko to wysokie wzgórze. Stał w świetle polarnej nocy i patrzył na wzniesienie. Nie powinien przebywać tak blisko granicy. Podobnie jak Dillon.

Howard dostałby apopleksji, gdyby o tym wiedział. Mimo wszystko Tweed odczuwał radosne podniecenie. Po wielu latach znowu brał udział w akcji.

Przypomniały mu się dawne czasy, gdy pracował jako terenowy agent. Nagle zmarszczył brwi. Konwój zatrzymał się. Dlaczego? Czyżby coś im przeszkodziło?

Zlustrował ponownie cały rejon granicy. Nawet z tej wysokości nie zauważył

niczego, co zdradzałoby obecność sowieckich komandosów. Dostrzegł przez lornetkę nie obsadzoną wieżę strażniczą. Widział wewnątrz budki, wspartej na przypominających szczudła słupach. Była pusta.

— Coś tu nie gra — stwierdził posepnie Newman. — Konwój jest ciągle na terenie Finlandii i wygląda to tak, jakby dalej się nie wybierał.

— Może powinniśmy ich zachęcić do dalszej jazdy — zasugerował Dillon, wyciągając lugera.

— Zakładając, że ktoś na nich czeka — odparł Tweed.

Zastanawiał się z niepokojem, czy Angel zdołał wykonać swoje zadanie. Może granica faktycznie stała otworem przed ciężarówkami, które wjadą do Rosji i rozpierzchną się w różnych kierunkach?

— Pora, żebyśmy popędzili trochę ten konwój. — Marler nie miał takich wątpliwości. — Kierowcy nie będą się długo zastanawiać, kiedy koło kabin przeleci im parę kul. Proponuję, Tweed, żebyś usiadł za kierownicą. Niech Butler użyje mausera. Nielid może prowadzić dalej, Dillon ma swojego lugera.

— A co z nami? — zapytał ostro Newman. — Mam smith and wessona. Może zapomniałeś.

— Niczego nie zapominam, stary — odparł Marler — ale ja mam armalite, karabin. Zostaniesz za kierownicą.

— Ruszajmy — rozkazał Tweed. — Kiedy dogonimy konwój, pierwsze dwa pojazdy podjadą z prawej strony. Nielid trzyma się lewej. Weźmiemy ich w krzyżowy ogień, wywołamy panikę...

Tweed usadowił się za kierownicą, a Butler wskoczył na fotel dla pasażera. Gdy Tweed włączył silnik i ruszył z miejsca, pojazd Newmana już pędził, kołysząc się i ślizgając, po stromym, wschodnim zboczu. Nie natrafili dotąd na tak trudny teren. Zbocze było usłane głazami. Tweed omijał wiele z nich, jadąc zygzakiem, ale nie zawsze mu się to udawało. Tylko dzięki ogromnym kołom *buggy* mógł

sprostać takim warunkom. Tweed musiał często wycierać spoconą rękę o biały płaszcz. Całe ciało spływało mu potem. Był to efekt wysiłku wkładanego w prowadzenie pojazdu, arktycznego upału, a nade wszystko faktu, że biały płaszcz przypominał te, które noszą chirurdzy. Był za gruby.

Konwój wciąż stał w miejscu. Zbliżali się do niego od tyłu, docierając do podnóża karkołomnego zbocza. „Przy odrobinie szczęścia nie zobaczą nas — pomyślał

Tweed — dopóki nie spadniemy im na kark”. Działając przez zaskoczenie mogli spowodować jeszcze większą panikę.

— Tylko, na litość boską, celujcie tak, żeby nie trafić — ostrzegł Tweed. —

Kierowcy mają przeżyć, żeby poprowadzić te ciężarówki na wschód.

— Zrozumiałem! — krzyknął Butler w odpowiedzi.

Wydobył mausera. Sprawdził broń jedną ręką, drugą trzymając się drążka.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że gdyby go puścił, zostałby wyrzucony z pojazdu, który kołysał się i trząsał jak statek podczas sztormu.

Pojazd Newmana zwalniał. Tweed także zmniejszył szybkość, bo domyślił się, że chodzi o to, by wyciszyć ryk silnika, gdyż byli już blisko końca konwoju.

Nadal widział przed sobą rozległy krajobraz, choć z o wiele niżej położonej części długiego zbocza. Był zaskoczony, jak blisko dotarli do wysokiego na sześćset pięćdziesiąt sześć metrów wzgórza. Wzniesienie znajdowało się na obszarze Rosji. Zdał sobie sprawę, że pierwsza ciężarówka w konwoju stoi tuż przy granicy.

Miał dobry widok na drogę, która — najwyraźniej bez żadnych przeszkód —

wiodła przez granicę, widział też ziemie leżące na terenie Rosji. Niewysokie, pokryte zaroślami wzgórza, głębokie, skaliste wąwozy i wąskie rozpadliny po obu stronach drogi. Nadal ani żywej duszy, ani śladu komandosów Rebeta. Tweed zaczął się znów zastanawiać, czy Angel nie wykiwał swoich ziomków, a nawet Rebeta?

— Za minutę zacznę strzelać — oznajmił Butler.

— Dopiero gdy będziemy obok pierwszej ciężarówki. I nie celuj w bak. Chcemy, żeby te wozy pojechały dalej — przestrzegł Tweed.

— Znam się na swojej robocie — zaprotestował niezbyt energicznie Butler. —

Właśnie takie miałem plany.

Jadący w trzecim *buggy* Dillon był podobnie jak Tweed przerażony bliskością granicy, a zarazem uradowany perspektywą wzięcia znowu czynnego udziału w akcji. Wolał to niż siedzenie za biurkiem w Langley w stanie Virginia i wysyłanie kolejnych nieszczęśników na linię ognia.

Tweed zobaczył w bocznym lusterku, jak Nield odbija w lewo, aby okrążyć konwój z drugiej strony, i spojrzął na zegarek. Pomyślał

o śmigłowcu, który miał po nich przylecieć. Zanosilo się na cholernie gorące chwile. Marler może mieć pełne ręce roboty, kiedy będzie musiał dać pilotowi sygnał raketnicą.

Newman nacisnął na gaz i popędził naprzód, mijając dziewięć ciężarówek w konwoju. Tweed spostrzegł, że Marler unosi karabin

i szykuje się do pierwszego strzału. Przyspieszył. Butler, trzymając się jedną ręką drążka, oparł na nim rękę z mauserem. Lufa podskakiwała w górę i w dół.

Do cholery, czy można było mieć nadzieję, że wystrzelił we właściwym kierunku?

Zrównawszy się z kabiną pierwszej ciężarówki Newman nadepnął na hamulec i pokręcił kierownicą. Jego pojazd obrócił się ślizgiem o sto osiemdziesiąt stopni i stanął. Marler miał teraz przed sobą dwóch siedzących w kabinie mężczyzn, którzy pochyliłi się błyskawicznie, gdy wycelował karabin w ich kierunku. Strzelił, mierząc wyżej i w bok. Szkło z roztrzaskanej przedniej szyby posypało się na maskę. Newman przejechał powoli z powrotem wzdłuż konwoju, ustępując drogi Tweedowi, Marler zaś strzelał nadal z karabinu nad kabinami ciężarówek.

Nield dotarł z przeciwnej strony do pierwszego pojazdu kolumny w chwili, gdy jego kierowca włączył silnik. Dillon oddał pojedynczy strzał z lugera, celując nad głowami dwóch siedzących w kabinie mężczyzn. Z powodu upału szyby w oknach były z obu stron opuszczone. Nield pomknął dalej, zjeżdżając na drogę, aby zawrócić. W tym momencie zablokował mu się silnik. Pierwsza ciężarówka nabierała szybkości. Zbliżała się z łoskotem, lada chwila uderzyłaby w *buggy*.

Nield dwukrotnie próbował uruchomić silnik. Udało mu się dopiero za trzecim razem. Zjechał z drogi, rozmiijając się o centymetry z rozpędzoną ciężarówką.

Dillon oddał jeszcze jeden strzał.

W pojeździe Tweeda strzelał z mausera Butler, celując w maski ciężarówek.

Wszystkie miały już włączone silniki i cały konwój ruszył naprzód. Tweed zauważył nagle, że *buggy* Newmana zmierza prosto w kierunku granicy, do podnóża wysokiego na sześćset pięćdziesiąt sześć metrów wzniesienia.

— Do diabła, co ten idiota wyprawia? — wybuchnął.

— Na tym wzgórzu ktoś stoi — odparł lakonicznie Butler. — A z konwoju nikt do nas nie strzela. Tego się nie spodziewałem...

— Ci ludzie w ciężarówkach najpewniej nie są uzbrojeni. To prawdopodobnie dezercerzy z KGB, którzy wymknęli się z Rosji tuż po przejęciu władzy przez nowego prezydenta. Teraz wracają jako wyszkoleni sabotażyści. Nie mają więc broni — na wypadek, gdyby ich potem zatrzymano i skontrolowano. Kto jest na tym wzgórzu?

— Odjedź jeszcze dalej od konwoju, to sam zobaczysz. Stoi niezbyt wysoko, przy ogromnej skale i macha białą flagą. Widziałem go przez kilka sekund, kiedy skręcałeś...

Tweed zjechał z drogi, po czym zatrzymał pojazd i nie wyłączając silnika wstał, aby mieć lepszy widok. Ostatnia ciężarówka konwoju przekraczała granicę Rosji.

Na wysokości około trzydziestu metrów stał na zboczu wzgórza człowiek z białą flagą. Opuścił ją i Tweed zrozumiał wreszcie, na co czekał konwój.

Kierowcy wypatrywali sygnału wolnej drogi. Marler podbiegł do podnóża wzniesienia i zaczął się wspinać, trzymając w lewej ręce karabin. Butler zobaczył, że Tweed pochyła się naprzód i uważnie coś obserwuje.

— Co się stało? — zapytał Butler.

Z jednego ze skalistych wąwozów w pobliżu ostatniej ciężarówki zaczęła wyłaniać się grupa ludzi. Byli to żołnierze w panterkach. Sowieccy komandosi.

Stojący na wzgórzu mężczyzna spojrział w dół i błyskawicznie się wyprostował, trzymając w rękach maszynowy pistolet. Wymierzył go w żołnierzy, którzy znajdowali się tuż pod nim. Zanosilo się na masakrę.

Mężczyzna był masywnej budowy i jego sylwetka wyglądała okazale nawet ze znacznej odległości. Miał gęstą grzywę czarnych włosów i czarną brodę. Był to Wiktor Kazbek, Gruzin, minister łączności. Uniósł lufę pistoletu maszynowego, przyciskając go do potężnego ramienia.

Zagrzmiał pojedynczy strzał. Rozległ się donośnym echem w ciszy, która ogarnęła nagle Laponię, gdy zamarły odgłosy silników ciężarówek. Silniki trzech

buggy były wyłączone. Kazbek zachwiał się sekundę przedtem, nim zdążył

nacisnąć spust, by posłać śmiertcionośną serię w dół, na nie przeczuwających niczego żołnierzy. Znieruchomiał, jakby zamierzał cofnąć się od skraju przepaści, i runął z pionowego zbocza, padając w dół na skalny występ. Marler opuścił karabin, zbiegł ze wzgórza i wskoczył do *buggy*, w którym czekał

Newman.

Butler obejrzał się. Za ich plecami rozciągało się terytorium Finlandii.

Obserwował przez chwilę, po czym chwycił za ramię Tweeda, by spojrzeć w tym samym kierunku. W oddali na drodze zatrzymał się pojazd bardzo podobny do land rovera. Było w nim dwóch ludzi. Jeden stał, przykładając do oczu przedmiot, od którego jaskrawymi błyskami odbijało się światło. Lornetka.

Gdy Tweed się temu przyglądał, podjechał do niego Newman z Marlerem u boku. Zatrzymawszy swoją maszynę wskazał na land rovera.

Tweed na pozór obojętnie skinął głową.

— To mogą być ludzie Hausera — stwierdził Newman. — Sprawdzają, jak przebiegła operacja.

— Niewątpliwie.

W tym momencie mężczyzna w land roverze opuścił lornetkę i usiadł. Pojazd zawrócił w miejscu i nabrawszy szybkości popędził z powrotem na zachód, w kierunku Instytutu Meteorologii. Nad

spaloną słońcem drogą uniosła się chmura kurzu.

— Gońmy ich! — krzyczał Newman.

— Nie.

— Przecież doniosą Hauserowi, że operacja się nie powiodła.

— Na to właśnie liczę — odparł enigmatycznie Tweed, po czym odwrócił się twarzą na wschód. — Zdaje się, że widzę kogoś znajomego. Zaczekajcie tutaj. —

Spojrzał na Marlera. — Gratuluję celnego oka. Strzeliłeś w samą porę — dodał, wyskakując z pojazdu.

— Lepiej pójdę z tobą — stwierdził Newman.

— Nie, na to spotkanie muszę iść sam..

Generał Rebet skinął na Tweeda, nie przekraczając linii granicy. Był w pełnym umundurowaniu. „Musi pocić się jak szara mysz” — pomyślał Tweed.

— A więc to był Kazbek. — Rebet wyciągnął rękę na powitanie. — Wiedział pan o tym już w Leningradzie. Jak pan go rozpoznał?

— To bardzo proste — odpowiedział Tweed. — Tak oczywiste, że umknęło pańskiej uwagi. Na spotkaniu przed bankietem Hauser rozmawiał ze wszystkimi trzema — z Dikojanem, marszałkiem Zaj-kowem i Kazbkiem. Z dwoma pierwszymi spotkał się na środku sali, w otoczeniu wielu osób. Chcąc porozmawiać z Kazbkiem usunął się na bok. Potężny Gruzin objął go ramionami na powitanie. Niewątpliwie Hauser przekazał coś swojemu Angelowi. Pieniądze? Szczegóły operacji na terenie Rosji? Zapewne nigdy się nie dowiemy. Wydał mi się także istotny fakt, że Kazbek był ministrem łączności.

— Dlaczego, jeśli mogę spytać?

— Może pan. Najskuteczniejszym sposobem pogrążenia Związku Sowieckiego w chaosie jest przerwanie łączności. Wyłączenie telefonów, zamknięcie stacji radiowych, a przede wszystkim unieruchomienie pociągów, które mają u was tak duże znaczenie. Dlatego pierwsza eksplozja nastąpiła na kolei transsyberyjskiej.

— Jestem panu bardzo wdzięczny, Tweed. Sprawdzamy ciężarówki. Wszystkie otwarte dotychczas kontenery zawierają materiały wybuchowe. Ten konwój wiózł ich tyle, że wystarczyłoby do wysadzenia w powietrze połowy Rosji.

— Proszę nie zapominać, że część zdołano już zapewne prze-szmugłować.

Będziecie mieli trochę kłopotów. Czy Hauser podpisał jakieś umowy handlowe z Moskwą?

— Tak. Na tajnym spotkaniu w Turku. Otwiera banki i sieć supermarketów.

— Zamknijcie je. Nie wchodźcie z nim w żadne układy. Muszę już pana opuścić.

Tweed usłyszał warkot silnika nadlatującego śmigłowca. Zobaczył przez ramię, jak Marler strzela z raketnicy i ujrzał błysk pomarańczowej racy. S61 lądował w pobliżu miejsca, gdzie stały trzy *buggy*.

— Proszę ode mnie serdecznie podziękować pańskiemu snajperowi — dodał

pospiesznie Rebet. — Ocalił całą jednostkę spadochroniarzy. Kazbek by ich wystrzelał co do jednego. Oczywiście, za granicą mieliśmy zapasowe siły. No'i witamy w Związku Sowieckim. Stoi pan jedną nogą na naszej ziemi!

Tweed cofnął prawą stopę, podał Rebetowi rękę i pobiegł do miejsca, gdzie wylądował sikorski. Wirniki obracały się coraz wolniej, aż znieruchomiały.

Tweed zauważył, że wielką maszynę pilotowało dwóch ludzi. Nadszedł Marler.

— Może cię zainteresuje, że obserwowałem przez lornetkę tego land rovera.

Facet, który stał, to był Frank Galvone.

— Prawdopodobnie on kierował całą operacją. A teraz doniesie Hauserowi, że zakończyła się fiaskiem. Wszystko przebiega zgodnie z moimi oczekiwaniami.

— Niby dlaczego? — zdziwił się Newman.

— To porwanie dało mi do myślenia, a ściślej biorąc fakt, że tak łatwo zgodzili się uwolnić Paulę. Domyśliłem się, że szykują coś na dużą skalę. Moja strategia polegała na tym, żeby wykurzyć Hausera z Finlandii. Żadnych więcej pytań.

Wsiadamy do śmigłowca...

W obszernej kabinie, mieszczącej osiemnaście osób, było im luźno. Marler siedział obok Tweeda, który przez okno obserwował, jak sikorski startuje i zaczyna oddalać się od granicy. Pożyczył od Marlera lornetkę. Cieszył się, że jest wreszcie na pokładzie śmigłowca, z dala od dudniącego łoskotu i wibracji małych

buggy.

— Na co patrzysz? — zapytał Marler.

— Odlecieliśmy w samą porę. Do tych **buggy**, które zostawiliśmy na ziemi, podjeżdżają następne. Widzę na przedzie Mauno Sarina. Zaoszczędziłem mu mnóstwa problemów.

— Jak to?

— Finlandia szczyci się swoją neutralnością. Gdyby odkryto duży ładunek materiałów wybuchowych, przesmuglowany z taką łatwością w głąb lądu przez wielokilometrowe fińskie wybrzeże, ich stosunki z Rosją by się zaostrzyły. A po drugiej stronie Bałtyku jest już i tak aż nadto niespokojnie, by jeszcze wciągać w to piekło Finlandię.

— Co dalej? Newman siedzi zupełnie sam. Dlaczego?

— Zastanawia się, kto zamordował Sandy. A ja myślę, jak zniszczyć Hausera.

Może te dwie sprawy się łączą...

Część trzecia

W WIRZE PRZEMOCY

— Adamie, dowiedziałem się właśnie, że ten kretyn Steve spieprzył sprawę z Evelyn Lennox. — Hauser zacisnął muskularną dłoń i machnął nią w powietrzu, jakby wymierzał Steve'owi cios. — Donoszą mi z centrali w Norwich, że napadł

na dziewczynę w jej domu w Walberswick i poturbował ją, ale dała sobie z nim radę. Teraz Steve musi się ukrywać. Ściga go policja.

— Nieprzyjemna historia — stwierdził Carver.

Siedzieli w mającym kształt litery L salonie domu Hausera, osadzonego na niewielkiej skale nad Skalhamn — czyli Zatoką Muszli — w zachodnim archipelagu Szwecji. Przylecieli learem do Göteborga, skąd czekająca limuzyna zabrała ich na północ. Towarzyszyła im ciężarówka, wioząca tajne akta.

Pogoda raptownie się zmieniła. Przez wielkie okno na końcu pokoju widać było Skagerrak i Morze Północne. Rozpętała się burza. Wysokie na dziesięć metrów fale nadciągały całą armią, rozbijając się o skały pod domem i zbryzgując szerokie okno brunatną pianą.

— Imponujący widok, prawda, Adamie?

Trzymając w ręce kieliszek bourbona Hauser przeszedł przez pokój, aby spojrzeć z bliska na wzburzone morze. Zakotwiczony z dala od brzegu ogromny biały jacht „Waszyngton IV” kołysał się na grzbietach potężnych fal. Okno obiegało salon i ciągnęło się dalej wzdłuż południowej ściany. Hauser spojrział w dół, ale wystająca skała przesłaniała mu widok na niewielką zatokę Skalhamn, gdzie cumowała nie narażona na sztorm motorówka.

— Evelyn Lennox — ciągnął dalej. — Adamie, myślę, że powinieneś znów ją odwiedzić, przekonać, żeby podpisała kontrakt, co rozwiąże cały problem. Ona stanowi wyłom w naszym systemie obrony.

— Zdaje się, że mieliśmy płynąć do Harwich. Nie ruszymy, dopóki nie ustanie sztorm. Chce pan, żebym poleciał samolotem z Göteborga?

— Prognoza przewiduje możliwość przesuwania się burzy. Zaczekamy dzień albo dwa... Któż to może dzwonić, do diabła?

Hauser wstał, by odebrać telefon. Adam wygładził kant spodni i wysunął z rękawów marynarki mankiety koszuli, pokazując złote spinki, po czym spojrział

na Amerykanina. Hauser patrzył chłodnym wzrokiem zza okularów. Miał

zaciśnięte usta i odpowiadał monosylabami.

— OK, Frank... Nie... Nie... OK — zakończył. — Rusz tyłek i przyleć tu, do Skalhamn. Na litość boską, to mój dom na północ od Göteborga! Wsiadaj w pierwszy samolot. Prześpij się na lotnisku,

jeśli będziesz musiał. Zjaw się natychmiast...

Rzucił słuchawkę, dopił bourbona i ponownie napełnił kieliszek. Carver milczał, gdy jego szef przechadzał się tam i z powrotem po długim salonie z posępnym wyrazem twarzy, stawiając ciężko wielkie stopy na puszystym dywanie. W końcu opadł na fotel.

— Operacja „Ural” nie wypaliła.

— Co to takiego?

— Nie twój interes. Frank twierdzi, że to sprawka Tweeda. Niech to cholera!

Nie mam pojęcia, jak się o wszystkim dowiedział, ale wiem, że będziemy musieli coś zrobić, żeby tego faceta zastraszyć.

— Jak to zrobimy?

— Sami nie będziemy się angażować. To zajęcie dla Franka. Gdy tylko przywlecze swoje ścierwo do tego domu, płyniemy do Harwich.

— Sztorm może się szybko nie skończyć. Niech pan wyjrzy za okno.

— Wyglądałem. Do tego czasu przejdzie.

Hauser powiedział to tak, jakby mógł rozkazywać falom. Wysunął szczękę, intensywnie myśląc. Kiedy odstawiał kieliszek, był już zdecydowany.

— Stanowczo popłyniemy do Harwich. Potem pojedziemy samochodem do dworku Livingstone. Ten stary wiejski dom w Anglii to moje najnowocześniejsze na świecie centrum łączności. Tweed nigdy się nie domyśli, że wróciłem na jego własne podwórko. — Machnął cygarniczką. — Co równie istotne, wszelkie wiadomości można wysyłać za pomocą maszyn szyfrujących. Nie ma na świecie deszyfratora, który złamałby ten kod.

— Zdaje się, że myśli pan nieustannie o Tweedzie — ośmielił się zauważyć Carver.

— Nie, do diabła! To tylko kolejny przeciwnik, którego trzeba przechytrzyć i wymanewrować.

Hauser oparł swój wielki zadek o poręcz fotela i uśmiechnął się. Zmusił się do tego. Carver poruszył drażliwy temat. Hauser doświadczał czegoś, z czym nigdy dotąd się nie zetknął. Tweed stawał się jego obsesją. Nie przyznałby się nikomu, że to właśnie Tweed wykurzył go z Finlandii i zmusił, by uciekał jak zbieg na zachód. Cóż, dworek Livingstone to jedyne miejsce, w którym Tweedowi nie przyjdzie do głowy go szukać. Zresztą do Skalhamn też drań nigdy nie dotrze.

— Na razie nie będą przenosić tych szafek z aktami na pokład „Waszyngtona IV” — powiedziała Paula do Lindy. — Dopóki nie zmieni się pogoda...

Obie dziewczyny siedziały skulone obok siebie w rozpadlinie skały nad Zatoką Muszli. Obie ubrane

były w żółte nieprzemakalne peleryny z naciągniętymi na głowy kapturami, które jak dotąd nieźle chroniły od zacinającego deszczu.

Zwrócona w stronę lądu skalna ściana stanowiła dodatkową osłonę przed żywiołem.

Paula pospiesznie odbyła długą drogę od chwili, gdy zobaczyła leara startującego z lotniska Bromma. Pojechawszy z powrotem na Arlandę oddała volvo, kupiła bilet do Göteborga i poleciała do tego drugiego co do wielkości miasta Szwecji i portu na zachodnim wybrzeżu. Nie mogła uwierzyć w swoje szczęście, gdy z podchodzącego do lądowania samolotu linii SAS zobaczyła, że na skraju lotniska stoi odrzutowy lear.

Przyjechawszy do Göteborga zamówiła pokój w „Sheratonie”, bardzo nowoczesnym hotelu z przestronnym wnętrzem i apartamentami na kilku kondygnacjach, z których był widok na usytuowany na parterze pawilon restauracji. Kiedy zadzwoniła do jednej z osób, które tworzyły obejmującą całą Europę sieć informatorów i agentów Tweeda, znów dopisało jej szczęście.

Linda Sandberg mieszkała nie opodal hotelu. Paula jeszcze się nie rozpakowała, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Linda od razu wzbudziła w niej sympatię. Była wysoką, szczupłą dziewczyną przed trzydziestką. Jej regularne rysy okalała kaskada złotych włosów. Rozmawiały przez pół godziny.

— Znam tego Franklina D. Hausera — stwierdziła w pewnej chwili Linda.—

Niewielu ludzi wie, że ma tu imponujący dom. Skalhamn, Zatoka Muszli, to nieduży skrawek ziemi, o którego

istnieniu nie ma pojęcia nawet wielu Szwedów, ale kiedy agencja reklamowa daje mi wolne, objeżdżam wybrzeża archipelagu. Skalhamn leży daleko na północy, w kierunku granicy z Norwegią...

Linda oddała swój wóz do przeglądu, wiedziała jednak, że w pobliżu hotelu jest wypożyczalnia samochodów. Ponieważ zapowiadano burzę, poszła do sklepu, by kupić swetry i nieprzemakalne ubrania, a Paula w tym czasie wynajęła czerwonego mercedesa.

Wczesnym wieczorem Linda prowadziła samochód po krętej drodze przez dziką okolicę. W oddali wznosiły się brunatne, strome skały, obrośnięte nierzadko czarną gęstwiną jodłowych lasów. Kiedy przy stojącym samotnie drogowskazie z napisem Skalhamn skręciły w wąską drogę, Paula zobaczyła przed sobą ciężarówkę ze znakiem INCUBUS.

— Zwolnij — ostrzegła. — To może być niebezpieczne. Czy jesteśmy daleko od tej Zatoki Muszli?

— Dość blisko.

— Jeśli możesz, ukryj samochód w jakimś niewidocznym miejscu, kiedy już będziemy mogły dojść na piechotę...

Linda zaparkowała mercedesa w lesie. Przeszły ostatnie pół kilometra i Szwedka wskazała dom,

wyłaniający się na szczycie jednej ze skał. W tej samej chwili na skraju zbocza pojawiła się czarna limuzyna i zaraz zniknęła im z oczu.

— To dom Hausera — oznajmiła Linda. — I całkiem możliwe, że Hauser jest w środku. Widziałam kiedyś, jak przyleciał do Göteborga i podobny samochód zabierał go z samolotu. Kierowca wjechał właśnie do garażu. Myślę, że zaraz będzie burza....

Szły po bardzo wąskiej, otoczonej stromymi skałami krętej drodze. Linda chwyciła Paulę za ramię, a drugą rękę przyłożyła do ust, nakazując jej milczenie.

Podkraśli się bliżej i gdy spojrzały w dół skalnego urwiska, Paula zobaczyła po raz pierwszy Skalhamn.

Była to niewielka zatoczka, wydrążona we wznoszącej się po obu stronach brunatnej skale. Miała kształt muszli i można do niej było wpłynąć wąskim przesmykiem. Do niewielkiego kamiennego mola przymocowano żelazną drabinkę, a pod nią cumowała motorówka. Ciężarówka korporacji INCUBUS

podjechała tyłem i ludzie w kombinezonach właśnie opuszczali na linach do łodzi stalową szafkę. Pauli wydawało się, że widziała na niej zieloną nalepkę.

Potem spuszczone drugą szafkę i tym razem Paula była już pewna, że ma ona zieloną etykietę. Kiedy ściągnięto liny, po drabince zeszli dwaj mężczyźni.

Rozległ się warkot silnika i motorówka popłynęła powoli przez przesmyk.

Linda pociągnęła Paulę za rękę i poprowadziła ją wąskim wąwozem do miejsca, skąd nie było widać zatoczki. Zobaczyły nagle otwarte morze ze stojącym na kotwicy białym luksusowym jachtem. Motorówka nabrała szybkości i zostawiając biały ślad za rufą zmierzała w kierunku podestu i schodków, spuszczonej z kadłuba statku. Obserwowały, jak przenoszono szafki na pokład.

— Pora założyć nasze nieprzemakalne peleryny — stwierdziła Linda. —

Poczułam krople deszczu. Zaczyna padać.

Nad morzem niebo było czarne jak atrament. Nawałnica rozpętała się w jednej chwili. Błyskały pioruny, grzmoty waliły jak bębny jakiejś piekielnej orkiestry.

Strugi wody z chmur przypominały kaskady Niagary. Wracająca do zatoczki motorówka z trudem dopłynęła w zacisze mola. Dotarła tam w chwili, gdy zaczęły nadciągać wysokie jak góry fale. Paula schowała lornetkę z powrotem do torebki. Dzięki lornetce zdołała odczytać nazwę statku. „Waszyngton IV”.

Właśnie wtedy stwierdziła:

— Na razie nie będą przenosić tych szafek z aktami na pokład „Waszyngtona IV”...

— Wracajmy lepiej do samochodu — powiedziała Linda.

Biegły całą drogę. Gdyby nie peleryny, przemokłyby do suchej nitki. Linda usadowiła się za kierownicą i przekręciła kluczyk w stacyjce. Nic to nie dało. Sześciokrotnie próbowała uruchomić wóz i za każdym razem silnik gasł.

— Wspaniale. Może jest przegrzany. Pędziłyśmy tu jak opętane.

— Przykro mi, że cię narażam — powiedziała Paula. — Nasza wyprawa wiąże się z dużym ryzykiem.

— Wspominałaś o tym, zanim wyruszyłyśmy. To ciekawsze niż wypisywanie reklam. Zjedzmy kanapki, które zamówiłaś w hotelu. Niewykluczone, że utkniemy tu na dłużej.

Hauser nastawił cicho radio, czekając na następny komunikat o pogodzie. Adam, który nie znosił amerykańskiego zwyczaju szybkiego przełykania zakąsek, spożywał przyrządzony przez gospodynię obiad.

Zastanawiał się, dla kogo przewidziane jest drugie nakrycie. Do salonu weszła szczupła dziewczyna z ufarbowanymi na blond włosami

i Hauser przedstawił ją jako Iris Reynolds. Miała na sobie obcisłą bluzkę, która podkreślała jej doskonałą figurę, i krótką spódniczkę, odsłaniającą zgrabne nogi.

Adam spoglądał na nią z nie ukrywanym podziwem i uśmiechnął się, gdy odsunęła krzesło, aby usiąść przy stole.

— Przestań się tak gapić, bo dostaniesz kopniaka w krocze — odezwała się uprzejmie.

Adam omal się nie udławił. Piękne kobiety zwykle nie odzywały się do niego w ten sposób. Popatrzył na nią przez stół i ich oczy się spotkały. Iris wytrzymała jego spojrzenie, nie uśmiechając się już. Gospodyni podała jej obiad. Adam poczuł się nieswojo. Oczy dziewczyny zdawały się przeszywać go na wylot, jak mierzący ofiarę wzrok kata.

Hauser był rozbawiony.

— Iris jedzie z nami do nowej centrali. — Spojrzał na gospodynię. — Przynieś mi hamburgera z dużą ilością smażonej cebuli. Nie chcę talerza, zjem go prosto z serwetki.

— Czy ktoś pojedzie z Frankiem? — zapytał Adam, aby zmienić temat i nie zwracać uwagi na Iris. — A może nie powinienem o to pytać?

— Nie powinieneś, do cholery! Już ci mówiłem: zadajesz zbyt wiele pytań. Nie mogę pojąć dlaczego.

Hauser jak zwykle postępował zgodnie ze swoją taktyką — członkowie zarządu mają wiedzieć tylko tyle, ile muszą. Z Frankiem Galvone poleci IonManescu.

Obaj dotrą samolotem ze Szwecji na lotnisko w Londynie. Komu przyszłoby do głowy szukać byłego

szeffa Securitate — albo byłego przywódcy Stasi — w starym wiejskim dworku w Anglii? Galvone przywiezie także Helmuta Zieglera.

Adam Carver zdawał się natychmiast odczytywać jego myśli.

— Jeśli Frank tu leci, może nas nie zastać.

— I nie zastanie. Zostawię mu wiadomość u gospodyni. „Skontaktuj się natychmiast z doktorem Livingstone”. Będzie wiedział, o co chodzi.

— Czeka go dość daleka droga.

— Więc będzie miał trochę ruchu. Dobrze to kutasowi zrobi...

W godzinę później burza ucichła równie nagle, jak się rozpętała.

Z szerokiego okna roztaczał się efektowny widok. Ogromne fale zmalowały, wieczorne niebo rozjaśniło się, a powierzchnia morza nabrała oleistej gładkości.

Hauser rozkazał, aby kontynuowano przeładunek.

— OK, płyniemy dziś w nocy do Harwich. Ruszamy stąd...

Linda opuściła szybę w mercedesie. Skończyła się burza i powietrze było bardzo chłodne. Po fali upałów Paula stwierdziła ze zdziwieniem, że marznie i ma dreszcze. Włożyła sweter kupiony przez Lindę. Obie siedziały w samochodzie pod osłoną jodłowego lasu.

Leśna cisza budziła niepokój. Słysząc było jedynie równomierne kapanie kropli, opadających z rozłożystych gałęzi, które przypominały jej skrzydła jakichś ogromnych, złowrogich ptaków. Linda kolejny raz przekręciła kluczyk w stacyjce. Silnik wreszcie zaskoczył.

— Wracam, żeby ostatni raz rzucić na wszystko okiem — oznajmiła Paula. —

Żadnych protestów! Zostań w samochodzie i nie wyłączaj silnika. Pojedynczą osobę dużo trudniej jest zauważyć. Wiem już, którędy iść...

Szła drogą, która tonęła teraz w błocie. Ulewa rozmyła wypukły trakt na pola po obu stronach. Nie mając ruchów skrzepowanych przeciwdeszczową peleryną Paula wspięła się zwinnie skalną rozpadliną do miejsca, skąd widać było morze.

Wyciągnęła lornetkę.

Z Zatoki Muszli wypływała motorówka, przemierzając spokojną tafłę wody, która przypominała wielkie, nie kończące się jezioro. Oprócz sternika na pokładzie były trzy osoby. Paula przez lornetkę z łatwością rozpoznała masywną postać Hausera i o wiele szczuplejszą sylwetkę Adama Carvera. Trzecim pasażerem była kobieta. Wydała jej się znajoma. Po chwili przypomniała sobie.

Przemknęło jej przez głowę wspomnienie owej koszmarnej chwili, gdy została wymieniona na podeście dla praczek w Helsinkach na inną zakładniczkę. To była ta kobieta. Kiedy motorówka zbliżała się do przerzuconych przez burtę schodków, Paula skierowała lornetkę na statek.

Z masztu nad ogromną kabiną nawigacyjną spuszczano flagę — dogodną flagę Panamy. Gdy tylko została ściągnięta, wywieszono nową: banderę brytyjskiej marynarki handlowej. Pauli to wystarczyło.

Zeszła skalną rozpadliną i pobiegła po pustej drodze do miejsca, gdzie w mercedesie oczekiwała na nią z niepokojem Linda. Szwedka pomachała ręką i otworzyła przed Paulą drzwiczki wozu.

— Boże! Cieszę się, że widzę cię całą i zdrową.

— Miło to słyszeć. — Paula wskoczyła do samochodu. — Nic mi się nie stało.

Możesz zawieźć mnie z powrotem prosto do „Sheratonu”? Muszę jak najszybciej zadzwonić.

Tweed wydawał się niezmordowany. Nawet Marler nie mógł się nadziwić jego niespożytej energii. Wszyscy zebrali się w pokoju Tweeda w hotelu „Hesperia”.

Newman i Butler siedzieli w fotelach. Cord Dillon drzemał na kanapie. Tylko Pete Nield robił wrażenie wypoczętego. Wyglądał przez okno. Był późny wieczór i po Manner-heimintie sunęli znużonym krokiem turyści w koszulach z krótkimi rękawami i kobiety ubrane w wymięte z powodu upału sukienki. Na trawniku obrotowa rzeźba z metalu trwała w bezruchu.

Mimo otwartych okien w pokoju nadal panował zaduch. Tweed robił notatki, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu. Rozmawiał z Moniką, która stwierdziła, że od paru godzin próbuje się z nim skontaktować. Słuchał nie przerywając jej i od czasu do czasu tylko potakując.

— Tak, jestem tu. Mów dalej...

Monika wykazywała dużą zręczność w przekazywaniu mu informacji, przemycając je wśród brzęczych na pozór niewinnie danych na temat ubezpieczeń. W końcu podziękował jej, odłożył słuchawkę i odwrócił się.

— Bob, główny inspektor Buchanan znowu depcze ci po piętach. Odwiedził

Monikę i Howarda, chciał wiedzieć, gdzie jesteś. Zdaje się, że wyjaśnił sprawę kolejnego morderstwa i koncentruje się teraz na zabójstwie Sandy.

— Najwyższy czas, do cholery...

— Zaczekaj. Jest coś jeszcze. Evelyn Lennox — ta dziewczyna, z którą rozmawiałeś w Wandsworth i której potem Butler pilnował w Walberswick —

została napadnięta.

— I Buchanan mnie podejrzewa? Dlaczego, u licha...

— Daj mi skończyć. Lennox została napadnięta w swoim domu przez zamaskowanego osobnika, ale zdołała się obronić. Twierdzi, że to był mężczyzna o imieniu Steve...

— Ten zbir? — Newman lekceważąco machnął ręką. — Scotland Yard na pewno potrafi go zlokalizować.

— Facet się ukrywa. Martwi mnie to, co musimy zrobić. Jest tego sporo. Mam nadzieję, że nie zapomniałeś o Peggy Vanderheld. Może być naszym koronnym świadkiem. Butler, masz teraz polecieć na Arlandę. Wynajmiesz samochód, pojedziesz na wyspę Örno, zabierzesz stamtąd dziewczynę, wrócisz z nią na Arlandę, dotrzesz najbliższym samolotem do Londynu, zawieziesz ją na Park Crescent, zostawisz w hallu pod opieką strażnika, weźmiesz broń i pojedziesz z tą Vanderheld do Walberswick, do domu Evelyn Lennox. Wiesz, gdzie to jest.

Pilnuj obu kobiet. Mogą mieć sobie do powiedzenia wiele ciekawych rzeczy.

— Lepiej pójdę załatwić od razu bilet na pierwszy jutrzejszy lot.

Butler zamierzał wyjść, ale Tweed go powstrzymał. Następne polecenie dotyczyło całego zespołu.

— Wszyscy — nie wyłączając ciebie, Butler — muszą pozbyć się broni. Zatopcie ją w porcie czy gdziekolwiek, ale się jej pozbądźcie. —

Skinął głową na Butlera. — W porządku, teraz możesz iść. Wpadnę do Walberswick, żeby przesłuchać Peggy Vanderheld. Do tego czasu będzie na dobre wystraszona.

— Dlaczego? — zapytał Butler od drzwi.

Umysł Tweeda pracował z szybkością błyskawicy. Myślał już o czymś innym.

— Ponieważ Evelyn Lennox zrelacjonuje jej swoje doświadczenia z korporacją INCUBUS. Vanderheld będzie nader chętna, żeby ze mną porozmawiać. —

Spojrzał na Nielda. — Po zastanowieniu się chcę, żebyś pojechał z Butlerem.

Lennox i Vanderheld są jedynymi świadkami, mogącymi doprowadzić do upadku Hausera.

— Miejmy nadzieję, że Evelyn Lennox jeszcze żyje — rzekł Newman pośpiesznie.

— Czy ma ochronę? Buchanan z pewnością o tym pomyślał.

— Zrobił, co mógł. Wpada do niej miejscowy policjant na rowerze.

— Wielkie nieba! — wykrzyknął Newman. — Mamy do czynienia z zawodowcami. Harry, miejmy nadzieję, że dotrzesz tam na czas.

— Słuszna uwaga, Bob — stwierdził Tweed. — A więc, Butler, lecisz na Arlandę i zabierasz Peggy Vanderheld. Nield — zmiana planu. Polecisz prosto do Londynu i spotkasz się z Moniką. Powie ci, gdzie jest „Różana altanka”, dom Evelyn Lennox w Walberswick. Pojedziesz tam od razu. Bob, czy możesz dać Pete’owi krótki list, przedstawiający go Evelyn?

Dillon ocknął się z drzemki i usiadł na kanapie.

— Słyszałem, co mówiłeś na temat broni. Ciekawe, jak mam się pozbyć tego lugera, skoro nie znam za dobrze Helsinek.

— Właśnie chciałem coś zaproponować — włączył się Marler. — Pozbyć się bezpiecznie broni jest niemal tak samo trudno, jak pozbyć się zwłok. Jeśli wszyscy oddadzą mi swoje spluwy, mogę to załatwić.

— W jaki sposób? — zapytał Tweed.

— Mam jeszcze tę motorówkę, z której korzystałem, kiedy porwano Paulę.

Włożę broń do torby — razem z moim zdemontowanym karabinem — i obciążę kawałkiem łańcucha albo czymś takim. Potem wypłynę motorówką na pełne morze i wyrzucę torbę za burtę.

— To najlepszy pomysł — przyznał Tweed. — Nie zapomnij o zapasowych magazynkach.

Dillon oddał swego lugera wraz z amunicją, Butler mausera, a Newman smith and wessona. Przez chwilę jednak się wahał.

— Tweed, nasi przeciwnicy będą uzbrojeni po zęby — zauważył. — Dlaczego my mamy pozostać bezbronni?

— Wyjaśnię później.

— Jesteś tajemniczy, jak wyraziłaby się Paula.

Marler włożył pistolety do pustej szuflady, wyszedł z pokoju i wrócił po chwili ze skórzaną torbą. Schował do niej broń, zapiał zamek błyskawiczny, po czym usiadł i zapalił papierosa.

— Co dalej w programie?

Butler i Nield wyszli z pokoju. Tweed spojrzął na zegarek. Nie zdawał sobie sprawy, że zrobiło się tak późno. Wracając z Laponii wylądowali na lotnisku w Helsinkach wczesnym rankiem i gdy tylko dotarli do hoteli „Hesperia” i

„Palace”, natychmiast wskoczyli do łóżek. Spali prawie do południa. Zanim Tweed włożył piżamę, powiedział telefonistce w „Hesperii”, żeby nie łączyła żadnych rozmów. Było to posunięcie niemal bez precedensu.

Po południu nie kontaktował się z członkami grupy, wezwał ich do swego pokoju dopiero późnym wieczorem. Teraz zmylił go fakt, że na dworze było jeszcze jasno. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć Mar-lerowi, gdy zadzwonił telefon.

Sięgając po słuchawkę oznajmił:

— Lecimy do Sztokholmu. Twierdziłeś, że tam zawieźli te szafki z aktami korporacji INCUBUS...

Dzwoniła Monika. Tweed znów słuchał przez kilka minut, tym razem nie robiąc notatek. Podziękował jej, obiecał, że później zatelefonuje, po czym odłożył

słuchawkę i popatrzył na swój zespół.

— Kolejna zmiana instrukcji. Rezygnujemy ze Sztokholmu. Stało się to, czego oczekiwałem: Hauser, Adam Carver i dziewczyna, która próbowała mnie zabić, wypłynęli z zachodniego wybrzeża Szwecji. Niewątpliwie w kierunku Anglii. Za chwilę to sprawdzę. Paula znakomicie się spisała...

Zapoznał ich w skrócie ze sprawozdaniem Moniki. Paula zadzwoniła do niej z hotelu „Sheraton” w Göteborgu i opisał, co widziała w Sveavägen w Sztokholmie, zrelacjonowała swoją wyprawę na lotnisko Bromma i zdarzenia, których była świadkiem z Lindą Sandberg w Skalhamn.

— Tak więc możemy teraz założyć, że mój plan udał się lepiej, niż przewidywałbym w najśmielszych oczekiwaniach — podsumował Tweed.

— Jaki plan? — zdziwił się Newman. — Powiedz nam wreszcie, na litość boską.

— Walcząc z Hauserem w Finlandii mieliśmy bardzo ograniczone możliwości manewru — z powodu zrozumiałej troski tego kraju o całkowitą neutralność.

Starałem się przez cały czas torpedować wszelkie akcje Hausera, żeby skłonić go do wyjazdu na Zachód. Myślałem o Szwecji, ale plan powiódł się nadspodziewanie dobrze. Zmusiliśmy go do powrotu do Anglii, gdzie podlega brytyjskiej jurysdykcji.

— Ty cwaniaku! — wykrzyknął Dillon z podziwem.

— Czy jesteś pewien, że Hauser wraca właśnie do Anglii? — naciskał Newman.

— Przy odrobinie szczęścia dowiem się wszystkiego w ciągu godziny. Kapitan portu w Harwich, niejaki Jonas Heathcoate, jest moim znajomym.

— No i co z tego? — zniecierpliwił się Newman.

— To kwestia geografii. Paula widziała, jak Hauser, Adam Carver i kobieta —

podejrzewam, że ta sama, która próbowała mnie zabić — wsiadali na pokład luksusowego jachtu Hausera. Wspominałem już

o tym. Nie mówiłem tylko, że Paula widziała ich na własne oczy. A Harwich jest najbliższym od dworku Livingstone portem, gdzie taki statek jak

„Waszyngton IV” mógłby zawinąć.

— Mógł popłynąć dokądkolwiek — upierał się Newman.

— Tyle że wcześniej Monika powiedziała mi przez telefon, iż według jej informacji dworek Livingstone wyposażony jest w najnowocześniejsze na świecie urządzenia łączności. W tym maszyny do kodowania rozmów telefonicznych. Hauser zaczął być ostrożny — potrzebuje niezawodnego systemu łączności, którego nie zdołamy przeniknąć.

— Nie wpominałeś nam dotychczas o tym wcześniejszym telefonie od Moniki

— rzucił ostro Newman. — Nie znaleźliśmy informacji na temat dworku Livingstone.

— Chyba rzeczywiście — Tweed uśmiechnął się oschle* — ale gdy po raz pierwszy o wszystkim

usłyszałem, Hauser był w Finlandii.

— A więc co dalej w programie? — powtórzył Marler. — Jakbym sam tego nie wiedział — mruknął pod nosem.

— Powiem ci, jak zadzwonię do Jonasa Heathcoate’a. Zdobądź się na cierpliwość.

Wyjął niewielki notes z indeksem, otworzył go na literze H i wykręciwszy numer czekał. W pokoju wyczuwało się narastające napięcie. Newman i Marler domyślali się, co sprawdza Tweed. Musiał rozmawiać z kilkoma osobami, zanim dotarł do Heathcoate’a. Przedstawił się

1 przypomniał kapitanowi portu okoliczności ich ostatniego spotkania.

Newman ciasno splótł dłonie. Dworek Livingstone...

— Tak, Jonas, to ten statek — ciągnął Tweed. — „Waszyngton IV”. Duży, biały jacht pasażerski. Należy do bankiera o nazwisku Franklin D. Hauser. Co takiego? Mógłbyś powtórzyć? Złe słychać. „Waszyngton IV” zawinął dziś wczesnym rankiem do portu w Harwich? I po Hausera przyjechała czarna limuzyna? To niebezpieczny zwyczaj. Hauser wystawia się na cel. Mówisz, że jest kuloodporna? Lepiej dla niego, żeby tak było. Dzięki, Jonas. Masz u mnie kolejkę.

Tweed odłożył słuchawkę, otarł wilgotną dłoń i spojrzał na pozostałych.

— Przypuszczam, że wszystko słyszeliście? Pewnie już od wielu godzin jest w dworku Livingstone.

Marler gwizdnął z podziwu.

— Jak ty to robisz? Nie masz chyba informatora w korporacji INCUBUS?

— Zadałem sobie wiele trudu, żeby wczuć się w sposób myślenia mojego przeciwnika, przewidywać każdy jego ruch. Domyślam się, że on podchodzi do mnie w ten sam sposób. Po co mi więc informator?

— A co dalej w programie? — zapytał po raz trzeci Marler.

— To chyba oczywiste, prawda? Jutro wszyscy lecimy z powrotem do Londynu i planujemy następny etap kampanii przeciwko Hauserowi. Wszedł do mojej pułapki.

Następnego ranka Hauser wyszedł z szyfrowni w dworku Livingstone i na korytarzu natknął się na Adama Carvera. Wcisnął głębiej okulary na wydatny nos. Obwisłe usta nadawały jego twarzy nieprzyjemny wygląd.

— Po cholere tu wężysz?

— Właśnie pana szukałem. — Carver, nienagannie ubrany w lekki, jasnoszary garnitur z jedwabiu, był opanowany i pewny siebie. — Mam zestawienie bilansowe banku Egona Schmidta, a raczej już teraz Dietera Schmidta, który kupiliśmy we Frankfurcie. Chciał pan przejrzeć te dane.

— Później. — Hauser zatrzasnęła drzwi, zabezpieczając wejście do szyfowni. —

Jak się tu dostałeś? Na szczycie schodów są zaryglowane drzwi. Nie masz do nich klucza.

— Ktoś musiał zostawić je otwarte. Kiedy będzie pan gotowy, pokażę panu te dane.

Hauser zaczekał, aż Carver zniknie mu z oczu na prowadzących z piwnicy schodach. Był bez marynarki, w samej koszuli i lekkich spodniach. Wyjął pęk kluczy, otworzył drzwi do sąsiadującego z szyf-rownią apartamentu i wszedłszy do środka zamknął je za sobą.

Apartament był luksusowo umeblowany. Składał się z salonu, sypialni i łazienki.

Miał również klimatyzację. Na kanapie leżał IonManescu. Palił krótkie cygaro.

Należało wątpić, czy jego dawni kompani z bukareszteńskiej Securitate poznaliby swego byłego szefa.

Zanim Manescu wyleciał razem z Frankiem Galvone z Helsinek, przystrzyżono mu bardzo krótko włosy. Na haczykowatym nosie miał okulary w dużej, rogowej oprawie, które nadawały mu wygląd naukowca. Usiadł i splótł na kolanach silne, kościste palce. Patrzył wyczekująco.

— Frank twierdzi, że opuścił go pan na lotnisku w Londynie i wynajął

samochód — zaczął Hauser. — Dotarł pan tutaj w pół dnia po nim. Więc co pan robił, do cholery? Gdzie pan był?

— Jechałem do Suffolk, prawda? Krążyłem trochę, zanim tu dotarłem.

Zatrzymałem się w paru angielskich pubach, żeby posłuchać, co mówią miejscowi, i podłapać jeszcze trochę angielskiego akcentu.

— W jakich pubach?

— W Lavenham, Southwold...

— Tam pan pojechał? Czy pan oszalał?! Kazałem panu trzymać się z daleka od tych okolic. Dlaczego pan to zrobił?!

— Już mówiłem. — Manescu nie miał zamiaru dać się zastraszyć. — Zresztą nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Nie rzucam się w oczy. Czy nie o to panu chodziło?

— Cholernie pan ryzykował jadąc w tamte strony. Proszę bez mojego polecenia więcej tego nie robić.

Nagle zaczął zachowywać się inaczej. Stał się uprzedzająco grzeczny. Rumunowi trudno było się przystosować do tych nieoczekiwanych zmian jego nastroju, a Hauser miał zwyczaj przybierania pozy

dobroczyńcy, gdy wydawał ważne — a nawet niebezpieczne — polecenia. Skończywszy mówić odwrócił się, aby wyjść z pokoju, ale otwierając drzwi odezwał się raz jeszcze:

— Zgadza się pan na wszystko, co powiedziałem? I proszę nie rozmawiać o tej sprawie z Adamem Carverem ani z Frankiem Galvone.

— W porządku — odparł Manescu.

Czas było zmobilizować Franka do działania. Hauser zamknął na klucz drzwi prowadzące do podziemi. Zaciskając pięści wszedł do dużego salonu z łukowatym oknem od frontu. Galvone stał przy oknie i wyglądał na zewnątrz.

Fala upałów nie ustawała. Suffolk prażyło się w słońcu. Hauser pomyślał, że burza nad Skalhamn była tylko krótkim epizodem. Spojrzał na kieliszek w rękach Franka.

— Trochę za wcześnie, żeby się wstawiać. Musisz zachować trzeźwy umysł, na litość boską.

Potrzebował pretekstu, aby stworzyć odpowiedni klimat. Podszedł do barku i dla podkreślenia wypowiedzianych słów nalał sobie dużą porcję wody mineralnej.

— Spieprzyłeś sprawę z Manescu na lotnisku w Londynie. Na Boga, Frank, nie potrafisz nawet konwojować specjalnej przesyłki?

— Byłem zdumiony, jak bardzo się zmienił. Miał ochotę wmieszać się w tłum Brytyjczyków. Tego przecież chcemy, prawda?

— Powiem ci, Frank, czego ja chcę! — ryknął Hauser. — Chcę mieć do czynienia z ludźmi, którzy nie odwalają roboty byle jak. Kiedy wydaję polecenie, masz je wykonać. Potrzebuję ludzi, którzy wstają rano gotowi wgryźć się w tyłek niedźwiedziowi. Skoro już mowa o niedźwiedziach, naprawdę spieprzyłeś robotę w Laponii. Czy te materiały wybuchowe trafiły za granicę, czy nie?

Galvone milczał, czując, że stąpa po grząskim gruncie. Czuł się w obowiązku powiedzieć szefowi, co widział z land rovera. Jeśli chciał przeżyć, nie powinien Hausera okłamywać, ale działając pod presją można było zataić część prawdy.

— Większość ciężarówek przekroczyła granicę, zanim zauważyłem pierwsze oznaki interwencji...

— Interwencji! Mówiłeś wcześniej, że to byli sowieccy komandosi. Nie baw się ze mną w grę słów. Czekali na ten konwój. Kto im dał cynk? Najpewniej ten skurwiel Tweed! Całe szczęście, że wcześniej przeszmuglowaliśmy przez granicę duży transport.

— Widział pan gazety? — zapytał Galvone, chcąc skierować uwagę szefa na inny temat. Wskazał na leżący na stole egzemplarz „Daily Mail” z krzyczącym tytułem na pierwszej stronie. — To naprawdę sensacja.

Hauser pokiwał głową. Spojrzał na gazetę. Założył ręce na piersiach. Miał

powody do zadowolenia.

CENTRALA KGB W KIJOWIE WYSADZONA W POWIETRZE. WZROST

NAPIĘCIA.

— Jaki jest plan? — zapytał Galvone.

— Domyślam się, że czytałeś ten artykuł. Wszędzie powiewają niebiesko-czerwone flagi wolnej Ukrainy. Ani śladu sowieckich sztandarów. Ruch Wolnej Ukrainy z siedzibą w Monachium prowadzi aktywną działalność. Pytałeś o docelowy plan?

— Właśnie o to mi chodziło.

— Mam taką wizję. Pewnego dnia, już niedługo, dolar stanie się walutą światową. Zastąpi rubla. Do diabła, wszyscy turyści jeżdżący do Moskwy powiedzą ci, że miejscowi nagabują ich o dolary. W Moskwie są nawet bary, gdzie niektóre spośród dziesięciu tysięcy prostytutek poszukują tylko klientów płacących w dolarach. W Rosji prostytutka nie jest zakazana. To ich najprężniej rozwijający się przemysł. Policjantki w cywilnych ubraniach przesiadują często obok pańienek w barach luksusowych hoteli.

— Mówiłeś przecież, że to legalne — zauważył Galvone.

— Poprawia ci się słuch. Policjantki są tam po prostu po to, żeby uchronić od kłopotów zagranicznych turystów, którzy przychodzą się zabawić. Dolary... oto klucz do godnego ludzkich istot domu, który obejmie obszar od amerykańskich wybrzeży Pacyfiku po Ural. — Hauser zaciągnął się dymem z papierosa i machnąwszy cygarniczką błyskawicznie zmienił temat, co zawsze wprawiało Franka Galvone w zakłopotanie. — Skoro mowa o pieniądzu: czy właściciele tego prywatnego banku z Southampton, Street i Braithwaite, zdecydowali się nam go sprzedać?

— Dzwoniłem do centrali w Norwich. Powiedzieli, że Leopold Street odmówił.

Zdaje się, że obok banku jest opuszczony warsztat. Łatwo się tam dostać.

— A więc może należałoby pana Streeta przekonać. Mamy tu w piwnicy ładunek semtexu na takie okazje.

Galvone wyprostował się.

— Chce pan, żebym zorganizował dla tego faceta coś na zachętę?

— A jak myślisz, do cholery, dlaczego o tym wspomniałem? Zaczekaj chwilę! —

krzyknął do Franka, który zmierzał już w kierunku drzwi. — Jeszcze z czegoś musisz się wytłumaczyć. W jaki sposób tak szybko tu dotarłeś? Kazałem ci jechać do domu w Skalhavn.

— Ach, o to chodzi. — Galvone machnął lekceważąco wielkimi dłońmi. —

Wiedząc, że ciągle pan gdzieś lata i zmienia plany, zadzwoniłem tam z lotniska w Helsinkach. Gospodyni otworzyła kopertę, którą pan dla mnie zostawił, i przeczytała mi wiadomość. Ze wzmianki na temat doktora Livingstone zorientowałem się, że przeniósł się pan tutaj. Polecieliśmy więc prosto do Londynu — ja, Manescu i Ziegler. Ukrył pan Zieglera gdzieś tutaj?

Hausera ogarnęła wściekłość. Zagryzł mocno cygarniczkę, żeby odzyskać panowanie nad sobą. Widząc wyraz twarzy szefa, Galvone struchlał. Hauser podszedł bliżej, wycelowując w niego gruby palec wskazujący i dźgając nim powietrze.

— Mógłbym się ciebie pozbyć. W brutalny sposób. Już ci mówiłem, że masz słuchać rozkazów. Nie zabieraj się za myślenie i podejmowanie decyzji. Gdy Ed Riverton zaczął tak postępować, ktoś wyświadczył mi przysługę. Dostarczyłeś Zieglera, i na tym koniec, jeśli chodzi o ciebie. Adam Carver wie, jak wykonywać polecenia.

— Adam zna swoją robotę — przyznał Galvone pojednawczym tonem.

— I właśnie ją wykonuje. — Hauser uśmiechnął się. — Ale czasem się nad nim zastanawiam. OK, weź lepiej ten semtex i jedź do Southampton.

— Chyba mogę użyć bomby? Jesteśmy w Wielkiej Brytanii.

— Chryste! — Hauser uderzył się ręką w czoło. — Czy wszystko muszę robić sam? Wpadnij po drodze na londyńskie lotnisko. Zaczekaj, aż przy stanowisku Aer Lingus będzie odprawiany jakiś Irlandczyk i podwędź mu paszport.

Zaczynałeś w Chicago jako zręczny kieszonkowiec. Zostaw paszport w warsztacie. Brytyjczycy pomyślą, że to robota IRA.

Kiedy Hauser został sam w salonie, uśmiechnął się z zadowoleniem. Problem Evelyn Lennox znajdzie wkrótce rozwiązanie.

Evelyn Lennox wpadła w panikę.

Wyrzała przez okno w salonie „Różanej altanki”. Nie wierzyła własnym oczom.

Naprzeciwko frontowego wejścia zatrzymał się za parkanem czerwony jaguar.

— To Adam Carver! Mówiłeś, że jest w Finlandii...

— Bo był — rzekł krótko Butler. Spojrzał na Pete’a Nielda. — Zabierz Peggy na górę. Zostań z nią w sypialni...

Nield nie ociągając się chwycił Peggy Vanderheld za ramię i zaprowadził ją pospiesznie do hallu, a potem po wąskich schodach na piętro. Butler ruszył do sąsiedniego pokoju, ale jeszcze się odwrócił.

— Evelyn, zostawię drzwi lekko uchylone. Będę wszystko słyszał. Nie wspominaj, że ja i Nield jesteśmy tutaj — i ani słowa o Peggy. Nie masz pojęcia, co się z nią dzieje. Dasz sobie radę?

— Tak... — Evelyn skinęła głową.

— Pozwól mu mówić. Gdyby coś cię zaniepokoiło, wspomnij o Southwold.

Natychmiast się tu zjawię...

Evelyn wzięła głęboki oddech. Przy drzwiach zabrzączał dzwonek. Obciągnęła minispódniczkę, przejrzała się w ściennym lustrze, przeczesła ręką włosy i otworzyła drzwi.

— Niespodzianka! — Carver szeroko się uśmiechał. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Chciałem zatelefonować, ale twojego numeru nie ma w książce.

— Jest zastrzeżony.

Evelyn przełknęła ślinę. Pomyślała, że Adam nigdy nie wyglądał bardziej efektownie. Jego twarz i ręce były opalone na ciemny brąz. Miał na sobie elegancki beżowy garnitur z jedwabiu, niebieską koszulę w prążki, gładki błękitny krawat, pasującą do całości chusteczkę w butonierce i buty ręcznej roboty. Opalenizna podkreślała idealnie harmonijne rysy twarzy. W

ręce trzymał niewielki bukiet kwiatów.

— To dla ciebie. Chociaż przypuszczam, że kwiatów masz aż za dużo. —

Obejrzał się na okalającą ścieżkę szpalery dzikich róż. — Chciałem po prostu coś ci przynieść.

— Są cudowne. Bardzo dziękuję. Wejdz do salonu. Ten fotel jest wygodny.

Starła się nie patrzeć w kierunku drzwi, prowadzących do niewielkiego gabinetu z biblioteką, w

którym ukrywał się Butler. Wiedziała, że jest uzbrojony w smith and wesson. Pokazał go jej po przyjeździe, żeby czuła się bezpieczniej.

Na górze Nield miał browninga kalibru 32. Tę broń lubił najbardziej, podobnie jak Paula.

Bukiet stanowił pewien problem. Normalnie zabrałaby go do kuchni i napełniła wazon świeżą wodą, ale nie miała odwagi zostawić Adama samego w salonie, gdy Butler był tuż obok. Wziąwszy wazon ze stołu wyjęła stojące w nim kwiaty, rzuciła je na kominek i wstawiła bukiet na ich miejsce.

— Później zmienię wodę. Czego się napijesz? — spytała pospiesznie. — Sok z pomarańczy, z cytryny, z limony? A może coś mocniejszego?

— Sok z limony byłby niezły. Strasznie chce mi się pić. Mieszkaś tu zupełnie sama?

— Tak, ale odpowiada mi cisza i spokój. Zdarzył się tylko pewien denerwujący incydent...

Podawała mu drinka, usiadła, założyła nogę na nogę i opowiedziała o zamaskowanym napastniku, nie wspominając, że był podobny do Steve'a. Carver z trudem oderwał wzrok od jej nóg, potem słuchał jednak z powagą na twarzy, patrząc jej prosto w oczy.

— To okropne — stwierdził, kiedy skończyła. — Z pewnością zawiadomiłaś policję, poprosiłaś o ochronę?

— Tak, ale stać ich było tylko na przysłanie tutaj miejscowego posterunkowego, który przyjeżdża regularnie na rowerze, żeby zobaczyć, czy wszystko w porządku. Spłoszyłam pewnie włamywacza, który z tego powodu stracił głowę. Nie ma się czym przejmować. — Uśmiechnęła się. — To stara historia. A jak interesy w banku?

— Och, nadal wykupujemy wszystko, co się nawinie... oczywiście pod warunkiem, że właściciel zgadza się na naszą cenę. Hauser zaczyna mieć obsesję na tym punkcie. Kupować, kupować, kupować.

— Nie lubisz Amerykanów? — zapytała spokojnie.

— Cóż... — zawahał się — uważam, że poczynają sobie dość zuchwale. Wydaje im się, że robią wszystko lepiej niż ktokolwiek inny. A tak nie jest.

— Skoro ich nie lubisz, dlaczego dla nich pracujesz?

Obdarzył ją tym rozbrajającym uśmiechem, który zawsze sprawiał, że czuła się słaba i skora do ustępstw.

— Szczerze mówiąc, dla pieniędzy. — Poruszył palcami, jakby liczył banknoty.

— Gdzie indziej dostałbym tak dobrze płatną pracę?

— Pieniądze to nie wszystko.

— Zdaje się, że cytujesz Rockefellera? — Znowu się uśmiechnął. — Posłuchaj, przyjechałem właściwie po to, żeby zaprosić cię któregoś wieczoru na kolację.

Może do „Łabędzia” w Lavenham? To niedaleko, a ten jaguar błyskawicznie połyka kilometry. Potem, oczywiście, odwiozę cię do domu. Próbuję cię namówić.

— Widzę. Kiedy?

— Wspaniale. Może w przyszłym tygodniu? Odpowiadałby ci czwartek?

— Czemu nie? Dobrze, zgoda. Pod jednym warunkiem.

— Mów.

— Gdyby mi „coś wypadło, trzeba będzie to może przełożyć. Muszę więc mieć z tobą jakiś kontakt. Numer, pod który mogłabym zadzwonić. Gdzie teraz urzędujesz?

Znowu przez moment się wahał, po czym wyjął z portfela wizytówkę, zapisał na odwrocie jakiś numer i wręczył ją Evelyn mówiąc:

— Jeszcze jedna sprawa, zanim pójdę. Chodzi o fundusz uposażeń. Pytano mnie w firmie „Równość i Braterstwo”, czy podpisałabyś teraz umowę...

— To stąd ta aktówka. — Evelyn wskazała na teczkę, którą oparł o bok fotela. —

A więc dochodzimy do prawdziwego celu twojej wizyty.

— Nie! — Reakcja Adama była gwałtowna. — Przyjechałem się z tobą zobaczyć wyłącznie z osobistych powodów, żeby zaprosić cię na kolację. Musiałem powiedzieć Hauserowi, dokąd jadę — on trzyma nas wszystkich krótko. Rzucił

we mnie tymi papierami i kazał przy okazji z tobą porozmawiać. Cholernie mało mnie to obchodzi. Nawiasem mówiąc, zwiększyli wysokość miesięcznej pensji. —

Otarł pot z czoła. — Żałuję, że w ogóle o tym wspomniałem. Zresztą nie podoba mi się już to całe towarzystwo ubezpieczeniowe.

— Dlaczego?

Pochylił się ku niej.

— Ponieważ mówiono mi zawsze, że to niezależna firma. Ostatnio odkryłem przypadkowo, że podlega korporacji INCUBUS. Jeszcze jedna machlojka Hausera.

— Możesz mi zostawić tę umowę? Muszę skonsultować ją z adwokatem.

— Tego nie wolno mi zrobić — stwierdził przeproszającym tonem. — Jeśli wrócę bez umowy, szef

mnie oskalpuje. Zapomnijmy

o całej sprawie. Czy kolacja nadal aktualna?

— O ile nie zadzwonię, że nie mogę przyjść. — Po raz pierwszy spojrzała na wizytówkę. — Widzę, że urzędujesz teraz w dworku Livingstone. Sądziłam, że to jedna z wiejskich rezydencji Hausera.

— Zrobił z niej centralę firmy. Podejrzewam, że lubi odgrywać pana na włościach. Zabawne, biorąc pod uwagę, że jest miliarderem. — Spojrzał na zegarek i wstał. — Myślę, że zająłem ci już aż za wiele czasu. Mam nadzieję, że spotkamy się w przyszły czwartek. Wpadnę po ciebie koło siódmej.

— Zobaczymy. — Evelyn uśmiechnęła się, odprowadzając go do frontowych drzwi. — Twój jaguar pewnie mocno się nagrzał.

— Masz rację. — Carver wyjął z kieszeni parę skórzanych rękawiczek i założył

je. — Zwłaszcza kierownica będzie przez pierwszych kilka kilometrów parzyła w ręce. Do zobaczenia...

Nie zamykała drzwi, dopóki samochód nie zniknął jej z oczu. Butler czekał na nią w salonie. Nalała mu czegoś zimnego do picia.

— Jak myślisz? — zapytała. — Czy prawdziwym powodem jego wizyty była ta cholerna pensja?

— Może to dziwne, ale wcale tak nie uważam. Miał inne powody, żeby cię odwiedzić.

— Zdobywając się na maksimum cynizmu przyznaję ci rację. Okazywał dziwną wrogość wobec Hausera, jakby chciał dać mi coś do zrozumienia.

— Zadzwonię zaraz do Tweeda i zawiadomię go o tej wizycie.

Tweed odebrał telefon w biurze przy Park Crescent, wysłuchał Butlera, podziękował za wiadomość i odłożył słuchawkę. Jego gabinet był tak zatłoczony, że musiano przynieść dodatkowe krzesła.

Paula skończyła właśnie opowiadać im szczegółowo o swoich poczynaniach w Szwecji. Zaczęła od tego, jak znalazła się na lotnisku Arlanda i patrzyła na wyładunek szafek z aktami w centrali korporacji INCUBUS przy Sveavägen w Sztokholmie, potem mówiła o swojej jeździe na lotnisko Bromma, wizycie w Skalhamn z Lindą Sandberg

i o tym, co tam zobaczyła.

Wszyscy słuchali jej z uwagą. Monika robiła notatki. Newman i Marler milczeli w skupieniu. Człowiekiem, który trwał w zupełnym

bezruchu i słuchał z największym zainteresowaniem, nie spuszczając z niej swych szarych oczu, był główny inspektor Roy Buchanan. Siedzący obok niego sierżant Warden robił własne notatki. Kiedy Paula skończyła, pierwszy odezwał

się Tweed, mówiąc im o wizycie Carvera u Evelyn Lennox.

— ...ale jeszcze ciekawsze było to, co Butler powiedział mi o Nieldzie. Pete pojechał motocyklem do Walberswick i kręcił się wczoraj w okolicy plaży. Ma obawy, że ktoś może się pojawić od strony morza. Wracając do „Różanej altanki” zobaczył przejeżdżającego wolno obok domu fordą cortinę. Samochód zawrócił i ruszył z powrotem w kierunku drogi A 12. Nield pojechał za nim w dyskretnej odległości na swojej hondzie. Kiedy poza miastem ford zatrzymał się na światłach, Nield zrównał się z nim i obejrzał sobie z bliska kierowcę. Przysięga, że to był IonManescu.

— Ten terrorysta, o którym nam pan mówił — zauważył Buchanan.

— Bardziej sabotażysta niż terrorysta. Nield, podobnie jak my wszyscy, oglądał

zrobione przez Marlera fotografie Manescu, wychodzącego z siedziby korporacji INCUBUS w Helsinkach. Nie od razu go rozpoznał, ale przed ruszeniem z miejsca kierowca spojrzał na niego i wtedy Nield nabrał pewności. Twierdzi, że Rumun ma teraz

o wiele krótsze włosy i nosi duże okulary w rogowej oprawie.

— Czy wie, dokąd mógł jechać? — zainteresował się Buchanan.

— To także ciekawa sprawa. Nield śledził go aż do chwili, gdy ford skręcił na drogę A 1120, do Yoxfordu. Potem zawrócił, obawiając się, że Manescu go zauważy.

— O ile dobrze pamiętam — stwierdził Buchanan — dworek Livingstone leży przy drodze A 1120.

— Zgadza się — przyznał Tweed — i przez to kierunek jazdy Manescu nie jest bez znaczenia.

— Chciałbym, żeby wszyscy dobrze mnie zrozumieli — oznajmił Buchanan.

Wstał z miejsca i pobrząkując monetami w kieszeni zaczął chodzić między krzesłami. Nie zwracał się do nikogo w szczególności. — Prowadzę w tej chwili dochodzenie w sprawie trzech zabójstw

1 aczkolwiek jedno z nich miało miejsce poza obszarem naszej jurysdykcji — w Finlandii, jestem przekonany, że wszystkie popełniła ta sama osoba.

— Trzy zabójstwa? — zdziwił się Tweed. — Jak to: trzy?

— Pierwsza sprawa dotyczy zamordowania w Helsinkach Eda Rivertona, druga

— Sandry Riverton w Suffolk, a trzecia — człowieka o imieniu Steve, który wspólnie z niejakim Papą Grimwoodem odwiedził w Wandsworth Evelyn Lennox.

— A więc odnalazł pan tego Steve’a? — zapytał Newman.

— Tak, ale, niestety, był zupełnie sztywny. Dzięki informatorom z podziemia trafiliśmy na jego ślad w Londynie, w dzielnicy East End. Konkretniej w domu przy Mile End Road. Przybyliśmy za późno.

Zwłoki ukryto w zamkniętej na cztery spusty opuszczonej piwnicy.

— I łączy pan jego zabójstwo z tamtymi, ponieważ pracował dla korporacji INCUBUS? — zasugerował Tweed.

— Wspólnym mianownikiem jest przyczyna jego zgonu — ciągnął dalej Buchanan, jakby nie padło żadne pytanie. — Został uduszony.

Zamilkł. W dusznym gabinecie zapadła martwa cisza. Buchanan miał na sobie szary, urzędowy garnitur i wyglądało na to, że upał wcale mu nie przeszkadza.

Temperatura dochodziła do czterdziestu pięciu stopni. Buchanan oparł się o ścianę i założywszy ręce na piersi mówił dalej:

— Każdy zabójca — w tym przypadku lepsze byłoby może określenie

„zamachowiec” — pozostawia po sobie mimo woli jakiś firmowy znak. Tym razem mamy do czynienia z mordercą, który atakuje zawsze najbardziej kruchą część ludzkiego ciała. Szyję.

— Myślę, że chwytny tok pańskiego rozumowania — stwierdził Tweed, wyczekując z niecierpliwością, co jeszcze inspektor ma do powiedzenia.

Buchanan bezlitośnie ciągnął dalej.

Ten Amerykanin z Helsinek, Ed Riverton, został uduszony. — Spojrzał na Newmana. — Sandra Riverton zginęła powieszona za szyję. — Zabrzmiało to brutalnie i Newmanowi ścierpła skóra. — A teraz ten Steve, którego także uduszono. Nie mam wątpliwości, że kiedy ustalimy zabójcę jednej z ofiar, będziemy znali sprawcę wszystkich trzech morderstw. Tak to obecnie wygląda.

Usiadł i wyciągnął przed siebie długie nogi. Czekał na reakcję, wpatrzony w Tweeda.

— Myślę, że moim następnym posunięciem — zaczął Tweed — będzie podróż do Walberswick. Chcę przeprowadzić długą rozmowę z Peggy Vanderheld. Wie zapewne więcej o ludziach związanych z korporacją INCUBUS niż ktokolwiek inny, do kogo mamy dostęp.

— Chciałbym być przy tym obecny — rzekł Buchanan po prostu.

— Jeśli zobowiąże się pan milczeć. Tylko wtedy. I tylko pod warunkiem, że Peggy Vanderheld zgodzi się na pańską obecność. Ponieważ jest obywatelką amerykańską, nie ma pan nad nią żadnej władzy. Prawdę mówiąc, ja również. Z

całą pewnością nie dysponujemy dowodami, że popełniła jakiekolwiek przestępstwo. Mogę tylko mieć nadzieję, że skłonię ją do mówienia.

— Ma pan doświadczenie w prowadzeniu przesłuchań — zauważył Buchanan.

— Nie tylko na obecnym stanowisku. Wiem, że przed wstąpieniem do tej organizacji był pan jednym

z najlepszych inspektorów Wydziału Zabójstw w Scotland.Yardzie.

— To było dawno temu. — Tweed uśmiechnął się krzywo. — Zgadza się pan na postawione przeze mnie warunki?

— Jak najbardziej.

— Czyja też mogę jechać? — zapytała Paula. — Obecność drugiej kobiety może się przydać. Gdyby ta Vanderheld miała coś przeciw temu, natychmiast zostawię was samych.

— Zgoda, ale tylko pod tym warunkiem. — Tweed rozluźnił się. — Moja rozmowa z Peggy Vanderheld może okazać się zwrotnym punktem w sprawie, która zaczęła się od dochodzenia na temat korporacji INCUBUS i próby dotarcia do zaginionych agentów tajnych służb dawnych państw komunistycznych, takich jak Securitate. Teraz śledztwo dotyczy morderstwa.

— I to potrójnego — podkreślił Buchanan. — Tropimy wielokrotnego zabójcę.

Cord Dillon, siedzący w kącie na wspartym o ścianę krześle, nie zabierał

dotychczas głosu. Przedstawiony Buchananowi jako „pan Dexter, urzędnik Departamentu Stanu”, odezwał się po raz pierwszy:

— Potrzebuję dowodów, żeby skończyć z działalnością pana Franklina D.

Hausera.

— Może rozwiązanie problemu inspektora Buchanana okaże się dokładnie tym, czego ci potrzeba — stwierdził Tweed. — Czy są jeszcze jakieś uwagi?

— Mogłaby być niezła zabawa, gdybym podjechał sam do Suffolk — rzucił

Marler. — Bez szczególnego powodu... po prostu, żeby pokręcić się koło dworku Livingstone. Oczywiście po zmroku.

— Bądź ostrożny — ostrzegł Tweed. — Mam nieodparte wrażenie, że Hauser szykuje kontratak. A my nie wiemy, jaki wybierze cel. Myślę, że powinniśmy teraz wyruszyć do Walberswick.

Hauser siedział przy biurku w dużym gabinecie, z którego okien widać było tereny na tyłach dworku Livingstone. Uderzył pięścią w blat, wzrok płonął mu gniewem. Carver patrząc na szefa zastanawiał się, czy to kolejna demonstracja jego naturalnych skłonności do aktorstwa.

— Dlaczego nie zdołałeś przekonać tej dziwki, żeby podpisała umowę?! —

krzyczał Hauser.

— Powiedziała, że chce mieć czas, żeby to przemyśleć. Gdybym mógł zostawić jej umowę, może zmieniłaby zdanie.

— Wiesz, że nigdy nie zostawiamy takich dokumentów byle gdzie, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. Bóg raczy wiedzieć, komu mogłaby to pokazać.

Carver siedział sztywno na krześle. Nie odzywał się. Uznał za nierozsądne informowanie Hausera o tym, że Evelyn zaproponowała zatrzymanie umowy, żeby pokazać ją swojemu adwokatowi. Po co dolewać oliwy do ognia?

— No cóż, jest jak jest. — Hauser uśmiechnął się, wysuwając szczękę.

— Dlaczego Evelyn Lennox aż tyle znaczy? — zapytał Carver.

Zastanawiał się, czy Hauser nie jest schizofrenikiem. Jego zmiany nastroju wprawiały w osłupienie. Zagłębiwszy się w luksusowym fotelu machał

teraz ręką z promiennym uśmiechem.

— Chłopcze, znowu zadajesz mi pytania na temat wydziałów korporacji, z którymi nie masz nic wspólnego. Może wyślę którąś z naszych urzędniczek, żeby zamieniła z Evelyn parę słów. Jak kobieta z kobietą. To mogłoby się udać —

ciągnął jowialnym tonem. — Kto potrafi przewidzieć reakcje kobiet? Nie znają nawet same siebie. Nie masz czasem mapy tych okolic, Adamie?

— Mam. — Carver wyjął mapkę z kieszeni na piersi i podał ją szefowi. —

Suffolk to skomplikowany teren. Łatwo tam zabłądzić.

— Nie tak, rozłóż tę mapę. Zaznacz na niej ołówkiem krzyżyk w miejscu, gdzie mieszka Evelyn Lennox. Żeby młoda dama, którą do niej pošlę, mogła znaleźć drogę. O ile, oczywiście, zdecyduję się tam kogoś wysłać. Nie masz ołówka?

Kiedy w młodości zaczynałem pracę w Kalifornii, zawsze nosiłem ze sobą ołówek i gumkę. Proszę, weź mój. Jesteś wykształconym facetem. Założę się, że masz trzy albo cztery złote pióra, ale ani jednego ołówka. Szkoda.

Carverowi nie podobał się protekcyjalny ton, jaki lubił przybierać Hauser.

Pochylił się nad mapą i postawił ołówkiem krzyżyk w miejscu usytuowania

„Różanej altanki”. Nie przyszło mu do głowy, że szef kpi sobie z niego, aby ukryć fakt, że narysowanie krzyżyka ołówkiem ma swoje znaczenie. Później można go było wymazać — i zniszczyć istotny dowód.

— OK, dziękuję, Adamie. — Hauser złożył mapę. — Czy kiedy umawiałeś się z Evelyn, nie było u niej nikogo więcej? Nie? Po prostu chciałem wiedzieć.

Carver był zaskoczony, ale nie dał tego po sobie poznać. Jak, do cholery, Hauser mógł odgadnąć, że zaprosił Evelyn na kolację? Ten facet potrafił czytać w myślach. Było to niepokojące, gorsze niż jego stany wzburzenia. Hauser obszedł

biurko i poklepał podnoszącego się Carvera po ramieniu.

— Później będę być może miał dla ciebie poważne zadanie. Jeśli dobrze się z niego wywiążesz, czeka cię wysoka premia. Teraz idź stąd i wracaj do swojej zabawy...

Hauser zaczekał, aż Carver wyjdzie. Nie uśmiechał się już. Wyjął pęk kluczy.

Zabrał złożoną mapę, opuścił gabinet, przeszedł przez długi hall do salonu i włożył jeden z kluczy do zamka w drzwiach, prowadzących do podziemi.

Irina Sierowa podniosła wzrok znad angielskiej powieści, którą właśnie czytała, gdy Hauser wszedł do jej apartamentu, sąsiadującego z miejscem zakwaterowania Manescu. Spoczywała we wdzięcznej pozie na kanapie.

Pozwoliła, aby Hauser przyjrzał się dokładnie jej nogom, po czym wstała.

— Mam dla pani trudne zadanie — zaczął Hauser, rozkładając na stole mapę. —

Widzi pani ten narysowany ołówkiem krzyżyk? Proszę zabrać ze sobą gumkę. Po wykonaniu zadania niech pani nie zapomni

o wymazaniu krzyżyka i wyrzuceniu gumki. W Walberswick, małym miasteczku na wybrzeżu, mieszka w domu zwanym „Różana altanka” pewna dziewczyna. Krzyżyk oznacza właśnie miejsce jej zamieszkania, tę „Różaną altankę”. Cóż za pospolita nazwa. — Wyprostował się

i uśmiechnął, patrząc na Irinę z góry. — Cały problem polega na tym, że ta dziewczyna jeszcze żyje...

Prowadząc wypożyczonego forda escorta, Irina skręciła z drogi A 12 na B 1387, gdzie na drogowskazie napisane było tylko jedno słowo: „Walberswick”. Miała prawo jazdy na nazwisko Iris Reynolds oraz wizytówkę z tym samym nazwiskiem. Zawód — kosmetyczka.

Wizytówkę wydrukowano na jej zlecenie w jednym z pomieszczeń w podziemiach, zanim opuściła

dworek Livingstone. Domyślała się, że wielu pracowników korporacji INCUBUS miało karty z fałszywymi nazwiskami. Dzięki upałowi druk na wizytówce szybko wysechł, gdy położyła ją napisem do góry na fotelu obok miejsca kierowcy.

Umieściła także na tym samym fotelu kosztownie wyglądającą służbową aktówkę w kolorze czerwonego wina. Potrzebnego jej

specyfiku dostarczyła apteka, znajdująca się w jeszcze jednym pomieszczeniu w podziemiach, którego drzwi — jak i pozostałych — były zawsze zamknięte na klucz. „I całe szczęście” — pomyślała Irina, jadąc opustoszałą wiejską drogą.

Mieli w tej tak zwanej aptece dość towaru, żeby wytruć całe hrabstwo Suffolk.

Zmniejszyła prędkość mijając pierwszy dom, po czym zwolniła jeszcze bardziej, gdy wjechała z pełnego słońca w cienisty tunel drzew. Powoli się wewnątrz zagłębiwszy sprawdzała po kolei nazwy wszystkich rezydencji. Omal nie przeoczyła tej, której szukała, gdyż jej nazwę — „Różana altanka” — zasłaniały prawie całkowicie pnącza.

Kontynuowała ostrożną jazdę, przyglądając się ścieżce między żywopłotami z dzikich róż, lustrując okna na dole i mansardowe okienka w dachu. Ani śladu czyjejś obecności. Rozglądając się uważnie pojechała dalej, aby sprawdzić po obu stronach drogi, czy nie ma gdzieś ukrytych obserwatorów. Hauser powiedział, że dziewczyna mieszka sama, ale Hauser nigdy tu nie był, a do tego dandysa, Adama Carvera, Irina nie miała zaufania. Widziała go, wyrzawszy przez drzwi swej kabiny na pokładzie jachtu „Waszyngton IV” tamtej nocy, kiedy płynęli ze Skalhavn do Harwich. Carver jej nie zauważył, ale gdy schodził pod pokład, usłyszała wołanie Hausera: „Adamie, chcę z tobą pomówić...” Dotarła do miejsca, skąd roztaczał się rozległy widok na lśniące morze. W oddali stojący na kamienistym brzegu mężczyzna i kobieta wpatrywali się w wodę, odwróceny do niej plecami. Zakręciła kierownicą i pojechała z powrotem do

„Różanej altanki”.

Butler był właśnie w toalecie — miał kłopoty z trawieniem — gdy Evelyn zauważyła idącą po ścieżce w ogrodzie niewysoką, szczupłą dziewczynę. Ruszyła pospiesznie z salonu do hallu i przez wizjer zobaczyła okoloną jasnymi włosami efektowną twarz. Zanim dziewczyna zdążyła zadzwonić, otworzyła przed nią zabezpieczone łańcuchem drzwi.

— Przepraszam za najście — zaczęła Irina — ale zgubiłam drogę. Musiałam skrócić w niewłaściwym miejscu. Czy ma pani mapę, na którą mogłabym spojrzeć? Ten upał mnie wykańcza.

Evelyn zdjęła łańcuch, poprosiła ją do środka i zaprowadziła do salonu. Na kredensie stał duży dzban świeżo przyrządzonego kruszonu. Butler powiedział, że Newman wybiera się do niej z wizytą. „Z kilkoma przyjaciółmi...” Evelyn postanowiła przygotować coś do picia. Po długiej jeździe z Londynu w tym upale goście będą mieli zapewne ochotę na orzeźwiającego drinka. Irina usadowiła się w fotelu, na kolanach położyła otwartą torebkę.

— Od wielu godzin siedziałam za kierownicą — wyjaśniła. — Czy mogłabym poprosić o coś do

picia? Czuję się wyschnięta na wiór.

— Zrobiłam właśnie kruszon. A może woli pani napój owocowy? Sok z limony...?

— Szklaneczka kruszonu doskonale by mi zrobiła. Pod warunkiem, że napije się pani ze mną.

— A więc po szklaneczce dla nas obu. — Evelyn nalała kruszon z dzbanka i wstawiła go z powrotem do wiaderka z lodem. — Dokąd próbuje się pani dostać?

— zapytała.

— Do Southwold. Przypuszczam, że to wiele kilometrów stąd.

— Nie, jest pani bardzo blisko. Gdyby pojechała pani tą drogą aż do morza i spojrzała na północ w kierunku wejścia do portu, w oddali zobaczyłaby pani Southwold. Dojazd tam jest trochę skomplikowany. Pokażę pani na mapie...

Zaznaczyła swojemu gościowi trasę przejazdu. Irina skinęła głową i uśmiechnęła się.

— Wszystko jasne. Bardzo dziękuję...

Usiadła z powrotem w fotelu. Nagle znieruchomiała.

— O mój Boże! — wykrzyknęła. — Jestem kosmetyczką. Proszę nie myśleć, że próbuję pani coś sprzedać — dodała pospiesznie. — Przyszła mi pani przecież z pomocą. Chodzi o to, że obok frontowych drzwi została moja walizka z próbkami. Postawiłam ją przy wejściu, żeby nacisnąć dzwonek...

— Pójdę po nią. Na pewno jeszcze tam jest.

Evelyn wyszła z pokoju. Irina otworzyła torebkę, wyjęła opakowany w biały papier cyjanek, wsypała proszek do napoju Evelyn i wzięwszy do ręki łyżeczkę, którą tamta położyła na talerzyku, zamieszała spokojnie zawartość szklanki.

Kiedy jej gospodyni wróciła, siedziała znowu zagłębiona w fotelu.

— Proszę, oto pani walizeczka. Wygląda bardzo wytwornie. Wyobrażam sobie, że nie chce jej pani stracić.

— Jest pani nadzwyczaj uprzejma. — Irina podniosła do góry szklankę, znów się uśmiechając. — Pani zdrowie!

Evelyn sięgnęła po swój kruszon, ale zmieniwszy zdanie wzięła do ręki inną napełnioną do połowy szklankę.

— Skończę najpierw sok z limony, a przyjemność zostawię sobie na później.

Mam ochotę na coś ekstra.

Irina wypila kruszon i odstawiła pustą szklanę. Otworzywszy walizeczkę wyjęła z niej niewielkie pudełko i wręczyła je Evelyn, po czym zamknęła aktówkę i wstała, zbierając się do wyjścia.

— To mały prezent z podziękowaniem. Mogłam kręcić się w kółko w tym upale jeszcze przez wiele godzin. Muszę już lecieć.

— Chanel numer pięć! — Evelyn przyglądała się niedużemu pudełku. — To zupełnie zbyteczne...

— Nie podoba się pani? — zapytała Irina, zmierzając w kierunku drzwi. — To gratisowe próbki dla specjalnych klientów. Zaliczam panią do tej kategorii.

— Nadal uważam, że jest pani zbyt hojna, ale dziękuję. To moje ulubione perfumy.

Otworzyła drzwi i zaczęła iść ścieżką przez ogród za wychodzącym gościem.

Nagle rozległo się skądś ogłuszające ujadanie, tak dzikie, że Irina aż podskoczyła. Obejrzała się. Na skraju ogrodu oddzielało od siebie dwie posiadłości wysokie ogrodzenie z mocnej, drucianej siatki. Biegło ono dalej pod kątem prostym w połowie długości sąsiedniego ogrodu i ponownie zakrecało, tworząc rodzaj zagrody. Za siatką czaił się do skoku duży pies. Może owczarek alzacki? Zwierzę szczyrzyło kły tocząc pianę z pyska.

— Proszę się nie obawiać — uspokoiła dziewczynę Evelyn. — Jest dobrze zamknięty. Właściciele pojechali po weterynarza. Ma go uśpić. Pies zachorował

na wściekliznę. Może z powodu upału...

Stała przy furtce, gdy nieznajoma odjeżdżała fordem escortem w kierunku drogi A 12. Evelyn spojrzała przez ogrodzenie w stronę morza. Pete Nield zabrał Peggy Vanderheld na przechadzkę po piaszczystych wydmach. Amerykanka miała zszargane nerwy i potrzebowała regularnych spacerów.

Wszedłszy z powrotem do domu Evelyn zamknęła drzwi, nie zapominając zamocować łańcucha. Nawet tak krótki pobyt na dworze w czasie upału wzmógł

jej pragnienie. Znalazłszy się w salonie wzięła do ręki szklanę. „Mnie też potrzeba czegoś na wzmocnienie” — pomyślała, podnosząc ją do ust.

Newman z ponurą miną prowadził swego mercedesa 280E drogą A 1120 w kierunku Yoxfordu. Obok niego siedział Tweed, a jedynym pasażerem z tyłu była Paula. Spojrzawszy na Newmana i zobaczywszy wyraz jego twarzy Tweed odgadł

bezbłędnie, o czym myśli, i nie odezwał się ani słowem.

Byli coraz bliżej skręcającej w lewo długiej drogi dojazdowej do dworku Livingstone. Newman dostrzegł już usytuowany na wzgórzu stary kościół ze stojącą osobno dzwonnica, miejscem potwornej śmierci Sandy. Zwolnił i zaczął jechać z prędkością pięćdziesięciu kilometrów na

godzinę.

— Zbliżamy się do dworku Livingstone, prawda? — zapytał Tweed.

— Tak.

— Jeżeli w stróżówce przy wjeździe są wartownicy, mogą nas zauważyć.

— A niech zauważą! — Ton głosu Newmana był chłodny, obojętny. — Niech wiedzą, dranie, że ich ścigamy. Wpadli w zastawioną przez ciebie pułapkę. Niech teraz się pocą.

— Och, jestem pewien, że już to robią — odparł Tweed, starając się wprowadzić pogodniejszą atmosferę. — Przy tym upale pocenie się jest rzeczą naturalną.

— Nie to miałem na myśli.

— Wiemy — powiedziała spokojnie Paula. — Rozumiemy cię, Bob.

O sto metrów za nimi jechał w volvo kombi, dostosowując prędkość do jazdy Newmana, główny inspektor Buchanan. Potrzebował dużo przestrzeni dla swoich długich nóg. Obok niego siedział sierżant Warden. Był

bez marynarki. Stanowiło to najlepszy dowód, że jest naprawdę gorąco.

Kiedy zaczęli mijać rozległe tereny dworku Livingstone, Newman zwolnił jeszcze bardziej. Strażnik przy bramie ocierał wilgotne czoło. Przejeżdżający samochód nic dla niego nie znaczył. Paula spojrzała w lewo i zobaczyła za zamkniętą, okratowaną bramą kilka pojazdów, stojących w pobliżu frontowej części domu z centralnym łukowatym oknem.

— Czerwony jaguar — oznajmiła. — Kremowy cadillac. I długa, czarna limuzyna. Pan Franklin D. Hauser musi być w swojej rezydencji.

— Wiem, trzy wozy — stwierdził Tweed.

Paula spojrzała na niego zaskoczona. Tweed obserwował drogę i nie zauważyła, żeby chociaż o centymetr obrócił głowę, ale nie było to dla niej nic nowego.

Tweed potrafił najwyraźniej dostrzegać więcej kątem oka niż większość ludzi widziała przyglądając się czemuś wprost.

— Szkoda, że te urządzenia łączności na dachu psują wygląd całego domu —

stwierdził. — Monika miała rację, a raczej ten inspektor od instalacji elektrycznych, którego przesłuchiwał Wydział Specjalny. Jest tu nie mniej nowoczesnej aparatury do utrzymywania łączności, niż mamy przy Park Crescent. Niepokojące odkrycie.

— Potwierdza to przynajmniej, że mieści się tu główna kwatera — zauważyła Paula.

— Mam tylko nadzieję, że żadnemu z naszych świadków w Walberswick nic się nie przydarzyło. — Tweed spojrział na zegarek.

— Jak mogłoby im się coś stać? — burknął Newman. — Butler i Nield są na straży.

— Będę rad, kiedy tam dotrzemy i stwierdzimy, że wszystko jest w porządku.

Ile czasu to jeszcze potrwa?

— Jakies pół godziny — odparł Newman i znów pogrążył się w milczeniu.

Butler pospieszył do salonu, narzuciwszy na siebie marynarkę, aby ukryć trzymanego w kaburze smith and wesson. Kiedy wszedł do pokoju, Evelyn podnosiła właśnie szklankę do ust, zamierzając opróżnić ją jednym haustem.

— Usłyszałem jakieś głosy — powiedział Butler. — Przyszedłem najszybciej, jak mogłem. — Spojrzął na pustą szklankę na stole. — Kto tu był? Gdzie jest teraz?

— Jakaś dziewczyna, która zgubiła drogę. Kosmetyczka. Była wykończona upałem. Zostawiła obok frontowych drzwi neseser z próbkami. Przyniosłam go jej. Mówiła prawdę. Podarowała mi nawet flakonik perfum...

— Nie pij z tej szklanki! Odstaw ją ostrożnie na stół. A teraz opowiedz mi dokładnie, co się wydarzyło...

Opanowana zwykle twarz Butlera wyrażała pełną koncentrację, gdy słuchał

relacji z odwiedzin nieznajomej. Odwrócił na bok głowę, wyobrażając sobie przebieg całego zdarzenia.

— ...najwyraźniej więc nie miała złych zamiarów — podsumowała Evelyn. —

Jak widzisz, wypła swój kruszon...

Przerwała, gdyż wilczur z sąsiedztwa zaczął warczeć i wściekle ujadać. Skrzywiła się.

— Mówiłam ci, że sąsiedzi pojechali po weterynarza, żeby uspił tego psa?

Działa mi na nerwy.

— Masz jakąś płytką miskę? Coś, z czego pies mógłby pić?

— Tak, ale po co? Przepraszam, na pewno jest jakiś powód. Prawdę mówiąc, zachowałam miskę mojego psa. Wpadł pod samochód

i potem nie chciałam już mieć w domu następnego.

Butler złapał za uchwyt leżącej na kominku łopatkę do węgla. Trzymając w drugiej ręce szklankę z kruszonem poszedł za Evelyn do kuchni. Gdy dziewczyna położyła na stole zwykłą, płytką miskę z białej porcelany, wlał do niej połowę zawartości szklanki.

— Wyjdę tylnymi drzwiami. Idź do ogrodu od frontu, odwróć uwagę tego zwierzaka i zatrzymaj go tam przez kilka minut. Tylko, na litość boską, trzymaj się od niego z daleka!

Wysokie ogrodzenie przebiegało wzdłuż granicy z sąsiednim ogrodem. Butler dotarłszy do połowy trawnika pochylił się przy siatce, kładąc miskę obok siebie.

Pies ujadł wściekle z przodu domu.

Ziemia była tak twarda, tak spalona od słońca, że dopiero po kilku minutach wykopał pod ogrodzeniem płytki dół — płytki, ale wystarczająco głęboki, by przepchnąć miskę na drugą stronę. Podniósłszy się przejechał metalową łopatką po drucianej siatce, tam i z powrotem. Pies na chwilę przestał szczekać, ale gdy Butler dalej przeciągał łopatką po ogrodzeniu, ujadanie rozległo się na nowo.

Zobaczywszy wracającego wilczura Butler odskoczył od płotu.

Evelyn rzuciła się z powrotem do frontowych drzwi, zamknęła je za sobą zakładając łańcuch i popędziwszy korytarzem do kuchni wybiegła tylnymi drzwiami. Butler wskazał łopatką na psa.

Wilczur, tocząc pianę, wpatrywał się w niego nabiegłymi krwią, przerażająco czerwonymi oczami. W pewnej chwili zauważył miskę. Wyczuwszy obcy zapach stał przez krótką chwilę, przyglądając się jej zawartości. Potem pochylił wielki łeb i zaczął chleptać. Nagle poderwał pysk do góry, rozwarł szczęki w paroksyzmie drgawek, wydał krótki, stłumiony skowyt, zeszywniał i padł na bok, uderzając ciężko o ziemię. Leżał teraz zupełnie nieruchomo w prażącym słońcu.

— O mój Boże! — jęknęła Evelyn. Zasłoniła dłonią usta.

Przez chwilę nie była w stanie się poruszyć. Butler wziął ją pod ramię i zaprowadził do domu. Podziękowała mu, jak automat weszła do salonu i opadła na fotel. Wpatrując się w Butlera wyjąkała:

— To... mogłam być ja...

— Na szczęście nic ci się nie stało. — Butler uśmiechnął się, co było u niego rzadkością. — Musimy zawrzeć umowę. Obiecuj, że już nigdy sama nie wpuścisz nikogo do domu, albo ja przestanę chodzić do toalety...

Wybuchnęła śmiechem, w którym pobrzmiwała tylko odrobina hysterii, a potem zaczęła chichotać. Skoczywszy na równe nogi objęła Butlera za szyję i uścisnęła go. Kiedy się opanowała, chwycił ją mocno za ramiona i powiedział:

— Mamy jeszcze w szklance próbkę dla ekspertów z laboratorium. Wyleję teraz do ustępu ten dzbanek kruszonu, który z takim poświęceniem przyrządziłaś.

— Kosztowało mnie to tyle trudu!

W tym momencie Butler wiedział już, że dziewczyna nie jest w szoku. Opróżnił dzbanek i spuszczał właśnie wodę w toalecie, gdy zadzwonił dzwonek u drzwi.

Evelyn pobiegła do łazienki, pociągając go żartobliwie za rękę.

— Harry, ktoś dzwoni do drzwi. Pełń swą powinność.

Spojrząwszy przez wizjer Butler zobaczył Nielda i Peggy Vanderheld. Stali objęci, przyglądając się żywopłotom z róż w oczekiwaniu, aż ktoś im otworzy. Butler otworzył drzwi i obrzucił ich cynicznym spojrzeniem.

— Dobrze się bawisz, Pete? — zapytał.

Mimo opalenizny widać było, że Nield się czerwieni. Peggy spojrzała wyzywająco na Butlera. W obcisłej spódnicy i bluzce z krótkimi rękawami wyglądała bardzo seksownie i zdawała sobie z tego sprawę.

— Wszystko w porządku? — zapytał Nield trochę nazbyt entuzjastycznie.

W tym momencie Butlerowi przysłała do głowy pewna myśl. Tweed zamierzał

przesłuchać Peggy Vanderheld i powinien wkrótce się u nich zjawić. Może lekki wstrząs rozwiązałby język tej upartej Amerykance.

— No jasne — odparł. — Wszystko w porządku. Oczywiście mieliśmy trochę emocji. Kiedy byłem w toalecie, zjawiała się tu jakaś dziewczyna i próbowała otruć Evelyn. Wejdz do kuchni i wyrzyj przez tylne drzwi. Zobaczysz, co się stało z tym wściekłym psem z sąsiedztwa, kiedy dałem mu drinka, którego miała wypić Evelyn. To bardzo pouczające...

Tweed wysiadł z mercedesa, którego Newman zaparkował naprzeciw „Różanej altanki”. Zlustrował teren, oceniając doświadczonym okiem, na ile jest — lub nie jest — bezpiecznie. Newman zamknął samochód i czekał na Tweeda, który udał

się tymczasem do miejsca, gdzie Buchanan zatrzymał swoje volvo.

— Zaraz wchodzę do środka — powiedział. — Postaram się ją przekonać, żeby zgodziła się na pańską obecność, ale niczego nie gwarantuję. Ktoś przyjdzie niebawem pana zawiadomić.

— Jak pan sobie życzy. Zaczekam tutaj — odparł Buchanan.

Tweed spojrział na Wardena, który zamierzał właśnie wysiąść z samochodu. Miał już w ręce swój notatnik.

— Nie sędzę bynajmniej, żeby pańska obecność pomogła w przesłuchaniu — powiedział szorstko.

— To znaczy, że mam zostać w samochodzie jak pies łańcuchowy?

— Skoro tak pan to ujmuje, owszem.

Oddalając się Tweed miał nieodparte wrażenie, że BIICIUMIIM z trudem powstrzymuje uśmiech. Butler wyszedł przed dom i m/muwml właśnie z Newmanem, zdając mu relację z zamachu na Evelyn. Na oko Newman nie wydawał się przejęty tym wydarzeniem.

— Gdzie jest Peggy Vanderheld? — zapytał Tweed.

— Niel siedzi z nią w sypialni gościnniej na górze, z tyłu domu — wyjaśnił

Butler. — Czekają na ciebie.

— Więc nie zwlekajmy...

Kiedy wszedł do domu, drzwi do salonu były zamknięte. Wbiegł po wąskich schodach na piętro. Został tam Niel.

— Ona jest w środku. — Niel wskazał na zamknięte drzwi sypialni. —

Słyszałeś, że dziś po południu ktoś próbował zabić Evelyn Lennox? — Zniżył

głos. — Butler powiedział o tym Peggy Vanderheld. Sądził, że będzie bardziej chętna do rozmowy z tobą. To dziewczyna z ikłą.

— Zostań na straży na schodach, ale niezbyt blisko drzwi. Spodziewam się kolejnego zamachu —

być może na obie kobiety, kiedy tamci się dowiedzą, że Evelyn żyje.

— Jak mogą się tego dowiedzieć?

— Nie mam pojęcia. — Tweed wzruszył ramionami. — Ale dowiedzą się, to pewne...

Zapukał do zamkniętych drzwi. Cichy głos z amerykańskim akcentem powiedział: „Proszę”. Tweed wszedł do niewielkiej sypialni z ukośnym belkowanym sufitem i zamknął za sobą drzwi. Nie spodziewał się tego, co zobaczył. Peggy Vanderheld leżała na szerokim łóżku. Minispódniczka prawie nie przesłaniała jej długich, zgrabnych nóg. Obcisła, biała bluzka, której pierwsze trzy guziki były rozpięte, opinała piersi dziewczyny. Wydawało się, że nie ma pod nią bielizny. Obserwowała Tweeda na wpół przymkniętymi oczami, oparta o poduszkę, na której rozrzucone były jej gęste, kruczoczarne włosy.

„Próbuje mnie uwieść” — skonstatował Tweed.

— Nazywam się Tweed, jestem głównym inspektorem do spraw odszkodowań firmy ubezpieczeniowej „General i Cumbria” — przedstawił się. — Prowadzę dochodzenie w sprawie zmarłego w Helsinkach Eda Rivertona. Był u nas ubezpieczony na bardzo dużą sumę. Badam poza tym okoliczności śmierci Sandry Riverton, która również miała u nas polisę. Czy mogę usiąść?

— Proszę przysiąść na brzegu łóżka, jeśli ma pan ochotę.

— Myślę, że na krześle będzie mi wygodniej. Dziękuję.

— W czym mogłabym panu pomóc?

— Dochodzenie zatacza coraz szersze kręgi. Prawdę mówiąc, musimy nim objąć korporację, w której pani kiedyś pracowała. INCUBUS. Tak się składa, że pod domem siedzi w samochodzie główny inspektor Buchanan ze Scotland Yardu. Zajmuje się sprawą zabójstwa Sandry Riverton. Chciałbym, żeby był

obecny przy naszej rozmowie, jeśli pani pozwoli.

— Niech wejdzie. Jeśli mi się nie spodoba, powiem panu, żeby się wyniósł.

— Nie będzie zadawał żadnych pytań. — Tweed otworzył drzwi, krzyknął coś do Nielda i wrócił do sypialni. Peggy Vanderheld ześliznęła się z łóżka i stała teraz przed ściennym lustrem, rozczesując włosy. Wygładziła podwiniętą spódniczkę i gdy zjawił się Buchanan, usiadła w fotelu, zakładając nogę na nogę.

— Główny inspektor Buchanan — przedstawił Tweed. — Jest tu wyłącznie w roli obserwatora.

Przez chwilę Buchanan stał nieruchomo. Jego szare oczy napotkały wzrok Peggy.

Podszedł bliżej i wyciągnął rękę. Szczupła kobieca dłoń była zaskakująco chłodna, a uścisk nadspodziewanie mocny.

„Niezwyczajna kobieta” — pomyślał Buchanan, wybierając fotel w kącie, poza bezpośrednim zasięgiem jej wzroku. Miała zniewalające, ciemne oczy, a gdy się odezwała, jej głos wydał mu się ponętny, bardzo kobiecy. Rozpięta bluzka uwydatniała piękną linię szyi, ale Buchanan dostrzegł również kształtną twarz i wyrazisty podbródek.

— A więc prowadzi pan dochodzenie w sprawie całokształtu działalności korporacji INCUBUS — zaczęła, zwracając się do Tweeda. — W takim razie mogę ujawnić panu ciekawe fakty. Działalnością firmy na całym świecie kieruje Hauser. Osobiście. Kiedy ten drań odejdzie, INCUBUS upadnie.

— A co z członkami zarządu? — zapytał Tweed.

— To chłopcy na posyłki z szumnie brzmiącymi tytułami. — Wykrzywiła pogardliwie namiętne usta. — Na przykład Adam Carver. Wiceprezes do spraw bankowości! Bez zgody Hausera nie może kupić nawet budki do sprzedawania hot dogów. Hauser poleca mu finalizować transakcje, o których sam już zdecydował. I za to płaci mu rocznie trzysta tysięcy dolarów. Powiem panu o Adamie coś jeszcze. Hauser lubi mieć na każde skinienie wykształconego Anglika. Dlaczego? Ponieważ sam zaczynał w Kalifornii od zera, niewiele miał do czynienia ze szkołą. Zastanawiam się czasem, co Adam robi, kiedy nie podrywa akurat jakiejś cizi.

Mówiła to tonem pełnym złości. Tweed pomyślał, że może Adam nie okazywał jej należytych względów.

— A Frank Galvone? — zapytał.

— Frank! — Jej głos był pełen pogardy. — Wie pan, że włóczył się po ulicach Chicago, zanim Hauser go zatrudnił?

— Tak. Zawodowy kieszonkowiec i ochroniarz.

— Zdaje się, że sporo pan wie. — Peggy Vanderheld wydawała się zaskoczona.

— Czy ma pan wtyczkę w korporacji INCUBUS?

— Niestety, nie — odparł natychmiast Tweed — ale dobrze się przygotowałem do tej rozmowy. Proszę mówić dalej. Wspominała pani o pochodzeniu Franka Galvone i jego pracy w korporacji.

— Oficjalnie jest wiceprezesem do spraw strategicznego planowania. Hauser zmienia tytuły, jak mu się podoba. Galvone to kolejny chłopiec na posyłki z roczną pensją trzysta tysięcy dolarów. Jest facetem od brudnej roboty, ale i on nie może nawet wejść pod prysznic bez pozwolenia Hausera. Dużo podróżuje.

Sandra Riverton mówiła mi, że kiedy odwiedził centralę w Norwich, wszyscy trzęśli portkami. Daje ludziom wycisk, żeby pracowali pełną parą.

Buchanan pochylił się w fotelu.

— Czy mógłbym o coś zapytać?

Spojrzała na niego z uśmiechem.

— Zależy o co, kolego — rzuciła lekko.

Tweed wydał w duchu westchnienie ulgi. Peggy najwyraźniej przypadło do gustu uprzejme, spokojne zachowanie inspektora.

— Wspomniała pani właśnie Sandrę Riverton — rzekł Buchanan. — Czy była w Helsinkach, kiedy pani z nią rozmawiała?

— Nie. Kontaktowałyśmy się przez telefon. Miała długą rozmowę z Frankiem.

To było w Norwich. Powiedziała mi, że czuła się po niej wykończona. Atakował

ją bez przerwy pytaniami o jej pracę — nie wiem, o co chodziło. Został przez kilka dni, ale nie przypuszczam, żeby jeszcze się z nim spotykała.

— Dziękuję. Chciałbym, żeby każdy, kogo spotykam, udzielał tak precyzyjnych odpowiedzi.

Znowu usiadł wygodnie w fotelu, nie biorąc już udziału w rozmowie. Intrygowała go stosowana przez Tweeda technika przesłuchania — sposób, w jaki wykorzystywał wściekłość Peggy z powodu nagłego zwolnienia jej z pracy, choć rozważnie przemilczał ten fakt. Słuchając następnego pytania Tweeda Buchanan był znowu odprężony.

— Rozmawiając w Helsinkach z Bobem Newmanem wspomniała mu pani o panu Popescu.

— Nicolae Popescu to kanalia. Widziałam go tylko raz, wiele miesięcy temu, zaraz po tym, jak zjawił się w Helsinkach. Miałam właśnie wysiąść z windy na najwyższym piętrze i gdy otworzyły się drzwi, zobaczyłam go. Hauser starał się go zasłonić. Zanim Popescu mnie zauważył, zjechałam windą na dół. Sama nie wiem dlaczego. Po prostu czułam, że nie powinnam widzieć tego człowieka.

Tweed wyjął kopertę i wyciągnął z niej kilka zdjęć, które przedtem pokazywał

Buchananowi przy Park Crescent. Podał je Peggy Vanderheld. Przysunęła bliżej swój fotel, tak że ich kolana niemal się dotykały. Buchanan obserwował, jak Tweed zareaguje na jej bliskość. Nawet nie drgnął. Peggy przejrzała szybko fotografie. Każdy jej ruch był energiczny.

— To on — stwierdziła patrząc na jedną z odbitek.

— Jest pani pewna?

Tweed podniósł wskazaną fotografię, aby Buchanan mógł zobaczyć, którą wybrała. Było to zdjęcie Iona Manescu.

— Całkowicie. Mówiłam, że to kanalia. Tak wyglądał. Nie chciałabym spotkać kogoś takiego w

ciemnej uliczce. — Przerwała. — Proszę posłuchać. Czy kiedy skończy się ta rozmowa, będę miała nadal ochronę? A przede wszystkim czy Pete Nield zostanie ze mną, dopóki Hauser będzie na wolności?

— Tak — odparł bez wahania Tweed. — Osobiście to pani gwarantuję. Dlaczego pani pyta?

Sięgnąwszy pod kapę na łóżku wyciągnęła dużą foliową torbę z zielonym skoroszytem i wręczyła ją Tweedowi.

— Kiedy Hauser wyrzucił mnie po tylu latach z pracy, postanowiłam trochę się zabezpieczyć. To fotokopia akt Popescu. Absurdalne nazwisko, jak i cała postać.

Gdy Hauser dał mi te akta, żebym schowała je do sejfu, powiedział, że Popescu jest Austriakiem. Dobre sobie! Austriak! Wygląda jak typowy Rumun. Z akt wynika, że mówi dobrze po angielsku i że był przez rok attache w jakiejś ambasadzie w Londynie. Nazwa kraju została wymazana. Rozumie pan teraz, dlaczego upewniałam się, czy dostanę ochronę?

Tweed uśmiechnął się, widząc utkwione w niego spojrzenie jej ciemnych oczu.

Miało niemal hipnotyczną siłę.

— Przed oddaniem mi teczek chciała pani się upewnić, czy można na mnie liczyć. Bardzo rozsądnie. — Mimo napięcia, jakie panowało podczas tej rozmowy, jego głos nadal brzmiał spokojnie. — Przypuśćmy, teoretycznie, że Hauser byłby zdolny do zaaranżowania morderstwa. Czy wynająłby kogoś z zewnątrz, zawodowego zabójcę?

— Myśli pan, że to zrobił?

— Na razie to tylko teoria.

Usiadła głębiej w fotelu, zrzuciła buty i chwyciwszy się obiema rękami za poręcze założyła nogę na nogę, muskając jedną stopą nogawkę spodni Tweeda. Udał, że tego nie zauważył. Jej twarz upodobniła się nagle do kamiennej rzeźby.

— Nie odpowiem więcej na żadne pytanie — oznajmiła. — Za bardzo się narażam. Myślałam, że będzie tu Robert Newman. Tak mi mówił Pete.

— O co pani chodzi? — zapytał spokojnie Tweed.

— O pana. Jest pan jakimś facetem od ubezpieczeń... o ile to prawda. —

Spojrzała na Buchanana. — A tam siedzi wysokiej rangi detektyw. Wspomniał

pan o zabójstwie. Gdyby był tu przedstawiciel prasy — ktoś naprawdę z zewnątrz, kogo nie można zastraszyć — może bym zeznawała. Trzeba powiedzieć wszystko albo trzymać język za zębami.

— Chwileczkę — rzekł grzecznie Tweed. — Sądziliśmy, że obecność trzech osób będzie dla pani

krępująca.

Otworzył drzwi i krzyknął do Nielda — na tyle głośno, by Peggy to usłyszała — że ma natychmiast przyprawić Newmana. Gdy dziennikarz w rozpiętej pod szyją koszuli i podwiniętych do łokci rękawach wszedł na górę, bez słowa wprowadził go do środka.

— Cześć, Peggy. — Newman powitał ją z żartobliwym uśmiechem. Stał

oparty o ścianę z założonymi na piersi rękami i nogami skrzyżowanymi w kostkach. Był na pełnym luzie.

— Niech mi pan da papierosa — powiedziała do niego Peggy Vanderheld. — I może by mi go pan zapalił.

Newman spełnił jej prośbę. Zaciągnęła się głęboko i wydmuchnęła kółko z dymu.

— Teraz jestem spokojna. — Spojrzała na Tweeda. — O czym to pan mówił?

— Zakładając, że Hauser chciał zorganizować morderstwo — albo serię zabójstw — czy wynająłby kogoś z zewnątrz, zawodowego mordercę?

— Nie. Nigdy. Pozostawiłby to w rodzinie — często używa tego określenia, mówiąc o korporacji INCUBUS. Może zaangażowałby kogoś z zarządu, może jakiegoś zawodowca, ale zatrudnionego w firmie. W ten sposób sprawuje nad tymi ludźmi pełną kontrolę, ponieważ płaci im fortunę. Zdecydowanie byłby to ktoś z personelu, z grona zarządu.

— A więc — wtrącił Newman — powtórzę pytanie, które zadałem w pani mieszkaniu w Helsinkach, zanim zabraliśmy panią pod strażą na wyspę Örno, najprawdopodobniej ratując pani życie. Proszę sobie przypomnieć Annę Jarva, tę nieszczęsną kobietę zamordowaną na pomoście dla praczek, kobietę, która ubrana była przypadkiem tak jak pani, która jechała tym samym tramwajem numer cztery.

— Co to za pytanie?

Koncentrowała teraz całą uwagę na Newmianie. Jej pełne, czerwone usta były lekko rozchylone, ukazując czubek języka. „Mój Boże! — pomyślał Buchanan.

Lubisz podniecać mężczyzn, sprawdzać, jaką masz nad nimi władzę?”

— Czy może pani sprawdzić w swoich notatkach — zapytał Newman — kto był

w Helsinkach tej nocy, gdy zamordowano Eda Rivertona? Kto — zakładając, że to ten sam człowiek — przebywał poza Helsinkami następnej nocy, gdy w Suffolk pozbawiono życia Sandrę Riverton? A może notatki, czy też pani pamiętnik, zamknięte są nadal w banku w Helsinkach, o którym mi pani wspominała?

— Nie potrzebuję żadnych notatek. — Odchyliła się na oparcie fotela wypinając piersi do przodu. —

Mam fotograficzną pamięć. Dlatego przepracowałam u Hausera aż pięć lat. Nie tolerowałby sekretarki, która musi wszystko sprawdzać w aktach.

— Nadal uważnie słucham — zapewnił ją Newman.

— Adam Carver pasuje jak ulał. Był w Helsinkach tej nocy, gdy uduszono Rivertona. Następnego dnia dokądś poleciał. Nie mam pojęcia dokąd.

— Ktoś jeszcze? — naciskał Newman.

— Frank Galvone. Pamiętam, że wychodząc z budynku widziałam światło w jego gabinecie. Twierdził, że pracował do późna. Następnego dnia wyjechał na czterdzieści osiem godzin. Wrócił skonany.

— To już wszyscy?

— Bynajmniej. Nicolae Popescu leżał rozwalony na łóżku na piątym poziomie.

Miał lekko uchylone drzwi — była zimna noc, cholernie zimna, a ogrzewanie na korytarzu działało pełną parą. Zauważyłam go, kiedy niosłam do sejfu jakieś akta.

— A następnego dnia? — nalegał Newman.

— Musiałam dostarczyć jakieś ważne dokumenty na samolot wylatujący z Helsinek. Widziałam, jak Popescu czekał w kolejce na bezpośredni lot do Londynu.

— Ma pani niesamowitą pamięć. Jest pani pewna tych wszystkich faktów?

— Tak, kolego. Dobrze pan powiedział. To są fakty...

— Znaleźliśmy się mniej więcej w punkcie wyjścia — stwierdził Tweed schodząc po schodach. — Mamy trzech potencjalnych podejrzanych.

— Niezupełnie — mruknął Newman. — Brak mi dowodów, ale myślę, że zidentyfikowałem zabójcę.

— Jakim sposobem?

— Ponieważ nie mam jeszcze pewności, niczego więcej nie powiem. Ja także potrafię być tajemniczy, Tweed.

Paula czekała na nich w hallu. Podczas jazdy do „Różanej altanki” Tweed przekonał ją, że obecność zbyt wielu osób może wprawić Peggy Vanderheld w zakłopotanie. Nie o to mu naprawdę chodziło. Uświadomił sobie nagle, że pojawienie się innej atrakcyjnej kobiety mogło Peggy wrogo usposobić. Newman po wizycie w mieszkaniu Vanderheld w Helsinkach opisał ją jako „wulkan seksu”.

— Dałeś sobie z nią radę? — zapytała rozemocjonowana Paula.

— Jako tako — odparł Tweed. — Wyczuwam, że myślisz o czymś innym... —

Przerwał, gdyż z salonu wyszedł Butler. — Harry, chcę, żebyś opowiedział inspektorowi Buchananowi o tym, co o mały włos mogło się zdarzyć Evelyn.

Zaprowadź go do ogrodu za domem i pokaż mu, w jakim stanie jest ten pies, a potem daj mu próbkę płynu do zbadania w laboratorium.

Skinął na Buchanana, który zszedł za nimi powoli po schodach, rejestrując w pamięci ogólny rozkład „Różanej altanki”. Gdy Butler poprowadził inspektora do kuchni, Tweed podążył za Paulą do salonu. Evelyn, usłyszawszy ich głosy, nalewała właśnie do szklanek sok z limony.

— *Dziękuję, zupełnie zaschło mi* w gardle — stwierdził Tweed siadając. —

Czuje się już pani lepiej po tych denerwujących przeżyciach? Nazywam się Tweed.

— O wiele lepiej, panie Tweed. Przepraszam na chwilę, przyniosę jeszcze trochę soku. Sierżant Warden wypijał go całymi szklankami.

— O co chodzi, Paula? — zapytał Tweed, gdy zostali sami.

— Chcę, żebyś pokazał jej to zdjęcie Iriny Sierowej, którego pochodzenia nie chcesz mi wyjawić.

Tweed łyknął soku z limony, zastanawiając się nad jej prośbą. Dostał to zdjęcie w zaufaniu od generała Rebeta podczas swego pobytu w hotelu „Moskwa” w Leningradzie. Ponieważ Sierowa była pułkownikiem KGB, Rebet chciał, aby jej ucieczka pozostała tajemnicą. Typowo po rosyjsku.

— Dlaczego Evelyn? — zapytał.

— Bo gdy byłeś na górze, rozmawialiśmy o tym, co przeżyła. Podany przez nią rysopis rzekomej kosmetyczki skojarzył mi się jakoś z tą fotografią. Nie musi wiedzieć, kim ona jest.

— Zastanowię się. Nie wyobrażam sobie, żeby Hauser ryzykował sprowadzanie tutaj kogoś takiego. Buchanan nie może się dowiedzieć o tym zdjęciu. Staralem się, żeby go nie zobaczył. Boże, mam nadzieję, że się mylisz. — Zniżył głos. — Vanderheld powiedziała nam, że Manescu wielokrotnie przyjeżdżał do Wielkiej Brytanii. Strach pomyśleć...

Przerwał na widok Evelyn, która zjawiała się ponownie z dzbankiem świeżego soku z limony. Pozwolił napełnić sobie szklankę. W wieczornym upale chciało się pić, gdy człowiek dużo mówił.

— Panno Lennox — zagaił — mam tutaj fotografię, którą chciałbym pani pokazać. Może widziała pani kiedyś tę kobietę w okolicy Walberswick.

Evelyn obejrzała zdjęcie. Zmarszczyła brwi, ściągnęła usta. Spojrzała na odbitkę z większej odległości.

— Nie przypuszczam — stwierdziła w końcu — choć jest w niej coś znajomego.

— Proszę położyć fotografię na stole — zasugerował Tweed — i zakryć palcami ciemne włosy, żeby widoczna była tylko jej twarz.

Napił się soku. Nawet w zacienionym wnętrzu panowała wysoka temperatura.

Rozejrzał się po wygodnym salonie, którego umeblowanie stanowiły obite perkalem fotele i dopasowane do nich zasłony. Na ogół nie lubił tego materiału, ale harmonizował on z belkowanym sufitem i dużym, wypełniającym niszę kominkiem z cegły.

— Coś podobnego! — zawołała Evelyn. — Teraz jestem pewna, że to ta okropna kosmetyczka, która próbowała mnie otruć. Zmyliły mnie ufarbowane na blond włosy, zupełnie zmieniły jej wygląd. Kto to taki?

Tweed spodziewał się tego pytania.

— Kobieta poszukiwana za oszustwa ubezpieczeniowe — odpowiedział bez wahania. — Po raz pierwszy uciekła się do próby zabójstwa. Nie ubezpieczała się pani ostatnio na życie, prawda?

— Nie. Jak ona, u licha, do mnie trafiła?

— Może w tym, co powiedziała, była część prawdy. Zgubiła się, trafiła pod niewłaściwy adres. Bardzo proszę, żeby nie wspominała pani o tym Peggy Vanderheld. Niczego nie jesteśmy pewni, ważne więc, żeby była nadal ostrożna, czujna. Oczywiście, ta rzekoma kosmetyczka mogła przyjść z firmy ubezpieczeniowej korporacji INCUBUS, „Braterstwo i Równość”.

Żałował, że wcześniej nie przyszło mu do głowy takie wyjaśnienie. „Upał

zaćmiewa mi umysł” — pomyślał. W tym momencie do pokoju wszedł Buchanan w towarzystwie Newmana.

— Proszę się nie obawiać, panno Lennox — zapewnił inspektor Scotland Yardu. — Nie będę pani zadawał wielu pytań. Tylko jedno. — Wyjął duży guzik i pokazał go Evelyn. — O ile wiem, dość długo pracowała pani w Helsinkach.

Posłałem sierżanta Wardena, żeby przeszukał zaśmieconą podłogę dzwonnicy, w której zamordowano Sandrę Riverton. Na tym guziku widać nitki. Jest na nim znak firmowy Daks. Podejrzewam, że oderwał się od płaszcza, gdy Sandra Riverton toczyła walkę o życie. Czy ktoś, kogo znała pani w Helsinkach, nosił

wyprodukowany w Wielkiej Brytanii ciepły wełniany płaszcz?

— Hauser zakłada taki w zimie. Kupuje dużo brytyjskiej odzieży. Czy tej nocy, kiedy zginęła moja siostra, nie było tu wyjątkowo zimno?

— Owszem — wtrącił Newman ponuro. — Czy mogę spojrzeć na ten guzik?

Dziękuję.

— Ktoś jeszcze nosił w Helsinkach taki brytyjski płaszcz — uzmysłowiła sobie Evelyn. — Dlaczego wydaje mi się, że to był cudzoziemiec?

— Proszę pomyśleć — naciskał Buchanan.

— Nic z tego. Nie przypomnę sobie.

— To jedyny konkretny dowód — zauważył Buchanan chowając guzik. — Nie pytałem o to Peggy Vanderheld. Jest Amerykanką i nie mam do niej zaufania.

Odrobinę za dużo mówiła. Gdyby pani sobie przypomniała, kto jeszcze był właścicielem takiego brytyjskiego płaszcza, proszę zadzwonić do mnie pod ten numer.

Podał jej wizytówkę i ruszył ścieżką przez ogród w kierunku swego volvo. Tweed napił się jeszcze soku z limony, podziękował Evelyn i wyszedł w panujący na zewnątrz upał.

— Mam powody do niepokoju — oświadczył Newmanowi, gdy kroczyli między żywopłotami z róż. — Niel doniósł, że w samochodzie, koło którego zatrzymał

się na motocyklu, był Manescu. A teraz Evelyn potwierdziła obecność Iriny Sierowej na tym terenie. Hauser szykuje coś bardzo paskudnego.

Kiedy wracali do Londynu, mając za sobą volvo z Buchananiem i Wardenem, Tweed zadał Newmanowi dręczące go pytanie:

— Podobno zidentyfikowałeś zabójcę wśród tych trzech podejrzanych, których wymieniła Vanderheld. Mogę wiedzieć, co naprowadziło cię na ślad —

zakładając, oczywiście, że się nie mylisz?

— Coś, co powiedział Buchanan przy Park Crescent, zanim wyruszyliśmy do Finlandii. Szczycisz się doskonałą pamięcią, więc spróbuj odtworzyć sobie w myślach tamtą rozmowę.

BOMBA IRA CHYBIA CELU W SOUTHAMPTON

Hauser w swym gabinecie w dworku Livingstone przeczytał z zadowoleniem nagłówek w wieczornym wydaniu gazety „Evening Standard”, którą Galvone kupił wracając samochodem z miasta Hampshire. Zamieszczony poniżej artykuł

mówił o tym, że w opuszczonym warsztacie, sąsiadującym z prywatnym bankiem

„Street i Braithwaite”, została podłożona bomba. Zakładano, że sprawcy mieli nadzieję przebić się do banku i zdobyć znaczną sumę gotówki na zasilenie funduszy IRA. Dziennikarz snuł przypuszczenia, że wybuch bomby nastąpił w zbyt dużej odległości od ściany banku.

— OK, dobrze się spisałeś, Frank — powiedział Hauser, rzucając gazetę na biurko.

— Dyrektorzy banku robią pewnie w portki ze strachu — stwierdził Frank z zadowoleniem.

— Jeszcze nie zrobiłeś wszystkiego — rzucił ostro Hauser, gdy Galvone zaczął zbierać się do wyjścia — ale najpierw zejdź ze mną do pokoju operacyjnego...

Otworzył drzwi w podziemnym labiryncie, dając znak Frankowi, aby za nim poszedł. W pustym pomieszczeniu wisiała duża ścienna mapa Europy i Rosji.

Różne miasta oznakowane były czerwonymi pinezkami. Warszawa, Budapeszt, Sofia, Belgrad i Bukareszt...

— Widać tu, gdzie dojdzie do następnych zamachów. Właściciele firm, które chcą przejąć, z chęcią zgodzą się na ich odsprzedaż, zanim zostaną wysadzone w powietrze. Przed ustanowieniem nad wszystkim amerykańskiej kontroli musimy najpierw wprowadzić chaos.

— Dlaczego Belgrad?

— Musisz doprawdy zacząć lepiej orientować się w sytuacji, Frank. O ile, oczywiście, chcesz nadal być dla mnie użyteczny. — Hauser uśmiechnął się. — Z

Adamem nigdy nie mam takich problemów. Jugosławia się rozpada. Republika Słowenii głośno domaga się niepodległości. Trzeba dokładać dREW do ognia. —

Mówił tak, jakby chodziło o zwykłą transakcję handlową. Fakt, że bomby będą eksplodować w dni powszednie, w porze obiadowej, kiedy spowodują najwięcej ofiar, stanowił dla niego oczywisty element taktyki pogłębiania chaosu. —

Twoim drugim zadaniem będzie dokładna kontrola bezpieczeństwa tego domu.

Przeczuwam, że Tweed mnie tu odnajdzie. Jest groźny, ale ja też. No, Frank, ruszaj się!

Dobrze się zapewne złożyło, że Marler był odporny na upał. Dzięki temu spędził

pracowicie dzień, przygotowując wypad do dworku Livingstone.

Planował sforsować jego linie obrony o trzeciej nad ranem. O tej porze zawsze najbardziej słabnie morale strażników. Będą na pewno zmęczeni. Spędził wiele czasu w dzielnicy East End, umówiwszy się w niezbyt bezpiecznej okolicy Old Kent Road na spotkanie z Alfredem Higginsem.

Alf Higgins, jak nazywali go londyńscy kasiarze, miał niewielki zakład zegarmistrzowski. Zajmował się legalną działalnością tylko na tyle, aby policja nie mogła ciągać go na przesłuchania. Prawdziwy talent Alfa ujawniał się wtedy, gdy chodziło o znajomość nowoczesnych alarmów i systemów zabezpieczeń. Był

również zręcznym ślusarzem. Pod tym eufemizmem kryła się umiejętność forsowania zamków i otwierania drzwi domów oraz sejfów, które ponoć były nie do pokonania. Marler korzystał już kilkakrotnie z jego nielegalnych usług i wiedział, że ciężko się z nim pertraktuje. Wiedział również, że będzie musiał

wysłuchać tradycyjnego wykładu.

— Niech pan siada na tym fotelu. Jest naprawdę wygodny, panie Enderson —

przywitał swego klienta Alf. — Założę się, że naprawdę nazywa się pan inaczej.

Rzuciwszy okiem na zniszczony fotel w ciemnym pomieszczeniu — było ciemne, bo brudne okna nie przepuszczały światła — Marler przysiadł na drewnianym taborecie.

— Powiedziałem: Henderson, jak poprzednim razem. Tak się nazywam. Chcę, żeby się pan włamał do dużego domu na wsi. Jest silnie strzeżony. Strażnicy, najnowocześniejsze systemy zabezpieczające...

— Kto je instalował?

— Pewna firma z Wielkiej Brytanii. Znają się na swojej robocie.

Alf, siedząc w starym bujanym fotelu, podrapał się w czuprynę siwych włosów. „Przydałoby się je przystrzyc — pomyślał Marler. — Wygląda jak jakiś parobek”. Może i dobrze się składało, skoro mieli jechać razem przez Suffolk. Higgins był niewysokim mężczyzną

o chudych ramionach i nogach. Jego twarz, brązowa i pomarszczona, przypominała skorupkę włoskiego orzecha. Wiek trudno było odgadnąć — gdzieś między czterdziestką a sześćdziesiątką. Najkorzystniej prezentowały się jego dłonie z długimi, delikatnymi palcami. Zaczął robić Marlerowi wykład:

— Powiedział pan, że mam się gdzieś włamywać. Zna pan moje zasady, panie Enderson. Nigdy nie wchodzę do środka. To dlatego nigdy mnie nie zamknęli, jeśli pan wie, o czym mówię. Jasne? — Zaśmiał się z własnego dowcipu. —

Pomogę panu dostać się do tego domu. Pożyczę narzędzia, którymi otworzy pan z łatwością każdy zamek, ale kiedy pan będzie łamał prawo, ja zostanę w samochodzie. Przestrzegam przepisów i ani mi w głowie dać się złapać na prywatnym terenie.

— Zrozumiałem — odparł Marler szorstko. — Co to za narzędzia? Podkreślam, że ten dom przypomina fortecę.

— Forteca drożej kosztuje. O forsie możemy porozmawiać później. Napije się pan piwa? Cholernie gorąco.

— Nie, dziękuję — odpowiedział Marler patrząc na zatłuszczoną szklanę, z której pił Alf. — Co to za narzędzia? — powtórzył.

Marler, usadowiony na taborecie niczym bajkowy skrzat, miał na sobie stary, granatowy garnitur z lekkiego materiału, na którym nie było widać brudu.

Rozejrzał się po zagraconym pomieszczeniu. Zapewne kiedyś znajdował się tu bar. Za plecami gospodarza biegł poplamiony drewniany kontuar, zastawiony niemal w całości antycznymi zegarami, z których chyba żaden nie działał. Na półkach za kontuarem leżały całe sterty zegarów i starych zegarków. Na podłodze wały się części mechanizmów i otwarte skrzynki z narzędziami. Ani centymetra wolnej przestrzeni. Policja nie byłaby chyba w stanie przeprowadzić tu rewizji. Przypominałoby to przeczesywanie miejskiego wysypiska śmieci.

— Są dwa rodzaje zamków — oznajmił nieoczekiwanie Alf. — Ci fachmani od zabezpieczeń uważają, że jak wymyślą skomplikowany zamek, to nikt sobie z nim nie poradzi. Wręcz przeciwnie! Zasłużyliby może na te swoje okrągłe honoraria, gdyby stosowali dużo rygli. Są zamki szyfrowe — takie jakie spotyka się w większości ściennych sejfów. Zaraz do tego dojdę. Zobaczmy najpierw, co robić ze zwykłymi.

Higgins miał na sobie zaskakująco czystą, lnianą marynarkę z dużymi kieszeniami. Sięgnął do prawej kieszeni i wyciągnął trzy zwyczajne na pozór różnej wielkości klucze. Niezwykły był tylko ich kolor o fosforyzującym odcieniu.

Skinął głową w kierunku wychodzących wprost na ulicę drzwi.

— Niech pan je otworzy. Chociaż to nie są właściwe do nich klucze.

Marler spojrzał na ciężkie drewniane drzwi. Miały trzy zamki.

Higgins dbał o swoje bezpieczeństwo. Były tam jednak również cztery duże rygle, które zostały zasunięte, gdy Marler wszedł do środka. Wziąwszy klucze spojrzał na Higginsa.

— Co mam zrobić? — zapytał niepewnie.

— Ma pan w ręce klucze magnetyczne. Któryś z nich zawsze będzie pasował do zamka. Niech pan nim ostrożnie porusza i obserwuje, co się dzieje.

Marler wzruszył ramionami, zeskoczył z taboretu i podszedł do drzwi. Najpierw otworzył cztery rygle. Potem wziął do ręki trzy klucze, przyłożył wszystkie do górnego zamka i znalazłszy taki, który zdawał się odpowiedniej wielkości, wsunął go do środka, poruszając nim ostrożnie, zgodnie z instrukcją. Usłyszał, że zamek się otwiera. Wybrał inny klucz do drugiego zamka i postępując jak poprzednio, znowu usłyszał charakterystyczny odgłos. Ten sam klucz pasował

również do zamka na dole. Marler chwycił za klamkę i ciężkie drewniane drzwi stanęły otworem.

— Wielki Boże! — powiedział cicho.

— Lepiej zamknijmy je znów — stwierdził Higgins wstając z fotela na biegunach.

Wziąwszy do ręki pęk kluczy zajął się zamkami i zasunął z powrotem rygle.

Poruszając się bezgłośnie w sportowych butach wszedł za kontuar, odsunął na bok stertę skrzyń i odsłonił duży sejf.

— Pewnie trzymam tu wszystkie pieniądze, co? Dostanie je pan, jeśli pan go otworzy. To może pomóc.

Wyjął z lewej kieszeni niewielkie, okrągłe narzędzie o grubej podstawie. Pokazał

Marlerowi jego drugi koniec. Był wydrążony i zaopatrzony jakby w kilka zmniejszających się coraz bardziej kołnierzy. Podał mu to narzędzie.

— Niech pan spróbuje szczęścia. Trzeba włożyć wydrążony koniec do zamka szyfrowego i ostrożnie go dopasować. Kiedy poczuje pan, że zaskoczył, niech pan naciśnie guzik przy podstawie i czeka. Ten sejf ma zamek szyfrowy najnowszego typu. Firma, która go produkuje, daje pełną gwarancję bezpieczeństwa. Głupcy...

Marler przykucnął, oglądał przez chwilę przyrząd, po czym ostrożnie wsunął

jego wydrążony koniec do zamka szyfrowego i poczuł lekkie szarpnięcie, gdy zamek zaskoczył. Naciśnął guzik przy podstawie, splótł dłonie i czekał, przysiadłszy na piętach. Usłyszał serię cichych trzasków. Były bardzo szybkie, następowały jeden po drugim. Potem zapadła cisza.

— Dobra, niech się pan pośpieszy — popędzał Higgins. — Jest pan w tym miejscu nielegalnie. Nie można się ociągać.

Marler obrócił rączkę sejfu, otworzył drzwiczki i zajrzał do środka. Niczego tam nie było. Zupełna pustka. Higgins przykucnął obok niego, zamknął sejf, przekręcił przyrząd lekko w prawo, aby dał się wyciągnąć, i wrzucił go do kieszeni.

— Te trzy klucze... — zaczął Marler.

— Są magnetyczne, jak już panu mówiłem. Odciągają zęby zamka. Faceci od urzędzeń zabezpieczających robią zamki z metalu, bo myślą, że są pewniejsze. Te klucze to mój własny

wynalazek. Zrobiłem je sam w warsztacie u kolegi. Czasem myślę, że powinienem je opatentować. — Zachichotał.

— A ten przyrząd do zamków szyfrowych?

— Ach, to... — Higgins posmutniał i wypił następny łyk ciepłego piwa. —

Chciałbym móc panu powiedzieć, że też sam go zrobiłem, ale skłamałbym.

Dostałem go od kumpla, jankesa z Filadelfii, któremu wyświadczyłem przysługę.

Bardzo kosztowna rzecz, jak sądzę. I trzeba by jeszcze wiedzieć, gdzie to kupić.

Ma wbudowany w podstawę niewielki komputer. Działa na baterię. Włożę nową, żeby chodził panu jak należy. Za całą robotę należy się osiem stówek — dodał

szybko,

— Osiemset funtów?! Chyba pan żartuje.

— I żadnej brudnej roboty. Tym zajmie się pan sam.

— Dobrze. Załatwione. Cztery funty. Robi się tu piekielnie gorąco, więc niech się pan decyduje. Mogę pójść gdzie indziej.

— Niech pan nie będzie idiotą. Gdzie dostanie pan takie klucze? I przyrząd?

— Pięćset. Gotówką, tak jak poprzednim razem.

— Przyjmuję tylko gotówkę. Wie pan o tym. Urzędnicy podatkowi potrafią odczytywać sumy na czekach, a nie potrafią na banknotach, jeśli nie mogą ich znaleźć. Sześć setek. To ostatnia oferta. Tam są drzwi. Mogę nawet je panu otworzyć.

— W porządku. Ale z pana kutwa! Sześć setek. Aha, będą jeszcze alarmy. Na fotokomórkę. Jestem o tym przekonany.

— Zajmę się nimi. Wszystko w ramach sześciu stówek. Tylko dlatego, że podoba mi się pańska fizjonomia. Kiedy?

— Dzisiejszej nocy. Przyjadę po pana o jedenastej trzydzieści. Po zapadnięciu zmroku. Niebieskim fordem cortiną. Niech pan nie każe mi czekać. Oto cztery setki w banknotach po pięćdziesiąt tytułem zaliczki. I niech pan nie zapomni zabrać całego sprzętu. A teraz proszę otworzyć te cholerne drzwi, zanim się uduszę.

Krótką wizytą Marlera w mieszkaniu Newmana przy Beresforde Road w South Ken miała zupełnie inny przebieg, niż oczekiwał. Newman w spokoju wysłuchał

planów wtargnięcia do dworku Livingstone.

— ...ponieważ byłeś u Hausera wtedy, w lutym, miałem nadzieję, że zorientujesz mnie choć trochę w rozkładzie domu. Może narysujesz mi plan tej części, którą widziałeś.

— W porządku, zrobię to. — Newman podniósł szklankę soku owocowego, po czym szeroko się uśmiechnął. — Pod warunkiem, że pozwolisz mi pójść z tobą i z tym Alfem Higginsem.

— Tego nie miałem w planie...

— Teraz już masz. O ile chcesz znać rozkład domu. Zauważyłem poza tym niektóre urządzenia alarmowe. — Zachowanie Newmana uległo nagle zmianie, a jego głos zabrzmiał poważnie. — Nie zapominaj, że moja dziewczyna, Sandy, została zamordowana przez jednego z ludzi Hausera w szczególnie brutalny sposób. Tweed opowiedział mi, co mówiła Peggy Vanderheld, zanim przyłączyłem się do rozmowy. Teraz mam już pewność. Wiem, że to Hauser wydał rozkaz wykonania egzekucji na Sandy. Bo to była egzekucja.

— Tweed stwierdziłby, że jesteś zbyt osobiście zaangażowany w sprawę, by towarzyszyć mi w tej eskapadzie.

— Tkwę w tym po same uszy. Wybieraj. Mogę narysować ci plan, powiedzieć parę słów o systemach alarmowych, może nawet ocalić ci życie. To nie zabawa.

— Zdążyłem zdać sobie z tego sprawę.

— Więc mam narysować ten plan?

— Tak, proszę. Zgadzam się, że do wykonania tej roboty możemy być potrzebni obaj. A i tak będzie niebezpieczna.

Marler podszedł powoli do dużego wykuszowego okna we frontowej części obszernego wiktoriańskiego salonu. Za firankami widać było kościół św. Marka, drzewa i trawę w otaczającym go ogrodzie. Nietypowy widok jak na Londyn.

— Oto plan — oznajmił po kilku minutach Newman. — Mogę podać rozkład tylko części pomieszczeń na parterze. Z tyłu był chyba gabinet Hausera, widziałem otwierające się drzwi na końcu długiego korytarza. Głównym pomieszczeniem jest zapewne wielki salon. Rozmawiając z Hauserem zauważyłem, że Galvone opiera się o nie domknięte drzwi w tej ścianie... —

Wskazał piórem na plan. — Potem ostrożnie je zamknął. Myślę, że prowadzą do podziemi, które opisywała nam rano Monika podczas spotkania u Tweeda.

— Zamierzałem wybrać się na krótki rekonesans do dworku Livingstone, ale ty już tam byłeś. Czy mają psy patrolujące teren?

— Nie, nie sędzę. Najwyraźniej wolą polegać na ludziach. Okna są zabezpieczone przewodami elektrycznymi, lecz przy głównych, masywnych drzwiach nie widziałem żadnych urządzeń

alarmowych. Bądź co bądź mają trzy zamki.

— A rygle?

— Nie. Dlaczego pytasz?

— Tak sobie tylko pomyślałem. Dobry jest ten schłodzony szampan. To łanson? Twój ulubiony gatunek?

— Przyjemnie się go pije. Jeszcze jedna poważna sprawa. Proponuję wziąć broń.

— Rozsądny z ciebie facet — stwierdził Marler, cedząc słowa przez zęby. —

Zgadzam się. Do tej roboty armalite się nie nada. — Rozsunął poły drelichowej kurtki, pokazując kolbę spoczywającego w kaburze na biodrze browninga kalibru 32. Podciągnawszy lewą nogawkę spodni odsłonił przywiązaną do nogi pochwę z wystającym trzonkiem myśliwskiego noża. Potem wyciągnął z kieszeni jakiś przedmiot i wsunął go sobie na palce prawej ręki.

— Kastet? — zdziwił się Newman. — Spodziewasz się walki wręcz?

— Jeśli się na kogoś natkniemy, trzeba będzie go po cichu załatwić.

Ściągnął kastet i wrzuciwszy go do kieszeni podniósł szklankę.

— Za nasz sukces.

— Za przetrwanie — poprawił go Newman. — I za zdobycie dowodów, które pogrążą Franklina D. Hausera.

Kiedy wznosili toast, Newman uświadomił sobie, że zniknęła gdzieś zwykła wrogość między nim a Marlerem. Na razie. Może z powodu upału? Zadzwoił

telefon. Newman skinął głową, by Marler podniósł słuchawkę. Telefonował

Tweed.

— Daj mi Newmana, proszę.

— Czym mogę służyć? — zapytał Newman.

— Cokolwiek zamierzasz, jesteś zdany na siebie. Pamiętaj o tym. I bądź

ostrożny. Przewiduję, że zbliżamy się do ostatecznej rozgrywki.

— Tweed przesyła ci pozdrowienia — zażartował Newman, odłożywszy słuchawkę. — Kiedy dokładnie przystąpimy do akcji?

— Godzina zero przypada o trzeciej nad ranem. Punktualnie, jeśli łaska...

— Co teraz kombinujesz? — zapytała Paula.

Przysiadła na krawędzi biurka, ubrana w jasnobrązową minispódniczkę, jasnoczerwone rajstopy i białą bluzkę z krótkimi rękawami. W biurze przy Park Crescent było nieznośnie gorąco. Tweed odłożył słuchawkę.

— Tylko coś sprawdzałem. Marler jest z Newmanem w jego mieszkaniu. —

Spojrzał na Monikę. — To dość oczywiste. Newman pobrał ze składnicy smith and wessona wraz z pozwoleniem na używanie broni. Marler wziął browninga 32. I są razem. — Zerknął na Corda Dillona, siedzącego na krześle w kącie. —

Potrzebujesz dowodów, niezbitych dowodów przeciw Hauserowi.

— Jasne. Muszę zdobyć coś, czym Departament Sprawiedliwości mógłby go na dobre przygwoździć. Mam nadzieję, że te dwie damy zdają sobie sprawę z nieoficjalnego charakteru mojej wizyty po tej stronie oceanu?

— Obie są godne zaufania. Pytanie było zbędne.

— Kiedy się zorientowałeś, że Marler też coś kombinuje?

— Gdy tylko dowiedziałem się od Moniki, że był tu wcześniej rano i wydobył z niej wszystkie informacje, jakie miała na temat podziemi w dworku Livingstone.

— Mogłeś ich powstrzymać — powiedziała z wyrzutem Paula.

— Sami potrafią o siebie zadbać. — Tweed mówił teraz bardziej stanowczym tonem. — Hauser nie przestrzega żadnych reguł. Terroryzuje właścicieli spółek, które chce przejąć, żeby mu je sprzedali. Przewozi do Związku Sowieckiego materiały wybuchowe. Nie pokonamy takiego człowieka legalnymi metodami.

Stanowi zagrożenie dla całego świata.

— Jesteś dziś wyjątkowo wzburzony — zauważyła Paula.

— Na litość boską, spójrz na te artykuły w prasie!

Rozłożył na biurku różne gazety, stukając palcem w nagłówki.

NA BAŁKANACH EKSPLODUJĄ BOMBY

ŚMIERĆ CZOŁOWEGO RUMUŃSKIEGO POLITYKA W SAMOCHODZIE

PUŁAPCE CHAOS W BUŁGARII ROZPAD JUGOSŁAWII

DWADZIEŚCIA OFIAR WYBUCHU BOMBY W CENTRALI KGB W KIJOWIE

— Odkąd sowiecki prezydent zaczął realizować liberalną politykę, wszystko przestało być stabilne
— stwierdził Tweed. — Europa pogrąża się w otchłani.

— Evelyn Lennox musi już być trupem — oświadczyła Irina. — Jakie jest moje następne zadanie?

— Widziała pani prasę. — Hauser machnął ręką w kierunku gazet rozłożonych na stole w salonie dworku Livingstone. — Załatwiła pani właśnie sprawę, która od dłuższego czasu mnie niepokoiła. OK. Następne zadanie? Podsycać wrzenie w Europie i w Rosji. Mówiąc konkretnie, w najbliższych dniach poleci pani do Monachium. Będzie pani stamtąd nadzorowała inwazję na Ukrainę.

— A do tego czasu?

— Ukryje się pani w swoim apartamencie.

Hauser wyjął pęk kluczy, podszedł do drzwi wiodących do podziemi i otworzywszy je zaprowadził Irinę na dół. Po powrocie wcisnął klawisz interkomu.

— Frank, przywlecz tu swój tyłek. Masz na to trzydzieści sekund.

Rozłożył otrzymany od Sierowej świstek papieru. Był na nim zanotowany numer telefonu Evelyn Lennox. Dowiedzieli się wcześniej, że jest zastrzeżony. Będąc w hallu domu Irina zdołała go podpatrzeć. Galvone, ubrany w podkoszulek i luźne spodnie, wpadł jak bomba do pokoju. Hauser podał mu kartkę.

— Zadzwoń pod ten numer — polecił — i powiedz, że chcesz rozmawiać z Evelyn Lennox. Prawdopodobnie nic to nie da. Jest martwa.

— Więc po co mam dzwonić?

— Doprawdy okazujesz się czasami niezbyt bystry, Frank. Żeby się upewnić, że nie żyje.

— A jeśli żyje i podniesie słuchawkę? Rozpozna mój głos. Pracowała przecież w centrali w Helsinkach.

— Frank, może będziesz zaskoczony, ale wcale o tym nie zapomniałem. Gdyby podniosła słuchawkę i rozpoznała cię, nic się nie stanie. Będzie jeszcze bardziej przestraszona. No, zadzwoń do zmarłej damy...

Galvone wykręcił numer. Telefon dzwonił przez jakiś czas, zanim ktoś podniósł słuchawkę.

— Słucham, kto mówi? — odezwał się kobiecy głos.

— Chciałbym rozmawiać z Evelyn Lennox.

— Jestem przy telefonie. Ale kto mówi?

— Niczego nie sprzedajemy — powiedział Galvone pospiesznie. —

Przeprowadzamy ankietę na temat groźby efektu cieplarnianego. Mieszka pani blisko wybrzeża. Co pani sądzi o tej sprawie?

— Chciałabym najpierw wiedzieć, z kim mówię.

— Niezbyt dobrze panią słyszę. Trzaski na linii. Jest bardzo kiepskie połączenie. Zadzwoń później...

Galvone rzucił słuchawkę, spoglądając na szefa z ponurą miną. Hauser nie należał do ludzi, którzy lubią złe nowiny.

— Rozmawiałem właśnie z Evelyn Lennox. Poznałem ją po głosie. Jest tak samo martwa jak ja...

— Może nawet mniej — rzucił Hauser ze złością. — Jesteś całkowicie pewny?

— Już mówiłem. Znam jej głos.

— A więc będziemy musieli ostatecznie się z nią rozprawić. Chcę, żebyś zorganizował grupę czterech ludzi — nie, sześciu — którzy w środku nocy podjadą dwoma samochodami do „Różanej altanki”. Dziewczyna może mieć ochronę. Niech oddział będzie uzbrojony w broń, jakiej używa IRA. Karabiny automatyczne typu Kałasznikow i pistolety z nabojami gazowymi. — Hauser mówił chrapliwym głosem. — Zaatakujcie tę cholerną „Różaną altankę”. Ty tam nie wchodź. Zleć dowodzenie jakiemuś twardzielowi. Kiedy wykonają zadanie, podpal dom. Weź ze sobą benzynę. „Różana altanka” ma spłonąć. Zajmij się tym, Frank.

— Zabranie stąd sześciu ludzi osłabi ochronę budynku. A kazał mi ją pan podwoić.

— Rób, co ci każe! — Hauser dźgnął Franka Galvone palcem w pierś. —

Myślisz, że oczekuję od ciebie dyskusji? Od tego mam innych kretynów.

— Czy mogę więc sprowadzić psy, żeby patrolowały w nocy teren? Znam faceta w Norwich, który mógłby dostarczyć...

— Frank, mówiłem ci to już kilkanaście razy! Kiedy używa się psów, strażnicy czują się zwolnieni ze swych obowiązków. Nieproszonym gościom wystarczy parę kawałków zatrutego mięsa i twoje psy są martwe. Wolę, żeby miały ludzką postać, bo wtedy bezustannie węszą. Czemu tu jeszcze sterczysz?

Po odejściu Franka Galvone Hausera nurtował niepokój. Czuł się znękanym i udręczonym. Dlaczego? Problem Lennox zostanie rozwiązany tej nocy.

Przystępował do najbardziej ambitnej kampanii w swej karierze, kampanii mającej na celu przejęcie kontroli nad „domem”, który obejmie obszar od Pacyfiku po Ural, kampanii będącej już w toku. Skąd więc te obawy?

Włożył następnego papierosa do cygarniczki z kości słoniowej, zapalił go i wyszedł z pokoju. Udał się do gabinetu. Oszklone drzwi były otwarte na rozległe połączenie ziemi na tyłach domu, aby złagodzić popołudniowy skwar. Hauser wyszedł na zewnątrz, kierując się po schodach z szerokiego kamiennego tarasu na trawnik.

Cały teren otaczała ściana jodeł. Przy końcu trawnika znajdowało się okrągłe, betonowe lądowisko dla śmigłowców. Stała tam niewielka maszyna typu Sikorsky, zawsze z pełnym zbiornikiem paliwa. Przez okrągłą dobę pełniła dyżur ekipa pilotów.

Za potężną postacią Hausera posuwali się w dyskretnej odległości uzbrojeni strażnicy. Hauser dotarł do śmigłowca i wszedł do środka, a wtedy dwaj z nich podbiegli. Jeden usiadł z przodu, drugi wgramolił się do tyłu. Gdy Hauser zajął

miejsce w pojedynczym fotelu, zjawił się po rozkazy pilot.

— Hank, polecisz do miejscowości Walberswick — poinformował go Hauser. —

To małe miasteczko na wybrzeżu, na północ stąd. Pokoń nad nim, dopóki nie każę ci wracać.

— Tak jest, sir!

Hauser uzmysłowił sobie wreszcie, co go dręczyło. Nie miał znikąd informacji o poczynaniach Tweeda. Co ten sukinsyn zamierza? Hauser miał obsesję na punkcie swego przeciwnika.

Sierżant Warden wpadł do gabinetu głównego inspektora Buchanana w Scotland Yardzie, triumfalnie ściskając w ręce dwa dokumenty.

— Wszystko w porządku, panie inspektorze!

— Co jest w porządku? Nie powinieneś tak biegać w tym upale. — Buchanan usadowił się wygodnie na swoim starym drewnianym krześle obrotowym, założył ręce na brzuchu i ciągnął dalej oschłym tonem: — Usiądź, uspokój się i wszystko mi opowiedz.

— Mam dwa nakazy rewizji. Jeden dotyczy mieszkania Adama Carvera w Chelsea, drugi apartamentu Franka Galvone w tym luksusowym bloku koło Regent's Park. Możemy od razu tam pojechać.

— Na pewno nie do obu miejsc naraz. Są dość oddalone od siebie.

Buchanan otworzył szufladę i wyjąwszy z niej plastikową torebkę wyciągnął duży guzik ze znakiem Daks i kilkanaście czarnymi nitkami, oplatającymi metalową nóżkę z tyłu. Podniósł go do światła.

— To jedyny ślad, jaki nam pozostawił zabójca Sandry Riverton. Ciekawe.

— Nie bardzo rozumiem, panie inspektorze.

— Sandra Riverton została zamordowana o świcie w mroźny lutowy poranek.

Przy tego typu pogodzie zabójca mógł mieć na sobie ciepły wełniany płaszcz.

Niewykluczone jednak, że płaszcz ten, jeśli się zachował, jest teraz w Helsinkach.

— Istnieje tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić — stwierdził Warden z niezwykłym u niego zapałem.

— Jest jeszcze trzeci podejrzany, o którym Peggy Vanderheld wspomniała w mojej obecności w Walberswick. Ion Manescu.

— Rumun. Z pewnością nie miałby brytyjskiego płaszcza, panie inspektorze.

Buchanan był rozbawiony.

— Dlatego, że jest cudzoziemcem? Tweed powiedział mi, że Manescu pracował

przed kilku laty w ambasadzie rumuńskiej w Londynie. A cóż nadaje człowiekowi bardziej angielski wygląd niż noszenie brytyjskiego płaszcza? Jest tylko jeden problem.

— Jaki, panie inspektorze?

— Kontaktowałem się z Interpolem. Twierdzą, że Manescu nie żyje.

— Zagadkowa sprawa. Czyżby Tweed się mylił?

— Możliwe. A jednak kilka dni temu jeden z jego ludzi rozpoznał Iona Manescu, krótko ostrzyżonego, za kierownicą samochodu w sąsiedztwie dworku Livingstone. Wiem z doświadczenia, że Tweed zwykle się nie myli. Czas zabrać się do pracy. Najpierw mieszkanie Adama Carvera w Chelsea. Oba zastrzeżone adresy zdobyła Monika, asystentka Tweeda.

Butler próbował po raz piąty dodzwonić się z „Różanej altanki” do Tweeda. Z

wielką ulgą usłyszał w końcu głos Moniki. Powiedział, kto mówi, i dobiegły go jej słowa, kiedy oddawała słuchawkę Tweedowi:

— To Butler. Chyba coś pilnego. Nie mógł się do nas dodzwonić...

— Z radością słyszę twój głos, Tweed. Zdarzyło się parę ważnych rzeczy.

Galvone telefonował do Evelyn najwyraźniej po to, by się upewnić, że nie żyje.

Pozwoliłem jej podnieść słuchawkę, a sam byłem przy drugim aparacie...

Butler odtworzył mu z pamięci słowo w słowo rozmowę między Frankiem Galvone i Evelyn. Tweed uważnie słuchał. Nie był zaskoczony, ale zachował ten fakt dla siebie. Jego umysł intensywnie pracował, oceniając ewentualne następstwa zaistniałych wydarzeń.

— Harry, Hauser wie już teraz, że Evelyn żyje. Należy się spodziewać znacznie silniejszego ataku na jej dom. Uzgodniłem z kolegą z Wydziału Specjalnego, że przyśle ci samochodem kuriera. Przywiezie dwa pistolety maszynowe z dużym zapasem amunicji. Gdybyś zdecydował przenieść wszystkich w inne miejsce, zrób to. Kurier dostarczy ci też przenośny telefon. Będziesz mógł się ze mną skontaktować z dowolnego miejsca.

— Dzięki. To jeszcze nie wszystko. Powiedziałem Evelyn, by zawiadomiła Peggy Vanderheld, że dzwonił Galvone. Wyjawiała mi wtedy, że ma tu jeszcze trzy teczki. Akta Adama Carvera, Franka Galvone i bardziej szczegółowe dossier Manescu. Nie zostawiła ich w banku w Helsinkach.

— Więc daj je kurierowi. Powiedz mu, żeby wracając zjawił się natychmiast na Park Crescent. Wyjedźcie z „Różanej altanki”?

— Daj mi porozmawiać spokojnie z Pete’em, zanim coś postanowię.

— Decyzja należy do ciebie. Powodzenia.

Paula wyskoczyła zza biurka.

— Przypomniałam sobie właśnie, że zauważyłam w Skalhamn jeszcze jedną rzecz. „Waszyngton IV” miał na rufie lądowisko dla śmigłowców. Stał tam niewielki sikorsky. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie.

Tweed sięgnął po słuchawkę i wykręciwszy numer spojrzał na Paulę.

— Proszę o połączenie z Heathcoate’em, kapitanem portu w Harwich. —

Odezwał się do słuchawki. Czekał chwilę. — Heathcoate? Przepraszam, że jeszcze raz zawracam ci głowę. Mówi Tweed. Czy ten statek, „Waszyngton IV”, nie ma przypadkiem na rufie śmigłowca?

— Jesteś dobrze poinformowany. Miał śmigłowiec, kiedy tu zawinął.

— Miał? Wspominałeś chyba, że Hausera zabrała czarna limuzyna. Może źle cię zrozumiałem?

— Zrozumiałeś doskonale. Byłem zdziwiony, że nie skorzystał ze śmigłowca.

Potem zobaczyłem, że pracują przy nim mechanicy. Zdaje się, że coś nawaliło w silniku. Teraz już jest w porządku. Z całą pewnością. Odleciał stąd rano i dotychczas się nie pokazał.

— Dziękuję...

— Trzymaj się. Nie przypuszczam, żeby cię to interesowało, ale dostałem właśnie wiadomość, że „Waszyngton IV” wypływa prawdopodobnie jutro rano.

Wnoszą na pokład zapasy.

— Jeszcze raz dziękuję.

Przekazał Monice i Pauli, co usłyszał. Paula dolewała mu herbaty do filiżanki.

Wypił już połowę. Nie mógł ugasić pragnienia.

— Wszystko dzieje się jakby równocześnie — zauważyła Paula. — Wydarzenia nabierają tempa. Newman i Marler ruszają do akcji. A sytuacja w „Różanej altance” zupełnie mi się nie podoba.

— Mam obawy, że zbliżamy się do momentu krytycznego — stwierdził Tweed z powagą.

Sikorsky leciał nisko nad Walberswick, powoli je okrążając. Hauser wyglądał

przez szybę. Sierowa twierdziła, że zabiła Evelyn Lennox. Dlaczego jej się nie udało? Co było takiego w tym domu?

Nie mogli zlokalizować „Różanej altanki” z powietrza. Maszyna leciała nad piaszczystymi wydhami i plażą, z której gapili się na nią turyści. Hauser dostrzegł prowadzący do portu wąski kanał. Dość daleko w głębi lądu ujrzał

przycumowane łodzie. Wąski wlot kanału obudowany był drewnianymi palami.

Tam łodzie nie cumowały.

Pokiwał głową. Znowu musiał osobiście obejrzeć cel ataku, aby dostrzec jego słabe punkty. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego ani Carver, ani Manescu nie donieśli mu, jak najbezpieczniej dotrzeć do „Różanej altanki”. Morze było spokojne, niewielkie fale oblewały wąski przesmyk, wpływając do kanału i wtapiając się w głębi lądu w gładką powierzchnię niczym nie zmaczonej wody. Hauser dał znak siedzącemu z przodu strażnikowi.

— Powiedz pilotowi, żeby wracał do dworku Livingstone. Byłbym zobowiązany, gdyby zrobił użytek z tego, co nazywa swoją głową. Zanim zmieni kurs, niech leci prosto w głąb lądu i skręci na południe, w kierunku lądowiska. Dopilnuj tego...

Gdy tylko maszyna wylądowała, Hauser wyskoczył na ziemię pochylając głowę, aby nie uderzył go obracający się jeszcze powoli wirnik. Zmierzając w kierunku drzwi gabinetu zobaczył wychodzącego mu na spotkanie Franka Galvone.

— Szefie, wszystko już przygotowane do ataku na „Różaną altankę”...

— Wejdz do środka. Zmiana plaaów. Z głównej autostrady prowadzi do Walberswick tylko jedna droga. — Usiadł sztywno w fotelu, przesywając wzrokiem stojącego przed nim Franka. — A to oznacza, że jest tylko jedna droga powrotu. Na litość boską, nie orientujesz się na mapie? Grupa szturmowa może wpaść w zasadzkę. Trzeba podejść, oczywiście, od strony morza. Odwołaj atak z lądu. Wyślij ludzi do Harwich i każ im wsiąść na pokład „Waszyngtona IV”.

Niech wezmą dużą motorówkę. I dopilnuj, żeby zabrali duży, gumowy ponton z silnikiem. Mają zaczekać do zmroku, a potem popłynąć do Walberswick.

— W nocy może być trudno tam trafić — zauważył Galvone.

— Mój Boże! Czy muszę ci wyjaśniać każdy najdrobniejszy szczegół? Kapitan da im mapę. Sześciuosobowej grupie będzie towarzyszył jeden z marynarzy, który zna wybrzeże. Sam dość często tamtędy pływałem.

— Jeszcze nie wyruszyli. — Galvone zerknął na zegarek. — Lepiej wyśle ich samochodem, żeby mieli dużo czasu.

— Samochodem? Jednym? Trzeba by ci zoperować mózgownicę. Jeśli grupa sześciu mężczyzn pojawi się w Harwich i wsiądzie razem na statek, może ich zauważyć kapitan portu. Wyglądają na gangsterów. — Uśmiech Hausera nie był

przyjemny. — A więc, Frank, mają dotrzeć do Harwich w pewnych odstępach czasu, trzema wozami, po dwóch w każdym. Zrozumiałeś?

— Brzmi to rozsądnie. — Galvone, który właśnie zamierzał wyjść, zawahał się.

— Coś cię gnębi. Wyrzuć to z siebie.

— Te wszystkie materiały wybuchowe, ten semtex, który mamy w podziemiach... czy nie powinniśmy go stąd usunąć?

— Dlaczego? To ostatnie miejsce, które ktoś chciałby przeszukiwać. I mam tu swoje wpływy. Fabryki, które zbudowałem w podupadłych rejonach, dały ludziom pracę. Te materiały, kiedy będą potrzebne w Europie, przewieziemy ukryte w kontenerach z mrożonkami. Brytyjczycy szukają narkotyków i materiałów wybuchowych przywożonych do kraju, a nie wywożonych stąd.

— To był sprytny pomysł, żeby przemycać je tu stopniowo z Libii w prywatnym bagażu na pokładzie „Waszyngtona IV”.

Galvone stwierdził, że czas już udobruchać Hausera. Raz jeszcze nie wyczuł sposobu myślenia szefa.

— Pewnie, Frank, że to było sprytne. Sam nie wpadłbyś nigdy na taki pomysł.

Właśnie dlatego ja jestem miliarderem, a ty musisz się zadowolić trzystoma tysiącami dolarów rocznie. OK, teraz zajmij się nowym planem dla grupy szturmowej. I pamiętaj, że to muskularni faceci, więc nie grzeszą bystrością.

Mów do nich bardzo wyraźnie.

Kiedy został sam w gabinecie, zaczął niespokojnie chodzić od ściany do ściany.

Starannie ukrywał przed Frankiem Galvone informację, że „Waszyngton IV” ma wypłynąć wczesnym rankiem. Ktoś już powinien się kręcić wokół dworku Livingstone, może nawet złożyć mu wizytę. Widoczna beczynność Tweeda działała mu na nerwy.

Marler usiadł na łóżku w przylegającym do salonu niedużym pokoju od frontu w mieszkaniu Newmana przy Beresforde Road. Obudził się właśnie z krótkiej drzemki. Spuścił nogi na dywan, wstał, wsunął koszulę w spodnie i po drodze do łazienki wszedł do salonu.

Newman chodził po dużym pokoju, trzymając ręce w kieszeniach spodni.

Zobaczywszy Marlera spojrzął na zegarek.

— Powinieneś trochę się zdrzemnąć, stary — poradził Marler.

— Spanie w ciągu dnia wybija mnie z rytmu.

W łazience Marler opłukał twarz zimną wodą i uczesał się. Kiedy wrócił do salonu, Newman nadal się przechadzał. Marler usiadł okrakiem na krześle i zapalił papierosa.

— Twój problem polega na tym, że byłeś kiedyś dziennikarzem — zauważył. —

Zawsze w ruchu. Jesteś jak zamknięta w klatce pantera. Zrelaksuj się.

— Nie mam ochoty. Lepiej byśmy coś zjedli. W pobliżu jest hotel, gdzie można dostać w miarę strawną posiłek. Na pewno wolałbyś nie próbować mojej kuchni, zresztą w tym upale nie chciałoby mi się nawet ugotować jajka.

— Zgoda. Mam strusi żołądek. Chodźmy.

Wkładając marynarkę Marler zdawał sobie sprawę z panującej w mieszkaniu napiętej atmosfery. Newman zastanawiał się, co może ich czekać w dworku Livingstone.

Główny inspektor Buchanan zboczył z drogi, zanim dotarł do mieszkania Adama Carvera. Intrygowało go, dlaczego tak trudno było odnaleźć Papę Grimwooda, człowieka, który towarzyszył nieżyjącemu Steve'owi podczas jego pierwszej wizyty w mieszkaniu Evelyn Lennox w Wandsworth.

Zaparkował przy żółtej linii w wychodzącej z Shaftsbury Avenue bocznej uliczce, naprzeciw wejścia do jedynej londyńskiej filii korporacji INCUBUS. Kiedy Buchanan zamknął wóz, Warden stwierdził:

— Stoimy na żółtej linii.

— Zauważyłem. A gdzie mamy zaparkować? Na tej spokojnej ulicy nikomu nie przeszkadzamy. Zobaczmy, czy dogrzebiemy się tu jakichś informacji. Z twojego telefonu wynikało, że nigdy nie słyszeli

o firmie „Braterstwo i Równość”.

Buchanan pokazał legitymację młodej recepcjonistce o niezbyt inteligentnym wyrazie twarzy. Odezwał się do niej jak do szesnastoletniej dziewczynki, ale uprzejmie:

— Chcę się widzieć z naczelnym dyrektorem firmy ubezpieczeniowej

„Braterstwo i Równość”. Jeśli nic pani o niej nie wiadomo, proszę mnie skontaktować ze swoim szefem.

— To pan Humble. Został mianowany niedawno, kilka tygodni temu.

Powiadomię go o pańskiej wizycie.

Buchanan poszedł za nią. Zapukała do drzwi, których górna połowa wykonana była z błyszczącego, nieprzezroczystego szkła. Wszystko wokół wydawało się staromodne i zużyte. Może celowo chciano wywołać takie wrażenie?

Wszedł za dziewczyną do środka. Siedzący przy starym, drewnianym biurku mężczyzna w średnim wieku uniósł głowę i na widok intruza spojrzął gniewnie zza złożonych okularów.

— W porządku — powiedział Buchanan do dziewczyny. — Teraz sam się już wszystkim zajmę. Zechce pani zamknąć drzwi i wrócić do recepcji.

— Nie może pan tak po prostu tutaj wchodzić!

Pokazując ponownie legitymację Buchanan stwierdził, że nazwisko Humble bardzo pasowało do tego człowieka. Naczelnny dyrektor wydawał się człowiekiem skromnym i pokornym. Miał piskliwy głos. Próbując okazać oburzenie robił

komiczne wrażenie. Buchanan przyciągnął do siebie rozchybotane krzesło i ostrożnie usiadł. Warden, z notesem w ręce, stał oparty o ścianę.

— Nie rozumiem, czego może pan chcieć — mówił dalej Humble. — Nie mieliśmy włamania ani niczego w tym rodzaju. Może pomylił pan adres? —

dodał z nadzieją w głosie.

— Z miejskiego rejestru spółek wynika, że pod tym adresem mieści się biuro firmy ubezpieczeniowej „Braterstwo i Równość”. Musi pan więc być jej szefem —

stwierdził Buchanan z przekonaniem.

— O ile mi wiadomo, to tylko drobna część naszej działalności. Jestem tu od niedawna...

— Papa Grimwood to jeden z waszych głównych agentów. Pracuje z człowiekiem, który został przez nas zidentyfikowany jako Steve Abbott.

— Nigdy nie słyszałem żadnego z tych nazwisk.

— Więc z pewnością nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że obejrzymy sobie kartoteki personelu. Rzecz jasna, może pan odmówić, ale wtedy zdobyłbym nakaz rewizji... i powiadomił o moich działaniach pana Franklina D.

Hausera.

— Nigdy nie spotkałem pana Hausera. Wolałbym, żeby pan się z nim nie kontaktował. — Humble był

poruszony. — Oczywiście może pan przejrzeć kartoteki personelu. Nakaz rewizji nie jest potrzebny. Chętnie współpracuję z policją. Uprzedzam jednak, że to może zabrać panu sporo czasu. Tych ksiąg jest całe mnóstwo.

Buchanan spojrział na Wardena, który skończył właśnie zapisywać coś w notesie.

Sierżant skinął głową, potwierdzając, że zanotował dokładnie słowa naczelnego dyrektora.

— Całe mnóstwo ksiąg — powtórzył Humble. — Wiem o panu Hauserze tylko tyle, że nie ufa komputerom. Twierdzi, że można je „orznać” — tak to chyba określił. Przechowujemy akta w pomieszczeniu na zapleczu. Proszę za mną...

Minąwszy drzwi Buchanan i Warden popatrzyli zdumieni. W pokoju stały rzędami, od ściany do ściany, zavalone księgami drewniane półki. Humble przeprosił ich i zostawił samych. Buchanan ściągnął marynarkę i powiesił ją na oparciu drewnianego krzesła, które pamiętało lepsze czasy.

— Do roboty, Warden. Lepiej się za to weźmy od razu. Przynajmniej grzbiety ksiąg są opisane.

— Śmieszna sprawa, panie inspektorze — stwierdził Warden, idąc za przykładem szefa. — Myślałem, że INCUBUS to jedna z najnowocześniejszych organizacji na świecie.

— Nie mylisz się, ale INCUBUS stanowi tylko fasadę. Sądząc t kilku napisów na obwolutach, które zdążyłem dotąd przeczytać, jest to spółka „Braterstwo i Równość”...

Zlokalizowanie księgi zarządu zajęło im chyba wieki. Buchanan odnalazł

nazwisko Leopolda Grimwooda. Mieszkał w Pimlico. Warden zanotował adres.

— Dlaczego Grimwood jest taki ważny? — zapytał.

— Z tego, co słyszeliśmy, wynika, że za tak zwanym funduszem uposażeń kryje się szantaż i wymuszanie. Jeśli uda nam się złamać Grimwooda, możemy ewentualnie zdobyć dowody przeciwko Hauserowi. Podkreślam słowo

„ewentualnie”.

— Dokąd teraz? — zapytał Warden, gdy Buchanan usadowił się za kierownicą ich wozu.

— Najpierw do mieszkania Adama Carvera w Chelsea. Bóg raczy wiedzieć, kiedy dotrzemy do apartamentu Franka Galvone przy Regent's Park. Skoro tyle się napracowaliśmy, przekaz przez radio adres Grimwooda z prośbą, żeby dwóch ludzi sprowadziło go na przesłuchanie.

Warden sięgał właśnie po mikrofon, gdy dotarła do Buchanana przesłana za pośrednictwem Scotland Yardu wiadomość od Tweeda.

Paula po raz piąty wstała od biurka, podeszła do okna i z założonymi na piersi rękami patrzyła w mrok. Tweed podniósł wzrok znad starych akt.

— Ponosi cię.

— Wiem. — Paula odwróciła się. Zobaczyła, że Monika też się jej przygląda. —

Nie potrafię znaleźć sobie miejsca. Na pewno moglibyśmy coś zrobić, zamiast tak siedzieć i czekać.

— Działa ci to na nerwy, prawda? — Tweed uśmiechnął się. — Jeśli tak, to pomyśl, jak musi czuć się Hauser? Odkąd zjawiłem się w Finlandii, deptę mu po piętach. Domyśli się, że trafiłem już na jego ślad w Anglii. Jest bystry. Będzie więc oczekiwał, że coś zrobię.

Tymczasem nic się nie dzieje. Jeden z naszych sławnych generałów nazwał to kiedyś „mistrzowską beczynnością”.

— Ta beczynność doprowadza mnie do szału — powiedziała z wściekłością Paula.

— Miejmy nadzieję, że Hausera także.

W godzinę później kurier z Wydziału Specjalnego przywiózł akta, które Peggy Vanderheld przekazała Butlerowi. Przepraszał za sporą zwłokę. Utknął w korku.

Jak zwykle w sezonie urlopowym ulice były zatłoczone. Tweed otworzył jedną z teczek, myśląc o czymś zupełnie innym.

Martwił się o Newmana i Marlera. Nagle powziął decyzję. Podniósłszy słuchawkę wykręcił numer Buchanana w Scotland Yardzie. Odpowiedziała mu policjantka, której głos wydał się Tweedowi znajomy.

— Mówi sierżant Murray-Browne. Czym mogę służyć? Kto przy aparacie?

— Nazywam się Tweed...

— Dzień dobry, panie Tweed. Byłam kiedyś u pana z inspektorem Buchananiem, gdy sierżant Warden źle się czuł. Czy mogę w czymś pomóc?

— Muszę pilnie skontaktować się z inspektorem.

— Niestety, od wielu godzin jest w terenie. Może uda mi się go zlokalizować.

Ma w samochodzie radio.

— To pilna wiadomość. Inspektor zna komisarza okręgowego z Suffolk. To nowy człowiek, z którym nie miałem okazji się spotkać. Czy inspektor Buchanan mógłby skontaktować się z komisarzem i poprosić o wysłanie jak największej liczby wozów patrolowych z uzbrojonymi policjantami w okolice dworku Livingstone? Bez wyjących syren. Ważne, żeby podjechali po cichu.

— Przekażę inspektorowi wiadomość, jak tylko złapię go przez radio. Czy to wszystko, panie Tweed?

— Wszystko. Proszę podkreślić, że policjanci powinni być uzbrojeni.

Skoncentrował się z powrotem na aktach. Przeglądał właśnie ostatnią teczkę, gdy do gabinetu wszedł Cord Dillon. Monika zaproponowała mu kawę. Zgodził

się chętnie. Zagłębił się w fotelu, a Tweed podał mu akta.

— Dostaliśmy je od Peggy Vanderheld. Dotąd odmawiała nam tych informacji.

Fascynujący materiał, ale nie widzę tu niczego, co mogłoby posłużyć do postawienia Hausera w stan oskarżenia u nas czy w Ameryce.

— Mogę ci powiedzieć nawet nie czytając tych akt — chociaż zamierzam je przejrzeć — że byłoby to prawie niemożliwe. Hauser ma w kieszeni tylu sędziów, że wątpię, by kiedykolwiek został skazany. Ale zobaczę...

Pięć minut później zadzwonił telefon. Tweed podniósł słuchawkę, zastanawiając się, kto telefonuje o tej porze. Dzwonił Marler.

— Zaraz wychodzimy z mieszkania Newmana. Jest teraz w łazience. Czy masz

— albo spodziewasz się mieć — dowody, które pozwolą wsadzić Hausera za kratki?

— Dziwne, że teraz o to pytasz. Jesteś chyba stuknięty. Masz jakiś powód?

— Zawsze mam jakiś powód, kiedy zadaję pytanie. Odpowiesz mi? Spieszę się.

— Zaczekaj pół minuty. — Tweed popatrzył na Dillona. Wiedział, że Amerykanin przeszedł kurs szybkiego czytania. Przerzucił już końcowe strony ostatnich akt. — Cord, co sądzisz po ich przejrzaniu?

— To samo, co przedtem. Do paru rzeczy można się przyczepić, ale zręczny obrońca wykazałby, że są bez znaczenia. A Hauser opłaca najlepszych amerykańskich adwokatów.

Tweed wziął głęboki oddech i zdjął rękę z mikrofonu.

— Odpowiedź brzmi: nie.

— Dziękuję.

Połączenie zostało przerwane. Tweed odłożył słuchawkę i wstał.

— Jadę teraz do Suffolk — powiedział do Pauli. — Możesz jechać ze mną, jeśli masz ochotę. Nie chcę zobaczyć po powrocie, jak zwisasz z przysłowiowego żyrandola.

— Nareszcie coś zaczyna się dziać.

Paula otworzyła dolną szufladę biurka i pod jego osłoną wyjęła torebkę, wsuwając do środka browninga kalibru 32 z zapasowymi magazynkami.

Podniósłszy się zobaczyła, jak Tweed sprawdza swego automatycznego walthera kalibru 7,65 mm. Chyba nigdy dotąd nie widziała, żeby nosił broń. W chwili gdy wsunął ją do kieszeni marynarki, również Dillon podniósł się z fotela.

— Zabieram się z wami, moi drodzy. Żadnych dyskusji. Coś się szykuje. Czuję to.

— Czy dotrzemy tam zaraz po Newmanie i Marlerze? — zapytała Paula.

— Nie mamy szans — stwierdził Tweed. — Wiesz, jak Newman jeździ.

O drugiej trzydzieści nad ranem Hauser pracował w swoim gabinecie, sprawdzając kolejne paragrafy w umowie, dotyczącej sprzedaży banku „Street i Braithwaite” w Southampton. Zadbał o to, aby ani Carver, ani Galvone nie dowiedzieli się, że o wpół do ósmej rano wypłynie w morze na pokładzie

„Waszyngtona IV”. Kierunek: Boston.

Nie był pewien, dlaczego instynkt podpowiadał mu, że czas już wyjechać z Wielkiej Brytanii. Niechętnie podejmował tę decyzję, gdyż dworek Livingstone stanowił idealnie wyposażoną centralę, ale jak dotąd udawało mu się przeżyć, ponieważ zawsze kierował się instynktem. Nacisnął klawisz interkomu.

— Adamie, chcę się z tobą widzieć. W moim gabinecie. Natychmiast.

Jeszcze jedną niedogodność stanowiły zamknięte na klucz oszklone drzwi. W

pokoju zaczynało się robić nieznośnie gorąco. Jednak mając do dyspozycji tylko czterech strażników Hauser czuł, że byłoby głupotą zostawiać drzwi na taras otwarte.

— Czym mogę służyć? — zapytał Adam, stając przed jego biurkiem.

Zauważył, że szef ogolił się i przebrał. Zapewne z powodu upału. Hauser podsunął mu plik papierów.

— Umów się na dzisiaj ze Streetem. Zobacz się z nim, póki jest jeszcze w szoku z powodu tej bomby IRA. I nie wracaj, zanim nie podpisze umowy.

Przyglądał się Carverowi. Anglik miał na sobie jedwabny garnitur w jasnoniebieską kratę. Nic dziwnego, że nie mogła mu się oprzeć prawie żadna kobieta. Cóż, ominie go kolacja z Evelyn Lennox. Chyba że zechce mieć randkę z trupem.

— Zapoznam się z tym w salonie, a potem położę się na parę godzin.

— Idź na górę, do biblioteki. Nie do salonu. Będę tam miał konferencję. Ruszaj.

Konferencję? O tej porze? Carver wzruszył w duchu ramionami, wchodząc z hallu na szerokie, kręte schody. Miliarder najwyraźniej obywatel się bez snu. „W

tym tkwi tajemnica jego sukcesu” — pomyślał Carver, zamykając drzwi biblioteki. Usadowił się w fotelu i zaczął studiować umowę.

Tuż przed wyjściem z gabinetu Hauser usłyszał telefon. Zaczekał, aż zadzwoni kilka razy. Nie spodziewał się kontaktu z nikim o tej porze. W końcu podniósł

słuchawkę.

— Kto mówi?

— Robert Newman. Pan Franklin D. Hauser, jak sędzę? Mam nadzieję, że nie przerywam panu krzepiącego snu, ale jest coś, o czym powinien pan chyba wiedzieć.

— Gadaj, a potem wynoś się do diabła!

— Zainteresuje pana zapewne wiadomość, że śledztwo w sprawie dokonanego z zimną krwią zabójstwa Sandry Riverton doprowadziło do odkrycia istotnego śladu. Guzika wyrwanego z płaszcza firmy Daks. Zimowego płaszcza brytyjskiej produkcji. Na guziku jest znak firmowy.

— Czy pan się upił? O co chodzi, do cholery?

— Znalazłem ten guzik wśród słomy na podłodze dzwonnicy, w której zamordowano Sandrę Riverton. Zostawiłem go tam. To ważny dowód. Za dnia znajdzie go policja. Miłych snów...

Połączenie zostało przerwane. Hauser zaklął. Namyślał się przez kilka chwil, po czym przeszedł szybko długim korytarzem do hallu. Skręciwszy do salonu otworzył drzwi, zamknął je za sobą, zbiegł po schodach i przemknął po kamiennej posadzce podziemnego korytarza. Wszedł do apartamentu Manescu.

Rumun znów leżał na kanapie i czytał gazetę. Właśnie zdejmował krawat. Było bardzo gorąco. Bez pośpiechu wstał z kanapy. Hauser czekał. Spodziewał się po swoich podwładnych większej gorliwości w okazywaniu mu szacunku.

— Jakież problemy? — zainteresował się Manescu.

Czekając na odpowiedź bawił się krawatem i skręcał go w spiralę. Jego smagły podbródek szpeciła ciemna szczecina.

— Niech się pan ogoli — rzucił Hauser ostrym tonem. — To pański pierwszy problem. Dzwonił do mnie właśnie ten obłąkany reporter, Robert Newman.

Mówi, że znalazł w dzwonnicy guzik wyrwany z brytyjskiego płaszcza. Może byłoby dobrze, gdyby rozejrzał się pan w ciągu dnia, czy nie ma tam jakiegoś guzika. Późnym popołudniem poleci pan do Belgradu. Trzeba podsycać napięcie.

Ma pan bilet na przybrane nazwisko, pod którym pan teraz występuje.

Rzucił bilet lotniczy na stolik. Wychodząc jeszcze się odwrócił.

— Zostawiam drzwi otwarte. Niech pan tylko nie zacznie węszyć po całym domu.

Idąc dalej korytarzem dotarł do apartamentu Iriny Sierowej. Była kompletnie ubrana i siedziała przy toalecie przed lustrem. Rzuciwszy szminkę wstała szybko, odwracając się do Amerykanina.

— Zmiana planów — powiedział Hauser. — Podobnie jak Manes-cu, wylatuje pani wcześniej —

dziś po południu. Samolotem do Monachium. Tu jest bilet.

Zna pani swoje zadanie. Ukraina ma stanąć w ogniu. Te drzwi będą otwarte.

Wyrusza pani o jedenastej rano.

— Zrozumiałam..

Hausera już nie było. Wyszedł po schodach, zamknął drzwi i na biurku w salonie wcisnął klawisz interkomu.

— To ty, Frank? Zejdź do mnie na dół. Adamie, słyszałeś, co powiedziałem?

Więc czemu cię tu jeszcze nie ma?

Kiedy obaj mężczyźni się zjawili, Hauser siedział za biurkiem. Otarł chusteczką gruby kark. Jakim cudem Adam Carver potrafił zachować w tym upale tak schludny wygląd? Dobrze było zresztą mieć przy sobie kogoś, kto należycie się prezentował. Galvone był świeżo ogolony, ale w poplamionej koszuli i dżinsach wyglądał jak łajza.

— Miałem właśnie telefon od Newmana — oznajmił im Hauser. — W środku nocy. To kretyn — i myślę, że blefuje. Powiedział, że znalazł na podłodze w dzwonnicy wyrwany z płaszcza guzik. I że go tam zostawił, żeby rano natrafiła na niego policja. Prymitywna wojna nerwów. Ale to oznacza, że Tweed znowu działa. Więc co, do cholery, on i ci jego zbóje teraz robią?

Adam Carver pomyślał, że to bezcenna uwaga, w dodatku wypowiedziana przez Hausera w obecności Franka Galvone.

— Zatankowałeś czerwonego jaguara na wyjazd do Southampton? — zapytał go Hauser.

— Do pełna — odpowiedział Carver krótko.

— Frank, polecisz z powrotem do Helsinek. Otworzysz tam znowu centralę.

Tweed nigdy się nie domyśli, że tak szybko ją uruchomiłem. Masz tutaj bilet. Nie spóźnij się na samolot. A teraz zostawcie mnie samego.

Wyciągnąwszy z wbudowanej w barenk chłodziarki dzbanek lodowato zimnej wody napełnił nią dużą szklankę. Wypił duszkiem do dna. Potem spojrział na zegarek. Wszystko już załatwił. Nie, pozostał jeszcze do sprawdzenia pewien istotny szczegół. Przeszedł korytarzem do gabinetu, otworzył oszklone drzwi na taras i skinąwszy głową do dwóch strażników ruszył szybkim krokiem przez trawnik w kierunku stojącego na lądowisku śmigłowca.

— Czy maszyna jest OK?! — krzyknął do pilota.

— Gotowa i chętna do startu.

— Pokaż mi to. Niech wzniesie się w górę i wylądaje.

Wirniki zaczęły się obracać, zaterkotał silnik. Śmigłowiec wzbił się w powietrze i zatoczywszy koło nad ziemią osiadł idealnie na lądowisku. Pilot odsunął szybę, uśmiechając się do Hausera.

— Przekonałem pana?

— Przestań się głupio uśmiechać. Nie lubię zadowolonych z siebie facetów.

Zabierzesz mnie na pokład „Waszyngtona IV”?

— Oczywiście, sir. Właśnie zacząłem służbę. Komunikaty meteo zapowiadają spokojny lot.

— Oby tak było.

Szybka łódź motorowa stała w pobliżu wschodniego wybrzeża Anglii. Sternik przyglądał się sześciu barczystym mężczyznom, czekając, aż spuszczą za burtę duży ponton z silnikiem, przeniosą do niego zaopatrzoną w tłumiki broń, pistolety gazowe z nabojami porażającymi śmiertelnie system nerwowy, i zejdą sami z pokładu motorówki.

Dowódca grupy miał mapę Walberswick, na której zaznaczony ołówkiem krzyżyk określał położenie „Różanej altanki”. Planowali przycumować ponton u wejścia do portu i dotrzeć pieszo przez wydmy do Ulicy, wiejskiej drogi, przy której stał dom Evelyn. Po wykonaniu zadania mieli go podpalić, używając przygotowanych wcześniej kanistrów z benzyną, a potem wrócić do pontonu.

Oceniał, że zajmie im to trzydzieści minut. Najwyżej.

Człowiek siedzący przy sterze uruchomił silnik i skierował ponton w stronę wejścia do portu. Była bezksiężycowa noc. „To nam jeszcze ułatwi sprawę” —

pomyślał dowódca grupy, gdy ponton kołysał się na niewysokich fałach, podpływając coraz bliżej do drewnianej palisady.

Marler skłamał, mówiąc Tweedowi, że Newman jest w łazience. Newman pojechał wcześniej na Old Kent Road po Alfa Higginsa. Kiedy tylko jego mercedes zjawił się z powrotem, Marler zasiadł obok Newmana, niosąc dużą brezentową torbę z regulowanym paskiem. Higgins, mocno zaciskając dłonie, siedział z tyłu i milczał prawie przez całą drogę.

Jechali przez Suffolk. Nie przygaszone reflektory oświetlały okoloną żywo płotami pustą drogę. W ciągu ostatniej godziny nie widzieli na niej ani jednego pojazdu. Dopiero teraz Newman zadał szeptem nurtujące go pytanie:

— Co masz w tej ciężkiej torbie?

— Trochę sprzętu, który dostałem od Alfa — odpowiedział szeptem Marler. — I kilka zabawek przywiezionych z kursu na temat materiałów wybuchowych pod Amersham.

— Spodziewasz się z tego korzystać?

— Nie mam pojęcia, stary. Powiem ci, kiedy tam dotrzemy i trochę się rozejrzemy. Moja dewiza to być przygotowanym. Nie wiesz, że należałem kiedyś do skautów, prawda?

— Trudno sobie wyobrazić kogoś mniej odpowiedniego...

Byli już o kilometr od dworku Livingstone. Zegar na tablicy rozdzielczej pokazywał godzinę drugą trzydzieści nad ranem. Newman zwolnił.

— Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmił Marlerowi.

— Wiem. Nie mówiłem ci? Któregoś wieczoru po naszym powrocie z Finlandii przyjechałem tu sam na rekonesans. To było wtedy, gdy Monika powiedziała mi o maszynach cyfrowych i innych urządzeniach, które Hauser kazał zainstalować w swoim domu.

— Co to był za rekonesans?

— Och, zwyczajna rzecz. Po zapadnięciu zmroku dostałem się na teren posiadłości i obszedłem tę georgiańską rezydencję Hausera. Naliczyłem dziewięciu strażników. Będziemy musieli zachować ostrożność. A jeśli któregoś z nich spotkamy, zostaw go mnie. Jadąc do twojego mieszkania wpadłem po drodze do pewnego podrzędnego nocnego klubu. To jedno z tych miejsc, w których zabawia się nielegalnie tak zwana arystokracja. •

— O czym ty mówisz, do cholery?

— Przy odrobinie szczęścia nigdy się nie dowiesz. Powinniśmy zaparkować wóz. Skręć na to pole za drzewami. Jesteśmy już blisko. Weź głęboki oddech, stary. Zaczyna się...

Butler zaprowadził Evelyn i Peggy na koniec ogrodu na tyłach „Różanej altanki”.

Ich wzrok przywykł już do ciemności i widziały, którędy mogą bezpiecznie iść.

Obie ubrane były w przyniesione przez Evelyn kombinezony, na głowy naciągnęły jasnoszare, nieprzemakalne kaptury, których Evelyn używała do pracy w ogrodzie podczas deszczu.

— Znajdź jakieś ubrania ochronne, jeśli możesz — poprosił ją wcześniej Butler.

— I dwie pary spodni, o ile twój rozmiar będzie pasował na Peggy...

Tak więc obie kobiety pod kombinezony włożyły spodnie. Butler dał teraz ręką znak, żeby się zatrzymały. Pojawienie się lecącego nisko nad Walberswick śmigłowca było dla Butlera i Nielda ostrzeżeniem, że jeszcze przed świtem może im wszystkim grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Butler, zaopatrzony w ogrodowe rękawice, rozsunął ostrożnie krzaki jeżyn na skraju ogrodu i przytrzymał je, aby obie kobiety mogły przejść. Przystanął na końcu działki i Butler pokazał im ich kryjówkę.

— Jest tu duży rów, zarośnięty prawie w całości trawą. Chcę, żebyście się w nim schowały i siedziały cicho. Nawet gdybyście usłyszały, że ktoś nadchodzi, nie ważcie się poruszyć. Możecie słyszeć strzały. To ja będę strzelał. Bez względu na wszystko pohamujcie swoją ciekawość i nie wyglądajcie, żeby sprawdzić, co się dzieje...

Zaczekał, aż obie kobiety ułożą się w szerokim rowie i przykrył je jeszcze trawą.

Od tygodni nie padało, rów był więc zupełnie wyschnięty. Co najwyżej mogło się w nim roić od robactwa. Butler miał nadzieję, że odzież ochronna zabezpieczy Evelyn i Peggy przed wszelkimi insektami.

— Gdzie jest Niel? — zapytała szeptem Evelyn.

— Stoi na czatach przed domem. Będę w pobliżu. Możliwe, że zostaniecie tu dość długo. Postarajcie się rozluźnić.

— Może chciałbyś, żebyśmy się przespały? — W głosie Peggy słychać było ironię.

— Właśnie — odparł Butler. — Miłej drzemki.

Przemknął ostrożnie wzdłuż parkanu i zatrzymał się dokładnie w połowie drogi do domu. Zarzuciwszy broń na plecy wspiał się na stary dąb, który wcześniej sobie upatrzył. Usadowił się w zagłębieniu między dwoma grubymi konarami i sprawdził pole ostrzału. Widział z tego miejsca jak na dłoni cały tył ogrodu.

Ktokolwiek się tam pojawi, będzie stanowić dla niego łatwy cel. Oparł się wygodnie i czekał.

Marler również siedział wysoko na drzewie na skraju rozległej posiadłości.

Zanim wysiadł z mercedesa, zdjął marynarkę i przywdział kombinezon, którego nie rzucający się w oczy kolor harmonizował z barwą liści. Z jednej z głębokich kieszeni wyjął lornetkę i obserwował teren w pobliżu dworku.

Siedział na gałęzi już ponad pół godziny. Przez cały ten czas zauważył tylko trzech pełniących służbę strażników. Tego się nie spodziewał. Obchodzili dom w pojedynkę, a posiadłość była tak duża, że każdy z nich pojawiał się w danym miejscu co dziesięć minut.

Podczas poprzedniego rekonesansu Marler naliczył dziewięciu strażników.

Chodzili wtedy parami. Dwie dwójki patrolowały okolice domu, a reszta otaczający go teren i granice posiadłości. Jeden z ludzi nawet przeszedł pod drzewem, na którym siedział, ale żaden nie spojrzał w górę, zupełnie jakby byli w centrum miasta.

Gdzie, do diabła, podziało się pozostałych sześciu strażników? Marler wątpił, by wszyscy znajdowali się wewnątrz domu. Kiedy dysponowało się tyloma ludźmi, rozsądnym rozwiązaniem było rozlokowanie większości z nich na zewnątrz. O ile się nimi dysponowało.

Właśnie w tym momencie zauważył, że czegoś brakuje. Na zwirowanym okrągłym podjeździe z drugiej strony domu stały zaparkowane tylko trzy samochody. Czerwony jaguar, długa czarna limuzyna, niewątpliwie należąca do Hausera, i czerwony cadillac. Przedtem doliczył się dziewięciu samochodów różnych marek. Marler miał anielską cierpliwość — żeby nabrać pewności, postanowił jeszcze trochę poczekać.

Siedzący w mercedesie Newman nie wykazywał bynajmniej takiej cierpliwości.

Miał spuszczone w wozie wszystkie szyby. Bębnił palcami o kierownicę, co pięć minut spoglądając na zegarek. Alf Higgins poruszył się na tylnym siedzeniu.

— To musi potrwać — zauważył. — Nie można się spieszyć, bo inaczej człowieka złapią. Pan Enderson zna swój fach.

— Miło mi to słyszeć — odparł Newman opryskliwie.

— Znałem kiedyś takiego gościa jak pan — ciągnął z uporem Higgins. — Robił

skok w Lunnon. Powiedziałem mu, że nie powinien tak cholernie się spieszyć.

„Najpierw zbadaj jak należy teren” — mówię. Nie posłuchał mnie. Wie pan, gdzie teraz jest? Odsiaduje dziesięć lat w Strangeways.

— Bardzo podnosząca na duchu opowieść.

— Próbuję tylko wam pomóc. Dlaczego pan nie wysiądzie i nie przejdzie się trochę? W samochodzie człowiek sztywnieje.

Newman postanowił skorzystać z tej rady. Otworzył drzwiczki, wyszedł na trawę.

Przespacerował się z powrotem do drogi, nasłuchując, czy coś nie nadjeżdża. W

tym momencie wrócił Marler. Podszedł bezszelestnie.

— Stary, czas już, żebyś zabrał się do roboty — powiedział do rozdrażnionego Newmana.

Pete Nield stał przed „Różaną altanką”, trzymając pożyczoną od Evelyn dużą aktówkę. Ulica była bardzo spokojna, tak bardzo, że niemal słyszał

przytłaczającą ciszę. Był wczesny poranek, ciężkie powietrze nie ostygło jeszcze po poprzednim upalnym dniu.

Obejrzał się na dom, którego miał strzec. Nie paliły i*ię w nim światła, frontowe drzwi były zamknięte i zaryglowane. Nield łamał się, czy pójść za głosem instynktu. Tak często się nim dotąd kierował i zawsze okazywało się, że robił

słusznie.

Chwyciwszy mocniej aktówkę zszedł z posterunku i ruszył pospiesznie w kierunku granicy miasteczka, w stronę morza. Skręcił na drogę, prowadzącą między porośniętą trawą wydmy. Poczuł na twarzy lekką bryzę. Przyspieszył

kroku, pozostawiając za sobą pogrążone w ciemnościach domy.

Nagle przystanął niezdecydowany. Butler liczył na jego wsparcie.

Współpracowali ze sobą w niejednej rozpaczliwie trudnej sytuacji. Teraz jego postępek wyglądał na dezercję. Kiedy tak stał, zamierzając już zawrócić, docierał

do niego jedynie delikatny szum poruszanych wiatrem traw. Czy na pewno?

Zaczekał jeszcze chwilę, przekonany, że zawodzi go słuch.

Potem znów usłyszał ten dźwięk. Cichy odgłos pracującego silnika. Od strony morza, z newralgicznego kierunku. Odkąd sprawdzał po raz pierwszy, czy Walberswick zapewnia bezpieczne schronienie, cały czas był przekonany, że zagrożeniem jest morze. Zboczył z drogi, przedzierając się najszybciej jak mógł

przez pagórkowate tereny wydmy po zdradliwym, sypkim piasku. Wspiął się na jedną z nich, aby móc zobaczyć, co widać za podłużnym nasypem z kamieni.

Zamrugał, zacisnął powieki i szybko otworzył oczy. Za wzgórzem rozciągał się pas spokojnego morza. Gdy zamarł słaby odgłos silnika, Nield dostrzegł na wodzie białą wstęgę. Czyżby ślad motorówki? A może mu się tylko zdawało?

Obejrzał się. Gdyby tamci przyjechali samochodem, stanęli przy „Różanej altance” i zaatakowali dom, Butler byłby zdany na własne siły.

Walcząc z sobą przedzierał się dalej przez wydmy. Czuł coraz silniejszy zapach słonej wody. Potem zaczął się wspinać na śliski kamienny nasyp, z którego widać było plażę i wejście do portu. Stał tam,

samotny wobec nocy i morza, wypatrując błysku świateł nawigacyjnych. Na próżno. Czekał dalej, spojrzawszy na podświetlaną tarczę zegarka. Potrzebował dziesięciu minut, aby dotrzeć z domu do tego miejsca. Zaczeka jeszcze trzy minuty, a potem będzie biegł całą drogę z powrotem, potykając się o wydmy.

Usłyszał cichy odgłos uruchamianego silnika, brzmiał on jednak inaczej niż poprzednio. Usiadł na kamiennym nasypie, lecz doszedłszy do wniosku, że przez noktowizor ktoś mógłby dostrzec jego sylwetkę, przykucnął za kamieniami.

Kolejny raz włączono jakiś silnik, ale jego warkot natychmiast zamarł. Co się działo, do diabła? Odróżniał teraz coraz bliższe portu dudnienie umieszczonego za burtą motoru. Kapitan szybkiej łodzi, jednostki macierzystej, sprawdził swój silnik i wyłączył go. Ale dudnienie stawało się coraz głośniejsze.

Widział już na powierzchni wody trójkątny ślad za rufą nadpływającej łodzi.

Wyjął z kieszeni marynarki noktowizor, który Tweed kazał im zawsze nosić przy sobie. Patrząc z ukrycia nastawił ostrość na punkt tuż przed powstającą na wodzie falą. To był duży, gumowy ponton. Z własnym napędem. Płynęło nim sześciu ludzi. Wyglądało na to, że wszyscy mają na sobie marynarskie kurtki i czapki z daszkami, a w rękach automatyczne karabiny.

Nield triumfował. Jego domysły okazały się słuszne. Napastnicy przybywali od strony morza — tak jak od początku przewidywał. Tylko czy naprawdę to byli napastnicy? Nield stanął przed dylematem. Było lato. Turyści lubili czasami spędzać czas w oryginalny sposób. Na przykład pożegłować w środku nocy po gładkim jak staw morzu. Nie mógł być całkowicie pewien, czy oni naprawdę mają karabiny.

Ponton coraz wyraźniej wyłaniał się z mroku i zdawał się zmierzać prosto w kierunku wejścia do portu. Nield zacisnął zęby ze złości. Skąd miał wiedzieć, czy ci ludzie nie zamierzali przepłynąć między drewnianymi palami, żeby po wieczornym rejsie wzdłuż wybrzeża zawinąć w głąb lądu na nocleg? W tym momencie przypomniał sobie

o łodzi motorowej.

Stanął tak, aby być dobrze widocznym, i złożony dłonie przy ustach ryknął na cały głos:

— Wyłączcie natychmiast silnik albo zdmuchnę was z powierzchni wody...

Wypowiedziawszy to ostrzeżenie rzucił się na płask za kamienny nasyp. Ledwie zdążył. Z pontonu posypały się kule. Miarowa kanonada była niepokojąco celna.

Gdy zniknął za swą prowizoryczną osłoną, wystrzelona z broni z tłumikiem kula śmignęła na prawo od jego głowy. Słyszał, jak inne uderzają w znajdujące się przed nim kamienie. Jakiś kamyk poszybował w powietrze i spadł o parę centymetrów od jego lewej nogi.

Nield wydobyl z aktówki pistolet maszynowy typu Uzi. Broń, przywieziona przez kuriera z Wydziału Specjalnego, miała magazynek na czterdzieści naboju, wystrzeliwanych z prędkością sześciuset sztuk

na minutę. Nield oparł wylot lufy o szczyt kamiennego nasypu, wycelował w dolną część kadłuba gumowego pontonu i nacisnął spust. Grad kul przeszył burtę powyżej i poniżej linii zanurzenia.

Nield załadował następny magazynek i zobaczył, że ponton przechyliła się na prawą burtę, wyrzucając sześciu mężczyzn do wody, a potem wywraca się do góry dnem i znika pod powierzchnią. Wystrzelił ponownie, celując ponad kołyszącymi się na wodzie głowami. Kilku z rozbitków próbowało dobić do brzegu. Zmienili kierunek i zaczęli płynąć na pełne morze w nadziei dotarcia do łodzi motorowej. Była tak daleko, że Nield ledwie ją dostrzegł.

Włożywszy nowy magazynek ponownie otworzył ogień, celując zawsze ponad podskakujące na powierzchni głowy i młóćące wodę ręce. Zobaczył, jak dwóch ludzi pogrąża się w morzu. Nie z powodu jego strzałów — musieli być marnymi pływakami.

Wstał, by lepiej widzieć. Dostrzegł teraz cztery głowy. Po chwili jeszcze jedna zanurzyła się w wodzie. Nield schował uzi z powrotem do aktówki. Czas się stąd wynosić. Po raz ostatni rzucił okiem na morze. Na powierzchni widoczne były tylko dwie kołyszące się głowy. Nield odwrócił się, wzruszając ramionami.

— I co z tego? — powiedział do siebie. — To byli zabójcy, gotowi do popełnienia zbrodni.

Kiedy wszedł do ogrodu na tyłach „Różanej altanki”, aby odszukać obie kobiety, Butler zeskoczył z dębu.

— Jesteś dziwnie spięty — zauważył. — Czyżbyś kogoś spotkał?

Marler, Newman i Higgins wspięli się na drzewo i przeskoczyli przez otaczający dworek Livingstone parkan. Teraz skradali się wzdłuż frontowej ściany domu.

Widząc, że strażnik znika za rogiem budynku, Marler dał znak do rozpoczęcia akcji. Mieli dziesięć minut na dostanie się do środka, zanim zjawi się następny.

Okna, które mijali, wychodziły z salonu. Newman zapamiętał ten szczegół podczas lutowej wizyty w dworku. Powiadomił o tym szeptem swych towarzyszy.

— Sprawdzę, czy ktoś tam jest — odpowiedział również szeptem Higgins.

Wyjął z kieszeni przyrząd przypominający stetoskop i przyłożywszy jeden jego koniec do szyby, umieszczoną na drugim końcu słuchawkę przytknął do ucha.

Newman spojrział na zegarek. Byli bardzo spóźnieni. Tak długo trwało, zanim Marler wrócił do mercedesa, a teraz ten facet nasłuchiwał bez końca...

Higgins pociągnął delikatnie za gumową przyssawkę i zdjął ją z szyby.

— Nikogo tam nie ma.

— Skąd ta pewność? — zapytał Newman.

— To bardzo czuły przyrząd. Wylapuje odgłos przewracanych kartek albo ruch człowieka poprawiającego się w fotelu. Gwarantowana sprawa. Nikogo tam nie ma. Niech pan otworzy frontowe drzwi — powiedział do Marlera — ale bez pośpiechu...

Newman zaklął w duchu na tę uwagę. Zanim jeszcze wysiedli z mercedesa, doszło do sprzeczki. Higgins przekonywał ich, że nikt się nie spodziewa włamania przez frontowe drzwi. Teraz obejrzał solidną drewnianą płytę i framugi z pomocą kieszonkowej latarki.

— Żadnych urządzeń alarmowych. Do roboty.

Marler stanął przed drzwiami, dopasował klucz do najniższego z trzech zamków, wsunął go powoli do środka i przechylił głowę, uważnie nasłuchując. Zamek puścił. Dwa pozostałe otworzył szybciej, niż się spodziewał. Higgins wręczył

Newmanowi przypominający latarkę niewielki przyrząd, mówiąc ostrzegawczym szeptem:

— To ta zabawka, o której mówiłem panu w samochodzie. Wykrywacz promieni fotokomórki. Kiedy go pan włączy, załatwia wiązkę światła na trzydzieści sekund i alarm nie działa.

— Wchodzi pan z nami... — zaczął Marler.

Spóźnił się. Higgins popędził obok zaciemnionych zasłonami okien, zdejmując w biegu marynarkę. Zapewne po to, by mieć miękki podkład, gdy będzie przechodził przez parkan z drucianej siatki i wspinał się z powrotem na drzewo.

— Zostaw to mnie — powiedział Newman. — Znam rozkład domu.

Trzymał przy prawym boku smith and wessona, mając w Bogu nadzieję, że nie będzie zmuszony naciskać na spust. Ciche wykorzystanie broni jako tępego narzędzia to osobna sprawa. Obróciwszy powoli klamkę uchylił drzwi. Były dobrze naoliwione i nie wydały żadnego dźwięku. Otworzył je szerzej. Zobaczył

duży hall, biegnące na górę kręte schody i długi korytarz, prowadzący do innego pomieszczenia na tyłach domu. Drzwi do niego były otwarte, a wewnątrz paliło się światło.

Sprawdził czas. Dziewięć minut. Wkrótce przy frontowych drzwiach pojawi się strażnik. Skinąwszy głową na Marlera obszedł wycieraczkę — na wypadek, gdyby było pod nią urządzenie reagujące na nacisk — i zamknął bardzo ostrożnie drzwi. Marler stał pod ścianą, w lewej ręce ukrywał niewielki cylindryczny pojemnik. Obaj mieli buty na gumowych podszewkach. Newman przeszedł przez hall i zajrzał do salonu. Higgins miał rację — nikogo tam nie było.

Zostawiwszy drzwi otwarte wszedł do środka. W pokoju nie zainstalowano żadnych fotokomórek. Zwrócił już na to uwagę w czasie poprzedniej wizyty.

Wskazał na drzwi w jednej ze ścian. Marler przyjrzał się zamkowi, próbując dopasować do niego klucz. Bez rezultatu. Wybrawszy inny pokręcił nim, ale znów niczego nie usłyszał. Trzeci klucz okazał się za duży. Newman sięgnął mu przez ramię, obrócił powoli klamkę i pchnął drzwi. Otworzyły się, ukazując prowadzące w dół, do podziemi, kamienne schody.

— Zrobię szybki rekonesans — szepnął Marler.

Newman czekał w cieniu u szczytu schodów, gdy Marler ostrożnie schodził w dół. Długi kamienny korytarz oświetlały umieszczone pod sufitem jarzeniówki.

Trzymając przed sobą „latarkę” Marler posuwał się wzdłuż niego. Minał po drodze kilka wnęk i pogrążonych w mroku bocznych przejść.

Nagle tuż przed nim otworzyły się jakieś drzwi i pojawił się w nich strażnik. Był

to olbrzym, mierzący dobrze ponad metr osiemdziesiąt i zbudowany jak zapaśnik. Liczył sobie trzydzieści parę lat i miał włosy przystrzyżone na jeża.

„Były komandos” — pomyślał Marler. Wsunął do kieszeni „latarkę”.

Strażnik, ubrany w podkoszulek bez rękawów i luźne spodnie, spojrział z uśmiechem na niewysokiego, drobnego Marlera. „Zjem cię żywcem, chłoptasiu”

— pomyślał. Zaczął się do niego zbliżać, zaciskając wielkie pięści. Na lewym biodrze miał w

kaburze broń. Przypuszczał, że „chłoptaś” się cofnie, jednak Marler wybiegł naprzód i zamachnąwszy się uzbrojoną w kastet prawą ręką grzmotnął olbrzymia w potężną szczękę. Ogłuszony strażnik zachwiał się, schylił

głowę. Marler uskoczył na bok i usztywnioną lewą ręką rąbnął go z całej siły w kark. Strażnik runął twarzą do ziemi i uderzył szczęką o kamienną posadzkę.

Padł i leżał bez ruchu.

Marler sprawdził leżącemu mężczyźnie tętno na szyi i podniósł wzrok na Newmana, który właśnie zbiegł po schodach.

— Trup na miejscu — powiedział. — Uderzył o posadzkę, jakby zawalił się Empire State Building. Pomóż mi zaciągnąć go w jakiś boczny korytarz...

Gdy ukryli strażnika w ciemnościach, Marler sięgnął do marynarki i wyciągnąwszy niewielki pakunek wetknął mu go do kieszeni spodni.

— Co to jest? — spytał Newman.

— Kokaina. Kupiłem kilka paczek tego świństwa w nocnym klubie. Gdyby go znaleźli, kiedy będziemy jeszcze w podziemiach, dojdą do wniosku, że przedawkował prochy, upadł i rozwalił sobie czaszkę o kamienną płytę.

— Rozejrzyjmy się — powiedział Newman.

Zaszli dalej w głąb korytarza. Wtem usłyszeli za sobą odgłos otwieranych drzwi.

Marler pospieszył za Newmanem do mrocznego korytarzyka. Rozległy się jakieś głosy, oddalające się powoli kroki. Newman wyjrzał. Kobieta i mężczyzna.

Patrzyli na siebie, rozmawiając. Widział ich na zdjęciach. Irina Sierowa i IonManescu.

— W jaki sposób utrzymują tu taką czystość? — pytał Manescu.

— Mają dochodzącą służbę — wyjaśniła Sierowa — miejscowych wieśniaków, ale ci zjawiają się tylko za dnia. Hauser nie pozwoliłby im tu mieszkać...

Weszli po schodach. Słysząc było odgłos otwieranych i zamykanych drzwi.

Newman uświadomił sobie, dlaczego wejście nie było zamknięte na klucz. Z

jakiegoś powodu dwójce terrorystów — czy sabotażystów, jak wyraził się Tweed

— pozwolono tego wieczoru swobodnie się poruszać.

— Rozglądajmy się -dalej — powiedział Newman.

W połowie długiego korytarza natrafili na fotokomórkę. U góry „latarki” zapaliło się czerwone światełko. Marler włączył ją. Przeszli obok zainstalowanych w ścianach z kamienia, na wysokości kostek, elektronicznych oczu. Zaraz za nimi znajdowały się zamknięte drzwi.

Marlerowi udało się je otworzyć dopiero trzecim kluczem. Znaleźli się w łukowato sklepionej piwnicy. Z dwóch stron pod ścianami poustawiane były znajome skrzynie z napisem „Mrożone ryby”. Marler podniósł wieko jednej z nich i spojrzał na szarą, ciastowatą masę. Newman otworzył kolejną skrzynię.

Zawierała tę samą substancję.

— Semtex — stwierdził Marler. — Zanim wyruszyliśmy, dzwoniłem do Tweeda.

Powiedział, że nikt nie zdoła postawić Hausera przed sądem. — Marlerowi niósł na plecach torbę na krótkim pasku. Teraz zdjął ją, położył na podłodze i otworzył klapę. — Wyjdź stąd i ubezpieczaj mnie od tyłu.

— Co chcesz zrobić?

— Ruszaj, nie mamy czasu...

Newman wyszedł na zewnątrz, zamknął drzwi i wśliznąwszy się w mroczny korytarzyk czekał. Miał wrażenie, że trwa to całą wieczność. Spoglądał ciągle na podświetlaną tarczę zegarka. Nagle usłyszał, że Manescu i Sierowa wracają korytarzem. Irina właśnie coś mówiła:

— Ten spacer wokół domu dobrze mi zrobił. — Jej głos brzmiał zaskakująco kobieco i uwodzicielsko. — Teraz pora iść spać. Po południu odlatujemy, a chcę dotrzeć do Monachium w dobrej formie. Stamtąd do późnej nocy będę nadawać przez radio instrukcje...

Newman usłyszał odgłos zamykanych drzwi — jednych, potem drugich. Mieli oddzielne pokoje. Znowu spojrzał na zegarek. Co, do cholery, Marler robił tam tyle czasu? Newman chciał za wszelką cenę być o świcie daleko od dworku Livingstone.

Otworzyły się drzwi. Marler z torbą przerzuconą przez plecy zaczekał, aż Newman wyłoni się z mroku i skinie na niego. Próbował użyć tego samego co poprzednio klucza, aby zamknąć drzwi, ale okazało się to niemożliwe.

Zapomniał poprosić Alfa o stosowne instrukcje. Spojrzał w głąb korytarza.

— Tamte drzwi są lekko uchylone — wyszeptał.

— Pora się zbierać...

— Jedną chwileczkę. Tylko tam zajrzę.

Marler otworzył szerzej drzwi i stwierdziwszy, że pokój jest pusty, wszedł do środka. Podążając za nim Newman ujrzał ogromną ścienną mapę Europy i Rosji z wetkniętymi przy różnych znanych miastach czerwonymi pinezkami.

— Mój Boże! — wykrzyknął. — To cele ataków bombowych w całej Europie.

Czytujesz gazety?

— Czasami. Widzę pinezkę obok Kijowa. Wyszadzono tam siedzibę KGB.

Zginęło co najmniej dwadzieścia osób.

— Hauser to potwór. Nic go nie powstrzyma w pogoni za władzą. Chce destabilizacji, żeby potem budować na gruzach. W amerykańskim stylu. —

Newman spojrział na Marlera. — Co tam trzymasz? Wygląda to jak przenośny kieszonkowy telefon.

— Wyposażony w cyfrowe klawisze. Skonstruowali go nasi specje z laboratorium przy Park Crescent. — Marler wyciągnął antenę. — To sprytna zabawka. Nadajnik radiowy do zdetonowania bomby. Powiedziałbym, *as* w piwnicy obok jest całkiem sporo materiałów wybuchowych. Przyciskam właściwą kombinację cyfr — w tym przypadku sto czterdzieści dwa — i sygnał

radiowy przesyłany jest do bomby.

— Zmontowałeś wszystko tam, w podziemiach?

— Niezupełnie. Miałem odpowiednie urządzenie w torbie. Wymagało to trochę przygotowań. Zapomniałeś o semteksie, który zabrałem z ciężarówki niedaleko Porvoo, a potem z Instytutu Meteorologii w Laponii. Chyba już powinniśmy opuścić tę luksusową posiadłość milionera, jak mówią agenci od sprzedaży nieruchomości.

— Natychmiast. Po co jest ten nadajnik?

— Na wszelki wypadek. Gdybyśmy w powrotnej drodze na kogoś się natknęli.

Myślę, że kiedy wyjaśnię im sytuację, chętnie wyprowadzą nas z tego terenu.

— A więc ruszajmy. I to szybko!

Tweed prowadził z dużą szybkością po krętej drodze nowe volvo kombi, które dostali za zgodą Howarda. Paula siedziała obok, trzymając się kurczowo uchwytu u góry, gdy wóz pokonywał długi zakręt. Z tyłu Cord Dillon żuł nie zapalone cygaro.

— Chyba jesteśmy już blisko dworku Livingstone — stwierdziła Paula. —

Poznałam zakręt, przez który właśnie śmignąłeś tym swoim samolotem.

— Martwię się — burknął Tweed, nie zmniejszając prędkości. — Nie widzieliśmy żadnych radiowozów. Policja powinna być już na miejscu.

— Może się ukryli — snuła domysły Paula — chociaż wtedy, biorąc pod uwagę twój styl jazdy, któryś by cię pewnie zatrzymał.

— Bóg jeden wie, jakie Newman i Marler podejmują ryzyko. A Hauser jest bezwzględny. Masz rację, to już niedaleko. Skręcę w pole i zaparkuję za tamtym zagajnikiem.

Paula wreszcie usiadła swobodniej. Tweed zaparkował wóz i wyłączył silnik.

— Zobacz, mercedes Boba...

Paula wyskoczyła i podbiegła do stojącego samochodu. Na tylnym siedzeniu poruszył się jakiś mężczyzna. Otworzył drzwiczki, wysiadł i dotknął ręką grzywki w geście powitania.

— Dzień dobry pani — odezwał się Alfred Higgins. — Jestem George Budge, do usług. Właśnie uciałem sobie drzemkę. Głupio jeździć nocą, kiedy jest się zmęczonym. Nie ma co się spieszyć...

Jadąc wiele kilometrów za Tweedem główny inspektor Buchanan również przekraczał dozwoloną prędkość. Siedzącemu obok Wardeno-wi wydawało się, że niebezpieczne zakręty pokonują na dwóch kołach.

— Czy musimy tak pędzić, panie inspektorze? — ośmielił się spytać. — Przecież w końcu i tak tam dotrzemy.

— „W końcu” może być już za późno. Zbyt długo musiałem przekonywać asystentkę Tweeda, Monikę, żeby mi powiedziała, gdzie jej zdaniem pojechał

Newman. Ten człowiek chce pomścić śmierć swojej dziewczyny, Sandry Riverton. Zdemaskował zabójcę.

— Dlaczego pan tak przypuszcza?

— Nie przypuszczam. Ja to wiem. Monika także. Wszystko przez ten przeklęty guzik od płaszcza.

— Ostrożnie, siedzi pan za kierownicą.

— Zdziwiał mnie twoja spostrzegawczość — odparł Buchanan, dociskając mocniej pedał gazu.

Marler i Newman wydostali się już niemal poza teren ogrodu otaczającego dworek Livingstone, gdy opuściło ich szczęście. Marler wdrapał się na drzewo na granicy posiadłości i zeskoczył na ziemię. Newman szedł za nim i piął się właśnie z gałęzi na gałąź po pniu, kiedy usłyszał odgłos wystrzałów automatycznego karabinu. Spojrzał za siebie. Na trawniku stał jeden ze strażników. Musiał

zobaczyć poruszające się liście, może też stwierdził, że frontowe drzwi nie są zamknięte na klucz.

Listowie rozpryskiwało się pod kulami. W ruchach Newmana widać było rozpaczliwy pośpiech. Twarz obsypał mu deszcz liści. Kule przelatowały bardzo blisko. Uchwycił się gałęzi nad głową i zaryzykował ostatnie spojrzenie za siebie.

Zobaczył drugiego strażnika. Też trzymał karabin przy ramieniu. Gdy Newman zeskoczył na ziemię obok Marlera, liście drzewa poszarpał grad kul.

— Na drugą stronę drogi! — krzyknął Marler. — Jest tam wzgórze i jeszcze jeden zagajnik. Jeśli do niego dotrzemy, będziemy ich mieli pod ostrzałem na otwartej przestrzeni...

Wbiegli przez pozbawioną żywopłotu drogę prosto na pole pszenicy i popędzili po zboczu, stawiając płasko stopy, by nie zwicznąć nogi w kostce. Marler poruszał się jak sprinter, Newman dotrzymywał mu kroku. Cały czas pięli się pod górę. Kiedy wpadli do zagajnika, Marler spojrzał w górę, wybrał wyjątkowo wysoki kasztanowiec i z torbą na plecach zaczął wdrapywać się na niego zręcznie jak małpa.

Wspinając się za nim Newman usłyszał od strony dworku Livingstone odgłos ruszającego samochodu. Zmierzał w ich kierunku, a potem nieznacznie się oddalił. Nagle w brzmieniu silnika zaszła jakaś zmiana i wóz zaczął najwyraźniej jechać w pobliżu trasą równoległą do tej, którą biegli na wzgórze. Newman zatrzymał się, próbując dostrzec samochód, ale liście ograniczały mu widoczność. Gdy ruszył za Marlerem, wspinającym się na niewiarygodną wysokość, silnik wozu zamilkł.

Zastał Marlera siedzącego okrakiem na gałęzi, z której widać było wyraźnie zbocze wzgórza, teren posiadłości, dach dworku Livingstone i to, co znajdowało się za nim. Marler trzymał przy oczach lornetkę. Newman przysiadł na tej samej, grubej gałęzi, opierając się o pień drzewa.

— Hauser ucieka — ostrzegł Marler. — Ma na granicy posiadłości nieduży śmigłowiec, chyba sikorsky. Wsiada do tej cholernej maszyny.

— Zamierza zwiać. Szefowi zawsze udaje się wymknąć — stwierdził Newman.

Jakby znikąd zjawily się nagle policyjne radiowozy. Jeden z nich podjeżdżał właśnie do otwartej bramy, gdy wybiegł z niej strażnik z karabinem. Wypalił.

Kula roztrzaskała w wozie przednią szybę. Przez drzwiczki z prawej strony wyskoczył policjant i

ustawiwszy się za bagażnikiem samochodu dwukrotnie wystrzelił. Strażnik został odrzucony na jedną z kamiennych kolumn. Przez chwilę wsparty o nią plecami chwiał się, a potem osunął na ziemię. Z

samochodów wyskakiwali już następni policjanci. Pojawił się kolejny strażnik.

Uniósł broń. Rozległ się pojedynczy strzał. Strażnik upuścił karabin i upadł.

Strzelanina ustała i teraz słychać było inny dźwięk — furkot wirników śmigłowca. Maszyna oderwała się powoli od ziemi, zawisła w powietrzu, a potem poleciała na południe, w kierunku Harwich. W tym momencie Newman zauważył, że Marler ma w ręce nadajnik. Gdy śmigłowiec przelatywał nad dworkiem Livingstone, Marler wybił na cyfrowych klawiszach liczbę sto czterdzieści dwa.

Newman sprawdzał właśnie czas. Była piąta rano. Lada chwila miało świtać, ale przed brzaskiem dnia rozbłysła sztuczna zorza. Śmigłowiec leciał jeszcze nad dworkiem Livingstone, gdy nastąpił potężny wybuch. Huk eksplozji uśmiercił

ostatecznie nocną ciszę, mącą dotąd tylko przez równomierny terkot maszyny.

Dom rozpadł się, a jego kamienne szczątki poszybowały w górę. Fala detonacji wstrząsnęła śmigłowcem, który nagle jakby zawisł w powietrzu. Czerwona zasłona płomieni strzeliła w niebo, ogarniając maszynę. Newman widział, jak spada między zgliszcza domu, który miał już teraz tylko dwie ściany. Zdawało mu się, że w sekundę po tym, jak śmigłowiec Hausera uderzył o ziemię, jedna ze ścian runęła do środka, grzebiąc go pod gruzami. Potem wszystko przesłonił

dym.

— Ta zabawka ma podobno zasięg ponad trzech kilometrów — stwierdził

Marler. Popatrzył na miejsce, gdzie kiedyś stał dom. — Tak czy inaczej, nie był to zabytek najwyższej klasy.

Newman schodził pospiesznie z drzewa, łamiąc po drodze gałęzie. Marler spojrzał w dół i zawołał:

— Dokąd się wybierasz?

— Mam umówione spotkanie. Z mordercą.

Wszystko miało się skończyć tak, jak się zaczęło. W tym samym miejscu. W

dzwonnicy. Newman myślał od kilku dni, że tak właśnie się stanie. Nie spodziewał się tylko, do jakiego stopnia okoliczności przypomną mu tamten lutowy poranek.

Na wschodzie wstawał świt, błękitno-złota poświata. Kolejny upalny dzień.

Newman z mozołem wspinał się po stromej ścieżce. Nagle przystanął osłupiały.

Nie wierzył własnym oczom. Obok posępnej dzwonnicy stał zaparkowany czerwony jaguar. Zupełnie jak wóz Sandy w ów nieprzyjemny, mroźny dzień, gdy niczego nie podejrzewając szedł tą samą drogą, aby się spotkać ze swą dziewczyną.

Otrząsnął się jak z sennego koszmaru. Zmęczony, brudny, w podartym ubraniu i z podrapanymi o gałęzie, krwawiącymi rękami, wziął głęboki oddech i ruszył

szybszym krokiem w kierunku dzwonnicy.

Wyglądała tak samo, a jednak inaczej. Przedtem była zima, teraz przepiękne lato, którym Sandy na pewno by się zachwyciła. Newman zgiął obolałe palce.

Pokonał ostatnie wzniesienie i widział już wewnątrz dzwonnicy. Dotarłszy do skraju trawnika szedł cicho dalej.

Wewnątrz dzwonnicy klęczał odwrócony tyłem do Newmana jakiś człowiek, grzebiąc wśród słomy i najwyraźniej czegoś szukając. Newman był dwa metry od budynku, gdy mężczyzna obejrzał się przez ramię i skoczył na równe nogi.

— Co to była za koszmarna eksplozja? — zapytał. Newman miał przed sobą Adama Carvera.

— Zmarnowałeś swój piękny jedwabny garnitur — odezwał się chłodnym tonem. — Czyżbyś szukał tego?

Pokazał wyrwany z własnego płaszcza guzik ze znakiem firmowym Daks. Carver rozłożył ręce jakby nic nie rozumiejąc.

— O czym pan mówi? Dlaczego miałby mnie obchodzić jakiś guzik?

— Ponieważ Sandy wyrwała ci go z płaszcza, kiedy walczyła o życie, zanim powiesiła ją na tamtej belce. Tamtej, nad twoją głową.

Carver odruchowo spojrział w górę. Newman ruszył w jego kierunku. Carver próbował uciekać. Wyjrzawszy przez jedno z łukowatych wyjść zobaczył

nadjeżdżający powyboistej drodze samochód, zawrócił więc, uchwycił się drabiny i zaczął na nią

wchodzić. Newman chciał złapać go za kostkę, ale gdy mu się to nie udało, sam zaczął wspinaczkę po rozchybotanych szczeblach.

Spojrzawszy w górę zobaczył wymierzoną w swoją głowę stopę Carvera. Uchylił się w samą porę. Carver dotarł już do drewnianego podestu w pobliżu poziomej belki. Tak mu było spieszo, że pośliznął się na rozrzuconej tam słomie i rozciągnął jak długi.

Gdy Newman wszedł na podest, Carver poderwał się na nogi i stanął przed nim. Newman pokazał mu ponownie guzik. Przez kilka sekund obaj mężczyźni trwali w bezruchu.

— Jesteś najemnym mordercą Hausera — powiedział Newman. — Zabiłeś Eda Rivertona. Udusiłeś biedaka, a potem wrzuciłeś do lodu w Porcie Północnym, żeby zmiażdżył go lodołamacz. Muszę przyznać, że szybko działasz. Wsiadłeś potem do samolotu do Londynu i przyjechałeś tutaj, umawiając się z Sandy na spotkanie o świcie. Chcesz wiedzieć, jak się w końcu zorientowałem, że to byłeś ty — a nie Galvone ani Manescu?

— No dobra, mądralo — rzucił Carver szyderczym tonem. — Skąd wiedziałeś, że to ja?

— Ponieważ musiał to być ktoś o takim wyglądzie i osobowości, że Sandy mu ufała — mówił Newman z goryczą. — Manescu

i Galvone nie wchodziłi więc w rachubę. A ty potrafisz postępować z kobietami, wszarzu. Pod tym pięknym jedwabnym garniturem kryje się kupa łajna.

— Czyżbyśmy byli zazdrośni?

Mówiąc to Carver pochylił się błyskawicznie, chwycił garść słomy i cisnął ją Newmanowi w twarz. Gdy Newman zamrugał oczami, Carver skoczył

na niego. Broniąc się Newman pochwycił go instynktownie obiema rękami. Byli tak pochłonięci walką, że nie zdawali sobie sprawy, iż samochód, który przed chwilą zauważyli, dojechał już do dzwonnicy. Buchanan porwał z tylnego siedzenia płaszcz i wraz z Wardenem wbiegł do środka akurat w porę, by usłyszeć, jak Carver przyznaje się do winy. Spojrzał w górę i przyłożywszy dłoń do ust krzyknął do Newmana:

— Znaleziliśmy płaszcz Carvera z brakującym guzikiem. Laboratorium potwierdziło, że to on go zgubił. Stanie przed sądem...

Patrzył z ponurą miną, jak na chwiejnym podeście, zrobionym z pojedynczych, drewnianych desek i pozbawionym jakiegokolwiek ochronnej barierki, toczy się walka. Carver zahaczył stopą o kostkę Newmana, aby go przewrócić. Newman przytrzymał przeciwnika

i uwolniwszy prawą dłoń, z brutalną siłą zadał mu od dołu cios w szczękę. Carver zachwiał się, ale utrzymał równowagę. Nie zdawał sobie sprawy, że znajduje się na krawędzi podestu, pod którym zieje przepaść. Newman uderzył go kolanem w krocz. Carver jęknął z bólu, rozluźnił uścisk i zacisnął prawą dłoń w pięść, chcąc trafić nią

Newmana w gardło. Nogi ześliznęły mu się z krawędzi deski. Prawą ręką próbował dosięgnąć szyi Newmana. Kiedy ten zablokował cios chwytając go za ramię, Carver zleciał z podestu.

Spadając omał nie pociągnął Newmana za sobą. Newman zaparł się nogami, żeby wytrzymać obciążenie, i przykucnął, nadal trzymając go za prawe ramię.

Carver wisiał nad przepaścią, rękami uchwycony podestu. Newman spojrział w dół i zobaczył przerażony wzrok mordercy.

Jedwabny rękaw zaczął pruć się na ramieniu. Newman trzymał Carvera nadal za prawą rękę. Czuł, jak materiał powoli wyslizguje mu się spomiędzy palców.

Przyglądał się chłodnym, obojętnym niemal wzrokiem, jak w rękawie puszczają kolejne szwy. Przez dłuższą chwilę wyglądało na to, że Newmanowi uda się wciągnąć wiszącego mężczyznę z powrotem na podest. Nagle rękaw puścił.

Carver zaczął spadać z przeraźliwym krzykiem. Wykonał w powietrzu pół obrotu i zanurkował jak pływak głową w dół. Buchanan usłyszał straszny odgłos uderzenia czaszki o kamienną posadzkę dzwonnicy.

Newman podniósł się powoli, trzymając w dłoni oderwany rękaw. Z wysiłkiem ruszył z miejsca i zmusił się, by zejść po szczeblach rozchwianej drabiny. Carver leżał nieruchomo jak wyrzucona na śmietnik szmaciana lalka. Newman nie patrzył na ciało mordercy. Wlepił oczy w czerwonego jaguara. Był dokładnie taki, jakiego miała Sandy.

— Pojedziemy do miejsca, gdzie zostawił pan samochód — powiedział

Buchanan. — Tam czeka Tweed. Odwiezie pana.

— Sam mogę prowadzić...

— Ałe nie teraz. To rozkaz. Jestem pewien, że Tweed panu nie pozwoli. Proszę spojrzeć, to płaszcz Carvera. Znaleźliśmy go w jego mieszkaniu w Chelsea.

Brakuje jednego guzika. Dziwne, że nie zdał sobie sprawy, jak bardzo obciążającym dowodem może być zgubiony guzik.

— Dziwne — przyznał Newman, pozwalając się zaprowadzić do samochodu Buchanana.

Był tak oszołomiony, że nie miał pojęcia, o czym inspektor mówi.

EPILOG

— Przyszedłem się pożegnać. — Cord Dillon wyciągnął rękę.

Tweed zawahał się, wzruszył ramionami i bez entuzjazmu podał mu dłoń.

— Domyślałeś się? — zapytał Dillon.

— Czego?

— Czemu zależało nam na wykończeniu Hausera. Na zniszczeniu całej jego maszyny. Bo teraz, gdy zginął, korporacja INCUBUS przestanie istnieć.

— Opowiadaj.

— Infrastruktura Związku Sowieckiego jest na skraju upadku. Linie kolejowe są w katastrofalnym stanie z powodu braku konserwacji. Sieć telefonów prawie w ogóle nie funkcjonuje. Wiele urządzeń zainstalowano przed 1918 rokiem.

Spróbuj dodzwonić się z Moskwy do Leningradu — potrzeba na to całego dnia, a i tak nie zawsze się udaje.

— A więc?

— Moskiewskie metro, niegdyś ich powód do dumy i radości, też się rozsypuje.

Stań na peronie, a zobaczysz kapiącą z popękanych ścian wodę. Czy muszę mówić dalej?

— Wszystko się rozpada?

— Właśnie. Hauser chciał najpierw śmiertelnie ich przerazić, a potem przekształcić Rosję w drugą Amerykę. Myślisz, że byłoby nam to na rękę? Po siedemdziesięciu latach komunizmu? Rosja zniknie z mapy. Stanie się krajem Trzeciego Świata.

— I to wam odpowiada?

— Jak najbardziej. Nie musimy się już martwić, kto przejmuje tam władzę. To będzie bez znaczenia. Hauser chciał wszystko zniszczyć. Teraz możemy spokojnie usiąść i przyglądać się biegowi wydarzeń. Wiedziałeś, że o to chodzi?

— Domyślałem się. Ponieważ przez cały czas występowałeś tu głównie w roli obserwatora. Nie starałeś się szczególnie pomóc. Zdasz na samolot?

— Już się zbieram. — Dillon popatrzył w głąb pokoju. — Do widzenia, Paula.

— Do widzenia.

— Czy to dobry pomysł? — zapytała, kiedy ona i Tweed zostali sami w biurze przy Park Crescent.

— Nie byłoby dobrze, gdyby Hauser przejął władzę — odparł Tweed.

— Mam na myśli upadek Rosji. — Paula nie dawała za wygraną.

— Jeśli do tego dojdzie, znajdziemy się w jeszcze trudniejszej sytuacji.

Spis treści

[PROLOG 7](#)

Część pierwsza

[ŚMIERTELNE BIOGRAMY..... 11](#)

Część druga

[ANGEL Z MOSKWY.....145](#)

Część trzecia

[W WIRZE PRZEMOCY349](#)

[EPILOG.....431](#)

Zabójczy wir

Wir terroru ogarnia Europę. Na całym kontynencie wybuchają bomby. Z byłych krajów komunistycznych znikają szefowie tajnych służb wywiadowczych. Gina bliscy współpracownicy Tweeda. Trop wiedzie poprzez Szwecję i Finlandię do tajemniczego instytutu w Laponii.

Ekspres pod lawiną

Moskwę opuszcza potajemnie członek radzieckiej elity sprawującej władzę, a zarazem długoletni agent obcego mocarstwa. Ochronę zapewnia mu angielsko-amerykańska obstawa. Rosjanie urządzają obławę. Europa staje się terenem zmagania zachodnich wywiadów i GRU. Pociąg ze zbiegiem ma przysypać gigantyczna śnieżna lawina.

WIMBP im. C. NORWIDA w Zielonej Górze
nr inw.: 20 - 189715



Wyp 821.111-3

2171-8

Colin
FORBES

EKSPRES

pod lawiną

lesistofat

Cena det. zł 55 000-

Table of Contents

<u>1</u>	
<u>PROLOG</u>	<u>7</u>
<u>ŚMIERTELNE BIOGRAMY.....</u>	<u>11</u>
<u>EPILOG.....</u>	<u>431</u>